

David Adams Richards

Grzech Miłosierdzia

(Mercy Among the Children)

Przełożyła Jolanta Kozak

S&C

Exlibris

## Prolog

Terrieux zajmował niewielki lokal na trzecim piętrze pensjonatu w południowym krańcu Saint John, w Nowym Brunszwiku. Pewnego listopadowego dnia roku 1997, w bramie domu czekał na niego nieznajomy. Przedstawił się jako Lyle Henderson. Miał czujne spojrzenie – takie spojrzenie, pomyślał Terrieux, miewają przerośnięci mali chłopcy, stale narażeni na zaczepki ze strony wyrostków i mężczyzn, albo mężczyźni, którzy w dzieciństwie musieli sami pełnić rolę dorosłych wobec rówieśników.

Nieznajomy miał ze dwadzieścia pięć lat. Ubrany był w białe palto, granatową sportową marynarkę i niebieskie spodnie od dresu. Na palcu wskazującym prawej ręki nosił sygnet, który mógł być przydatny w bójkach ulicznych i tym bardziej nadawał mu pozór knajpianego wykidajły.

Pensjonat Terrieux stał daleko od centrum miasta, w bocznej uliczce, pośród świeżo odnowionych kamienic nabrzeża. Cała okolica pachniała przystanią i papiernią Irvinga. Woń oleju napędowego owiewała bezkształtne skupisko podupadłych domów mieszkalnych i komunalnych, ciągnących się od rogu ulicy, gdzie nad wejściem do starego sklepu wisiał neon Pepsi oraz spłowiata reklamy papierosów i nieco nowsze – podpasek higienicznych. Drzwi sklepu były otwarte, w przedsionku panował ziąb. Terrieux przed wielu laty odszedł z policji, żeby wstąpić do marynarki kanadyjskiej. Przez siedem lat był oficerem na statku. Potem, czując się w jakiś sposób zdradzony przez Kanadę, czy też raczej przez służbę morską, z powodu której rozpadło się jego małżeństwo, porzucił marynarkę i

przeniósł się do Stanów, najpierw do Nowego Orleanu, gdzie pracował jako robotnik portowy, a później do Zatoki Meksykańskiej, gdzie zatrudnił się przy wydobywaniu ropy. Był krzepki i silny, nie przerażała go ani ciężka praca, ani surowe życie. Radził sobie; to było widać po jego twarzy, na której malowała się spokojna pewność siebie.

A jednak czuł się tam nieswojo i w 1995 wrócił w rejon prowincji atlantyckich, zatrzymując się po drodze przelotnie w Wirginii i Marylandzie. Żona, która go zostawiła wiele lat wcześniej, wyszła powtórnie za mąż za księgowego z firmy W.P. i Maine. Widywał ją nawet czasami i wciąż czuł, że żona żywi do niego pretensje, od których szczerze pragnął ją uwolnić, ale nie miał jak. Patrzyła na niego smutnym wzrokiem czterdziestodziewięcioletniej kobiety, której żadne marzenie się nie spełniło, za co wini i zawsze będzie winiła pierwszego kochanka.

On sam miał teraz lat pięćdziesiąt siedem: stawał pomiędzy ojcami a ich dziećmi, pomiędzy skazanymi z wyrokiem w zawieszeniu a kuratorami: był buforem pomiędzy ludźmi staroświeckimi a tymi, którzy chcieli zmienić swoje życie. Znał osoby staroświeckie, bo sam się do nich zaliczał. Wiedział, jak żyją: ani lepiej, ani gorzej niż cała reszta, z którą miewał do czynienia. Do zmian natomiast podchodził cynicznie, jak większość ludzi inteligentnych. Ściśle mówiąc, odnosił się cynicznie nie do samych zmian, ale do osób, które biorą się do zmian tylko dlatego, że zmiany są w modzie.

Lyle Henderson przyszedł z historią do opowiedzenia, może właśnie na ten temat, i miał nadzieję, że Terrieux go wysłucha. Prośba o wysłuchanie nie była dla Terrieux żadną nowiną, ale nowiną była taka prośba ze strony faceta w wieku i stylu Lyle'a. Ten styl widywało się tylko u młodych:

mieli w sobie jakby nadzieję wbrew nadziei. Wbrew eksplozjom losu, które miażdżą życie człowieka na pył. Lyle wyglądał na kogoś, kto to rozumie, bo życie go nie głaskało. Może, stojąc w bramie hotelu Empire, przeczuł też jakoś, ile wycierpiał człowiek, do którego się zwraca. Może spotkali się tam jak wzajemne odbicia w lustrze przeszłości i przyszłości – ta sama postać jako młodzieniec i mężczyzna – dwa wcielenia człowieka ze wsi, pochwyconego w wielką, nową sieć świata.

Terrieux z uśmiechem kiwnął głową i zaprosił Lyle'a na górę.

Z wysokości trzeciej kondygnacji zewnętrznych schodów widzieli ruchliwą ulicę i studentów, którzy wsiadali do autobusu, jadącego w kierunku uniwersytetu. Dom, w którym mieszkał Terrieux, był cały szary, od zewnątrz i od środka; ostatni raz malowano go przed jedenastu laty. Dotarli wreszcie do mieszkania Terrieux na zapleczu budynku.

W żółtawym wnętrzu z przenośnym telewizorem, kanapą i paroma krzesłami rozstawionymi byle jak po całej kuchni, rysy Lyle'a nabrały nagle łagodności. Terrieux wyczytał z tej twarzy, że jej właściciel zasługuje na znacznie więcej czułości, niż jej kiedykolwiek zaznał i sam ofiarował. Wyczytał z niej też, że czułość jest atrybutem ludzi dzielnych. Tyle wyczytał Terrieux ze spojrzenia Lyle'a, które emanowało nieokreślonym, bezgranicznym współczuciem.

– Słyszał pan kiedyś nazwisko Mat Pit? – zagadnął Lyle, i zaraz wzięły głęboki oddech. A może wzięły głęboki oddech tuż przed pytaniem (co nasunęłoby Terrieux zgoła inny wniosek co do motywacji tego oddechu).

– Nie – odparł Terrieux. – Nie przypominam sobie.

– Był naszym sąsiadem w Stumps, jak brat, siostra i ja byliśmy jeszcze mali.

– Wiem, gdzie to jest – wtrącił skwapliwie Terrieux.

Nazwę Stumps nosił pas ziemi w północno-wschodnim Nowym Brunszwiku, wzdłuż wielkiej rzeki Miramichi, wypływającej z gęstych lasów i wpadającej do Cieśniny Northumberlandzkiej na północnym skraju zachodniego cypla Wyspy Księcia Edwarda. Stumps wchodziło w wielki obszar karłowatych świerków i barwnych drzew ocieniających pełną łososi rzekę u jej szerokiego ujścia do zatoki Miramichi. Teren Stumps zasiedlali pierwotnie Indianie Micmac, a potem francuscy zbiegowie, którzy kryli się tam podczas wygnania Akadian przez Brytyjczyków w roku 1756.

Irlandczycy, tacy jak Henderson, przybyli tam pół wieku później, z niewiadomych powodów wciąż lojalni wobec Korony brytyjskiej, chociaż napłuła im w twarz. Pracowali po lasach jako drwale i zakładali miasta wzdłuż rzeki, która ciągnęła się na południe i wschód, prawie do granicy ze stanem Maine. Lud ze Stumps był porywczy, surowy i niepozbawiony bystrości. To właśnie tam, nad tą rzeką, pracował Terrieux przed laty jako policjant – nie tylko wiekiem, ale i posturą, a także barwą oczu i włosów, przypominał wówczas Lyle’a wręcz do złudzenia.

Lyle przez chwilę zapatrzył się na widok za oknem, na stare, drewniane doki największego przemysłowego miasta Nowego Brunszwiku, chluby kurczącego się imperium Brytyjskiej Ameryki Północnej, połykanej pospiesznie przez bardziej jurne i prężne imperium od południa, tak że nawet sama nazwa hotelu Empire na wyniosłym a dalekim od wspaniałości budynku nabrała już posmaku dostojnej nostalgii.

– Pan był policjantem? – spytał.

– Przez sześć lat.

– To bardzo dziwne... to wszystko, co się stało od tamtego czasu... no, wie

pan, z nim.

– To znaczy z kim? – uśmiechnął się Terrieux.

– Nie mam do pana pretensji – ciągnął Lyle. – Ale jeżeli każda rzecz i każda chwila jakoś tam się liczy, to nie do wiary, ile złego można narobić przez to, że się kogoś nie zabiło.

– A kogo ja nie zabiłem? – spytał Terrieux, uśmiechając się czujnie i zerkając kątem oka na pas młodzieńca, czy przypadkiem nie ma tam broni, a jednocześnie rozważając, którym krzesłem w razie czego walnie go w łeb.

W powietrzu wciąż unosił się swąd spalenizny po pożarze, który parę tygodni wcześniej strawił dom po drugiej stronie ulicy. Wyraźny zapach popiołu w wyziębionej atmosferze.

Chłopak (bo tak myślał Terrieux o każdym facecie poniżej trzydziestki) zawahał się jeszcze chwilę i sięgnął do jednej z licznych kieszeni. Położył na stole zdjęcie.

– To... on – powiedział lekko drżącym głosem. – Myślę sobie... kiedy na niego patrzę, dorastaliśmy razem... co by było, gdyby wszystko potoczyło się trochę inaczej. Gdyby wtedy w nocy, wiele lat temu, jak wpadł pod lód... tam, po wschodniej stronie stawu Arron Brook... tam gdzie zastawiałem wnyki na kojoty... i ustrzeliłem łosia z wiatrówki... gdyby pan dał mu utonąć. Ja wtedy nawet nie podejrzewałem, że ten facet, któremu nieraz się zwierzałem ze swoich prywatnych spraw, już dawno mógł gnić w ziemi, gdyby... gdyby nie pan. Wiem, że z powodu niebezpieczeństwa, na które go pan naraził wtedy w nocy swoim pościgiem, porzucił pan pracę w policji. Niewiele brakowało, a utopiłby się, kiedy miał szesnaście lat. Jak pan widzi, zrobił w konia nas obu.

Ostatnie zdanie Lyle wypowiedział szeptem, gdy Terrieux wziął do ręki zdjęcie. Podniósł je i przybliżył do oczu, ale nie widział dobrze, więc wyjął z kieszeni dwuogniskowe okulary i nałożył je na nos, po czym spojrział na Lyle'a i znów na zdjęcie.

Mężczyzna na zdjęciu miał dzinsową kurtkę, włosy zaczesane do tyłu, oczy jak płonące węgle. Terrieux błyskawicznie skonstruował sobie na tej podstawie obraz skrajnej udręki, jakiej Mathew Pit przysparzać musiał innym i sobie samemu. Musiał – to odpowiednie słowo, skoro z jego zdjęciem zgłosił się do Terrieux właśnie ten chłopak, nie jakiś mięczak, lecz młodzieniec, który miał na twarzy wypisane liczne a bezpardonowe starcia z życiem.

Bez wątpienia Mat Pit coś mu zrobił.

Terrieux miał swego czasu kilka zajęć z mężczyzną ze zdjęcia. Dwa razy stawiał go przed sądem; w obu przypadkach chłopak został uniewinniony. Po tym wszystkim, którejs nocy w końcu marca, chyba to był rok 1964, Terrieux uratował Matowi życie. Mathew uciekał przed nim przez zamarznięty potok i wpadł pod lód. Woda pod spodem była głęboka i wartka, ale Mathew się nie poddawał. Za wszelką cenę próbował ratować się sam i odmawiał przyjęcia wyciągniętej ręki Terrieux. Terrieux podejrzewał go wtedy o ciężkie przestępstwo, ale nie miał prawie żadnych dowodów.

Rzucił pracę w policji właśnie dlatego, że prawie – prawie – spowodował wtedy śmierć Mata Pita. A raczej dlatego, że tak to przedstawiły media, komentując, iż Terrieux „zareagował przesadnie”, a już wcześniej wielokrotnie nękał i prześladował chłopca. Z tego powodu Terrieux został zawieszony w obowiązkach i sam zrezygnował z pracy w policji.

Przypomniał sobie Mata Pita, gdy tylko spojrział na jego oczy i blond włosy. Mat Pit, pamiętał, miał siostrę i młodszego brata. Z tym bratem było coś nie tak. Chyba opóźniony w rozwoju. Malutki, Trenton mu było na imię; przestał rosnąć, jak miał niecałe pięć stóp.

Dawne czasy.

– To był dziwny chłopak, nietypowy, bardzo pewny siebie, a przez to bardziej niebezpieczny od innych chłopaków – powiedział Terrieux.

– Tak – przyznał Lyle. Cały czas patrzył w oczy Terrieux. – On... w pewnym sensie... rządził na naszej ulicy i nikomu innemu nie dał o tym marzyć.

Terrieux pstryknął palcem o krawędź zdjęcia i oddał je gościowi.

– Zastanawiam się, co by było, gdyby go pan nie uratował.

– Mało brakowało. Już mi na chwilę zniknął. Nagle słyszę, że coś szura o brzeg. A to Mat Pit wygrzebywał się z potoku. Zszedłem niżej z kijem i wychyliłem się, żeby go złapać. Długo się wahał, ale w końcu podał mi rękę.

– Musiałem do pana przyjść. Muszę panu powiedzieć, co się zdarzyło od czasu, kiedy go pan wyciągnął z potoku. Chciałbym opowiedzieć, jeśli pan pozwoli, co się wydarza w życiu.

– Ach tak? – zdziwił się Terrieux. – Więc ja nie wiem, co się wydarza w życiu?

– No nie, nie to chciałem powiedzieć – rzekł Lyle tonem bynajmniej nie skruszonym.

Terrieux milczał. I wtedy stało się coś, co nim jeszcze bardziej wstrząsnęło. Ten chłopak, Lyle Henderson, wyjął opasły notes, zapisany od początku do końca uwagami i cytatami, znalazł w nim poskładany



artykuł z gazety i powiedział:

– To była Era Wodnika. Czy z jej powodu powstał Pitowie tego świata? Uśmiechnął się przy tym trochę za szeroko, jakby zbyt szybko pozwalał sobie na poufałość, co jest cechą mieszkańców prowincji atlantyckich, przyzwyczajonych do tego, że każdy jest dla nich sąsiadem, o ile nie przyjacielem.

– Może być – uśmiechnął się Terrieux.

Chłopak wyglądał w tej chwili jak typowy knajpiany rozrabiaka i Terrieux doznał nagłego rozczarowania, że ktoś taki potrafił z łatwością wniknąć w jego przeszłość.

Jeszcze raz podniósł i obejrzał zdjęcie. Jeszcze raz oddał je chłopakowi.

Jeszcze raz Lyle uśmiechnął się do niego.

W uśmiechu twarz ta nieuchwytną zmianą zdradzała nagromadzenie cierpienia, które wystarczy człowiekowi do końca życia. A mimo to zapisana była na niej nadzieja: nadzieja z wyrwą w środku.

Lyle zerknął ponownie w swoje notatki: stronica za stronicą cytatów i odnośników.

– Wszystko, co zapisałem, jest prawdą. To są rzeczy, których byłem świadkiem lub które mi opowiedziano – rozmowy innych ludzi, przy których mnie nie było, są prawie dosłowne, spisane od tych, którzy je pamiętali z pierwszej ręki albo rozmawiali z kimś, kto dobrze pamiętał. Minęło prawie siedem lat, zanim zrozumiałem, o co tu właściwie chodziło, a teraz chcę przedstawić to panu. Może jako były policjant opisz pan to, choćby jako ciekawy przypadek, i zdemaskuje Matów Pitów tego świata. Lyle zapalił kolejnego papierosa i wyjrzał przez okno na kościół św. Odkupiciela, trwający mężnie pod zimnym, burym, nadmorskim niebem.

Terrieux skinął głową, że się zgadza, i Lyle rozpoczął swoją opowieść.

# Miłosierdzie

## Rozdział 1

Kościółki katolickie są tutaj wszystkie takie same: białe, drewniane, zbutwiałe od śniegu albo porozsychane od północnego słońca, od środka pachną konfesjonałami i wyblakłymi figurkami Matki Boskiej. Nasza matka, Elly Henderson, prowadziła nas do wszystkich po kolei kościołów wzdłuż bitej drogi, z nadzieją, że w którymś z nich znajdziemy pocieszenie.

W listopadzie od siódmej lampy w kościołach oświetlały okienne witraże. Na wszystkich witrażach widać Ukrzyżowanie albo świętego na modlitwie. Wzgórza, które ci święci zamieszkiwali i skrapiali krwią męczeńską, są niewyraźne, odległe i niebieskie; drogi wiją się jak szkarłatne wstążki ku Górze Oliwnej. Całkiem to inne od żywej przyrody, od ryczących potoków spadających w doliny nieprzystępnych lasów, w których zdzierałem sobie płaty skóry z nóg. Albo od bagien Miramichi, porośniętych cedrami, modrzewiem, przesiąkniętych drażniącą wonią mokrej skóry łosia, który, choć ranny, ryczy jeszcze gdzieś w mrocznych ostępach. Często chciałem wejść w świat witraży – spacerować szkarłatnymi drogami, za plecami mieć Górę Oliwną. To pewnie dlatego, że bardzo chciałem być dobry. Moja matka też chciała, żebym był dobry. Pragnąłem także uciec od narzuconych obowiązków do własnego przeznaczenia, do mojej rodziny, siostry i brata, którzy byli dla mnie bardziej realni niż cała zgraja świętych.

Mój ojciec nazywał się Sydney Henderson. Urodził się w szopie niedaleko drogi numer jednaście – drogi znanej tylko mieszkańcom prowincji

atlantyckich, snującej się asfaltem wśród skarłatych drzew i dzikich pól aż po granicę zimnego nieba.

W szkole szło ojcu marnie, za to w kościele został prawą ręką księdza Poriera. Mył mu samochód i sprzątał na plebanii. Jako ministrant służył zimą do mszy, codziennie o siódmej rano. Trwało to przez trzy lata, od ósmego do jedenastego roku życia ojca.

Potem coś się zdarzyło, jakiś „incydent”, po którym pontiac księdza Poriera nigdy więcej nie odwiózł mojego ojca do domu ani też ojciec nie poszedł więcej na plebanie, żeby wyczyścić księdzu buty. Nie wiedział jeszcze wtedy, że jego własny ojciec weźmie stronę księdza i że pewnej niedzieli, na oczach wszystkich parafian, złoży mu skórę na stopniach kościoła. To obudziło w moim ojcu pierwszy akt nieposłuszeństwa, nie wobec konkretnego faktu, lecz wobec całego porządku rzeczy. Ja sam dopiero z czasem zrozumiałem, że nie jest to nieposłuszeństwo powszechne.

W tamtych czasach Kanadyjczycy z pokolenia mojego dziadka za jedyny wysiłek godny miana pracy uznawali ciężką robotę fizyczną. Dlatego, mając lat trzynaście, mój ojciec włożył długie buty i waciak, a rzucił szkołę: poszedł pracować do lasu, bo zawsze słuchał swego ojca. Dni mijały mu bez żadnych właściwie przyjemności. Ta siła, siła charakteru, której wtedy nabył, miała mu się kiedyś bardzo przydać. Ręce miał wielkie jak drwal, nosił grube okulary, strzygł się krótko, podgalając skronie, jak jakiś zek w sowieckim łagrze.

Pracował i przemierzał tę nudną drogę tam i z powrotem przez okrągły rok: w czerwcu, kiedy niebo czerniało od meszek, i w zimie, kiedy końskie odchody zamarzały, zanim zdążyły spaść na ziemię. Chociaż był uczulony

na konie, codziennie o piątej rano musiał wyprowadzić ze stajni starą żółtą kobyłę, która nie dostawała owsa i lepiej by było dla niej, gdyby zdechła. Dziadek w 1962 roku kupił telewizor i przez ostatnie lata życia całymi wieczorami gapił się w ekran, wypytując Sydneya o sprawy dalekiego świata. Światły ekran telewizora wniósł do ciemnego domu takie widowiska, jak Podróż poślubna, Wielka Dolina, Ze strzelbą w drogi i Nietykalni. Wieczorami łąpał z cichego okna w mrok nocy, na dziedziniec, zaśmiecony wiórami zrąbanego drewna.

Mój dziadek Roy Henderson nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie dobrowolnie grają w filmie, skoro wiedzą, że zostaną zastrzeleni – stale zadawał to pytanie mojemu tacie. Wyjaśnienia taty na temat scenariusza i gry aktorskiej przyjmował sceptycznie, a im bardziej były jednoznaczne, tym bardziej dziadka niepokoiły i denerwowały.

– Przecież widzę, jak umierają.

– Nie umierają, tato.

– Akurat, co ty tam wiesz, Syd, co ty tam wiesz. Ja się naoglądałem w życiu krwi, a krew nie kłamie, synu, powiadam ci, krew nie kłamie. Jak mi jeszcze raz powiesz, że krew może kłamać, to dam ci w gębę, zapamiętaj to sobie.

Mój kilkunastoletni ojciec uciekał na dwór, do oświeconego telewizorem świata, do szałas, gdzie przesiadywał w czerwcowym upale, obserwując orbitowanie much w sennym półmroku. Chował się tam, bo jego ojciec upokarzał go przed rówieśnikami.

Dowiedziałem się, że z powodu tych upokorzeń mój ojciec został pijakiem, zanim skończył piętnaście lat.

Nikt nie wiedział (zresztą, kogo by to obchodziło?), że w tym samym

wieku mój ojciec czytał i cytował z pamięci Stendhala i Prousta. Ale był więźniem losu swojego ojca, do którego nieuchronnie przykute były również nasze późniejsze losy.

Latem 1964 roku pracodawca dziadka, Leo Alphonse McVicer, kazał mu zabrać dwóch Amerykanów na połów łososi, w miejsce, gdzie rozwidła się potok Arron. Roy Henderson nie chciał tam jechać: po pierwsze, była już prawie jesień i wody opadły, a po drugie, gdyby Amerykanie nic nie złowili, zwaliliby pewnie winę na niego. Ale musiał.

– Podrzucisz im ryby – polecił Leo, dłubiąc w fajce małym nożykiem i popatrując na Roya z właściwą sobie surowością. Roy jak zwykle skwapliwie kiwnął głową. I tak, w upalny sierpniowy dzień wyprawił się z Amerykanami rzeką do ujścia strumienia, gdzie zazwyczaj gromadziły się ryby. Wziął ze sobą syna Sydneya, żeby drągiem popychał kanoe w górę rzeki i zabawiał wędkarzy. Gdy dotarli na miejsce w samo skwarne południe, Roy kazał Sydneyowi wziąć kanoe, opłynąć pobliskie łowiska i sprawdzić, czy gdzieś nie ma ryb, a sam zajął się naprawianiem wędek i podsłuchiowaniem rozmowy Amerykanów, którzy, jak się okazało, pochodzili z całkiem różnych stron – jeden z Oregonu, a drugi z Honolulu. Kiedy zaczęli komentować jakość drewna i tartacznej roboty Leo McVicera, Roy Henderson przez grzeczność powstrzymał się od wyrażenia własnej opinii.

Sydney przyплыł z powrotem po południu i, nie przestając gapić się w wodę, oznajmił, że łososie odpłynęły już właściwie w górę rzeki, ale cztery sztuki zostały, wylegują się pod głazami w górnej odnodze strumienia i czerpią tlen z zimnego źródła.

Ci dwaj Amerykanie byli ważnymi ludźmi. To głównie dzięki ich pomocy Leo McVicer dorobił się interesu, dlatego teraz chciał im dostarczyć rozrywki w lokalnym stylu: pozorów wiejskiej niewinności i autentyzmu, należnych autentycznym ludziom, którzy przybyli z autentycznych miejsc, aby się godziwie zabawić.

Dlatego po trzech godzinach dziadek szepnął do mojego ojca:

– Byłoby lepiej dla Leo, żeby coś złapali. Podobno mają mu sfinansować nową korowarkę do tartaku.

I tymi słowami Roy Henderson, w koszuli poplamionej potem i błotem, z czerwonym, pomarszczonym karkiem wygarbowanym przez słońce i śniegi, z krzywymi, połamanymi, poczerniałymi zębami odsłoniętymi w uśmiechu nie mężczyzny, lecz dzieciaka nałogowo żującego tytoń, ze sprężystymi powrozami mięśni oplatającymi jego długą postać – uruchomił okrutne chłopskie przeznaczenie naszej rodziny. Poprosił jednego z gości o wędkę, przyczepił do niej trójzębny harpunek i kazał Sydneyowi przeciągnąć drągiem kanoe w górny bieg strumienia, a tam unieść drąg, przedryfować cicho przez łowisko i wskazać miejsce, gdzie widział łososie. Zarzucił wędkę tam, gdzie spokojna woda napotyka prąd ze źródła, i poderwał. Linka zabrzęczała melodyjnie i nad wodę wyskoczył piętnastofuntowy łosoś, skaleczony harpunem w brzuch. Po dwudziestu pięciu minutach Roy wyłowił zmęczonego pościgiem samca łososia, ukatrupił go, i złapał na harpun następnego. Amerykanie zaśmiewali się z uciechy i klepali Roya po plecach, nie wiedząc tego, co wiedzieli i Sydney, i Roy, a także obserwujący ich z ukrycia strażnicy: że takie zabawy są nielegalne. Strażnicy wyszli z kryjówki, skonfiskowali wędki, zatrzymali też nowiutkiego terenowego chevroleta Amerykanów.

Leo McVicer dowiedział się o rym wszystkim o siódmej wieczorem, kiedy wrócił z tartaku. Przez całą noc chodził od ściany do ściany w niemej, niemal modlitewnej furii. Mój dziadek stawiał się do pracy w poniedziałek rano, gotów wszystko wyjaśnić. Leo jednak wyrzucił go bez pardonu, chociaż przecież Roy działał dla jego dobra. Ale taki, jak się z czasem przekonałem, był Leo McVicer. Nikomu to nie przeszkadzało, że wielki Leo McVicer sam niejednokrotnie kłusował na łososie, które następnie dostarczał członkom władz Nowego Brunszwiku, a czasem nawet temu czy owemu senatorowi z Maine, który bawiąc w delegacji, gościł na przyjęciu u niego w domu. O tym, rzecz jasna, mój dziadek nic nie wiedział. Wielki przyjaciel Leo trzymał go z dala i od swoich decyzji, i od mrocznych salonów swego olbrzymiego domu.

Zwolnienie z pracy po latach wiernej służby załamało mojego dziadka całkowicie: godzinami siedział bez ruchu, „jak jakiś nędzny, żalony wiejski anioł, skazany na wieczne potępienie w piekle”, tak się kiedyś wyraził mój ojciec.

A jednak była jeszcze szansa – jedna jedyna – na wkręcenie się z powrotem do pracy. Latem tego roku pracownicy Leo McVicera zbuntowali się przeciwko niskim płacom i dwa razy zagrozili strajkiem. W końcu McVicer wziął ich za słowo i sam zamknął bramę tartaku.

Przez dwa następne tygodnie trwała przepychanka między Leo a jego robotnikami. Bezrobotni ludzie objali się po dziedzińcu tartaku jak atomy, to łącząc się, to rozdzielając, i łącząc na nowo w bezładne grupki brudasów w brunatnych koszulach, które chwilami wybuchały dziką gestykulacją, aby zaraz oklapnąć i popaść w żałobne niemal odrętwienie. Między stanem hysterii a stanem żałoby padały hasła o sabotażu i zemście.



Na teren posesji McVicera nie wpuszczano ani nie wypuszczano z niego ciężarówek i transportów drewna, a kiedy dostawca artykułów spawalniczych chciał tam wjechać siłą, ludzie stanęli murem w bramie, zagrzewając się wyciem do walki, i stawili opór własnym ciałem, bo to jedno każdy z nich wiedział na pewno: że ciało służy do tego, żeby nim walczyć, zginać je, skręcać i wystawiać na ciosy. Furgonetka spawacza musiała się poddać. Zegnany triumfalnym wyciem buntowników, rozsadzającym pustkę wrześniowego upału, kierowca zawrócił i na dziedzińcu została tylko jedna, nierozładowana ciężarówka herbicydów. W końcu Roy Henderson nie wytrzymał i zwrócił się po radę do mojego ojca. Co zrobić, żeby pomóc Leo McVicerowi i odzyskać pracę? Mój ojciec miał na to tylko jedną radę: „Idź do ludzi”. Mój czternastoletni ojciec poradził swojemu ojcu: „Namów ich, żeby zakończyli strajk”. Leo, dodał, będzie zadowolony, terminy dotrzymane, herbicydy rozładowane – a zasługa za to wszystko przypisana zostanie Royowi Hendersonowi. Roy udał się więc do lasu. Było ciepłe wrześniowe popołudnie, w resztkach letniego upału snuł się mocny zapach świerkowych igieł. Tuż przed dotarciem Roya na miejsce trzech ludzie przepiłowali kłódki na bramie. Szturmem zdobyli ciężarówkę i wytoczyli z niej setki beczek z herbicydami; beczki porozbijali siekierami, a ich zawartość wylali do wartkiego potoku Little Arron, razem z pestycydami z czterdziestu beczek znalezionych w magazynie. Nowa korowarka padła ofiarą sabotażu: ktoś, dla jaj, podpalił silnik maszyny i wybuchł pożar. Wszystko to opisał starannie miejscowy reporter. Zrobił zdjęcie. Pech chciał, że na tym zdjęciu, na dymiącym wraku spalonej maszyny, z pół pijanym, pół szaleńczym uśmiechem na twarzy, stał mój dziadek. Zdjęcie

ukazało się na pierwszych stronach wszystkich prowincjonalnych gazet. Dziadek nie zastosował się zbyt pilnie do rady mojego ojca. Szczerze mówiąc, wygląda na tym zdjęciu jak mściciel z głębokiego południa, depreczający ruiny niewinności. O n i chcieli, żeby mój ojciec tak wyglądał. Mam jeszcze to zdjęcie. Spłowiało, ale obraz na nim pozostał zadziwiająco swojski, dziki i wesoły, jakby w tej jednej chwili rozmyślniej zemsty Roy zapomniał o celu swojej popołudniowej wyprawy.

Dziadek zapewniał mego ojca, że próbował gasić, a nie wzniecić pożar. Niestety, fotografia, nawet ta archiwalna, zblakła i pożółkła, ukazuje go raczej jako chętnego uczestnika rozróby. Gdy się tak szczerzy do mnie ze starej gazety – do wnuka, którego nie doczekał – wygląda, jakby przeżywał swój jedyny w życiu moment radosnej chwały, uwieczniony w majestatycznym błysku flesza i wieszczący nasze potępienie na najbliższe trzydzieści lat.

Cała reszta demonstrantów zwała przed przyjazdem policji, tylko mój dziadek tak się schlał, że nie był w stanie biec: zwał się jak kłoda z maszyny, po której przed chwilą skakał, na czworakach poczołgał się do wozu policyjnego, wlaź do środka i zasnął.

Pożar strawił tysiąc sto akrów pierwszorzędných lasów Leo McVicera – a drewno z tych lasów było już zakontraktowane przez wielką papiernię. Odkąd w gazetach ukazało się zdjęcie mojego dziadka, miejscowi nie nazywali tego pożaru inaczej jak „horror Hendersona”.

– Roy to bandyta, a jego syn idiota – mawiano zgodnie.

Tymczasem Roy Henderson, niepiśmienny i panicznie bojący się ludzi, którzy umieli pisać, musiał stawić się w sądzie i zatrudnić płatnego adwokata, który broniłby go przed podwójnym oskarżeniem: o

kłusownictwo i o zniszczenie korowarki. Ojciec opisał mi dokładnie, jak Roy stał przed sądem w szarym sztuczkowym garniturze. Z dala od ukochanego telewizora. Oko w oko z groźnym prokuratorem. Trząsał się i płakał. Skazali go na trzy lata. Ludzie śmiali się z niego, kiedy wychodził z sądu.

Czternastoletni wówczas Sydney napiękl sucharów i zawiózł je ojcu do Dorchester, łapiąc okazję po drodze. Ale Roy, który nigdy przedtem nie siedział w pudle, nie chciał jeść sucharów.

– Powiedz Leo, że nie będę nic jadł, dopóki mi nie przebaczy – powtarzał, pociągając głośno nosem i patrząc w dłonie złożone na kolanach. Zaczął siwieć, kępki siwej szczeciny sterczały mu z uszu. Z głęboko osadzonymi oczami i szerokim czołem wyglądał jak jakiś wiejski prorok. Ale Sydney wiedział, że żaden z niego prorok. Kiedy słońce zza krat dosięgło mankietów jego więziennych spodni, Roy Henderson przekazał synowi tylko tę jedną mądrość:

– Powiedz mu, że moje życie jest w jego rękach; zobaczymy, co on na to. Powiedz mu, że suchary już stwardniały i dalej twardnieją. No, idź już, idź.

Ojciec wyszedł z więzienia i tak jak stał, w starym czerwonym palcie i dziurawych gumiakach, pognał pieszo do Moncton – trzydzieści siedem mil. Tam złapał pociąg i prosto ze stacji poszedł do Leo McVicera – nie do jego domu, tylko do kantorka przy sklepie McVicera, który od lat służył naszej społeczności. Ten sklep był pomnikiem ku czci miejscowych klientów: kalendarze ze zdjęciami blondynek w biustonoszach i niebieskookich pięknotek pucujących błyszczące fordys pastą do karoserii trzymał Leo pod ladą, na wierzchu zaś wystawiał asortyment skromny, lecz

niezawodny: od spodni roboczych i gumiaków po sztruksy dla dzieci, gumki do wycierania, zeszyty i ołówki.

– Straciłem właśnie maszynę za sto tysięcy dolarów i działkę za milion – powiedział Leo, nie patrząc na mojego tatę, tylko w rachunki za ubrania, których, jak mu się wydawało, nie zamawiał. – Na dodatek muszę jeszcze usunąć beczki z potoku – ciągnął, kartkując kwity. – Wszyscy... następny kwit – ...Sheppardowie... – następny – ...Pitowie... – następny – ...Porierowie... – następny, następny – ...wszyscy bez wyjątku mówią, że to zrobił twój tata... twój rodzony tata, niczyj inny... no to czego ty jeszcze ode mnie chcesz?

– Żeby pan poszedł do niego do więzienia, to on zacznie jeść.

– Mam go odwiedzić i rozweselić, żeby zjadł porządne śniadanie? A cholera z nim!

Mój ojciec wrócił do szpitala do swojego taty. Zbliżało się Boże Narodzenie, śnieg pokrył miasta i miasteczka, długie pasmo nagich wzgórz Nowego Brunszwiku obrosło lodem.

Mój ojciec szczerze współczuł Royowi, ale nie umiał przezwyciężyć jego apatii. Z początku Roy nie chciał wierzyć, że Leo, z którym znał się od szesnastego roku życia, odmawia odwiedzenia go w więzieniu. Stał z rękami zaciśniętymi na kratkach celi, do której go wsadzili, i z nadzieją patrzył w korytarz, jak małe dziecko. Do własnego dziecka odnosił się jak do istoty obcego gatunku – nieznanego stworzenia, które ni stąd, ni zowąd zjawilo się pewnego dnia w jego chacie, i z którym nigdy nie wiedział, co robić. Dlatego najczęściej zwracał się do Sydneya per „bracie”.

– Więc mówisz, bracie, że on nie chce mnie odwiedzić.

– Tak, tato. Mówię, że on nie chce cię odwiedzić.

– Żeby wszystko było jasne: nie chodzi o to, że jest chwilowo zajęty, ale wpadnie innym razem, czy coś w tym stylu?

– Nie, tato, on w ogóle nie przyjdzie.

Z oczu Roya wyzierała nieodgadniona pustka, jakby nasłuchiwał osobliwej muzyki z odległego kraju. Nagle oczy te napotkały wzrok syna i błysnęła w nich nagła świadomość sensu słów, które przed chwilą padły – a także, może po raz pierwszy w życiu, świadomość tego, kim jest jego syn i ile ma w sobie godności. Ta świadomość była dla Roya szokiem, i jeszcze bardziej go załamała.

– No to mu współczuję... że taki jest... szkoda gadać – szepnął.

I wierny swojej zasadzie – chyba jedynej, która mu pozostała (a także, chcąc chociaż raz w życiu okazać wobec syna dumną stanowczość) – kategorycznie odmówił jedzenia.

Kilka tygodni później przewieźli go do szpitala nad rzeką Miramichi, z zapaleniem płuc. Tam zmarł i został pochowany na starym cmentarzu w dolnym biegu rzeki. Mój ojciec został sam.

Zawsze mu powtarzałem, że ja na jego miejscu zrobiłbym więcej. Ale mój ojciec był przekonany, że uczynił, co mógł. Ani na chwilę nie opuścił swego ojca. Przebył dwieście trzydzieści mil drogi, aby błagać McVicera o przebaczenie. Pościł razem z ojcem. Przerywał post tylko dla przyjęcia komunii. Czuwał przy ojcu do ostatniej chwili, chociaż było to czuwanie samotne. Ale nigdy nie szukał zemsty. Zemsta jawiła się w światłym umyśle mego ojca jako klątwa wobec sprawiedliwości.

Po śmierci Roya mój tata wiódł życie prymitywne, bo jakież mógł mieć kontakt z otoczeniem? Wyśmiewali się z niego, ile razy poszedł na potańcówkę, dziewczyny stroiły sobie z niego żarty. Zaczął pić, dzień w

dzień, co popadło. Pił, żeby zapomnieć, jak to nazwał Sam Johnson – a ja znalazłem te słowa podkreślone w jednej z książek ojca – „ból bycia mężczyzną”.

Ból bycia mężczyzną, a może zwykłe zimno albo zmęczenie. Starej stodoły już nie było. Ojciec mieszkał w chacie zbudowanej ze sklejki i papy. Ściany pouszczelniał kartonami. Chata mierzyła piętnaście na dwanaście, na szesnaście stóp – wyglądała jak postawione pionowo pudełko po butach. Lubię to sobie przypominać. Mój ojciec większość życia przeżył w tej budce.

Przez trzy lata ukrywał się przed ludźmi, którzy mogliby chcieć coś dla niego zrobić – to znaczy oddać go do rodziny zastępczej. Ale nikt nie interesował się jego osobą. Wyjątkiem był niejaki Jay Beard, który mieszkał kawałek dalej, w przyczepie przy głównej drodze, i najmował tatę do wycinki drzew. Raz trafiła się tacie robota (na pewno nielegalna że hej) przy zakładaniu dynamitu do wysadzania bloków skalnych na terenie budowy. Nie był strachliwy, za to bardzo zwinny. Zarobił wtedy sporo, jak na siebie; za te pieniądze postawił matce i ojcu pomniki na grobach.

Miał osiemnaście lat, gdy po długim, upalnym dniu wracał łodzią do połowu homarów z zatoki, gdzie pomagał zakładać przynęty do saków. Skórę miał spaloną od słońca i słonej wody, a ręce całe w pęcherzach od szorstkich lin i potrzasków na ryby. Ale tego samego dnia poznał Jaya Bearda. Jay Beard sprzedawał właśnie sporą część swych książek – książek odziedziczonych po zmarłym bracie, których sam nigdy nie przeczytał. Prawdę mówiąc, to Beard szukał wtedy mojego ojca, żeby mu zhandlować książki. Ojciec kupił od niego trzysta sztuk, w miękkih

oprawach i w twardych, mocno już spłowiałych, za jedyne dwadzieścia dolarów. Swój łup przywiózł do domu na taczkach.

Wczesną jesienią tego samego roku mój ojciec Sydney, który dla lektury porzucił alkohol, udał się do Chatham, do pewnego profesora, aby wypytać go o swoje szanse na kształcenie uniwersyteckie. Profesor, a właściwie doktor David Scone, który sam ukończył uniwersytet w Toronto, nie znosił prowincji atlantyckich, pochlebając sobie zarazem, że zna ich problemy i różnorodność. Wygląd mojego ojca, który siedział przed nim w starych spodniach od kombinezonu i grubej wełnianej koszuli, potwierdził profesorską intuicję. Doktor Scone orzekł w związku z tym, że lepiej by było, żeby mój ojciec przyuczył się do jakiegoś zawodu. Nie przeszkadzało mu to nadal czuć się mecenasem ludu, którego przedstawicielem był mój ojciec. Przeciwnie, w swym mniemaniu, jako mecenas znał ich wystarczająco dobrze, aby wydawać o nich sądy. A poza tym coś mu się w moim ojcu nie spodobało.

– Tak, widzę, że przyszedł pan tu do nas ze szczerą chęcią podjęcia studiów wyższych, ale radzę zmienić kierunek poszukiwań. Może stolarka – co pan na to? Wygląda mi pan na kogoś, kto dobrze mierzy kąty. – To rzekłszy, zniżył głos do szeptu, jak to zwykle czynią osoby, pragnące okazać, że same siebie traktują dość lekko: – Na pewno będzie to dla pana łatwiejsze niż niektóre nasze dziedziny, filozofia, teologia i tak dalej. Scone uśmiechnął się z dyskretnym, naiwnym samouwielbieniem, które spotyka się wyłącznie u osób ze stopniami naukowymi, i z politowaniem pokiwał głową nad głupotą studiów akademickich, wiedząc zarazem, że posadę na uczelni ma zapewnioną, a każda myśl, której dotychczas dał namacalny wyraz, znajduje bezpieczne potwierdzenie w pracach

poprzedników. Sydney nigdy nie zaznał podobnych luksusów. Bywały czasy, że ojciec spuściłby mu lanie, gdyby się tylko dowiedział, że syn czyta. Wiedząc to, może pan tym lepiej docenić odwagę doktora Davida Scone'a.

Mój ojciec odpowiedział, że stolarstwo to na pewno przyjemny zawód i że on lubi zajmować się stolarką, ale jeszcze bardziej lubi książki. Za oknem o linię horyzontu opierał się wielki kościół irlandzko-katolicki, słońce odbijało się od jego szyb, czeluść drzwi stała otworem, schody były starannie omiecione, a na dachu błyskały plamy światła – w tle zaś, na odległych wzgórzach za rzeką, drzewa zdradzały już pierwsze słodkie oznaki jesieni.

– No dobrze, chcesz zostać naukowcem, tak, Sydney? Powiedz mi w takim razie, co dotąd czytałeś? Kryminały, fantastykę naukową – Raya Bradbury'ego? Nie ma się czego wstydzić, to też książki. – Doktor Scone uśmiechnął się. Mój ojciec już chciał odpowiedzieć, a doktor Scone był nawet gotów wysłuchać jego odpowiedzi, ale niestety, w tym momencie odwołał go szef wydziału, korpulentny księżulo z pyzatymi, pokrytymi meszkiem policzkami i łysiną na ciemieniu. Mój ojciec wstał i w drzwiach skłonił się doktorowi Scone. Wrócił pieszo do domu z Uniwersytetu Saint Michael i usiadł przy stole w kuchni. Nie miał pojęcia, jak należy się starać o przyjęcie na studia. Przez pięć tygodni zbierał się na odwagę, aby uczynić w końcu to, co uczynił. Czuł, że Scone potraktował go z góry. I zdumiało go, że człowiek wykształcony jest w ogóle do tego zdolny. W naiwności swojej ojciec mój żywił pogląd, że ludzie wykształceni są wyzbyci wszelkich uprzedzeń i jak najdalsi od delectowania się krzywdą bliźnich – innymi słowy, że ludzie ci z łatwością osiągnęli cel, ku któremu



on zmierza właśnie z największym trudem. Nie miał pojęcia, że cel ten – który on sam uważał za jedyny prawdziwy i godny ludzkich starań – nie jest w ogóle uważany za cel przez innych ludzi, czy to wykształconych, czy nie.

Zanim zapadł wieczór, poznał swój błąd. Ze złości postanowił napisać list do tego profesora, natychmiast, tak jak siedział, przy kuchennym stole, ołówkiem, na starej liniowanej kartce. Ale gdy ujrzał własne słowa, zrozumiał, że popełnia zbrodnię. (Tak się wyraził, gdy opowiadał to zdarzenie mojej matce.) Zbrodnią było to, że swoim listem chciał kogoś zranić. Zawstydził się sam siebie, spalił list w piecu i rzucił się na łóżko twarzą do ściany.

Nigdy nie mogłem mu darować, że nie wysłał tego listu, ale w istocie był to czyn szlachetny. A najszlachetniejsze w nim było to, że nikt się nigdy nie miał o nim dowiedzieć. Nie złagodziło to jednak przykrości, jaką sprawiły memu ojcu słowa doktora Scone'a i wspomnienie towarzyszącego im uśmieszku samouwielbienia. Jak zwykle bywa z obelgami ustnymi, ojciec musiał ścierpieć kąśliwą uwagę nie tylko w czasie i miejscu jej wygłoszenia, ale i przez następne dni, a nawet tygodnie, a potem za każdym razem, gdy słynny wykładowca udzielał prasie kolejnego wywiadu na temat dyskryminacji ludności prowincji atlantyckich lub swojej wieloletniej walki o przestrzeganie Ustawy o Pierwszych Narodach. (Tę wieloletnią walkę podjął Scone wraz z większością inteligentów ze swego środowiska, najczęściej mocno osadzonych na uniwersyteckich stołkach, jak najdalej od miejscowej ludności.)

To, że mój ojciec nie tylko zaliczał się do grupy demograficznej, od której

ekspertem był rzekomo doktor Scone, ale także pracował ciężko od małego, i miał własne poglądy, ukształtowane w latach nędzy i ucisku, czyniło żądło obelgi jeszcze ostrzejszym i bardziej dokuczliwym, gdy ojcu przyszło wysłuchiwać pochwał pod adresem doktora Davida Scone'a jako człowieka bezprzykładnej szlachetności, wygłaszanych przez wielu zdolnych spikerów radia CBC.

Ale honor – honor mojego ojca – nie pozwalał mu zabrać głosu. Nawet wtedy, gdy doktor Scone próbował buntować przeciwko niemu moją matkę.

Teraz wiem, że wszystkiemu winien był incydent, który przydarzył się ojcu, kiedy miał on dwanaście lat. Któregoś dnia razem z drugim chłopakiem zgarniał śnieg ze spadzistego dachu kościoła. Tamten zwędził mojemu tacie kanapkę z melasą, więc tata go pchnął. Chłopak zleciał z dachu, kilkanaście jardów w dół. Upadł na plecy, leży, krew leci mu z nosa, śnieg osiada na twarzy.

Mój tata patrzył na to ze szczytu dachu, tuż spod wieży, przekonany, że tamten chłopak nie żyje. Nie był wierzący, księżda nie cierpiał od tamtej starej historii, o której wspomniałem. A mimo to złożył szeptem ślubowanie, że jeśli tamten jednak żyje, to on już nigdy, przenigdy, nie podniesie ręki ani głosu na bliźniego i będzie codziennie chodził do kościoła. Co-dzien-nie. I zdarzyła się rzecz niesamowita: ledwie zawarł ten straszliwy pakt z niewiadomym, chłopak wstał, otarł twarz, roześmiał mu się w nos i poszedł sobie. To był Connie Devlin.

Myślę, że Devlinowi w ogóle nic się nie stało. Ze ojca poniosła wyobraźnia. Owszem, krew poleciała chłopakowi z nosa, jak spadł na ziemię, ale to nic wielkiego – on przede wszystkim delektował się uwagą,

jaką zawsze ściąga na siebie rzekomy trup. Powiedziałem to ojcu, kiedy po wielu latach dowiedziałem się o jego ślubowaniu. „Tato – mówiłem mu – przecież ty mu nic nie zrobiłeś, i za to właśnie Bóg wpędził cię podstępnie w masochistyczną dewocję. Bóg uczynił cię swoim niewolnikiem za twoje chore samooskarżenie”.

Ojciec nic na to nie powiedział; odwrócił się tylko i poszedł.

Od tego dnia Connie Devlin prześladował mojego tatę do końca życia. Od tego dnia zaczęło się prawdziwe życie mojego ojca. Od tego dnia zaczęły mu się zdarzać rzeczy, które dowodziły – przynajmniej w jego własnym mniemaniu – działania siły wyższej.

Od chwili śmierci własnego ojca mój ojciec wierzył w jedno: że jakikolwiek pakt człowiek zawrze z Bogiem, Bóg będzie go honorować. Człowiekowi może się wydawać, że jest inaczej – ale czy człowiek zna w istocie sens paktu, który zawarł z Bogiem? Zrozum pakt, który z Nim zawarłeś, a zrozumiesz, w jaki sposób Bóg dotrzymuje słowa.

## Rozdział 2

Moja matka, Elly, była sierotą; wychował ją daleki krewny, Gordon Brown, który pochodził z Charlo.

Mama miała podobno dwoje rodzeństwa, adoptowanych przez dwie różne rodziny w różnych miejscowościach. Ten fakt – fakt, że rodzice z własnej woli oddali ją do sierocińca, skąd trafiła potem do domu Gordona Browna – wywarł na moją matkę ogromny wpływ. Jako dziecko była odludkiem i wszystkiego się bała. Wypracowała sobie mnóstwo rytuałów bezpieczeństwa, gdyż zdawało jej się, że w każdej chwili ktoś może

przyjść ją zabrać, a co gorsza, że każdy ma prawo zrobić z jej życiem, co mu się żywnie spodoba. Dlatego codziennie chodziła do kościoła i modliła się do Boga, prosząc o cuda pomocne w odnalezieniu rodzeństwa, mamy i tary, których nigdy nie przestała szukać. Ludzie uważali ją za dziwaczkę, nawet przybrani rodzice i przybrany brat, Hanny Brown: litowali się nad nią i wzdychali ze współczuciem nad biednym, nierozgarniętym dziewczęciem. Co jeszcze pogarszało jej obraz w oczach ludzi – Elly widywała cuda: na drzewach, w kwiatkach, w owadach na łące, zwłaszcza w motylach, w krowim mleku, w cukrze, w chmurach, na ziemi, na śniegu, i w tysiącach gwiazd o północy.

– Czemu nie miałyby być cudów? – spytała kiedyś moją siostrę, Autumn Lynn.

Ale ludzie, rzecz jasna, dręczyli ją okrutnie z tego powodu. Nikt nie uważał, że jest zdolna, więc porzuciła szkołę, kiedy miała szesnaście lat i drugi raz siedziała w ósmej klasie. Miała nadzieję wstąpić do zakonu. Przez dwa lata posługiwała u sąsiadów, pilnowała okolicznych dzieci i pilnie uczęszczała do kościoła. Potem koleżanka, Diedre Whyne – córka zamożniejszej rodziny, bystra i zdolna, która dwukrotnie zaliczyła po dwie klasy szkolne w jednym roku wzięła mamę pod swoje skrzydła i załatwiła jej pracę w Millbank, z dala od wścibskich oczu sióstr miłosierdzia. Biorąc pod uwagę okoliczności, któż z nas postąpiłby inaczej?

W Millbank mama, która nie porzuciła jeszcze myśli o zakonie, poznała mojego tatę, mógł mieć z dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Poznali się na otwartym pikniku, gdzie ona podawała do stołów, a on pomagał przy naczepianiu.

Naczepianie ładunków na sanie – do zawodów, w których dwukonne

zaprzęgi mierzą swoje siły, ciągnąc sanie z niewiarygodnym obciążeniem – jest bardzo niebezpieczne. Niektórzy nie chcą tego robić nawet przy własnych saniach, bo konie, upojone herbatą, wyrywają gwałtownie do przodu na pierwszy brzęk haka przytwierdzającego ładunek do sań. Trzeba wtedy w mgnieniu oka uskoczyć z drogi, bo inaczej po człowieku. Ale mój ojciec chciał zarobić na nowe książki, a co do niebezpieczeństwa, to nie lekceważył go, ale bez żadnej brawury po prostu się nim nie przejmował. Ostatniego dnia owych dawno zapomnianych zawodów, rozgrywanych na wielkim polu nad rzeką – zawodów, których konie, a nawet woźnice od lat już nie żyją – Sydney wstąpił do wielkiego wojskowego namiotu napić się wody. W środku wyglądało tak samo jak na zewnątrz, tylko trawa była poprzykrywana. Moja matka krzątała się właśnie koło stołu tuż przy wejściu i zaraz zobaczyła ojca. Stara kucharka doskoczyła do niej natychmiast i zakazała rozmawiać z ojcem, bo uchodził za niebezpiecznego dla otoczenia.

Kucharka umówiła zresztą matkę na ten sam dzień na randkę ze swoim siostrzeńcem, Mathew Pitem, który właśnie wrócił do domu z Ontario, gdzie odsiedział dwa miesiące w więzieniu. Wszystko było zaplanowane: Mathew wieczorem przyjechał po moją matkę do domu, w którym wynajmowała pokój, i zawiózł ją na piaskową górę – miejscową aleję kochanków, tylko że bez alei – niedaleko tartaku McVicera.

Zanim Mathew wyjechał z domu na randkę, zapytał młodszą siostrę, jak powinien się zachować, żeby nie zmarnować swojej wielkiej okazji. Cynthia uśmiechnęła się i w odruchu siostrzanej dyplomacji, który na długo wrył się w pamięć jej brata, a teraz, po latach, prześladowuje również i mnie, odpowiedziała: „Wsadź jej”.

Mathew zaparkował, zgasił silnik i jednym zręcznym ruchem przechylił kabełkowy fotel mojej matki do pozycji leżącej, tak że matka nie patrzyła już w widok za przednią szybą, tylko w nakrapianą wyściółkę sufitową. Mathew otworzył ćwierćlitrową butelkę piwa i umieścił ją matce między nogami. Wokół ciągnęły się na wpół wypalone pola, nieme i odcięte od krajobrazu pełnią lata, a stary tartak tchnął melancholią: główny barak osunął się w ziemię, wielka, zawarta brama pordzewiała. Widok ten przywodził myśli o latach ogłupiającej pracy, o mrozach, upałach i o daremności ludzkich starań, która ujawnia się we wszystkich opuszczonych, dziko zarośniętych miejscach, gdzie kiedyś kwitło bujne życie.

– McVicer ma milion dolarów i ani jednego kumpla oznajmił Mathew z wsiowym cynizmem. – Ja się na pewno tak nie urządzę, jeszcze czego. Posiedzę trochę tutaj, nie za długo pewnie...

Matka nie odezwała się, bo McVicer odwiedził ją swego czasu w Boże Narodzenie, przyniósł jej jabłko, pomarańczę i gwiazdkową pończochę, w której była cukrowa laleczka i orzechy.

Przez dwadzieścia minut lub coś koło tego nie padło ani jedno więcej słowo. Myśli mojej matki i jej twarz były pewnie w tym czasie równie beznamienne, jak myśli i oblicze bohatera opowiadania Tajfun Conrada, kapitana Mc Whirra, który jako młody marynarz napisał w liście do rodziców, że w dzień Bożego Narodzenia jego statek „natknął się przypadkiem na górę lodową”.

Moja matka też pewnie czuła, że natknęła się na górę lodową, więc nie reagowała, kiedy Mathew od czasu do czasu poprawiał butelkę między jej nogami.

Sam dopił wreszcie swoją ćwiartkę piwa, niespiesznie, przekonany, że matka na to tylko czeka w napięciu – żeby skończył piwo. Ona dalej gapiła się w podsufitkę, z przechyloną butelką między nogami. Mathew zdjął koszulę i zademonstrował matce dwa orły wytatuowane na bicepsach. Potem wsadził jej rękę pod sukienkę. Wtedy ona, od blisko pół godziny trwająca w letargu, wydała dziki wrzask.

– O Jezu, co się dzieje?! – spieszył się Mathew, zaszokowany jej wrzaskiem nie mniej niż ona sama. – A ty myślałaś, że co my tu będziemy robić? Na litość boską, przecież to randka, no nie?

Matka wysiadła z auta i zaczęła krążyć tam i z powrotem w wieczornej mżawce, a Mathew włókł się za nią z rękami w kieszeniach, strzelając głośno gumą balonową; w prawej dłoni dyndała mu butelka piwa, a wokół rozwichrzonej blond czupryny krążyły czarne owady. Matka nadal chodziła wte i wewte naburmuszona, z rękami założonymi w typowym geście wiejskich dziewczyn, i jak mogła, omijała amanta. Wreszcie doszła do składowiska beczek i uklękła za nimi.

– Dziękuję panu za miły wieczór, panie Pit – powiedziała – ale chciałabym już wrócić do domu.

Mathew z wściekłości rozbił butelkę i pchnął beczkę, za którą chowała się moja matka.

– Wyłaż no stamtąd! – krzyknął jak do konia pociągowego, który utknął w bagnie. – W tych beczkach jest to samo świństwo, którym w Wietnamie załatwiają żółtków.

– Tak, rozumiem, bardzo panu dziękuję, ale naprawdę bardzo bym już chciała jechać do domu.

– Do domu? Teraz? Dopiero cośmy przyjechali!

– No tak, dziękuję panu bardzo, panie Pit.

Mówiła ze spuszczoną głową i zamkniętymi oczami. Była nauczona nie sprzeciwiać się mądrzejszym od siebie, nie uważać, że coś wie, i zawsze przestrzegać dobrych manier. Były to zalecenia matki przełożonej z klasztoru sióstr miłosierdzia, do których pilnie usiłowała się stosować. Jej powtarzano te zalecenia częściej niż innym, ponieważ była dzieckiem bez ojca i bez nazwiska. Pięć sióstr zakonnych, równie mało rozgarniętych jak moja matka, biło ją po rękach do krwi, żeby zapamiętała pięć reguł posłuszeństwa wobec Pana i lepszych od siebie. Powtarzały jej, że nie może być zakonnicą, jeżeli sprawia kłopoty.

A teraz czuła, i nie bez racji, że Mathew za chwilę ją uderzy. Gdyby to zrobił, spuściłaby tylko głowę jeszcze niżej i powiedziała „przepraszam”. On jednak tylko wrzasnął na nią, że nie ma pojęcia, na czym polega dobra zabawa, na co ona skinęła potakująco i ze spuszczoną głową podreptała za nim z powrotem do samochodu.

– Powinienem cię tu zostawić – burknął Mathew. – Żeby cię zeżarły niedźwiedzie i robaki, calutką, razem z cipą. Co ty na to?

Nie zrozumiała, o co mu chodzi. Rozejrzała się, czy w pobliżu nie kręci się jakaś kura.

– Ja bym chciała do domu, panie Pit.

– Chcesz, żebym cię odwiózł do domu?

– Tak, bardzo proszę.

– To daj buzi i jedziemy.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie starą, opuszczoną drogą, wiodącą do szosy. Mathew Pit jechał powoli obok niej, cały czas trąbiąc klaksonem.



– Ty frajerko, żal ci kwiatka dla takiego chłopaka jak ja? Drugiego takiego nie znajdziesz – perorował z głową wystawioną przez okno i ręką na klaksonie.

W końcu, już na szosie, dała mu się namówić na podwiezienie. Usiadła z tyłu, jak dziecko, zamknęła oczy i bezgłośnie, poruszając tylko ustami, odmawiała dziesiątkę różańca.

W ciągu następnych czterech dni Mathew zadzwonił do niej jeszcze sześć razy z propozycją spotkania, obiecując, że pojedą w całkiem inne miejsce. Chciała go ostatecznie zniechęcić, mówiąc, że ma świnkę, ale żeby nie skłamać, powiedziała, że „kiedyś” miała świnkę.

– Wszystko przez tego nicponia Sydneya Hendersona – skwitował Mathew. – Zrobił ci pranie mózgu. To istny diabeł, jak z książki, słyszałem, że czyta i w ogóle!

Odrącenie przez moją matkę ubodło Mathew Pita do żywego. Takiej krzywdy nie doznał jeszcze nigdy w życiu. No bo jak to możliwe, żeby Sydney Henderson – ten Sydney Henderson, którym własny ojciec pomiatał przed ludźmi, aż wszyscy pokładali się ze śmiechu, ten, którego Mathew bił w szkole, żeby go zmusić do płaczu (na próżno) – żeby on właśnie wpadł w oko Elly? Jak Bóg mógł na coś podobnego pozwolić? Mathew tego nie rozumiał. Wiedział tylko, że musi zniszczyć fatalny czar. Ni stąd, ni zowąd, mój ojciec został zaproszony na plażowe party przez Cynthię, młodszą siostrę Mathew Pita. Cynthia nagminnie pakowała się w tarapaty (raz za ugryzienie w ucho panny młodej), a na jej twarzy już malowała się kameleonowata zmienność, obserwowana u ludzi, którzy baczniej studiują korzystne układy towarzyskie niż siebie samych. Piękna to była twarz, bez wątpienia, chwilami tęskna, chwilami zabawna, a

zawsze rezolutna, skupiona na celu ulokowanym poza obecną sytuacją panny Pit, czyli sytuacją wiejskiej biedy.

Dla dobra brata Cynthia miała przeciąć nić sympatii między moją matką a ojcem. W leniwej duchocie jej pokoiku na piętrze Mat instruował siostrę, co ma zrobić.

– Ale nie prześpię się z nim, co za dużo, to niezdrowo. Dam mu najwyżej dotknąć, i tyle.

– No i starczy, nic ci więcej nie kazałem – burknął Mathew z irytacją, którą odczuwał niemal stale. Nagle coś mu się przypomniało. Od miesiąca nosił przy sobie tabletkę wywabiacza plam – dał mu ją Danny Sheppard, a Mathew chciał ją podarować Elly, ale w końcu zapomniał. Teraz dał tabletkę Cynthia, z poleceniem wrzucenia jej do coca-coli mojego ojca. Cynthia bez komentarza wzięła wywabiacz i schowała w tylnej kieszeni obcisłych lnianych szortów. Był piątek, szósta dziesiąta wieczorem; stary drewniany dom Pitów, z podwójnym okapem i głównym wejściem wychodzącym na podwórze, pachniał odstałym upałem, obłazącym z farby drewnem i smażonym dorszem, którego woń snuła się z kuchni po ciemnych, nieprzystępnych schodach.

Tego samego wieczoru o dziesiątej mój ojciec napił się coca-coli. Cynthia tymczasem, znudzona śmiertelnie jego wywodami na temat Matthew Arnolda (kto by to wytrzymał na prywatce), przesiadła się do jednego z braci Sheppardów – Danny’ego. Wbrew przewidywaniom Mathew Pita, mój ojciec po zażyciu wywabiacza plam nie dostał ataku szału ani paranoi, tylko udał się piechotą do Millbank i zbudził moją matkę, rzucając kamykami w okno sąsiedniego domu, należącego do Kaya O’Briena.

– Przepraszam pana, ale to nie ten dom – powiedziała moja matka, która

obserwowała go od dziesięciu minut i uznała, że zapewne chodzi o nią. – Powinien pan rzucać kamykami tutaj.

– Dlaczego nie czyta pani moich listów? – spytał ojciec, wrzucając ostatni biały kamyk do jej pokoju.

Moja matka ledwo umiała czytać, ale nie chciała mówić ojcu o tym, za co siostry zakonne regularnie bijąły ją do krwi po łapach wskaźnikiem do mapy. Matce zawsze się zdawało, że litery są odwrócone z prawa na lewo i do góry nogami.

– Nie zajmuję się listami od wielkich, ważnych osób i myślę, że za dużo pan sobie pozwala – odparła z wahaniem. – Poza tym, wkrótce odbędą się moje zaślubiny.

– Z kim? – spytał głucho.

– Z Jezusem Chrystusem – odparła matka.

– Może jednak zdołam to pani wyperswadować.

– To niestosowna uwaga.

– Widzę obok pani anioły.

– Pan kpi sobie z Najwyższego – obruszyła się pobożnie moja matka.

Ojciec jednak widział to, co mówił, całkiem wyraźnie. Noc skąpana była we wspaniałym blasku księżyca, rozchodzącym się na wszystkie strony.

Od rzeki widocznej na wschodzie do stóp ojca biegła lśniąca ścieżka księżycowej poświaty. Wydawało się, że można by nią iść i iść po świetle księżyca, widząc wszystko aż po horyzont i nie dotykając stopą ziemi. A moja matka wyglądała w oknie jak naga, z aniołami po prawej i lewej ręce.

– Przyszedłem tutaj, bo przygnała mnie jakaś siła, wczoraj w nocy nie byłbym jeszcze do tego zdolny, ale teraz patrzę na panią i chcę, żeby

została pani moją żoną.

– Niech pan wraca do domu, proszę pana – powiedziała matka. Choć nie chciała, żeby gdziekolwiek odchodził.

– Niech pani powie, że zostanie moją żoną, bo nie odejdę.

– Proszę już iść, a ja się zastanowię. Pan się nazywa Sydney Henderson, prawda?

– Tak się nazywałem, zanim przyszedłem tu do pani...

– Niech pan wraca do domu, jutro dam panu odpowiedź.

Następnego dnia moja matka Elly odwiedziła mojego ojca Sydneya na wysuszonej, żółtej łące koło potoku Arron. Zauważył z daleka, jak idzie w cienkiej bawełnianej sukience i tenisówkach. Podeszła do niego, po drodze cały czas zagadując mężczyzn, z którymi Sydney sprzątał siano. Stała przed nim, ujęła w obie dłonie jego dużą twarz i pocałowała go, ku wielkiej uciechy pozostałych żniwiarzy. Tak mi to opowiadano. W tym momencie mój tata ujrzał moją mamę jako zwyczajną ludzką istotę, jakkolwiek obdarzoną dobrym sercem. Aniołów nie zobaczył przy niej już nigdy więcej. Była piękna – ale była tylko kobietą; gdy go pocałowała, jej oddech zalatywał zjedzoną niedawno rzodkiewką.

Postronni patrzyli na nich odtąd jak na dwoje młodych bez pieniędzy i nadziei na przyszłość, zacofanych i żyjących na skraju nędzy, bez żadnych szans na poprawę losu.

Zdaniem wielu, stanowili wyjątkowo źle dobraną parę. Tak uważali Porierowie, Pitowie, nawet sam McVicer. To on, McVicer, namówił Whyne'ów, żeby zabrali moją mamę na jagody do Wisard Point.

Whyne'om wiodło się nie gorzej niż McVicerom. A znajomym Diedre był doktor David Scone, który zainteresował się panną Elly. Scone i Diedre

głosili wielce radykalne poglądy, co tak peszyło Elly, że z trudem patrzyła im w oczy. Czuła ponadto, że cała ta wycieczka podszyta jest konspiracją, że nieprzypadkowe jest i jej miejsce w samochodzie, i to, kto podaje jej wodę, i niewinne z pozoru pytania o Syda.

Doktor David Scone siedział w aucie obok matki i prawie cały czas głąskał ją po dłoni, zachowując przy tym srogą i rozdrażnioną minę, jakby na jego barkach spoczywał wielki ciężar ważnego społecznego obowiązku (skąd matka mogła wiedzieć, że profesora drażni jedynie wulgarność jej megaliansu?). Czasy były mniej więcej takie same jak teraz: ludziom bardziej chodziło o zachowanie pozorów przyzwoitości niż o bycie przyzwoitymi. Gdy dojechali do lasu, gdzie rosły jagody, Diedre zbierała koło mojej matki, cały czas rozwodząc się nad tym, ile szlachetnych uczuć i chęci pomocy żywi David Scone wobec biedoty z regionu Maritimes. Podkreślała, że łączy ich bliska znajomość, podobno platoniczna. Szczególną troską otaczał doktor Scone wiejskie kobiety, których dotąd nikt nigdy nie traktował poważnie. Najwyższy czas, żeby to się zmieniło. (Można by pomyśleć, że doktor Scone pierwszy wpadł na ten pomysł, jakby nie istnieli tacy pisarze jak Emily Bronte czy Thomas Hardy.) Moja matka odpowiedziała, że miło byłoby być traktowaną poważnie – zwłaszcza w poważnych sprawach.

David Scone miał czarne włosy, które zawijały mu się nad uszami. Wysoki, chudy, z cienkimi ramionami, wyglądał rachitycznie. Czarna, jedwabista broda kontrastowała z mlecznobiałą cerą. Ale mojej mamie nie podobało się przede wszystkim to, że Scone patrzy na nią z uporczywą wyniosłością, jakby dowiedział się już od kogoś wszystkich szczegółów jej życia.

Myślę, że wyczuła w nim fałszywą litość i swoistą pogardę, jaką ludzie wykształceni darzą często wszystkich innych i jaką wszyscy inni przez całe życie okazywali jej – w postawie takiej więcej jest pobłażliwej drwiny niż troski, a ludzie biedni i „z marginesu” są na nią bezbłędnie wyczuleni. Niewykluczone jednak, że był w tym i pierwiastek nadziei. Tchnęło nią powietrze późnego lata i wielki obszar lasu, w którym obfitością jagód raczył się – niedaleko nich – także niedźwiedź. Nieznany świat pochwycił moją matkę w swoje sidła, nie mniej dokuczliwe niż razy wskaźnikiem do mapy, którymi zakonnica siekła jej małe, białe rączki. Wmawiano jej, że bez mojego ojca będzie miała rajskie życie, musi tylko zdobyć się na odwagę i pomysłowość, aby pozbyć się kłopotliwego amanta za pomocą kłamstwa. Dla Diedre Sydney Henderson był fizycznie odrażający.

– O Boże, no i co ty teraz zrobisz? – gorączkowała się Diedre, gdy nadeszło popołudnie. – David Scone jest rozwiedziony – dodała szeptem – a ty bardzo mu się podobasz, nie widzisz tego? Poza rym, to profesor!

Wpadłaś w oko profesorowi, moja droga...

– Myślałam, że to twój facet – odszepnęła matka, usiłując przez grzeczność okazać zainteresowanie.

Diedre spojrzała na nią dziwnie i uśmiechnęła się.

– Ja nie miewam facetów, kochana.

– Kiedy ja kocham Sydneya – oświadczyła matka.

Zapadła cisza. Matka usłyszała cykanie pasikonika w trawie przy bańce z jagodami; wstała i przeniosła się o pięć kroków dalej. Diedre poszła za nią i znów uklękła obok. Zupełnie jakby – tak to odebrała moja matka – uczucia mojego ojca wcale się dla tych ludzi nie liczyły: uznali, że Sydney ma podstępny umysł, od którego trzeba uwolnić pannę Elly.

– Czy Sydney po tym wszystkim jest w stanie nauczyć się miłości? – szepnęła w końcu Diedre. Moja matka cierpliwie czekała na grom z jasnego nieba. Życie, choć krótkie, dało jej dobrze poznać gromy z jasnego nieba, niespodziewane reprimendy i nagłe polecenia.

– Gdyby miał się jej uczyć, nie żądałabym jej od niego – odparła matka, wciąż szeptem, który w najprostszy sposób dowodził, że Elly zawsze sprosta najtęższemu umysłom.

Od zatoki powiał chłodny wiatr, zapowiadający rychłą jesień.

– Jedno dziecko nazwę Autumn – ciągnęła – bo wiatr przyniósł mi wiadomość, że będę miała córkę.

To rzekłszy, znów wstała i przeniosła się o pięć kroków dalej. A Diedre znowu za nią. Postawiła bańkę obok bańki matki.

– Ach tak, moja panno! Czy wiatr poinformował cię również, które to będzie dziecko z rzędu? Piętnaste, szesnaste?

Późnym wieczorem, gdy matka wracała do wynajętego pokoju w białym, dwupiętrowym domu z dużą, oszkloną werandą, i z daleka ujrzała Sydneya, który czekał na nią na schodach, w zniszczonych butach, z dłońmi pokiereszowanymi od roboty, cały obolały od składania drewna po dolara sześćdziesiąt pięć za godzinę – uświadomiła sobie, jak bardzo go kocha.

Diedre mówiła jej, że może dostać pracę w Fredericton, z dala od Sydneya Hendersona, i że powinna to uważać za wielkie szczęście. Matka usiłowała uznać to za szczęście, ale na próżno. Ta droga, te młode listki na drzewach, ta przestrzeń, ta dymna powłoka chmur, te wszystkie cuda – jakże tęskniłaby za nimi, gdyby wyjechała.

W najbliższą niedzielę, trzy dni po wycieczce na jagody, a na dzień przed

planowanym wyjazdem do Fredericton, mama zatelefonowała ze stacji do Diedre i powiedziała, że stanowczo nie może przyjąć pracy.

– On cię terroryzuje! – piekliła się Diedre. – Wyperswadował ci wyjazd, tak? Przyznaj się, bił cię?

Matka szeptem odpowiedziała, że absolutnie nie, ale płakała tak strasznie, że jej odpowiedź musiała wyglądać na kłamstwo.

– Ja ciebie kocham – oświadczyła Diedre. – I nie pozwolę, żebyś zrujnowała sobie życie, chcę się tobą opiekować, tylko że ty chwilami okazujesz irytującą niewdzięczność. Pomyśl, jak on się do ciebie odnosi, a jak odnosi się do ciebie David Scone, ile ci okazuje troski...

– Czy ten pan doktor David Scone z uniwersytetu z równą troską traktuje wszystkie kobiety?

– O wszystkich nie wiem – odparła z ożywieniem Diedre.

– Więc dlaczego pokłócił się z byłą żoną? – szepnęła Elly, a łzy płynęły jej po policzkach. – To nie jest wyraz szacunku dla drugiej osoby. Sydney nigdy się ze mną nie kłóci, a poza tym wierzymy w te same rzeczy...

– Nie bądź dzieckiem. Stosunki między Davidem Scone’em a jego byłą żoną to ich prywatna sprawa, zresztą nie rozmawiamy o zachowaniu Davida Scone’a, tylko o zachowaniu Sydneya Hendersona wobec ciebie...

– A jak ty się zachowujesz wobec Sydneya? – przerwała jej szeptem moja matka.

Na to Diedre odparowała, że jeśli matka zamierza z nią w ten sposób rozmawiać, to ona zaraz odłoży słuchawkę i niech sobie matka mieszka z Sydneyem w baraku, zobaczymy, jak długo wytrzyma. Moja matka, nawykła do połajanek – bądź co bądź miała już artretyzm w palcach od bicia wskaźnikiem do mapy – nic się na to nie odezwała. Po chwili Diedre,



udobruchana jej milczeniem, powiedziała:

– Przyjedź chociaż na rok, poznasz prawdziwych ludzi. Nikt cię nie kocha tak jak ja, ale nie o to chodzi: doktor David Scone wie coś o nim, o tym Sydneyu. – Mówiła z lekką zadyszką, jak ktoś, kto ma do przekazania informację, która może nie spotkać się z życzliwym przyjęciem. – Sydney zgłosił się kiedyś do jego gabinetu i próbował szantażem zmusić Davida do przyjęcia go na studia. Przechwalał się, jakie to ma wielkie plany i zdolności. Ale David nie dał się skołować i szybko pozbył się natręta. Posłuchaj, weź tę pracę, którą ci proponujemy, to twoja jedyna szansa! Boże, co za dzieciak z ciebie! Chcesz narodzić bachorów facetowi wmieszanemu w różne ciemne sprawy, o czym sama dobrze wiesz? Moja matka, która w czasie przemówienia Diedre wpatrywała się w komodę, zobaczyła nagle biały kamyk, wrzucony do pokoju przez ojca. Wzruszona tym widokiem szepnęła „do widzenia”, odłożyła słuchawkę, spakowała się w tekturową walizkę, umieściła biały kamyk bezpiecznie w kieszeni i udała się do domu mojego ojca.

### Rozdział 3

Matka nigdy dotąd nie widziała domu mojego ojca, gdyż ojciec się go wstydził. My, dzieci, wychowaliśmy się w tym domu. Był to – nawet jak na skromne wymagania matki – istny obraz nędzy i rozpacz. Matka mówiła nam, że gdy go pierwszy raz ujrzała, stanęła jak wryta i długo wpatrywała się w żółto-czerwoną fasadę, obite papą ściany boczne i długi, blaszany komin. Może, kto wie, rozważała, czy nie zawrócić, nie pomaszerować aż do Tabusintac i nigdy więcej nie oglądać ojca.

Po drugiej stronie potoku Arron, za ciemnym szpalerem świerków, stała w tym dniu, jak zresztą zwykle stała, rezydencja Pitów. Dom Pitów i dom mojego ojca były tu jedynymi w okolicy.

Matka weszła w końcu do środka, bo drzwi stały otworem. Stół był żelazny, tak samo jak dwa kuchenne krzesła. W kącie, przy piecu opalonym drewnem, stała prycza, a po całej podłodze walały się książki, wszelkich rozmiarów, na wszelkie tematy, historia, filozofia, geografia, powieści. Książki zbierane, odkąd ojciec miał piętnaście lat i dostał pierwszą wypłatę za pracę w składzie drewna w lesie. Niektóre, wertowane dawno temu, teraz tylko zbierały kurz. Hemingway, Voltaire, Conrad, George Eliot i stu innych autorów znalazło się na wyciągnięcie ręki mojej matki.

Zrobiło się zimno, wiał wschodni wiatr. Piec wygasł, matka widziała własny skroplony oddech. Na tylnej ścianie odłaziła tapeta, z boku widniała wielka mokra plama, okno kuchenne zablokowało się na amen, a za nim, w koronach drzew, skowyczał wiatr. W oddali widać było dach domu Rudy'ego Bellangera, zięcia Leo McVicera. Rudy ożenił się rok wcześniej z Gladys McVicer, córką Leo, rozpieszczoną ekscentryczką; na wesele zaproszono pięciuset gości, w tym premiera i senatora z Maine. Matka postawiła walizkę na ziemi i wzięła się do szorowania.

Gdy ojciec wrócił późnym wieczorem, w domu było prawie czysto.

– Dlaczego to zrobiłaś, Elly? – zdziwił się. – Dlaczego nie jesteś na stacji?

– I tak by mnie niedługo wyrzucili – odparła. – Nie chciałam przyjąć pracy w Fredericton...

Popatrzyła na niego i uderzyło ją, że Sydney wygląda tutaj tak obco,

prosto z lasu, z piłą na ramieniu, w koszuli przemoczonej na plecach od deszczu i potu, obsypany wiórami, z oczami płonącymi od wysiłku, od patrzenia w dzikie ostępy, od ciągłego poczucia zagrożenia.

– Ach tak – powiedział. – No to pewnie jesteś skazana na mnie.

– Dużo masz książek – zauważyła matka, rozglądając się po bezlitośnie ponurym wnętrzu; bezlitośnie ponurym jak zimno, które wdziera się na ostatnią wysepkę w środku bagna.

– Wydaję na nie wszystkie pieniądze – odparł niemal tonem skruchy, bo bardzo nie chciał, żeby akurat moja matka uznała to za jakąś fanaberię. – Do czternastego roku życia nie widziałem książki na oczy, sam się nauczyłem czytać, nikt mi nie pokazywał... ale, jak widzisz, nadrobiłem stracony czas. – Przerwał i spojrzał w jej stroskaną, zmęczoną twarz. – A wiesz, czego się dowiedziałem z książek? uśmiechnął się.

– Nie wiem.

Usiadł koło niej. Na dworze pociemniało, padał rześisty, monotony deszcz, przez dach sączył się do środka zapach północnej jesieni, cicha woń jesiennego głodu. Z dolnej, poczerniałej gałęzi świerka poderwała się sójka szara, przemknęła przez kurtynę deszczu i wskoczyła na noc do starej blaszanej beczki.

– Powiem to głośno tylko raz, i wcale nie po to, żeby umniejszyć wszystkie inne korzyści z książek. Otóż dowiedziałem się, jeszcze zanim umarł mój ojciec, że nikt nie może wyrządzić człowiekowi krzywdy tak, żeby nie wyrządzić jednocześnie krzywdy sobie samemu.

Miotany wiatrem deszcz, jakby się z niego naśmiewał, zabębnił gwałtownie o okap baraku.

– Kto szydzi z ciebie, szydzi tylko z siebie samego, to już wiedziałem,

zanim przeczytałem pierwsze słowo – bo czytając, człowiek przypomina sobie jedynie te prawdy, które dane mu są od urodzenia; każdy człowiek, i mężczyzna, i kobieta. Mój ojciec nigdy nie czytał żadnej książki, a wstydził się, ile razy uderzył moją matkę albo mnie.

W młodości sporo piłem, naprawdę sporo. Jak się upiłem, wygadywałem i robiłem głupstwa. Raz po pijaku zepchnąłem kolegę z dachu – tak, tak, już wtedy piłem. Teraz już nie mam zamiaru nigdy pić, ale mówię ci to, żebyś wiedziała, że w kwestii picia muszę być bardzo czujny. Zresztą, wyczuliło mnie to na wiele innych rzeczy.

Matka patrzyła na niego, oniemiała. Uśmiechnął się i nabrał do czajnika wody na herbatę, człapiąc donośnie w wielkich, niezasnurowanych górniczych butach.

– Oddali cię na stację – ciągnął. – No i w ten sposób sami siebie poniżyli. Zakonnice, jak byłaś mała, pastwiły się nad tobą, szorowałaś u nich podłogi, obierałaś kartofle, latałaś co rano na mszę. Ja znam zakonnice. A teraz krzywdzi cię twoja przyjaciółka Diedre, chociaż tak chętnie opowiada o społeczeństwie przyszłości, w którym nikt nie będzie krzywdził nikogo. Słyszałem ją. W ubiegłym roku poszedłem posłuchać jej wykładu. To są wszystko porządni ludzie. Tylko że oni ani jednej nocy nie przeżyli tak jak ty czy ja. Czy jednak z tego powodu mają cokolwiek więcej od nas?

– Może mają więcej pewności – powiedziała matka.

– Pewność, kiedy człowiek trwa w błędzie, jest złem – rzekł na to ojciec. – Connie Devlin jest pewien, że to ja ponoszę winę za wszystkie jego życiowe problemy. Chce mnie zniszczyć za to, że kiedyś w złości zepchnąłem go z dachu. Wiem o tym.

Znów zamilkł, podrapał się po głowie, nie wiedząc już, co powiedzieć, żeby ją przekonać.

– Dziś problem leży w różnicy między dwiema grupami ludzi – podjął wreszcie, mieszając herbatę w imbryku. – Jedni wierzą, że świat musi się zmienić: taki David Scone czy Diedre gotowi są posłużyć się tobą dla udowodnienia swojej racji. Ale jest i druga grupa, do której zaliczamy się ty i ja. Ta grupa ludzi uważa, że jedyna istotna prawda mieści się w sercu człowieka. Nie można zmienić stałej przez zmianę reguł, które dają się do tej stałej zastosować. Pewnego dnia Diedre zrozumie, że ty jesteś bliższa prawdy niż ona, ale walka o to będzie długa i żmudna.

Matka skwapliwie skinęła głową, jakby miała nadzieję, że ojciec szybko skończy swoje dywagacje, gdyż ich nie rozumiała – nigdy nie знаła go od tej strony. Spuściła oczy, chwilę oddychała ciężko, wreszcie westchnęła.

– Zostanę tutaj – powiedziała. – Pobierzemy się, a co będzie, to będzie, na dobre, czy na złe, to już bez znaczenia.

## Rozdział 4

Rodzice zamieszkali więc oboje w domu za dziką łąką nad potokiem Arron, który oddzielał ich od siedziby Mathew i Cynthii Pitów.

W rok po ich ślubie zajrzała tam z wizytą Diedre Whyne. Tak jak przewidywała, moja matka była w ciąży. Cynthia z pewnym wyrzutem rozejrzała się po obskurnej klitce. Boże, co za nędza – pomyślała. Nigdy przedtem tam nie była. I znów powtarzam: któż może mieć do niej pretensje o taką reakcję, zważywszy miejsce i okoliczności?

Zaraz przeszła do sedna sprawy. Do Diedre, obecnie pracownicy wydziału

socjalnego, zgłosiła się Cynthia Pit. Bardzo zdenerwowana, poinformowała Diedre, że jest w ciąży – tak jak moja matka – a ojcem dziecka jest Sydney Henderson. Twierdziła, że udała się do Sydneya po wsparcie finansowe, a on ją zwymyślał i uderzył. Diedre nie kryła, że sprawa jest śmierdząca, zwłaszcza że rzuca złe światło na środowisko wiejskie. Mój ojciec nic się na to nie odezwał.

Diedre przyszła zaproponować rozwiązanie problemu: mój ojciec zaraz po urodzeniu dziecka zbada sobie grupę krwi i wszystko będzie jasne. Gdyby się okazało, że to jego dziecko, Diedre bierze na siebie kwestię unieważnienia pospiesznego ślubu moich rodziców, a wtedy Elly może jeszcze wyjechać do Fredericton i podjąć tam pracę.

Sydney spojrzał jej w oczy i uprzejmie oświadczył, że nie ma zamiaru badać sobie grupy krwi.

– A to dlaczego? – spytała, bębniąc palcami po okładce notesu, który trzymała na kolanach. – Czego się pan może obawiać?

– Niczego. Ale to by ośmieszyło Cynthię i zhańbiło dziecko. Nie przyłożę ręki ani do cudzego ośmieszenia, ani do hańby tylko po to, żeby ratować własną reputację w społeczeństwie, które od dnia moich narodzin nie miało dla mnie miejsca, nazywało mnie półgłówkiem, a mojego ojca wariatem. Ani myślę słuchać kobiety, która mnie pomawia o bicie żony i czeka na upadek mego małżeństwa.

Diedre uznała to za fałszywe bohaterstwo i chytrą próbę wymigania się od odpowiedzialności. Wychodząc, odwróciła się jeszcze w drzwiach i powiedziała:

– No, Elly, twoja ostatnia szansa, czekam piętnaście minut.

Odczekała kwadrans przed domem, ale moja matka nie wyszła.

W noc narodzin dziecka Cynthii padał gęsty śnieg, było pięknie, ale niesamowicie zimno. Na naszej drodze zamarł wszelki ruch, bo nie dotarły do niej pługi śnieżne. Zbliżało się Boże Narodzenie, a ludzie byli odcięci od świata.

Cynthia zaczęła rodzić, więc moja matka, w ósmym miesiącu ciąży ze mną, i mój ojciec przeszli w raketach na drugą stronę potoku, żeby jej pomóc.

Mathew, pijany od kilku dni, leżał brzuchem do dołu na kozetce. Od czasu do czasu dźwigał się i pociągał wino z butelki. Nikogo więcej w domu nie było, nie licząc Trentona Pita, najmłodszego brata, opóźnionego w rozwoju. Mojemu ojcu wyrwało się kiedyś, że dom Pitów to istna nora. Stara w południe poszła po lekarza i jeszcze nie wróciła. Cynthia też była pijana. W ciemności, koło łóżka dwudziestoletniej położnicy, świeciły lampki choinkowe. Ktoś włączył je do małego gniazdka w ścianie i porzucił na ziemi. Radio nadawało piosenki ludowe.

– Urodzi się pijane – wybełkotał Mathew, nachylając się z diabelskim uśmiechem do mojej matki.

Błuźniercze uwagi na temat ciąży zawsze wprawiały mojego ojca w zażenowanie. Widział wiele razy, jak po chamsku traktują kobiety w ciąży pijani mężczyźni.

– Nie pora teraz na chojractwo, uspokój się – powiedział do Pita.

Zadymka ciągnąca od zatoki przesłoniła ostatnie przebłyki lamp ulicznych. Żaden doktor nie dojechałby tu w taką śnieżycę. Moja matka nagotowała wody, a ojciec przyszykował się jak umiał do odebrania noworodka.

O dziewiątej wieczorem w Wigilię urodziło się dziecko Cynthii.

Dziewczynka. Nie ruszała się, była dziwnie szarawa, jej szyjkę oplatała pępowina. Mathew obejrzał ją tak, jakby oglądał gaźnik, to znaczy ze sporym zaciekawieniem.

Następnie okrył niemowlę choinkowymi lampkami z podłogi. Migotały teraz na szarym, nagim ciałku. Cynthia leżała bez ruchu. Księżyc, który nagle zajrzał w okno, oświetlił jej goły brzuch i nogi.

Mathew podniósł niemowlę, oplecione lampkami choinkowymi, i zaczął je podrzucać w górę: chciał je ożywić.

Mój ojciec odebrał mu dziecko i spróbował przywrócić je do życia metodą usta-usta. Zatkanął mały nosek i, odliczając w pamięci, delikatnie wdmuchiwał powietrze w usteczka małej, a po każdej serii oddechów masował jej klatkę piersiową.

Za oknem księżyc w pełni roziskrzył świeży śnieg, wszystko wokół spowijał blask pokoju. Dzieciątko miało szarą barwę nocnego śniegu pod dalekim horyzontem.

Ja urodziłem się w styczniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego.

Autumn, moja siostra albinoska, przyszła na świat rok później.

## Rozdział 5

W latach siedemdziesiątych mój tata nigdzie nie mógł znaleźć pracy, więc zimą chodził łowić stynki. Dreptałem za nim, patrzyłem, jak wyciąga sieci przez gruby niebieskawy lód. Ryby zostawialiśmy do zamarznięcia na powietrzu, bo dzięki temu miały o wiele lepszy smak. Z dała na lodzie



widać było szalasy innych rybaków. Oślepiające słońce wyciskało mi łzy z oczu, a wiatr czasami, około piątej w sobotnie popołudnia, niósł zapach gotowanej fasoli.

W soboty mama pastowała podłogi, woń pasty snuła się wśród cieni o zachodzie słońca. A po kolacji Autumn i ja wkładaliśmy wełniane skarpetki, tata nastawiał starą płytę Elvisa Presleya i tańcowaliśmy z siostrą po podłodze, aż błyszczała jak lustro. Czasami mama i tata grali nami w hokeja: ja byłem krążkiem mamy, a Autumn taty; przepychali nas po śliskiej podłodze do bramki przeciwnika. Sunęliśmy jak dwa manekiny, zderzając się najczęściej w połowie drogi, a za oknem i ponad dachem naszego domu, za muzyką z płyty, mroźna noc rozkwitała w krystalicznej ciszy zimy.

Wszystko szło jako tako, do tej zimy, której mojego ojca oskarżono o kradzież skrzynki ryb.

Trochę niżej niż łowił mój ojciec, na płaskim odcinku, zapuszczał swoje sieci Connie Devlin. Ojciec miał lepsze miejsce. Po zmroku, kiedy lód zalewało światło zmierzchu i między drzewami zaczynał pojękiwać wiatr, ojciec wkładał spękane skórzane rękawice z jednym palcem i schodził z tafli, ciągnąc za sobą na linie drewnianą skrzynkę stynek. Connie z reguły nie sprawdzał swoich sieci, więc mój ojciec, który, jak sądzę, zawsze czuł się odpowiedzialny za Conniego, troszczył się i o jego ryby.

To śmieszne, żeby dwaj faceci, którzy nie mają prawie nic, kłócili się o takie głupstwo na lodzie, na samym środku naszej wielkiej, zamarznętej zatoki. Ach, ta nasza zatoka zimą – ileż niesie wspomnień: lodołamacze, mewy, purpurowe niebo.

Ta ich kłótnia na lodzie kojarzy mi się jakoś z nowelą Down and Out in

Paris and London, gdzie dwóch desperatów w przytułku walczy o jedyne wspólne ciuchy, bo jeden chodzi w nich żebrać w dzień, a drugi nocą. Ja znam tych facetów z noweli, znam ich z doświadczenia. Tyle tylko, że, widzi pan, mój ojciec wcale nie chciał się handryczyć o skrzynkę ryb.

– Wynagrodzę ci to – zaproponował Conniemu.

Wiem dzisiaj, i wtedy też powinienem był to wiedzieć, że mój ojciec nie ukradł w życiu nawet pudełka zapalek. Faktem jest jednak, że ryby zostały skradzione. Ktoś to zrobił – bardzo możliwe, że Mathew Pit albo bracia Sheppardowie, Danny i Bennie. Bennie chodził w skórzanej kurtce nabijanej srebrnymi nitami na rękawach.

Aż do tej chwili nie uświadamiałem sobie, jak silnie byliśmy napiętnowani. Owszem, dostrzegałem pogardę okazywaną ojcu na zawodach koni pociągowych czy kościelnych piknikach. Ale Autumn, jeszcze zanim skończyła pięć lat, poznała poniżenie znacznie lepiej niż ja. Czuła, jak ludzie patrzą na nią w kościele – miejscu, które szybko znienawidziłem, tak jak i ludzi (wszystkich bez wyjątku), bo nimi pogardzałem. Autumn stanowiła dla nich widomy znak kiepskiej jakości całej naszej rodziny, gdyż była albinoską – tylko i wyłącznie dlatego. Odczuwała to bardzo boleśnie przez całe życie.

Bardzo możliwe, że nad moją rzeką, w mojej prowincji, i wszędzie na świecie żyją ludzie, którzy nigdy nie zetknęli się z chamstwem i złością. Bogaczy i ludzi średniej klasy jest u nas tyle samo, co gdzie indziej, miewałem z nimi do czynienia. Ale jeżeli człowiek urodził się w baraku, w sąsiedztwie kogoś, kto dybie na jego ziemię, nie życzy sobie jego obecności, zazdrości mu żony i ma do niego pretensje o małżeństwo, to taki człowiek zalicza się do tej części świata, na którą miliony, miliony

ludzi patrzą z boku i choćby chcieli, nie mogą nic pomóc.

Powiem panu coś, co pozwoli lepiej zrozumieć układy między moim ojcem a Conniem i Mathew. Dziś myślę, że mój ojciec wiedział, kto ukradł te ryby, ale nie powiedział tego dla zasady. Co gorsza, Connie Devlin też pewnie wiedział, kto to zrobił, tylko za skarby świata nie chciał popsuć sobie stosunków z Pitami. Bo mogliby mu za karę zatruć życie, tak jak nieraz zrobili mojemu ojcu. Poza tym Pitowie byli bliskimi kuzynami Conniego. Więc Connie musiał rzucić podejrzenie na kogoś innego, żeby Pitowie nie zaczęli podejrzewać, że on ich podejrzewa. Obwinił tego, kogo Pitowie nie lubili. Tak się zawsze robi ze strachu. Connie idzie do Mathew Pita z czapką w dłoni (mówię w przenośni) i pyta go, co ma teraz zrobić.

– A naślij gliny na tego sukinsyna – fuka Mathew, który właśnie wyciąga szkielet z ryby. – Dranie, stale się mnie czepiają, że bym nie wiem co robił, zesrać się nie można, żeby nie deptali człowiekowi po piętach. Najwyższy czas dać im coś do roboty!

– Tak uważasz?

– No jasne.

– A jak sukinsyn będzie się stawiał, to poprzesz mnie? Bo wiesz, on mnie już kiedyś strącił z dachu i nawiał, bo myślał, że nie żyję.

– Jasne, jasne – burknął Mathew.

Muszę zaznaczyć, że skargi na mojego ojca nie były nagminne, a w tamtym okresie zdarzały się nawet rzadko – raz na parę miesięcy. Mówię panu tylko o tych, które sam pamiętam. Tak jak pamiętam spacery po lesie, pikniki i wycieczki wiosną na ryby w górę potoku Arron, kiedy mój tata opowiadał o poezji, o Walcie Whitmanie, o Thoreau. Ale to, co teraz powiem, pozwala ocenić klasę mojego ojca, który nie wiedział, że to

właściwie on, a nie Thoreau, jest chodzącą tezą filozoficzną, ani że jego własne nieposłuszeństwo obywatelskie sięga samych korzeni ludzkiej duszy.

Niemniej jednak, w związku z tym ostatnim oskarżeniem, przyszedł do nas posterunkowy Morris. Był koniec lutego, śnieg zalatywał wonią ziemi, a gałęzie drzew pokrywały skorupki lodu. Ziąb był jak nie wiem, Morris stanął w otwartych drzwiach, otoczony mgiełką oparu. Zrobił krok do środka i rozejrzał się po naszym ciasnym gospodarstwie. Przyszedł w majestacie władzy, aby pokazać nam, gdzie jest nasze miejsce i raz na zawsze nas usadzić. (Pamiętam, że rozumiałem to już wtedy, całkiem wyraźnie.) Gdyby Morris oznajmił ojcu, że został skazany na grzywnę w wysokości tysiąca dolarów, rodzice z pewnością by mu uwierzyli. Ojciec nie rozumiał funkcjonowania sądu. W sensie praktycznym, rzecz jasna. (Jego naiwność świadczy, moim zdaniem, o jego wielkości.)

Connie od lat wydzwaniał na policję o byle co – cała okolica znała go jako pieniacza. Dajmy na to, Jay Beard grał w niedzielę na gitarze – i zaraz telefon na policję; albo ktoś zaparkował walec na sobotę i niedzielę koło jego domu, albo ktoś usunął tablicę posesji – zaraz donos. Zawsze chodziło o głupstwo. Tym razem o skrzynkę ryb.

Morris uśmieł się z tych ryb. Ale jak wszedł do naszego domu, zaraz spoważniał. Spojrzał na moją matkę i oniemiał.

Na widok jej urody. Pojąłem to w lot, chociaż miałem dopiero osiem lat. Matka rzeczywiście była przepiękna. Morris nie mógł od niej oczu oderwać. Natychmiast zauważył, jak pospolicie wygląda mój ojciec przy tej kobiecie, która jest jego żoną, i szczerze go to zdumiało. Zrobił się nagle czerwony jak burak i z pewnym wyrzutem spojrział na mojego tatę,

jakby miał do niego pretensje o nędzne warunki życia, jakie stworzył mamie.

Myślę, że wtedy właśnie Morris poczuł złość do ojca. Usiłował odnieść się do sprawy obiektywnie, ale okiem przez cały czas strzelał na moją mamę, która siedziała w kącie z małą albinoską na kolanach. Mama miała jasną cerę, jasnoniebieskie oczy i złotorude włosy, wijące się cynamonowymi kędziorami, a gdy się uśmiechnęła – człowiekowi robiło się lżej na sercu. Któryż mężczyzna nie chciałby wyrwać mojej matki z tak nędznej doli? Mój bunt przeciwko wyniosłości i powszechnej pogardzie wobec ojca zaczął się właśnie w tamtej chwili. Wcześniej po prostu sobie tego nie uświadamiałem.

– Do rzeczy, Sydney – rzekł Morris, wyjmując notes. Gdzie te ryby?

Przyznaj się, masz w domu skrzynkę stynek, no nie?

Po mnie prześlizgnął się wzrokiem i zaraz znowu zerknął na moją matkę.

– Owszem, mam – odparł ojciec, patrząc na Conniego.

– No a... – ciągnął Morris, uśmiechając się do mojej matki – co twoja żona mówi na tę całą awanturę? Nie wygłupiaj się, Sydney, nie męcz biednej kobiety, oddaj gościowi ryby, nie rób hecy, a za to ja ci dam spokój. Nie chcesz chyba stawać przed sądem za skrzynkę ryb i marnotrawić cennego czasu sędziego?

– Nie – odparł Sydney i zarumienił się.

– Nie – szepnęła moja matka, spuszczaając głowę.

– No więc... – Morris bębnił palcami po notesie, czekając, żeby moja matka na niego spojrzała, i nagle doszedł do wniosku, że decyzja, którą podejmie tutaj wobec naszej rodziny, będzie miała poważne konsekwencje, i że on, Morris, może wkraść się w łaski mojej matki nie

orzeczeniem, że ojciec jest niewinny, ale właśnie odwrotnie: oskarżeniem go. Krótko mówiąc: że on, posterunkowy Morris, może usposobić moją matkę przychylnie wobec siebie, jeżeli stwierdzi głośno, że to mój ojciec ukradł głupią skrzynkę ryb – a mimo to okaże mu pobłażanie.

Tymczasem Connie Devlin siedział w ubłoconych butach i z miną urażonej praworządności na służalczej gębie gapił się to na notes Morrisa, to na mojego ojca.

Piorunowałem go wzrokiem, po raz pierwszy widząc w nim śmiertelnego wroga. Morris kazał mojemu tacie obiecać, że zwróci skrzynkę ryb przed końcem sezonu, a ponadto kazał mu podać Conniemu rękę. Z początku Connie zarzekał się, że nie poda ręki tchórzowi, ale Morris jakoś go namówił.

– No widzisz, Connie – powiedział z uśmiechem – dostaniesz z powrotem swoje ryby i zapomnimy o całej sprawie. Dość mam roboty z patrolowaniem okolicy, żeby jeszcze zawracać sobie głowę rybami.

Spojrzał na moją matkę i na jego twarzy odmalował się autentyczny ból, że będzie musiał ją opuścić. Znałem ten grymas, bo widywałem go i u innych mężczyzn w obecności mojej matki. Była niesamowicie piękna.

Wreszcie Morris poszedł z powrotem do radiowozu, a Connie Devlin za nim.

Przez dobre pięć minut w domu panowała cisza. Spoglądałem na Autumn, a ona na mnie ze smutną miną. W nasz świat dzieciństwa zaczęli oto wkraczać obcy ludzie, którzy patrzyli na Autumn jak na dziwoląga. Bo była dziwna, co uświadomiłem sobie wtedy właściwie po raz pierwszy: była inna. I nikt na całym świecie nie umiał jej pomóc, nawet ja, gdy tak na mnie patrzyła i wzywała wzrokiem pomocy, ani w tamtej chwili, ani w

wielu następnych.

Zdarzało się latem, że ludzie, którzy urządzali przyjęcia na plaży, zapędzali się w nasz las wydeptaną ścieżką i nieraz ktoś po pijaku wpadł na moją siostrę, usadowioną między drzewami za domem i czeszącą lalkę. Raz, kiedy tak się zdarzyło, usłyszałem nagle dzikie piski i śmiechy towarzystwa, które w popłochu – panie w spódnicach i szpilkach – gnało z powrotem w las, wrzeszcząc: „Ratunku! Tam jest albinoska! O Jezu, gdzie my jesteśmy? Czy to zoo?”

Matka spojrzała na mnie i westchnęła.

– To był policjant? – spytała w końcu, jakby naprawdę chciała się dowiedzieć.

– Tak – odparł ojciec.

I znów zamilkli na dobre pięć minut. Między drzewami podnosił się wiatr. Matka upiekła przedtem ciasto, a dla nas ciasteczka z melasą, ale teraz nikt nie miał chęci na frykasy i nikt nie wiedział, co robić.

– Mimo wszystko to sympatyczny człowiek – powiedziała Elly.

– Owszem – zgodził się ojciec.

– Nie uważasz, że trzeba go było poczęstować herbatą? – spytała, wyglądając sukienkę.

– Nie wiem – bąknął ojciec, który od paru chwil poruszał bezgłośnie ustami, obliczając, ile potrwa skombinowanie skrzynki ryb. – No tak – powiedział w końcu. – Skrzynka stynek to drobnostka. Ty mi pomożesz, prawda, Lyle? Będziemy honorowi i oddamy Conniemu tę skrzynkę ryb już jutro.

Popatrzył na mnie i wziął Autumn na kolana.

Odpowiedziałem, że wcale nie mam ochoty mu pomagać i uważam to za

niesprawiedliwość, że mamy wstawać o świcie i łapać ryby, kiedy wiadomo, że tamtą skrzynkę ukradł Mathew Pit.

– Synu – rzekł ojciec – mnie ludzie traktowali niesprawiedliwie przez prawie całe życie. Udowadnianie im prawdy byłoby niezgodne z moim sumieniem, bo prawdą okazałbym im szacunek, na który być może nie zasługują. Poza tym, nieroztropnie jest sądzić, że dzięki prawdzie ludzie nabiorą o mnie lepszej opinii. Nie ukradłem tych ryb. I ja to wiem, i Connie też to wie. Wie nawet, kto to zrobił, tylko boi się powiedzieć. Wiadomo przecież, że Mathew Pit to wariat. Mój plan sięga dalej: teraz zdobędę ryby i oddam mu je, ale kiedyś, we właściwym czasie, upomnę się o swoje. Pamiętam, synu, że jesteś jeszcze mały, ale mówię ci samą prawdę.

Uśmiechnął się do mnie i pogłaskał Autumn po białych włoskach. Autumn miała różowe oczy i nosiła różowe okulary; bez nich nic nie widziała.

Właściwie należało zmienić je na nowe, ale rodziców nie było stać.

Któregoś dnia szła, potykając się, bez okularów, skrajem rowu, a dzieciaki się z niej wyśmiewały. Ja akurat wracałem z połowu pstrągów. Musiałem poprowadzić ją za rękę, bo nie widziała drogi. Była w białej sukience i skarpetkach, tylko że skarpetki i majtki miała zwykle strasznie znoszone. Nagle mi się to przypomniało, i wtedy pierwszy raz postawiłem się ojcu.

– A pamiętasz jak wtedy dogadywali Autumn? Nawet z mamusi się śmiali, jak poszła do sklepu. Nie chcę, żeby ludzie się wyśmiewali z mamusi, jak idzie do sklepu.

Dyszałem ciężko i gapiłem się w ścianę, z rękami założonymi na krzyż w dziecinnej furii.

– To nie jest ważne.



– Ale może jest ważne dla mamusi? – krzyknąłem.

– Wcale nie – uśmiechnęła się blado Elly, patrząc na ojca.

Nazajutrz dostarczyliśmy Devlinowi skrzynkę ryb. Pamiętam, że ojciec odmroził sobie przy tym ręce. Zanieśliśmy mu te ryby po południu. Devlin demonstracyjnie krzątał się koło domu, udając, że nas nie widzi. Jego dom był o wiele ładniejszy od naszego, miał dobudowany garaż i ogród kwiatowy – w zimie, rzecz jasna, pokryty śniegiem. Większość tego dostatku Devlin zawdzięczał spadkowi po swoim ojcu.

– Panie Devlin – zagadnął mój tata, chociaż znał go od siódmego roku życia.

Brak reakcji.

– Panie Devlin, oto pańskie ryby.

Devlin spojrział na nas bez słowa.

– Mamy je tu zostawić czy wnieść do garażu?

Connie wskazał palcem miejsce i dalej się nie odzywał, demonstrując, jak głęboko jest urażony nieuczciwością mojego ojca, którego dotąd miał za przyjaciela.

Gdy o zachodzie słońca wracaliśmy do domu naszą drogą, oświadczyłem ojcu, że zemszczę się na Devlinie.

– Nie trzeba – powiedział. – Nigdy nie trzeba się mścić. Bo w końcu robi się sobie jeszcze większą krzywdę.

Wróciłem do domu. Znowu poszedłem do szkoły. Sezon połowu stynek skończył się, a ja już nigdy więcej nie wziąłem tej ryby do ust.

Rozdział 6

W Boże Narodzenie uświadamiałem sobie zawsze – i to dużo wcześniej niż moja siostra – jak strasznie jesteśmy biedni. Wiedziałem to już, mając osiem lat. Albo i mniej. Wyczułem biedę, jak się wyczuwa ostrzegawczy podmuch wiatru z południa przez ścianę rybackiego szałas na odkrytym lodzie. Takie przeczucie, wie pan, na samym dnie serca: wiatr z pełną siłą czai się tuż za rogiem, ale człowiek chowa się po słonecznej stronie w nadziei, że wichura go tam nie znajdzie.

Należeliśmy w naszej parafii do piętnastu rodzin, które na święta dostawały paczki z kościoła. Mój ojciec upierał się jednak, że na swoją paczkę musimy zasłużyć. Więc co roku dwudziestego drugiego grudnia po południu, w trzaskającym mrozie, szliśmy z ojcem do kościoła, żeby pomóc ładować pudła i owijać prezenty dla dzieci.

Razem z parafianami, którym powodziło się znacznie lepiej niż nam, pakowaliśmy prezenty w papier, a indyki i sos żurawinowy w kartony, z przeznaczeniem dla takich biedaków jak my.

W gwiazdkowej akcji zawsze uczestniczyli Porierowie przedstawiciele niższej klasy średniej, za to z wielkimi pretensjami. Penny Porier była nieco starsza ode mnie. W białym króliczym futerku z mufką, białej futrzanej czapeczce i białych getrach, wkroczyła w moje życie owiana zapachem miętówek i ozdobiona gwiazdkową kokardą. Miałem wtedy osiem lat, może dziewięć: Penny Porier wydała mi się uosobieniem doskonałości. Podobnie zresztą jak jej dom, samochód jej ojca, i rowerek z klaksonem, na którym jeździł jej braciszek Griffin. Zazdrościłem mu tego rowerka, marzyłem o nim dniem i nocą, specjalnie chodziłem pod dom Porierów, żeby popatrzeć na rowerek Griffina, chociaż Griffin nigdy nie dał mi się na nim przejechać. Tylko raz, jeden jedyny, udało mi się dotknąć

siodełka, zanim przemknął obok.

Wiedziałem, że ojciec Penny, Abby Porier – brygadzysta u McVicera i brat rodzony naszego księdza – lubi pokazywać publicznie, jaki jest zapracowany; mojemu ojcu (z którym współzawodniczył w konkursach zaprzęgów) na każdym kroku dawał do zrozumienia, że nikt nie dźwiga tak wielkiej odpowiedzialności, jak właśnie on, Porier. Krępy, o byczym karku, paradował z dumną miną, właściwą osobnikom ograniczonym i święcie przekonanym, że wszystko, co posiadają, zdobyli własną krwawicą. Są to z reguły ludzie prozaiczni, obawiający się wesołości i swobody, i surowi dla swoich dzieci, nawet wbrew własnym chęciom. Dla Poriera czek i paczka gwiazdkowa nie były żadnym darem, tylko jego osobistą zasługą – symbolem jego własnej wartości i ciężkiej pracy. Nie wyobrażał sobie, aby ktoś mógł nagłą odmową odebrać mu tę zasługę. Był wyraźnie zadowolony, że obserwuję wszystkie jego ruchy, od przecierania szyb samochodu po sznurowanie butów. Nic dziwnego. Griffin mówił mi, że McVicer potrafił wezwać jego ojca przez telefon nieraz i o trzeciej w nocy.

Griffin dał plamę. Jego ojciec szczycił się zaufaniem Leo McVicera, uważał je za rodzaj cennej waluty. Penny i Griffin, którzy o tym wiedzieli, czerpali stąd swoiste poczucie bezkarności. Penny nosiła owego dnia kokardę z gwiazdkowym wzorem. A ja – o czym nie wiedziałem – miałem na sobie stare spodnie Griffina. Griffin dał ojcu słowo, że tego nie zdradzi, ale Penny też przecież wiedziała.

Ktoś właśnie wtedy, pamiętam, zagadnął mnie, czy wiem, co dostanę na Gwiazdkę. Penny odwróciła się z zaciekawieniem, a ja zmartwiałem. Spojrzałem na Griffina i widziałem, jak się uśmiechnął, słysząc moją

odpowieź:

– Dostanę rower, taki sam, jak ma Griffin, o, tam stoi.

– Co słyszysz, Syd? Twój chłopak dostanie rower? – huknął beztrąsko Abby do mojego ojca, który stał sześć stołów dalej. Pomieszczenie miało specyficzny zapach betonowych piwnic, zalaływało kurzem, starą pastą do podłóg i daremnością starań o porządek. Czekaając na odpowiedź mojego ojca, Abby zerknął czujnie na swoją córkę. Griffin spuścił wzrok i co chwila szturchał Penny łokciem. Zrobiło mi się wstyd za niego, byłem wściekły. Ale nie mogłem nic powiedzieć.

W piwnicznym mroku błysnęła staroświecka spinka do krawata na piersi mojego ojca. Ojciec obrócił do mnie mizerną twarz, wynędzniałą od pracy całego życia, i spojrział, jakby mówił (choć w tedy tak tego nie odczytałem): „To twój własny krzyż, synu”.

W tej samej chwili Abby został pilnie odwołany do telefonu: dzwonił Leo McVicer. Mój ojciec spuścił głowę i wrócił do pakowania indyków i zabawek. Griffin raz jeszcze spojrział na mnie; ciasny krawacik z reniferem wyraźnie go dusił przez kołnierzyk białej koszuli. Abby wrócił po jakichś dziesięciu minutach, potarł dłońmi niedogolone policzki i oznajmił, że musi nas opuścić.

– Tylko pamiętaj, Griffin, żebyś nic nie mówił – przykazał na odchodnym.

– O tym, co, no wiesz...

Griffin posłał mi spojrzenie pełne wyrozumiałej litości i znużonej wyższości. Nie wiedziałem, że w istocie patrzy na moje ubranie.

W Wigilię, późnym popołudniem, pojechaliśmy z księdzem Porierem roznosić paczki. Gdyby nie święta, byłby to jeszcze jeden szary, nieprzyjemny dzień. Ale w Boże Narodzenie dzieci wszystko widzą

inaczej. Roznosiliśmy paczki do domów stojących wzdłuż drogi nad morze, pamiętam szelest śniegu osiadającego na pudłach z wiktuałami. Paczki wieźliśmy ustawione jedne na drugich na tylnym siedzeniu i w przyczepie. W każdej było tyle prezentów, ile dzieci w domu, a ponadto dwunastofuntowy indyk, ofiarowany przez samego pana McVicera, konfitury, orzechy i ciemny keks ze sklepu McVicera, oraz cukrowe figurki i lizaki dla maluchów.

Większość domów stała tuż przy bitej drodze i w każdym spotykało nas na ogół miłe przyjęcie, z wyjątkiem domu VotEURów. Tym razem ojciec rodziny już na nas czekał, z szuflą w dłoniach. Portki miał rozdarte w kroku. Wysoko nad jego głową wiatr porywał i szarpał dym z kopcącego komina. VotEUR nie życzył sobie paczki. Dlatego siedział, pijany, na stopniach ganku i czekał na nas. Przy wzroście pięciu stóp pięciu cali i wadze około stu dwudziestu pięciu funtów miał nieszczęście nazywać się Samson. Był kuzynem Sheppardów, którzy rok wcześniej kazali mu się wynosić. Samson, razem z żoną i dziećmi, dopiero co wrócił do domu. To był ostatni dom we wsi, dalej zaczynał się rezerwat.

Zatokę skuł lód, fale pozamarzały w ruchu. Szklisty zmierzch niósł zapach dymu.

Była czwarta po południu, szarówka, grudzień, mróz, a Samson siedział twardo na ganku. Na widok jego podartych w kroku spodni i siwej szczeciny na dawno niegolonej twarzy doznałem pierwszego prawdziwego w życiu objawienia ubóstwa ducha. W swoim dziecięcym umyśle skojarzyłem ten obraz z obrazem Abby'ego Poriera, który zawsze nosił za ciasne spodnie od garnituru.

Znałem trochę tych VotEURów. Cheryl chodziła ze mną do jednej klasy.

Wiedziałem, że mają syna Darrena, w wieku naszej Autumn. Słyszałem, że w październiku Diedre Whyne była u nich z policją w środku nocy. Po tej wizycie opieka społeczna wystosowała upomnienie do rodziców, grożąc zabranieniem Cheryl i jej siostry Moniki do domu opieki dla dziewcząt zaniedbanych, którego dyrektorką była Diedre.

Patrzyłem na ich przeżarty wilgocią dom, pachnący zbutwiałym drewnem, ciemnością i smętnym kadzidłem dymu. Przez okienka z pojedynczą szybą wyzierały z mrocznego wnętrza obdarte dzieci. W każdym oknie po jednym. Patrzyli na nas wszyscy troje: Cheryl, Monika i Darren.

Brak świątecznych dekoracji na tym ciemnym, zapuszczonym domu raził tym dotkliwiej, że dzieci postawiły w oknie za zasłonką pojedynczą świeczkę, a na szybcie drzwi wejściowych przykleiły plastikowego Mikołaja. Drzwi wychodziły na zatokę, ale Voteurowie, jak większość biedoty, nie mieli nic a nic, chociaż otaczał ich wielki obszar ziemi; mieszkali nad zatoką, ale nigdy nie dorobili się łódki.

– Może ty, Sydney, spróbowałbyś wnieść paczkę do domu – zasugerował ksiądz Porier.

Zapadła chwila milczenia. Chciałem krzyknąć do ojca, żeby się nie zgodził. Ale ojciec westchnął, obejrzał się przez ramię i powiedział, żeby mu podał z tylnego siedzenia ten karton, w którym jest duża lalka w pudełku. Wziął je i wysiadł z samochodu.

– Zabiję cię – ostrzegł go Voteur.

Nie zważając na jego pogróżki, ojciec ruszył przez podwórze, wdychając swąd dymu. Znów zaczął padać śnieg, na zniszczony, spiczasty dach spadły pierwsze upiorne płatki.

Kiedy mój ojciec postawił nogę na śliskim stopniu ganku, Samson wstał i

uniósł szufłę. Machał nią nieznacznie w powietrzu, jak kijem bejsbolowym przed odbiciem piłki. Patrząc z tyłu na ciemne włosy i cienką szyję ojca, pomyślałem o drodze krzyżowej na witrażach kościoła. Samson mógł jednym zamachem rozłupać mu czaszkę na pół.

„Idzie święty Mikołaj” – grało wesoło radio w samochodzie, a może i w tej obskurnej chałupce było radio, które grało to samo.

Chyba byłem wtedy zanadto zdumiony, by pomyśleć, że ojciec jest odważny.

Voteur trzymał szufłę do góry.

– Rozwalę ci łeb – zapowiedział, i przymierzył się do ciosu.

Ojciec przystanął, popatrzył na niego, i ruszył dalej po oblodzonych, czarnych od sadzy stopniach, naglony obowiązkiem dostarczenia lokatorom cholerycznej paczki, żebyśmy my mogli dostać swoją. Przez chwilę znalazł się na takiej wysokości, że szufla mogłaby go zgilotynować, a drugim ciosem rozłupać ściętą głowę na ziemi jak kulkę trocin. Ale wchodził dalej. Samson darł się, zagradzał mu drogę, wrzeszczał coraz głośniejsze. A mój ojciec był coraz bliżej smutnej, małej dziecięcej widowni w okienkach – jak jakiś egzotyczny święty Mikołaj z prezentami.

W końcu stanął oko w oko z Samsonem. Czekał. Minęła chwila, dwie, trzy. Nagle stara szufla gruchnęła o ziemię. Voteur rozplakał się. Jego dzieci w zdumieniu obserwowały ten gwiazdkowy horror-show przez okna.

– Ty nie wiesz, co to znaczy, jak wszyscy człowiekiem pomiatają, ja nie mam ani grosza, nie mam jak zarobić – buczał Samson. – Zebrać nie pójdę, nie jestem dziad, pracowałem kiedyś u McVicera, do pożaru.

– Wiem o tym – powiedział mój ojciec. – Dlatego przyniosłem ci paczkę. Chcę powiedzieć twoim dzieciom, że dostają paczkę za to, kim jest ich ojciec i co dla nich zrobił. Jest Boże Narodzenie, dzieciom się należy – dodał prawie szeptem.

Voteur miał taką minę, jakby się całkiem rozsypał od środka, nie pod wpływem przykrych, bolesnych słów i uwag o kurduplach, których wysłuchiwał przez całe życie, tylko pod wpływem zwykłego współczucia mojego ojca. Tata niezdarnie poklepał go po ramieniu, dał mu paczkę papierosów Player's (które sam palił tylko w Boże Narodzenie), i wszedł do domu.

Po trzech godzinach żucia jednego kawałka gumy wróciliśmy wreszcie do zakrystii, gdzie obaj z ojcem uklękliśmy do błogosławieństwa księdza Poriera. Błogosławieństwo było, jak to zwykle dla nas, suche i lakoniczne. Potem ksiądz wytarł nos i włączył automatyczne dzwony na Pasterkę, a nam powiedział, że możemy sobie wziąć swoją paczkę.

Poszliśmy do piwnicy. Ku naszemu zdumieniu nie został tam ani jeden karton. Przeszukaliśmy całe pomieszczenie, wypatrując pudła z napisem Henderson, ale nigdzie takiego nie było. Więc wróciliśmy na górę do zakrystii, tylko że Porier, nieświadom braku paczki, zdążył już wyjść na wigilię do swego brata Abby'ego.

Pętaliśmy się chwilę po starej ulicy Kościelnej. Śnieg padał cały czas, noc była mroźna. W pewnym oddaleniu, na działce, której właścicielem był McVicer, frontem do zaplecza starego tartaku McVicera, stał dom Porierów – mały, drewniany, ze spadzistym daszkiem nad wejściem i zawiniętymi okapami, na których odkładał się śnieg. Czapa śniegu przykryła zbiornik olejowy, a na dachu siedział w swych saniach wielki



święty Mikołaj, majestatycznym gestem pozdrawiając świat. W oknie dostrzegłem światełka choinki, rozjaśniające okap i leniwe płatki śniegu. Z wnętrza domu Porierów sączyła się nadzwyczaj podniosła muzyka. Ale ja przez całą drogę powrotną dygotałem z zimna. Leciało mi z nosa i kaszlałem jak najęty. Gdy mijaliśmy dom Porierów, zobaczyłem Penny Porier: przemknęła na tle okna w białej nocnej koszuli. Pomyślałem, że gdybym mógł jej chociaż raz dotknąć – byłbym zbawiony.

## Rozdział 7

Przed północą wyszliśmy na Pasterkę. Gwiazdy lśniły nadzwyczajnie, a moja mała siostra Autumn pochwaliła się, że wie, gdzie jest Orion.

Ponieważ ja tego nie wiedziałem, na wszelki wypadek przyznałem jej rację.

Po mszy, po kolędach, po komunii, przy której każdy oddawał cześć małemu Jezusowi, po ceremonii ochrzczenia noworodka, wyruszyliśmy z powrotem do domu oblodzoną drogą. Z drzew zwisały kożuchy śniegu, droga była czarna jak smoła, z daleka niósł się jakiś śpiew.

Matka opowiadała nam, jak to kiedyś pojedziemy wszyscy autobusem do Saint John, najlepiej w moje wakacje. Mówiła to, naturalnie, w każde Boże Narodzenie, i zawsze odkładało się wycieczkę na następny rok.

Cisza, spokój; mama z tatą szli pod rękę, a ja i Autumn, której białą buzię zaróżowił rumieniec zdrowia, dreptaliśmy najpierw dzielnie z przodu, a potem wlekliśmy się za rodzicami. Po pewnym czasie uświadomiłem sobie, że tuż za nami idzie paru mężczyzn, którzy wyszli z lasu. Jeden zaczepił moją matkę i powiedział, że od dawna ma chęć zajrzeć jej pod

sukienkę i sprawdzić, czy da się tam zmajstrować coś lepszego niż „alibinos”. Mój ojciec rzekł na to tylko:

– Idźcie do domu, chłopaki.

Tamci spojrzeli na niego i zarechotali. Garnitur ojca miał piętnaście lat, kolana spodni były wyświecone, a wszystkie kieszenie dziurawe. W butonierce tkwił czerwony sztuczny goździk, który Autumn wygrała dwa dni wcześniej na gwiazdkowej loterii dla dzieci w magazynie rybnym. Za nami widniało tylko czarne niebo. Przez obłok oddechu patrzyłem w dół na swoje zniszczone buty i miałem tylko nadzieję, że ktoś nadejdzie drogą i powstrzyma tych mężczyzn. Przewrócili ojca na ziemię.

Goździk wypadł mu z kłapy. Ojciec chciał go podnieść, ale jeden z napastników przydeptał goździk butem, a dwaj pozostali zaczęli ojca kopać. Nie mogłem tego znieść. Pokonując zadymkę i czarny wiatr, rzuciłem się ojcu na pomoc, ale on mnie powstrzymał na wyciągnięcie ramion. W ten sposób się odsłonił, co przypłacił serią bestialskich ciosów i pokaleczeniem rąk o lód.

Jestem pewien, że wiedział, kto go napadł, ale nie chciał, żebym ja wiedział – bo wiedza prowadzi do grzechu. Co z tego, że napastnicy nie pozakrywali twarzy – noc była czarna jak smoła, ani światełka.

– Mówiłem ci, że jeszcze cię dorwę – powtarzał co chwila jeden z nich.

Do dziś pamiętam ten głos, chrypliwie śpiewny. – No i dorwałem cię.

– Weź dzieci do domu, Elly – powiedział ojciec.

Z kieszeni powypadały mu cholerne cukrowe figurki, które nam kupił, żeby dać po mszy.

Autumn wpadła w histerię i czepiała się kurczowo mojej ręki, a mnie paraliżował strach, szczególnie gdy patrzyłem na twarz siostry.

Wreszcie na oblodzonej drodze błysnęły światła samochodu. Napastnicy prysnęli w mgnieniu oka. To Jay Beard wracał po swoją gitarę, której zapomniał w kościele. Pomógł ojcu wstać z ziemi. A potem, nie żałując czasu, odwiózł nas do domu.

– Zapomniałem goździka – powiedział tata. – Leży na drodze.

– Wezmę go, jak będę jechał – obiecał Jay. – Ty się tam nie pokazuj, bo mogą wrócić, pijana banda i tyle. Siedź lepiej w domu z Elly, to ci już dadzą spokój dzisiaj w nocy.

Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, na czym polega nasza izolacja. Na tym, że ktoś mógł odezwać się w taki sposób do mojej matki. Chciałem, żeby ojciec powiedział do Jaya: „Jadę z tobą, pokażę im!” – ale on tylko kiwnął głową. Po raz pierwszy w życiu, znacznie dosadniej niż przy szykowaniu gwiazdkowych paczek, pojąłem, że naszą rodzinę dotknęło ubóstwo, które nie ma nic wspólnego z brudem.

Kiedy podrosłem, rozpoznawałem biedne dziecko z daleka, po zapachu, jak burzę i mleko. Czułem ten zapach w miastach, nie tylko tutaj, także w Europie; zawsze miałem wrażenie, że wszystkie biedne dzieciaki to w pewnym sensie moi krewni.

Teraz ten zapach czaił się za naszymi plecami, w lodowatym mroku. Woń ubóstwa zalatywała wodą święconą, którą matka spryskiwała sukienki Autumn, gdyż uwielbiała naszą małą albinoskę.

Matka wysiadła z samochodu, podziękowała Jayowi i skromnie obciągnęła sukienkę, zakrywając zbyt odsłonięte łydki. Nagle dowiedziałem się, że jestem dzieckiem niedostatku i niełaski. Jak Voteurowie. Do mojego gatunku ludzi zaliczała się Cheryl Voteur, a nie Penny Porier. A ja myślałem, że od Penny różni mnie tylko jej zadufana minka.

Ojciec ściągnął koszulę i usiadł przy kuchennym stole, obok choinki, którą ubieraliśmy wspólnie z takim entuzjazmem. Przez kilka najbliższych dni nie mógł się zmusić do czytania.

Przykro jest myśleć o naszym domu z tamtych lat. Niewiele mieliśmy rzeczy. Było radio, przez które słuchaliśmy z Autumn audycji z Bostonu – głównie modnej muzyki dyskotekowej. Oglądaliśmy telewizję. Autumn pasjami czytała, a czasami zabawiała nas monodramami własnego autorstwa, które mama głośno chwaliła. Ale za ojcem ciągnęła się opinia synalka tego Hendersona, który podpalił zakład McVicera, i dlatego nigdzie nie mógł znaleźć pracy. Zasiłku nie chciał brać.

Mówiłem mu, żeby zadzwonił na policję. Ojciec zastanowił się nad tym chwilę i odparł:

– Zostawmy to... tym razem.

Na drugi dzień obudziłem się wściekły na niego, że się nie postawił. Co na mnie spojrział, odwracałem głowę. Ale chwilami zapominałem. Po jakimś czasie zobaczyłem ojca z daleka, jak wracał z popołudniowej roboty na świńskiej farmie, gdzie najął się do odgarniania śniegu spod chlewów. Przystanął, czekał na mnie, uśmiechnął się. A ja – nie wiem, czy to ze wstydu, czy dlatego, że już dorosłem – udałem, że go nie widzę. Pierwszy raz w życiu nie rzuciłem się pędem, żeby go dogonić, i pierwszy raz nie przyjąłem jego wyciągniętej ręki.

## Rozdział 8

Leo McVicer. Samo to nazwisko ucieleśniało Chatham. Same spodnie od garnituru Leo McVicera ucieleśniały wspinaczkę po drabinie społecznej,

od żebraka do księcia. Wielkie, ponure gmaszyska sierocińców i przytułków, sale o niebotycznych stropach, betonowe schody pokryte rozdeptaną śniegową breją. Przykre, samotne dzieciństwo uczyniło McVicera człowiekiem pełnym sprzeczności.

W młodości zasłynął jako katolik ze wzgórza, kostropaty rudzielec z wściekłą miną i bezczelnym spojrzeniem niebieskich oczu, który ganiał bogatych protestanckich synalków na Plac Królowej i tam ich łał, ot tak sobie, dla draki. Mówili o nim łobuz, chuligan, drań, bandyta, skurwysyn. Był z tego bardzo zadowolony.

Kiedy miał dziewiętnaście lat, tuż przed wyprawą za ocean, boksował w wadze piórkowej, pod samozwańczym pseudonimem Szatan z Chatham. W domu na piętrze wywiesił swoje zdjęcie w czarnej koszulce, spodenkach bokserskich i małych, czarnych, sześciuncjowych rękawicach. Nie miałby problemu z rozłożeniem na deski gościa dwa razy większego od siebie. Był tego świadom. Oczywiście, zmienił się od tamtego czasu, wydorósł. Pojechał na wojnę, trafił do kompanii B Północnego Pułku Atlantyckiego, bywał w ogniu, zaglądał śmierci w oczy, doświadczył izolacji i niebezpieczeństwa.

Po wojnie dostrzegł swoją szansę w nabywaniu ziemi. Wykupił wszystkie grunty od Roya Hendersona, który w końcu zatrudnił się u niego jako siła najemna. Leo znał się na robocie i widział, kto umie pracować, znał się na koniach, na traktorach, na sposobach wymuszania od ludzi uczciwości i wydobywania z nich tego, co najlepsze.

Mój dziadek zamieszkał na kawałku ziemi podarowanym mu przez Leo McVicera. Teraz ta ziemia była nasza.

Kiedy miałem dwanaście lat, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim, pan McVicer wezwał mojego ojca i Mathew Pita do siebie do kantorka, kazał im podać sobie ręce i wynajął obu do uprzątnięcia starego tartaku. Mieli zrównać ziemię, zalać wapnem doły na odpady i resztę posesji, a beczki z herbicydami odwieźć do spalarni w Edmindston. Potem pomógł im rozkręcić firmę studniarską.

Ludzie gadali, że to z powodu Autumn, przez ten kosmyk włosów, który jej swego czasu uciął pan Gerald Dove.

Gerald Dove, młodzieniec z wąsem i postępującą łysiną, odwiedził nas tak jakoś w siedemdziesiątym siódmym. Zaczął od wypytywania Sydneya o pożar, który rzekomo rozniecił mój dziadek. Usiadł przy stole naprzeciwko nas i oczy mu błysnęły, gdy cienkimi, białymi palcami otworzył zamek skórzanej teczki. Obserwowaliśmy z zapartym tchem, jak wydobywa z teczki magnetofon i kwestionariusz.

Dove spytał, czy nie mamy problemów z wodą i czy nikt w rodzinie nie chorował. Wyjaśnił ojcu, że w innych okolicach, w Wyoming i w Michigan, sytuacja jest podobna do naszej. Oznajmił, że McVicer zlecił mu zbadanie skali problemu, i ewentualne jego rozwiązanie. Mój ojciec nic się na to nie odezwał.

Dove mówił dalej: o specyficznej zmianie biegu potoku i karłowatości odrodzonych niedawno lasów iglastych wzdłuż szlaku Point Road, będącej skutkiem działania obecnych w glebie substancji toksycznych, pochodzących nie tylko – jak podkreślił – z zakładu pana McVicera. Niemniej jednak, szczególnie toksyczne działanie wykazywały pewne cząstki molekularne odpadów wyrzucanych z tartaku przez całe lata sześćdziesiąte do ścieku, odprowadzanego wprost do potoku Arron, a

stamtąd do wód gruntowych, z których korzystało około trzydziestu okolicznych rodzin. Dove twierdził, że McVicer podejmie wkrótce działania w związku z tymi ustaleniami. Wspomniał o próbkach tlenu azotu, wykrytych ubiegłej zimy na mokradłach powyżej naszego domu, i dodał, że badanie wykazało w nich pewną ilość substancji rakotwórczych. – Interesuje mnie – przeszedł do rzeczy – czy u państwa w domu zdarzają się przypadki biegunki lub niestrawności?

Matka odpowiedziała, że ona generalnie czuje się dobrze, i że woda jest w porządku.

Po wywiadzie Dove poszedł z moim ojcem na teren tartaku, który obchodzili przez dwie godziny. Ojciec prowadził, a Gerald Dove tu i ówdzie odmierzał grunt wielkimi krokami i notował wyniki pomiarów; zbierał też szpatułką próbki gleby.

Gdy wrócili, wziął jeszcze próbkę naszej wody. Na koniec uciął kosmyk szokująco białych włosów Autumn, a uczynił to bez uśmiechu i słowa podziękowania. Jakby się nagle zreflektował, podał ojcu rękę i poszedł. Patrzyłem w to miejsce na głowie Autumn, gdzie ucięto jej kosmyk włosów, ale po chwili przestałem je dostrzegać.

Z powodu tego kosmyka włosów mojej siostry Gerald Dove przeprowadził pięcioletnie badania. Mimo że wynik badań nie był jednoznaczny, ludzie zaczęli szemrać, że McVicer jest nam wszystkim winien odszkodowanie. Tata powiedział mi, że Dove jest kuzynem McVicera (nie prawdziwym, ale przyszywanym) i z początku miał zamiar bronić go przed zarzutami o niszczenie środowiska, ponieważ Leo opiekował się nim jako małym chłopcem. Dawniej przyjeżdżał latem pracować w tartaku, ale potem dostał stypendium fundacji Rhodessa i zrobił doktorat z ekologii.

Jako nastolatek Dove zakochał się z wzajemnością w córce McVicera, Gladys. Leo ostro się temu przeciwstawił i zabronił młodemu się widywać. Z tego powodu Gladys, o rok mniej więcej starsza od mojej mamy, wyszła za mąż za Rudy'ego Bellangera.

Mimo to Leo ściągnął Dove'a do pomocy w sporze z agencją ochrony środowiska. Bądź co bądź, Dove był mu coś winien. A Leo McVicer miał to do siebie, że prędzej czy później zawsze upominał się o swoje długi. I oto, po pięciu latach intensywnych badań, Dove zmienił front. Teraz żądał, by Leo wypłacił każdej rodzinie odszkodowanie w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Spytałem ojca któregoś dnia wieczorem po powrocie z ryb, czy o tym słyszał. Bo mnie ta wiadomość zelektryzowała i spodziewałem się, że na ojca podziała tak samo.

– A tak, coś słyszałem.

– No i co? Wystąpisz o odszkodowanie? To mnóstwo pieniędzy.

– Nie – odparł spokojnie ojciec, zerkając na mnie z ukosa i popluwając na osełkę, którą zamierzał naostrzyć siekierę. Zdumiony, dłuższą chwilę gapiłem się na jego profil. Czerwcową noc była chłodna, od drzew i traw ciągnęła wilgoć. Nie mieściło mi się w głowie, że tata nie chce pieniędzy.

– Wszystko jedno, ile by to było? – spytałem.

Poczułem zapach ogorzałej skóry ojca i wełnianego swetra, obsypanego świerkowym igliwem; spojrzałem na jego twarde, wygarbowane, wielkie ręce – i zadrzałem ze zgrozy.

– Wszystko jedno – potwierdził ojciec. – To nie wina McVicera, on wiedział tyle samo co my wszyscy, czyli nic. Każdy stosował herbicydy, nie tylko McVicer. Mój ojciec też miał takie beczki do nawożenia naszych gruntów, więc dlaczego jedynie McVicer ma być winny? Świat poszedł do



przodu, ludzie teraz wiedzą więcej – i tyle.

Więc zamiast podać McVicera do sądu, mój ojciec wybrał się do niego nazajutrz po południu razem z Mathew Pitem. A McVicer pomógł im rozkręcić spółkę studniarską. Z początku firma nawet przynosiła zyski. Ale zaczęły się problemy z wiertłami i w krótkim czasie spółka padła. Interes przejął McVicer, wykopał jeszcze dwie publiczne studnie i sprzedał firmę. Wcześniej jednak uzyskał to, o co mu chodziło: przekabacił, przynajmniej chwilowo, mojego ojca i Pita na swoją stronę, udaremniając – taką przynajmniej miał nadzieję – pozwanie do sądu.

Odkazanie wapnem terenu tartaku i przyległego wzgórza trwało do końca czerwca. Matka, która pomagała ojcu w tej pracy, pchając taczki, wracała do domu z oparzeniami wielkości dolara między palcami nóg i rąk.

Zapewniam pana, że nie ma gorszych oparzeń niż od wapna.

Wkrótce potem Leo McVicer osobiście odwiedził nas w domu, przynosząc mnóstwo różnych ciastek i herbat ze swojego sklepu. Mama akurat znowu poroniła, trzeci czy czwarty raz z rzędu. Leo zapytał ją o zdrowie.

Przyszedł w trzyczęściowym garniturze, ze złotym zegarkiem na dewizce wpiętej w małą kieszonkę kamizelki. Rozejrzał się po cienkich ścianach naszego domu i z niepokojem zerknął na drewniany stempel podpierający sufit pośrodku dużego pokoju. Popukał w niego, pchnął – i spojrzał na mnie, jakby to była moja robota. Potem wziął Autumn na ręce i uśmiechnął się do niej. Obmacał jej łopatki i stopki. Pokręcił głową. My troje obserwowaliśmy go z takim samym nabożnym zdumieniem, z jakim niedawno na mnie spoglądały z okna dziewczynki VotEURów.

Był niewątpliwie najbogatszym, najważniejszym i najbardziej charyzmatycznym osobnikiem, jaki kiedykolwiek gościł w progach

naszego domu – a oto, jakby nigdy nic, nalewał mojej matce herbaty, częstował Autumn i mnie ciastkami z talerzyka mamy, i plotkował o wspólnych znajomych, jakbyśmy byli jego najlepszymi przyjaciółmi. Przesiadł się bliżej Elly i wziął ją za rękę.

– Niedługo wezmę się do budowy mostu – powiedział – i poprowadzę drogę przez most. Na północ, tam gdzie dawniej był tartak, teraz będzie droga – szosa. Skończą się głupie gadki o szkodliwych cząsteczkach w glebie. Dam Sydneyowi pracę. Wiem, że ty, Elly, przyjaźnisz się z Diedre, nigdy mi nic złego nie zrobiłaś. Więc Sydney dostanie taką pracę, jaką będzie chciał. A to znaczy, że wyniesiecie się w końcu z tej rudery do większego, lepszego domu.

To rzekłszy, nadgryzł z namysłem ciasteczko i zasłuchał się w potężny szum wiatru od zatoki w konarach naszych drzew. Autumn i ja obserwowaliśmy w napięciu, jak McVicer żuje ciastko – prawdopodobnie ciekawiło nas, czy taki milioner je tak samo jak normalni ludzie. Nagle McVicer spytał mnie, czy się kiedyś boksowałem.

– Nie – odparłem.

– A chciałbyś?

– Nie.

– Wyglądasz na silnego, kości masz w porządku?

– Tak.

Nie spuszczał ze mnie szklistych, niebieskich oczu – tak że robiło mi się coraz bardziej nieswojo. Nie miała znaczenia ani mikra postura McVicera, ani to, co ludzie o nim mówili. Miał ducha zdobywcy.

Określną drogą zaproponował następnie matce pracę u siebie w charakterze pomocy domowej. Praca miała być stała i niezbyt ciężka. I dobrze płatna.

Z dala od zimna, wiatru i wapna. Mówiąc o wapnie, ujął stopę mojej matki i obejrzał ją dokładnie. Potem powiedział, że ma w domu balsam na oparzenia – na oparzenia, od których stopa mojej matki była cała czerwono-czarna. Stopa stendhalowska, jak ją nazywał ojciec, który co wieczór zmieniał mamie okłady.

– To śliczne imię, Autumn – pochwalił McVicer. – Kim chcesz być, jak dorosniesz?

– Pisarką – powiedziała Autumn, cały czas chowając się za mamą.

– Pisarką – powtórzył.

Mama uznała widocznie odpowiedź Autumn za zbyt śmiałą, bo uśmiechnęła się niepewnie.

– Jak Zane Grey? Tylko żebyś nie pisała nic o mnie zażartował Leo.

Patrzyłem na jego duże, brązowe dłonie i białe krochmalone mankiety kryjące nadgarstki. Podziwiałem srebrne spinki. Chodziły plotki, że McVicer, gdy miał dziewiętnaście lat, zabił przeciwnika na ringu. Czulem, że jest do tego zdolny.

Leo zniechęca spojrział na mnie, jakby odgadł, co myślę. Wsadził ręcznie skręcane papierosa do ust i pokiwał głową. Poinformował mnie, że przez wiele lat kibicował mistrzowi wagi lekkiej, Robertowi Durano. Ale od bezpardonowej walki z Sugarem Rayem Leonardem patrzy na niego z przykrością. Uśmiechnął się do własnych myśli.

– Kiedyś i ty się będziesz boksował, zobaczysz – rzekł z przewrotną miną i pogroził mi palcem. – Mówisz, że nie chcesz. Ja też nie chciałem. Wcale nie chciałem się bić, z początku zwiewałem. Ale nie miałem wyjścia, ty też nie będziesz miał. Już nie masz wyjścia, prawda? Już musisz stawać w obronie tej małej – Autumn – a im będzie starsza, tym częściej będziesz

musiał jej bronić. Nie będziesz miał łatwego życia, powiadam ci, McVicerowie i Hendersonowie nigdy nie mają łatwego życia. Bo życie w ogóle nie ma być łatwe, człowiek je musi łapać i szarpać za gardło jak pies – a jak powali człowieka na łopatki, to nie ma co się wahać, wszystkie chwytaki dozwolone, bo życie też nigdy nie walczy czysto.

Świdrował mnie wzrokiem. Odwracałem oczy to w jedną, to w drugą stronę, zerkając na mamę. Znowu miałem przed sobą mężczyznę zupełnie innego niż mój tata. Myślę, że pokochałem McVicera od pierwszego wejrzenia.

## Rozdział 9

Moja matka poszła do pracy w zapuszczonym, typowo męskim, dwupiętrowym domu Leo McVicera nad zatoką w domu, którego dziedziniec, pełen sekretnych nisz, porastały olchy i chaszczki.

Zięć McVicera, Rudy Bellanger, miał obowiązek przywozić ją do pracy i odwozić do domu. Dopiero po dziesięciu bez mała latach dociekałem, co tam takiego wtedy między nimi zaszło, ze szczegółami rozmów włącznie.

Po chłodnym czerwcu przyszło wilgotne lato. Matka co rano czekała na Rudy'ego na końcu naszej ścieżki, przy pogiętej skrzynce na listy, której chorągiewka, sygnalizująca nadejście korespondencji, szła w górę raz na parę miesięcy. Odprowadzałem ją tam czasem i siadałem pod skrzynką.

– Nie moja to sprawa – rzekł któregoś dnia Rudy do mamy, już po moim odejściu. – Nie znam Sydneya, ale widzę, że marnie dba o panią i dzieci. Mieszkać na tym bagnie pod świerkami to musi być coś – latem komary,

gzy, nie da się pewnie wysiedzieć na dworze. Doprawdy, z pani urodą... nie jest to raczej mężczyzna dla pani, co? Niech pani spojrzy na tego małego, jak mu tam – Lyle, tak? Wygląda to-to jak strach na wróble. Chyba nie może pani być zadowolona?

Uśmiechnął się i przelotnie, leciutko dotknął jej policzka. Matka nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Nie wiedziała tego, co wszyscy w okolicy wiedzieli o Rudym.

Następnego dnia Rudy kupił jej kasetę, żeby przy pracy mogła słuchać muzyki. Przyznała mu się, że nigdy w życiu nie była na koncercie rockowym.

– A ja cały czas chodzę – pochwalił się Rudy, krążąc w butach na koturnach dokoła rozkładanej deski, na której matka prasowała koszule McVicera. – Mogę panią kiedyś zabrać – dodał, niby to mimochodem kładąc dłoń na jej plecach.

Był tego dnia wyraźnie zły na Gladys, nie wiadomo o co.

Dzień później pokazał mamie plik dwudziestek, spiętych klamerką.

– Widzi pani tę klamrę? Jasne, trudno nie widzieć. Złota!

Matkę to wszystko bardzo deprymowało, ale nic nie mówiła ojcu ani mnie.

Rudy przyjaźnił się z Matem Pitem, który zaczął mu robić docinki w związku z moją matką. Piętnastopokojowy dom Rudy'ego stał na wzniesieniu nad zatoką i, podobnie jak cała reszta jego dobytku, był własnością Leo McVicera. Rudy'emu było to nie w smak, więc kombinował, jak by tu użyć wpływów teścia dla zdobycia pozycji w światku politycznym partii liberalnej. Mathew i Cynthia popierali te plany i szczerze im kibicowali. Rudy woził Gladys w różne modne miejsca, lecz ona nie okazywała mu ani krzty uczucia.

Pewnego ranka, w sierpniu osiemdziesiątego drugiego roku, może z miesiąc po podjęciu przez mamę pracy u McVicera, Rudy zaprosił ją na lunch do restauracji Polly. Gdy mama odpowiedziała na to, że nie ma pieniędzy, roześmiał się tylko, wziął ją za rękę i poprowadził do samochodu.

Lokal Polly był szemraną knajpą, w której miejscowi pijaczkowie przesiadywali całe popołudnia. Mój ojciec nigdy tam nie zaglądał, znając swoją skłonność do kieliszka. Rudy za to czuł się u Polly jak ryba w wodzie. Ledwo usiedli, zaczął się z żalem rozwodzić nad swoją żoną.

– Ja, jak zostaję sam, jestem stuprocentowym Kanadyjczykiem – oznajmił stroskanym tonem – ale ona bez pomocy nie umie już nawet sama wstać z fotela, to nie do zniesienia.

– Mogłabym czasem z nią posiedzieć, jeżeli cierpi na brak towarzystwa – powiedziała matka.

Rudy łyknął whisky z wodą, zagryzł kostką lodu i spojrzał mamie w oczy.

– Dlaczego nie pije pani swojego dzinu?

– Bo ja... ja w ogóle za dużo nie piję – odpowiedziała.

– A to dlaczego? Bo mąż ma kłopoty z alkoholem? – zagadnął, ale widząc, że ją spłoszył, natychmiast się uśmiechnął. – Tak naprawdę to chciałem panią zaprosić na koncert Boba Segera, do Montrealu. O ile interesuje panią koncert na żywo. Nie znoszę jeździć sam. Moglibyśmy wynająć sobie pokój... no, wie pani, w hotelu... powiedziałaaby pani mężowi, że jedzie na weekend do znajomych... a ja bym powiedział Gladys... och, cokolwiek.

– Bob Seger, kto to taki?

– Ha! – wykrzyknął triumfalnie Rudy, posażł lód i rozejrzał się dookoła. –

Widzę, że muszę panią wszystkiego nauczyć.

Matka długo wahała się, co zamówić, bała się przesadzić z ceną; co chwila popatrywała na szklanki dzinu, które stawiał przed nią Rudy Bellanger. On zwierzył jej się wtedy, że bezkarnie zrobił w życiu parę grubszych afer.

Ale mama nie знаła się na aferach.

Nie miała najmniejszej ochoty jadać w restauracji Polly, gdzie mężczyźni głośno przeklinali, a mój ojciec był powszechnym obiektem żartów.

Wieczorem w domu nie mogła jeść kolacji. Pamiętam, jak trzęsły jej się ręce, gdy nam podawała do stołu. Sama popatrzyła chwilę w swój talerz i odsunęła go.

Dni były coraz krótsze, jesień odmieniła kolory liści na drzewach, potem liście pousychały i opadły, a przez nagie konary widać było zamarznięty potok i pas lodu wzdłuż rzeki. Spadł pierwszy śnieg. Ojciec zaczął pracować przy moście, po dziesięć godzin dziennie. Autumn i ja byliśmy z tego powodu bardzo szczęśliwi, bo po raz pierwszy w życiu czuliśmy się normalnymi ludźmi. Raz nawet miałem wrażenie, że Penny Porier się do mnie uśmiechnęła – właściwie byłem tego pewien.

Elly postanowiła, że tym razem na pewno wyjedziemy na letnie wakacje, i często z nami o tym rozmawiała. Już do listopada zdołała zaoszczędzić trochę pieniędzy. Mieliśmy pojechać do Saint John, gdzie jest galeria sztuki i muzeum. Któregoś dnia, przy lunchu, zwierzyła się z tych planów panu Bellangerowi.

– Wie pan – powiedziała – latem wybieramy się całą rodziną autobusem do Saint John. Nigdy jeszcze tam nie byłam...

– Domyślam się, że tacy rozrzutnicy wynajmą sobie luksusowy apartament  
– zadrwił Rudy.

Podczas jazdy powrotnej do domu McVicera mama usiłowała zabawić go grzecznościową rozmową, ale nie odezwał się ani słowem. Zrobiło jej się głupio, że tak się pochwaliła.

Wieczorem w domu przewertowała jeszcze raz uzbierane broszury reklamowe, obliczając, na co nas będzie stać, a na co nie. Teraz wiem, że już wtedy postanowiła zrezygnować z posady. Przykro jej było, że sprawi zawód McVicerowi, ale miała wrażenie, że pan Bellanger uważa ją za niewdzięcznicę.

Przez pewien czas nie widywała Bellangera. Ale ni stąd, ni zowąd, po jakimś tygodniu, zjawił się nagle w domu McVicera. Śnieg stłumił chrzęst kamyków i żwiru na długim podjeździe, zimowe powietrze zalatywało wonią spalenizny, pola za starą stodołą pocięte były bruzdami śniegu, który sypał gęsto z ołowianego nieba. Matka wieszała akurat pranie na sznurze za domem – Rudy zaraz ją zobaczył.

– Coś pani pokażę – powiedział, podnosząc w górę dwa bilety lotnicze. – Widzi pani?

Matka spojrzała na niego, zaskoczona.

– Przepraszam, ale... ja nie wiem, co to jest.

– Nasze bilety do Montrealu, tak jak obiecałem... mówiłem pani, że jeżdżę na wszystkie koncerty... zobaczy pani miasto z prawdziwego zdarzenia.

Trzepnął bilety wierzchem dłoni i spojrzał na mamę z dziwnym uśmieszkiem – z uśmieszkiem, który mówił: przyznaję się do podstępu, ale to silniejsze ode mnie.

– Niech pani ze mną jedzie, zobaczy pani, jak żyje druga połowa ludzkości, zgoda?

Matka pokręciła odmownie głową i nie odzywając się, prasowała dalej,



otoczona zapachem przedwczesnego, jesiennego śniegu. Bellanger poszedł sobie wreszcie, z biletami, które furkotały na wietrze.

Na drugi dzień ścieżka była cała przyprószona śniegiem. Rudy przyszedł tym razem po południu, bocznymi drzwiami, od strony tylnych schodów. Ściągnął czarne kowbojskie buty ze spiczastymi noskami, podciągnął skarpety i wkroczył do środka. Bez kowbojskich butów był o dobre pół cala niższy od mojej matki, ale ważył z osiemdziesiąt funtów więcej niż ona. Ubrany był w czerwone spodnie z szerokim pasem i niebieską koszulę z różowym krawatem.

Mama odkurzała właśnie sutereneę – zaskoczył ją. Powiedziała mu, że jeśli chce rozmawiać z panem McVicerem, to musi z tym poczekać, bo Leo udał się na doroczne polowanie.

– Może wpadnie pan w sobotę? – zaproponowała z uśmiechem.

– Może i wpadnę – odparł Rudy. – A nie znajdzie się kieliszeczek czegoś mocniejszego dla starych znajomych?

– Niestety nie, bardzo mi przykro.

Mama przerwała odkurzanie, bo Bellanger zbliżał się do niej. Usiłowała na gwałt wymyślić coś dowcipnego i niezobowiązującego. Bellanger zatrzymał się tuż przed nią i dotknął jej policzka.

Kiedy to zrobił – w ponurej graciarni, pełnej mebli minionych pokoleń, oświetlonej tylko mętnym blaskiem umieszczonego w głębi okienka – matka cofnęła się o krok i potknęła o odkurzacz. Spódnica podwinęła jej się aż do pępka, odsłaniając majtki.

Bellanger jednym ruchem podciągnął ją na nogi, wsadził jej łapę w majtki i zaczął gmerać w owłosieniu łonowym, próbując trafić paluchem gdzie

trzeba. Powieki miał przy tym zamknięte, ale gdy je na chwilę otworzył, ujrzał paniczny lęk w oczach mojej matki.

– Ja muszę wracać do domu! – krzyknęła. – Ja muszę... ja chcę do domu! Proszę pana, panie Bellanger... bardzo pana proszę... pan nie rozumie... ja kocham Sydneya... proszę pana... ja się potłukłam...

– Jak ty możesz kochać Sydneya? Nie gadaj... przecież sama chciałaś...

Czuł, że ona umiera ze strachu, ale już nie mógł przestać, bo czuł ruchy jej ud. I nagle, całkiem niespodziewanie, spuścił się na jej prawą nogę.

W suterenie zalatywało zwietrzałym detergentem. Moja matka wydała się nagle Bellangerowi jakaś mała, strachliwa i wsiowa. Całkiem inna niż kobieta jego marzeń, z którą chciał jechać do Montrealu, i to jeszcze niedawno, zanim wszedł do tego domu.

Matka podeszła do krzesła i usiadła, oczy trzymała spuszczone, za uchem sączyła jej się krew. Najpoważniejszym dowodem tego, co się stało, była papierowa torebka z jej drugim śniadaniem, nienaruszona, na kuchennym stole.

– Lepiej siedź cicho – poradził jej Bellanger.

Naciągnął buty, lewy na prawą nogę i odwrotnie, i wybiegł z domu.

Zataczając się, czmychnął podjazdem, którym parę minut wcześniej szedł w stronę domu McVicera z radosnym oczekiwaniem.

Oparł się plecami o świerk i zaczął kombinować. Wiedział, że jeśli moja matka się wygada, on wyleci z pracy, Gladys go rzuci, i zostanie z niczym, sam jak palec.

Powąchał palce, poczuł zapach jej sromu i krew mu odpłynęła z twarzy.

Rzucił się, jak dzieciak, z powrotem do pakamery.

Wszedł, zamknął za sobą na zasuwę zielone drzwi i schował się za

skrzynią jabłek cały roztrzęsiony.

Przecież on wcale tego nie chciał. To przez nią – może go nie kusiała? A po co latała z nim do Polly? Ilu jego znajomych ją tam widziało! Ile jej stawiał kieliszków! Ciekawe, ilu jeszcze facetom namąciła w głowie u Polly? Każdy się tam na nią oglądał – na nich też pewnie miała chęć. Będzie miał świadków, ilu zechce – dobrze, przydadzą się! A ten jej mąż? Najgorszy nicpoń, kradnie i podkłada ogień (w porę mu się przypomniało)! Dobrana parka, nie ma co. A ich dzieciaki? Widział je nieraz w kościele: szczył z beczelną miną i kostropata albinoska! Zdeprawowani ciemniacy, co zrobią – zawsze głupio, każdy ich zna! Już wie: rozgłosi plotkę, że to ona go nagabywała, a jak powiedział jej, że jest żonaty, to roześmiała mu się w nos – i zażądała pieniędzy! Tak, właśnie: zażądała pieniędzy!

Nazajutrz rano w domu Rudy'ego Bellangera zadzwonił telefon. Odebrała żona.

– Tatuś dzwoni – powiedziała.

Rudy, idąc do telefonu, główkował, jak pozbyć się niemiłego uczucia i wywikłać z całej sytuacji.

– Jak się udało polowanie? – zagadnął teścia. – Ustrzeliłeś jelenia?

– Rudy – przerwał mu Leo ze spokojem. – Co tu się działo? Byłeś u mnie w domu?

– Ja... nie pamiętam.

Zapadła dłuższa chwila milczenia.

– No, odpowiadaj, do cholery, byłeś czy nie?

– Nie byłem, nie, absolutnie.

- A kręcił się ktoś koło domu?
  - Tylko Elly, może i Sydney, nie wiem.
  - No to już wszystko jasne. Ukradli nam pięćset dolarów, z szuflady na górze. Teraz rozumiem.
  - Co rozumiesz?
  - Dlaczego Elly zadzwoniła, że jest chora i rezygnuje z pracy. Przyjedź no tu do mnie, Rudy, chcę się z tobą naradzić, co dalej robić. Przecież ją ktoś musiał podpuścić – pewnie on, cholera. Zawsze traktowałem ich przyzwoicie, więcej niż przyzwoicie. Kurwa mać.
- Rzucił słuchawkę – aż Rudy’emu grzmotnęło w uchu, ale stał jak zamurowany ze swoją słuchawką w rękę, bo Leo jeszcze nigdy nie wypowiedział przy nim tego słowa.

## Rozdział 10

Moja matka dowiedziała się o kradzieży tuż po południu i zaraz poszła poszukać ojca na moście. Dzień był ciemny, zimny. Śnieg z rana przestał padać, ale zanosilo się na to, że spadnie znów po południu. Nad lasem wisiały ciężkie chmury, a droga już lśniła skorupką szronu. Było cicho, jak to na wsi późną jesienią.

Matka wyraźnie się wstydziła i chociaż próbowała, nie mogła spojrzeć ojcu w oczy.

- Co się stało? – spytał ojciec.
- U pana McVicera ktoś ukradł pieniądze. Pan McVicer sam do mnie zadzwonił.
- Nie poszłaś do pracy?

– Nie... dzisiaj nie poszłam.

– Dlaczego?

Spojrzała na niego przelotnie i nie odpowiedziała. Odwróciła wzrok ku rzece, pokrytej cienkim naskórkiem lodu.

– Źle się czułam.

– A co ci jest? – Sydney zębami ściągnął wielką, skórzaną rękawicę i dotknął policzka matki. Okulary mu zaparowały, a i przez okulary słabo widział z bliska. Matka chwyciła jego rękę, ucałowała i uśmiechnęła się.

– Przepraszam – powiedziała.

– Za co? Co się stało?

– Muszę iść do pana McVicera. Pójdiesz ze mną? Nie chcę tam iść sama.

– Oczywiście. Chodźmy zaraz.

Zdjął kask ochronny i powiedział już zirytowanemu panu Porierowi, dokąd się wybiera.

Ruszyli w kierunku południowo-wschodnim, skręcając w starą, zablokowaną drewnem drogę do wybrzeża. Zimowe już niebo cięło ich prosto w twarze drobnym ostrym śniegiem, pozbawiając je czucia. Zza bocznej bitej drogi obserwował ich jeleń, któremu dwa dni wcześniej Mathew Pit ustrzelił łanię. Autumn przez chwilę jeszcze dreptała parę kroków za rodzicami, ale kazali jej wracać do domu i grzecznie czekać. Odprowadziła ich wzrokiem, oddalających się ramię w ramię ku naszemu przeznaczeniu.

Zatoka jeszcze nie zamarzła, ale większość domów, to znaczy wille letników, pozamykano już okiennicami na zimę, a przydomowe krzewy poowijano w konopne worki. Wicher świstał w konarach drzew wzdłuż całej drogi i na podwórzu domu starego McVicera; na długim, wąskim

podjeździe połyskiwał czarny lód. Im bliżej byli drzwi, tym mniejsze kroki stawiała Elly.

– Co ci jest? – spytał ponownie Sydney.

– Nie wiem, czy będę miała odwagę... wejść do pana McVicera.

Matka zadrżała. Z komina we wschodniej części domu leciał dym, rwał się, rozpraszał; w powietrzu od czasu do czasu zawirowała garść drobnych, zbutwiałych liści – jak taniec zagubionych dzieci.

– Weź mnie za rękę – poprosiła matka.

– Elly – szepnął ojciec – coś ty zrobiła? Wzięłaś jakieś pieniądze?

Elly wyjrzała na niego spod niebieskiego kapturka, ściągniętego nisko na czoło, jakby pytaniem odpowiadała na pytanie. Podsunęła kapturek do góry, pociągnęła nosem i z żalną miną, jakby zaraz miała się rozplakać, pokręciła głową.

– Nie wzięłam ani grosza – powiedziała.

Sydney wziął ją za rękę i poprowadził do drzwi.

Matka wyobrażała sobie tę chwilę od samego rana. Nie miała jak dotąd wielkiego szczęścia w życiu.

Wiedziała, że jeśli powie o wczorajszym incydencie, Rudy wyprze się wszystkiego, a McVicer uzna pewnie, że to tylko wybieg z jej strony, próba zatuszowania prawdziwego przestępstwa, którym była, rzecz jasna, kradzież pieniędzy z szuflady na górze.

Oczywiście, że nie ona ukradła. Jej brak zdecydowania brał się jednak również stąd, że Sydney był jeszcze bardziej łatwowerny niż ona. Dlatego nic mu nie mówiła o coraz przykrzejszych rozmowach z Rudym ani o tym, jak Rudy go nie lubi, jak złośliwie pokpiwa sobie z niego w knajpie u Polly – bo Sydney wstydziłby się, gdyby to usłyszał. A ona nie chciała,

żeby Sydney się wstydził. Tata nigdy nie prosił, co prawda, o pomoc, ale był szczerze wdzięczny za nią zarówno McVicerowi, jak i Rudy'emu. Dlatego matka okłamywała ojca, mówiąc mu, że Rudy bardzo się nim interesuje i podziwia jego pasję czytelnictwem oraz chęć wstąpienia na uniwersytet. Gdyby nagle radykalnie zmieniła historyjkę, wyglądałoby na to, że kręci z powodu kradzieży. Przypomniały jej się raptem wszystkie okazje, przy których okłamywała ojca, aby nie ranić jego uczuć gdy tymczasem prawda, w porę ujawniona, mogła uchronić ją przed obecnym oskarżeniem.

Ujawnienie w tej chwili spotkań z Rudym i próby gwałtu z jego strony musiałyby wyglądać na grubymi nićmi szyte alibi. Co gorsza – na alibi krzywdzące, rujnujące reputację człowieka, który w mniemaniu Sydneya okazał im wiele dobroci. Człowieka, który był mężem biednej, chorej Gladys i mieszkał w piętnastopokojowym domu.

Jasne, że należało powiedzieć wszystko Sydneyowi wczoraj wieczorem. Kiedy ją pocałował przy kolacji, zorientował się, że coś jest nie tak, i nawet spytał, czy coś się stało. Upokorzenie kazało jej jednak milczeć. Kradzież u McVicera pasowała teraz jak klucz do zamka straszliwej puszkii Pandory, a milczenie Elly – wobec wszystkiego, co się stało, a nie zostało ujawnione, od godziny piątej trzydzięci dnia poprzedniego – wskazywało na nią jako winną.

Gdy moi rodzice weszli do domu McVicera, Rudy siedział w suterenie: złote spinki do mankietów, zegarek, mały sygnet z szafirem. Palce miał krótkie i białe, paznokcie czyste i starannie utrzymane.

Spojrzał na moją matkę, uśmiechnął się z politowaniem i odwrócił wzrok. Ona nie podnosiła oczu ani nie zdjęła nisko ściągniętego kaptura, spod

którego ledwo wystawał jej mały nosek, poczerwieniały od mrozu. Cały czas wyrzucała sobie, że chodziła z Rudym do restauracji Polly.

Kiedy McVicer na nią spojrział, uśmiechnęła się bezradnie, czym niejako przyznała się do winy. McVicer świdrował matkę wzrokiem. Służył jako oficer w drugiej wojnie światowej, miał medale.

Odsuwając stos korespondencji, spytał moich rodziców, co się stało z pieniędzmi z jego szuflady. Dla podkreślenia wagi sprawy nie zmienił nawet stroju. Wciąż miał na sobie buty myśliwskie, kamizelkę i bryczesy, zachłapane drobnymi plamkami krwi.

Stary dom to ciemniał, to rozjaśniał się, zależnie od podmuchów wiatru, a Elly miała wrażenie, że pachnie tu strzelbami, wyciorami i gumiakami.

– Gdzie moje pieniądze? – spytał Leo.

– Nie wiem – odpowiedziała moja matka, patrząc w podłogę, tę samą podłogę, którą odkurzała, kiedy ostatni raz była w tym domu. Patrzyła na ślady po kółkach odkurzacza. Dokładnie pośrodku dywanu widziała miejsce, gdzie wyłączyła odkurzacza. Po wyjściu Rudy'ego wyszła na chwilę do łazienki, umyć zakrwawione ręce, ale gdy wróciła do sutereny, nie miała już siły dokończyć odkurzania. Kiedy to sobie przypominała, zerknęła na Rudy'ego i stwierdziła, że on także patrzy dokładnie w ten sam punkt na dywanie. Spotkali się wzrokiem. Matka natychmiast znów spojrzała pod nogi.

Leo, chociaż naprawdę troszczył się o moją matkę, z lubością wygłosił jej kazanie o tym, jak bardzo zawiodła jego zaufanie. Znał przecież dobrze jej rodzinę. Jej ojczym, stary Brown, był garbusem i u niego w sklepie kupował sobie koszule. A jej matka zawsze latem zbierała jagody i poziomki, więc pozwalał jej zbierać na swoim terenie.



W końcu odwrócił się od mamy i zatarł ręce.

– Więc nie umie mi pani powiedzieć, co się stało z moimi pięciuset dolarami?

– Nie – szepnęła matka i pokręciła głową. Nogi jej dygotały. Chciała powiedzieć: „Nie, bo to nie ja je zabrałam” – ale to już przecież mówiła.

– Nieładnie by było, żeby mężatka stawiała przed policją, prawda? – spytał Leo.

– Nie – szepnęła matka, podniosła na chwilę wzrok i rozplakała się.

– Nieładnie by też było, gdybym zwolnił Sydneya z pracy, ale kto wie, czy nie będę musiał?

Leo przemawiał z silnym lokalnym akcentem, który przybierają wszyscy mieszkańcy okolic Miramichi w chwilach wielkiego wzburzenia.

Moja matka całkiem już jednak oniemiała. Łkała tylko spazmatycznie, przydeptując prawą stopę lewą, tak jak to zawsze robiła w sierocińcu, kiedy ktoś był na nią zły.

– Powiedz im, że tego nie zrobiłaś – podszepnął jej Sydney.

Ale płakała dalej, tym razem ze wzruszenia życzliwością, jaką jej okazywali Leo i Sydney. Leo, kiedy u niego pracowała, nieraz polecał, by odłożyła robotę i usiadła razem z nim przy herbacie. Opowiadał jej o swojej żonie, o jej pobycie w szpitalu, o tym, jak ten świat się zmienia, bo coraz częściej mężczyźni zachowują się jak kobiety, a kobiety jak mężczyźni.

Teraz zdawało jej się, że zdradziła Leo McVicera i te miłe wspólne herbatki. Leo był człowiekiem surowym i praktycznym, ale zawsze okazywał jej wiele troski. Mathew Pit wyśmiewał się z Sydneya, Cynthia Pit go dręczyła – dlatego tylko Elly, chcąc chronić męża, okłamywała go,

mówiąc, że Rudy bardzo go podziwia. I to był chyba jej najgrubszy błąd w życiu.

Leo odwrócił się do Sydneya.

– A może to ty ukradłeś za jej namową? Wczoraj, około piątej?

– Nie, skąd! – obruszyła się moja matka, ocierając oczy. – To nie on. On nie... skąd... on by nigdy... To ja.

Sydney nic nie powiedział. Wicher dał zajadle.

– Pani? – zdumiał się szczerze Rudy.

– Ja... ja już sama nie wiem, czy wzięłam, czy nie wzięłam – poddała się matka.

– Mógłbym cię w tej chwili podać do sądu. Jeden telefon i załatwione. – Leo zamilkł na chwilę. – Ale masz dzieci, ich mi szkoda, dzieci, nie ciebie. Słuchaj no, Sydney, nie zażądam pieniędzy od Elly, ale za to będziesz pracował u mnie przy moście, aż odrobisz całe pięćset dolarów – spłacisz mi co do centa. Z tobą, Sydney, już były problemy: okradałeś puszki w kościele, kradłeś skrzynki ryb i zwałeś winę na innych, pomstowałeś na ludzi, którzy chcieli ci pomóc... Pamiętasz, Elly, panią Whyne, Diedre Whyne? Od początku ci mówiła, żebyś nie wychodziła za Sydneya. Skąd ja to wiem? Przyjaźnię się z jej ojcem, Diedre jest moją chrzestną córką. Tak o ciebie dbała, chciała, żebyś poszła do szkoły, kształciła się, tak się starała...

Matka tylko bezradnie kiwała głową.

– Ale ty nie chciałaś się uczyć, wolałaś wyjść za Sydneya – a teraz patrz, w co się wpakowałaś. Nie chciałaś nikogo słuchać... Myśmy od dawna wiedzieli, że jesteś mało bystra... w kościele... próbowaliśmy ci pomóc... dawaliśmy ci pracę w Katolickiej Lidze Kobiet, przy piknikach... wszyscy

cię lubili, Elly. Mnie samemu się nieraz zdaje, że pani Whyne ma dziwne pomysły – ale jej ojciec jest moim przyjacielem i jemu ufam. Czy pani Whyne nie zgłaszała się ostatnio do ciebie? Nie proponowała spotkania w ubiegłym tygodniu?

Matka znów kiwnęła głową.

– To Sydney nie pozwala ci się z nią widywać, tak? Bo pani Whyne reprezentuje opiekę społeczną i gotowa jest się tobą zająć?

Widać było z jego słów, że Leo McVicer nie ma zielonego pojęcia o działaniu opieki społecznej. Po prostu znał Diedre Whyne jako sympatyczną młodą damę, która od czasu do czasu odwiedzała jego dom w Boże Narodzenie i grała na pianinie, a niekiedy także w brydża z nim i z Gladys. Jako działaczka społeczna, próbowała chronić takie osoby jak Elly Henderson przed nimi samymi – co, zdaniem Leo McVicera, było właściwym posłannictwem każdej kobiety.

– Czuję, że to ty ją do tego namówiłeś, Sydney, przyznaj się! – ciągnął McVicer. – Uznałeś, że należą ci się te pieniądze, może za Roya, albo za to, co Gerald Dove opowiadał o twojej córce, albo za te rzekome szkodliwe cząsteczki w wodzie – tak?

– To nieprawda – odparł mój ojciec.

Zapadła dłuższa cisza.

– Idźcie już... zanim zdecyduję się wezwać policję – rzekł Leo, wykonując nieokreślony ruch ręką.

– Przepraszam – powiedziała moja matka. – Ja pana bardzo... panie McVicer... ja...

– No, co tam znowu?

– Ja... nie odkurzyłam korytarza na górze.

– Won! – ryknął Leo. – Wynoście się, jedno i drugie!

Wrzeszczał tak głośno, że nawet Rudy zdrzął.

Moi rodzice wyszli i ruszyli na północ, do szosy, przecinając na przełaj ciemniejące pola. Milczeli i trzymali się za ręce. Gdy stanęli na szosie, matka zatrzymała się, oparła o przegniły pień świerka i, przerywając ciszę ponurego, zimnego, listopadowego zmierzchu, oświadczyła:

– Ja nie ukradłam.

– Wiem o tym – wykrztusił z trudem ojciec. – Ale oni są pewni, że to ty. Diedre znowu zacznie nas pouczać. Mniejsza o to zresztą. Żal mi tylko starego, biedaczysko.

Spojrzał dobrotliwie na matkę.

Matka pokiwała głową. Przez minione dziesięć lat Diedre robiła co mogła, żeby odciągnąć ją od Sydneya. Ponieważ jednak Elly nie uznawała jej poglądów na życie za jedynie słuszne, roztropne i praktyczne, stosunki między nimi znacznie się ochłodziły.

Elly w mgnieniu oka wyobraziła sobie, jak Diedre może wykorzystać sprawę kradzieży dla dokuczenia jej.

– Nie martw się, prawda w końcu wyjdzie na jaw – powiedział Sydney. Ruszyli dalej, nie pojmując, jak to się dzieje, że zło i ciemność wkrada się podstępnie w to, co dobre i wzniosłe, aby zniszczyć w człowieku wolę życia.

– Dlaczego ona mnie okradła, Rudy, dlaczego? – spytał bezradnie Leo. Odwrócił się przy tym bokiem na krześle, ale tylko na sekundę, zaraz znów usiadł prosto. Na dźwięk słów Rudy’ego ponownie odwrócił się bokiem, mierząc zięcia przenikliwym spojrzeniem, aż tamten skończył

mówić – i znów siadł przodem do stołu.

– Nie mam pojęcia – powiedział Rudy.

– Przecież jak chciała pieniędzy, jak potrzebowała pieniędzy, mogła do mnie przyjść...

Rudy kiwnął głową.

Patrzył na teścia i bał się. Bał się jego temperamentu, jego osławionej reputacji twardziela, który nie popuści nikomu, kogo podejrzewa.

– Widocznie uważają mnie za potwora – dlatego wolą ukraść niż poprosić o przysługę. Ty ją dobrze znałeś?

– Nie, skąd, właściwie prawie wcale.

– Pomyślałbyś, że jest do tego zdolna? Że w ogóle jest zdolna do czegoś takiego?

Znów odwrócił się bokiem i czekał na odpowiedź, nie spuszczając oczu z zięcia.

– Nie, nie myślałem, że taka jest.

– No właśnie – mruknął stary, bębniąc palcami po oparciu fotela. – Mnie się też wydawała całkiem inna.

Zapadła długa, niewygodna cisza.

– Wszyscy obracają się przeciwko mnie, widzę to – rzekł wreszcie Leo.

– A gdzie tam, Leo, co ty wygadujesz...

Leo myślał już jednak tylko o dawnych przyjaciółach, którzy poumierali, i o tym, jak niewiele przyjaźni zostało mu na tym świecie. Nigdy nikogo nie okradł – szczerze mówiąc, wprost przeciwnie. A jednak oskarżają go, że zaniedbywał zdrowie robotników, i to kiedy? Dwadzieścia lat temu!

Bolało go to oskarżenie, bo nie wiedział jeszcze, jak z nim walczyć. Ani jak walczyć z Geraldem Dove'em, którego sobie sam do tej walki

wychodował. Którego przygarnął z sierocińca, bo miał taki kaprys, i wychował jak własnego syna.

– Dove’owi szajba odbiła, jak uważasz? – spytał po chwili. – Władzy mu się zachciewa? Chce zniszczyć człowieka, który wykierował go na ludzi, nie uważasz?

– Uważam – zapewnił go skwapliwie Rudy, z ulgą przyjmując zmianę tematu.

– No właśnie... ta odrobina wykształcenia... Czy ty wiesz, Rudy, że ja mogłem sobie wybrać, którego chciałem – mówię o chłopcach z sierocińca. Zgubił mnie brak roztropności – podsumował. – Nie jestem człowiekiem roztropnym, prawda?

– Ależ jesteś.

– O nie, na pewno nie! – Leo pogroził zięciowi palcem, jakby chciał sprowokować kłótnię.

Najbardziej wkurzała go myśl, że ci ludzie, dorośli ludzie, ludzie, którym ufał, którzy stosowali chemikalia do tępienia pasożytów i oczyszczania dróg – i to wtedy, gdy wszyscy robili to samo, w latach sześćdziesiątych – a potem przestali je stosować razem ze wszystkimi – że właśnie oni oskarżają teraz jego, Leo McVicera, o złośliwe ukrywanie informacji, których wówczas nie miał nikt, ani oni sami, ani nawet naukowcy!

– Prawda jest taka – grzmiał dalej, rozwścieczony własną myślą – że niejeden z tych, co są teraz przeciwko mnie, kupił sobie dom za to, co u mnie zarobił, z mojej książeczki czekowej spłacił hipotekę...

– Wiem – bąknął Rudy.

– To nie są mężczyźni. To są pętaki – podsumował Leo.

Sześć lat wcześniej Leo podarował uniwersytetowi osiemdziesiąt tysięcy

dolarów, żeby obywatele mogli mieć nadal własną uczelnię nad rzeką. A w tej chwili na uniwersytecie, i to dokładnie w tym skrzydle, które sponsorował McVicer, Dove przeprowadza swoje ekologiczne badania wód gruntowych.

A jego, Leo McVicera, który ma pięć klas szkoły powszechnej, opisują w gazetach jako członka elity, działającego przeciwko klasie robotniczej – tak pisze o nim doktor David Scone, który klasę robotniczą zna nie z odcisków na rękach, tylko z lektury Marksa i Engelsa. Leo kompletnie nie mógł tego zrozumieć.

Miał nadzieję, że ściągnięcie do domu Geralda Dove'a załatwi trzy rzeczy. Po pierwsze – będzie dowodem fałszywości oskarżeń Agencji Ochrony Środowiska, wysuwanych pod jego adresem. Po drugie – Gerald zobaczy Gladys i zrozumie, jak niedorzeczna była ich szczeniacka miłość. Po trzecie – Gerald Dove, prędzej czy później, najmie się do stałej pracy u Leo McVicera.

Nie spełniło się ani jedno z tych oczekiwań. Oskarżenia nie zelżały, przeciwnie. Gladys po wyjeździe Geralda Dove'a myślała już tylko o swoim zranionym sercu, bo Gerald patrzył na nią dokładnie tak samo jak przed laty, gdy był chłopcem. A o tym, żeby Gerald Dove miał pracować u McVicera, nie było co marzyć, bo obaj przekonali się, że nie mogą na siebie patrzeć. Leo McVicer jeszcze nigdy w życiu nie pomylił się tak drastycznie w swoich rachubach.

Przypomniawszy sobie, jak niósł małego Geralda Dove'a na rękach przez wiszący most na Norwest Miramichi, jak patrzył na jego potargane wiatrem rude włoski – i zdziwił się, że w tamten słoneczny dzień tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku nie poczuł żadnego ostrzeżenia.

– Cząsteczka – burknął, zerkając na najnowszy artykuł prasowy o swojej firmie, i cisnął gazetę w kąt.

Wszystkiemu winna była cząsteczka – niewidoczna w mrozy ani w upały, ani na wielkich, czarnych wzgórzach, gdzie dzieciaki jeździły na sankach, ani w wapnie, które rozlewała moja matka, ani w poszyciu leśnym przy wielkich stawach, w których nic nie żyło. Niektórzy ludzie nie odczuli żadnych złych skutków, ale u innych – owszem, ucierpiały systemy odpornościowe. Ich dzieci rodziły się ze słabym sercem, niewydolnością płuc, a nawet bez pigmentu w skórze.

– Jak ja mam z nimi walczyć? – poskarżył się Leo, pierwszy raz w życiu zbity z pantałyku. – Jak ja mam walczyć z Geraldem Dove'em, skoro dbam o niego – albo z Elly, skoro o nią dbam?

– Nie wiem – przyznał Rudy, bliski płaczu.

– Ja nie mam zielonego pojęcia o cząsteczkach – ciągnął McVicer. – Jak byłem mały, usłyszałem, pamiętam, że coś takiego istnieje; przez jakiś czas zbierałem ziarnka piasku, jak najmniejsze, chciałem znaleźć cząsteczkę. – Pokręcił głową. – Ale nigdy nie znalazłem.

– Wiem – powiedział Rudy.

– A teraz ta Elly... ukradła mi pięćset dolarów.

Rudy spytał, czy może już iść.

Leo McVicer wstał, zapalił fajkę, wymacał w kieszeni metkę od sukienki Elly, którą kiedyś znalazł na podłodze, stanął w drzwiach i patrzył za Rudym, aż tamten odjechał.

Rozdział 11



O ósmej dwadzieścia rano dnia ósmego grudnia moja matka, wysławszy mnie i Autumn do szkoły, stanęła oko w oko z banalnością występku cielesnego, którego nikomu nie mogła zdradzić.

Poszła na spacer. Wiedziała, że jest w drugim miesiącu ciąży, ale rzadko zdarzało jej się donosić. (Po Autumn urodziła martwe bliźnięta i miała jedno poronienie.) Słońce oślepiało, jesienne niebo było bezchmurne, w dali, na polu, zaspy wczorajszego śniegu pozamieniały się w kruche, roziskrzzone fale. Śnieg na rzece miał kolor niebieski; przypomniało jej się, jak rok wcześniej szła po takim samym lodzie z Sydneyem, towarzysząc mu przy sprawdzaniu sieci: wirujące błyski słońca zapadały jak dotknięcia gwiazd w głęboki, podwodny świat pod ich stopami. Pod lodem, z obu stron świetlistych promieni, gromadziły się bąbelki powietrza. Sydney powiedział, że tego wyjątkowego dnia te bąbelki powietrza i te cudowne dotknięcia gwiazd należą tylko do niej. Wicher dał nad tym wszystkim bezlitośnie, tak jak dzisiaj. Wtedy też, przypomniało się matce, po jakimś czasie zebrały się chmury i przyćmiły słońce. Niżej widać było spienioną cieśninę Northumberland, uchodzącą wartkim nurtem do Północnego Atlantyku za Wyspą Księcia Edwarda.

Myśląc o tym wszystkim, Elly nagle poczuła się zadowolona ze swojego losu. Przecież jest właśnie tak, jak jej mówił Sydney: nikt nie jest właścicielem lodu ani promieni tańczących na rzece, ani słońca, ani jesiennych dni – nikt nie może odebrać jej prawa radowania się życiem. To prawo dostała skądinąd – od Kogoś innego. Sydney powiedział jej, że już jako mały chłopiec miał pewność, że o ile człowiek to rozumie, nie liczy się dla niego nic, co robią i mówią inni ludzie.

Elly szła od naszej nędznej, małej chatki w stronę kościoła, oddalonego o

dobrze parę mil.

Odwracała się plecami do wiatru, a chwilami maszerowała dzielnie pod wiatr, ale w końcu, kiedy stopy całkiem jej zdrętwiały z zimna, przyjęła ofertę podwiezienia – jednak tylko do zakrętu alei kościelnej – ze strony Hanny’ego Browna. Gdy mieszkała u jego rodziców, Hanny traktował ją jak starszy brat; tak samo odnosił się do niej teraz. Ilekroć miał okazję, wtykał matce do kieszeni pięć dolarów, a z nastaniem jesieni przyjeżdżał do nas z sukienkami dla Autumn Lynn.

Do samego kościoła św. Pawła Elly doszła pieszo. Im bliżej zatoki, tym drzewa były niższe i bardziej poskręcane, a wiatr kąśliwiej wiał w twarz. Weszła do kościoła, gdzie dla mnie zawsze pachniało starym dębem i odpuszczeniem grzechów. Przeżegnała się, uklękła, zapatrzyła się w fajansowego Chrystusa, którego rany krwawiły jak zawsze – i przypomniało jej się, jak upadła, zaczepiając o kabel od odkurzacza, i potłukła się do krwi. To okropne, że pan McVicer tak źle o niej myśli. A jeśli zawiadomi policję? Jeśli Diedre się dowie? Diedre, z którą się kiedyś wymieniało uściski i liściki, tak zwane „motyłkowe całuski”? Ach, jak Elly kiedyś kochała tę jasnowłosą dziewczynkę z małymi usteczkami, na których stale igrał uśmiech samozadowolenia.

Co się zmieniło między nimi? Po prostu życie. Elly zaczęła się modlić za swoje rodzeństwo, gdziekolwiek rzucił je los. Pomyślała, że gdyby ich kiedyś odnalazła – tu na chwilę poniosły ją marzenia – kochaliby się bardzo, a ona nigdy więcej nie musiałaby się bać, że władze odbiorą jej dzieci (o takiej ewentualności uprzedzała ją Diedre).

Siedziała w ławce. Czy to możliwe, że od jej ślubu z Sydneyem minęło czternaście lat? Że oni dwoje, niegdyś tak pełni nadziei, nadal nie mają

nic? A jednak kochają syna i małą Autumn Lynn, od tylu lat? Czy ona, Elly, nie uważa własnego szczęścia za oczywistość? Że Autumn jest albinoską – cóż to ma za znaczenie? Najważniejsze, że jest mądra i śliczna.

Nagle przypomniało jej się, jak Sydney poprawiał doktora Davida Scone'a u McVicera, parę miesięcy przed kradzieżą.

Scone, na widok ptaków fruujących między drzewami w wietrzne letnie popołudnie zacytował fragment pewnego wiersza, przypisując go Byronowi. Na to Sydney rzekł:

– Przepraszam, ale zdaje mi się, że to z sonetu Keatsa.

Doktor Scone odparł na to lekceważąco, że potrafi odróżnić Byrona od Keatsa, i zaśmiał się głośno. Sydney kiwnął głową i więcej się nie odezwał. Elly wiedziała jednak, że doktor Scone zacytował ten wiersz specjalnie, aby jej zaimponować, i był wściekły, że prostak wytknął mu pomyłkę.

Sydney nie przywiązywał do tego żadnej wagi. Gdy matka spytała go wieczorem, skąd pochodzi cytat, kazał jej sprawdzić w tomie wierszy zebranych Keatsa, strona 111, wers siódmy. Rzeczywiście, był to ten sam fragment.

– Dlaczego mu nie zaprzeczyłeś? – zdziwiła się Elly.

– Ach, bo taki był pewny swego, a ja go zawstydziłem; nie lubię tego robić

– odparł Sydney. – On właściwie nic w życiu nie osiągnął, z czego mógłby być dumny: ma dość Uniwersytetu Saint Michael, od lat usiłuje się stamtąd wyrwać... A przede wszystkim jest głęboko przekonany, że wie więcej ode mnie.

Elly wyszła z kościoła, skręciła w boczną drogę – i natknęła się na ojca.

Powiedziała mu, że smuci się z powodu wycieczki, której znowu nie będzie – szkoda jej dzieci.

– Nigdy nie byliśmy na wycieczce – poskarżyła się. – Nasze dzieci tak wielu rzeczy nie widziały.

– Będę się starał – odparł ojciec. – Na następne lato ja zaplanuję wycieczkę. Obiecuję.

Uśmiechnęła się dzielnie, bez słowa. Zapatrzyła się w dal obok niego; nie płakała.

– Co się stało? – zapytał.

Powiedziała mu, że znowu jest w ciąży, że boi się poronienia, że męczy ją sprawa z McVicerem.

– Z tym też sobie poradzimy – zapewnił ją ojciec.

Wtedy wyznała mu, co tydzień wcześniej sugerowała jej Diedre Whyne.

– Diedre mówi, że powinnam iść na zabieg, od razu mieć to z głowy i pomyśleć wreszcie o sobie.

– Ach, rozumiem – rzekł ojciec. – Chodzi o aborcję, to teraz bardzo popularne.

– Aborcja – powtórzyła moja matka, i parsknęła śmiechem, bo, jako żywo, nigdy jeszcze nie słyszała takiego słowa.

W nocy, chociaż matka już spała, ojciec długo nie mógł zasnąć. Chodził po izbie, rozmyślał; noc była niespokojna, on był sam. Widziałem, że jego lampka pali się w pokoju, bo siedziałem jeszcze nad lekcjami. Miałem nadzieję, że następnego dnia uda mi się wykraść starą strzelbę ojca i wyskoczyć na polowanie. Na razie wydarłem z gazety reklamę sprężynowca; trzymałem ją albo pod poduszką, albo w tylnej kieszeni

spodni.

Z winy matki (przynajmniej ja uważałem to za jej winę) odmawialiśmy co wieczór różaniec. Tym razem modliliśmy się, żeby mama nie zachorowała w czasie ciąży i żeby nic złego nie spotkało Autumn Lynn. A także o to, żeby ojciec nie stracił pracy i żeby odnalazły się pieniądze Leo McVicera. Położyłem się w końcu do łóżka pod skośną ścianą mojej klitki, mieszczącej się w głębi naszego pudełka do butów, zwanego domem.

Nasłuchiwałem kroków ojca i wyobrażałem sobie, co w tej chwili myśli. Jak większość ludzi, którzy nie zaznali szczęścia w nadmiarze, mój ojciec z góry zakładał, że jego obecna szczęśliwa passa – czyli praca – nie potrwa długo. Miał rację. Oboje z matką poczuli się podle: jeszcze trzy dni temu wszystkie nasze marzenia wydawały się ziszczalne.

Wiedział, że powinien sam, natychmiast, złożyć wymówienie. Ale nie mógł się na to zdobyć. Po namyśle doszedł do wniosku, że jeśli sprawdzi się w pracy – jeśli będzie harował ze wszystkich sił, do upadłego – to być może McVicer zrozumie w końcu swój błąd.

Tak czy owak, miłość do mojej matki i jej miłość do niego i do dzieci była, w mniemaniu ojca, stale zagrożona. Dlatego wołał zostać sam z własnymi myślami – ja byłem przecież jeszcze za mały, żeby go zrozumieć, a tym bardziej pocieszyć.

Nigdy nie mówił tego mojej matce, ale od dawna wiedział o jej wypadach do restauracji U Polly – koledzy w pracy dokuczali mu z tego powodu, tak samo jak mnie i Autumn dokuczali koledzy w szkole. Nawet Cynthia odwiedziła go latem, nazajutrz po tym, jak poprawiał doktora Scone'a, i zaprosiła na potańcówkę w nowym domu kultury. Akurat byłem wtedy z ojcem i pamiętam, jak zareagował. Powiedział, że niestety nie może pójść

– na co Cynthia mrugnęła znacząco jednym okiem.

– Kiedyż ty trochę zmądrzejesz i zadbasz o własne przyjemności? Elly na pewno niczego sobie nie odmawia – westchnęła obłudnie. – Dzień w dzień przesiaduje U Polly z Rudym Bellangerem; ciekawe, swoją drogą, co robią w tym samochodzie na długich, pustych drogach?

Ojciec rzucił mi udręczone, ale dzielne spojrzenie, i nic nie powiedział.

– Boże, czemu na to wszystko pozwalasz? – jęknął teraz.

Usłyszałem to z łóżka. Nie przejąłem się jednak nic a nic. Znałem ojca i wiedziałem, że często tak mówi. Czy Bóg albo ktoś inny odpowiedział mu kiedykolwiek na to pytanie – tego mi ojciec nie zdradził. Ja, kiedy rozmawiałem z Bogiem, nie pytałem go nigdy, dlaczego dzieje się to czy owo – ja go oskarżałem. Na tym polegała zasadnicza różnica między moim ojcem a mną.

Ojciec spojrział na śpiącą mamę. Wiatr wył dalej. Matka spała ze szczupłymi ramionami na wierzchu. Minę miała stroskaną, chwilami rzucała się przez sen. Bojąc się, że ją obudzi, ojciec przestał krążyć po pokoju; usiadł.

Ileż to razy mijał się z małą Elly na łące, gdy jako dzieciak wiązał w snopki siano dla jej przybranego ojca, a ona zbierała truskawki. Stali nawet obok siebie w kościele, całkiem tego nieświadomi.

Poznał ją dopiero wtedy, kiedy było mu to pisane. Nie wątpił w to, i wielokrotnie mi to powtarzał.

To może rzeczywiście nieroztropne, mieć teraz następne dziecko. Nie byłoby trudno tego uniknąć: nawet w okolicy znalazłoby się parę osób zdolnych i chętnych do oddania sąsiadce przysługi – zwłaszcza gdy chodziło o takich jak my. To bardzo ułatwia sprawę, chociaż nikt nie

powiedziałby tego głośno. Spełnienie pragnień moich rodziców nigdy nie wydawało się konieczne tym osobom, które za absolutnie konieczne uważały spełnienie własnych pragnień.

Ale od tygodnia mojego ojca dręczyła jeszcze jedna kwestia moralna. Nie przejąłby się nią żaden z pozostałych robotników pracujących przy moście, ale dla mojego ojca była to podstawowa kwestia sumienia.

Connie Devlin dostał wymówienie z powodu niewłaściwego stosunku do pracy. Konkretnie chodziło o pijaństwo. Connie, tydzień przed aferą z pieniędzmi, przyszedł do Sydneya z prośbą, aby się wstawił za niego u szefa. Tłumaczył mu, że skoro został wylany, to mogą nie dać mu zasiłku, a święta za pasem.

Zdarzało się, że Sydneya proszono o wstawiennictwo, bo budził zaufanie.

Nie było więc nic niezwykłego w tym, że przyszedł do niego Devlin.

Ludzie z jednej strony ufali mojemu ojcu, a z drugiej go wyszydiali.

Szyderstwo zawsze jest podszyte lękiem. Ten, z kogo ludzie najbardziej szydzą, budzi najczęściej największy lęk. Z mojego ojca szydzono przez całe życie.

Zastanawiał się, co zrobić. Nazajutrz rano poszedł do kantorka, by wstawić się za Conniem Devlinem.

Porier zawsze żył według zasad Leo McVicera. Postawił dom na jego ziemi, kupował w jego sklepie, nawet kredyt na samochód wziął z błogosławieństwem McVicera. Porier nie był roslym mężczyzną, ale miał byczy kark i tęgie ramiona, a dwójkę swoich dzieci, Griffina i Penny, uważał – tak jak i jego popędliwa żona – za dużo lepsze od dzieciaków innych ludzi.

Connie Devlin, który pracował jako stróż nocny, nosił przy sobie zegar,

który obowiązany był kasować kontrolnie co pół godziny. Po nocy poprzedzającej wylanie go z pracy na wydruku zegara brakowało siedmiu dziurek. To znaczyło, że przez trzy i pół godziny Connie nie był dość przytomny, aby użyć kasownika.

Sydney perswadował Porierowi, że Connie zasługuje mimo wszystko na kredyt zaufania, a co do McVicera – najlepiej będzie, jeśli o niczym się nie dowie.

– Może faktycznie Connie mówi prawdę i zegar jest popsuty – przekonywał Sydney.

Porier wcale nie chciał, żeby Leo McVicer dowiedział się, jak dobrze pracuje mój tata. Zazdrościł mu. Obawiał się, żeby Sydney nie urósł w oczach reszty robotników przez tę historię z Devlinem – wiedział, jaki mój ojciec ma mir wśród kolegów, i lękał się tego.

– Ludzie i tak nigdy nie docenią, co dla nich zrobiłeś – powiedział ojcu. Sydney odparł, że nie dba o to, co inni o nim myślą.

– Nie cierpię naiwniaków – fuknął Porier. – To zakała społeczeństwa.

Po czym demonstracyjnie rozłożył mapę rzeki, tylko po to, żeby pokazać mojemu ojcu, że jest zajęty i nie ma czasu na głupstwa. Na jego biurku stała fotografia dzieci i zdjęcie Gladys Bellanger z małą Penny na rękach. Gladys była matką chrzestną Penny.

Na dworze panował ziąb, parking dla ciężarówek zalany był betonem zmieszany z ziemią, niebo wyglądało jak sina skała. Plac przed barakiem był szary i nagi. Urwisko wzdłuż rzeki porastały krępe, pochyle drzewa, tej samej mętnej barwy, co betonowa breja.

Most, cal po calu, wgryzał się w nurt rzeki, robotnicy zatapiali kolejne podpory. Porier, bez reszty pochłonięty pracą, nie zważał na natręta.



Nagle oderwał wzrok od mapy.

– Devlin nigdy by ciebie tak nie bronił – burknął i pokręcił głową w takt słów: – Na pewno nie, na pewno nie.

Ojciec znów mu przytaknął, ale zauważył, że gdyby wzorował się na panu Devlinie, zapewne nigdy w życiu nie powiedziałby prawdy. Rzekł to z uśmiechem, dobrodusznie.

Po chwili dodał:

– Jeśli przywróci go pan do pracy, to ja zgłaszam się na dodatkowy dyżur stróża nocnego. To, mam nadzieję, rozwieje pańskie podejrzenia.

Wreszcie Porier, nie zmieniając pozycji, z irytacją przepchnął ołówek w drugi koniec biurka i oświadczył, że daje Conniemu Devlinowi jeszcze jedną szansę.

Twarz mu pociemniała i wykrzywiła się ze złości, mięśnie na karku nabrzmiały, bębnił nerwowo krótkimi, grubymi palcami. Złość zawsze nachodziła go jak atak choroby. Machnięciem ręki odprawił swojego ojca, uprzedzając go, że jeśli teraz Connie spóźni się choćby o pół godziny, to wylatuje z roboty bez pardonu – a razem z nim, dodał po namyśle, jak generał wysyłający wojsko na pewną śmierć, razem z nim wylatuje z roboty Sydney Henderson. A jak Leo McVicer będzie z tego niezadowolony, to on, Porier, sam złoży wypowiedzenie, i niech sobie szef zatrudnia zięcia do budowy mostu.

Co więcej, Porier oznajmił, że zmienił plan i na razie mój ojciec nie zostanie brygadzystą, czyli nici z czterdziestu dolarów tygodniowo.

Później tego ranka – było to na tydzień przed kradzieżą – Sydney udał się do domu Conniego. Kiedy przedstawił mu warunki powrotu do pracy, Connie wytrzeszczył oczy:

– Ty to dla mnie zrobiłeś? Niemożliwe!

– Jasne, że tak – uśmiechnął się Sydney.

– Ale dlaczego? – nie mógł zrozumieć Connie.

Rozejrzał się po pustej izbie, jakby szukał kogoś, z kim mógłby podzielić swoje bezgraniczne zdumienie.

– Uznałem, że wyrzucenie cię z pracy za pojedynczy incydent jest niesprawiedliwe – wyjaśnił Sydney.

– Niesprawiedliwe... – wymamrotał Connie, mieląc to słowo na języku i oblizując usta. – Coś podobnego...

Upłynął tydzień od tamtej rozmowy. Sydney złożył dłonie jak dziecko naśladowujące gestem wieżę kościoła i przypomniała mu się niemrawa mina Conniego Devlina, gdy mówił: „Coś podobnego...” Sydney dwa razy wziął za darmo zmianę stróża nocnego. Connie ani razu mu nie podziękował.

Elly znów była w ciąży, starsze dzieci rosły, a dom wciąż był ruderą.

Sydney pamiętał, z jakiego środowiska pochodzi Elly – ale po ślubie jej los niewiele się poprawił. Diedre Whyne miała całkowitą rację – i dlatego, między innymi, dusza Sydneya była niepoczyszona. Gdyby zrezygnowali z dziecka, byłoby im lżej. W sprawach doczesnych pani Whyne miała słuszność. Tylko że on i Elly nie zdobyliby się nigdy na coś takiego. Nie byli do tego zdolni.

A co z samochodem, który niedawno obiecał Elly, a ona – Autumn i mnie?

Przez całe życie mój ojciec obserwował ludzi, którzy mieli więcej szczęścia od niego i więcej osiągnęli, niejednokrotnie podstępem i oszustwem. Ale po co myśleć o takich ludziach, co to da?

– Będzie, co ma być – mruknął do siebie ojciec tamtej nocy.

Jednak wcale go to nie pocieszyło. Uśmiezek Devlina przygniótł nagle ciężarem jego serce, tak samo jak przed laty pogardliwe słowa doktora Scone'a. Wyciągnął rękę i pogłaskał Elly po głowie. Potem ukląkł i zaczął się modlić. Dlaczego dorosły mężczyzna klęka i modli się w bieliźnie? Nie mam pojęcia. Do dziś tego nie zrozumiałem.

Zawsze wiedziałem, że mój ojciec wyznaje stoicką filozofię życia, a zarazem ze stoicyzmem ufa, że życie dostarczy mu dowodów swojej wartości.

Wyjący wicher omiatał ściany naszego domu, szosa w oddali była całkiem ciemna. Tylko od czasu do czasu nadjeżdżał jakiś traktor z przyczepą pełną torfu i hamował ze zgrzytem przed zakrętem w boczną drogę, która biegła wzdłuż rzeki do starego mostu – światła traktora wyławiały wtedy z ciemności nasze górne okno, a za nim ojca, bladego i prawie nagiego. Chociaż taki chudy, mój ojciec był niesamowicie silny i odporny na zimno. Cały dzień potrafił przepracować w temperaturze poniżej zera, w samym swetrze, bez kurtki. Lód i śnieg były jego żywiołem. Żar lodu; błogi błękit śnieżnej planety.

## Rozdział 12

Gdy Rudy Bellanger późnym popołudniem w dniu zajścia z Elly zjawił się, blady i roztrzęsiony, u Mathew Pita, aby mu opowiedzieć, jak to moja matka kusiała go, pokazując majtki, potem odmówiła współpracy, a teraz na pewno pójdzie na skargę do Leo, że to on, Rudy, ją napastował – Mat przyjął to obojętnie. Zawsze podejrzewał, że ona taka jest: wsiowa dziwka z Tabusintac, w dzieciństwie doiła krowy, latała do kościoła i trzymała

krucyfiks pod poduszką – a potem wyszła za półgłówka, co czyta książki i mówi zagadkami. Takie hece, jak Rudy opowiada, to jeszcze nic. On, Mathew, świetnie zna takie jak ona – jakby na dowód, rąbnął w stół butelką rumu.

Sam, mówił, chodził z nią swego czasu na randki i wie o niej wszystko. Wina Rudy’ego leży, twierdził Mathew, w jego poczciwej naturze, uprzejmości i ogólnej przyzwoitości. Mathew pociągnął nosem, założył ręce i postukał czubkami butów o linoleum. Ale teraz, ciągnął, pora być twardym. Rudy zadrżał, patrząc na minę Mathew Pita.

– Co to znaczy, być twardym? – spytał szeptem.

– Skoro ona jest z tych, to szybko jej się dobierzemy do tyłka – wychrypiął Mathew.

Powietrze odurzało zapachem płonącego drewna i wonią jesieni zza frontowego okna, omiatającym zakurzony parapet starej chaty Pitów. Od siedmiu lat Mathew Pit uważał się za najlepszego przyjaciela Rudy’ego Bellangera, którego nazywał Banger, i robił wszystko, aby uzyskać jakikolwiek tytuł własności do tego, co teść Rudy’ego zostawił po śmierci. Robił w tym jednak jeden wielki błąd: od czasu do czasu powierzał Rudy’emu tajne informacje. Przed rokiem powiadomił go o działce, którą przeciąć miała autostrada, i przeżył szok, gdy Rudy natychmiast przekazał tę wiadomość swojej żonie, a ta z kolei swojemu ojcu. Leo wkrótce nabył kawałek tego terenu na swoje nazwisko, zarabiając kolejne trzydzieści tysięcy dolarów. A przecież Mathew, który, rzecz jasna, nie miał dość gotówki na taki zakup, zdradził ten sekret Rudy’emu z nadzieją na spółkę.

– Ty kretynie – wyrzucał mu potem. – Nie rób tego więcej, siedź cicho.

I uszczypnął Rudy'ego w policzek, żeby pokazać, że to był tylko żart.

Jednak jego uśmiech, obnażający równe, białe zęby, zdradzał złość.

– Ci cholerni McVicerowie mają wszystko, zawsze wszystko dla nich – a to powinno być twoje. Whyne'owie i McVicerowie podzielili się całą ziemią, a my dziadujemy.

Tym razem Mathew miał zamiar dopilnować, żeby okazja się nie zmarnowała, skoro czyjaś znudzona żona znów pokazała majtki. Wiedział, że Leo lubi tę kobietę i niewątpliwie świadom jest jej urody. On, Mathew, od kilku miesięcy usiłował ją skompromitować, nie tylko z powodu własnej urażonej dumy, ale i dlatego, że był realistą i – znając słabość Rudy'ego do Cynthii – przeczuwał, że może zdarzyć się coś, co przekreśli karierę jego przyjaciela. Już cztery razy, przy czterech różnych okazjach, radził Rudy'emu, żeby trzymał się z dala od Elly, ale osobą, którą Rudy znał najmniej, był on sam.

Mathew był jeszcze bardziej wściekły na mojego ojca, którego zawsze uważał za nieudacznika i przygłupa. (Owszem, słyszał, że Sydney czytuje Tołstoja i Conrada, ale co z tego?) Jak temu Sydneyowi mogło się to udać? – zachodził w głowę.

Mathew Pit sądził, że wszyscy widzą świat tak jak on. I sam nie zdawał sobie sprawy z tego, jak daleko zaszły przez parę lat jego fantastyczne plany – ani z tego, jak bardzo są one ukierunkowane na zdobycie zaufania Rudy'ego, a później – nagrody za to zaufanie. Rudy po pijanemu często mu powtarzał, że jak tylko stary umrze, oni dwaj zostaną współnikami. Jednak ostatnie zajście z kobietą, w której Mathew sam wciąż się podkochał, sprawiło, że jego domek z kart niepostrzeżenie zaczął się rozpadać.

Tego popołudnia Mathew baczniej niż zwykle przyglądał się Rudy'emu, niklowanemu sygnetowi na jego palcu i cygaretkę w zębach. W tle za głową Rudy'ego, pod brudnym oknem, wisiał kalendarz z prawie nagą kobietą, cały wysmarowany paluchami.

– Spokojna głowa, zajmijmy się tą kobitą – powiedział Mathew, rozrywając wielkimi łapskami skórzaną sznurówkę.

Mówił szeptem, strzelając okiem na prawo i lewo. Po chwili zabrał się do łatania rzemykiem śniegowca – robił to starannie, jak artysta.

Pod wieczór, kiedy Rudy opuszczał dom Leo McVicera – w pół godziny po moich rodzicach – wiedział już, co się stało. Mathew Pit okradł jego teścia.

Rudy przeraził się widokiem Elly; nie chciał rujnować życia tej młodej kobiecie. Zaraz po wyjściu od Leo McVicera pojechał z powrotem do Mathew Pita, zdecydowany odebrać mu pieniądze i ostatecznie zerwać z Cynthią.

Mathew tylko pokręcił głową i wrzasnął dziko na psa Trentona, a potem go kopnął. Zrobił to, żeby wzmocnić swoją kontrolę nad Rudym Bellangerem. Rudy wpadł w panikę, bo wyczuł z tej demonstracji siłę, jak wiele Mathew o nim wie i jak nim pogardza.

– Już nic więcej jej nie rób, wystarczy, to przecież tylko biedna kobieta, oni nic nie mają – perswadował Pitowi. – Sam chętnie bym się ich pozbył, jak to mówisz, ale nie podoba mi się, że mam w tym celu oszukiwać Leo. Innymi słowy, Rudy powiedział to, co zawsze mówi człowiek słaby, aby pokazać, że podziela zdanie innych. Przecież wcale nie chciał się pozbyć mojej matki. Wolał już oszukiwać Leo. Co więcej, sam czuł się oszukany przez teścia – i w gruncie rzeczy sprawiało mu to swoistą przyjemność.

Ale sam był wszystkiemu winien, przez swoją słabość.

– Przyszedłem odebrać pieniądze – powiedział.

Mathew roześmiał się.

– Jeszcze czego. Kto cię wyciągnął z tego bagna, jak nie ja? Ty, chłoptysiu, umiałeś tylko schrzanić mój dobry interes z działką nad rzeką – założę się, że Leo pięknie ci podziękował, żeś mu przypomniał o kawałku ziemi, który jeszcze do niego nie należy.

– Wiem, to był mój błąd, ale ty nie możesz sobie zatrzymać tych pięciuset dolarów – jęknął błagalnie Rudy.

– Zatrzymam je sobie tylko do świąt, tymczasem cała afera ucichnie – odparł Mathew ze spokojną pewnością i refleksyjną miną człowieka nawykłego do przypiekania pięt swoim ofiarom.

Rudy nie miał innego wyjścia, jak zagrozić, że w takim razie będzie zmuszony udać się na policję.

– Policja – świetny pomysł! – pochwalił Mathew. – Leo na pewno się ucieszy, tylko na to czekał.

Mówiąc to, wpatrywał się w Rudy'ego rozbieganym, denerwującym wzrokiem. Pod nosem i na brodzie rósł mu mizerny, jasny zarost. Ubrany był w dżinsową kurtkę i ciężkie, ubłocone, robociarskie buty. Ulizane blond włosy nosił zaczesane w plerezę, jak zawsze, chociaż moda na to dawno minęła.

Mathew jednak uważał, że każdy, kto ubiera się inaczej niż on, jest palantem. Nie znał innego słowa na wyrażenie złości i frustracji, którą w nim budził widok takich facetów: wyglądają jak dziewczyny, a gardzą nim, bo są lepiej wykształceni. A jeśli on jest antyintelektualistą, tak jak Leo McVicer? W końcu ma do tego prawo, z urodzenia. Przez całe życie o

n i pluli mu w twarz; nawet ci, którym ufał, po trzech latach studiów zaczęli patrzeć na niego z wyższością i lekceważeniem. Ale jak im wysiadło auto albo motorówka – to każdy leciał jak w dym do Mathew Pita.

Ich skarbem było wykształcenie, czego Mathew nie rozumiał – dlatego, tak jak jego siostra Cynthia, spiknął się z Rudym. Nie żeby się znał na jego interesach, ale przynajmniej Rudy mu nie zagrażał ani go nie poniżał. Tak go to wszystko gryzło, że od jakiegoś czasu zaczął nawet podejrzewać Sydneya Hendersona, że jest jednym z nich, tych intelektualistów – jednym z tych, którzy przy pierwszej lepszej okazji mogą przekreślić cały sens jego życia. Więc nie było dla niego ważne, czy Sydneya albo żonę Sydneya ktoś o coś oskarża. On sam ich oskarży, o co zechce. Zalecał się do niej, a ona nim wzgardziła. Co gorsza, Sydney dostał robotę przy moście. A most to duże przedsięwzięcie, część planu budowy autostrady przecinającej tamtą działkę, którą Mathew kazał Rudy'emu nabyć. Praca przy moście oznacza więc ponad rok dobrych zarobków.

Mathew już kiedyś napomykał o sabotażu. Ostatnio wrócił do tematu, i to całkiem konkretnie.

– Kiepski mają beton – mówił tydzień wcześniej do Cynthii. – A ostatni odcinek nawierzchni jest wybrzuszony. Gdyby tak wziąć laskę dynamitu i podłożyć, byłoby niezłe widowisko, co?

– Connie Devlin jest tam stróżem – przypomniała mu Cynthia. – Nie dałby ci spokoju, jakbyś zrobił coś takiego.

Cynthia była piękna i bardziej bezwzględna niż brat.

Mathew mimo wszystko postanowił zniszczyć most. Sądził, że przysłuży się Rudy'emu w jego kłopotach, jeśli w ten sposób zakwestionuje



kompetencje brygadzysty Abby'ego Poriera.

Teraz spojrzął na Rudy'ego Bellangera, na jego garnitur i złote spinki u mankietów, i zapytał:

– Wiele cię to kosztowało?

Rudy milczał. Poczzerwieniał tylko, zaczął się wiercić i poprosił o szklanekę wody. Mathew spełnił jego prośbę.

Rudy wypił jednym haustem i poprosił o jeszcze.

Wtedy Mathew znów uśmiechnął się do niego łaskawie.

Rudy chciał zbudować przystań dla dziesiątek nowych łodzi i żaglówek, które masowo pojawiły się na rzece. Marzył o tej przystani od dziesięciu lat, przez pierwszych siedem w sekrecie. Któregoś wieczoru upił się z Mathew Pitem i zdradził mu swój projekt. Pitowi oczy wyłaziły z orbit, gdy patrzył, jak Rudy szkicuje na papierowej serwetce plan obiektu, z barem, salą na górze i pomostem plażowym. Była to w zasadzie kopia przystani, którą Rudy widział w Halifaksie. Twierdził, że z łatwością uzyska fundusz w Izbie Przemysłowej Prowincji Atlantyckich, ponieważ zna osobiście trzy osoby zasiadające w komisji rozdziału dotacji.

I święcie wierzył, że jego plan podboju jest moralny z gruntu moralny – aż do czasu kradzieży. Od trzynastu lat, licząc od dnia ślubu, uważał sklep i cały majątek za swój. I nagle, przez Elly, wszystko stanęło na głowie.

Rudy zobaczył całe swoje życie jako walący się domek z kart. Od tej chwili będzie ostatnim człowiekiem, któremu wolno wypowiadać się w kwestiach moralnych.

Chociaż sam nie miał nic wspólnego z kradzieżą, jakże mógł nie powiedzieć, że wie, kto jest złodziejem? Co więcej: jakże mógł nie twierdzić, że pieniądze ukradli Elly i Sydney? Przecież musiał ratować

własną skórę.

Nie ma w charakterze człowieka większej wady niż chęć uczestniczenia w grupie.

Rudy żył w przekonaniu, że potrzebuje kogoś takiego jak Mathew Pit. Bo tacy jak Mathew Pit nie podlegają żadnej strukturze, ani nawet do tego nie dążą. Mathew z wykształcenia był mechanikiem, ale w razie potrzeby mógł się przestawić na każdy inny fach. Niepotrzebna mu była struktura organizacyjna, tak niezbędna ludziom interesu, do których zaliczał się Rudy. Mathew Pitowi wystarczył dobry plan; plan był dla niego ważniejszy niż wszystkie biura i zarządy. Tacy jak Mathew wiedzą, co to znaczy sprzedawać sznurowadła po piętnaście par za dwa dolary, ale też wiedzą, jak zarobić w tydzień dwa miliony. Wszystko zależy od dobrego planu. A Mathew miał swój plan, zakładający w perspektywie przeprowadzkę do Ontario z kupą pieniędzy (wyciągniętych od Rudy'ego) i zakup domku myśliwskiego na północy. Nikomu tego planu nie zdradzał. Wbrew pozorom, Mathew Pit i jego siostra nie byli relikdami przeszłości, lecz wprost przeciwnie – pionierami nowej, bezwzględnej przedsiębiorczości. Takie słowa jak „etyka” czy „odpowiedzialność moralna” spływały po nich jak woda po gęsi – ich domeną była bandycka lojalność i nienawiść. Prędzej daliby się spalić na stosie, niż zdradzili kumpla. A jednocześnie potrafili, zwłaszcza Cynthia, cynicznie wykorzystać przyjaciela i odwrócić się od niego w jednej chwili. Przez korytarz starej chałupy Pitów, obwieszony po obu stronach podobiznami starców i koni, widać było pokój na samym końcu, gdzie właśnie weszła Cynthia, prosto spod prysznic. Rudy zobaczył ją z daleka. Uległ raz jej wdziękowi, tuż pod nosem żony, ale obiecał sobie, że więcej

tego nie zrobi. Cynthia była piękna, miała czarne włosy i oczy, ale brakowało jej słodkiej łagodności Elly.

Oczywiście to już nie ma znaczenia, koniec skoków na boki, nawet dzikimi końmi nie zaciągną go z powrotem do Cynthii. Rudy nigdy już nie wpakuje się w kłopoty, i nigdy więcej nie przyczyni się do cudzej krzywdy.

Mathew patrzył na Rudy'ego z wyrazem szczerego zatroskania.

– Czym ty się właściwie martwisz? Przecież zrobiłem to, o co mnie prosiłeś, nie?

Rudy nigdy o nic nie prosił Mathew Pita, a już na pewno nie o obrabowanie teścia. Ale wołał wmówić sobie, że tak było, niż uznać drugą możliwość, zbyt dla siebie bolesną: że Mathew Pit ma go za nic i robi, co chce.

Oznajmił Matowi, że jego planowany czyn jest bardzo zły. A teraz nade wszystko zależało mu, aby jego wspólnik Mathew zrozumiał zło swoich zamiarów.

– Coś ci powiem – odparł szeptem Mathew. – Bronilem Sydneya, jak byliśmy mali, bo jego ciągle ktoś chciał lać. Nigdy za to dobrego słowa nie usłyszałem ani się nie dopominam. Wiadomo, jak on mieszka: trzy klitki, w zimie nie ma ogrzewania, a latem wysiedzieć się nie da, tak śmierdzi szczynami. Niewiele się tam zmieniło od dawnych czasów. A on mi jeszcze jest winien pieniądze ze spółki, wykołował mnie, i do tego łże na swoją korzyść.

Zamilkł, żeby rewelacje wywarły większe wrażenie. Po chwili podjął wątek, nadal szeptem:

– A pomyśl, co teraz może być: ona się od ciebie nie odczepi, wiadomo,

dziwka z Tabusintac, znamy takie. Na co ci to? Pozbądź się obojga, i koniec. Gdzieś w przyszłości czeka na ciebie fortuna – o tym myśl – nie pozwól, żeby niedopieczona dziwka stanęła ci na drodze do spełnienia marzeń. Ja tych pieniędzy nie tknę, a jak sprawa ucichnie, w swoim czasie, dajmy na to po roku, kiedy nasz wspólny interes zacznie się układać, podrzucę forszę z powrotem do sklepu – i nikt nie będzie stratny. Wszystko pójdzie w zapomnienie.

– Sam nie wiem... – bąknął Rudy. – Głupio mi... ze względu na nich... i na ich dzieciaki. Widzę przecież, jak wszyscy w koło śmieją się z Autumn, raz już powiedziałem głośno, co o tym myślę...

– Słuchaj no – sęczył szeptem Mathew. – Sydney to znany awanturnik. Zrozumże to wreszcie. Z dziesięć razy płaciłem za niego kaucję, w końcu się poddałem. Zresztą, spytaj Conniego Devlina – Sydney kiedyś zepchnął go z dachu. Na litość boską, ten gość ma nie po kolei we łbie – a ja tu mieszkam obok niego z upośledzonym bratem. Płakać się chce, słowo daję.

Mathew wstał i uściśnął ramię Rudy'ego, a Rudy uśmiechnął się i pokiwał głową.

Mathew w trakcie swojej przemowy przypomniał sobie niedawne upokorzenie, kiedy to jemu odmówiono pracy przy moście, a Sydney ją dostał. A Rudy? Rudy, jak to się dość powszechnie zdarza, doszedł do wniosku, że najbardziej opłaca mu się zainwestować w kłamstwo – co w przypadku moich rodziców oznaczało kompletną fikcję. Nie przewidział, do jakich rozmiarów to kłamstwo się rozrośnie ani jak monstrualny przybierze ostatecznie kształt; nie przewidział, ile ofiar pochłonie ten potwór kłamstwa; nie przewidział, że kiedyś ludzie, których znał tylko

jako dzieci, stoczą w ciemności walkę z tym potworem, z odwagą, jaką jemu nigdy do niczego nie była potrzebna.

Co gorsza – Rudy wiedział, że mój ojciec jest człowiekiem szlachetniejszym niż Mathew Pit. A jednak powiedział sobie: „Kimże ja jestem, aby osądzać, kto jest dobry, a kto nie? Wiadomo, jakie teraz są czasy – kokaina, Bóg wie, co jeszcze...”

Pomyślał o Sydneyu – jak to jeszcze rankiem, zanim spróbował dobrać się do Elly, uważał go za kogoś lepszego od siebie. I jak za tę domniemaną wyższość Sydneya znieważył jego żonę. Przypomniała mu się też Diedre Whyne, która traktowała Elly z góry i stwierdziła kiedyś złośliwie, że Elly powinna sobie dać podwiązać jajniki.

A on sam – czyż nie żerował na ludzkiej opinii o Elly, o jej urodzie (za sprawą surowych sióstr uchodzącej powszechnie za wadę), o jej pokorze (za sprawą zakonnicy poczytywanej teraz za głupotę)? No właśnie: czy podświadomie nie wykorzystał pogłoski o jej rzekomym braku inteligencji – czy to nie wzmogło „żywiołowości” jego uczuć wobec Elly?

Owszem, zakwestionował sugestię, że Elly powinna dać sobie podwiązać jajniki, za co pani Whyne pryncypialnie go zbesztiała. Ale w gruncie rzeczy opinia pani Whyne na temat mojej matki wiązała się subtelnie z tym, co leżało u podstaw protestu Rudy’ego. Każdy myślący człowiek zauważyłby, że ci, którzy pragnęli pomóc mojej matce – jak pani Whyne, i ci, którzy chcieli ją wykorzystać – jak Rudy, stanowili w gruncie rzeczy jeden i ten sam typ człowieka: jedni i drudzy traktowali Elly Henderson z góry, samych siebie uważając nie tylko za lepszych od niej, ale wręcz za odmienny gatunek człowieka.

Rudy Bellanger zrozumiał to dopiero teraz.

Nie oszukujmy się, to on, Rudy Bellanger, zrobił z Elly i Sydneya złodziei. Co gorsza – oboje oskarżeni przyjęli to bez słowa protestu. Na domiar złego – Elly wzięła winę na siebie, aby bronić męża. A najgorsze, że Mathew Pit, który siedział oto rozwalony przy kuchennym stole, prężąc krzepkie mięśnie i demonstrując tatuaże, nie przejął się w ogóle haniebnym kłamstwem Rudy'ego Bellangera.

A Rudy, widząc teraz to wszystko i rozumiejąc, świadomie postanowił skazać swoich rodziców na cierpienie. Zresztą, nie mógł już nawet odwołać własnych słów i przyznać się do winy. Być może, gdyby zrobił to od razu, teść by mu wybaczył – ale teraz już nie. Każdy kolejny dzień pogarszał sprawę.

I dlatego – chociaż na potępienie skazani zostali tylko moi rodzice i, przez pokrewieństwo, ich dzieci – ten sam akt potępienia zapoczątkował golgotę Rudy'ego. Rudy wiedział, że będzie musiał to ukrywać na wszelkie sposoby, jeśli nawet nie dla własnego dobra, to dla Gladys, którą przecież bardzo kochał. No właśnie – to była jego prawdziwa tragedia: miłość do Gladys. Kochał ją, chociaż nim pomiatała, tak samo jak jej ojciec, chociaż w złości wrzeszczała na niego: „Zostawię cię bez centa przy duszy, ty zabojadzie!”

Mimo wszystko ją kochał.

Podniósł wzrok na Mathew Pita.

– Chyba nie masz zamiaru naprawdę wysadzić mostu, co? – spytał z uśmiechem.

– A jak ci się wydaje? – odparł cicho Mathew.

– W takim razie uprzedzę ich, jak słowo honoru.

– Honoru? To ty masz honor? Różne tutaj o tobie krążą plotki, jakby tak

coś przypadkiem dotarło do twojej żony – a ona taka chora... Czemu właściwie miałbym cię osłaniać?

– Nie wolno ci mówić w ten sposób o Gladys.

– Jasne, jasne – zmitygował się Mathew z fałszywym szacunkiem. – Ale sam pomyśl, jakie będą korzyści z sabotażu mostu: koniec Poriera. To w swoim czasie bardzo ci – nam – ułatwi budowę przystani. A potem zatrudnisz mnie jako brygadzystę i zobaczysz, że nie ma lepszego. Jak most wyleci w powietrze, poszukają winnego – dajmy na to, Sydneya – i odtąd dla nas droga wolna, na wieki wieków! Nikt cię już wtedy o nic nie oskarży! Nie chcę cię straszyć, ja chcę tylko, żebyś pamiętał, że nasze układy jeszcze się nie skończyły – jeszcze nie. Zanim wczoraj tu do mnie przyszedłeś, wcale nie myślałem, że wysadzenie mostu to taki świetny pomysł. Ale teraz widzę, że to dla ciebie jedyne wyjście. Trzeba działać szybko, zastawić wnyki, bo Sydney już poleciał na policję.

– Naprawdę?

– A jak! Pomyśl, człowieku, jakby to twoją żonę tak oskarżyli, to co byś zrobił?

– Poszedłbym na policję.

– Ano widzisz. – Mathew pociągnął nosem. – I dlatego musimy szybko wykonać następny ruch – żeby mieć gwarancję – mnie chodzi tylko o to, żeby mieć gwarancję. Dla ciebie to robię, człowieku, nie dla siebie! O siebie nie dbam. Trzeba działać szybko – już. Kto stale kręci się przy moście, kto odwała wszystkie gówniane roboty? Sydney. A może mu się znudziło być takim popychadłem? Może chciał się odegrać na McVicerze? Mnie się wydaje, że tak właśnie było. A jak Leo wyleje Poriera – to do kogo się zwróci? I wtedy ty wkraczasz do akcji: stawiasz cały interes

teścia na nogi – czego chcieć więcej? Mnie, oczywiście, zatrudniasz jako brygadzystę. Tymczasem Sydney ląduje w więzieniu, a Elly nareszcie widzi, co ty naprawdę jesteś wart. Gladys jest nadal twoją żoną, to dobra kobieta – ale pomyśl, kogo możesz mieć na boku!

Rudy napił się wody. Wiedział, że tak już będzie do końca jego życia: ile razy Mathew Pit zechce się nim posłużyć, tyle razy lojalność, którą on, Rudy, z trudem w sobie wyhodował, rozwieje się jak obłok na jesiennym niebie. Dzisiejsza rozmowa była tego wyraźnym dowodem. Właśnie to mu w istocie komunikował Mathew. Każde zdanie Mathew Pita podszyte było warunkami – dlatego bali się go ludzie tak różni od siebie jak Rudy Bellanger i bracia Sheppardowie. Nie padło, co prawda, słowo szantaż, ale Rudy zrozumiał, że zaufał człowiekowi, który nie żywi do niego ani krzty sympatii. Tak wyglądało całe życie Rudy’ego: był słabym człowiekiem i pozwalał ludziom kręcić sobą jak szewc kopytem. Wysadzenie mostu miało służyć między innymi utrzymaniu Rudy’ego w ryzach. Trudno powiedzieć, na kogo naprawdę Mathew Pit zastawiał wnyki.

– Mnie ten most ani ziębi, ani grzeje, ale jak wyleci w powietrze, to ktoś będzie musiał wybulić kupę forsy – burknął Rudy, najbardziej nonszalancko, jak potrafił, z nadzieją, że tą uwagą zniechęci Mathew Pita do podjęcia akcji.

– No i na tym właśnie polega cała zabawa – odparł Mathew, świdrując go bezczelnym, bladoniebieskim spojrzeniem.

Rudy wstał, włożył białą puchową kurtkę, w której wyglądał jak rumiany nastolatek, i skierował się do drzwi, po drodze nasadzając na głowę tweedowy kapelusz. W blasku lamp przyzmy śniegu sprawiały przytulne wrażenie. Za Rudym snuł się zapach dżinu, ulubionego napoju Cynthii, i



marihuany, na której zapas Mathew planował wydać zaraz po świętach całe pięćset dolarów.

Mathew wybiegł za nim, namawiając, żeby jeszcze posiedział (bał się bowiem, co Rudy może teraz zrobić albo powiedzieć), wreszcie uciekł się do ostateczności – zawołał Cynthię. W samą porę weszła do kuchni.

– Rudy! – zawołała przymilnie, machając torebką kokainy.

Rudy potulnie zawrócił po schodach, omal nie wywijając orła na czarnym lodzie. Udawał, że jest zły, zajęty ważnymi sprawami, i wcale nie ma chęci widzieć się z Cynthią. Tak jak przed moją matką, zgrywał ważniaka, nieświadom, że naprawdę jest tu ważny. Udawał, że potrafi oprzeć się Cynthii. Ale Cynthia miała gołe nogi, różową koszulkę i pachniała olejkiem do kąpieli. Gdy jej oświadczył, że nie zostaje, zrobiła nadąsaną minę i odwróciła się na pięcie – ale wtedy on zajrzał jej pod koszulkę. Miała na sobie tylko majtki bikini.

– Och, ty zawsze to samo! – mruknęła Cynthia, pospiesznie oblizła białe zęby i przyłgnęła do Rudy'ego całym ciałem.

Chciał się wyrwać, ale jej słowa udaremniły ucieczkę. Cynthia pocałowała go po francusku. Otworzyła oczy, kiedy Rudy miał jeszcze zamknięte, zerknęła na brata i mrugnęła porozumiewawczo.

## Rozdział 13

Gdy Rudy zabrał się do domu, Mathew wyszedł na dwór. Po ciemku stara chałupa z dachem o dwóch szpicach wyglądała drapieżnie i samotnie – to drugie było prawdą, zważywszy znaczne oddalenie od miasteczka. Pożar, o który obwiniano mojego dziadka, a potem ojca, poczernił welon drzew

rosnących dookoła i powalone kikuty pni, za którymi stała w rowach czarna woda.

Ludzie omijali ten dom w drodze do innych gmin i innych spraw.

Językoznawcy z uniwersytetu Fredericton nie mieli pojęcia, że Cynthia potrafi w dziesięć minut rozwiązać każdą krzyżówkę, a informatykom nie przyszłoby do głowy, że Mathew bezbłędnie i błyskawicznie rozpoznaje po odgłosie parametry silnika dowolnego auta ciężarowego lub osobowego. Mało to obchodziło ludzi mijających chałupę, za którą walały się wraki samochodów i zdezelowane silniki.

Świat pędził naprzód, a Mathew i Cynthia wyczytywali z jesiennego nieba, że era informatyczna spycha w cień wszystkie poprzednie epoki. Najwyżej raz czy dwa za ich życia zdarzyło się osobom ze środowiska Pitów przebić mur społecznej obojętności – wybrańców potraktowano jednak z taką pobłażliwą wyższością, że do bardziej wykształconych warstw społeczeństwa wieść o geniuszu z nizin nigdy nie dotarła. Na ogół tacy jak Mathew bywali obiektem drwin, szyderstw i strachu. Im to przypisywano fanatyczną wrogość wobec Pierwszych Narodów (choć Mathew więcej miał do czynienia z przedstawicielami Pierwszych Narodów niż którykolwiek z oskarżających go profesorów i pisarzy). Im zarzucano nietolerancję (choć Mathew pracował przy niejednej drodze i nieraz dzielił się tam chlebem z czarnymi obywatelami Africville). Im też zarzucano męski szowinizm – chociaż akurat Mathew uważał Cynthię za kogoś lepszego od siebie.

Świat poszedł do przodu i podzielił się na łatwe do zarządzania koncerny, porzucając rodzeństwo Pitów na marginesie. No, może w pewnym sensie uwzględniał jeszcze Cynthię, z uwagi na płeć. Natomiast Mathew w wieku

lat trzydziestu trzech czuł, że życie się od niego oddala. Jeżeli wkrótce nie spadną skądś pieniądze, trzeba będzie przejść na zasiłek. A on już tego nie chciał, brzydził się. Od dawna pragnął, żeby go ludzie zauważali. Kluczem do tego miał być Rudy Bellanger. Pomysł z mostem miał służyć nie tyle zyskaniu przychylności Leo dla Rudy'ego, ile utrzymaniu pod obcasem Rudy'ego, który kiedyś na pewno będzie bogaty. Taka była idea Mathew Pita, a Rudy przejrzał ją bez trudu. A jednak w głębi duszy Mathew czuł, że robi błąd.

Odwrócił się i zdecydowanym krokiem przeciął szosę, zagłębiając się w mroczny, wyziębiony, jesienny las. Szedł ścieżką wydeptaną przez dzieciaki – także przez siebie, przez Sydneya i Conniego, kiedy byli mali, przez ich rodziców, kiedy byli mali – schodził w dół po stoku. W takich ciemnościach każdy inny zgubiłby drogę, ale Mathew kroczył pewnie, wprost do celu. Nogi i ramiona miał grube, plecy szerokie i masywne. Przystanął. Coś lazło ku niemu ścieżką, posuwając się chwiejnymi meandrami. Mathew rozpoznał niedźwiedzia, otumanionego zapasem tłuszczu na całą zimę. Stał i czekał – niedźwiedź jeszcze go nie zauważył, ale nie było dokąd uciec, zresztą strach odwracać się plecami do niedźwiedzia. Niedźwiedź podszedł całkiem blisko i stanął jak wryty, wężąc dookoła – w tej samej chwili Mathew z całym impetem przywalił mu pięścią w nos. Niedźwiedź ze skowytem czmychnął między drzewa, a Mathew zapalił papierosa i ruszył dalej. W połowie lat pięćdziesiątych była u nich w domu taka bieda, że ojciec każdej jesieni zabijał niedźwiedzia: mięso szło na mielone, a kości i tłuszcz się gotowało – kości na zupę, a tłuszcz na mydło. Tak zapamiętał Mathew swoje dzieciństwo: chałupa śmierdząca kapiącym niedźwiedzim łojem, który zastyga w

mydło, i polewka z niedźwiedziego mięsa na kolację. Od tamtego czasu nie bał się niedźwiedzi. Za to zawsze bał się ojca.

O drugiej nad ranem, kilka godzin po tym, jak Leo wyrzucił od siebie moich rodziców, Mathew skręcił w dróżkę do domu Conniego Devlina. Wszedł od tyłu, przez niedużą, schludną kuchnię, otwierając zamek scyzorykiem, znalazł Devlina w sypialni i obudził go brutalnym szturchnięciem.

– Chcesz coś dla mnie zrobić, chodzi o drobiazg, i raz na zawsze odegrać się na Sydneyu Hendersonie? – spytał bez ogródek.

Connie otworzył oczy powoli, bez lęku; spojrzął na zegarek i szybkim ruchem potarł nos. Gębę miał czerwoną jak burak – niby dzieciak, który najadł się konfitur. Usiadł.

– Co to za drobiazg?

– Chcę rozwalić kawałek mostu, ten, co i tak jest do wymiany. Wina spadnie na Sydneya. Niedużo się zniszczy, z siedem, osiem stóp najwyżej – na tym odcinku, co i wam się nie podoba. Jest tam taka zapora ochronna; wydaje mi się, że wystarczyłoby w nią walnąć półtonową ciężarówką.

– Ale po co on miałby rozwalać most? Dlaczego ja mam to robić? Nic nie rozumiem.

– Zarobimy na tym kupę forsy, przysięgam ci, chodzi tylko o ten kawałek, trzeba go rozwalić.

– Kto ci za to płaci?

Mathew namyślał się chwilę.

– Rudy Bellanger. O ile wszystko pójdzie jak należy.

– Przecież to jego firma?

– No i dlatego wszystko jest legalne.

Connie odparł na to, że dopiero co przyjęli go z powrotem do pracy i nie ma zamiaru ryzykować. Nie przyznał się, że to Sydney wyzebrał mu ponowne przyjęcie, pod surowymi warunkami.

– Paskudna sprawa – zmienił temat Mathew. – Sydneya właśnie przyłapali na kradzieży; obrobił Leo...

– Rany boskie, gdzie? Przy moście?

– Nie, ukradł z domu... właściwie Elly to zrobiła.

– Elly!

– Podobno tak, ale w końcu i tak zwałą wszystko na ciebie, jak zwykle.

Connie spojrzał na niego zaskoczony.

– Na mnie?

– Nieważne, może nie – powiedział Mathew. – Ważne, że możemy teraz zrobić coś wielkiego. Możemy obaj wykonać błyskawiczny krok w przyszłość. Pod warunkiem, że mi pomożesz z tym mostem... – Wyciągnął z zanadrza laskę dynamitu, którą miał od dłuższego czasu. – Sprawa jest prosta: kawałek mostu łąduje w rzece, a nam Rudy wypłaca po cztery bańki.

– Po cztery bańki?

– Tak jest, po cztery bańki. Przysłużymy się Rudy'emu – Rudy potrzebuje naszej pomocy, a przecież my kochamy Rudy'ego, ty i ja.

– My? Kochamy Rudy'ego?

– W każdym razie ja go zawsze lubiłem, nie wiem, jak ty.

– Ja też – bąknął Connie Devlin, przebierając palcami w wielkich czerwonych skarpetach (od dzieciństwa sypiał w skarpetkach, bo marżyły mu palce). Kichnął i zakaszłał. Powiedział „ja też”, bo nie wiedział, co będzie, jeśli powie „ja nie”. Mathew był jego bliskim kuzynem. Stale coś

kombinował, na różne sposoby. Po jego minie Connie zaraz poznał, że Elly nie okradła Leo McVicera. Okradł go Mathew.

Oto, na czym polegała różnica między Mathew Pitem a jego dwoma kolegami. Connie miał na Mathew Pita tyle samo haków, co Mathew Pit na Rudy'ego Bellangera. Ale Connie był lojalny i siedział cicho, natomiast Mathew stał się wobec Rudy'ego arogancki i niebezpieczny.

Connie Devlin słuchał planu Mata. Ma tylko wyłączyć światło, kiedy Mathew będzie wjeżdżał ciężarówką w zaporę i rzucał dynamit. Mathew nie znał się na materiałach wybuchowych, ale wiedział, że Sydney się zna. Cała wina spadnie na Sydneya. A dalej już wiadomo.

Cynthia zrazu była przeciwna kradzieży, bo jak dotąd wszystkie plany jej brata paliły na panewce. Ale ni stąd, ni zowąd, tuż przed wizytą Rudy'ego, oświadczyła mu, że albo on dowiedzie, że potrafi coś zrobić porządnie, albo ona zacznie mieć o nim takie samo zdanie, jak wszyscy.

– To znaczy? Jakie wszyscy mają o mnie zdanie?

– Że jesteś mocny w gębie, a w środku masz cykora odparła Cynthia.

Rzucił jej wściekłe spojrzenie. Jednakże, gdyby mu tego nie powiedziała, nie pomyślałby pewnie nigdy o dynamicie ani o moście.

Zostawił Conniego i ruszył w długą drogę powrotną do domu.

Cynthia w dzieciństwie zawsze zazdrościła bogatym i możnym – politykom i wszelkiej maści dziwakom, którzy pobudowali sobie letnie domki nad naszą zatoką. Przyjeżdżali całymi rodzinami, z Montrealu, Oshawy, Ottawy i Toronto. Specjaliści od przeganiania zauroczonych nimi miejscowych dzieciaków. Cynthia nade wszystko pragnęła stać się taka jak oni.

Mathew był jej jedyną szansą działania, ale błyskotliwy umysł Cynthii

dostrzegał cele ataku, w które Mat sam by nie ugodził. Choćby samego McVicera, gdy zajdzie potrzeba.

Cynthia nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej uszczypliwa uwaga tak zmieni postawę brata – i że podejmie on wyzwanie wysadzenia mostu dla czystej hecy.

Tym razem to ona popełniła istotny błąd.

## Rozdział 14

W miarę jak rozchodziła się pogłoska o kradzieży, na mojego ojca spoglądano coraz bardziej podejrzliwie, a koledzy zaczęli się od niego odsuwać. Jakiś tydzień po powrocie Conniego Devlina do pracy zaniósłem ojcu obiad na most. Trzymałem garnek jak kelner, zachwycony, że nareszcie mam coś do przyniesienia mojemu tacie. Ojciec wyszedł mi naprzeciw, wziął garnek, pogłaskał mnie po głowie i chciał usiąść do jedzenia obok Conniego. Ale Devlin odwrócił się i głośno powiedział: – Ja się nie zadaję ze złodziejami. Idź se siądź gdzie indziej, nie będziesz mi tu chuchał swoimi złodziejskimi zarazkami.

Rozśmieszyło to wszystkich – na co zresztą Connie liczył. Zatrząsałem się z oburzenia. Mój ojciec siedział bardzo długo ze spuszczonej oczami, w końcu uniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Idź już do szkoły, synu.

Autumn i ja dowiedzieliśmy się o kradzieży dopiero w szkole. Moją pierwszą reakcją była myśl, jakie to oczywiste, że obwinia się właśnie nas. Zawsze chodziłem do szkoły w krawacie – zupełnie jakby matka chciała do końca odizolować mnie od grupy. Krawat, gruba biała koszula, stary

garniturek i czarne buty – to był mój szkolny strój. Autumn zawsze chodziła w sukience, białych skarpetkach i czarnych skórzanych pantofelkach, które kiedyś nosiła nasza mama. Autumn miała czerwone oczy i cienkie, blade rzęsy. Któregoś dnia, gdy dzieci znowu się z niej wyśmiewały, szepnęła mi na ucho:

– Zobaczysz, kiedyś będę miała takie oczy, że spojrzę wszystkim w twarz. A moje nowe oczy... wiesz, Lyle, jakiego będą koloru? Niebieskie jak jesienne niebo.

Na razie jednak chodziliśmy do szkoły odziani tak, jak zdaniem naszej matki winno wyglądać dziecko ubrane do wyjścia. Styl salonowy z wsiowym akcentem. To, że nie potrafiłem użyć pięści w naszej obronie, sprawiało, że ciągle byłem w sytuacji zagrożenia. Chłopcy bez przerwy prowokowali mnie do walki, czasem po dwóch, trzech naraz. Przezywali mnie „mały lord Fauntleroy”.

Kiedy dokuczali Autumn, chowała się za moimi plecami. Ale czyja im oddawałem? Nie – bo ojciec mnie nauczył, że stosowanie siły jest głupie i bezsensowne. Odwracałem się tylko, zawstydzony, i razem z siostrą cierpliwie znosiłem bezduszne, notoryczne wygłupy kolegów. Moją matkę nazywali złodziejką, a potem jeszcze kurwą. Mówili, że pija dzin U Polly, a Rudy Bellanger zdejmuje jej majtki, kiedy chce.

Z drugiej strony potoku nadciągały dni coraz krótsze i wiatr nawiewał sypki, drobny śnieg na sterczące rzysko zaoranych w grzebień pól.

Wracałem do domu i z niepojętą udręką wpatrywałem się w matkę. Nie mogłem jej zapytać, czy to wszystko prawda.

Zazwyczaj wstawałem przed śniadaniem, bo moim obowiązkiem było dokładać do pieca; czasem też wysyłano mnie, na zmianę z Autumn, abym



czekał u wylotu drogi na mleczarza. Mojej siostrze dobrze szło w szkole, mnie nie. W sportach też nie byłem najlepszy. Za to sprawdzałem się w lesie. Już wtedy miałem spenetrowane całe nasze lasy i okolice, znałem też miejsce, w którym wędrujące łososie podpływają najbliżej brzegu.

Znałem leśne niebezpieczeństwa. Wiedziałem, co to znaczy pomylić kierunek i zgubić się. Gdy przychodziły zimne dni i spadał pierwszy śnieg, zaczynałem planować wypad do lasu z sidłami na zające i pułapkami na norki – na to, co mogłem potem sprzedać za parę centów. Nie potrzebowałem pieniędzy dla siebie; zbierałem na szkła kontaktowe dla Autumn, żeby mogła mieć swoje wymarzone niebieskie oczy. Tropy zające i norek znajdowałem, rzecz jasna, z łatwością, zauważyłem też ślady kojotów przybywających w nasze okolice. Tutejsze kojoty były prawie tak duże jak wilki, bo parzyły się z dzikimi albo zbiegłymi z gospodarstw psami.

W grubej kurtce, kamizelce myśliwskiej i ocieplanych butach spędzałem popołudnia z dala od ludzi, biegając, gdzie mi się spodobało, i znacząc swój szlak śladami śniegowców.

Trenton, brat Mathew Pita, miał dziewiętnaście lat, ale wyglądał jak dziecko. Pętał się stale koło budowy mostu, chociaż wszyscy go stamtąd odganiaли, i zbierał gwoździe, drut, kawałki betonu i grudki kitu. Nie tylko mój ojciec, ale i Porier musiał przeprowadzać Trentona przez szosę, bo z za zakrętu stale wyjeżdżały ciężarówki zmierzające w stronę objazdu. W tym roku często padał śnieg i któraś mogła łatwo Trentona potrącić.

Stara nie miała siły wszędzie za nim latać – zrobiła to tylko raz – więc próbowała go trzymać pod kluczem, ale Trenton zawsze miał dość sprytu, żeby się jakoś wyrwać. Opiekuńczość mojego ojca natrafiła jednak na

barierę w osobie Mathew Pita: Mathew oświadczył, że nie życzy sobie widzieć mojego ojca na swoim podwórku. Może bał się, że Trenton coś wygada? – nie wiem, tak tylko przypuszczam. Mimo to Sydney dalej eskortował Trentona do domu. Pitom się to nie podobało. Któregoś wieczoru Mathew wyszedł przed dom i kategorycznie zabronił Sydneyowi odprowadzania chłopca. Byłem wtedy z nimi.

– Kiedy to dla mnie żaden kłopot – bronił się Sydney.

– Nieważne, trzymaj się z daleka od chłopaka, trzymaj się z daleka, słyszałeś? Nie chcę, żeby on się z tobą zadawał.

– Ale most... – próbował tłumaczyć mój ojciec.

– Most! – prychnął Mathew. – Dzień i noc nic innego nie słyhać, tylko hurgot ciężkiego sprzętu na tym moście. Jego się tu w ogóle nie powinno budować, to wszystko gierki polityczne, nas nikt nie pytał w tej sprawie o zdanie, a ja z tego wszystkiego nie mam ani centa. To także twoja wina – sprzątnąłeś mi robotę sprzed nosa. Odwal się raz na zawsze od tego małego.

Trenton następnego dnia znów przyszedł na budowę. Sydney postanowił więc pogadać w tej sprawie ze starą, Alviną Pit, kiedy Mathew nie będzie w domu. Osiemnastego grudnia osiemdziesiątego drugiego roku, po kolacji, przeszedł na drugą stronę potoku Arron, do domu Pitów. Z komina snuł się biały dym, na starym karczowisku za domem osiadł świeży śnieg, niebo nad dalszym odcinkiem białej drogi rozjaśniały luną ustawione przed domami choinki.

Alvina też właśnie ubierała choinkę przed domem. W jej minie, małym zadartym nosie, nieco zbyt blisko osadzonych oczach i zwiotczałych ustach mój ojciec dostrzegł Cynthię za trzydzieści lat.

Alvina spojrzała na Sydneya tak, jak ją uczyli: jakby cała jego mądrość, niezrozumiała dla większości ludzi, była podstępłą sztuczką. Tak mówił Mathew. A Alvina, jak wiele bezmyślnych kobiet, słuchała swego syna jak wyroczni.

– Sądzę, że moim obowiązkiem jest uważać na Trentona – powiedział Sydney – bo kiedy znika on z oczu pani i Matowi, zostaje całkiem sam.

– Sama na niego uważam, ile trzeba! – odburknęła pospiesznie, dając mu do zrozumienia, że należy do tych, przed którymi ona i jej syn Mat zamierzają bronić Trentona. Wiedziała przecież, jak upokorzył jej syna Mata. Mathew sam jej powiedział.

Mój ojciec spojrzał na jej stare palto i podarty szalik, przez chwilę obserwował jej ruchy. Zza domu dobiegł świst zadymki, niebo pociemniało, poczerniały oblodzone, wyziębione wiatrem kozły do rżnięcia drewna, porzucone w kącie dziedzińca. W oknie na górze zapaliło się światło – Sydney zerknął tam machinalnie i w przedpokoju zobaczył Cynthię.

– Nie musi pani za nim wszędzie biegać – powiedział. – Dla mnie to żaden kłopot odprowadzić go do domu.

– My się nim opiekujemy, dziękuję bardzo – odparła. – Ty i o swoich nie umiesz się za dobrze zatroszczyć.

Nie patrzyła przy tym na niego, lecz na świerkową choinkę, do której próbowała przypiąć lampki.

Była przekonana, że słusznie mu nie ufa – dorosły facet, wyśmiewany powszechnie jako dziwak i odmieniec. Dziwak oznaczało w pojęciu Alviny tylko jedno, chociaż nie ośmieliłaby się powiedzieć tego głośno.

Złapała mego ojca za połę kurtki, jakby chciała, żeby ją dobrze usłyszał, i

zapewniła go, że życie Trentona jest w ręku Boga. Trenton, dodała, był jej późnym dzieckiem i dlatego właśnie Bóg w mądrości swojej uczynił go takim, jaki jest. Trenton to radość dla całej rodziny.

Trenton, ubrany w kombinezon starego, skulił się za plecami matki, gdy Sydney wyciągnął w jego stronę specjalnie przyniesionego lizaka.

– Pan Bóg w mądrości swojej ma wszystkie włosy na głowie Trentona policzone – ciągnęła Alvina, powtarzając dokładnie słowa ojca Poriera. Sydney kiwnął głową.

– Ja o tym wiem, pani Alvino. Ale co mu z tego przyjdzie, jeśli jutro w nocy straci życie na moście?

Myśl ta przeraziła Alvinę.

– Jak się jeszcze raz do niego zbliżysz, zawołam policję! – ostrzegła Sydneya.

I odeszła do domu po zmrożonych grudach klepiska. Grube czarne nylonowe pończochy ze szwem zwijały jej się przy kostkach.

Trenton odwrócił się i, przygarbiony, pognął za matką, wymachując pajęczymi nogami, z lizakiem zaciśniętym w rękawicy z jednym palcem.

Tata wrócił do domu i zrelacjonował nam rozmowę z Alviną Pit niemal co do słowa. Rozmowę tę, tak jak inne zasłyszane, zapamiętałem i przekazuję ją teraz panu. Sydney powiedział mojej matce, że źle zrobił, strasząc Alvinę ostatnią uwagą: wypowiedział ją w desperacji, aby przekonać starą.

– Niepotrzebnie ją wystraszyłem – mówił. – Wszystko przez ośli upór Mata.

– Jeśli chodzi o bezpieczeństwo na budowie, powinien do niej pójść Porier, a nie ty – wtrąciłem się.

– Przecież Porier ma to w nosie – odparł mój ojciec. – Nie obchodzi go, że

komuś stanie się krzywda – nie dlatego, że jest zły z natury, ale dlatego, że na całym słabym odcinku mostu porozmieszczał tablice ostrzegawcze, a na końcu postawił zaporę.

Potem ojciec poradził się matki, czy powinien zadzwonić do Alwiny z przeprosinami.

Matka westchnęła.

– Daj już spokój. To ich sprawa. Lyle ma rację: to Porier powinien z nimi porozmawiać. Miejmy nadzieję, że nic złego się nie stanie.

Wtedy mój ojciec zaczął mówić szybko, cicho, jakby do siebie. Siedziałem obok i widziałem, jak drżą mu ręce. Mówił, że nie wie, dlaczego w dzieciństwie tak nim pomiatało, dlaczego urodził się w takiej biedzie, dlaczego stale napotyka takie trudności, skoro ludzie piszący do gazet i zasiadający w kolegiach sądowych nie doświadczyli niczego podobnego ani przez jeden dzień.

– Ale pamiętajcie – powiedział głośno – że zawsze pozostaje nam wiara w Boga i w to, że wszystko się odmieni.

– A skąd to wiadomo? – warknąłem ze złością. – Ksiądz nie dał nam nawet w tym roku świątecznej paczki.

– Ksiądz to nie kościół, synu, a kościół to nie wiara odparł ojciec.

Potem powiedział nam, że ucieczką od życia były dla niego książki. A z książek dowiedział się, że trzeba cierpieć, chociaż nie wiadomo dlaczego.

– Pamiętasz, jak Cynthia urodziła martwe dziecko? – spytała matka. – Pamiętasz, co Mathew wtedy o tobie mówił? Powie to jeszcze raz, jak znajdzie okazję.

– Wilk zawsze będzie kęsać – dorzuciłem. – Ojcem tego dzieciaka był Danny Sheppard, wszyscy to wiedzą, a i tak przez długi czas obwiniali

ciebie!

Ojciec pokiwał głową i nie odezwał się więcej.

## Rozdział 15

Następny dzień był jego ostatnim dniem pracy. Wiedzieliśmy, że po świętach zostanie zwolniony. Jedyne, co mu się udało, to przywrócić do roboty Devlina, a teraz sam musiał odejść. Ta ironia losu musiała bardzo cieszyć Mathew Pita.

Tata wstał wcześniej niż zwykle i nie jadł śniadania. Trzeba było ściągnąć linami trzeci odcinek mostu, który wybrzuszał się na skraju. Dzień ten przez długie lata odżywał w mojej pamięci.

Ojciec wyszedł do pracy o siódmej, pracował bez przerwy, a do domu wrócił około wpół do szóstej. O wpół do siódmej zadzwonił telefon: pani Pit pytała, czy jest u nas Trenton.

– Nie, nie ma go – odparł Sydney.

– Chyba go nie... chyba go przede mną nie kryjesz?

– Skądże znowu.

– Tylko bez żartów, bardzo proszę. Cynthia przypuszcza, że ukryłeś go u siebie, żeby zrobić nam na złość. Mówi, że albo nas uważasz za złych ludzi, albo trzymasz chłopca... z innych powodów.

– Pani Pit, proszę powiedzieć Cynthii, że nigdy bym się do czegoś takiego nie posunął; nie jestem do tego zdolny.

Na dworze panował trzaskający mróz. Ojciec włożył roboczy kombinezon i poszedł szukać Trentona. Odprowadziłem go do ujścia potoku. Nie odezwał się ani słowem. Czułem jego napięcie.

Z młodych jodełek na tyłach naszego domu opadały falbanki śniegu. Od strony rzeki widać było z daleka chwiejne snopy światła latarek, z którymi biegali spanikowani ludzie, Cynthia i inni; słysząc też było stłumione jazgotanie starej, z którą do ubiegłego dnia Sydney nigdy właściwie nie rozmawiał – matki rodziny, którą ledwo znał.

Ludzie przeszukiwali brzeg rzeki, ale bali się zapuścić na świeży lód. (Trenton już ze dwa czy trzy razy spacerował po lodzie.) Mój ojciec też się bał, może nawet bardzo, ale wiedział, że ktoś musi tam pójść.

Powiedziałem mu, że ja pójdę, bo jestem lżejszy. (Zawsze chciałem udowodnić, że jestem równie odważny, jak on.)

– Nie – odparł kategorycznie.

Lód na rzece był szary jak grzbiet rekina; ojciec szybko zniknął w ciemności. Szedł w stronę cieśniny, wykrzykując imię Trentona. W pewnej chwili ujrzał przed sobą otwartą wodę i poczuł mroźny wiatr – zawrócił więc i ze ściśniętym sercem pomyślał o moście. W tej samej chwili usłyszał tępy stuk, jakby zwał śniegu zleciał z wielkiej wysokości; lód poruszył się pod jego stopami.

Ojciec puścił się pędem w stronę mostu. Dobiegł tam po dwudziestu minutach. Omiótł światłem latarki cały plac budowy, poświecił obok dźwigów i nad samą wodą. Nie zapalono jeszcze nocnych reflektorów, całą budowę spowijała nieprzystępna cisza. Ojciec poszedł do generatora i chciał włączyć światła, ale nie mógł się dostać do środka. Wrócił na ostatnie przęsło mostu i stanął obok żółtych dźwigów i traktorów w czapach śniegu.

Właśnie miał zgasić latarkę, kiedy po lewej stronie ostatniego przęsła, na lodzie, dostrzegł jakiś kształt. Co gorsza, leżał tam również ukruszony

blok nawierzchni mostu. Żeliwny szkielet konstrukcji sterczał gołymi kolcami w pustkę nocy – brakowało ponad dwóch i pół metra nawierzchni. Tego się właśnie ojciec obawiał: ze szkieletu przęsa zwisała koślawo budowlana ciężarówka.

Zanim mój ojciec dotarł do chłopca, na miejscu zjawiała się pani Pit. Wełniane skarpety wystawały jej z ciężkich butów, pod szyją wełnianego płaszcza różowił się pojedynczy guzik od szlafroka. Wicher wył, górą przelatywały gnane wiatrem chmury.

W dłoniach pani Pit dyndał różaniec, gdy przybyli w pośpiechu robotnicy wyciągali połamane ciało jej syna.

– Trent – wyszeptała cicho, nie chcąc go obudzić. Obchodziła go dokoła, jakby badała wonny, egzotyczny kwiat, chuchając w złożone ręce, na których dyndał różaniec. Co jakiś czas nachylała się i dotykała zmarłego, dotykała jego szyi medalikiem ze świętym Krzysztofem, upewniając się, że nie jest zjawą. Płatki śniegu osiadały na jej odkrytej głowie i na chudych, gołych nogach Trentona.

– Mówiłeś mi, że to się stanie – zwróciła się znienacka do Sydneya. – Tyś go zepchnął! Mówiłeś mi, że go to dzisiaj spotka. Mówiłeś, że zginie, i zginął!

Sydney zaniemówił: oniemiały, patrzył na nią, potem spojrzał na Mathew i na Cynthię.

W momencie, gdy podniósł wzrok, z ciemności nadbiegła Elly z miną osoby, która spóźniła się na wyznaczone spotkanie. Pomachała mężowi z daleka i stanęła jak wryta – jak słup wetknięty we właściwe miejsce.

Ciało leżało nieruchomo, tylko włosy podfruwały na wietrze. Te włosy, które, wedle wypowiedzianych dzień wcześniej słów Alviny, Chrystus znał



dobrze i miał co do jednego policzone. Cynthia piorunowała mojego ojca spojrzeniem pełnym rozmaitych pretensji. Nikt się nigdy nie dowie, dlaczego kobietę tak piękną i wolną jak ona pociągał właśnie mój ojciec. Ale tak było, od wielu lat.

– To ty! Tyś go zepchnął! – powtórzyła Alvina. – Tyś jeździł tą ciężarówką. Przywiozłeś go tutaj z jakimś wstrętnym zamiarem, a jak ci nie chciał być posłuszny – zepchnąłeś go!

Choćby Alvina, Cynthia, a nawet moja matka, nie wiem jak chciały, żeby Sydney teraz przemówił – on nie był w stanie tego zrobić. Gapił się tylko, to na jedną, to na drugą, to na trzecią. Szanując rozpacz starej kobiety dotkniętej tragedią, nie chciał ranić jej dodatkowo odpieraniem oskarżeń, póki była w szoku. Był przekonany, że wszyscy odebrali słowa Alwiny jako skutek szoku. Trwał więc w milczeniu na siarczystym mrozie. Z krańca mostu patrzył na niego wzrokiem bazyliuszka Leo McVicer. Jego most – korona jego chwały – legł oto na lodzie w kupie śniegu.

Z niezmaconym spokojem McVicer spytał po chwili:

– Co tu robiła ta ciężarówka, Sydney? Przecież tu nic nie miało prawa wjeżdżać.

To rzekłszy, odwrócił się i poszedł do domu.

W końcu przybyło pogotowie. Zabrali ciało i odjechali.

Gorzej dla nas, że znaleźli pieniądze. Trenton miał poupychane po kieszeniach całe pięćset dolarów ukradzione Leo McVicerowi.

Oczywiście, Leo już przedtem był prawie pewien, że złodziejem jest Sydney – dlatego zwalniał go z roboty zaraz po świętach. A jeśli nawet dopuszczał inną możliwość, to teraz wyzbył jej się ostatecznie, gdyż oba

zdarzenia układały mu się w logiczną całość. Następnego dnia zadzwonił na policję i podzielił się swoim podejrzeniem z posterunkowym Morrisem. Chciał w ten sposób dopomóc policji – ale też odzyskać swoje pieniądze. Narzucało się pytanie, jak i dlaczego Trenton wszedł w posiadanie skradzionej sumy. Pytanie to zadał Leo posterunkowemu Morrisowi, ten zaś – bogaty w informacje, które zbierał od czasu, gdy mojego ojca oskarżono o kradzież skrzynki ryb – wskazał na Sydneya, fabrykując scenariusz, który oskarżał mojego ojca bez żadnych dowodów. Nie ulegało wątpliwości, że wszystko pasuje: groźba pod adresem Alviny, ciężarówka, którą wprowadzono Trentona, pieniądze za żądaną usługę seksualną (pięćset dolarów dla upośledzonego chłopca za taką usługę to perwersja sama w sobie), wreszcie śmierć. Im więcej napływało do Morrisa informacji, tym lepiej mu się wszystko zgadzało.

Poza tym jego współczucie dla cierpienia mojej matki rozgorzało na nowo, w jeszcze bardziej romantycznym stylu, gdy przypomniał ją sobie na tle naszej zgrzebnej chaty. Był to kolejny fragment labiryntu, który przyszło pokonywać mojemu ojcu – a nie miał on nitki wiodącej do wyjścia, nawet gdyby udało mu się zgładzić Minotaura.

Kiedy się dowiedziałem, co zarzucają mojemu ojcu, kiedy przypomniało mi się, jak na polecenie matki nosiłem mu obiady, gdy pomyślałem o latach jego cierpień, poczułem wściekłą pogardę dla wszystkich, którzy pomiatali moimi rodzicami – żar mojej pogardy był przemożny.

– Pogardą można przewyciężyć każdy los – napisał Albert Camus w eseju o Syzyfie. Być może uważałem swojego ojca za Syzyfa. Jego męka zdawała mi się ucieleśnieniem jakiejś wielkiej, bezdusznej głupoty, komicznej w swej daremności. Ale ujawniło się we mnie coś jeszcze, coś,

co dotychczas pozostawało utajone: pierwszy odruch jawnej pogardy dla konwenansów.

Właśnie konwencjonalność całego zdarzenia obudziła we mnie sprzeciw i agresję. Oto dlaczego zostałem renegatem.

We wtorek po południu przed domem pogrzebowym Grattona, odległym od nas o parę mil szosą, ustawiła się długa kolejka chętnych do pożegnania zmarłego. Pługi drogowe zdzierały obok asfalt na szosie. Mężczyźni i kobiety, poczciwi, pracowici, życzliwi ludzie – ludzie, których zachowań nikomu nie trzeba tłumaczyć – stali w kolejce, aby oddać hołd dużemu dziecku, które biegało pośród nas ze swoim psem Scupperem i uganiało się po niewidocznych od szosy łąkach.

Za pogrzeb zapłacił Leo McVicer.

Powszechnemu współczuciu sprzyjał fakt, że Trenton był dzieckiem upośledzonym, a zmarł tak tragicznie – każda społeczność zareagowałaby podobnie. Żałoba zawsze zaprawiona jest spontanicznym współczuciem, gdy rodzina dotknięta stratą już wcześniej wiodła żywot pełen nieszczęść. Ci poczciwi ludzie poczuwali się do obowiązku towarzyszenia Pitom, zamanifestowania, że wobec tak tragicznej straty są z nimi solidarni, a wszelkie dawne uczynki, błędy i pretensje do Cynthii i Mathew Pitów znaczą niewiele lub nic wobec powszechnej życzliwości i miłości.

Nie wiadomo, skąd wzięła się plotka, że ubiegłego lata mój ojciec zabrał Trentona do kina samochodowego w Bushville.

Ojciec Porier odprawił dwa nabożeństwa i dwie msze za spokój duszy Trentona Pita.

Zdjęcie Trentona tulącego w objęciach psa Scuppera – który od śmierci swego pana codziennie chodził szukać go na moście – trafiło na pierwsze

strony gazet, nie tylko lokalnej, ale i prowincjonalnej. Na drugim zdjęciu widniał zarwany most, nieszczęsna ciężarówka, którą rzekomo prowadził mój ojciec, i pies Trentona siedzący na śniegu przy moście.

Ludzie mówili, że mój ojciec wjechał ciężarówką na most, żeby nikt go nie podglądał – ale Bóg go pokarał i złamał przęsło. Kiedy kolejna plotka przyniosła rewelację o dynamicie podrzuconym pod przęsło, i to też wpasowało się doskonale w rzekomy plan mojego ojca. Mieli go zwolnić, więc zemścił się, podkładając dynamit.

Matka Trentona opowiadała wszystkim, jak jeszcze wieczorem, zanim zaczęły się poszukiwania, znalazła na stoliku nocnym syna schludnie poukładane karty z mistrzami hokeja, a na wezglowiu łóżka – modlitwę o opiekę Bożą nad dziećmi, pobłogosławioną przez samego ojca Poriera. Kolejka się wydłużała.

Niewinność mojego ojca nie była żadnym argumentem. To mnie właśnie najbardziej dręczyło. Od trzynastego roku życia myślałem tylko o zemście. Tylko o zemście.

Na pogrzeb przyszło siedemset osób, wśród nich dygnitarze – burmistrz czterech największych miast regionu nadrzecznego, nasz poseł do parlamentu i inne ważne osobistości.

Nazajutrz po pogrzebie w gazecie ukazał się następny artykuł, ze zdjęciem konduktu. Wyciąłem go i przez czternaście lat nosiłem w portfelu.

Chciałem zrozumieć jego sens. Gdy szedłem sam na ryby, jeszcze jako chłopak, siadałem nad potokiem i gapiłem się w ten artykuł. Pożółkł z latami, a mimo to wciąż ucieleśnia osobliwe, mdlące cierpienie, którego doświadczyła nasza rodzina. Nadal go nie rozumiem. Teraz jednak dostrzegam w nim obraz moralnej arogancji oskarżenia, któremu nie

towarzyszy poszukiwanie prawdy.

Jest to artykuł pisany pod publiczność, produkt naszych stron, którego autor nie próbuje nawet maskować świętego oburzenia.

## Rozdział 16

Dziś wiem, że Trenton znalazł w domu pieniądze i chciał je odnieść Sydneyowi, o którym rozmawiali przy nim Rudy i Mathew. Pieniądze leżały schowane w tej samej dziurze za kanapą, w której Trenton trzymał swoje plastikowe żołnierzyki i cukierki. Gdy sięgnął po lizaka, którego wcześniej wieczorem dostał od Sydneya, zrozumiał zaraz, co to muszą być za pieniądze. Postanowił więc oddać je Sydneyowi. Gwiazdkowy lizak, przyniesiony przez mego ojca w ową ciemną noc rozmowy z Alviną stał się dla niego i dla Trentona fiolką trucizny, a kolorowy papierek lizaka – wyrokiem śmierci i ostracyzmu. To ja wręczyłem ojcu ten lizak w chwili bezmyślności, jako gest dobrej woli mojej rodziny wobec rodziny Pitów, i poprosiłem, aby dał go chłopcu.

Trenton zabrał pieniądze ze skrytki, ale nie wiedział, gdzie je zanieść. Na razie trzymał je wciśnięte w kieszeń, razem z okularami. Przez cały dzień pani Pit, pełna obaw o syna po dziwnej rozmowie z moim ojcem, nie wypuszczała Trentona z domu. Zadzwoiła do ojca Poriera, który polecił jej odmówić różaniec i pobłogosławić dziecko wodą święconą. Zrobiła to, prosząc, jak zwykle, o wstawiennictwo Najświętszą Panią. Wreszcie, około piątej po południu, zdrzemnęła się w bujanym fotelu, w izdebce za kuchnią. Często tam drzemała, usypiało ją ciepło pieca. Trenton siedział po ciemku, zapatrzony w blade, niebieskie i zielone lampki na choince.

Było już ciemno, kiedy udało mu się otworzyć drzwi. Śnieg zamarzał w skorupę na skraju lasu i na wale z gałęzi osłaniającym dom – stawianie takich wałów to wiejska tradycja całych Prowincji Atlantyckich. Śnieg wieńczył spiczastym daszkiem płot zagrody i zbierał się między drzewami. Nad wielką wodą stał księżyc. Na naszej krętej drodze panowała cisza i spokój, tylko przed samym mostem jarzyły się pochodnie ostrzegawcze, śląc smugi dymu pod niebiosa.

Trenton spodziewa się spotkać na moście swojego ojca, bo wie, że ojciec tam pracuje. Po żwirze drogi, która jeszcze jest w budowie, zbliża się do trefnego przęsła. Nie ma stróża, który mógłby go teraz zatrzymać, światła się nie palą. Co gorsza, Mathew właśnie przed chwilą postawił na słabym przęsle półtonową ciężarówkę. Wybuch niszczy most w chwili, gdy Trenton zbliża się do auta. Najpierw słychać tylko cichy pomruk, potem głośny świst – i fragment betonowego przęsła załamuje się w małym obłoku eksplozji. Mathew widzi spadające ciało i ciężarówkę, zawieszoną tylnymi kołami na stalowej konstrukcji. Myśli sobie, że ten, co spadł, to musiał być Connie Devlin.

Kiedy znajdują ciało chłopca, Mathew wie doskonale, skąd wzięły się pieniądze w jego kieszeni, ale nie może tego powiedzieć. Nie spodziewał się, że jego plan zadziała aż tak świetnie. I to go właśnie w głębi duszy przeraża: rozmiar zniszczeń, których dokonał.

W dniu pogrzebu, siedząc w domu z matką, Mathew budzi się nagle z wyrzutów sumienia. Dla ratowania twarzy zemści się teraz na kimś innym za własną zbrodnię. Zabije Sydneya Hendersona. Musi go zabić!

Płacze nad zmarłym bratem, ale nie z miłości, tylko ze strachu, że go złapią. Nie łapią go jednak. Nawet go nie podejrzewają.

Powstaje nowy scenariusz. Mój ojciec dopuścił się sabotażu, bo, wbrew wcześniejszym zapowiedziom, nie został brygadzystą, a po świętach czekało go zwolnienie z pracy. Dzień wcześniej groził uprowadzeniem chłopca, ponieważ był nim zafascynowany. Przechwalał się wręcz, że wie, co spotka Trentona nazajutrz. I spełniło się co do joty! To ci odwaga, zabić niewinne, upośledzone dziecko! A czy było to pierwsze dziecko Pitów zamordowane przez Sydneya Hendersona? Bynajmniej – czy nie próbował już raz swoich sztuczek, pomagając przy porodzie Cynthii Pit?

Poszukuje się jedyne wiarygodnego świadka – Conniego Devlina. A co Connie ma do powiedzenia? Nic – przynajmniej na razie. Czekaj, co będzie, i patrzy, co się święci. Tymczasem sprytnie zachowuje ciszę. Jak zobaczy, że mają złapać Mathew Pita – stanie po stronie Sydneya. A jeśli podejrzenie padnie na Sydneya – Connie będzie zmuszony świadczyć przeciwko niemu.

Pani Whyne nie kryje oburzenia na mojego ojca. Wiedziała, że to tego dojdzie. A nie mówiła?

– Takie osoby jak Elly Henderson – twierdzi pani Whyne – należałoby poddać agresywnej kampanii uświadamiającej o możliwościach związanych z posiadaniem dzieci. Bo oto – proszę bardzo – ona znów jest w ciąży przez tego łobuza. Skoro istnieją inne rozwiązania, to czy musimy być aż tak zacofani, by nie dostrzegać, co trzeba teraz zrobić dla Elly Henderson?

Wszyscy od początku do końca przyznają jej rację. Nasza rudera z krzywym blaszanym kominem budzi powszechne zgorszenie, a Autumn – moja śliczna i mądra siostrzyczka, kiedyś tak niezwykła – swoimi śnieżnobiałymi włosami i skórą dowodzi podobno deprawacji mojego

ojca. Nikt nie pamięta o substancjach rakotwórczych odkrytych w glebie. Zdjęcie naszego domu tuż po pogrzebie Trentona trafia do lokalnej gazety. Faktycznie, pożał się Boże.

Ludzie, którym mój ojciec świadczył rozmaite usługi – wypełniał formularze, pomagał załatwiać zasiłki dla bezrobotnych – teraz o tym zapomnieli: pamiętali jedynie, że Sydney Henderson czytuje dziwne książki. Zwarli się kupą, przepraszam za wyrażenie, jak to śmierdzące tchórze, których nigdzie nie brakuje.

Jest już styczeń. Władze zarządzają dochodzenie. Policja i prokuratorzy sugerują mojemu ojcu, żeby przyznał się dobrowolnie, a w zamian za to oni nie oskarżą mojej matki o kradzież w domu McVicera.

– Nie chce pan chyba, żeby kolejne pana dziecko urodziło się w więzieniu – powiadają. – A pozostałe żeby zostały wzięte do sierocińca.

Nie mając się do kogo zwrócić, moi rodzice szukają wsparcia u Conniego Devlina. Matka namawia ojca, żeby do niego poszedł. Jest przekonana, że ci, którym ojciec kiedyś najwięcej pomógł, teraz chętnie pomogą jemu. Wykazuje w ten sposób naiwną wiarę w korzyść płynącą ze zwyczajnej ludzkiej przyzwoitości. Poza tym, moja matka jest tylko człowiekiem i nie chce, żeby jej następne dziecko urodziło się w więzieniu, ani żeby Autumn – zwłaszcza Autumn – trafiła do sierocińca.

Tego dnia, ponieważ wszystkie prace przy moście wstrzymano, Connie siedzi w domu. Siedzi w kuchni przy stole, oczy ma spuszczone, wzrok wbity w podłogę, rzadkie włosy starannie zaczesane na łysinę. Słucha radia, stacji country-and-western z Fredericton. Connie popala papierosa Export i przytupuje beżowym kowbojskim butem o linoleum. Mój ojciec właśnie poprosił go o pomoc. Connie zerka na Elly, wydmuchując dym.



– A co ja mogę zrobić, żeby was ratować? – pyta po dłuższym namyśle.

– Pamiętaj, że on tobie pomógł – mówi moja matka.

Connie długo się nie odzywa. Wreszcie wzrusza ramionami, dając do zrozumienia, że to nie jest temat do rozmowy między dżentelmenami.

– No i co z tego? – pyta. – Ja jeszcze wtedy nie wiedziałem, że on taki jest, no nie?

– To znaczy jaki? – dociska z uśmiechem Elly.

– No, taki tego, że leci na małych chłopców – duka Connie i dumnie pociąga nosem. – Owszem, to i owo obilo mi się o uszy, ale że jestem dobry człowiek, to nie wierzyłem – dodaje po chwili, oszołomiony własną dobrocią.

Mój ojciec przełyka tę obelgę w milczeniu. Po chwili pyta beznamiętnym tonem:

– Connie, czyś ty tej nocy, o dowolnej porze, nie widział na moście nikogo – oprócz chłopca, oczywiście – kto by mógł z głupoty wjechać ciężarówką na to słabe przesło? Kto pogasił reflektory?

Connie bez słowa przytupuje kowbojskim butem, kręcąc głową, jakby samo pytanie było dlań ciężką zniewagą, godzącą w honor. Resztki zimowego słońca kładą się złotymi pasemkami na śniegu i wzdłuż kuchennego okna, złoty słoneczny pył przenika złotorude włosy mojej matki, która stoi, ubrana w pomarańczową kurtkę i wysokie buty. Moja matka wygląda teraz jak dziecko, chociaż ma trzydzieści dwa lata. Od szosy słychać maszynę do zdrapywania asfaltu. Drżą rozświetlone słońcem szyby w domu Conniego.

– Mogę powiedzieć tylko to, co wiem – mówi Connie. – Że niczego ani nikogo nie widziałem. Oprócz ciebie.

Uśmiecha się solennie. Lok nad czołem, zdobiący jego olbrzymią, czerwoną twarz, sprawia, że Connie Devlin wygląda jak monstrualne niemowlę w beciku.

W domu jest ciepło; robocze rękawice Conniego suszą się na kaloryferze w kącie salonu, a robocze skarpety, pocerowane na palcach i piętach, wiszą na oparciu kuchennego krzesła. Connie jeszcze raz zerka na moich rodziców, i odwraca wzrok.

Następnego dnia ojciec odebrał pierwszy list:

„Oko za oko, twój najstarszy dzieciak zginie”.

Powinni byli chyba bardziej uważać, na kogo się porywają.

List był napisany sposobem, o którym wszyscy mówią, chociaż nikt w niego do końca nie wierzy: litery powycinane były z wiadomych artykułów i naklejone na kartkę papieru maszynowego. U dołu strony widniało ostrzeżenie pod adresem mojej matki: „Kurwę też dorwę”.

Pierwszy raz w życiu usłyszałem wtedy słowo kurwa, ale zrozumiałem dokładnie, co ono znaczy. Mój ojciec nie miał zamiaru pokazywać tych listów matce. Sama je znalazła. Pamiętam rodziców z tamtego okresu – miałem trzynaście lat. Od kilku miesięcy oboje, z racji wykonywanych zajęć, usiłowali włączyć się w świat – opowiadali sobie o współczesnej muzyce, o modzie, nie po to, by im hołdować, lecz dlatego, że żadne z nich nie uczestniczyło dotąd w sprawach szerokiego świata, za progiem własnych drzwi.

Wczesnym popołudniem udali się z listami na policję. Droga tonęła w słońcu, dzień był cichy. Kilka szkolnych autobusów czekało na parkingu, aż dzieci skończą lekcje. Rozpięte nad nimi druty wysokiego napięcia grały od wiatru. A moja matka udawała, że wszystko jest w porządku.

Przez całą drogę zagadywała ojca na temat książek, wiedząc, że swym zainteresowaniem sprawi mu przyjemność. Zastanawiała się, co by to było, gdyby sama skończyła szkołę. Tak paplając, wzięła ojca za rękę. Jej życie potoczyło się dramatycznie bez dobrodziejstwa wykształcenia, więc czuła, że musi teraz chronić męża i dzieci, nie mniej niż ona sama pogubionych w wielkim świecie.

Tak ich zapamiętałem na sześć miesięcy przed narodzinami Percy'ego: trzymając się za ręce, wędrują całe osiem mil na posterunek, zapewniając się wzajemnie, że kiedyś będą żyli jak inni ludzie; śnieg owiewa ich drobnymi spiralkami od stóp do pasa, ślady ich stóp na drodze zatrą się jeszcze przed zmierzchem. Szlak ten wydeptywali dla nas – przecież pogrożki dotyczyły ich dzieci.

Po co tam szli? Ach, bo – jak na ironię – mój ojciec, oskarżony o użycie ciężarówki w celu sabotowania dzieła swego życia, nigdy nie umiał prowadzić samochodu. A zanim policja sama stwierdziłaby ten fakt, mogło już być za późno.

## Rozdział 17

Ojciec po drodze tłumaczył matce, że wiadome listy to „wymarzony glejt”, który zdejmie z nich obojga brzemień winy. Matka milczała. Może nie miała nic do powiedzenia, a może zrozumiała, że ojciec zapomniał ujawnić przed nami pewien istotny fakt, dotyczący swojego życia – ten mianowicie, że zawsze ciągnęła się za nim zła opinia, o co sam nie dbał, ale mogło mu przecież przyjść do głowy, że dla rodziny nie będzie to obojętne. Szli ciasno przytuleni, a im bliżej byli miasteczka, tym robiło się

zimniej. Mróz stał się wprost nieznośny, gdy między odległymi budynkami zaczęły przemykać tęczowe smugi blasku, niezapomniane dla każdego, kto w dzieciństwie mieszkał na północy.

Idąc, odwracali twarze od zadymki, która nie pozwalała złapać tchu, ale wtedy oślepiało ich słońce. Tak dotarli wreszcie do celu.

Matka wciąż wracała do tematu naszej wycieczki, jakby to było nie tylko coś naturalnego, ale i nieodległego w czasie – w przeciwieństwie do tego, co właśnie się działo i było nienaturalne, a poza tym mogło się przytrafić każdemu.

Była przekonana, że wszystko dobrze się skończy, jeżeli będą oboje mówili i zachowywali się grzecznie. Żadne inne określenie nie przychodzi mi tutaj do głowy. Mój ojciec wierzył niezłomnie, że nikt go nie skrzywdzi, o ile on sam nie skrzywdzi nikogo. Nie wynajął adwokata, nie złożył skargi o zniesławienie, nie wspomniał nawet o rym, że nie umie prowadzić samochodu – tylko na koniec ze stoickim spokojem przekazał listy z pogrózkami mojej matce. Rozpamiętując jego życie, na przemian wzniosłe i pełne upodlenia, uświadamiam sobie, że najpiękniejsze jego momenty utonęły w harmidrze świata – mój ojciec nigdy nie zaistniał na wielkiej scenie. Z drugiej jednak strony, nic z tego życia nie uległo zatraceniu i nie było na świecie człowieka większego niż mój ojciec.

Matka schowała listy do torebki. Jej skromny, chłopski zmysł przyzwoitości miał się oto zmierzyć z przyzwoitością organizmu prawnego, wiernego sztywnym zasadom, wedle których waży on i wymierza sprawiedliwość, tak jakby sprawiedliwość była prawdą. Moja matka całym sercem i duszą wierzyła, że prawdą jest miłosierdzie.

Powodowana swoistym poczuciem godności i obowiązku, właściwym

ludziom, którzy nigdy nie mieli wiele do czynienia ze szkołami, moja matka Elly McGowan Henderson (tak bowiem przedstawiła się na piśmie) wyjęła listy z torebki i wręczyła je młodemu funkcjonariuszowi.

– Co to takiego? – spytał.

– Przyszły do nas pocztą – odparła matka.

Funkcjonariusz podniósł pierwszy list z brzegu i obejrzał go pod światło, prześwitujące przez okienną żaluzję. Zamachał kartką, jakby była mokra, podniósł ją raz jeszcze i sponad listu spojrzął na mojego ojca.

– Wyklejanka? – zapytał Morris z osłupiałą miną.

– Tak – powiedziała moja matka.

Zapadła krótka cisza. Policjant znów spojrzął na mojego ojca, tym razem jednak ze znaczącym uśmiechem.

– Nieźle ci wyszła ta wyklejanka, Sydney. Chciałeś zmylić nasz węch? – Zaśmiał się głośno, pewnie z własnego dowcipu, którym czynił aluzję do zapachu mojego ojca.

– Przyszło pocztą – powtórzył ojciec.

– Przyszło pocztą?

Sydney kiwnął głową, słysząc dwuznaczność tonu – nie własnego, ale policjanta. Niestety, to skinienie i towarzyszący mu uprzejmy uśmiech zdawały się potwierdzać jego nieuczciwość. Morris, jak się niebawem mieliśmy dowiedzieć, zgromadził liczne dowody przeciwko Sydneyowi od naszych sąsiadów, którzy tłumnie ruszyli na pomoc policji. Opowiadali, jak to Sydney dziwnie patrzył na ich synka, jak ochoczo zgłosił się kiedyś do urządzania obozu letniego dla dzieci, jak organizował rekolekcje dla młodzieży.

Zapadło milczenie. Wiatr łomotał w zakryte żaluzjami okna, można było

sobie wyobrazić, jak dmie przez otwarte pola i wydyma pranie rozwieszane na sznurach. Funkcjonariusz był niski, krępy i miał przesadnie duże zęby. Popatrzył na moją matkę, jakby liczył nie tyle na jej wyjaśnienie, ile na zrozumienie i współczucie wobec siebie.

– Oczywiście, mąż dostał te listy pocztą – rzekła moja matka tonem niemal heroicznym. Zerknęła przy tym na Sydneya i wzięła go za rękę. Sydney tylko kiwnął głową.

Policjant nałożył okulary, skrzywił się, jakby go zaswędził nos, i powiedział:

– A skąd pani wie, że on tego wszystkiego nie zmyślił? Przecież nieraz zdarzało mu się kręcić – prawda, Syd? W małych sprawach i w grubszych... pieniądze, kradzieże... okradało się puszki u ojca Poriera w kościele, co?... nieźle się za to oberwało, co?... podpaliło się tartak McVicera, co?... tylko że jakoś się upiekło, no nie, Syd? A skrzynka ryb? No? Co pani na to? Dociera to do pani? Kłamstwa, krętactwa, od krętactwa do fałszerstwa!

– Nigdy nie słyszałam, żeby mój mąż coś zmyślał albo kłamał – szepnęła moja matka.

Policjantowi mina zrzedła. Ta prostaczka, ta kobieta, w sprawie której telefonowała do niego Diedre Whyne, przekonując, że właśnie on, posterunkowy Morris, na pewno zechce zająć się jej problemem – ta wiejska baba, która rozsiadła się naprzeciwko niego w grubym, starym paltocie, poczerwieniała od mrozu (zziębnięte policzki w jakiś dziwny sposób świadczyły przeciwko niej) – ona śmie go pouczać, że nie tylko się myli, ale wręcz łże?

Wiem, że istnieje w naszym społeczeństwie wiele warstw ludzi bogatych i

biednych, a moi rodzice znajdowali się prawie na samym dole. Morris za wszelką cenę chciał, żeby Elly go podziwiała. Był to jego sekret, którego nie wyjawiał nawet przed samym sobą.

Zresztą, sama myśl była zaraźliwa. Myśl, że mój ojciec, mieszkaniec rudery, jest dziwakiem, i to na tyle perwersyjnym, że mógłby dopuścić się czynu haniebnego wobec dziecka. Człowiek upadły – barbarzyńca. To między innymi nakręcało Morrisa. A właściwie było to sedno całej sprawy. Nie samej zbrodni, tylko zgrozy, jaką zbrodnia wywołała. Nie wątpię, że mój ojciec to rozumiał – ale nie walczył o swoje. Ludzie i tak zawsze uwierzą w to, w co chcą uwierzyć, nie da się ich przekonać.

Posterunkowy Morris zmienił front. Spojrzał na moją matkę z wyraźnie nową myślą. Może to ona wysyłała listy z pogrózkami? Zaprzeczyła temu pomówieniu kamiennym milczeniem – milczeniem, które często spotykałem u ludzi biednych i maltretowanych. Gdy jej milczenie stało się nieznośne, policjant uśmiechnął się kąśliwie i pokręcił głową, dając do zrozumienia, że demonstrowanie wyższości moralnej przez moją matkę to kolejny wybieg, który on, Morris, przejrzał bez najmniejszego trudu. Nie był to zły człowiek, ten posterunkowy Morris. Powiedzmy sobie raczej, że był głupi – chociaż głupota i okrucieństwo serca zwykle chodzą w parze. W gruncie rzeczy posterunkowy Morris odnosił wrażenie, że wygrywa tę konfrontację. I dogadzało mu własne rozżalenie. Czuł się sprytny, a dzięki temu postępowy.

Nagle jednak zrobił sobie przerwę na lunch. Nie wstając od biurka, popijał kawę i posilał się kanapką z sałatą i kurczakiem na chlebie domowego wypieku. Moi rodzice, nienawykli do obyczajów policji (ani żadnych innych ludzi), nie ruszyli się z miejsc, tylko unikali nawzajem swoich

oczku. Morris od czasu do czasu rozkładał serwetkę, ocierał usta, związał serwetkę ponownie i kładł przy widelcu. Dopijając kawę, zajrzał na dno kubka i podjął indagację.

– Tak sobie myślę... co by miały znaczyć te listy? – Podniósł plik kartek i, tłumiąc beknięcie, spojrzał na moją matkę.

Na początek skomplementował jej lojalność. Wątpliwe, czy na sto kobiet tak atrakcyjnych jak moja matka znalazłaby się druga tak lojalna wobec faceta pokroju Sydneya. Potem zdecydowanym gestem położył listy na biurku i, poklepując je od niechcienia, zapytał moją matkę, czy ma w sobie choć odrobinę miłości do rodzaju ludzkiego. Popatrzył przy tym na mojego ojca i głośno, jak to czynią ludzie bezmyślni, zwracając się do tych, których uważają za gorszych od siebie, dodał:

– Jak mówię rodzaj ludzki, Sydney, to mam na myśli całą ludzkość, całą ludzką rasę. Pytam się twojej lubej, czy kocha ludzkość, chociaż tak jest przywiązana do ciebie. To mnie właśnie, Sydney, ciekawi.

Sydney pokiwał głową i zmiął w dłoniach czapkę z wypłowiałymi nausznikami, popatrując dokoła, jakby spodziewał się zobaczyć w pokoju jeszcze kogoś. Wreszcie spojrzał znów na policjanta i poprawił okulary.

– Rozumiem – powiedział. – Ludzkość.

– Przypuszczam, że liczycie na naszą ochronę?

Znowu zapadła cisza. Moja matka czekała na atak, lekko kuląc głowę – nie ze strachu, tylko ze wstydu za ludzi.

Posterunkowy Morris wstał i popatrzył z góry na Elly Henderson, na jej bladą twarz, niebieskie oczy i rdzawe loki. Dzień zaczął się dla mojej matki o siódmej rano od grzania wody na kąpiel, bo nie mieliśmy bojlera, i prasowania na dwóch zestawionych krzesłach sukienki ciężowej, żeby



godnie zaprezentować się przed policją. Siedziała teraz sztywno, z dumnym uporem, splatając i rozplatając palce – a wiatr za oknem omiatał puste pola między skupiskami domów miasteczka, wywołując w powietrzu te sławne, płynne, ulotne tęcze. Siedziała i nie mówiła nic. Prawdę mówiąc, żałuję, że mnie wtedy tam nie było, chociaż miałem dopiero trzynaście lat. Dałbym mu w łeb za takie chamstwo.

Do pokoju wszedł inny policjant i powiedział, że jeśli państwo przyszedli złożyć zażalenie, to on je chętnie wypisze na maszynie. Ale moi rodzice nie wskazali podejrzanego, a takie listy mogło do nich wysyłać z kilkadziesiąt osób. Zresztą, i oni sami nie byli poza podejrzeniem. Może Sydney zrobił to specjalnie, dla rozgłosu? Morris przyjrzał mu się baczniej, bo kolega policjant był zdania, że posterunkowy zawsze wyczuje przestępcę, który działa z chęci rozgłosu, czy to podpalając łąki, czy uruchamiając alarmy przeciwpożarowe. Może cała afera z listami też miała na celu tylko ściągnięcie uwagi na sprawcę?

– Tobie się to podoba, no nie, Sydney? – spytał niewinnie. – Teraz pewnie najbardziej: jeszcze cię nie złapali, a gazety już o tobie piszą. Podobno filozof z ciebie, lubisz poezje – no to powiedz mi jakiś wiersz, Syd, powiedz z pamięci chociaż jedną linijkę. Założę się, że nie umiesz – no, wykrztuś coś, jedną głupią linijkę, jakiego chcesz wiersza, wszystko jedno czyjego i z jakich czasów. Nie zgrywaj się, przecież musisz coś znać na pamięć – ani jednego?

– Czym muchy w rękach rozbrykanych chłopców, tym my we władzy bogów; uśmiercają nas dla zabawy [William Shakespeare, Król Lear, IV, I, tłum. Stanisław Barańczak.] – wyrecytował Sydney, patrząc na posterunkowego niemal ze wstydem.

Matka słuchała tego z zaciśniętymi ustami. Posterunkowy Morris obrócił się na kręconym fotelu, rozparł wygodnie i, zmęczony całym dniem, wyciągnął nogi.

– Czy chcą państwo złożyć formalną skargę? – zapytał dość uprzejmie drugi policjant.

– Nie, dziękujemy panu – powiedziała moja matka.

Usta jej drżały. Mój ojciec znów nic nie mówił. Odkąd był bity jako mały chłopiec, w obliczu przeciwności zachowywał milczenie. Milczał w szkole, kiedy otaczali go w czasie przerwy, i milczał teraz.

– Niemowa jesteś, czy co, Syd? – zniecierpliwił się Morris. – Trafiła ci się taka ładna sztuka jak Elly – miła panienka ze wsi, co nigdy nie widziała prawdziwego chłopca, nie była ani na zabawie, ani na randce, świata nie oglądała – byłeś jej pierwszym – pierwszym, który jej dotknął – ja ciebie znam, Syd – potem przez czternaście lat trzymałeś ją w więzieniu, ze trzy czy cztery razy machnąłeś jej dzieciaka, namówiłeś ją, żeby okradła Leo McVicera, który ją lubi i nie zgłasza skargi, nawet cię nie wywała z roboty przed świętami, wszystko ze względu na twoje dzieciaki. A ty spokojnie inkasujesz od niej forszę, idziesz postraszyć staruszkę, bierzesz laskę dynamitu, co się u ciebie odleżała parę lat, i zwabiasz niedorozwiniętego chłopaka na most – nawet się przechwalałeś, że tak zrobisz, że wiesz więcej niż sam Bóg. Pogański pomiot, co, Syd? A ta biedna kobieta tkwi w twoich szponach, bo nigdy nie poczuła prawdziwego chłopca między nogami...

W końcu, odwracając się do nich, podsumował:

– Ja, Elly, znam prawdziwych facetów, którzy by dużo dali, żebyś ich zechciała. Mogłabyś wrócić do szkoły, nawet iść na uniwersytet, dostać

stypendium – teraz masz okazję, rozmawiałem o tobie z doktorem Scone’em – wyobrażasz sobie, taki facet? Facet, który nie chciał nawet gadać z Sydneyem, a tobą się interesuje! No, zastanów się, Elly, złóż teraz zeznanie i raz na zawsze będziesz miała spokój z tym draniem. I ty, i twoje dzieci traficie pod opiekę, zadbam o to osobiście, a potem zapiszesz się na uniwersytet.

Wstał, jakby chciał wyjść z pokoju, ale nagle się odwrócił i z niespodziewaną, wręcz bezmyślną furią, zaatakował Sydneya:

– Lubisz się pastwić nad kobietami, co, Syd? Nad staruszkami też, no nie? Nad takimi, co żyją w ruderach i jedzą ścierwo łośi, no nie? Myślałeś pewnie, że stara ci zapłaci, co? Może ten biedny Trenton chciał przed tobą uciec, i dlatego zwabiłeś go, żeby zabić? To ci dało poczucie siły, co? No jak, chcesz się bić? To wyjdź na środek, zdejmę mundur i zobaczysz, co znaczy bić się z prawdziwym facetem – ciekawe, jak się sprawdzisz. A, tu cię mam – żebyś ty teraz widział swoją minę! Zdarłbym ci chętnie z gęby ten głupi uśmieszek. No to jak, chcesz się bić?

Mój ojciec nadal milczał.

Drugi policjant przyniósł Morrisowi następną kawę. Posterunkowy Morris, czerwony jak burak, usiadł, przerzucił jakieś akta, siorbnął kawy, i po paru minutach podniósł zdumiony wzrok, jakby wszystkim zainteresowanym dawał do zrozumienia, że bardzo się dziwi, dlaczego jeszcze tu są. Moja matka wstała, ściskając w dłoni czarną torebkę; ojciec także wstał. Na koniec rzekł po prostu:

– Dziękujemy panu.

Matka poprosiła o zwrot listów.

– Listy zostaną u mnie – oświadczył Morris, upijając kolejny łyk kawy.

Matka spojrzała z goryczą na ponury pejzaż za oknem. Jak miała zmienić swoje życie na lepsze, skoro tak łatwo dawała się okpić? Poczła niezmierną, dotkliwą samotność i miłość do mojego ojca, przekraczając ramy lojalności – poczuła, że ta miłość była im pisana, nie wiedzieć jakim cudem, kiedy jeszcze atomy ich krwi krążyły między nieskończonymi gwiazdami w nieskończonym początku nocy.

– Dziękujemy panu – powtórzyła za mężem – ale nie chciałabym, żeby te listy gdzieś się zawieruszyły. Stanowią dowód gruntownej niewinności mojego męża.

Słowo „gruntownej” niewątpliwie tu pasowało, chociaż matka sama dobrze nie wiedziała, dlaczego go użyła – samo jej się wymknęło.

Wymknęło jej się jak małej dziewczynce na pastwisku nad rzeką w majowe popołudnie – jak słowo „peregrynacja”, które wypowiedziała ni stąd, ni zowąd, mając dziesięć lat, po uszy zakochana w Diedre Whyne i całym świecie.

Posterunkowy zmierzył ją wzrokiem.

– Gruntownej niewinności – powtórzyła szeptem i zarumieniła się.

– Dość już. – Posterunkowy Morris machnął ręką na te babskie fanaberie.

Matka chwilę jeszcze patrzyła na niego, czekając, co jeszcze zrobi, aby im okazać swoją bezbrzeżną pogardę.

– Chodźmy już – powiedział Sydney, odwracając się do żony. – Nic tu po nas.

– Tak – przyznała moja matka, i opuścili komisariat.

Ruszyli w drogę powrotną do domu. Tym razem srogi wicher wiał im w plecy. Sydney zdjął poszarpany niebieski szalik i podał mojej matce, która obwiązała nim sobie twarz.

Przedtem planowała, że po wyjaśnieniu sprawy zaprosi Sydneya do restauracji. Teraz ten plan wydawał jej się mglistą i niedorzeczną mrzonką, zrodzoną w całkiem innej epoce życia. Znow zaczęła się martwić o ciążę, powrócił straszny lęk przed utratą kolejnego dziecka.

Po co brała tę pracę u McVicera, po co się zlitowała nad staruszką? Po co chodziła na hamburgery do restauracji U Polly? Po co Sydney poszedł do Alvin Pit? Czuła, że w dziwny sposób oboje zawinili. A co gorsza, zziębnięta od wiatru, który lutymi podmuchami przenikał jej palto i sweter, czuła, że nikt na świecie – nikt poza nią – nie troszczy się o jej męża i dzieci.

Spytała Sydneya, czy chciałby coś zjeść.

– Nie, nie jestem głodny – odpowiedział.

– Sydney, musisz coś zjeść, nie jadłeś nic od dwóch dni. Mam pięć dolarów.

Wstąpiła do sklepiku na rogu, gdzie kupiła mu karton mleka i kanapkę.

– Jak myślisz, czy ktoś nam pomoże? – spytał Sydney, gdy wyszli z powrotem na ulicę.

– Nie, nikt nie pomoże.

Kiwnął głową i na chwilę odwrócił wzrok.

– Wiem – przyznał. – Nie pomogą. My, Elly, zostaliśmy z jakiegoś niewiadomego powodu strąceni do piekła. Uśmiechnął się i z czułością dotknął jej twarzy.

Matka była bardzo blada – zawsze była blada jak smutne jesienne niebo. Usta jej zadrżały.

– Ale to nic nie szkodzi – powiedział ojciec. – Czasami w najgorszej chwili zdarzy się coś, co wszystko obróci na dobre. Czasami, kiedy jestem

na rybach i wydaje mi się, że niebo już nigdy się nie roz pogodzi, nagle wychodzi słońce, lód skrzy się aż do niebieskości, promienie grzeją w plecy.

Postali tak jeszcze chwilę. Ojciec otworzył karton mleka, kątem oka śledząc drobne wirki śniegu, polatujące nad ulicą, którą już minęli, i ciemniejący dzień nad niewzruszonymi bryłami prostych domów.

– Myślę, że zawiodłaś się na mnie, nie umiem się poruszać po świecie, nigdy nie umiałem. Nie wiem, dlaczego. Taki zawsze byłem. Zwracam się do ludzi nie w przekonaniu, że nie wiedzą pewnych rzeczy, ale że właśnie wiedzą – i dlatego że wiedzą, potwierdzą moją wiedzę. A kiedy spostrzegam, jak bardzo się pomyliłem – milknę. Zawsze mi się zdawało, że to dobra metoda. Nie jestem zbyt rozgarnięty.

– Och, Syd – uśmiechnęła się moja matka i łzy popłynęły jej z oczu. Skręcili razem w drogę do domu.

## Rozdział 18

Kolejny tydzień matka przeleżała w łóżku, obawiając się, że zacznie krwawić i znów straci dziecko. Doktor złościł się na nią, że mimo ciąży wybrała się pieszo do Newcastle, a gdy raz sama udała się do niego na badanie, ostrzegł ją bez ogródek.

W szkole nikt nie odzywał się do mnie ani do Autumn, ale cała sprawa budziła w nas rosnący niepokój, zwłaszcza w Autumn.

Razem z innymi ludźmi chodziliśmy się modlić do wielkich kościołów – o to, żeby nasza mama urodziła dziecko, bo sama nas prosiła. Pierwszy raz widziałem, żeby mój ojciec nie chodził do kościoła. Okazało się, że raz

ksiądz odmówił mu udzielenia komunii przy ołtarzu. Nie mogłem oddać mu swojej. A mnie ona wcale nie była potrzebna do ochrony przed tymi ludźmi. Siedziałem w ławce i wpatrywałem się w złoty kielich, uniesiony w bladych, upstrzonych wątrobianymi plamami dłoniach ojca Poriera. Księdzu wystawała z rękawa lniana chustka do nosa, a na kamiennym ołtarzu kładło się światło. Nienawidziłem księdza Poriera – w imieniu mojego ojca, bo on sam wyrzekł się nienawiści.

Jakie to dziwne, że człowiek prędzej czy później musi stracić właśnie to, co sobie najbardziej cenił. Mój ojciec w tamtym czasie stracił kościół. Kościół rozsypał mu się pod stopami i zostawił go samego w powietrzu. A właśnie wtedy, wobec zbliżającego się procesu, był mu potrzebny jak nigdy. Ojciec siedział w domu i czytał – nie paszkwile na siebie i mamę, tylko Rozmyślenia Marka Aureliusza. Przez wiele dni widywałem tę książeczkę w kieszonkowym wydaniu Penguina, wystającą z tylnej kieszeni jego spodni. Pamiętam, myślałem sobie wtedy, że profesorom z Uniwersytetu Saint Michael albo z uniwersytetu w Toronto na pewno nie jest ona tak niezbędna, jak mojemu ojcu.

W kościele, na mszach za spokój duszy Trentona Pita, często widywałem Rudy'ego Bellangera. Przychodził w uniformie Rycerzy Kolumba, zęgał się wielkim krzyżem i przyjmował komunię. Rycerze Kolumba trzymali straż honorową: Rudy stawał wtedy obok swojego teścia, Leo McVicera. Niektórzy mieli ciche pretensje do McVicera, że w ogóle zatrudnił mojego ojca – o czym Leo wiedział. Dlatego działał demonstracyjnie.

Zorganizował akcję charytatywną w społecznym ośrodku dla dzieci, pod hasłem „O zdrowie dziecka”. Akcja odbyła się w styczniową sobotę, gdy niebo spurpurowiało od mrozu, a grubość lodu na zatoce osiągnęła

dziesięć stóp.

Każde dziecko dostało zabawkę. Odbyły się zawody w jedzeniu hot dogów – Rudy w czapce kucharza gotował parówki w wielkim kotle. Były ciastka i słodycze ze sklepu, rozstawiono też aparaturę stereo, żeby dzieciaki mogły przy muzyce jeździć na łyżwach po odkrytym lodowisku. Zjawił się nawet posterunkowy Morris, który każdemu chętnemu dawał posiedzieć w swoim radiowozie.

Matka błagała nas, żebyśmy poszli na imprezę.

– Przecież wy też jesteście dziećmi – przekonywała. – Dlaczego mieliby was traktować inaczej?

Więc z drżeniem serca wyruszyliśmy z domu na siarczysty mróz. Ale ja byłem za sprytny, żeby się pokazać na imprezie. Oboje z Autumn, trzymając się za ręce, obserwowaliśmy przebieg zabawy z daleka, z pola za budynkiem ośrodka. Trzymałem Autumn za rękę, bo wiedziałem, że jeśli ktoś nas zauważy, dzieciaki zaczną nas gonić. Tak też się stało.

Dostrzegł nas Griffin Porier. Razem z kilkoma kolegami próbował odciąć nam drogę do domu. Gnany strachem, uciekałem tak szybko, że w końcu ciągnąłem biedną Autumn za sobą jak szmacianą lalkę. Ale udało się: zdążyliśmy przeciąć potok Arron i wbiec na nasze podwórze, ścigani z tyłu gradem rzucanych kamieni.

Pitowie zazwyczaj byli obecni na mszy, bo Alvina kazała Matowi wozić się do kościoła, żeby wszyscy widzieli, jak przyjmuje Najświętszy Sakrament. Mathew zyskał przez to swoisty nimb szlachetności, jako twardziel, ciężko doświadczony przez życie, a teraz spokorniał do tego stopnia, że towarzyszy starej matce do stóp Jezusa Chrystusa. To samo



dotyczyło Cynthii, znanej od dawna uwodzicielki, która zasiadała oto w kościelnej ławce, wystrojona w czarną spódnicę i rękawiczki.

Wspominano o jej pierwszym dziecku, dziewczynce, która, gdyby przeżyła, miałaby teraz tyle lat, co ja.

Alvina rzuciła się na kolana – nigdy nie przyjmowała komunii na stojąco, tylko na klęczkach, z rękami złożonymi na piersi i zamkniętymi, załzawionymi oczami. Patrząc na nią, gdy Cynthia prowadziła matkę do ołtarza i z powrotem, z niejaką przyjemnością myślałem o śmierci za młodu.

Mnie wysyłano do kościoła jako przedstawiciela rodziny – niechcianego emisariusza. Kiedy klękałem, ludzie gapili się na mnie karcąco, a jeszcze bardziej, gdy przyjmowałem komunię. Dlatego, wbrew naleganiom matki, przez jakiś czas nie podchodziłem do komunii. Każdemu można wmówić, że jest hipokrytą, a ja, który w tym czasie zmagalem się z samą ideą Boga, podwójnie odczuwałem własną śmieszność w kościele. Któregoś razu pewien mężczyzna zatrzymał mnie po drodze do ołtarza i z uśmiechem powiedział, że lepiej by było, gdybym to ja urodził się martwy, a dziecko Cynthii żywe. Potem poszedł przyjąć komunię. Nigdy nie zapomniałem dotyku jego szorstkiej, skórzanej robociarskiej rękawicy na ramieniu. To był Danny Sheppard, domniemany ojciec dziecka Cynthii, jeden z największych łobuzów w naszych stronach.

Do jednej mszy odprawianej przez ojca Poriera służyli jako ministranci Rudy i Mathew Pit. Udawali, że się nie znają. Porier wszedł na lektorium i zagał:

– Prosiłem Boga, aby ci, którzy winni są śmierci tego nieszczęsnego dziecka, pojawili się dzisiaj wśród nas, sprzeniewierzyli się bowiem

własnej godności. Nie widzę ich, niestety, ale Chrystus jeszcze nie wyrzekł się ich do końca.

Po mszy Rudy Bellanger wpadł do teścia na herbatę. Wstąpił do Rycerzy Kolumba, chcąc udowodnić Leo McVicerowi, że jest człowiekiem moralnym – zrobił to zresztą na wyraźne życzenie teścia. Ale nagle wszystko się popsuło. Życie Rudy'ego legło w gruzach. Nie słyszał, co do niego mówi Leo.

Późnym wieczorem, gdy wszyscy się już pokładli, poszedł do Mathew Pita.

– Ja też się martwię – zapewnił go Mathew.

– No bo my dwaj przecież wiemy, skąd się u niego wzięła ta forsa – szeptał Rudy. – Wiemy, że ty, Mathew, wszystko urządziłeś. To jest zdrada wszystkiego, w co ja... i ty też, Mathew... w co myśmy wierzyli... – uśmiechnął się wstydliwie. – Pamiętam, sam ci kiedyś mówiłem, że cieszyłbym się, gdyby coś się stało na moście, bo wreszcie Porier przestałby może zadzierać nosa. Ale przecież nie miałem na myśli czegoś takiego. To fatalnie, że cała wina spadła na Elly i Sydneya. I na ich dzieci – wyśmiewają się z nich w szkole, a już i wcześniej nie miały lekkiego życia... sam wiesz, ta mała albinoska, bieda w domu... Czy naprawdę nie moglibyśmy ich jakoś z tego wyciągnąć? Powiedzmy, że podebrałbyś mi trochę forsy, potem by się znalazła – i ogłosilibyśmy, że zaszło nieporozumienie, że ja sam gdzieś te pieniądze wsadziłem i zapomniałem. W ten sposób Elly byłaby czysta, a pozew przeciwko Sydneyowi zostałby rozpatrzony ponownie. No jak, podoba ci się ten pomysł?

– Chcesz mnie wpakować, a siebie wybielić!

– Skąd! Ja tylko...

– Ty tylko chcesz rozpuścić gębę po całym mieście!

– Gdzie tam, ja wcale...

Mathew miał jednak minę desperata. Rudy nagle zrozumiał, że ten człowiek zabije go, jeśli zajdzie taka potrzeba. Mathew zdążył już bowiem przekonać sam siebie – aby tym łatwiej przekonać Cynthię i matkę – że nie miał z całą sprawą nic do czynienia. Matka i siostra uważały go teraz za rzecznika prasowego rodziny, zwłaszcza odkąd gazeta zacytowała jego słowa, że od chwili gdy ujrzał ciało Trentona, własne życie przestało być dla niego ważne. Powiedzieć coś takiego do gazety, a potem okazać się winnym – to byłaby totalna klęska.

Rudy zapadł się w siebie i zamilkł. Wrócił do domu, ale kiedy żona zaczęła perorować, że Sydney i Elly powinni trafić do więzienia, nie śmiał spojrzeć jej w oczy. Gladys nie miała pojęcia o świecie – łatwo jej było mówić o więzieniu. Wiedząc o zauroczeniu Rudy'ego, była po prostu zazdrosna o Elly.

– Przestań wreszcie śpiewać! – wrzasnęła na nią, gdy wyciągała rogaliki z pieca. – Chodzi o życie młodej matki!

– Ach tak? – Odwróciła się do niego. Nie wiedział, że dwa dni wcześniej znów zemdląca. – Nie wiedziałam, że tak bardzo ci zależy na Elly.

– Nie bądź głupia. – Zmiażdżył zębami kostkę lodu, wyciągniętą ze szklanki whisky. – To tylko biedna kobieta, która miała nieszczęście wyjść za beznadziejnego nicponia i idiotę. Żyją w ruderze; niedługo, nie daj Boże, będą się musieli w ogóle wynosić znad rzeki!

– No tak – powiedziała, rzucając mu przelotne spojrzenie. Potem spojrzała w dal, parę razy pociągnęła nosem i dodała: – Rzeczywiście, byłam głupia.

## Rozdział 19

Przesłuchanie, pod przewodnictwem szeryfa Bułgara i głównego śledczego z urzędu, zaczęło się w lutym. Wzbudziło wielkie zainteresowanie w całej prowincji, aż po stan Maine.

Ja codziennie otwierałem gazetę z nadzieją, że zobaczę tam słowa: „Pomyłka – Sydney Henderson to bohater”. Nie doczekałem się tego. Trzykrotnie w ciągu kilku tygodni przesłuchań w gazecie pojawiło się zdjęcie Autumn idącej brzegiem morza.

Z gazety wyczytałem, co następuje:

Prokurator usiłował dowieść, że mój ojciec notorycznie zaniedbywał obowiązki i tyranizował otoczenie, a zbrodni dopuścił się dla zatuszowania własnego występku. Zarzut przeciwko niemu oparty był na założeniu, że ojciec rozmyślnie wjechał półtonową ciężarówką na słabe przęsło mostu. Uczynił to, wiedząc doskonale, że przęsło musi się załamać. Kierowała nim chęć zemsty za planowane zaraz po świętach wyrzucenie z pracy, spowodowane przyłapaniem go na kradzieży. Prokurator żądał oskarżenia mojego ojca o morderstwo drugiego stopnia. Miejscowe rodziny rywalizowały między sobą w roli informatorów, a nazwiska posterunkowego Morrisa, Conniego Devlina i Autumn Henderson zdominowały rodzinne rozmowy.

Śledczy z urzędu dokonał inspekcji mostu, oceniając szacunkowo wysokość, z jakiej spadła ofiara, godzinę zgonu, odległość pochodni ostrzegawczych od zapory, a zapory od słabego przęsła, oraz szkody poczynione przez dynamit. A przede wszystkim – miejsce, w którym znajdowała się ciężarówka w chwili tragedii.

Szeryf zarządził pomiary i zapytał Conniego Devlina, czy jako stróż dokonywał obchodów terenu. Connie odpowiedział, że oczywiście tak, ale nie powie nic więcej aż do przesłuchania. Szeryf skonfiskował zegar kontrolny.

Ciekaw był także, dlaczego wyłączono reflektory na budowie i czy przypadkiem nie szwankowały generatory. Wszystko to było bardzo ciekawe, tyle że nie dotyczyło mojego ojca, który w chwili tragedii siedział w domu i jadł kolację, czego byłem świadkiem.

Nasza obrończyni, Isabel Young, była chuda i miała ciemne włosy. Ojciec uznał, że nie ma sensu angażować adwokata, i pierwsze trzy dni przesłuchań spędził na sali sam. Dopiero moja matka pojechała taksówką do Isabel Young i poprosiła ją o pomoc.

Elly położyła na biurku prawniczki nasze oszczędności na wakacje, pomięte jedno-, dwu – i pięciodolarówki.

Isabel Young uśmiechnęła się i powiedziała, że nie trzeba. Uprzedziła jednak matkę, że sprawa jest trudna. Ludzie coraz głośniej szemrali o zemście, a Cynthia Pit była zdecydowana wziąć odwet za brata. Co gorsza, Diedre Whyne, z którą pani Young miewała już do czynienia w sądzie, uparła się oddać dzieci do adopcji, i to, jak się wyraziła, „raz na zawsze”. Diedre uznała sprawę za punkt honoru i jako koronny dowód zamierzała wykorzystać oplakaną sytuację domową dzieci Hendersonów. Isabel Young wiedziała o tym, bo już od dawna walczyła z Diedre Whyne. Matka spojrzała na nią uważnie. Mogła dodać, że sama też walczyła od dawna z Diedre Whyne, chociaż zawsze wbrew sobie.

Na koniec Isabel Young obiecała mojej matce, że zrobi, co w jej mocy.

– Naturalnie, że on jest niewinny – powiedziała.

– Niewinny? – powtórzyła Elly, zdumiona, że ktoś obcy mógł coś takiego powiedzieć.

Świadkiem oskarżenia był posterunkowy Morris. Zeznał, że w chwili zawiadomienia policji o wypadku chłopiec nie żył już od ponad godziny, a wcześniej jakiś czas przeleżał zapewne na lodzie żywy.

Morris podkreślił spokój, z jakim mój ojciec przyszedł do niego na komisariat, i bałwochwalczy zachwyt Elly, gdy Sydney recytował na policji wiersz, który – co posterunkowy szczególnie podkreślił – nawet nie był do rymu. Rozbawiona publiczność jęła chichotać i spoglądać na Sydneya.

Potem przez dwa dni zeznawał Leo McVicer. Rzetelnie poinformował sąd o swoim przedsiębiorstwie, o kredycie, który zaciągnął na budowę mostu, oraz o tym, że jest jednym z najbardziej szanowanych pracodawców w okolicy. Wspomniał o sprawie tartaku oraz o podejrzeniu wykrycia toksyn w wodach podskórnych, a przy okazji o tym, że on, Leo McVicer, zatrudnił Mathew i Sydneya przy kopaniu nowych studzien, bo tak leżało mu na sercu dobro społeczne.

Wreszcie przeszedł do sprawy kradzieży. Patrząc wprost na moją matkę, powiedział:

– Nie wiem wszystkiego o Sydneyu. Lepiej znałem jego ojca – harda to była sztuka. Ale Elly zawsze dbała o dzieci. Nie przelewało im się w domu, mały nieraz latał w dziurawych portkach – no to ja czasem szedłem do Abby’ego Poriera, brałem od niego coś po Griffinie i zanosłem Elly. Lyle połowę ubrań donaszał po Griffinie.

Ton i postawa Leo McVicera zdradzały wielkie poruszenie; widać było, że facet jest wstrząśnięty. Na pewno jednak nie był tak wstrząśnięty jak ja,

gdy usłyszałem, że od nie wiem ilu lat donaszam ciuchy brata Penny Porier.

Adwokatka mojego ojca spytała Leo McVicera, ile może być wart jego majątek.

– Trzy, cztery miliony, może pięć, nie mam pojęcia.

– A więc jest pan człowiekiem zamożnym i powszechnie znanym.

– Nie przeczę.

– I uczęszcza pan na polowania, co też jest faktem powszechnie znanym.

– Nie przeczę.

– Były na pana zażalenia. Kilka lat temu zamknął pan tartak jednym poleceniem przez telefon, z dnia na dzień zostawiając dwustu ludzi bez pracy. W wyniku sabotażu pański tartak spłonął.

– To było lata temu. Podejrzanym o podpalenie był zresztą ojciec Sydneya.

– Czy nikogo innego nie podejrzewa pan o kradzież albo o chęć sabotowania budowy mostu w odwecie za doznaną od pana krzywdę? Na pewno nikogo?

Leo wzruszył ramionami.

– Może i ktoś by się znalazł... ale tak na poczekaniu... no, nie przychodzi mi do głowy nikt, kto by miał taką okazję jak Sydney... i taką motywację.

W następnym dniu przesłuchań na wniosek obrony jeden z robotników złożył oświadczenie z dokładnym podaniem odległości, jaka dzieliła pochodnie ostrzegawcze od zapory na moście. Robotnik przyznał, że nie lubił pracować w rejonie wiadomego przesła, bo było wybrzuszone.

Dodał, że niepokoiło to również Sydneya i Poriera. W końcu wadliwe przesło odgrodzono barierą. Zdaniem robotnika, tylko samobójca mógł chcieć ją staranować.

Oświadczenie to, wbrew pozorom, nie pomogło mojemu ojcu, bo jako jeden z nielicznych przewidział on, co się stanie, jeśli na słabe przęsło wjedzie ciężarówka.

Decydujące miało więc być zeznanie stróża nocnego. Gdzie znajdował się w chwili tragedii i co widział? Na odpowiedź czekała cała okolica. Szeryf Bułgar wiedział, że stróż nocny miał obowiązek dokonać obchodu terenu w okolicy zapory około godziny szóstej trzydzieści – czyli dokładnie wtedy, gdy ciężarówka załamała most i chłopiec spadł. Nity wzdłuż przęsła były podcięte. Kto je popodcinał? Sprawca sabotażu czy robotnicy próbujący zmniejszyć naprężenie wygiętej stali?

Do zniszczenia konstrukcji przyczynił się również dynamit. Z tego powodu – gdyby Sydney nie został uznany za winnego – Leo McVicerowi groziłby horrendalny proces.

Takie argumenty wysunęła dwudziestodwuletnia Isabel Young. Jej linia obrony opierała się na założeniu, że przy budowie mostu doszło do niedbalstwa, znacznie przekraczającego możliwości działania mojego ojca.

W drugim tygodniu przesłuchań mój ojciec nie mógł już spokojnie wejść do sądu ani z niego wyjść, nie narażając się na obelgi i pogróżki wzbudzonych obywateli. Marzył o śmierci. Dziś to wiem. Specjalnie przechodził jak najbliżej ludzi życzących mu jak najgorzej. Nigdy nie bał się śmierci, nigdy się przed nią nie bronił. Matka modliła się stale do świętego Judy Tadeusza i była pewna, że tylko jemu zawdzięcza życie ojca. Osobiście nie wierzę w świętego Judę Tadeusza. Ale innego wyjaśnienia nie mam.

Matka nie mogła pozwolić, żeby ojciec chodził na przesłuchania sam, więc



zwlekała się z łóżka o bladym świetle, ubierała i szła razem z nim. Po paru dniach Jay Beard zaczął ich odwozić do sądu i przywozić.

Dni były jeszcze krótkie, więc w sądzie przez całe popołudnie paliło się światło. O trzeciej na dworze robiło się prawie całkiem ciemno. Naprzeciw gmachu sądu, za szarymi pryzmami śniegu na boisku, w równie ponurych oknach ceglanej szkoły gromadziły się ciekawskie dzieciaki.

Adwokatka ojca wypytywała prywatnie moją matkę, co wie o mężu. I chociaż matce zdawało się dotychczas, że wie o nim wszystko, Isabel Young wydobyła fakty nowe i zaskakujące. Okazało się, że lata szkolne były dla Sydneya jednym wielkim pasmem udręki: wolał przesiadywać po rowach niż stawić czoło czyhającym na niego kolegom. Był bity przez własnego ojca, ilekroć stanął w obronie matki. W domu stale pojawiała się wino. Sydney cierpiał na liszaje i dyzenterię. A największa rewelacja miała wydźwięk wręcz komiczny – jak to często bywa, gdy zestawia się proste fakty.

Gdy Sydney miał dwanaście lat, został postrzelony z dwudziestodwukalibrowej strzelby. Pocisk, który utkwiał w jego ciele, wywoływał od tamtego czasu nawracające ataki wyrostka robaczkowego. Prawniczka zdobyła zdjęcie Sydneya leżącego pod namiotem tlenowym. W związku z tym właśnie wypadkiem przeleżał dłuższy czas w szpitalu, gdzie sam nauczył się czytać. Potem, po śmierci matki, za którą czuł się częściowo odpowiedzialny, stał się milczkiem i odludkiem.

Elly nie miała o tym wszystkim pojęcia, ale nagle zrozumiała, skąd pochodzi blizna po operacji na brzuchu męża.

– Proszę mu tylko nie mówić, że się pani dowiedziała – poradziła Isabel Young.

Siódmego lutego, około godziny czwartej po południu, moi rodzice opuścili budynek sądu i zostali odwiezieni do naszej uliczki przez Jaya Bearda. Gdy tam dotarli, na ścieżce prowadzącej do domu było ciemno, śnieg zasypywał zmarznięte grudy gliny. W okolicy chętnie pasły się sarny: teraz też obgryzały resztki kielków na zmarzniętych klonach.

Autumn i ja byliśmy wtedy u ciotki mamy, niedaleko Barryville.

Rodzice doszli w milczeniu pod dom, przykryty naderwaną papą, którą miotał nocny wiatr. Od zatoki nadciągała zadymka.

Ledwie stanęli pod drzwiami, te same się otworzyły. W progu, w niesamowitym, żółtawym świetle żarówki nad gankiem, stanął Mathew Pit. Trwało to tylko jeden nieuchwytny moment, lecz nie sposób było nie dostrzec błysku triumfu w jego oczach – z miną butnego samozadowolenia, jaką często miewają przeciwnicy najslabiej nas znający, Mathew Pit otarł się o moich rodziców i dał nura w lodowaty, żalobny mrok.

Mathew odczuł przymus działania – nie dla ratowania honoru rodziny, ale dla pozbycia się wyrzutów sumienia. Co dzień o tej właśnie porze – gdy zmierzch kładł się na śniegu – przychodziła chwila, w której myśl o śmierci brata stawała się dla Mathew Pita nieznośna. Ponieważ wiedział dokładnie... tylko oni trzej – on, Rudy Bellanger i Connie Devlin wiedzieli, co się naprawdę stało. Widzieli chłopca leżącego pod mostem, widzieli, jak wyciąga rękę, jakby błagał o pomoc. Cała scena, a szczególnie obraz brata spadającego z mostu, wrył się na trwałe w pamięć Mathew Pita jak palący, żelazny stempel na skórę jałówki. Mimo to, co dzień na nowo, fałsz więził go, zamykał w sobie i otumaniał.

Szperając u nas w domu, Mathew znalazł książkę. Było to właśnie to,

czego szukał – bo największe szyderstwo budzi mędrzec upadły.

Tego wieczoru Mathew, wściekły, że Sydney nie chce się przyznać do winy, przyszedł pod nasz dom z zamiarem dania ojcu nauczki; chciał mu przemówić pięścią do rozumu. Uważał, że mój ojciec – jakkolwiek niewinny – powinien czuć się moralnie zobowiązany do wzięcia winy na siebie, skoro wszyscy uważają go za sprawcę zbrodni. Chciał zarazić ojca własnymi wyrzutami sumienia – ale go nie zastał, za to zastał dom otwarty, a w środku – książkę.

Znalazł książkę z nowego świata – świata, który Scott Fitzgerald oglądał w chwale z okien swego pokoju w Paryżu; książkę, która teraz przemawiała do nas jak głos z zaświatów, która uświadomiła nam możliwość wszystkiego – oprócz odkupienia. Książkę, która z trzepotem kart fruwała po tunelach piekła i radowała się tym, co tam znajduje. Mathew Pit znalazł u nas na półce książkę, która dowodziła wszystkiego, co zarzucał mojemu ojcu.

Mathew pozostawił moich rodziców w skamieniałej ciszy. Przeszedł przez zamarznięty potok, pokreślony nitkami śniegu, i skierował się do domu kultury.

Słuchano tam muzyki Waylona Jenningsa i grano w karty. Mathew wkroczył z zaczerwienionymi od wiatru oczami, ze złotym łańcuszkiem na szyi. Stał na środku sali i położył na stoliku książkę mojego ojca.

– Przeczytajcie te świństwa – powiedział. – Przed chwilą znalazłem.

Poczytajcie sobie książkę tego świntucha.

– Gdzie ją znalazłeś? – spytał Connie Devlin.

– U niego w domu.

Cynthia spojrzała na brata i wzięła książkę ze stołu, a gdy Mathew zobaczył, że nawet restauratorka Polly przyszła sprawdzić, co się dzieje – uciszył towarzystwo i powiedział:

– Ja bym sam tego świństwa nie wziął do ręki, Polly, nigdy w życiu.

– No to będę miał co powiedzieć w sądzie – odezwał się Connie Devlin.

Pociągnął głośno nosem i pokręcił głową. Nareszcie zdecydował, po której jest stronie. Uległ dawnej słabostce owczego pędu; na ryzyko zawsze będzie czas. Teraz może z czystym sumieniem opowiadać bajeczkę Mathew Pita. Jego chytrość polegała na tym, że od początku deklarował, iż zezna samą prawdę, bez względu na wieloletnią przyjaźń z Sydneyem Hendersonem – i wszyscy w to uwierzyli.

– Serce mi się kraje, jak o tym myślę – biadolił Connie. – On mi przecież załatwił powrót na most... Ale teraz rozumiem, po co to zrobił: żebym udawał, że nie widzę, jak będzie odwalał swoją brudną robotę, żebym milczał, jak wysiądzie generator i puszcza wszystkie nity. Ja dużo rzeczy umiem przemilczeć, ale nie coś takiego.

– Słusznie robisz – poparł go ktoś z sali. – Bardzo słusznie.

Po chwili wszyscy rzucili się pocieszać Mathew Pita po szoku odkrycia haniebnej książki. Mathew manifestował święte oburzenie i sącył piwo z miną pokornego cierpiętnika, co na zebranych działało jak opium.

Mathew uświadomił sobie nagle, że jako ofiara tragedii – tragedii, którą sam spowodował – dysponuje nową, nieograniczoną władzą. Stało się to jeszcze bardziej oczywiste, gdy moja ciotka (której sam nigdy prawie nie widywałem) zbliżyła się do niego nieśmiało i wyciągnęła rękę, prosząc o wybaczenie win „tamtej gałęzi rodziny”.

Ciotkę Ednę, która nas ignorowała od czternastu lat, rozpałiło episkopalne

poczucie obowiązku. Z gorliwością widoczną w pąsowych rumieńcach i energicznych ruchach chudego jak szczapa ciała, spędzała teraz przerwy między posiedzeniami sądu na opłotkowywaniu ojca swojego ojca. Nagła sława wśród miejscowych obudziła w niej swoisty rodzaj erotyzmu: ciotka Edna robiła wszystko, by widziano ją u boku Mathew Pita. Mat kiwnął głową i burknął:

– To nie twoja wina, Edna, z tobą myśmy nigdy nie mieli zatargów.

Uściskali się, a całe towarzystwo, widząc to, z aprobatą kiwało głowami.

Mathew w trzydziestym trzecim roku życia wyglądał jak neurotyczny

młody bóg – nie tyle może z Olimpu, ile z jakiegoś osobliwego

podziemnego świata, gdzie śmierć młodzieńca i udręka niewinnego

mężczyzny pozwalały mu jaśnieć w sztucznym słońcu – słońcu na

podobieństwo ulicznej latarni, świecącej do kloaki. Wśród miejscowych

wyrósł na bohatera – przerósł wszystkich innych – za sprawą śmierci

dziecka, które regularnie bijał.

## Rozdział 20

Wezwano go na świadka cztery dni później. Moi rodzice słuchali zeznań w

sądzie. Mathew Pit stanął na wyznaczonym miejscu, gapiąc się na sędziów

i dziennikarzy, którzy przybyli na przesłuchanie. Wypytywano go o pracę,

życie i plany na przyszłość. Gdy padło pytanie o młodszego brata

Trentona, miał okazję opowiedzieć, jak przed laty woził go wózkiem nad

rzekę. Zapytano go również o nadciśnienie matki i wpływ niedawnych

przeżyć na stan jej serca. Mathew dwukrotnie łapał się za głowę na znak,

że ogrom zbrodni przerasta jego pojęcie.

W ramach rutynowego przesłuchania prokurator zapytał, jak Sydney traktował Trentona. Mathew skrzywił się, a jego twarz wyglądała przez moment jak na nieostrej fotografii.

– Dręczyciel.

– Czy to znaczy, że Sydney dręczył chłopca?

– Jeszcze jak! Obiecywał mu gruszki na wierzbie. Mnie też obiecywał pracę, ale ja z nim nie chciałem mieć do czynienia, wiedziałem, co to za ziółko... Dręczyciel... mówiłem mu, żeby się raz na zawsze odczepił od chłopca. Chłopiec się go bał.

– Pan mówił Sydneyowi, że Trenton się go boi?

– Mówiłem. Jak to usłyszał – zwiął.

Bładoniebieskie oczka Mathew Pita lustrowały świat z jawnym, skrajnym cynizmem.

– A co Sydney miewał przy sobie, kiedy przywoził chłopca?

– Co miewał przy sobie?

– No właśnie: co miewał przy sobie, kiedy przyjeżdżał wieczorami w listopadzie i grudniu?

– Tamtą książkę – wskazał Mathew, i prokurator podał mu książkę.

Mathew spojrział na nią, ale dał do zrozumienia, że godność nie pozwala mu wziąć takiego świństwa do ręki.

– Czytał to Trentowi, który nawet nie wiedział, jakie to świństwa, a potem, żeby zamknąć chłopcu usta, dał mu garść pieniędzy. Po to okradł Leo McVicera, którego powinien był po rękach całować, że dał mu robotę. Tę ostatnią kwestię wyrecytował Mathew nie do sędziów, ale do publiczności, która skwapliwie pokiwała głowami.

– Po to okradł Leo McVicera – powtórzył prokurator, żałobnym tonem

pieczętując tragedię.

Nigdy nie dowiedziałem się, co to była za książka. Ojciec nigdy nie zdradził mi jej tytułu, wstydził się. Może to była Miękka maszyna Burroughsa, a może Nagi lunch – albo jakaś inna z kilkunastu książek tego typu, które widywałem przez lata na półce ojca, książek z Ameryki już po Fitzgeraldzie. Niestety, nie wiem która.

Tego samego dnia wieczorem matka w milczeniu szykowała nam kolację. Autumn i ja wróciliśmy po południu do domu, bo nie mogliśmy już wytrzymać z dala od rodziców – zdawało nam się, oczywiście niesłusznie, że zdołamy im pomóc. Przeszkadzała nam nieznajomość rzeczywistości – nie wiedzieliśmy czemu, skoro Autumn recytowała wierszyki i dowcipkowała, a ja chciałem walczyć ze światem.

W końcu mama spytała tatę, o jaką książkę chodziło. Ojciec odparł, że o taką, która bada obyczaje seksualne, ilustrując je przykładami.

– Nie przejmuj się, Elly, to tylko książka, wolno jeszcze w tym kraju czytać, co się chce – dopóki w ogóle wolno czytać.

Nie powiedział nic więcej, tylko zabrał się do jedzenia makaronu z serem. Matka nigdy nie miała tej książki w rękę. Wychowała się na wsi, przy ciężkiej pracy, w błędnym kole surowych opiekunek i pobożnych zakonnice – a oto przyszło jej bronić książki, której sama by pewnie ani nie zrozumiała, ani nie chciała czytać – książki, która drwiła, być może, z całego jej życia. Lecz cóż się dziwić, skoro świat stanął na głowie: ona ma bronić książki uznanej za niemoralną, a Mat Pit i Cynthia patrzą na nas z góry i chodzą w glorii niewiniątek.

Niech mi jednak będzie wolno dodać, że, tak jak mój ojciec, tak i ta książka potępiona została nie za pornografię, tylko za swoją wielkość. Jej

fragment ukazał się w naszej gazecie, w błyskotliwym reportażu pod tytułem: „Czy pan Henderson czytał to dziecku?”

A nasze środowisko uniwersyteckie – osoby, które powinny były przynajmniej bronić prawa mego ojca do swobody czytania, milczały, zlekły się, a ich decyzja wstrzymania się od głosu jak zwykle nie miała znaczenia dla nikogo poza nimi samymi. Później dowiedziałem się, że wszystkie podejrzane książki stanowiły przedmiot wykładów doktora Davida Scone’a i były przezeń wychwalane pod niebiosa.

Elly zauważyła jednak, że mój ojciec znów przeoczył oczywistość – jak to się często zdarza ludziom nad miarę inteligentnym. Ufał, że środowisko uniwersyteckie weźmie jego stronę i stanie w obronie wartości książki. Czekał na to w cierpliwym milczeniu. Była w tym – choć waham się użyć tego określenia – swoista pycha dziecinnej nadziei.

– Posłuchaj mnie, Sydney – powiedziała tego wieczoru moja matka. – Proszę cię, posłuchaj. W życiu człowiekowi wszystko wolno – z wyjątkiem sięgania po luksus bycia innym. Za to teraz stajesz przed sądem. I pewnie tylko za to. Niech ci się nie wydaje, że profesorowie są inni, a jednak nikt się ich nie czepia – to nieprawda, oni są konformistami – dobrze się wyraziłam? Żaden jeszcze nie wystąpił w twojej obronie.

Wszyscy się schowali. Kiedy pani Young dowiedziała się, że ta książka ma zostać użyta jako dowód przeciwko tobie – a ty mówiłeś, że to książka wybitna – poszła na uniwersytet i pytała profesorów. Żaden nie chciał stwierdzić oficjalnie, że to wielkie dzieło. Żaden nie chciał, żeby jego nazwisko łączono z twoim, chociaż co najmniej u trzech pani Young widziała tę książkę na półce. Ty nie jesteś dla nich człowiekiem, oni nie chcą, żebyś czytał ich książki i dochodził do takich samych jak oni



wniosków. Przekonałam się, ile jest warta ich wiedza. Całe życie mieszkałam tylko w Tabusintac, ale wiem, że wiedza nic nie jest warta dla ludzi bez serca, a władza potrafiła obrócić przeciwko mnie nawet Diedre, którą kocham. Poza tym, człowiek przestraszony odwróci się od ciebie w jednej sekundzie. Nie mogę patrzeć na te gazety, jak one kłamią! – użaliła się ze łzami w oczach.

Potem siadła na krześle w końcu stołu i złożyła dłonie na kolanach.

– Ty nie rozumiesz – ciągnęła – że żadne osiągnięcie nie zmywa z człowieka piętna inności. Tak mi powiedziała pani Young. Staram się o tym nie myśleć, ale nie mogę ani jeść, ani nic. Z początku nie zrozumiałam jej słów. Ale już rozumiem. Ty jesteś inny nie przez to, że się nie podobasz ludziom, tylko całkiem inaczej, znacznie bardziej. Gdybyś zrobił coś takiego jak, dajmy na to, doktor David Scone przykuł się łańcuchem do bramy Urzędu do spraw Indian w stroju plemienia Micmac – to może byś się ludziom nie naraził. Mnie się wydaje, że doktor Scone zrobił to nie dla Dana Augustina, tylko dla siebie. Ale ty jesteś inny.

– Jak inny? – spytał ojciec.

– Nie walczysz, nie protestujesz, nic nie mówisz. Pani Young twierdzi, że to dlatego, że w dzieciństwie naoglądałeś się przemocy, i teraz palca nie umiesz na nikogo podnieść. To może i szlachetne – na pewno bardziej niż zachowanie ludzi, wśród których ja się wychowałam, którzy stale wzniecali burdy na podwórkach – na przykład Pitów – ale to mimo wszystko sprawia, że jesteś inny. I za to broni cię Isabel Young. Staje sama przeciwko wszystkim – serce mi się kraje, jak na nią patrzę. To bohaterka – ona, Sydney, jest bohaterką, nie ty.

Autumn zerknęła na mnie z przerażoną miną. Spuściłem głowę, jadłem.

Wydawało mi się w jakiś sposób naturalne, że mama chce teraz właśnie upokorzyć ojca. Wszyscy odcierpieliśmy swoje. Ale ojciec tylko kiwnął głową. Było mu wszystko jedno, czy nazywają go bohaterem, czy tchórzem. Całe życie nazywali go tchórzem.

– Jeżeli kiedykolwiek cię zostawię – zagroziła mama, wstając od stołu – to nie za to, co sama wycierpiałam, tylko za to, co wycierpiała pani Isabel Young.

Ojciec chyba nigdy nie pojął w pełni rozmiarów poświęcenia mojej matki. Może w ogóle nie pojmował idei poświęcenia. Na koniec pocałował matkę i dotknął jej brzucha, żeby poczuć kopnięcie małego.

– Ty tego nie rozumiesz – powiedział. – Ja wiem, jak się potoczy moje życie – chodzi o prostą prawdę statystyczną, tak pewną, jak tabliczka mnożenia: zostanę skazany. Skoro to wiem, co mi za różnica, czy wyrok zapadnie teraz, czy później. Muszą mnie skazać, bo się mnie boją.

– To bardzo śmieszne, jak rodzice się kłócą, prawda? zażartowała Autumn. Ale usłyszałem ją tylko ja.

Drugą kobietą, która poświęcała się w tym czasie dla mojego ojca, była Isabel Young. Należała do osób gotowych życie oddać za prawo, prawdę lub wiarę. Była inteligentna, miła – i dziwnie nieprzejednana wobec własnej natury.

Zniknęła potem z mojego życia – jak większość ludzi. Nie wyszła za mąż, została sama. Latami przechodziła codziennie przez korytarze sądu. Nigdy nie rozmawiała z prasą, nie pozowała na wyznawczynię radykalnych poglądów. Wiedziała, że najgłębsza prawda niewiele ma wspólnego z radykalną myślą lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych.

Pojawiała się i znikła, zawsze w czapce naciągniętej na uszy, z chusteczką do nosa na podorędziu – hipochondryczka, która nigdy w życiu nie była na randce. Kiedy jednak stawała w sądzie – o, w sądzie Isabel Young była mistrzynią, jakich mało. Nie wiem, czy ojciec myślał o niej wiele w późniejszych latach. Nie wiem nawet, czy podziękował jej jak należy, bo mój ojciec, proszę pana, nie wierzył w adwokatów.

Wiem, że Isabel Young kochała się w moim ojcu. Na zabój. Przy pożegnaniu uściskała go przelotnie, a Elly ucałowała w policzek. Była jedyną przyjaciółką moich rodziców.

Gdzie się podziała – nie wiem. Życzę jej jak najlepiej, należy jej się. Moi rodzice, widzi pan, nie mieli jak jej zapłacić. Ja teraz mam dość pieniędzy, żeby się odwdzińczyć – o ile pani Young nie przeszkadzałoby, skąd te pieniądze pochodzą.

Jadała sama U Polly, w milczeniu znosząc purytańską pogardę restauratorów i arogancką minę kelnerki. Wszyscy poza nią wierzyli w winę Sydneya Hendersona. Pracowała godzinami, gdy inni już porozchodzili się do domów: sprawdzała wytrzymałość wadliwego przęsła i sposób podpiłowania nitów, porównywała opis posługiwania się dynamitem przez mojego ojca podczas wysadzania skał któregoś lata z metodą użycia dynamitu na moście.

## Rozdział 21

Kiedy Mathew następnego dnia zajął miejsce dla świadka, Isabel wypytała go szczegółowo o relacje z Trentonem. Mathew zazgrzytał zębami na sugestię, że to on, a nie Sydney, maltretował chłopca.

Nienawidził takich bab – bał się ich: sto dziewięć funtów wagi, dziobata gęba i ani grama strachu przed Mathew Pitem. Czuł, że Isabel Young nie boi się go w najgłębszym sensie tego słowa – nie tylko dlatego, że chroni ją parawan prawa, z którego potrafi korzystać. Ona się go nie bała w sensie gruntownym, ludzkim.

– Pastwił się pan nad chłopcem wielokrotnie, prawda? Również nad jego psem.

– Brednie wyssane z palca – burknął Mathew.

– Czy to jest książka – pytała dalej, biorąc książkę ze stołu i podając mu ją

– czy to jest książka, którą pan Henderson czytał Trentowi? Pan słyszał, jak on czyta?

– Nie słyszałem, ale Cynthia słyszała.

– Cynthia słyszała. Więc skąd pan wie, o czym jest ta książka?

– Przejrzałem świństwo pobieżnie, to wiem.

– Kiedy?

– Jak znalazłem... przejrzałem... on to czytał chłopcu... widziałem... potem go chciał przekupić, w końcu zepchnął go z mostu... jak śmiecia.

Mathew pokręcił głową i przestąpił z nogi na nogę, uparcie odwracając wzrok od Isabel Young. Gdy podała mu książkę, wziął ją, spojrzawszy na okładkę i szybko oddał z powrotem.

– To ta – powiedział.

– Jest pan pewien?

– To ta książka.

– Nie, to nie ta książka – rzekła Isabel i podała książkę szeryfowi.

– Wygląda podobnie – zauważył szeryf tonem prawie pytającym.

– To jest książka mojego brata – powiedziała panna Young, odbierając

rzekomy dowód. – Na odwrocie okładki znajdzie pan jego nazwisko. Brat wyklada w Halifaksie musiałam go prosić o przysłanie tej książki, bo żaden z profesorów Uniwersytetu Saint Michael nie przyznał się, że ma własny egzemplarz. Proszę spojrzeć, oto notatki poczynione przez mojego brata; a ten fragment tutaj, wyjątkowo drastyczny opis praktyk seksualnych, zakreśliłam osobiście dzisiaj o drugiej nad ranem. –

Odwracając się do sali, podniosła książkę, tak żeby wszyscy widzieli. –

Proszę spojrzeć na tylną okładkę: takie sławy jak Edmund Wilson, Edith Sitwell i nie tylko, piszą o tej książce „wielka, odkrywczą powieść”.

Nawet gdyby ktoś czytał ją Trentonowi – co, zapewniam państwa, nie miało miejsca – to lektura tej książki nie uczyniłaby mu szkody. Nie miałyby po prostu pojęcia, o czym mowa. Ta książka jest tematem wykładów młodych radykałów na uniwersytecie w Chatham – omawiają ją jako klasykę współczesną – niewątpliwie na złość klerowi, bo walka z klerem to szczyt ich radykalizmu. A jednak żaden z tych młodych gniewnych nie wystąpił w obronie dzieła. No cóż – dodała – pewnie dlatego, że są z Chatham.

Zamknęła książkę, odłożyła i wróciła na swoje miejsce – w ostatniej chwili odwróciła się i oświadczyła, że nie ma więcej pytań do Mathew Pita. Matowi trzeba było trzy razy powtórzyć, że ma opuścić podium dla świadków. Cynthia spiorunowała go wzrokiem za to, że wymienił jej imię. Dla Cynthii najważniejsze było bowiem pozostać na uboczu całej sprawy, jeśli miała kiedykolwiek zrealizować swoje życiowe ambicje.

Prawda jest taka – jeśli wolno mi się tak wyrazić – że Mathew był bandziorem, ale w głębi serca kochał chłopaka jak nikt inny. A Isabel Young miała czelność to zakwestionować. Ta chwila, po krótkim i

chwalebny okresie społecznej akceptacji, stała się dla Mathew Pita początkiem upadku.

Parę dni później w tym samym tygodniu na podium dla świadków stanął Connie Devlin. Zeznał, że widział Sydneya na moście, i potwierdził to przysięgą. Wniosło to w całą sprawę powiew zdrowego rozsądku.

– A kto kręcił się przy zaporze, kiedy robił pan obchód?

– On, Syd – oświadczył Connie, wskazując palcem. – Jeździł sobie wte i wewte ciężarówką. Mówię mu, Syd, nie rób tego, Syd, przestań. Ale czy on mnie słuchał? Gdzie tam. Mówię mu, Syd, wzięłeś i poprzecinałeś wszystkie nity, przęśło się rozwali – a on do mnie: No to co?

Tego dnia po raz pierwszy byłem na przesłuchaniu. Connie pokiwał smutno głową, jakby się temu wszystkiemu bardzo dziwował, i zerknął na mnie. Chciałem go zgromić wzrokiem, ale nie umiałem.

– Po co on się tam znalazł, jak pan myśli? – spytała Isabel.

– Żeby rozwalić przęśło – łubudu!

– Bardzo pan odważny, że obserwował to wszystko, żeby złożyć raport.

– Jasne, że jestem odważny. Ale zanim zdążyłem złożyć raport, i tak każdy wiedział.

– Coś podobnego... A po co właściwie Sydney miałby robić coś tak niebezpiecznego i szkodliwego?

– Skarżył mi się, jak był u mnie w domu, że jednak nie zostanie brygadzystą, że wszyscy są przeciwko niemu. Ja mu na to mówię: słuchaj, Sydney, ty się nigdy nie dzielasz społecznie, z tobą zawsze są kłopoty – no to jak ludzie mają mieć do ciebie zaufanie? Jego żona, Elly, przyszła do mnie prosić, żebym to jakoś zatuszował, zakrył – jak brud w szparze, no

nie? Jeszcze mówiła, że posterunkowy Morris się do niej podwala. Mówię jej: to dobrze, Elly, ty się ciesz, bo może on ciebie jeszcze wyprowadzi na dobrą drogę i odciągnie od tego desperata.

Na sali zerwały się oklaski. Connie z satysfakcją pociągnął nosem i znów spojrzał na mnie.

W poniedziałek po południu zeznawał po raz drugi. Na sali zebrało się wiele miejscowych kobiet, usiadły trzy rzędy za moimi rodzicami, wśród nich Cynthia. Krąg życzliwych pań towarzyszył jej stale na przesłuchaniach. Tego dnia znalazła się w nim także kelnerka od Polly. Isabel wygładziła togę i stanęła przed stołem sędziowskim.

Spytała Conniego, czy został wydalony z pracy za pijaństwo. Zaprzeczył, że pił na służbie. Spytała, kto załatwił mu ponowne przyjęcie do pracy.

– Sydney Henderson – odpowiedział. – Chciał, żebym dał mu zniszczyć most, po to to zrobił – odparł bez wahania Connie.

– Ach tak? A ja myślałam, że to Mathew pana do tego namawiał, ponieważ odmówiono mu zatrudnienia...

Sąd uchylił pytanie.

– Czy widział pan Sydneya z chłopcem wcześniej, czy tylko tego dnia?

– A bo ja wiem... odprowadzał chłopaka do domu.

– Do domu?

– No.

– Dlaczego miałby odprowadzać go pieszo do domu? Zechce pan uprzejmie wyjaśnić to sądowi? Skoro miał stale do dyspozycji zakładową ciężarówkę, to dlaczego odprowadzał Trentona pieszo?

– A bo ja wiem.

– Ależ wie pan, na pewno. Dlatego że Sydney nie umie ani nigdy nie uczył

się prowadzić samochodu. Nie umie jeździć nawet z automatyczną skrzynią biegów, a co dopiero z ręczną.

– No właśnie, to głupek – odrzekł Connie i znów pociągnął nosem.

– Więc kto manewrował ciężarówką po moście? – spytała Isabel, po czym odwróciła się od Conniego Devlina i wróciła za stół. Sprawdziła coś w notatkach i zwróciła uwagę sądu na trzy rzeczy. Po pierwsze, Connie w momencie wypadku nie znajdował się na moście – nie tylko nie odbił karty zegarowej, ale siedział sobie spokojnie w domu i jadł kolację. Mógł to poświadczyć Jay Beard, który przechodził w tym czasie koło jego domu. Gdyby był na służbie, wybuch dynamitu mógłby go zranić lub nawet zabić. Ktoś poradził mu dla bezpieczeństwa zostać w domu.

Isabel Young odwróciła kartkę.

– Po drugie, Sydney, który nie prowadził samochodu, nie byłby w stanie wmanewrować ciężarówki na miejsce, w którym ją znaleziono. Na kierownicy ciężarówki nie znaleziono odcisków palców Sydneya. Po trzecie, Connie twierdzi, że widział się z Sydneyem późnym wieczorem po śmierci Trentona. Jednak nawet prokurator przyznaje – aczkolwiek niechętnie – że dokładnie w tym czasie Sydney rozmawiał przez telefon z Alviną Pit.

Isabel odwróciła się do pań otaczających Cynthię i posłała im uśmiech.

## Rozdział 22

W tydzień później szeryf i śledczy zasugerowali umorzenie sprawy. Było to dwudziestego szóstego lutego osiemdziesiątego trzeciego roku.

Powodów podali wiele. Za słabe przeszło odpowiada właściciel firmy.



Sabotażu w żadnym razie, nawet najdrobniejszą przesłanką, nie da się przypisać Sydneyowi.

No i ta książka. Ta książka zalicza się już do klasyki, a każdy ma prawo czytać, co chce. Stróż nie jest wiarygodnym źródłem informacji – jego zegar kontrolny, czy to z winy samego stróża, czy uszkodzenia mechanizmu, nie nadaje się już do użytku, a opowiedziana przez stróża historyjka brzmi podejrzanie. Trudno ustalić, czy stróż w ogóle znajdował się na moście w chwili zdarzenia – pojawiły się w związku z tym konkretne wątpliwości.

Sprawa dynamitu. Ktoś, kto potrafił założyć ładunek wybuchowy tak jak Sydney, kiedy miał lat siedemnaście, na pewno dokonałby zniszczenia mostu bardziej fachowo. Dziwne też, że sprawca miał czas wjechać na podminowany most i zabawiać się w ciężarówce z nieletnim, a nie pomyślał, że przęsło może się pod nim zawalić, zanim zdąży uciec. Były to istotne pytania, na które nie uzyskano odpowiedzi.

Poza tym Sydney nie umie prowadzić samochodu.

Najpoważniejszy zarzut przeciwko ojcu dotyczył kradzieży. Istniało jednak wiele innych możliwości przedostania się pieniędzy do kieszeni Trentona. Pomysł, że ktoś zapłacił upośledzonemu chłopakowi pięćset dolarów za usługę seksualną, wydawał się wielce nieprawdopodobny. Należy zbadać, skąd chłopiec wziął pieniądze, a wówczas trafi się na osobę bądź osoby, odpowiedzialne za jego śmierć i zniszczenie mostu. Szeryf Bułgar oświadczył, że nie ma całkiem spokojnego sumienia, zwalniając Sydneya. Jego decyzja oznaczała jedynie, że prokurator nie przekonał sądu ponad wszelką wątpliwość, że zdarzenie było czymś więcej niż wynikiem nieszczęśliwego wypadku ani że byli w nie

wmieszani inni ludzie. Dowody przesłuchania były nieprzekonujące. Tak samo wyglądałby cały proces.

Mój ojciec przygotował tymczasem własny scenariusz zdarzeń. Nie zdradził się z nim przed Isabel Young, ale kilka dni później wyjął z ukrycia wykres i pokazał go mojej matce. Przez dwie godziny tłumaczył nam punkt po punkcie, a myśmy słuchali. Ojciec nie wszystko rozgryzł do końca, ale był pewien, że odkrył pewien sekretny kod, który pozwala na stwierdzenie, kto ukradł pieniądze. Oświadczył, że pójdzie do McVicera bronić honoru Elly, bo tylko na tym mu zależało.

– Najpierw musiało dojść do mniejszej zbrodni, która utorowała drogę większej. Kradzież upozorowano jako pułapkę na nas – tak mi się zdaje, że ta kradzież miała być czyjś kamuflażem – ciągle dochodzę do tego samego wniosku, innej możliwości nie ma. Kradzież pieniędzy była następstwem czegoś. W tym domu stało się coś strasznego przed kradzieżą – coś, co spowodowało konieczność kradzieży, żeby można było zwalić winę na ciebie. Most to całkiem inna sprawa, bardzo wygodna dla wszystkich, którzy chcieli mi zaszkodzić. – Ojciec zamilkł. – Chodzi o to, że najpierw chcieli oczernić ciebie, ja ich nie obchodziłem. – Wziął Elly za rękę. – O ciebie chodziło, nie o ochronę Mathew. To musiał być ktoś bliższy McVicerowi – może Rudy Bellanger. Czy jest coś, czego mi nie powiedziałaś? Nie widziałaś przypadkiem, żeby pan Bellanger robił coś niestosownego w domu albo w sklepie?

– Oczywiście, że nie, Sydneyu.

– Hm... – zastanowił się ojciec. – Ale to musiało być w związku z nim. Chcieli się ciebie pozbyć, żeby Leo czegoś się nie dowiedział... – Ojciec spojrzał czule na matkę i ciągnął: – Powiesz pewnie, że jestem głupi, ale

matematycznie wszystko się zgadza: Mathew Pit wziął pieniądze, które Trenton próbował zwrócić wcale nie mnie, tylko Leo McVicerowi. A Cynthia, która nie wie ani nie chce wiedzieć, czy Mathew jest winny, kiedyś się we mnie kochała, a teraz mnie nienawidzi.

– Nienawidzi! – powtórzyła zachwycona Autumn (której cała ta historia wydawała się chyba wielce romantyczna).

– W każdym razie Mathew Pit wie, że musi mnie oczernić raz na zawsze – i za to też mnie nienawidzi. Teraz oboje czują się zagrożeni. Ciekawe, jak to się zawsze, prędzej czy później, wszystko zbiegnie.

– Sydney, mam do ciebie prośbę – przerwała mu mama.

– Jaką?

– Proszę cię, zapomnij o tym wszystkim, co mówiłeś. Niedługo urodzi nam się kolejne dziecko, ja już nic więcej nie chcę, tylko żeby się skończyły te kłopoty...

– Przecież mnie nie o siebie chodzi, ale o ciebie.

– Więc nie rób nic, błagam cię!

Sydney wzruszył ramionami. Wziął się z powrotem do jedzenia wystygłej zupy. Wreszcie powiedział:

– No to już wszystko wiem.

– Przestań! – krzyknęła matka, załamując ręce. – Przestań, bo cię zostawię, jak Boga kocham, pójdę z domu!

Tego wieczora poszliśmy wszyscy spać w milczeniu. Nad naszym domem wył wiatr. Z mojego łóżka widać było blask od pieca. Na gzymsie stały bibeloty mojej matki. Modliłem się za nią, pamiętam, chociaż już wtedy nie wierzyłem w Boga. Nazajutrz rano poszliśmy z Autumn do szkoły, a ojciec wziął siatki na ryby i ruszył nad wodę.

Nowa wieś gminna (a może ta sama, tylko w innej wersji) głosiła, że mój ojciec to nie jakiś biedny głupek z bagien Bartibog, tylko wsiowy Machiavelli, o czym najlepiej świadczą jego książki i krzywda, jaką wyrządza mojej matce.

Furia

## Rozdział 1

Kilka tygodni później księżyc stał w pełni, a niebo było usiane gwiazdami. Śnieg stwardniał, ale choć słupek rtęci stał nisko, dało się wyczuć pierwsze tchnienie wiosny w suchych, maleńkich zawirowaniach powietrza. Posterunkowy Morris poszedł do knajpy U Polly uspokajając Mathew Pita, który przed chwilą wdał się w bójkę z kierowcą ciężarówki, zapewne z rozdrażnienia wywołanego rodzinną tragedią.

Mathew siedział z rękami opartymi na butelce piwa, spod podwiniętych rękawów dzinsowej kurtki wystawały mu poszarpane mankiety białego swetra, i skarżył się posterunkowemu na stronniczość prawa. Po co w ogóle prawo, jeśli zezwala na coś takiego? Jakie prawo ma prawo do skazywania jego rodziny na takie zniewagi? Czy tylko dlatego, że on miał kiedyś zatargi z prawem, można go teraz prawnie prześladować?

Posterunkowy Morris przyznał mu rację i przeprosił za cały przebieg sprawy. Nie rozwiązano jej właściwie na żadnym etapie, a podobnego zamętu nie było od czasu zamordowania małej Karrie Smith parę lat temu.

– Stale się zdarza, że porządni ludzie cierpią z racji niewłaściwego prowadzenia sprawy – powiedział Morris. Obwinił prokuratora o to, że tak sknocił łatwy i prosty w gruncie rzeczy akt oskarżenia.

– A jak się przyzna? – spytał Mathew.

– Jak się przyzna, to co innego. Przesłuchanie to jeszcze nie rozprawa, przyznanie się do winy zmieniłoby całą sytuację.

Morris dodał następnie szeptem coś, co miało podnieść Mathew Pita na

duchu. Powiedział mu, że sam w młodości chuliganił i w domu się z nim nie cackali, ale jedną rzecz wie na pewno.

– Co takiego? – zainteresował się Mathew.

– Zbrodnia zawsze wyjdzie na jaw – odparł sentencjonalnie Morris. – Myślisz, że ja się poddałem? Ja się nigdy nie poddam. I nie poddam się, dopóki ten łobuz nie wylądnie za kratkami, a jego żona nie odetchnie nareszcie od całej biedy, której jej napisał. Jeszcze jej machnął dzieciaka, skurwysyn jeden, co za drań.

Mathew skrzywił się mimowolnie, słysząc: „Zbrodnia zawsze wyjdzie na jaw”.

Do domu wrócił późno i zaraz zawołała go matka. Dowiedziała się o bójce w knajpie od sąsiadki, która do niej zadzwoniła. Mathew podszedł, pocałował matkę w czoło. Siedziała w łóżku, podparta dwiema poduszkami. Jej pokój pachniał dziwnie swojsko, przywiedłymi kwiatami i zaplątanym w ich woń nieuchwytnym odorem starości, zakonserwowanym w przytulnie różowych ścianach; wyczuwało się też lekki zapach zimowej odwilży, która pod wieczór znów stwardniała w lód.

Sztuczne zęby Alviny leżały obok, na nocnym stoliku, obok pudełka chusteczek higienicznych. Wnieśli jej telewizor na górę i teraz stale celowała w niego pilotem jak sfluwają, prostując rękę i zaciskając usta. Oglądała Mszę świętą dla chorych, Krucjaty Billy’ego Grahama i powtórki Mary Tyler Moor Show. W tej chwili jednak jej telewizor, z dwiema długimi antenami sterczącymi jak zajęcze uszy, był wyłączony. Patrzyła na syna, a syn próbował żartować. Jej jednak wcale nie było do śmiechu, niedawno modliła się w kościele.

Poprzedniego dnia błagała Matę, żeby przysięgł na Biblię, że nie wie nic o

śmierci Trentona ani o ciężarówce na moście, ani o podciętych nitach.

Postarzała się w ciągu tych czterech miesięcy, a na syna patrzyła tego dnia z rozczarowaniem.

– Co się stało? – spytał Mathew.

– Dlaczego nie chciałeś przysiąc na Biblię, jak cię prosiłam? Jeżeli nie masz grzechu na sumieniu, to czemu nie chcesz tego zrobić? Zrób to, dla Trentona.

– Biblia to nie jest dla mnie książka – odparł wymijająco. – Poza tym mam ważniejsze sprawy... – Pociągnął nosem. – Rozmawiałem dzisiaj z posterunkowym, i w ogóle.

Patrzyła na niego i skubała kołdrę palcami.

– Jak to twoja wina, to ja bym tego nie przeżyła. Pocałuj świętego Judę.

Sięgnęła nerwowo pod koszulę, wyciągnęła medalik i drżącą ręką podniosła mu do ust, nagle pełna radosnej nadziei. Odwrócił głowę.

– Nie będę całował świętego Judy. Tak, kiedyś to robiłem, ale ostatnio przestałem go lubić. Modliłem się do niego, jak chodziłem na polowania, i nigdy nie przyniósł mi szczęścia. Modliłem się do niego, jak zastawiałem wnyki, i za każdym razem kojoty wyżerały przynętę. Widocznie święty Juda więcej dba o kojoty niż o mnie.

Alvina pamiętała, jak Mathew odgrażał się, jeszcze w grudniu, że zrobi dokładnie to, co się stało: wysadzi most i doprowadzi do przerwania prac.

Chciała więc teraz za wszelką cenę – jak to stara matka, która kocha syna

– przekonać samą siebie, że to nie Mathew zrobił to, co miał na myśli,

tylko – z jakiegoś niedorzecznego powodu – Sydney, z którym nigdy nie miała żadnych zatargów.

Już wtedy, oskarżając Sydneya na moście, pod którym leżał jej nieżywy

syn, Alvina dobrze wiedziała, co mówi i jakie będą tego skutki – ale matka zabitego dziecka ma prawo podnieść taki raban. Chciała zranić Sydneya. Teraz jednak już nie mogła tego cofnąć. Stała się, jak Rudy i Connie Devlin, mimowolną współniczką w tuszowaniu straszliwej zbrodni syna. Mathew pocałował ją w policzek, gdy chowała medalik ze świętym Juda z powrotem pod nocną koszulę.

– Kocham cię, mamó – powiedział. – Trentona też kochałem.

Zszedł na dół i udał się do pokoju na tyłach domu, gdzie Trenton zawsze chętnie przesiadywał. Zastał tam Cynthię, samą, w kocu narzuconym na ramiona: rozważała tej nocy wiele ważnych spraw.

Spojrzała na brata i natychmiast znów podniosła do oczu lornetkę, przez którą obserwowała nasz dom. Zdawała sobie sprawę z ogromu życzliwości, jaka otoczyła Pitów w związku ze śmiercią chłopca – ale, tak samo jak Mathew, chciała czegoś więcej.

A jednak Mathew zaniepokoił się, gdy na nią spojrzał. Widział już bowiem przyszłość, w której znacznie trudniej będzie o ludzką życzliwość. Z upływem dni – o ile prawda wyjdzie na jaw – cierpienia Elly i Sydneya w oczach ludzi urosną do monstrualnych rozmiarów.

Co gorsza, już od trzech tygodni nachodził go codziennie Connie Devlin, domagając się pieniędzy. Tych czterech tysięcy dolarów, co mu je Mathew obiecał. Trzeba było koniecznie coś z tym zrobić.

Connie był jednak wciąż na tyle dyskretny, że nie wspominał o prawdzie.

W pewnym sensie, po tym wszystkim, co przeszedł Mathew, wspomnianie przy nim o prawdzie byłoby teraz nietaktowne, wręcz podłe.

Mathew Pit po prostu wyciągnął logiczne wnioski z nielogicznego założenia. Wszystkim, którzy wierzyli w winę mojego ojca, prawda



wydawała się aberracją. Powiedzieć prawdę byłoby wielką niewygodą. Przez ponad dwa miesiące cała nadrzeczna okolica wierzyła święcie, że Mathew jest bohaterem. Dostawał listy z dalekich stron, kartki z życzeniami i pieniądze. Na kartkach i w listach pojawiał się rysunek stryczka, a radio nadawało dyskusje o przywróceniu kary śmierci. Pieniądze nadsyłali mieszkańcy całych Prowincji Atlantyckich i regionu Miramichi, od Calgary po Edmonton. Wielu domagało się akcji przeciwko mojemu ojcu. Zgłaszali się na ochotnika do pomocy. Śmierć mojego ojca uznali za dopuszczalną formę zadośćuczynienia. Nieraz słyszałem to na własne uszy i w jakiś koszmarny sposób sam w to uwierzyłem. Ale Mathew nie czuł się całkiem bezpieczny. Bał się, że Rudy'emu wkrótce puszczą nerwy. Co gorsza, Connie Devlin mógł go zacząć szantażować.

W dodatku ostatnio Mathew popełnił kardynalny błąd, ten sam co zawsze od szesnastego roku życia. Wziął trzy galony gazu bez płacenia. Wieść o tym rozeszła się szybko i zaczęto szemrać, że Mathew wykorzystuje swoją uprzywilejowaną pozycję do odgrywania starych sztuczek. Próbował zwrócić należność, ale właściciel punktu gazowego odmówił przyjęcia pieniędzy i był wyraźnie obrażony. Od tej historii z gazem Mathew i Cynthia czuli, że temperatura uczuć wobec nich wyraźnie spada.

## Rozdział 2

Mathew siedział na kuchennym krześle z twardym oparciem i mówił do siostry. Informował ją, że zamierza wnieść pozew przeciwko firmie budowlanej McVicara. Twierdził, że taką drogę dochodzenia

sprawiedliwości sugerowało mu już parę osób i że zna adwokata, który by się tym zajął. Nie ma lepszego sposobu na uzyskanie odszkodowania. Tak naprawdę jednak Mathew Pitowi zależało na tym, żeby ktoś go ponamawiał do takiego kroku – i to nie tylko prawnik, ale przede wszystkim Cynthia. Bo gdyby Cynthii pomysł pozwu nie przekonał, oznaczałoby to, że wyczuła zbyt wielkie ryzyko.

– Jakie odszkodowanie wynagrodziłoby nam śmierć Trentona? – zareagowała natychmiast Cynthia. Chciała usłyszeć z ust brata konkretną sumę, o którą myślał się ubiegać.

– Ja wiem, że nic go nie przywróci do życia, mówiłem to już mamie, ale mimo wszystko mamy powody... – Po chwili dodał: – A zresztą, mniejsza z tym. Nie będę przeliczał jego śmierci na żadną pieprzoną forszę.

Spojrzał na siostrę spode łba. I zaraz uciekł spojrzeniem bladoniebieskich oczu nieco w bok i zapatrzył się w kąt pokoju. Cynthia w końcu zapaliła papierosa, zaciągnęła się mocno, wydmuchnęła dym, odwracając głowę w bok, i zapytała:

– Kiedy?

– Co kiedy?

– Kiedy rozmawiałeś z adwokatem?

– Wczoraj, w barze, mówił, żebyśmy przyszli do niego oboje. Ale to już nieważne. Sprawa zamknięta. Podjąłem decyzję. Nie będę się tym więcej zajmował. Koniec, kropka. Pójdę, zatłukę Sydneya, i tak to załatwię.

Niech mnie potem zabiorą w kajdankach.

Mówiąc to, patrzył na parapet. Potarł koniec nosa i odwrócił się od siostry. Od miesiąca prowadził rozmowy z Conniem Devlinem, mając nadzieję, że Connie da się namówić na zastrzelenie Sydneya. Mathew miał nadzieję, że

da się to zaaranżować jako zatarg na tle służbowym: Connie jako stróż nocny mógł zostać uznany za współnika planów Sydneya i dlatego postanowił go zabić – żeby go uciszyć. A Mathew wyjdzie z całej afery czysty.

Cynthia śledziła brata spojrzeniem jasnym i niewinnym. Spotkał jej wzrok – i znów odwrócił głowę.

– Kiedy on nam kazał do siebie przyjść? – spytała.

– Kto? – Mathew udał zdezorientowanego.

– No, ten pieprzony adwokat.

– Jutro – odpowiedział, takim tonem, jakby samo słowo „jutro” drażniło go swoją małostkowością. Spojrzał na kostki zaciśniętej lewej dłoni i potarł nimi obicie kanapy.

Ale Cynthia, podobna do brata pod wieloma względami, znała go lepiej, niż mu się zdawało. Wiedziała, że kończą im się możliwości działania.

Muszą albo wnieść pozew, albo zapomnieć o całej sprawie; z kolei zabicie Sydneya ukazałoby wszystkim skalę udręki jej brata.

W pewnym sensie wszystko układało się logicznie. W pewnym sensie – rozumiała Cynthia – to ona musi teraz rozegrać karty, które jeszcze trzyma w garści. Nie wnieść pozwu i nie uczynić krzywdy Sydneyowi byłoby przyznaniem się nie wprost do winy – ludzie zaczęliby na nich krzywo patrzeć. Przede wszystkim jednak Cynthia uświadomiła sobie niechęć Conniego Devlina do świadczenia im dalszej pomocy – teraz będzie się za wszystko domagał pieniędzy, tych obiecanych czterech tysięcy. Powiedziała więc bratu, że ma tylko jedno wyjście.

– Strzelić przez drzwi Sydneya i trafić skurwysyna.

Mathew zawahał się.

– No tak... ale i tak wszyscy będą wiedzieli, że to ja.

– I o to właśnie chodzi. Nie trzęś mi tu portkami, bo on nawet nie wezwie glin – a wszyscy się dowiedzą. Co najważniejsze, Connie Devlin zacznie się ciebie znowu bać, bo teraz się nie boi. Adwokat też się dowie i nabierze do ciebie szacunku. W sumie wszystko obróci się na twoją korzyść.

Samej Cynthii ten plan wydał się tyleż genialny, co żałośnie realistyczny.

– Ja się nie sprzeciwiam – bąknął Mathew – ale coś się może pochrzanić.

– Jasne, że może się pochrzanić, jeszcze jak, ale jaki ty masz inny wybór? Jak masz, to do dupy, a jak nie masz, to też do dupy. Niech no tylko Devlin piśnie, że cię widział, albo wie, co tam robiłeś, albo niech złączą badać kradzież u McVicera i Rudy pięknie – i po tobie, stary. Nie masz stuprocentowej pewności, że cię nikt nie widział. Ale jak zachowamy zimną krew, wszystko się ułoży. Pochrzaniłoby się, jakbyś zabił Sydneya, ale jak go tylko postrzelisz...

Mathew zrozumiał, że Cynthia ma rację.

– Connie Devlin – ciągnęła Cynthia – jest dla nas niebezpieczny, trzeba by i o nim pomyśleć. Jak pozwiemy firmę McVicera, to i Conniego – a wtedy on przestanie być po naszej stronie, zwróci się przeciwko nam. Musisz zająć wobec niego wyraźne stanowisko.

– Co masz na myśli? – Mathew, który przed chwilą wstał, usiadł z powrotem.

– To, że mamy pewne wyjście rezerwowe, ale ono może nie wypalić.

Firma McVicera może oskarżyć Conniego Devlina o niedopełnienie obowiązków służbowych – nie zameldował o ciężarówce na moście, a powinien, do tego jeszcze zburzona zaporą i podpiłowane nity! Gdyby do tego doszło, Connie Devlin zwróci się przeciwko nam w ciągu sekundy.

Mathew zbladł.

– W takim razie ja nic nie będę robił.

– Ty zasrany kretynie, teraz już nie masz wyboru! Musisz działać – tak czy owak. Strach to najlepszy dozorca sekretu. A Connie zacznie się ciebie bać, jak będziesz bezwzględny.

Oboje wiedzieli, że to kłamstwa przywiodły Mata w ten ślepy zaułek.

Znów umilkli. Noc była spokojna, szosą przejeżdżały samochody. Nad domem stał księżyc i zalewał podwórze swoim blaskiem.

Cynthia wiedziała, że to Mathew okradł Leo McVicara – widziała go wtedy, jak zakradał się z powrotem do domu tylnym wejściem. Bardziej niepokojąca była możliwość, że widział go tej nocy ktoś jeszcze.

A najgorsze, że Cynthia wiedziała, że to Mathew poluzował nity na wybrzuszonym przęśle. Co prawda nie widziała, jak wjeżdżał na most ciężarówką, ale pamiętała, że miał trzy laski dynamitu, a zostały dwie.

Gdyby to wszystko doszło do matki, serce by jej pękło – a i Cynthia sporo by na tym straciła. Rozgrywała więc ostatnie karty. Po pierwsze: rozprawić się definitywnie z Conniem Devlinem, tak żeby powiązać jego osobę z Sydneyem.

Drugim problemem był Rudy Bellanger.

Uprzedziła Rudy'ego, kiedy był u niej tydzień wcześniej, że jak nie będzie trzymał gęby na kłódkę, to straci wszystko, wszystkie nadzieje i fantazje, jakie z nią wiązał przez ostatnie dziesięć lat. Rudy się na to uśmiechnął i powiedział: „Chyba zgłupiałaś, ja już w ogóle nie chcę mieć więcej do czynienia ani z tobą, ani z twoim bratem. Może nawet pójde na policję, raz kozie śmierć”.

Wtedy Cynthia wyciągnęła asa z rękawa. Z jej grobowej miny Rudy

odgadł, że trzymała ten atut właśnie na taką okazję.

– Ja zgłupiałam? – spytała, świdrując go wzrokiem. A pamiętasz, jak przed świętami byłeś u Mata i ja zeszłam na dół po kąpieli, w koszuli nocnej? Pamiętasz, jak się wtedy na mnie rzuciłeś? Wrywałam się, krzyczałam, pamiętasz? Ale nie dałam ci rady. No i wpadłam, kochasiu, będziesz mi musiał bulić na dziecko.

– To nie moje, niemożliwe – wykrztusił Rudy, a dolna warga mocno mu drżała.

– Za kogo ty mnie masz? Co znaczy „nie moje”? A czyje, do cholery? Jakiegoś zasranego Indianina ze Spalonego Kościoła? Za „moje” staniesz przed sądem, za „nie moje” pójdiesz do pierdła – co wolisz, hę? Spuściłeś się w dziesięć sekund, a teraz „nie moje”? Upieraj się, upieraj. Zobaczymy, co szanowna pani Gladys na to powie!

Zapędziwszy Rudy’ego w kozi róg, nie zamierzała go stamtąd wypuścić. Nie działała z czystej złośliwości. Tak się po prostu porobiło, nagle – tak samo jak jej ciąża. Dostrzegła szczelinę w murze – i dawała nura. Zawsze potem przychodził moment, kiedy sama wolałaby nie brnąć dalej – ale wtedy już było za późno: oczy jej płonęły jak dzikie gwiazdy, robiła się wyzywająco piękna i wulgarna, i gotowa rzucić rękawicę całemu światu. Nie była ani specjalnie odważna, ani chorobliwie ambitna. Jednak zawsze umiała wykorzystać okazję i święcie wierzyła, że wszystko, co robi, jest przesądzone z góry.

Teraz, na myśl o chorej żonie Rudy’ego, poczuła się jak gracz, który właśnie zaliczył cztery bez atutu wobec przeciwnika, który do niedawna wyśmiewał się z jego gry. Pamiętała dobrze, jak Gladys w dzieciństwie zadzierała przed nią nosa. A teraz mąż Gladys zrobił jej dzieciaka. To

awansowało Cynthię na poziom bogaczy. Czowała, że ma władzę. Machinacje i obawy mężczyzn zawsze dawały jej poczucie władzy. Z powodu swojej ciąży czowała się równa najzaciejszym obywatelom miasteczka: i samozwańczemu profesorowi Scone'owi, który wymądrzał się w gazetach, i – co jeszcze ważniejsze i bardziej złowieszcze – Leopoldowi McVicerowi. Ani Diedre, ani doktor Scone nie rozumieli, widać, tego, że każdy może stać się samozwańcem. A Cynthia mierzyła wyżej niż jej brat – wyżej nawet niż Diedre i doktor Scone. Tamci wszyscy byli niewolnikami opinii publicznej, która jest, w pewnym sensie, większym hamulcem niż prawo moralne. Olbrzymia większość samozwańczych archaniołów to niewolnicy opinii publicznej. Cynthia akurat na tę słabość się nie uskarżała.

Kiedyś, jeszcze latem, Leo sadził jakieś kwiaty na grządkach za domem, a Cynthia, znudzona, przechadzała się po pobliskim lasku, tuż za tym wielkim ogrodzonym polem, po piaszczystej drodze za posesją McVicerów. Minęła parę należących do Leo walców drogowych, traktorów i przyczep ze żwirem. Zapach wilgotnej ziemi jakoś dziwnie ją podniecał. Była w luźnym podkoszulku na cienkich ramiączkach i w obcisłych szortach. Leo, ubrany w stary kapelusz i portki khaki, uśmiechnął się do niej. Podeszła bliżej, ale zorientowała się, że na werandzie, w jednym ze starych wiklinowych foteli, siedzi Gladys w słomkowym kapeluszu i grubej sukni w kwiaty. Nie zatrzymała się więc dłużej, chociaż Leo zapraszał ją do środka na lemoniadę.

– Nie, nie dzisiaj – powiedziała i cmoknęła językiem. Wiedziała, że McVicer zapamięta to cmoknięcie, bo i ona miała wtedy na niego ochotę. Mimo wszystko nie skłaniało jej to do lojalności, jeśli można było pozwać

McVicera o odszkodowanie. Ale nie czuła się też zobowiązana do lojalności wobec brata, na wypadek gdyby pozew nie wypalił, a Leo znów okazał zainteresowanie jej osobą.

Jakkolwiek było jej żal biednego, niewinnego Trentona (a było jej bardzo żal), codziennie otrzymywała sygnały, że jej życie ułoży się lepiej dzięki tej śmierci. Wiedziała, że aby zademonstrować święte oburzenie, trzeba działać – i dlatego postanowiła za wszelką cenę zmusić Mata do działania.

– Przede wszystkim trzeba coś zrobić z Conniem – powiedziała. – Nie powinienesz być dopuścić, żeby cokolwiek o tobie wiedział. Nikomu nie wolno ufać. Ja jestem zupełnie inna niż ty – ja już sobie zaplanowałam życie: osiągnę więcej niż ktokolwiek w okolicy.

Uśmiechnęła się na te słowa jak chytry niewolnik.

Faktem jest, że Cynthia, chociaż nie zaliczała się do klasy panów, zawsze miała na względzie własny interes.

W razie potrzeby posługiwała się tym samym językiem, co Diedre: językiem umów społecznych, które tak niewiele mają wspólnego z prawdziwymi sprawami ludzkimi. Innymi słowy, Cynthia umiała rozprawiać o dyskryminacji, o ludziach z marginesu, o uciśnionych, o prześladowanych, o emancypacji, o ofiarach niesprawiedliwości, o rodzinie jako podstawowej komórce – i to rozprawiać żargonem działaczy społecznych, jeśli tylko było jej to na rękę. Jeśli nie – potrafiła porzucić ten żargon w jednej chwili.

Znała systemy działania policji i służb socjalnych, ponieważ sama była ich produktem. Wiedziała wszystko o zasiłkach i umiała nagiąć programy pomocy do własnych potrzeb. Zawsze wiedziała, jak wyciągnąć pieniądze od matki, gdy innym się to nie udawało.



Tego wieczoru wzbraniała się przed przyjęciem do wiadomości, że śmierć brata stała się dla niej grą, w której ona, Cynthia, kombinuje, jak wykołować interesujące się nią władze – a zarazem nie umiała nie ulec emocjom hazardzisty. Nie zdradziła się z tym w rozmowie z Matem, chociaż i on doznawał tych samych emocji: oboje czuli, że mogą się wzbogacić. Nawet odrzucając świadomość tej głębokiej i prowokacyjnej prawdy, Cynthia czuła, że tkwi w niej po uszy.

– Najpierw chodźmy do adwokata – powiedział Mathew. Nie patrzył przy tym na siostrę. – Jest szansa zdobycia dużej forsy. Adwokat mówi, że nie będzie nawet konieczna rozprawa: Leo odpowiada za wypadek i będzie chciał załatwić rzecz polubownie. Nie dla siebie to zrobimy, dla mamy dodał po chwili. – Przez pamięć o Trentonie.

– O jaką sumę chodzi? – spytała Cynthia, cedząc słowa i patrząc bratu w oczy, z rękami opartymi na rozkraczonych kolanach.

– Od pięćdziesięciu do stu tysięcy.

– Trenton był wart więcej – stwierdziła. – To po pierwsze.

Ale sto tysięcy było dla niej zawrotną sumą.

Wyprostowała się, strząsnęła koc z ramion i poprosiła brata, żeby jej podał dzinsy. Jeszcze raz spytała go, ile może być warte życie dziecka. Na co Mathew, łamiącym się głosem, odpowiedział, że nie wie.

### Rozdział 3

Nazajutrz rano, w przeraźliwie zimnym pokoju, Mathew ubierał się w najlepsze ciuchy. Jego najlepsze ciuchy pięć lat temu wyszły z mody, jeden guzik pękł, a cholewa kowbojskich butów wypychała od spodu kancik nad

mankietami spodni.

Cynthia wiedziała, że Mata Pita fascynują prawnicy, gdyż wprowadzają go w świat przepisów, w którym – przynajmniej teoretycznie – wszyscy ludzie są równi. Więcej: ten świat pozwalał mu legalnie wywyższać się ponad tych, którzy traktowali go z góry, oraz z królewską godnością obnosić przywileje, gwarantowane osobom „dyskryminowanym”. Choć dotąd nie planował włączenia Cynthii ani matki w pozew o odszkodowanie, teraz doszedł do wniosku, że musi to zrobić. O tym, że bezgranicznie polega na Cynthii, wiedział nie gorzej od niej samej.

Dlatego do adwokata udali się we dwójkę, jako reprezentacja rodziny.

Chcieli zaskarżyć firmę budowlaną i osobiście Leo McVicera. To właśnie rajcowało Cynthię: idea zaskarżenia „osobiście Leo McVicera”.

Oboje z Matem byli świadomi tego, że prawo – jak całe ich życie – jest grą, w której liczy się nie prawda, lecz pozór prawdy.

Nawet ich adwokat gwizdał na zarzuty o nieprzestrzeganie reguł etycznych. Kiedy mówiono o nim, że postępuje nieetycznie, była to, w gruncie rzeczy, woda na jego młyn. Im głośniej gadali, tym szybciej rosła jego podła sława – i robiło się jeszcze śmieszniej. Najlepiej było zasłużyć na przydomek „sprytny” i szpanować swoim sprytem w małym miasteczku, stosując matactwa, przed którymi wzdrygnąłby się może niejeden inny adwokat. To właśnie przyciągnęło do niego Mathew Pita.

Jedną z ulubionych anegdot adwokata była historyjka o Royu

Hendersonie, moim dziadku, który po przegranym procesie usiłował zapłacić swojemu obrońcy na schodach sądu jedno – i dwudolarówkami, i nagle powiał wiatr i cała forsa poleciała do kałuży. Adwokat uważał, że to wielce komiczne. Gdy raz zwrócono mu uwagę, że mój dziadek był

analfabetą bez grosza przy duszy, a umierając w więzieniu, miał w portfelu tylko kartkę z adresem, adwokat nadał się i zauważył sentencjonalnie: „Prawo jest prawem”.

Nazywał się Frederick Snook. I lubił, gdy zwracano się doń „Fryderyku”.

Na jego oczach budowało się Newcastle – możne imperium na południe od nas: coraz większe papiernie, coraz szersza sieć barów, gry wideo, kablówka i anteny satelitarne, które dostarczały nam wielki świat pod same drzwi. Jeździliśmy amerykańskimi samochodami, słuchaliśmy amerykańskiej muzyki, nosiliśmy amerykańskie ciuchy, tańczyliśmy amerykańskie tańce pod migającymi żarówkami – a jednak jakaś szklana ściana oddzielała nas od amerykańskiego doświadczenia. Frederick Snook uważał Pitów za outsiderów, bo nie umieli się włączyć w amerykańskie doświadczenie. On, bywalec Hawajów i Atlantic City, traktował ich z tego powodu jak prostaków. A co ważniejsze – jego doświadczenie było w oczach Pitów jedyną rzeczą godną pozazdroszczenia. Zazdrościli mu go, jak nastolatka może zazdrościć koleżance makijażu – innymi słowy, wierzyli, że odpowiedni makijaż nadałby im wiarygodność.

Doświadczenie mojego ojca, który czytywał Platona i Kanta, nie było atrakcyjne dla Cynthii. A jedynym sposobem na okazanie tego było włączyć się w inną orbitę świata – dowolnego świata, który na jedną choćby chwilę przestałby pluć człowiekowi w twarz.

Mathew przyszedł do biura Snooka w jasnożółtej koszuli z otwartym kołnierzykiem, szarej sportowej marynarce, nieco przyciasnej, czarnych spodniach i kowbojskich butach na obcasie. Cynthia ubrała się w obcisłą czarną sukienkę (z plamą na lewym ramieniu), czarne szpilki i siatkowe pończochy. Jej ciąża ujawniała się przez sukienkę jako nieznaczny

wzgórek na brzuchu. W nosie Cynthii tkwił diamentowy kolczyk.

Adwokat, który bronił już Mata dwa razy za kłusownictwo, a Cynthię raz za napaść na pannę młodą podczas ceremonii ślubnej, odniósł wrażenie, że do miasta zjechała para dzikich stworzeń.

Matowi rzedły włosy. Nadał jednak nosił plerezę, zapuszczoną przed kilku laty, gdy pierwszy raz stawał przed sądem. Oczy miał wciąż niebieskie jak bławatki. Świdrujący wzrok Cynthii peszył nieco Fredericka Snooka.

Zaproponował kawę, ale goście, jak to prostacy znad rzeki, woleli herbatę.

Podaną jej herbatę – aromatyzowaną, indyjską, trzymaną specjalnie dla wdów, których majątkami adwokat zarządzał i czasem nieźle je doił –

Cynthia odsunęła jedną ręką, po czym wyprostowała się w krześle z miną skrajnej odrazy.

– Widzę, że nie jest to gatunek herbaty, który państwo pijają – zauważył ze smutkiem Snook.

– Nie – odparła Cynthia. – Do dupy z taką herbatą.

I roześmiała się, nie tyle z własnego dowcipu, ile ze zszokowanej miny adwokata.

Snook często mówił kolegom adwokatom, że Cynthia jest pomyłona. Oni wtedy odpowiadali: „Owszem, ale ja nie miałbym nic przeciwko temu, żeby mi swoje pomyłone nogi zarzuciła na szyję”. Na co Frederick ostrzegał: „Ta wściekła dziwka pożarłaby cię żywcem”.

Teraz jednak demonstrował wobec niej ogromny szacunek. Kiwał głową, zapewniał, że wiele słyszał o ich sprawie, że to niesmaczne, co za krzyżująca niesprawiedliwość wobec przyzwoitych, uczciwie pracujących ludzi. Minione przestępstwa Mata wręcz jakby spotęgowały jego współczucie i kwalifikowały Pitów do wyższego odszkodowania.

– A więc tak was potraktowano – powiedział. – A pana nigdy nie zwolnili, chociaż przestępstwa były znacznie błahsze. I bardzo możliwe, że z powodu dawnych wyroków odmówiono panu pracy przy moście, dzięki której mógł pan zadbać o dobro Trentona. Zatrudniono za to człowieka o wątpliwej przeszłości, zdradzającego widoczną obsesję na punkcie pańskiego brata.

– Widoczne co? – spytała Cynthia, zaciągając się papierosem i zatrzymując dym w ustach.

– Obsesję... fantazje na jego temat... przykro powiedzieć, ale taka właśnie jest prawda. Co gorsza, pracodawca nie kontrolował zaniedbań pracownika podczas wykonywania obowiązków służbowych. Zobaczą państwo, jak się będzie gęsto tłumaczył.

– Kiedy my nie chcemy skarżyć Conniego Devlina – wtrącił nagle Mathew.

– Nie?

– To jest... nasz kuzyn...

Mathew urwał i lękliwie zerknął na Cynthię.

– Trudno, jak nabroił, niech cierpi – powiedziała twardo.

– No, racja – przyznał Mathew i zbladł gwałtownie w zimowym chłodzie.

– Rozumiem, że nie jest państwu łatwo... żałoba w domu... Nie jestem księdzem, ale w sumie pełnię podobną posługę – tyle że nie dla tamtego świata, lecz dla tego.

Freddy Snook miał na sobie krzykliwy trzyczęściowy garnitur z wściekle pomarańczowym jedwabnym krawatem. Popatrzył na klientów i westchnął, bębniąc ołówkiem po blacie biurka, jakby chciał przypieczętować to, co właśnie powiedział o dwojgu wyjątkowych

istotach ludzkich, które miał przed sobą.

– A Sydney? Jak on zapłaci? – spytała Cynthia i wolno założyła nogę na nogę.

Nigdy nie zapomniała, że jej uroda i bujny seksapil nie wytrzymują konkurencji z łagodnym wdziękiem mojej matki. Świadoma była tego, że demonstracyjną swobodą seksualną zdobyła nie mojego ojca, tylko światek mężczyzn upadłych, marnotrawiących własne życie w grzechu.

– Sydneya wsadzimy za całokształt – obiecał Frederick. Uśmiechnął się filuternie i pokręcił głową, ale po chwili dodał tonem pobożnisia: – A to i tak zawsze będzie mało.

Cynthia przytaknęła mu ruchem głowy, a Mata ogarnęło poczucie słusznego gniewu. Odprowadzani do drzwi przez gospodarza, który troskliwie obejmował ich za ramiona, nie mieli pojęcia, że Snook był od lat adwokatem Leo McVicera – pobierał od niego stałą pensję i obronił swojego mocodawcę w pięciu procesach.

Ani myślał sprzedać tanio McVicera tym przybłędom, ale informować go o przebiegu sprawy Pitów zamierzał ostrożnie, żeby przypadkiem nie urazić wrażliwości moralnej staruszka.

## Rozdział 4

Dwie noce później, w ulewnym marcowym deszczu, który znów przechodził w śnieg, mój ojciec wrócił do domu pijany. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, jak czołga się do drzwi na czworakach. Wstał, zachwiał się gwałtownie, rąbnął w któryś ze smukłych świerków po ciemnej stronie podwórka – i zaczął na niego pomstować. Nigdy w życiu

nie widziałem, żeby ojciec pił – a co dopiero żeby się upił. Wyglądał obrzydliwie w ociekającej kurtce i z włosami przylepionymi do głowy. Stał przed naszym mieszkalnym pudełkiem do butów, a wyglądał, jakby zgubił drogę – wyglądał jak zmoknięty, zbity pies.

We dwoje z matką wybiegliśmy po niego na dwór. Siedział na ziemi i płakał. Zachowywał się, jakby nie poznał matki.

Upił się rumem, wracając z ostatniego dnia połowu ryb. Ktoś ukradł mu sanki, ale parę ryb udało mu się schować do kieszeni – faktycznie, z wszystkich kieszeni wystawały zamarzniete rybie ogony i łby. Następnie ojciec dobrnął jakoś do szosy, ale zawstydził się, że jest pijany, więc wstąpił do punktu gazowego z prośbą o pomoc.

– Tobie już nic nie pomoże – miał odpowiedzieć właściciel punktu. – Uchlałeś się jak świnia, bo aż śmierdzi od ciebie wyrzutami sumienia.

– To prawda – przyznał mój ojciec. – Mam wyrzuty sumienia z powodu Trentona, bardzo mi go szkoda, żałuję, że tak głupio postępowałem. Daj mi się czegoś napić.

(Punkt gazowy słynął w okolicy jako bimbrownia.)

– Przyznaj się do winy, to ci dam. Powtórz to, co mi powiedziałaś, posterunkowemu Morrisowi.

– Przyznaj się – zawtórowała mu kobieta, która przyszła po butlę gazową.

– Przyznaj się – dorzucił ktoś jeszcze, i następny, i następny. Po chwili darli się na niego chórem: – Przyznaj się, przyznaj się, to dostaniesz butelkę wina!

Ojciec popatrzył po nich i ruszył chwiejnie do klitki na zapleczu po swoje wino. Właściciel punktu poszedł za nim i otworzył przed ojcem tylne drzwi – wprost na ostre powietrze granatowego wieczoru. Takiego zapachu

powietrza – w każdym oddechu zmieszanego z alkoholem – nie czuł mój ojciec, odkąd skończył siedemnaście lat. Wziął od właściciela butelkę wina. Nikt nie śmiał się do niego zbliżyć.

Zataczając się, wyszedł na szosę, spowitą w ziarnisty tuman śniegu z deszczem – i omal go nie potrafiła furgonetka. Usłyszał tylko pisk hamulców i ryk klaksonu. Po dwóch godzinach błądzenia w mroźnych ciemnościach trafił do domu.

Jeszcze tej samej nocy ludzie poszli do Mata Pita i donieśli mu, że mój ojciec się upił, a po pijanemu wyrażał żal, że głupio postępował wobec Trentona – co dowodziło jego winy. Stanęli u Mata w kuchni i meldowali mu to triumfalnie, bo wszelkie ich wątpliwości na temat Mathew Pita rozwiały się oto nagle i ostatecznie.

– I ty tego słuchasz tak spokojnie? – dziwił się Matowi Danny Sheppard, ten sam, który miesiąc wcześniej złapał mnie za ramię w kościele, domniemany ojciec martwo narodzonego dziecka Cynthii.

– Słucham spokojnie, bo mam czyste sumienie – odparł Mathew.

Nazajutrz dom Pitów zaroił się od gości: przychodzili jedni po drugich, wszyscy na nowo składali kondolencje. Zjawił się nawet Jay Beard. Chciał rozmawiać z Alviną. Alvina siedziała w bujanym fotelu i patrzyła przez okno na drogę, jakby tam wyglądała kogoś, kto już nie nadejdzie. Jay Beard błagał ją, aby przez wzgląd na niego – człowieka, z którym razem dorastała, który miał kiedyś wobec niej poważne zamiary – nie słuchała plotek, tylko poczekała spokojnie, co się stanie. Alvina jednak miała chęć na coś wprost przeciwnego. Alvina chciała wierzyć w to, co ją pocieszało. A pocieszała ją wiadomość, że Sydney przyznał się do winy, i obietnica wielu osób, że nie pozwolą, aby uszło mu to płazem. Tym razem już nie!



Ludzie postanowili wziąć sprawę we własne ręce. Policja nic nie wskórała. Tak powiedziało Alvinie co najmniej sześć albo siedem osób. I chociaż w głębi serca czuła, że jest w tym jakiś fałsz, chociaż w głębi serca nie ufała własnym dzieciom – to czy mogła odrzucić wyznanie winy przez Sydneya, wyznanie, które wybielało jej własnego synka? Spojrzała na Jaya ze smutkiem, jakiego jeszcze nigdy u nikogo nie widziała. Jay Beard był wstrząśnięty.

Gdy zszedł z powrotem na dół, Mathew siedział w kuchni z kolegami. Bennie Sheppard stał przy zlewie. Wiadomo było, że nie ma w okolicy bardziej zepsutych ludzi niż Sheppardowie. Nikt nie miał wątpliwości. Ale chwilowo, w oparach haszu i wina, nie miało to znaczenia.

Mathew nie spojrzał nawet na Jaya Bearda. Przez całe życie robił twarde interesy, miał to wypisane na twarzy. Jego twarz wymowniej niż kiedykolwiek zdradzała niegodziwości, o które Jay Beard go swego czasu podejrzewał.

– No i co teraz powiesz? – zagadnął Jaya Bennie Sheppard. – Nie miałeś racji, no nie? Nie miało się racji.

Jay zatrzymał się w progu z kapeluszem w dłoni i oświadczył po prostu, że nie wierzy, aby Sydney Henderson był czemukolwiek winien.

– Chociaż widzę, jak to kiepsko wygląda – dodał.

– Kiepsko? Kiepsko?! Do oskarżania Mata Pita to ty zawsze byłeś pierwszy – o homara, o łosia, o byle gówno. A tu chodzi o dziecko!

Miny zebranych wyrażały w tej chwili tak niezłomną wiarę w oświadczenie Mathew Pita, że nawet Jay Beard stracił pewność własnej racji. Nawet on zaczął tracić nadzieję.

– Bardzo mi żal Trentona – powiedział do Mata. Mat popatrzył na niego z

niewymownym smutkiem.

– My, Jay, jesteśmy normalni ludzie – odezwała się niewinnie Cynthia. – Nam się nie przelewa, nigdy się nie przelewało... ojciec harował, flaki sobie wypruwał, w końcu zmarł... Mat swoje odcierpiał... a i tak nie chcieli go nająć do mostu... żeby tak za parę śmierdzących dolarów...

– Wiem – powiedział Jay. – Wiem.

Oboje posmutnieli i zamilkli. Jay Beard wrócił do swojego auta. Znał swojego ojca od małego. Ale jak miał go bronić po czymś takim? Za Pitami nie przepadał – jednak mieli argumenty. Sam nie wiedział, co myśleć. Dlaczego życie jest takie trudne? Jay Beard nie umiał odpowiedzieć sobie na to pytanie – czuł tylko, że nigdy jeszcze nie przechodził równie ciężkiej próby. A bądź co bądź, miał sześćdziesiąt pięć lat.

Nazajutrz wieczorem już cała okolica huczała o ekscesie swojego ojca. Sydney Henderson upił się i przyznał do winy! Sydney Henderson wystrychnął sąd na dudka. Posterunkowy Morris, który robił, co mógł, żeby usunąć tego zbrojnego, pedofila, ze społeczeństwa, też się o wszystkim dowiedział.

Mathew kursował autem tam i z powrotem po głównej drodze, spłakany, ze strzelbą u boku. Przystanął na równym kawałku i otworzył drzwiczki, żeby każdy mógł go zobaczyć z twarzą w dłoniach. Niebo przybrało wygląd postny i niedostępny. Dokuczliwy śnieg pachniał świeżym lodem. Parę osób zatrzymało się w końcu, żeby pogadać z Matem. Małżeństwo obsługujące punkt gazowy, z którego Mathew niedawno zwędził gaz, a mój tata wino, powiedziało mu, żeby się trzymał, bo wszyscy są po jego stronie.

– On jest teraz pijany jak świnia – dodała żona – więc przyzna się i drugi raz, nie musisz nawet nic robić.

Dotknęła przy tym dłoni Mata. Mathew wydał z siebie dziki skowyt do Boga, jakiego nie powstydziliby się sam Kain. Nie żeby nie dowierzał temu, co wszyscy mówili owszem, był pewien, że to absolutna prawda. Dlatego musiał koniecznie coś zrobić z Sydneyem Hendersonem – i to już! Właściciele punktu gazowego – zadowoleni, że zajęli się Mathew Pitem, bo zawsze się go bali – zostali przy nim dłużej z obawy, że mógłby zrobić sobie coś złego. Mathew z lubością słuchał, jak ci dwoje błagają go, aby nie dał się ponieść emocjom – dawało mu to poczucie szlachetnego wyróżnienia. W pewnej chwili wyciągnął nóż i zaciął się w palec, jakby nie mógł pohamować rozpacz.

– Proszę cię, Mat – uspokajał go mężczyzna. – Znasz mnie, chłopcze, od takiego, wiesz, że nie ujdzie draniowi na sucho...

– Ja muszę zabić Conniego Devlina – bełkotał Mathew. – Connie, kurde, miał śmierdzący obowiązek uważać na Trentona, a nawet go tam nie było... nawet go tam nie było! A reflektory pogaszone. Kto je pogasił i dlaczego? Connie musiał być od początku w zмовie z Sydneyem. Razem to urządzili. Connie i ten drań. – Mat spojrzał kolejno na swoich rozmówców, oszołomiony nagłą rewelacją.

– Ja to wszystko rozumiem, ale pomyśl o swojej mamie – powiedziała kobieta. – Pomyśl, co ona by musiała znieść, taka porządna kobieta.

Wszyscy cię podziwiają, Mat, musisz być dzielny. Tu w okolicy niektórzy mówią, że nie pozwolą Hendersonowi więcej wyjść z domu. Staną pod drzwiami i będą na niego czekać...

– Namawiają mnie, żebym skarżył... cała banda adwokatów lata za mną,

żebym zaskarżył Leo McVicera. A mnie głównie zależy na pieniądzach, nawet żebym dostał milion dolarów – na co mi one? Chyba żeby zebrać w kupę i spalić na tym moście.

To mówiąc, wyjął pięciodolarówkę i puścił ją z dymem, obserwując na rozmówcach wrażenie, o którym uprzedzała go Cynthia.

Pod wieczór następnego dnia Devlin zjawił się u Pitów, pytając o Mata.

Wpuszczono go do pokoju na tyłach, z czerwoną tapetą w kropki i głębokimi skórzanymi fotelami Mathew miał tu swój gabinecik i magazyn skradzionych rzeczy. Devlin wszedł, przekonany, że jest górą, i wytrwał w tym przekonaniu, dopóki nie zobaczył miny Mata. W tym momencie nerwy mu puściły i zaczął się trząść.

– Dlaczego powiedziałeś, że trzeba mnie zabić? – spytał, nie wiedząc, gdzie oczy podziać. – Ludzie gadają, że Sheppardowie mają mnie załatwić. Za co?

– A gdzie byłeś, zamiast uważać na Trentona? – odpowiedział mu Mathew.

– Tak jak cię prosiłem, bo wiedziałem, że Sydney chce go zwabić do siebie? Czemu żeś go nie bronił? Czemu nie pozapalałeś świateł?

– Przecież ty mi kazałeś siedzieć w domu! Obiecałeś mi cztery tysiące dolarów, żebym nie zapalał świateł!

– Cztery tysiące dolarów?! Siedzieć w domu?! Ja ci tak kazałem? –

Mathew skoczył na równe nogi i dał Conniemu w twarz. – Ja ci kazałem?

Łzesz! Jeden mi się już przyznał, teraz pora na drugiego, jak nie będziesz uważał.

Connie wbił osłupiały wzrok w niego, a potem w Cynthię.

– No tak – mruknął w końcu. – Coś mi się pomyliło.

– Ani centa! – podsumowała kategorycznie Cynthia.

– Jesteś naszym kuzynem, nie chcemy ci zrobić krzywdy, ale jak się okaże, że kombinowałeś z Sydneyem dla forsy, dla śmierdzącej forsy za życie dziecka, to... sam rozumiesz. Alvinie serce by pękło, jakby się dowiedziała, że syn jej rodzonego brata był w to wmieszany.

Connie, uświadamiając sobie grozę sytuacji, uśmiechnął się jak skrzywdzony dzieciak.

– Ja jestem po waszej stronie, Alvina to wie – wyszeptał. – Ty też to wiesz, prawda, Cynthia? Ja od was nic nie chcę.

Uśmiechnął się raz jeszcze, strasznie blady, i spytał, czy przypadkiem czegoś im nie potrzeba, może mógłby coś dla nich załatwić. Wychodził tak, jakby stąpał po jajkach.

## Rozdział 5

Ojciec poszedł prosto do łóżka, żeby wypocić alkohol, tak jak to zawsze robił w młodości. Kazał mi schować swoje ubranie i poprzywiązywać mu ręce do ramy wezłowania. Zrobiłem jedno i drugie. Ubranie ojca schowałem, co do sztuki, w dziurze za swoim łóżkiem.

Ojciec miał strasznie podbite oczy. Myślałem, że go pobili, kiedy się upił. Nie wiedziałem, że bili go, żeby zmusić do picia. Jakoś jednak to przeżył – co dla tych, którzy go bili, stanowiło dowód jego diabelskiej natury.

Przywołał mnie do siebie. Zależało mu, żebym wiedział, że – wbrew temu, co ludzie gadają – nie pił z wyboru i absolutnie nie przyznał się do zabicia Trentona. Przyznał się jedynie do grzechu pychy – niepotrzebnie usiłował pomagać chłopcu Pitów. Ale kto wyznaje taki grzech pychy, jak nie

słabeusz?

Usta ojca były poranione szyjką butelki, którą odgryzł, broniąc się przed alkoholem. Z lodu – mówił mi – zszedł około trzeciej po południu. Po drodze spotkał kogoś, kto rzekomo chciał z nim pogadać o robocie. Mój ojciec nie należał do łatwowiernych, ale byliśmy wtedy bez grosza.

– Chodź ze mną – powiedział facet. – Zarobisz czterysta dolców za składanie drewna. Słyszałem, że robisz to najlepiej w okolicy.

Ojciec dał się poprowadzić jak dziecko. Czterdzieści dolarów za ładowanie ciężarówki! Zdawał sobie, co prawda, sprawę z zagrożenia, ale przede wszystkim potrzebował pieniędzy na zakup nowych okularów dla Autumn.

Poszli razem ścieżką. Nie tą, którą zwykle chadzał mój ojciec, tylko inną, okrążającą od tyłu posesję Pitów. Ojciec nabrał w związku z tym nowych wątpliwości (gdzie niby miała stać ta ciężarówka?), zwolnił więc kroku i obejrzał się przez ramię. Zobaczył, jak dwóch innych wychodzi z lasu.

– Czy jednym z nich był Mathew? – spytałem.

– Nie – odparł kategorycznie ojciec.

Rzucili go na ziemię, siłą otworzyli mu usta i zaczęli wlewać do gardła alkohol. Ojciec złapał zębami butelkę i odgryzł szyjkę. Spytał mnie, czy się za niego wstydzę. Powiedziałem, że nie, jasne, że nie, ale przez chwilę nie patrzyłem mu w oczy. Stracił swoje duże, grube okulary: potrzaskane szkła zgubiły się gdzieś w śniegu. Bez nich ojciec nie mógł czytać.

Mamie nie mówiliśmy, co się naprawdę stało. Ojciec powiedział jej, że miał nawrót choroby alkoholowej. Dla mamy byłoby straszne dowiedzieć się, że ludzie, autentyczni ludzie z krwi i kości, zrobili coś takiego mojemu tacie. Dla mnie straszne było to, że ojcu nie uwierzyłem. Został w łóżku.

Poprosił, żeby mu sprowadzić Jaya Bearda. Jay przyjechał i siedział u ojca godzinę.

Kiedy od niego wyszedł, miałem okazję zamienić z nim dwa słowa.

Pamiętam się z tamtego okresu jako małego chudzielca w przybrudzonej białej koszuli i wyjściowych spodniach na wyrost.

– To prawda, co on mówi? – spytałem Jaya Bearda i aż zadrżałem, patrząc na niego z nadzieją.

Jay z wahaniem pokręcił głową. Przyniósł połamane okulary taty.

Pozbierał szkła – były całe. Powiedział, że je weźmie do domu i spróbuje naprawić.

– Sam nie wiem, czy to prawda, czy nieprawda – rzekł wreszcie. – Może na tym właśnie polega wiara: że nie wie się na pewno. Ja nie wiem, chłopcze. Ale wiem jedno: że Sheppardowie gdzieś przepadli – chowają się z jakiegoś powodu – a to znaczy, że coś mają na sumieniu.

Wziąłem gazę, bandażę i opatrzyłem tacie rękę. Co parę godzin przemywałem mu usta watką.

Ogłupiałem, nie mogłem myśleć. Przez wiele dni nie zdobyłem się na to, żeby wyjść na dwór ani do szkoły. Oto lista, którą spisałem wtedy z największym wysiłkiem. Zatytułowałem ją „Siedem grzechów śmiertelnych”. Chociaż nie leżała na widoku, moja mama i Autumn o niej wiedziały.

- 1)Odmawia poddania się badaniu krwi i zaprzecza, że jest ojcem dziecka Cynthii – dziecko umiera w jego ramionach.
- 2)Matka pracuje u McVitera – rodzice oskarżeni o kradzież.
- 3)Praca na moście – most się zawala.
- 4)Mówi, że chce się opiekować Trentonem – Trenton ginie.

- 5) Mówi, że nie namawiał chłopca do niczego ani nie zrobił mu krzywdy – przy ciebie chłopca są skradzione pieniądze.
- 6) Trenton ginie w nocy – ojciec to przepowiedział.
- 7) Ojciec nie pije – ojciec upija się i przyznaje do winy.

## Rozdział 6

W domu było cicho. Za dnia na dworze znów panował siarczysty mróz i ostre słońce; nasza chatka tkwiła w tym błyskotliwym zimnie, otoczona tylko świeżym powietrzem i śniegiem. Po nocy za to słyszeliśmy skrzypienie desek na ganku i odgłosy męskich kroków – zrazu jednego człowieka, dwóch, potem więcej – skradających się pod nasz dom, żeby rzucać w drzwi, czym popadło. To były cienie mojej młodości. Nie wyglądaliśmy z domu. Siedzieliśmy cicho. Nie zawiadamialiśmy policji. Cztery czy pięć dni po tym jak ojciec wrócił do domu pijany, mnie i Autumn wysłano wreszcie do sklepiku z punktem gazowym po chleb, bo już nie było co jeść. Ale właścicielka (ta sama, która rozmawiała na drodze z Matem) powiedziała, że sklep jest zamknięty. W powietrzu pachniało popiołem i szarymi chmurami. Waliłem w drzwi, aż wyszedł mąż tej kobiety i przegonił nas, jakby od niechcienia wykonywał służbowy obowiązek. Na widok jego miny podjąłem decyzję. Będę za wszelką cenę bronił rodziny. Mój ojciec czytał Arystotelesa, rozprawiał o uprzejmości i równości – ale Arystoteles uczył Aleksandra Wielkiego; były i inne sposoby działania...

Odeszliśmy od drzwi sklepiku, bez chleba, w ostatnich echach dnia, patrząc, jak słońce zapada za stwardniałe korony modrzewi. Oboje



byliśmy głodni, ssało nas w żołądkach. Wzięłem Autumn za rękę, a ona spojrzała na mnie do góry i uśmiechnęła się.

Od czasu rozprawy dostrzegałem coraz bardziej palącą potrzebę zemsty. Mówiąc krótko, Autumn ucieszyła się, widząc w gazecie swoje zdjęcie z przesłuchań, ale w domu nigdy się o tym nie rozmawiało. Zdjęcie Autumn znalazło się w gazetach, bo moja siostra była delikatną istotką o białej skórze i białych włosach. Nie rozumiała, że jej wygląd wykorzystano przeciwko nam. Cieszyło ją samo zdjęcie. Myślałem o tym, trzymając ją za rękę i idąc do domu.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, matka leżała na kozetce przy piecu. Była wówczas w czwartym, może piątym miesiącu ciąży. Ojciec spacerował z kąta w kąt, blady, usta mu drżały. Spytał, czy przynieśliśmy chleb.

Powiedziałem, że nie. Spytał, czy kogoś widzieliśmy koło domu.

Powiedziałem, że nie, chyba nikogo tam nie ma. Kiwnął głową i spojrzał na matkę. Rozcięta warga już mu się goiła. Twarz miał spokojną, pomyślałem, że chyba przeboleł incydent. Wreszcie usiadł.

Nikt w domu nigdy nie wspomniał o przestrzelonej bocznej ścianie, którą do biblioteki taty wpadł pocisk, rozbijając obrazek świętej Teresy z Dzieciątkiem w następnym pokoju, a ojca raniąc w ramię, tak że krew sikała jak z kranu. Byłem o to bardziej zły na rodziców niż na tego, kto strzelał.

– Co teraz zrobisz? – spytałem tatę. – Zadzwonisz na policję?

– Nie – odparł ojciec, z żelazną logiką, równą rozumowaniu Mata Pita. –

Nie da się udowodnić, kto strzelał. Wszyscy widzieli mnie pijanego, po raz pierwszy od piętnastu lat. Morris wziął się na mnie od nowa. tak samo jak Diedre Whyne i nasz kochany dobroczyńca doktor David Scone.

Najgorsze, że strasznie się męczę bez picia! A jak teraz wypiję, to, jak mi Bóg miły, będę pił, aż zdechnę. I oni wygrają. Ty nie wiesz, co myśmy z mamą przedtem wycierpieli od posterunkowego Morrisa. To byłby koniec twojej matki. Ja muszę o nią dbać! Cała okolica myśli, że upiłem się z powodu wyrzutów sumienia – wszyscy myślą, że tamci chcieli mi odebrać butelkę, i dlatego mam podbite oko. Nawet nasz jedyny przyjaciel, Jay Beard, mówi, że moja sprawa wygląda kiepsko.

Nagle roześmiał się, a Autumn razem z nim. Śmiała się jak szalona.

– To ich wina! – wrzasnąłem. – Ja ich zabiję! Tak jak oni chcieli zabić ciebie i mamusię!

Ojciec spojrział na mnie, zdumiony tym wybuchem złości. Potem przemówił surowo:

– Powiem ci coś, czego więcej nie będę powtarzał. Rozumiesz? Oni nie mogą tego zrobić, nie niszcząc przy tym samych siebie. Działają na własną zgubę. Nie żebym ja chciał ich zguby – zresztą, nieważne, czego ja chcę. Powiedz, czego ty chcesz ode mnie? Mam ich wystrzelać? Nie zrobię tego. Nie mogę, i nie zrobię.

– Tak – powiedziałem. – Masz ich podziurawić jak sito, wszystkich sukinsynów!

Wywrzeszczałem na cały głos słowo, którego dwa miesiące wcześniej nie ośmieliłbym się wymówić.

– Daj spokój i poczekaj. Z Pitami nie wolno zadzierać – powiedziała Autumn.

– Nawet jak to on wszystko urządził od początku do końca? – wrzasnąłem na nią.

– Ludzie takich rzeczy nie urządzają od początku do końca – powiedział

ojciec. – Prędzej czy później zdarzenia wymykają im się spod kontroli. Ludzie nie mają na to wpływu. A zdarzenia wymykają się spod kontroli, bo ludzie sami siebie nie kontrolują. Nie chcę, żebyś się w to mieszał i sam też ściągnął na siebie zgubę.

– Dobrze, że chociaż mamy herbatę – powiedziała Autumn. – Zawsze to lepsze niż nic.

Przeszła obok mnie z miną osoby bardzo zajętej.

– Jesteśmy jak dwie sztuczne kaczki na przynętę – burknąłem. – Ty Kaczor Donald, a ja pieprzona Daffy.

Autumn znów parsknęła śmiechem.

Matka (o której po raz pierwszy i jedyny w życiu pomyślałem wtedy, że jest kretynką) poprosiła mnie nagle, żebym poszedł do kościoła.

– Dochodzi siódma – powiedziała. – Proszę cię, zrób to dla mnie, nie mogę dzisiaj iść.

– Nie pójdę dzisiaj do kościoła – odparłem twardo, bardziej zdziwiony niesprawiedliwością z jej strony niż ze strony ojca. – Jezu! Przecież tam tylko czekają pod drzwiami...

– Proszę cię – powiedziała matka. – Zrób to dla braciszka... Wszystko będzie dobrze, jak pójdziesz i pomodlisz się za braciszka. Proszę cię. Pomódl się o jego zbawienie.

– Nie mam brata.

Ale Autumn szepnęła do mnie:

– Mama mówi o tym, którego jeszcze nie widać.

Tylko po to, żeby wyrwać się z obłądnej atmosfery domu, poszedłem do kościoła. Wybrałem starą ścieżkę, tę, którą tata chodził na ryby. Na niebie stał już księżyc, oświetlał śnieg, a w powietrzu lekko pachniało popiołem.

W połowie ścieżki, przecinającej mały zagajnik, odwróciłem się i dostrzegłem światełko, przeświecające przez dziurę po kuli w tylnej ścianie. Zaraz potem spojrzałem pod nogi: leżała tam łuska kaliber trzydzieści trzy, i widać było ślady męskich butów. Podniosłem łuskę przez rękaw koszuli i ukryłem w kieszeni, zadowolony, że mam oto niezbędny dowód. Oszołomiony tą pewnością, poszedłem dalej do kościoła.

Kiedy jednak dotarłem do dębowych drzwi, odwaga mnie opuściła. Odwróciłem się i zakląłem. Przeczekam na zewnątrz. Już nigdy – obiecałem sobie wtedy – nie wejdę do kościoła, żeby mnie nie wiem kto prosił.

– Niech sobie zdycha mój braciszek – powiedziałem głośno. – Matka Boska nas nie kocha, przeklęła moją mamę.

I splunąłem. Rozejrzałem się z nadzieją, że ktoś to widział, a potem podniosłem wzrok na niebo, które jakby powoli pulsowało.

Po ósmej drzwi się otworzyły i z kościoła zaczęli wychodzić nieliczni wierni – starzy bywalcy i parafianie ze wsi. Podszedłem do Rudy'ego Bellangera. Znałem go jako człowieka powszechnie szanowanego.

Pokazałem mu łuskę od trzydziestkitrójki.

– Proszę, tym strzelali do nas Pitowie – oznajmiłem z przejęciem. – Potrzebujemy czyjejs pomocy, i to szybko. To wszystko sprawka Pitów. Ja myślę, że to oni okradli pana teścia, na pewno oni. – Mówiłem tak szybko, że się zapluwałem. – Moja mama nic złego nie zrobiła... tatę postrzelili, naprawdę.

Trząsałem się cały. Nie wiem, jak często zdarzało się panu zebrać o wysłuchanie prawdy, ale jest to uczucie paskudne. Ma posmak doznań

przedwiecznych – człowiek przez moment doświadcza bezradności Kasandry.

Rudy popatrzył na mnie. Sapnął, nabierając powietrza.

– Jak to? – spytał zboląłym tonem. – To chyba nieprawda?

– Tym ktoś strzelił w nasz dom – oświadczyłem. – Mógł zabić mamusię. Pan pamięta moją mamusię?

– Boże! – westchnął Rudy Bellanger. Przymknął oczy i lekko ugięły się pod nim kolana.

– Idę z tym na policję – powiedziałem. – Policja nam pomoże... o ile mnie pan podwiezie... może dadzą za to jakąś nagrodę... – Czułem się jak śmieć.

– Ja zapłacę – dodałem z nieśmiałym uśmiechem.

W tym momencie zamknęły się za nami drzwi kościoła.

Rudy Bellanger wyjął pieniądze i podał mi.

– Niech to zostanie między nami... aż będę mógł wam pomóc – powiedział. – A to mi daj, przechowam przez jakiś czas... Proszę, weź te pieniądze, zanieś do domu, daj mamusi... proszę...

Schował łuskę do kieszeni. Było ciemno, więc poszedłem pod latarnię przeliczyć pieniądze. Wciąż czułem zapach prochu. Rudy Bellanger dał mi czterdzieści dolarów. Powędrowałem trzy mile piękną nocą, aż doszedłem do sklepu nad przystanią Gordona, gdzie nikt mnie nie znał. Tam kupiłem chleb, makaron i ser. Najbardziej zdziwiło mnie to, że mam straszną ochotę się upić.

## Rozdział 7

Autumn i mnie nie wolno było zbyt oddalać się od domu, więc

trzymaliśmy się razem. W soboty po południu robiliśmy sobie toffi albo krówki, albo graliśmy w hokeja na zamrzniętych kałużach za domem: Autumn stała na bramce, w nakolannikach ze starych czasopism.

Wymyślaliśmy przezwiska i złośliwe dowcipy o naszych wrogach – a było ich wielu, właściwie wszystkie dzieciaki z okolicy, z wyjątkiem Cheryl Votour.

– Mam ich w nosie – mówiła Autumn, kiedy chłopcy ją przezywali. A jednak w dniu świętego Walentego widziałem ją, jak stała na końcu naszej ścieżki i płakała.

Nie traciła jednak ducha. Chłopaków jest na pęczki – powtarzała. Jednego dnia podobał jej się jeden, drugiego drugi, aż w końcu doszła do końca listy. Tak, wiedziałem, że ma listę chłopaków, widziałem ją na parapecie w jej pokoiku. Tom, Ted, Ralph, Bill – wszyscy skreśleni. Zauważyłem też, że wyciąga na rozmowy głupków. Zaczynała na przykład tak:

– Nie sądzisz, że to całkiem jak z Burmistrza Casterbridge? – po czym cytowała obszerny fragment z wiersza Matthew Arnolda Strofy ku pamięci autora „Obermanna”:

– Te białe mgły kotłują się jak morze!

Słyszę tu ryk potoku.

– Tak, Obermanie, mówią mi o tobie;

Znów czuję cię u boku!

Gorączką dziką płoną te stronice

Poprzez spokoju pozór;

Zraniony duch przewraca się w udreće

Na swym boleści łożu.

Słyszając te słowa z ust malej albinoski, która w zapale recytacji potrafiła zachuchać sobie różowe okulary, nieszczęsny smarkacz czmychał czym prędzej na szkolny parking.

Tamtej wiosny zajrzałem kiedyś do jej pokoju. Siedziała sztywno na krześle, miała uróżowane policzki i perukę na głowie. Nie odezwała się, nie zmieniała pozycji, nawet nie mrugnęła. W końcu, nie mogąc zmusić jej do rozmowy, chciałem wyjść.

– Jestem lalką z porcelany – szepnęła wówczas. – Strasznie drogą. Taką lalką jak Pinokio. Ja nie kłamię.

„Nic nam przecież nie mogą zrobić – pocieszała mnie czasem z wielką czułością. – Niedługo się tym znudzą, zobaczysz”.

Ale sama często uciekała po ciemku rowami, unikając chłopców, którzy jej dokuczali i próbowali wpychać śnieg w majtki.

Wtedy mniej więcej poradziłem się Autumn, jak mam podejść do Penny Porier.

– Włóż sukienkę.

– Co?

– Poczekaj, aż będzie święto Sadie Hawkins, to pod koniec marca. Wtedy dziewczyny zapraszają chłopaków na randki, ona na pewno zaprosi ciebie.

– Nie ma mowy, nie włożę sukienki.

– Ale musisz! Prawie wszystkie twoje ubrania są po Griffinie, będzie jej się zdawało, że widzi własnego brata, a nie ciebie. Poczekaj na święto Sadie Hawkins.

Powiedziała mi przy okazji, że jej też ktoś się podoba – Darren Votour.

Uśmiechnęła się wstydliwie. Ja milczałem. Zrozumiałem, że wybrała sobie

największą szkolną fajtlapę, bo doszła już do końca swojej listy.

Kiedy wychodziliśmy z lekcji, było już szaro albo całkiem ciemno, więc po Penny przyjeżdżał ojciec półtonową furgonetką, żeby nie musiała wracać pieszo do domu, bo często się przeziębiała. W szkole Griffin pilnie strzegł siostry przede mną.

Przeżywałem to bardziej niż Autumn. Przeklinałem swoje ciuchy i nazwisko – szczególnie nazwisko.

Nocami wyobrażałem sobie Penny leżącą w łóżku, w białej piżamie, na białej poduszce – i smutek przeszywał mnie jak prąd elektryczny. Nigdy przedtem nie czułem – ani nie miałem okazji czuć – czegoś podobnego. – Będę ją kochał do końca życia – powiedziałem sobie kiedyś, idąc po szkole wzdłuż rzeki.

Lód połyskiwał niebieskawo i widziałem w jego tafli, kto skrada się za mną. Przystanąłem na naszej ścieżce, ledwie Autumn prysnęła do rowu. Ludzie potem mówili, że gdyby nie Jay Beard, już wtedy stary, z rękami obolałymi od artretyzmu – gdyby nie Jay Beard, który stale nad nami czuwał, mój ojciec by zginął, a dom i obejście spłonęłyby do cna. To Jay Beard, strasząc swoim trzydziestoośmiokalibrowym rewolwerem, powstrzymał ludzi przed atakiem na nasz dom. Czekałem, żeby mój ojciec – chociaż raz w życiu – ujął się za przyjacielem i pomógł mu.

Ale mój ojciec – kiedy usłyszał, że kilku facetów poprzysięgło zabić Jaya Bearda za to, że nam pomaga – wrócił jakby nigdy nic do naprawiania sieci na następny sezon i majstrowania nowej półki dla mamy.

Powiedziałem do Autumn, że nasz ojciec jest chyba za miękki na głowę rodziny. Martwiłem się tylko o matkę, siostrę i Jaya Bearda. I miałem nadzieję – nie wiem czemu, może chodziło o zachowanie resztek honoru –



że ojciec umrze, a naszym nowym ojcem zostanie Jay Beard.

Autumn powiedziała mi, że kiedy Jay Beard był u nas, broniąc taty i mamy, ktoś wybił mu szybę w samochodzie i rozwalił telewizor.

– On nie ma pieniędzy na naprawę – dodała Autumn – więc my musimy się o nie postarać, ty i ja.

Nie miałem pojęcia, jak można postarać się o pieniądze – Autumn też nie.

Co gorsza, mój ojciec jakby zupełnie nie rozumiał, że ma dług wobec Jaya Bearda.

– Kiedy dorosnę, będę taki jak pan – powiedziałem do Jaya.

– Chłopcze – odparł – bądź taki jak twój tata. Nikt wam nie zrobi krzywdy, ani tobie, ani Elly, jak nie będziecie chodzić sami daleko od domu. Trzeba przeczekać, to wszystko minie, ludzie w końcu odzyskają zdrowy rozsądek.

– Mój ojciec im pokaże! – zagroziłem, patrząc najpierw na tatę, a później na Autumn. – Już układa plan, tylko nikomu go nie zdradza. Zajmie się tymi kolesiami.

Żarliwość tego oświadczenia omal nie wycisnęła mi łez z oczu.

## Rozdział 8

Przyszedł dzień Sadie Hawkins. Paradowałem szkolnym korytarzem w długiej sukni, ze starą torebką, a moja siostra przebrała się za bardzo grzecznego Huckelberry Finna w słomkowym kapeluszu. Czuliśmy się takimi wyrzutkami społeczeństwa, że choćby w ten rozpaczliwy sposób mieliśmy nadzieję wtopić się w grupę. Ledwie jednak weszliśmy w ciemnawy korytarz, zrozumieliśmy, że i na to już za późno.

Mniej więcej w połowie korytarza stanął przed nami Griffin, brat Penny. Aha – pomyślałem sobie – wysłała brata w roli posłańca. Nawet mi się to spodobało.

Griffin był duży jak na swój wiek i miał bezczelne, bandyckie spojrzenie. Takie spojrzenie ma większość chłopców w wieku czternastu, piętnastu lat: na przemian dumne i lękliwe z racji nieczystych myśli, których wyrostek ani nie umie powściągnąć, ani wyznać otwarcie na spowiedzi. Griffin był w luźnych dżinsach, wypuszczonej na wierzch koszuli i nowych tenisówkach. Słyszał z tego, że kradł pióra i naśladował sposób mówienia swojego ojca.

Minąwszy mnie w korytarzu, odwrócił się nagle i wbił mi głęboko w ramię szpikulec cyrkla. Zawyłem z bólu, a on prysnął korytarzem, wrzeszcząc:

– Nie będziesz, gnoju, łaził za moją siostrą!

Penny, w swetrze zarzuconym na ramiona i związanym z przodu rękawami, schowała się szybko do klasy, jakby chciała przede mną uciec. Mnie pod rękawem sukienki sikała krew, tworząc coraz większą plamę. Autumn prosiła, żebym usiadł, a ona pobiegnie po dyrektora.

– Nie! – wrzasnąłem. – Żadnych dyrektorów! Jeszcze nam żaden dyrektor nie pomógł.

Wszedłem do ubikacji dla chłopców po kawałek papieru toaletowego. Nigdy przedtem nie biłem się z nikim, nawet nikomu nie oddałem. Mój ojciec uważał bicie za wynaturzenie i wpoił mi ten pogląd od małego. Wepchnąłem kłęb papieru pod rękaw sukienki i docisnąłem z całej siły. Moje ramię tymczasem zdrętwiało. Było mi niedobrze.

Kiedy wyszedłem z toalety, zdawało mi się, że cała szkoła zbiegła się

oglądać, co teraz zrobię.

Ze spuszczoną głową poszedłem do klasy. Za cały incydent obwiniałem swojego ojca. Do dyrektora nie poszedłem, bo z góry zakładałem, że mi nie pomoże (zupełnie jak mój ojciec, gdy nie poszedł na policję).

Ściągnąłem suknię, pod którą miałem swoje normalne ciuchy.

Przypomniało mi się, jacy smutni wrócili rodzice od posterunkowego Morrisa, który wyłudził od nich listy z pogrózkami. Uświadomiłem sobie, że na mnie i na Autumn ludzie patrzą w tej chwili tak, jak wtedy na nich.

Griffin Porier spojrział na mnie bezczelnie, zatrzymał wzrok na moim ubraniu, swego czasu dobrze mu znanym, i usiadł dwa rzędy dalej.

Moja rodzina otrzymała podwójną naganę. To kazało mi milczeć.

Znajdowałem się na ziemi niczyjej, namacalnej przez zapach starego budynku, na ziemi, która pogrzebała tysiące zapomnianych chwil, która przechowała setki bezmyślnych dzieci i wyprawiła je dalej, w bezsensowne, przeciętne życie. Z tej szkoły, zanim ja zostałem jej uczniem, wyszedł przyszły stypendysta Rhodesa Gerald Dove, wychowanek Leo McVicera, a w rok po moim odejściu – następny stypendysta Rhodesa. Rada pedagogiczna i dyrektor nie posiadali się ze szczęścia. Ale czy studia nie są równie bezsensowne i przeciętne jak wszelka przyszłość?

Owszem, nawet bardziej, bo stypendyści Rhodesa znajdują swoje przeznaczenie w spółkach naftowych i sieciach komputerowych.

Błyskotliwi, politycznie poprawni i niewolniczo zabiegający o akceptację, porzucają nas – „niezaspokojonych”, jak to mawiał Yeats – nas, Devlinów, Votourów, Pitów, Porierów i Hendersonów, w błogiej ciszy po srogich zimowych sztormach, na pastwę własnego losu. Nasze losy nie miały nic

wspólnego z losami stypendystów Rhodesa, chociaż Autumn niejednego przewyższała inteligencją. Nasze losy były za to prawdziwe, widzialne tylko w naszym powszechnym szaleństwie pod zimowym niebem.

Po lekcjach stałem na boisku, czekając na siostrę i patrząc, jak żółte autobusy, jeden po drugim, skręcają ku zamarznętej zatoce. Pod pachą miałem zwiniętą suknię matki. Autumn wyszła wreszcie, wciąż w kostiumie Hucka Finna. Na boisku pachniało zgnilizną i siarką, szkoła ucichła, zza jej węglów kosił ze świstem cienki śnieg, a wirujące pośrodku dachu wentylatory wzbijały białe tumany w czyste niebo.

Przez cały weekend nie wychodziliśmy z domu. Jay Beard przyniósł nam karton żywności. Noc była przytłaczająca i mroźna, a jednak w telewizji podawali informacje giełdowe z Toronto i Nowego Jorku, jakby to był ten sam, nasz świat. Po raz pierwszy dotarła do mnie myśl, że ludzie żyją w różnych czasach i że nie ma czasów lepszych ani gorszych.

W moim domku trwała dziewiętnastowieczna wieczerza, a w telewizji kończyła się sesja dwudziestopierwszowiecznej giełdy. A wróg mógł pewnie czyhać wszędzie, i tu, i tam.

Autumn oświadczyła, że nie ma zamiaru być przez całe życie zakładniczką tamtych za drzwiami. Powiedziałem jej na to, że nie ma innego wyjścia.

– A właśnie że mam – odparła. – Jasne, że mam. Każdy ma. –

Uśmiechnęła się wesoło i rzuciła we mnie Dawidem Copperfieldem. – To jest twoje inne wyjście; jak z niego skorzystasz, uwolnisz się od Mata Pita.

Rozdział 9

Na drugi dzień poszedłem do szkoły bez kurtki. Zrobiłem tak, bo mój ojciec był niezwykle odporny na zimno, i chciałem mu pokazać, że ja tak samo. Ekskomunika ojca, o której coraz głośniejsze szeptano, nie wpłynęła w żadnym stopniu na postawę moich rodziców: nadal tkwili w mackach kościoła.

Usiadłem w ławce i pogrążyłem się w nauce. Miałem zaległości we wszystkich przedmiotach, ale nadal wierzyłem, że jeśli zostanę wybitnym lekarzem, prawnikiem lub inżynierem, odmieni to całkowicie moje życie – albo jeszcze lepiej: będę budował w miastach domy dla bezdomnych, o których tyle się mówi. A wtedy wszyscy zobaczą, że mój ojciec jest dobry, i cała nasza rodzina też. To było wówczas jedyne moje marzenie.

Pisałem wypracowanie o przekształceniach systemu władzy w epoce industrialnej Anglii lat czterdziestych dziewiętnastego wieku, w warunkach rozkwitu klas średnich – porównywałem tamte zjawiska z przekształceniami systemu władzy w erze informacji, w erze komputerowej, w którą właśnie wkraczał świat. Moje wypracowanie było w gruncie rzeczy oskarżeniem wszelkiej władzy o znęcanie się nad ludźmi słabymi i pokornymi. Więc na tym ma polegać era informacyjna! A przecież informacje posterunkowego Morrisa nie zyskały na prawdziwości tylko dlatego, że umieszczono je w komputerze.

Wypracowanie to pisałem w wielkim wzburzeniu, na skrawkach papieru, bo nie miałem już brulionu. Jeszcze rano zdążyłem poukładać karteczki w kolejności, zarezerwowałem też sobie czas po południu, aby przepisać tekst do komputera w szkolnej bibliotece. Ostatnie zdanie brzmiało: „Mój ojciec potraktowany został niesprawiedliwie, nigdy bowiem nie skrzywdził ani mnie, ani siostry, gdyż jest człowiekiem Bożym”.

Skreśliłem to zdanie – nie dlatego, że było nieprawdą, tylko dlatego, że ojciec nauczył nas nigdy nie zebrać o wysłuchanie prawdy.

Nasza szkoła wynajmowała autobusy dowożące dzieci z całej nadrzecznej okolicy, dzieci górników i rybaków. Ojcowie uczniów naszej szkoły wiedzieli, co znaczy ciężka praca, co znaczy kalectwo i śmierć na służbie – a teraz pomału, nieśmiało wkraczali w nową, równie dziadowską epokę. Czekala nas wszak eksplozja nowego milenium.

Po powrocie z przerwy obiadowej nie znalazłem swojego wypracowania: wyfrunęło z okien w postaci papierowych samolocików. Nad boiskiem wciąż nisko wisiało czarne niebo, na obskurnym parkingu czekały cztery autobusy.

Miałem wreszcie okazję wpisać swoje wypracowanie do komputera, musiałem jednak wyjść po lekcjach i pozbierać rozsypany brudnopis z parkingu, ile się da. Koledzy i koleżanki obstąpili teren, patrząc, jak zbieram z ziemi poplamione rozmazanym tuszem kartki. Gdy zbliżałem się z powrotem do wejścia, w tłumie zblazowanych typków dostrzegłem Autumn.

Griffin Porier opierał się ciężką łapą na jej głowie jak na postumencie. Widziałem, jak pod moją siostrą gną się kolana, chociaż dzielnie próbuje obrócić wszystko w żart.

Chociaż byłem tchórzem, poczułem się nagle w obowiązku bronić poglądu, że życie Autumn jest nie mniej święte niż życie Griffina Poriera. Pamiętałem, co mi kiedyś powiedział Leo McVicer: „Przyjdzie dzień, że i ty użyjesz pięści – nie będziesz miał innego wyjścia, tak jak ja”. Dlaczego Leo tak się z tego cieszył? Mnie to przerażało.

Uniosłem zgięte ręce w boksterskim rozstawieniu. Jeszcze nigdy w życiu

nie trzymałem tak rąk, więc spojrzałem na nie z bliska, zdziwiony, jakby własne pięści były moimi wrogami. Za mną rozpościerały się zwały lodu i milcząca zatoka, w której małe, ciemne wysepki czekały w nieustępliwym mrozie i szklistej ciemności na ciepłe wiatry z południowego zachodu. Griffin obszedł mnie dookoła, wymierzając z całej siły lewe sierpowe, aż się zachwiałem i padłem na ziemię. Spojrzałem z dołu na tłum gapiów i nie dostrzegłem ani jednej życzliwej twarzy poza twarzą mojej siostry. Przeturlałem się na brzuch, wpiłem palcami w śnieg i jakoś wstałem. Krawat mi powiewał, mroźne powietrze kłuło w płuca, w ustach czułem smak krwi. Na czole rósł mi wielki guz od ciosu, nos miałem złamany, strużki krwi znaczyły chaotycznie moją koszulę i spodnie, skapując na twarde gruntu opuszczonego parkingu, naznaczony tysiącem zapomnianych odcisków stóp, wśród których kartki mojego wypracowania poprzymarzały do lodu i już znikwały w ostatnich blaskach zimowego światła. Na jednej odczytałem nabazgrane słowa: „Przedsiębiorstwo McVicara zmonopolizowało całe nasze życie”. Tłum gapiów to napierał na nas, to się oddalał, zagrzewając Griffina do walki swoim entuzjazmem i okrzykami.

Po czwartym ciosie odwróciłem głowę i ujrzałem mur wrogich oczu, a między nimi buzię Autumn, zamarłą na widok mojego cierpienia – chociaż w tej chwili razy nie były już bolesne. Nagle Autumn skoczyła mi na ratunek, a wtedy Griffin powstrzymał ją lewym sierpowym. Nim zdążyłem cokolwiek zrobić, cios trafił ją w podbródek i Autumn upadła. Zrobiło się cicho.

Griffin roześmiał się, odwrócił znów do mnie i wymierzył cios prawą ręką. Tym razem stanąłem na wysokości zadania i schwyciłem jego pięść. I

nagle – o dziwo – uświadomiłem sobie straszną, zaskakującą tajemnicę: byłem dwa razy silniejszy od Griffina. Jego pięść wiła się w mojej garści, Griffin zawył i padł na kolana, błagając, żebym go puścił. Poderwałem go z powrotem na nogi, ale minę miał tak zbolaną, że nie mogłem na to patrzeć.

I tak przekonałem się na własnej skórze, że ojciec miał rację: każda krzywda wyrządzona bliźniemu obraca się przeciwko temu, kto krzywdę wyrządza, a jedyny sposób na uśmierzenie współczucia to hodowanie w sobie „zatwardziałości serca” przeciwko innym żywym istotom.

Podniosłem Autumn, objąłem ją i poprowadziłem ośnieżoną ścieżką, poznaczoną czerwonymi plamami mojej krwi.

– Ja cię jeszcze dopadnę, ty śmierdzący tchórze! – wrzasnął za mną Griffin, ale gapie patrzyli już na niego inaczej niż dwie minuty temu.

Wróciliśmy do domu. Późną nocą usłyszałem na dworze jakiś ruch: ktoś rzucił w drzwi butelką. Ojciec leżał w łóżku i słuchał dobiegających z zewnątrz krzyków, które kwestionowały jego odwagę i wzywały do wyjścia na dwór i konfrontacji twarzą w twarz z napastnikami. „Chodź się z nami napić!” – wołali tamci. Trwało to wszystko nieznośnie długo.

– Chodź się napić! – wrzeszczał jeden. Potem na chwilę zapadała cisza, i znów: – Chodź się napić!

Podeszli w końcu pod sam dom, ale nagle rozległ się strzał z rewolweru. Umknęli wszyscy w pijackim beładzie. Już nie chciało im się zgrywać odważnych. Jay Beard wystrzelił jeszcze raz. Usłyszeliśmy zbiorowy wrzask i warkot odjeżdżającej furgonetki.

Rozpłakałem się. Chciałem wybiec na dwór i pomóc Jayowi. Ale nie zrobiłem tego.



Mój krawat moczył się w zlewie. Matka wstała o świcie, wysuszyła go i pocerowała mi spodnie. Buty – niegdyś ojca – które miały osiem lat, wyczyściła mi z rana Autumn. A ja wstałem ze straszną myślą, że poznałem własną siłę i wiem już, co to znaczy być jednym z tych za drzwiami.

## Rozdział 10

Następnej nocy zaczął padać śnieg, sypał na nasz domek i żółte klepisko, a ja myślałem o wnykach na zające, które chciałem sprawdzić z rana.

Musiałem zabijać zające, bo ojcu odmówiono zasiłku, a trzeba było coś jeść. Najgorzej było, kiedy zając jeszcze żył, bo wtedy musiałem poszukać kija i go dobić.

Twarz miałem pokiereszowaną i opuchniętą. Autumn siedziała w pokoiku na tyłach domu, gdzie stał nasz leżak i parę letnich sprzętów. Popatrzyłem na nią przez dłuższą chwilę i powiedziałem:

– Od tej pory będzie inaczej. Nie dam się więcej szarpać. Tobie też nie pozwolę zrobić krzywdy. Nie uronisz już ani jednej Izy.

Z początku nic nie mówiła, zaskoczona, jak przypuszczam, moją wyszeptaną deklaracją. Czułem się jak Adam przemawiający do Ewy: opuściłem matkę i ojca, porzuciłem dolinę świętych i zostałem strącony między ciernie. Dostałem poczucia własnej tożsamości, niezależnej od życzeń najbliższych.

– Wierzysz w piekło? – spytałem.

– Tak.

– A wierzysz w niebo?

- Tak, ale nie tak bardzo, jak w piekło – uśmiechnęła się.
- Uważasz, że porządni ludzie chodzą do kościoła?
- Tak.
- Czy Jay Beard chodzi do kościoła?
- Nie! On nienawidzi Kościoła, nie cierpi księdza. Wiesz o tym.
- Czy ksiądz dba o naszą rodzinę, czy zjawił się u nas chociaż raz z dobrym słowem? Czy powiedział o nas kiedyś na mszy coś dobrego? Czy odezwał się do ciebie albo do mnie na lekcjach katechizmu? Czy kazał ludziom zostawić mamusię i tatusia w spokoju?
- Nie, wcale nie, zawsze omija nas z daleka!
- A czy Jay Beard dba o naszą rodzinę?
- Tak, i to z narażeniem życia.
- Czy to jest z jego strony dobry uczynek?
- No... zawsze może mieć w tym jakiś interes, ale wygląda na to, że spełnia dobry uczynek.
- Co o nim myślisz?

Autumn zastanowiła się.

- Myślę – odparła – że jest mądry.
- Tak samo mądry i odważny jak tata? – spytałem z drżeniem.
- Tak mi się zdaje.
- Wolałabyś, żebym ja był taki jak Jay Beard?
- Nie, jak tata.
- Myślisz, że mógłbym stać się taki jak Jay Beard?
- Nie wiem.

Zapaliłem papierosa. Autumn wybałuszyła na mnie oczy. Podąłem jej fajkę. Zaciągnęła się, zakrztusiła i złapała za gardło, udając, że się dusi.

Zapaliłem drugiego papierosa dla siebie i powoli wydmuchnąłem dym. Wyprostowałem się, delektując wspaniałym poczuciem racji moralnej, i z tylnej kieszeni dżinsów wyciągnąłem składany nóż w kościanej oprawie, z siedmiocalowym ostrzem z nierdzewnej stali. Kupiłem go za pieniądze otrzymane od Rudy'ego Bellangera. Z uśmiechem pokazałem go Autumn.

– Ojej – powiedziała. – Można tym wybebeszyć królika?

– Chcę kiedyś być taki jak Jay Beard, muszę taki być!

Autumn milczała. Ale miałem wrażenie, że myśl o wolności jest dla niej pociągająca. Wyjąłem wtedy mały pierścionek z oczkiem i założyłem jej na palec.

– Miałem go dać Penny... w każdym razie jakiejś dziewczynie... ale nie mam dziewczyny, więc daję go tobie. To nasz pierścionek zaręczynowy.

– Nareszcie mam chłopaka – skwitowała Autumn.

Spytałem ją, co zamierza robić, gdy dorośnie. Chciała zostać weterynarzem, zdobyć stypendium McVicera i – tu się zarumieniła – napisać książkę. Stypendium McVicera oznaczało piętnaście tysięcy dolarów.

– McVicer w życiu ci nie przyzna swojego stypendium – powiedziałem – ale ja mu się odpłacę.

Autumn nie ukrywała, że się boi, i zawsze siedziała w swoim pokoju, gdy zostawała sama.

– To się skończy – obiecałem jej. – Już nie będziesz musiała się bać.

Prędzej pójde do więzienia, niż dam ci jeszcze raz zrobić krzywdę.

Nazajutrz rano wstałem w strasznym zimnie i poszedłem sprawdzić wnyki.

Ojciec wybierał się właśnie na mszę do kościoła.

– Idź się modlić, a ja ci znajdę coś do jedzenia! – krzyknąłem na niego

przez biały opar własnego oddechu.

Okazało się, że większość wnyków poprzykrywał śnieg, ale w jednych tkwił zajac, zagrzebany w śniegu aż po grzbiet. Drzewa stały nieruchomo, a w krzakach plątała się woń dymu z domów nad zatoką, w których palono węglem drzewnym.

Wyszedłem z lasu, obdarłem zajaca ze skóry i powiesiłem go na sznurze do bielizny za domem. Obudziłem Autumn. Powiedziałem jej, że poszukam po drodze kartofli i marchwi, to ugotujemy sobie gulasz z zajaca.

Potem poszedłem do szkoły. Wstąpiłem do ubikacji dla chłopców i zastałem tam Griffina Poriera. Zamarłem, serce waliło mi jak oszalałe – zupełnie jak temu zajacowi, którego ukatrupiłem wcześniej rano.

– Dotknij mnie jeszcze raz, to łeb ci rozwalę – zapowiedziałem. – Zabiję cię. Nie obchodzi mnie, kim jest twój wujek ani czy zostanę ekskomunikowany. Wszystko mi jedno. Będiesz trup.

Spojrzał na mnie, uśmiechnął się niemrawo i bąknął:

– Akurat.

Ale gdy zrobiłem krok w jego stronę – cofnął się. Po raz pierwszy ktoś się przede mną cofnął.

Griffin wybiegł pędem z ubikacji.

Patrząc za nim, poczułem, jak wżera mi się w mózg myśl o haniebnej nieuczciwości świata, który z pozycji moralności oskarża mojego ojca.

Nagle uświadomiłem sobie, że wszystko, w co mój ojciec wierzył – Kościół, ciężka praca, święci, nawet Porierowie – że to wszystko lipa. W gruncie rzeczy nie miało to znaczenia, że mój ojciec nie jest niczemu winny. Nie powinienem był mu tak pochopnie wybaczać tylko dlatego, że

jest niewinny. Ponieważ, z pewnego punktu widzenia, wszystkiemu winna była jego bierność – całe nieszczęście, na które nas skazano, wzięło się stąd, że mój ojciec odmówił działania. A gdyby zareagował dużo wcześniej? Gdyby przed laty wybrał walkę, nie zwałałby jej teraz na mnie albo, co gorsza, na Jaya Bearda, biednego półinwalidę. Moje ręce wciąż cuchnęły skórą zająca; ciekawe, ile jeszcze dzieci znad naszej rzeki – dzieci, które mają w domu kuchnie mikrofalowe i gry wideo, w jakie my z Autumn nie graliśmy nigdy w życiu – musiało tego dnia zabić zająca na obiad? W każdym razie ci, z którymi siedziałem w klasie przez całe przedpołudnie, od dawna byli obywatelami dwudziestego wieku – a wkrótce już dwudziestego pierwszego.

Na kolację jedliśmy gulasz, bo udało mi się zwędzić parę marchwi i kartofli ze sklepiku przy punkcie gazowym.

Zimowy księżyc spowijał nasz dom blaskiem, a wiatr był łagodny.

Nadciągała wiosna, do nas miesiąc później niż wszędzie indziej. Zbliżała się Wielkanoc. Mama nie poroniła. Śnieg pachniał już wilgocią, domy o zmierzchu zamazywały się i ciemniały, ale życie w nich było ciepłe i przytulne. W tych domach mieszkali ludzie, którzy od wielu lat pracowali u McVicera. Ich synowie i córki mieli zwyczajne ambicje, zostawali prawnikami i inżynierami. Z tych domów przez otwarte okna słychać było śmiechy i muzykę rockową.

Co – pytałem siebie – dał kiedykolwiek mój ojciec mojej matce?

Przeklinałem go. Miałem ochotę go sprać. Pamiętałem opowieść mamy o tym, jak ojciec udał się pieszo odwiedzić swojego ojca w więzieniu, bez słowa skargi. Czy ja zrobiłem kiedyś coś podobnego? Ale bunt nie ma litości sam dla siebie, szczególnie u młodych i poniżonych.

## Rozdział 11

W niedzielę wielkanocną poszliśmy do kościoła. Witraże lśniły barwnie, nadbrzeżne kamyki wylazły spod śniegu. Przez całe rano od morza ciągnęła uporczywa bryza, nasze ubrania były czyste i odprasowane. Gdy wróciliśmy do domu, spadło znów trochę śniegu i, jak to się czasem zdarza wiosną, zrobiło się zimno, a woda w rowach pozamarzała. Mama pościagała pranie ze dworu. Drewno, którego ojciec narąbał na opał, powoli się kończyło.

Przed kolacją poszedłem na spacer. Na bladym niebie polatywały chmury, w rowach pokazały się smętne trofea wczesnej wiosny: połamane trawy, nalepki od butelek, zużyte prezerwatywy – to na polu za naszym domem – i inne oznaki kończącej się zimy. Odtajałą zatokę pokrywały drobne, brunatne fale. Idąc w jej stronę, z uczuciem dziwnego zagubienia wobec wstępnej salwy wiosny, znalazłem się raptem na polu Pitów za ich domem. Nagle wzięła mnie chętka – nazwałbym to raczej chętką niż pilną potrzebą – zmierzenia się z Mathew Pitem: gotów byłem stanąć przed nim i dać mu w twarz, co, z uwagi na mój ówczesny wzrost i siłę, mogło okazać się pomysłem samobójczym. Z drugiej strony, Machiavelli zalecał odwagę, a nie rozważę, jako sposób wabienia fortuny, pomyślałem więc, że byłoby to do zrobienia. Zawsze wiedziałem, że stać mnie na śmiałość. A skoro wypróbowaliśmy już metody mojego ojca, to może teraz pora na moje własne. Byłem pewien, że to Mat winien jest wysadzenia mostu, chociaż nie potrafiłem tego udowodnić. Ale po co, na Boga, miałbym to udowadniać? Oni niczego nam nie udowodnili. Jak ktokolwiek mógł

uważać mojego ojca za złego człowieka, a pana Pita za dobrego? A jednak wszyscy tak uważali.

Robiło się coraz zimniej, z daleka dawał się słyszeć ruch na szosie. To był dzień, w którym Chrystus zmartwychwstał i ukazał się Marii Magdalenie w zmienionej postaci. Może i dla mnie będzie to dzień rezurekcji, jeśli zrobię, co trzeba.

Minąłem krótki szpaler świerków, psią budę z kłębem sierści zaczepionym na gwoździu, i wszedłem na tylne podwórko Pitów, pokryte rozmiękłą breją, w której świeży śnieg pozostawiał pasma ziemi jak czarne bazgroły na białej stronicy brulionu. Przypomniało mi się szkolne wypracowanie, którego nigdy nie zdołałem odtworzyć, i pomyślałem, że w tym roku na pewno nie zdam.

Nigdy przedtem nie byłem na podwórku Pitów; zdziwiło mnie, jakie jest opuszczone i zaniedbane. Spodziewałem się, że Pitowie żyją znacznie bogaciej i weselej niż my. A jednak dom ich wyglądał nędzniej i smętniej niż wszystkie inne, które widziałem, z wyjątkiem może domu Voteurów. Zajrzałem do środka przez okno sieni i ujrzałem otwarte drzwi do stołowego pokoju, a za nimi marne światło i kawałek obrusa na drewnianym stole. A więc to tutaj Trenton spędził całe życie, pomyślałem. Może ostatnią rzeczą, którą tu robił, było wyglądanie tym właśnie oknem na zachód słońca.

Tuż koło mnie – pod moją ręką – leżała obosieczna siekiera, stara i zardzewiała, ale z mocnym trzonkiem, teraz przyprószonym śniegiem. Złapałem ją i lodowaty ziąb śniegu sparzył mi dłoń. W tej samej chwili ze stołowego wyszedł Mathew Pit we własnej osobie. Zmierzał prosto do okna, za którym kucałem. Był bez koszuli, całe jego muskularne ramiona i

tors pokrywały tatuaże. Człowiek, który zrujnował nam życie, stanął oto przy oknie i wyrzał przez nie na nasz dom. To on pobił mojego ojca, wmusił w niego alkohol (czego, niestety, nie mogłem udowodnić), wyśmiewał się z mojej pięknej siostry i dybał na moją matkę.

Z łatwością mogłem go zabić. (Miałem dość siły, żeby wbić siekierę po rękojeść w jego pierś.) Nazwał mojego ojca tchórzem, ale mnie nigdy tak nie nazwie – pomyślałem. Ścisnąłem trzonek siekiery. Zaczepnąłem powietrza i zawirowało mi w głowie.

Mróz kąsał coraz dotkliwiej, na drzewa opadał mrok. Usłyszałem kojoty zwołujące się szczekaniem. Usiłowałem myśleć z nienawiścią o Mathew Picie – za to, co wygadywał na moją matkę i siostrę, za to, jak postąpił z moim ojcem. Ale nie umiałem.

Mathew Pit zaciągnął zasłony. Usłyszałem jego głos:

– Cynthia? Jest tu kto? Dlaczego siedzę dzisiaj sam?

Uświadomiłem sobie, że rzeczywiście siedzi sam, chociaż jest Wielkanoc; jego nigdy nie obchodziło zmartwychwstanie, cały jego dom nosił piętno tej obojętności. Pomyślałem, że właśnie teraz jest odpowiednia pora, żeby go zabić: nikogo nie ma w domu, a jeśli zatrę za sobą ślady, podejrzenie padnie na kogoś innego.

Zabijając go, zdradziłbym swego ojca. Ale nie zabijając go, też zdradziłbym ojca. O tej chwili myślałem od lat. Ta myśl stała się moją życiową obsesją. Moje życie zmieniłoby się na zawsze, gdybym wówczas okazał determinację. Działaniem mogłem ocalić nas wszystkich, i Autumn, i mojego małego braciszka Percy'ego, który miał się urodzić w szopie niedaleko autostrady numer jedenaście.

Podniosłem siekierę i zacząłem odliczać. Powiedziałem sobie, że jeżeli



zamknę oczy i zobaczę czerwone plamki, tak jak to się czasem zdarza, to wstanę i rąbnę siekierą w okno. Zamknąłem oczy. Nie ujrzałem czerwonych plamek. Czekałem dość długo, trzęsąc się na całym ciele, aż usłyszałem, że Mathew wychodzi. Byłem wściekły, że przegapiłem okazję. To tak, jakbym miał groźnego niedźwiedzia na celowniku i nie wystrzelił – a potem patrzył, jak bestia gramoli się za wzgórze, wiedząc, że wróci, aby pastwić się nad moją siostrą.

Wstałem i pogałem na przełaj przez pole w stronę potoku, zarykując się ze śmiechu. Jeśli tak łatwo jest osiągnąć siłę, to musi w niej tkwić jakaś słabość. Jeden cios siekierą, nawet niespecjalnie mocny, uczyniłby życie mojej matki znośnym, moja siostra przestałaby sikać do łóżka, a ja nareszcie byłbym szczęśliwy. Może nawet ojcu przestałby dokuczać wyrostek.

Wróciłem do domu. Ojciec, matka i Autumn siedzieli przy kuchennym stole, na którym różowiła się szynka. W izbie było ciepło. Mieliśmy jedno okno obok kuchennego stołu, i drugie, znacznie większe, w przeciwległej ścianie. Na gzymsie pod tamtym oknem mama trzymała swoje bibeloty i zdjęcie Autumn od Pierwszej Komunii (ja swoje schowałem). Koło pieca stała kozetka mamy. Za kozetką było tylne wyjście na podwórze. Obok niego – drzwi do łazienki. Na wszystkich półkach stały książki taty.

Na lewo od kuchennego stołu biegło pięć schodków „na górkę”, gdzie mieściły się nasze trzy sypialnie – dziuple właściwie – wydzielone przez tatę, gdy ja i Autumn podrośliśmy.

Ojciec odmawiał właśnie modlitwę przed posiłkiem. Przerwał i spojrzał na mnie. Uśmiechnąłem się, on też. Ale z jego spojrzenia wyczytałem, że wie, gdzie byłem. A jego uśmiech, łagodny i dobrotliwy, mówił mi, że wie

również, czego nie zrobiłem.

W takim zamęcie uczuć żyłem trzy tygodnie. Zbliżał się maj. Miałem szczęście zarobić parę centów przy sprzątanu obejścia u McVicera. Może starego dręczyły wyrzuty sumienia. Za każdym powrotem do domu widziałem z daleka Mathew Pita i nachodziła mnie dzika żądza zabicia go. Stało się jednak coś, co zapobiegło morderstwu – okazało się, że za naszymi plecami trwały przez cały czas konferencje na nasz temat.

Pani Whyne, uzyskawszy silne poparcie ugrupowań altruistycznych, ruszyła „na ratunek dzieciom”. Już parę tygodni przed Wielkanocą przybył do nas z tą wieścią Jay Beard, uprzedzając, że coś się święci i że mama powinna przygotować się na najgorsze – a on ze swojej strony zawsze chętnie wystąpi jako nasz świadek.

I rzeczywiście, pewnego wieczoru zjawiła się u nas Diedre Whyne wraz z posterunkowym Morrisem, który, jak zawsze w obecności mojej matki, miał minę grobową i nieco rozczarowaną, jakby mama sprawiała mu zawód swoją postawą. Dokumenty mieli przygotowane, a przed domem zostawili dodatkowego funkcjonariusza z karabinem, na wypadek gdyby mój ojciec otworzył ogień, chociaż nie wiem z czego.

Zabrali nas. Na końcu ścieżki czekało na to widowisko kilkanaście osób: klaskali w ręce, patrząc, jak funkcjonariusze z trudem odciągają nas od domu. Autumn powlekli w jedną stronę, mnie w drugą. Mama była wtedy w szóstym, może siódmym miesiącu ciąży.

Poszła do sądu i w milczeniu wysłuchiwała, co ma o niej do powiedzenia pani Whyne: że jest półanalfaberką, że cała jej rodzina żyje w nędzy, że jej mąż podejrzany jest o szereg zbrodni, do których chętnie się przyznaje po pijanemu.

Z protokołu tych przesłuchań wiem, co o nas sądziły władze:

„Matka dzieci żyje w związku z niejakim Sydneyem Hendersonem, osobnikiem o agresywnych skłonnościach, wychowanym w domu, w którym również panowała agresja. Wzmiankowany doświadczył przemocy i niejednokrotnie sam się jej dopuszczał. Elly po raz kolejny jest w ciąży, pomimo braku środków na utrzymanie pozostałej dwójki dzieci. To kobieta o infantylniej mentalności, przesadnie uległa, która, mimo licznych poronień i krwotoków, cierpliwie znosi jedną trudną ciążę po drugiej przez wzgląd na poglądy religijne męża.

Ściana ich domu nosi ślad po kuli, żyją w ciągłym strachu od śmierci Trentona Pita – chłopca, którego deprawował Sydney Henderson. Syn Lyle ma lat czternaście, jest więc w wieku, w którym chłopcu szczególnie potrzeba rodzicielskiego nadzoru. Córka, trzynastoletnia Autumn Lynn, jest albinoską – z tej racji doznaje szykan w szkole. Zaczęła już miesiączkować i jest podatna na wszelkie wpływy. Te dzieci trzeba ratować natychmiast, wkrótce będzie za późno”.

Jezu Chryste, nawet mnie to przekonało.

Oddano mnie na wychowanie do Hanny’ego Browna i jego żony, a Autumn została w Chatham pod opieką pani Whyne. Zamieszkała w społecznym domu opieki, prowadzonym przez panią Whyne z funduszy państwowych. Przebywały tam kiedyś dziewczynki Votourów, a także ich mali krewni z dalszych okolic. Dom uchodził za bezpieczne miejsce dla dziewcząt, które doświadczyły przemocy. To, że Autumn Lynn nigdy nie zaznała przemocy, nikogo nie obchodziło – ważne, że była świetną kandydatką na ofiarę agresji.

Sama obfitość dóbr, którymi zasypali nas przybrani rodzice, budziła we mnie surrealistyczne poczucie zdrady rodzonej matki i ojca. Hanny Brown brał mnie do kina, wspólnie z Autumn i panią Whyne odwiedziliśmy Wystawę Atlantycką, jeździliśmy na Krzywym Kole i na Ośmiornicy, jedliśmy kandyzowane jabłuszka i cukrową watę na patyku – a tymczasem mój ojciec w starych granatowych spodniach od garnituru i moja matka w ciężowej sukience kisili się w letnim skwarze pod czarnym lasem, za jedyną rozrywkę mając kumkanie żab.

Miałem wstręt do siebie z powodu kandyzowanego jabłuszka, ale nie mogłem go sobie odmówić. W domu u pana Browna znalazłem stary plecak wędkarski. Naładowałem w niego, ile mogłem, żeby wynieść do domu: proszku do pieczenia, soli, ketchupu, cukru, kawy, herbaty. Plecak schowałem w swoim pokoju. Któregoś dnia sprawdziłem skrytkę i stwierdziłem, że ktoś dołożył jeszcze torbę mąki. Wieczorem przy kolacji nie umiałem spojrzeć w oczy swoim opiekunom.

Pani Whyne dzieliła obowiązki w domu opieki z przyjaciółką, niejaką Dawn Fleager. Placówkę finansowało państwo. To, że małomiasteczkowa społeczność przymknęła oko na wzajemną relację obu pań, było osobliwym ukłonem kołtuństwa w stronę nonkonformizmu. Krótko mówiąc: Diedre Whyne miała wszelką władzę, a ja żadnej. Jej błędem – podobnie zresztą jak moim – była pewność, że władza dana jej została na zawsze. Nie przewidziała – ani ona, ani ja – że ci sami nonkonformiści, którzy dziś nienawidzą mojego ojca, mogą któregoś dnia, widząc nową koniunkturę, obrócić swoje armaty przeciwko niej.

Diedre chciała dopomóc mojej matce, wysyłając ją na treningi kształcenia

osobowości. Pomysł, że Diedre Whyne ma osobowość, a moja matka nie, wielokrotnie rozśmieszał mnie do rozpuku. Mimo to moja matka zgodziła się jeździć raz na tydzień do szkoły Bowie, aby pobierać tam nauki o prawidłowym żywieniu i higienie własnej i dzieci. Jestem przekonany, że wcale nie o to chodziło Diedre, ale mama odniosła z tych nauk pewną korzyść.

We wrześniu osiemdziesiątego czwartego roku wróciłem z ryb do domu Hanny'ego Browna. Była czwarta po południu, gdy wszedłem na ganek. W dużym pokoju zastałem dwóch mężczyzn i kobietę. Mężczyzn nie znałem – obaj byli w garniturach, uśmiechali się od ucha do ucha i wytrzeszczali oczy; w dodatku każdy miał na palcu dość kosztowny sygnet. Okazało się, że są to przedstawiciele Wydziału Służb Socjalnych, szefowie pani Whyne, którzy nadzorowali wszystkie sprawy w jej domu opieki.

Pani Whyne była z nimi. Zawsze uważałem, że ma specyficzną urodę, z powodu bardzo wydatnej szczęki. Na twarzach tego typu z latami coraz bardziej uwidaczniają się ślady urzędowego okrucieństwa, na ogół maskowane w naszej kulturze, ale powierzchownie, jak ślady grzechu na portrecie Doriana Graya. Pani Whyne uśmiechnęła się do mnie z urzędową czułością i kazała mi iść się pakować. Zszedłem z powrotem bez plecaka pełnego łupów, ale Hanny Brown skoczył na górę i przyniósł mi go. Gdy wychodziłem, w oczach pani Brown zakręciły się łzy.

Po drodze do samochodu pani Whyne wzięła mnie za rękę. Nic na to nie powiedziałem, ręki nie cofnąłem. Stałem się już po części niewolnikiem społeczeństwa. Z czasem miałem zdusić w sobie niewolnictwo – jak mówi Czechow – ale jeszcze nie teraz. Brownowie przyzwyczaili mnie do

ciastek, do życia społecznego, do okłamywania siebie, do wiary w to, że są mądrzejsi ode mnie, od Autumn i od naszego ojca, do przyjmowania uwag bez pytania. Łzę – o włączeniu się w życie społeczne marzyłem od dawna, tylko ojciec stał mi na drodze. Uczestnicząc w życiu społecznym, zdradziłem ojca. Autumn zresztą tak samo.

Matka stanęła na wysokości zadania. Chociaż miała trzydzieści trzy lata i była wymęczona ciążą, wypucowała i wyszorowała cały dom. Tata wyremontował dwa pokoje i przyjął pracę, którą mu znalazło biuro zatrudnienia pracę śmieciarza. Kupili nowe łóżeczko dla niemowlęcia. Przełknęli resztki dawnej dumy. Za to my z Autumn wracaliśmy teraz do domu.

Cztery czy pięć miesięcy później Diedre Whyne dostała pracę w innym urzędzie. Naszej sprawie poświęciła siły i energię całych czternastu lat. Teraz mogła spokojnie zwinąć swoją armię i wycofać się w góry. Przeczuwaliśmy, że więcej jej nie zobaczymy.

Percy, mój braciszek, o którym mówiłem Matce Boskiej, że niech sobie zdycha, jednak przyszedł na świat. Pewnego dnia wróciłem do domu i zobaczyłem niemowlę w łóżeczku, przykryte niebieską aksamitną kołderką. Na łysą główkę padł znieńacka snop słonecznych promieni. Mały miał zamknięte oczka i zaciśnięte piąstki.

Pobiegłem szukać Autumn. Siedziała pod sosnami za domem, na jedynym naszym leżaku, i paliła papierosa. Nagle zobaczyłem, jaka moja siostra jest piękna i – przynajmniej w oczach wielu ludzi – już potępiona na całe swoje życie.

## Rozdział 12

Przez ponad dwa lata mój tata zbierał śmieci dla Elliota Pearsona.

Wracając ze szkoły, widywałem go uczeponego pudła pięciotonowej ciężarówki albo wrzucającego śmieci do pojemnika. Działał metodycznie, jak artysta, w krawacie powiewającym nad ramieniem. Pracował w garniturze. Mówię to panu nie dlatego, że uważam za dziwne, aby człowiek pokroju mego ojca nosił garnitur do zbierania śmieci: ten garnitur był nie mniej zszargany i byle jaki niż śmieci, które ojciec zbierał, więc w pewnym sensie stanowił strój jak najbardziej stosowny.

Tata jeździł z jedną ręką uczeponą śmieciarki i jedną nogą wystawioną tuż nad chodnik, a wóz sunął wolno przez zasłonę drobnego śniegu. Śnieg ciągle padał. Naszą rzekę przez całą zimę udroźniały lodołamacze, więc do portu bez przeszkód docierały wielkie statki papierni z Europy i Stanów Zjednoczonych.

U nas jednak sytuacja się nie zmieniała. Ani na tacie, ani na nikim w biurze zatrudnienia nie zrobiło widocznie wrażenia to, co Isabel Young powiedziała mojej mamie: że Sydney ma prawdopodobnie iloraz inteligencji bliski stu siedemdziesięciu. Raju, gdybym ja z takim ilorazem zgłosił się na śmieciarza do Elliota Pearsona, pewnie miałbym kłopoty. Biłem się teraz codziennie i kradłem. Odkąd się biłem, nikt już nie napomykał przy mnie o moim ojcu. Wszyscy zresztą wiedzieli, że noszę nóż. Kiedy kradłem ze sklepu McVicera, koledzy odnosili się do mnie z szacunkiem i obawą. Kradłem pieluszki dla Percy'ego i nylony dla mamy. McVicer musiał o tym wiedzieć, bo po paru miesiącach zaproponował mi pracę przy sortowaniu spodni i koszul roboczych, dwa razy w tygodniu.

– Będiesz mógł kupić coś zniżkowo dla rodziny, może pieluszki albo na przykład pończochy...

Kupiłem jednak – i to z największą przyjemnością – szkła kontaktowe i perukę dla Autumn Lynn.

Któregoś dnia na małej łące osłoniętej naszym domem zauważyłem dwóch starszych chłopaków z moją siostrą. Autumn śmiała się i paliła skręta. Jeden z tych chłopaków ją pocałował, a drugi wsadził jej łapę między nogi.

Nie interweniowałem, bo właśnie od tych chłopaków dostałem niedawno pierwszą butelkę wina. I tak, w ramach powszechnej akceptacji, zaczęło kiełkować we mnie ziarno niewolnictwa. Mnie i Autumn uważano teraz za „swoich”. Koledzy „traktowali ulgowo” mojego ojca, więc o ile ja byłem skłonny ich traktować tak samo (co nie wydawało się wygórowanym żądaniem) – mogłem zaliczać się do paczki.

Przystałem na ten układ, za który całą winę ponosił mój ojciec. Raz usłyszałem uwagę, wypowiedzianą specjalnie tak, abym ją usłyszał: „On nie jest winien temu, co zrobił jego stary, jego stary to zboczeniec, a on jest w porządku”.

Był to dla mnie moment przełomowy: zrozumiałem, że ani ja, ani Autumn nie musimy więcej odpowiadać za to, co ludzie wygadują o naszym ojcu, że mogę pozbyć się ojca jak paprocha na nowej koszuli, którą mi kupił za ostatnią wypłatę. Zrobiło mi się wstyd, chciałem biec do ojca i błagać o przebaczenie, biec do matki i prosić o błogosławieństwo – ale widziałem, jak łatwo będzie mi się żyło, jeżeli będę trzymał z chłopakami. Dlatego Autumn leżała teraz na trawie ze spuszczonej majtkami.

Zrozumiałem. I powiedziałem Autumn, co myślę.



– Ja kocham tatę. Ale patrz, co tata z nami zrobił – tłumaczyłem. – Jesteśmy na dnie. A wcale nie musimy tam tkwić – ty i ja, Autumn, wybijemy się w górę. Teraz wszyscy mówią, że jesteś ładna – no bo jesteś, tylko chodzi o to, żebyś ty sama miała z tego korzyść, a nie oni.

Mówiąc to, nie umiałem spojrzeć jej w oczy.

Nakupowałem jej różnych rzeczy, żeby ładnie wyglądała, bo w głębi serca wstydzilem się mojej siostry, o czym ona dobrze wiedziała i dlatego gardziła swoim ciałem. Obsypałem ją prezentami właśnie w tych dniach. Kupiłem jej czarną perukę, a we wtorek zaciągnąłem do optyka na przymiarkę szkieł kontaktowych. Za jedno i za drugie zapłaciłem pieniędzmi zarobionymi w weekend u McVicera, a także uzyskanymi ze sprzedaży kun i norek. Znalazłem – i to sam – świetne miejsce do łapania norek, trochę dalej nad potokiem Arron.

W środę moja siostra wyglądała ładniej, niż się spodziewałem. Tego widocznie żądał od nas świat: żebyśmy zdradzili ojca, matkę, opuścili ich, porzucili na samotną śmierć.

## Rozdział 13

List przyszedł w lutym osiemdziesiątego szóstego. Przyniosłem go do domu z nadzieją, że może niosę dobrą wiadomość, coś w związku z całkowitym uwolnieniem ojca od zarzutów.

Zebraliśmy się wszyscy przy stole. Ja manifestowałem całkowitą obojętność na treść listu (choć serce mi waliło). W liście nie było jednak mowy o oczyszczeniu z zarzutów. Było to pismo urzędowe informujące, że moi rodzice winni są siedemnaście tysięcy dolarów

zaległych podatków plus odsetki za okres, który ojciec przepracował przy kopaniu studzien. Ojciec nigdy nie wypełniał formularzy podatkowych, gdyż przez całe życie zarabiał tak mało, że idea płacenia podatków w ogóle do niego nie dotarła, chociaż był taki czytany. Teraz groziła mu kara za uchylanie się od podatku dochodowego przez okres trzech do czterech lat. Operacji urzędowej – tak jak wszystkich operacji urzędowych w dzisiejszych czasach – dokonał komputer w Ottawie. Miejscowe biuro podatkowe nawet się do tego nie mieszało.

Ojciec rozpoczął więc serię przymusowych wyjazdów do urzędów w sprawie swojego podatku. Woził go Jay Beard. Urzędnik polecił ojcu napisać podanie do biura starszego poborcy, co też ojciec uczynił. Na odpowiedź czekał cztery tygodnie. Pismo, które wreszcie otrzymał, potwierdzało, że nasz dom oddano pod zarząd komornika, a ojciec ma do końca roku uiścić należność albo rozpocznie się urzędowe dochodzenie w jego sprawie. Co oznacza wzmożoną kontrolę, dostęp do rachunku bankowego ojca celem ustalenia jego wypłacalności, a także ewentualną współpracę z szeryfem Buglarem i innymi czynnikami, strzegącymi integralności systemu fiskalnego.

Ani matka, ani ja nie rozumieliśmy tego języka, ojciec zresztą też nie bardzo. Powiedział mi tylko, że nie ma rachunku w banku, więc co oni będą kontrolować? Wiedziałem, że dla ojca siedemnaście tysięcy to szokująca suma. Niejaka pani Hardwicke z miejscowego biura podatkowego powiedziała rodzicom, że gdyby to od niej zależało, zwolniłaby ich z płacenia.

– Myślałem, że to właśnie od pani zależy – powiedział ojciec.

– Nie, system jest skomputeryzowany – wyjaśniła. Upomnienie przyszło z

nowego programu, który został zainstalowany przez urząd. Komputer znalazł informację o pańskich zarobkach, naliczył odsetki i karę za zwłokę. Tylko starszy referent może to unieważnić.

– Czy możemy w takim razie liczyć na starszego referenta? – spytała matka.

– Nie. Mam tu państwa akta, właśnie mi je przysłano. Mogę tylko namawiać państwa do spłaty zadłużenia. Ale, jak już mówiłam, wszystko pozostaje w rękach starszego referenta – nie wiem, czy państwo rozumieją? Nasza starsza referentka jest nowa, a ma wiele zaległych spraw.

W marcu tata wrócił z kolejnej wizyty u pani Hardwicke i oznajmił nam, że chociaż poinformował urząd podatkowy, jak mało posiada, nakazem komornika objęty jest już nie tylko nasz dom, ale i parę akrów zagajnika, które do nas należą – czyli jeśli ojciec zetnie starsze drzewa, tak jak planował, wszystko może nam zostać zabrane.

– Czy będziemy musieli sprzedać dom? – spytała matka (tak jakby mógł się znaleźć ktoś chętny do kupna naszego domu).

– Nie, tego co mam, nie sprzedam. Ale jak zetnę drzewa i sprzedam, to cały zysk oni mi zabiorą.

Siedzieliśmy wokół stołu. Po raz pierwszy czułem, że oczy wszystkich zwrócone są na mnie, jakby ode mnie oczekiwali odpowiedzi. Więc dałem im odpowiedź.

– Wynieśmy wszystko z domu, weźmy piłę, porznijmy ściany, poćcinajmy wszystkie drzewa, spalmy je, i wyprowadźmy się stąd – gdziekolwiek, do innego kraju.

Autumn spojrzała na mnie i wyszczerzyła się od ucha do ucha.

Ojciec wytrzeszczył oczy. Zaraz jednak uśmiechnął się do matki. Miał inny scenariusz. Fantastyczny, zaraz panu opowiem.

Fantastyczny scenariusz mojego ojca zakładał, że nie walczymy z nikim, nie rozwalamy domu, tylko stosujemy się do wymagań urzędu podatkowego.

– Wyjadę na północ prowincji, zakładają tam linię wysokiego napięcia. Zatrudnię się i zarobię na pokrycie długu mieszkałem już w obozach robotniczych, mogę mieszkać jeszcze raz. Płacą dobrze.

Przypuszczał, że potrwa to ze dwa do trzech lat, ale uważał się za psychicznie i fizycznie zdolnego do takiego wyczynu. Połowę pensji – objaśniał mi dalej – będzie przysyłał nam, trochę zatrzyma sobie, a resztę przekaże do urzędu podatkowego.

– Zawsze lubiłem spartańskie życie. W młodości nie miałem prawie nic – a przecież niczego mi nie brakowało. Łowiłem pstrągi, hodowałem ze dwie kury. A mój ojciec, kiedy nie miał stałej pracy, chodził na polowania. Co zaoszczędziłem, to wydawałem na książki. Eurypidesa czytałem, mając siedemnaście lat.

– Kto to jest Eurypides? – zaciekała się Autumn, która czytała wszystko, co jej wpadło w ręce, i sama chciała być pisarką.

– Amerykanin – wyjaśniła moja matka.

Ojciec rzucił mi czujne spojrzenie. Moja matka w poczciwości swojej uważała, że każda ważna osoba jest Amerykaninem.

„Oni sami też tak uważają – skomentował raz ojciec – więc niech im będzie”.

– Spłacę wszystko co do centa – powiedział tym razem.

Po czym dodał, że teraz ja przejmę obowiązki głowy domu. I tak miałem

wrażenie, że to się już stało.

Plan ojca był absurdalny – co mu oświadczyłem. Zarazem jednak czułem, że jego nieobecność da mi większą swobodę i wszystkim nam oszczędzi nowych kłopotów.

– To wszystko wina Mathew Pita! – burknąłem wściekły. – Zniszczę go i Conniego Devlina też, choćbym miał na to czekać całe życie!

Autumn spojrzała na mnie i z zażenowaniem przymknęła oczy, bo nie wierzyła w moje pogrożki. Poza tym uważała, że takim gadaniem zawsze przynoszę jej pecha.

Ojciec tylko westchnął.

– Co do jednego masz rację – przyznał. – Dziwnie się ułożyło moje życie. Dziwne, że takie siły złego sprzysięgły się przeciwko mnie. Dziwne, że poza Isabel Young i Jayem Beardem nikt się nigdy za nami nie ujął. Ale gdybyś przeżył to, co ja przeżyłem w dzieciństwie, rozumiałbyś, dlaczego postępuję i mówię tak, a nie inaczej.

Był to dla mnie pierwszy sygnał, że logika ojca ma jakieś podstawy.

Wtedy jednak uznałem, że ojciec wywleka własne dzieciństwo, żeby wymigać się od odpowiedzialności za nasze dzieciństwo. Ale chociaż już wcześniej doszedłem do wniosku, że dla mnie i dla Autumn najbezpieczniejsza jest obojętność wobec ojca, nadal miałem ochotę zabić kogoś w odwecie za jego krzywdę. Powiedziałem ojcu, że nie ma prawa wymieniać głośno imienia Jaya Bearda, bo Jay Beard jest odważny i nie ustępuje z pola walki. Dodałem, że zimą Jay Beard wielokrotnie czuwał po kryjomu nad naszym domem.

– Wiem o tym, synu.

– W takim razie powinieneś się wstydzić! – wrzasnąłem.

Nazajutrz po południu poszedłem do pana McVicera. Siedział w kantorku na zapleczu domu. Na biurku miał dwa telefony. To zrobiło na mnie największe wrażenie. Za jego plecami wisiała mapa topograficzna naszych okolic – potok Arron, nasze działki leśne, pola pana McVicera, młyn pana McVicera, i gospodarstwa wszystkich pracujących u niego rodzin.

Stałem przed nim w robociarskich butach, obszarganym palcie i czapce z dziurą w denku.

– Chciałbym prosić o pożyczkę – powiedziałem. Nogi mi drżały.

McVicer zrobił wielkie oczy. Nie odezwał się. W szklanej gablocie po jego lewej ręce stały ze cztery strzelby, może pięć. Po prawej wisiało zdjęcie pana McVicera w kanoe, łowiącego na muszkę w rozwidleniu potoku Arron – miejscu, które zgubiło naszą rodzinę. McVicer patrzył na mnie tak uporczywie, że z całych sił musiałem powstrzymać chęć odwrócenia głowy.

– Chciałbym prosić o pożyczkę – powtórzyłem.

– Słyszałem – wycedził przez zęby, przygryzając cybuch fajki. Zadzwoił telefon, ale McVicer nie odebrał. Wolał patrzeć na mnie. – Ile ci trzeba, ciekaw jestem? Płacę ci dwadzieścia pięć za weekend, sobie jeszcze nic za to nie kupiłeś, obsprawiłeś tylko Autumn. Więc ciekaw jestem, co chcesz kupić. Strzelbę? Wędkę? I ile ci trzeba?

– Siedemnaście tysięcy dolarów.

Telefon zadzwonił powtórnie. Tym razem – nie spuszczać ze mnie oka – McVicer odebrał. Słuchał chwilę, po czym odezwał się, nie podnosząc głosu:

– A gównu mnie to obchodzi, jakim cudem doprowadzicie do otwarcia

drogi. Pług stoi, Abby, i, kurwa mać, droga ma być jutro otwarta, najpóźniej do wieczora. Ja tam mam sprzęt.

Rzucił słuchawkę. I przypomniał sobie o mnie.

– To kupa forsy – orzekł.

– Tak – powiedziałem.

– Jak zamierzasz mi ją zwrócić?

– Odpracuję.

– Gdzie?

Wstrzymałem oddech, po czym oświadczyłem nagle:

– Mogę otworzyć dla pana tę drogę, zobaczy pan.

Uśmiechnął się po namyśle.

– Oczywiście, nie wątpię... za jakieś dziesięć lat. Ale nie dzisiaj. Powiem ci, co dla ciebie zrobię: pomogę ci skończyć średnią szkołę, a potem zgłosisz się do mnie i nie będziesz się musiał więcej martwić o zatrudnienie. Ja nie jestem profesor Silk ani nikt z jego bandy, nie jestem z tych, co innych pouczają, a sami nic nie wiedzą – mnie tam wiedza książkowa nie imponuje, mnie imponuje mądrość. Pokaż, że jesteś mądry, że umiesz skończyć szkołę, że umiesz być czymś więcej niż twój tata – przeciw któremu osobiście nigdy nic nie miałem – a ja ci w pierwszym roku pracy dam trzydzieści tysięcy dolarów. Tyle dostaniesz, jak skończysz osiemnaście lat. A twoją siostrę wyprawię na uniwersytet.

Wytrzeszczyłem na niego oczy. Zatkaną mnie. Na mapie nad jego głową dostrzegłem gęsty zagajnik, w którym kłusowałem na norki, zaznaczony czerwonym kółkiem, z moim imieniem i liczbą piętnaście. Dokładnie tyle norek złapałem od początku roku. McVicer wiedział wszystko!

– Więcej zrobić nie mogę – powiedział dobrotliwie. – Więcej nikt dla was

nigdy nie zrobi.

## Rozdział 14

Następnego dnia poszedłem do szkoły z ambicją ukończenia jej w chwale, i dałem w pysk nauczycielowi, panu Neile'owi z Chatham, który właśnie zawiesił Cheryl Votuer w obowiązkach ucznia. Cheryl przyszła do mnie po pomoc. Nikt inny by się na to nie zdobył. A mnie sumienie nie pozwoliło postąpić inaczej. Nauczyciel, któremu mój cios rozkwasił gębę, zawlókł mnie pod drzwi gabinetu dyrektora. Widziałem krew na jego wardze. Było mi szczerze wstyd. Gdy jednak dyrektor jako źródło problemu wymienił mojego ojca, oświadczyłem, że więcej się w szkole nie pokażę.

Wieczorem ojciec usiłował przemówić mi do rozumu, ale nie chciałem słuchać.

– Przynajmniej nie jestem śmierdzącym tchórzem, przynajmniej walczę, a ty? Wszyscy nadal są pewni, że to ty zrobiłeś.

Łzy stanęły mi w oczach. Percy to widział.

– Myślę, że Trentonowi śmierć była pisana – powiedział ojciec.

– Chryste Panie, a za co?

– Aby zapoczątkować moją wielką próbę i zakończyć ją

błogosławieństwem. Mnie to tylko wyszło na dobre – nie chcę więcej korzystać na śmierci niewinnego dziecka. Ale życiem ludzkim rządzi skomplikowany splot czynników – tak widocznie musiało być. Zostałem oczyszczony w ogniu czułem, że tak kiedyś będzie, od tamtej chwili na dachu kościoła. Ja wiem, Lyle, ile nam się należy i ile zostało spłacone: należy się bardzo wiele, a spłacone zostało bardzo mało. Tak jest o wiele



lepiej niż odwrotnie. Lepiej, żeby tobie należało się wiele, niż żebyś sam był wiele winien.

Pierwszy raz w życiu zapragnąłem, żeby ojciec wyniósł się z domu. Wiał wiatr od zatoki, temperatura spadła. Autumn poszła do szkoły na próbę teatru. Moment był odpowiedni do ogłoszenia mojego stanowiska.

– Weź to – powiedziałem do ojca, pokazując mu nóż myśliwski, nabyty za pieniądze od Rudy’ego Bellangera; nóż, który od dwóch lat ukrywałem pod łóżkiem albo pod swetrem. – I broń się sam, zamiast zmuszać do tego Jaya Bearda.

– Nie! – zaśmiał się ojciec.

Nie mogłem znieść, że śmieje się ze mnie, ale po chwili uświadomiłem sobie, że ojciec śmieje się nie ze mnie, lecz z siebie samego, z potwornego zawodu, który mi sprawił.

– Ty na serio uważasz, że liczy się prawda? – spytałem. – Przecież oni nie wiedzą o tobie nic. Ty ich w ogóle nie obchodzisz. Oni tylko chcą cię zabić. – Trząsałem się cały. – Pójdiesz zakładać linię wysokiego napięcia, to tam też się dowiedzą, kim jesteś, i znowu nikt ci ręki nie poda.

Wpakujesz się w kłopoty i zginiesz! Jezu Chryste!

– Kiedyś trzeba umrzeć tak czy owak – uśmiechnął się ojciec. – Oni też poumierają. Ja nic nie mogę zrobić. Nie mogę nikogo zmienić. Co z tego, że pójde do McVicera i powiem mu: „Panie McVicer, pan niemoralnie postąpił z moim ojcem, bo to on w trzydziestym ósmym wywalczył tę ziemię dla pana, pan próbował uchylić się od płacenia za usuwanie skutków pożaru nad rzeką Oyster, pan nie wywiązał się z obowiązków wobec mojej rodziny i sabotował badania czystości środowiska, pan wynajął Geralda Dove’a, żeby pana osłaniał, a nie mówił panu prawdę,

Elly nigdy pana nie okradła, a ja ani nie zrobiłem krzywdy dziecku, ani nie wysadziłem mostu, przy którym pracowałem z dumą”. Co z tego, że ja mu to powiem? Ja wiem, że to wszystko prawda, ale innych nie mogę zmusić, żeby mi uwierzyli.

– Od śmierci Trentona ty zacząłeś spadać w dół, a Mathew i Cynthia idą w górę – powiedziałem. – Oni rosną w siłę, a ty słabiesz. Mat trzyma z Sheppardami, którzy są nie lepsi od niego.

– A co mnie to obchodzi? – spytał Sydney. – To może obchodzić tylko Mathew Pita. On przyjął kurs całkiem inny od mojego. Czego ty chcesz ode mnie, synu? Mam przystać do nich dla własnego bezpieczeństwa, czy może o coś innego chodzi ci z tym nożem? Jeżeli zniszczą nas, to zniszczą samych siebie – nie mogą nawet dmuchnąć w naszą stronę, żeby sami na sobie tego nie poczuli. Jeśli czytałeś Fałszywy kupon Tołstoja, to wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– Głupi jesteś! – wrzasnąłem.

Ojciec pokiwał głową jak skazaniec, któremu kazano stanąć na szali wagi dla ustalenia ciężaru worków z piaskiem, mających mu nazajutrz złamać kark. Widocznie to, że nazwałem go głupcem, bardzo go zabolalo. Miał prawo nie spodziewać się tego po mnie.

Wygarnąłem mu, że jest podły dla matki, że nic dla nas nie zrobił, że ludzie słusznie go podejrzewają. Kto wie, czy nie spał z Cynthią i nie bił mojej matki, wszystkiego po nim można oczekiwać! Krzyczałem, że ja lepiej niż on zadbam o dom. Niech się wynosi na północ i tam sobie zakłada swoją elektryczność, tak jak zapowiadał.

– A jedź sobie, czemu nie? Dopóki tu siedzisz, tylko przez ciebie kłopoty! Wyjedziesz, będzie spokój, ja się z każdym dogadam. Te książki – co ci za

pożytek z tych książek? Żaden! – wrzeszczałem. – O kant dupy potłuc! A jak nas jeszcze kiedyś ktoś tknie, to patrz, co ja mam! – Błysnąłem nożem. Ojciec chciał mi go wyrwać, ja szarpnąłem, i krew trysnęła mu z dłoni. – Ty nic nie rozumiesz! – rozplakałem się. – Mama umrze, ja to wiem. Autumn jest całkiem sama, próbuje być dzielna, ale bez przerwy się boi. Już ją macają chłopaki, bo ona myśli, że jest za brzydka, żeby ją ktoś zaprosił na normalną randkę. Wszyscy się z niej śmieją. Ty myślisz, że dlaczego w gazetach drukowali jej zdjęcie? Żeby pokazać, że mamy skrzywienie genetyczne, żeby każdy się mógł z nas wyśmiewać, i Autumn o tym wie, ona wie! A przecież to jest wina McVicera, że urodziła się zezowatą albinoską!

Ojciec kręcił głową, jakby mnie błagał, żebym zamilkł, a ja owijałem mu ścierką rękę i wrzeszczałem dalej. Nie mogłem przestać. Czułem, że muszę wygarnąć całą prawdę.

– Bo jest zasraną albinoską! Dlatego wydrukowali jej zdjęcie! A ja ją muszę wszędzie za sobą ciągnąć i bronić, żeby jej nikt nie wsadzał łap w majtki! Czy ty to rozumiesz?

Ojciec dalej kręcił głową, jakby zawstydzony, przez ścierkę na jego dłoni sączyła się krew, oczy błyszczały gorączkowo. Ale nie patrzył na mnie – patrzył poza mnie. Odwróciłem się i ujrzałem Autumn. Myślałem, że jest w szkole na próbie teatru, a ona to wszystko słyszała. Moja kochana Autumn! Moja siostra, za którą gotów byłem oddać życie!

Chciała się uśmiechnąć, ale jej buzia skrzywiła się tak żałośnie, jak jeszcze nigdy w życiu. Autumn odwróciła się od nas i poszła do swojego pokoju. Widziałem, jak dygocze konwulsyjnie pod teatralnym kostiumem, jakby rozpaczliwie usiłowała odzyskać utraconą godność.

Spojrzeliśmy z ojcem na mamę: płakała. Powtarzała w kółko, żebyśmy przestali się kłócić, bo znowu nas zamkną. Płakała chyba z powodu tego, co powiedziałem o Autumn. Jej twarz też była maską rozpacz. Ale ojciec, który widział, jak Autumn weszła, nie powiedział tego mamie – i ze względu na samą mamę, i na Autumn, jakby nie chciał pomnażać jej cierpień. Nawet on, ojciec, nie osądzał losu własnego dziecka. A świat, ten cholerny świat, deptał nas, jak chciał!

– Spytaj go – powiedziałem do matki. – Spytaj go, co robił na moście, może to wszystko prawda, może ludzie mają rację. Może to, że ja wariuję, a Autumn się puszcza, wzięło się stąd, że on ma nie po kolei w głowie. Wyszedłem z domu. Przez całą prawie noc pętałem się po okolicy, a im dłużej tak chodziłem, tym było mi smutniej. Nie umiałem się pozbyć obrazu uśmiechniętej Autumn i zapłakanej matki. Jakie to ma znaczenie, co zrobiła Autumn? Kimże ja jestem, żeby ją osądzać, skoro nie osądza jej nawet mój ojciec, stale osaczony problemami, chociaż jest najlepszym człowiekiem na świecie?

Gdy świt czerwieniał nad blaszanym dachem naszej chaty, a w powietrzu zapachniało ciężkim dymem, wróciłem do domu. Autumn spała w swoim pokoiku, w kostiumie teatralnym. Matka też spała u siebie. Na stole leżała kartka:

Kochany Lyle!

Oczywiście masz racje. Przez całe życie byłem ciężarem dla ludzi, którzy lepiej ode mnie rozumieją świat. Byłem ciężarem dla swojego ojca, a teraz jestem ciężarem dla Ciebie i malej Autumn. Myślę, że znajdę gdzieś pracę – popracuję z dala od domu, aż spłacą cały dług. Może wtedy wszystko

ułoży się lepiej. Opiekuj się Autumn i Percym. Bądź uprzejmy dla każdego, kto odwiedzi nasz dom. Całuję. Tata

Ojciec wyszedł z domu tuż przed świtem, dotarł na Drogę Promową, a tam złapał okazję – kierowcą ciężarówki był Bliss Hanrahan, ten sam, którego swego czasu pobił w knajpie Mat Pit. Po raz pierwszy Bliss zwierzył się memu ojcu z tego, co go gryzło. Powiedział mu, że jedyną osobą, która mogła pogasić reflektory tamtej nocy, gdy zginął Trenton, był Connie Devlin. Świadomość tego dręczyła Blissa Hanrahana od dwóch lat. Ojciec się nie odezwał.

Wtedy Bliss Hanrahan opowiedział mu o drugiej rzeczy: o listach wysyłanych do moich rodziców. Zajmowała się tym dla zgrywu grupka dowcipnisiów z knajpy U Polly, przekonanych – jak podkreślił Bliss Hanrahan – że mój ojciec jest winny.

– Oni nic złego nie chcieli – zaręczał Bliss. – Końskie żarty, sam wiesz, jak to u nas jest.

Tylko że nagle pojawiły się wątpliwości co do winy mojego ojca, więc może należało potraktować ten żart tak, jak na to zasługiwał.

Bliss Hanrahan był przeciętniakiem. Zerkał co chwila na mojego ojca, jakby dzięki niemu usiłował coś zrozumieć. Poza tym chciał zachować ostrożność i nie okazać ojcu nadmiernego współczucia. Faktem było, że znał Conniego i Mata, a także wiedział, kto pisał wiadome listy. Ponieważ nie ujawnił tych informacji w stosownej chwili, jego wątpliwości co do winy ojca były teraz tym większe i sumienie nie dawało mu spokoju.

Ojciec wysiadł w późnych godzinach popołudniowych na północnym skraju Campbellton, przy zbiegu kilku leśnych dróg, i szedł dalej aż do

zmierzchu. Trafił wreszcie na obozowisko drwali, znalazł brygadzystę i został zatrudniony od następnego dnia.

Po jakimś czasie Hanrahan, niby to mimochodem, zdradził swoje osobliwe sekrety oficerowi policji federalnej. Funkcjonariusz nazywał się John Delano. Z ciekawością śledził z daleka rozwój sprawy Hendersona, gdyż coś mu się w tej sprawie nie podobało. Wieczorem John Delano wykonał pewien telefon, inicjując w ten sposób bieg zdarzeń, które miały odmienić nasze życie.

Bywały chwile po odejściu ojca, że czekaliśmy na jego powrót – zwłaszcza gdy ścieżka do domu zamarzała w kamień i zbliżało się Boże Narodzenie. Mnie zawsze wtedy przypominał się błysk słońca w jego okularach i głos ojca, który przynosił mnie w krainę łagodnego smutku – smutku jak stara, szkarłatna winorośl, smutku płynącego z wiedzy i mądrości. Mogę powiedzieć, że tylko w tym sensie trochę go znałem. Nie sądzę, aby w szczęśliwszych czasach, gdy przy zbieraniu jagód opowiadał nam o spokojnym życiu, o mrzonkach, które snuli razem z matką – nie sądzę, aby wtedy myślał (na jakiej podstawie?), że przyjdzie mu żyć kiedyś takim życiem, balansując jak linoskoczek na wietrze. Czyż jednak wszyscy tak właśnie nie żyjemy? Zobaczyłem na wierzchu Fałszywy kupon Tołstoja, który ojciec wyjął mi do czytania. Odstawiłem go z powrotem na półkę, nawet nie otwierając. Przysiągłem sobie, że nigdy więcej nie przeczytam żadnej książki.

Przez moment, przez ułamek porannej sekundy, poczułem się wolny od pogoni za własnymi marzeniami. A były one tak inne od marzeń mojego ojca, że omal się nie rozplakałem.

## Rozdział 15

Kiedy ojciec poszedł z domu, Percy miał niespełna trzy latka. Mam przy sobie zdjęcie Percy'ego z trzecich urodzin: krzesło taty stoi puste, więc musiało go wtedy nie być.

Przez jakiś czas próbowałem zastępować Percy'emu ojca. Woziłem go w wózku na spacer, zbieraliśmy żyjątka na naszej ścieżce. Nasza ścieżka zarosła wysoką, sztywną trawą, ocieniały ją wielkie drzewa szumiące nad naszymi głowami w letnich podmuchach.

Percy miał już cztery słoiki pełne świerszczy i pasikoników, gąsienic i ślimaków. Czekał na mnie, kiedy wracałem z ryb, ze słoikiem w ręce.

Wybiegał przez otwarte drzwi i rzucał mi się na szyję.

– Nie wolno ci się nigdzie samemu oddalać, Percy ostrzegłem go któregoś dnia. – Bo możesz wpaść do potoku.

Wyciągałem wózek na podwórko, a Percy upominał się o swoją szczęśliwą muchę. Szukaliśmy jej za każdym razem po całym domu. Czerwonej muchy pod kołnierzyk, zapinanej na zatrzask. Wreszcie, z muchą pod szyją, ze słoikiem w ręce, w czerwonych kaloszach, Percy zasiadał w wózku.

Matka omal nie straciła życia przy jego narodzinach. Dostała krwotoku, a łożysko nie chciało się odkleić. Trzy miesiące później, co do dnia, urodziła się córka Cynthii Pit, Teresa May. Z nią również była masa kłopotów, miała słabe serduszko, Mathew i Cynthia stale jeździli z nią na badania do szpitala w Moncton. Mała była zawsze nienagannie ubrana, z perłowymi kolczykami w uszach. Wszyscy właściwie, z wyjątkiem Gladys, wiedzieli,

że Teresa jest dzieckiem Rudy'ego Bellangera. A może i Gladys się o tym dowiedziała, zanim mała skończyła trzy lata.

Percy i Teresa, mimo waśni dzielących ich rodziny, byli od początku jak brat i siostra. Ja i Autumn też nie mogliśmy nie pokochać małej.

Stale się martwiłem, żeby Percy nie powędrował gdzieś sam. Któregoś dnia, kiedy byłem już prawie pewien, że się utopił, znalazłem go na końcu rybackiej ścieżki: siedział na pieńku z założonymi rękami i gapił się do góry na pączkujące liście. Buzię miał lekko rozchyloną, jak zawsze, gdy coś do siebie mówił albo śpiewał.

Raz, gdy go wiozłem na spacer w wózku, spytał mnie zniechęcony, czy odejdę z domu.

– No coś ty, Percy! – Aż zatrzymałem wózek.

Percy popatrzył na mnie, osłaniając rączką oczy przed słońcem. Minę miał spokojną. Ale widziałem, że moja odpowiedź go nie przekonała.

– Mam przeczucie, o tu, w środku, że niedługo sobie pójdziesz – wyszeptał.

Pociągnąłem wózek dalej.

– Nie, Percy, to nieprawda. Tatuś wyjechał do pracy, ale to nic strasznego, kiedyś wróci. Nie trzeba się tym martwić.

Wózek zahamował nagle z mocnym szarpnięciem: jedno z tylnych kółek się obluzowało, więc nachyliłem się i wbiłem je z powrotem na miejsce kamieniem.

– Ja też kiedyś pójde z domu – westchnął Percy. – Tylko nie mów mamusi, bo się zasmuci.

Potarł oczka, bo raziło go słońce. Popołudniowe cienie wydłużały się. Na piaszczystym, nagrzanym kawałku ścieżki między dwiema roslymi



sosnami, w plamie światła filtrowanego przez gałęzie, stała Autumn z plastikowym tornistrem. Czekwała na nas.

– Hej! – zawołał Percy.

– Hej, Duży Percy! – odkrzyknęła Autumn.

Pomachała nam, wyszła z plamy światła i stała się widzialną cząstką naszego świata. Tego dnia po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że moja siostra jest albo będzie piękna. Nigdy tego nie podejrzewałem. Wszyscy razem poszliśmy do domu.

Mieliśmy już wtedy wygodny dom, z małą cieplarnią za kuchnią, w której zawsze było jak w lecie, nawet jeśli pod drzewami na podwórku leżała gruba warstwa śniegu. Cieplarnię wybudował dla mamy Jay Beard, tej wiosny, kiedy tata odszedł z domu. A z okienka na piętrze widać było zatokę i ujście potoku Arron. Ściany wyłożone zostały boazerią, zasłony w kratki mama sama uszyła w piwnicy. Mieliśmy nową kuchnię na węgiel drzewny, mały piecyk olejowy dostatecznie ogrzewał cały dom.

A co najważniejsze, nikt się już nas nie czepiał, bo tata był daleko od domu.

Tak jak tata, chodziłem łowić ryby w potoku Arron. W miarę jak poznawałem ten rozległy obszar moczarów i lasów, coraz częściej zabierałem z sobą Percy'ego i Autumn. Ale Autumn bała się lasu, bo szybko traciła orientację – musiałem jej więc obiecać, że nie będę się oddalał, gdy tylko zejdziemy z głównej drogi.

Pewnego dnia mama – dziwnym tonem, jakiego jeszcze u niej nie słyszałem, jakby pochodził nie od niej, ale od wiatru – zapowiedziała mi:

– Lyle, musisz się dobrze opiekować braciszkiem... i siostrą...

zrozumiałeś?

– Jasne, mamó.

– Ojca nie ma, jesteście sami, rozumiesz?

– Tak, mamó.

– To dobrze – uśmiechnęła się, przyglądała sukienkę, weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi. Jej głos brzmiał w moich uszach jak szum drzew nad głową albo sunących górą chmur – przez moment wydało mi się, że mamy już nie ma.

Był czerwiec. W dołach leżały stare liście, słońce prażyło, na ścieżkach pękało rozeschnięte błoto. Nocą niebo wyglądało jak klockowa układanka wieczności: gdzie spojrzeć wszędzie gwiazdy. Na szosie ekipa McVicera wymieniała fragment nawierzchni. Codziennie wiozłem tam Percy'ego w wózku, żeby sobie popatrzył, jak pracują walce drogowe, i mógł wyglądać powrotu ojca. (Ja wiedziałem, że tata nie wróci, ale Percy nigdy do końca w to nie uwierzył.) Po jakimś czasie zawsze wzdychał i mówił:

– No to chyba już dzisiaj nie przyjedzie.

– Chyba dzisiaj nie.

Pod koniec czerwca graliśmy z Percym za domem w szklane kulki do dołka. Było to kulkowe miejsce Percy'ego, koło niedużej łączki zwanej przez nas wyboiskiem. Gdy wychodziliśmy z domu, Percy przesiadywał tam i wyglądał naszego powrotu. Albo razem ze starym psem Trentona, Scupperem Pitem, leżał na trawie wśród mleczy i pszczoł i gapił się w niebo.

Skończyliśmy grę, wziąłem wędkę i poszliśmy spacerem do pola, a potem szosą do potoku.

Percy niósł swoje kulki i śniadaniówkę. Po drodze na ścieżce spotkaliśmy

Autumn, która rzuciła książki i przyłączyła się do nas. Szedłem coraz dalej wzdłuż potoku, przez wiatrołomy i kolczaste krzaki, a oni za mną. Gdy dotarliśmy na miejsce, gdzie chciałem łowić ryby, zrobiłem dla nich mały szałasik.

– Którędy się wraca? – zagadnęła Autumn.

– Górą, przez bagno – odparłem.

– Tamtędy? – spytała Autumn. Spojrzałem w kierunku, który wskazywała palcem.

– Nie, tam łatwo się zgubić. Tędy. – Pokazałem w prawo.

Autumn – czy dlatego, że zrozumiała, czy wprost przeciwnie – nie odezwała się.

Percy trzymał ją za rękę, a ona, cała w rzepach, oganiała się od much.

Percy usiadł i rozpakował kanapkę. Dopóki byli razem i widzieli mnie, nie bali się.

Ale sam nie wiem, czy naszła mnie głupia myśl, że oni mnie wykorzystują i mam tego dość, czy byłem o coś zły na mamę – w każdym razie tego dnia oddaliłem się od Percy'ego i Autumn i przeszedłem na drugi brzeg ryczącego potoku.

Byłem na drugim brzegu. Zostawiłem ich.

Trochę dalej przy tym odcinku potoku, za żwirową groblą, znajdował się staw, nagrany teraz plamą słońca. Wiedziałem, że drzemią tam potężne pstrągi. Widziałem je już rok wcześniej o tej samej porze, wracając kiedyś o zmierzchu do domu.

Ziemia wciąż była wilgotna. Po gałęziach drzew przemykały ptaki, spłoszone moim nadejściem. Straciłem poczucie czasu. Czułem, że dopuściłem się haniebnego czynu, zostawiając tak brata i siostrę, ale był to

typowy akt młodości, bezmyślny i jakby rozmyślny zarazem.

Myśli moje biegły zapewne takim mniej więcej torem: „No i co wielkiego, jak ich na chwilę zostawię? Najedzą się trochę strachu – dobrze im to zrobi. Ja stale żyję w strachu, niech i oni spróbują. Życie jest twarde, a człowiek rodzi się bez ochrony”.

Czułem się w związku z tym nie jak ich brat, lecz raczej jak ich pan. Nie mogli o tym wiedzieć. Byłem przecież ich starszym bratem, kochałem ich, a jednak w taką właśnie wdałem się teraz grę. Oni nie wiedzieli, że to tylko moja gra w sprawowanie władzy moralnej i sądu nad nimi.

Dzień był upalny, ale woda chłodna; słońce igrało po ożywym nurcie na północnej stronie żwirowej grobli. Z drugiej strony nurt odgradzała stara kłoda – to tutaj, pod nią gromadziły się tłuste pstrągi. Pstrągi mojej młodości. Pstrągi mojej młodości, których już nie będzie.

Nie miałem wysokich gumiaków. Uważałem wtedy, że noszą je wyłącznie bogaci Amerykanie – a Amerykanami nazywałem nawet bogatych, modnych Kanadyjczyków.

Wlałem do wody jak stałem, zarzuciłem wędkę ze spławikiem i zastygłem w oczekiwaniu. Kiepsko się ustawiłem do wyciągania ryby: wyglądało na to, że będę z nią musiał jeszcze raz przekroczyć strumień i holować zdobycz na łachę piasku. Kiedy o tym myślałem, poczułem szarpnięcie – później, gdy byłem starszy, nauczyłem się bezbłędnie rozróżniać szarpnięcie pstrąga od innej ryby, na przykład łososia.

Szarpnięcie pstrąga, nawet wściekłego głodnego, jest mniej zdecydowane.

Tym razem był to rzeczywiście wielki pstrąg. Nie morski, tylko duży, brązowy; kotłował się w wodzie, zatapiając co chwila mój spławik, a ja, nie posiadając się z emocji, ciągnąłem i ciągnąłem. I nagle – to chyba

najgorsze z możliwych uczuć – linka zwiotczała. Jakby mi ktoś sprzątnął wypłatę sprzed nosa.

Mimo to w tym momencie poczułem się wędkarzem.

Nie martwiła mnie zbytnio utrata ryby. Jest coś dziwnego w chwytaniu pojedynczego pstrąga. To dość skomplikowane – nie chodzi tylko o to, że przez jedną rybę człowiek wygląda jak obraz nędzy i rozpaczy, ubłocony po kolana, w mokrych portkach. Ja czułem zarazem, że oto spłacam konieczny dług terminatora – terminatora w życiu, którego nikt mnie nigdy nie uczył.

Reszta dnia zeszła mi na reperowaniu wędki, mocowaniu spławika i poprawianiu linki. W końcu zarzuciłem haczyk na płyciznę nurtu w pobliżu kłody. Ale nic więcej się nie stało. Nie zaszczyciła mnie żadna inna ryba. Tymczasem zapadł zmierzch, a ja tkwiłem na tym odludziu, na zwalonej kłodzie – nie wiem, kiedy przeciąłem strumień.

Nagle oprzytomniałem – dzieci! Zostawiłem je na wiele godzin.

Zawiodłem matkę.

Puściłem się z powrotem biegiem przez ciemny las. Gdybym odgarnął włosy, zobaczyłby pan resztki blizny. Było ciemno, prawie nic nie widziałem, a przeszkadzała mi wędka i pudełko z przynętą. Poza tym w głębi duszy już bałem się niedźwiedzi. Wcześniej widziałem dwa, a teraz było ciemno.

Noc zachowała między świerkami resztki przytulnego ciepła. Czułem do siebie wstręt o to, że rano, ulegając odruchowi, bez wiedzy brata i siostry skazałem ich na samotność, bo chciałem, żeby trochę się pobali. O to mdlące poczucie władzy byłem teraz na sobie najbardziej wściekły. Takie mdlące poczucie władzy godne było ludzi pokroju Mathew Pita. A teraz i

ja je poznałem. Zaczynałem rozumieć, z czym przez całe życie walczył mój ojciec. Nie z brakiem władzy, tylko właśnie z tym, że miał ją w sobie – jak cały rodzaj ludzki. Ale on ją zwalczał!

Z lewej strony usłyszałem klaśnięcie bobrowego ogona. Panowała martwa cisza – aż raptem tuż przede mną, niemal na wyciągnięcie ręki, wyrósł olbrzymi kształt, sylwetka wielkiego zwierza.

Zboczyłem do potoku – nie mogłem chyba znaleźć gorszego miejsca – i nagle stanąłem po pas w wodzie, o jard najwyżej od łosia. Zacząłem uciekać, straciłem równowagę i wpadłem z głową pod wodę. Byłem pewien (bo potok Arron, znany z ukrytych prądów, ma sławę zabójczego), że utonę i już nigdy nie zobaczę rodziców ani rodzeństwa.

Łoś, niewzruszony moją głupotą, ominął mnie starannie, wylazł na groble i zniknął w lesie po drugiej stronie. Drzewa lśniły ciepłym poblaskiem późnowiosennej nocy.

Dotarłem do naszego szałasiku. Ale dzieci nie było. Tylko cisza i pulsowanie krwi w uszach. Znalazłem odciski tenisówek Percy'ego, a obok ślady Autumn – wiodły wprost ku moczarom. Tam, w wysokich szuwarach, musieliby szybko stracić z oczu potok, nie słyszeliby też jego szumu. Oby poszli gdziekolwiek, tylko nie na bagna.

Nie oganiałem się od gzów, jakbym chciał ponieść zasłużoną karę; patrzyłem, jak ssą krew z moich opalonych ramion. Po chwili jałem się wspinać na ciepłe, cieniste wzgórze w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów moich dzieci (bo tak właśnie o nich myślałem). Sprawdziłem ścieżkę wiodącą do domu, potem skręciłem w prawo, w upiorne, nadpalone karczowisko, z którego nazwę wzięła cała okolica: kikuty pni wyglądały jak widma ofiar jakiejś straszliwej wojny domowej. Wołałem dzieci po

imieniu, a drzewa gapiły się na mnie z niemym wyrzutem: „Jak mogłeś? Gdzie twoje dzieci?”

Miałem szesnaście lat, a już dopuściłem się haniebnego czynu, jakiego nigdy nie popełniłby mój ojciec.

„Wszystko zgubą jest bez miłości” – szeptał mi łagodny, późnowiosenny wiatr. To samo powiedział mój ojciec, próbując mi odebrać nóż, kiedy mu go pokazałem tamtego wieczoru. Jaka czerwona była jego krew, kapiała na podłogę. Ojciec spojrzał na mnie z niewymowną czułością.

– Lyle – powiedział, strasznie pobladły.

A co ja na to?

– Ty głupku, ty cholerny głupku, rozciąłeś sobie łapę, ty niedorajdo, ja nigdy...

Wtedy ojciec spojrzał błagalnie na matkę.

– Wszystkich was zawiodłem – powiedział. – Posterunkowy Morris ma rację: taka piękna kobieta jak ty nie powinna być na mnie skazana.

Elly nadal miała spakowaną walizkę na niedoszłą rodzinną wycieczkę do Saint John. Czemu właściwie trzymała się ojca, gdy wszyscy inni go opuścili – czyżby ze swoistej dumy? Czy raczej z uporu, albo z głupoty?

Powiem panu: chodziło o coś znacznie gorszego niż duma, głupota, nawet poczucie obowiązku. Chodziło o miłość – i dlatego nie mogło być inaczej.

Nie pamiętałem tamtych słów aż do chwili, gdy znalazłem się na upiornym cmentarzysku nad potokiem Arron. Pamiętałem tylko, że odwróciłem głowę i ujrzałem Autumn. A teraz nagle odżyły szczegóły tamtej sceny.

– Wszystko zgubą jest bez miłości.

Nie ojciec to powiedział. To powiedziała moja matka.

Zgubiłem jej Percy’ego. Usiadłem na ziemi, płacząc i przeklinając Boga.

Powiedziałem Bogu, że się zabiję, jeśli Percy nie żyje. Więc jeśli On nie chce splamić swoich rąk samobójstwem, to niech się lepiej postara i odda Percy'ego! Nigdy nie zapomniałem, jak mówiłem sobie – nie, gorzej: Matce Boskiej! – że jak dla mnie, ten dzieciak może się w ogóle nie urodzić. Teraz Bóg złapał mnie za słowo.

Zawróciłem i poszedłem do domu, powiedzieć matce, co się stało. Gdy tam dotarłem, paliło się światło na ganku. Mamy nie było. Na pewno domyśliła się, że zginęli, i poszła ich szukać.

Wpadłem w panikę. Nie starczyło mi przytomności umysłu, żeby złapać latarkę i pobiec z powrotem do lasu. Poszedłem do pokoju ojca. Cóż ja dotychczas osiągnąłem w swoim życiu, oprócz wyrządzenia krzywdy innym? Przyłożyłem nóż do gardła, zamknąłem oczy. (Chodziło o mój honor, tak go wtedy pojmowałem. Wyobraziłem sobie ludzi płaczących nad moim trupem: nareszcie wszyscy pojmą mój wielki tragizm.) Ktoś zakaszlał na górze. Bliski paniki rzuciłem się ku schodom.

Autumn spała w łóżku, otoczonym ze wszystkich stron lalkami, jakby dla ochrony. Jej biała sukienka wisiała w szafie, ubłocone buciki stały na macie. Na skraju łóżka, okładką do góry, leżała powieść Turgieniewa. Przez rozpiętą nocną koszulę mojej siostry wyzierała drobna lewa pierś, oświetlona blaskiem lampy. Nie było i nie będzie dla mnie piękniejszej kobiety w całym rejonie Miramichi.

Autumn zazwyczaj wracała ze szkoły czterdzieści minut dłużej, niż powinna, bo pod szkołą zawsze czekał na nią Darren Votour. Ekscesy Autumn z innymi chłopakami nie wyleczyły go z miłości, a moja siostra nie знаła innego sposobu, żeby się go pozbyć, jak tylko wracać okrężną drogą, przez szosę i wzdłuż rowu – wtedy jej nie widział. Wszystkiemu



winna była bieda. Bieda mojej siostry. Ani ja jej nie mogłem uleczyć, ani Bóg nie chciał. Darren też tkwił w biedzie – nikt inny by na niego nie poleciał – ale myślał, że może uda mu się zdobyć moją siostrę. Co gorsza, raz omal mu się to udało. Okazja minęła, ale Darren nie mógł jej zapomnieć. Więc łąził za Autumn jak cień, snuł się w odległości stu jardów, w oparach nieodwzajemnionej miłości, i wyczekiwał aż do zmroku przy skrzynce na listy, dopóki zimny wiatr nie wygnał go do domu. Czasami przychodził do nas, siadał z mamą przy kuchennym stole i siedział tak, nieraz godzinami.

Myśląc o tym, zasłoniłem pierś Autumn i poszedłem do naszego pokoju. Percy spał w swoim łóżku, buzią do poduszki, zaciskając w piąstkach jakieś zerwane po drodze dzikie kwiatki. Znów zakaszał przez sen – i nagle odwrócił się do mnie z wesołym uśmiechem.

## Rozdział 16

Przez następne półtora roku biłem się trzy razy z tymi, których oskarżałem o czynny udział w nagonce na mojego ojca.

Tuż przed feriami Bożego Narodzenia stanąłem przed sądem dla nieletnich. Mama, Autumn i Percy przyszli ze mną, Autumn wymalowana jak porcelanowa lalka.

Idąc do sądu, zobaczyłem przypadkiem Penny Porier. Była z rodzicami u lekarza w mieście. Jej ojciec spojrział na mnie tylko raz, ale tym spojrzeniem zrzucił cały ciężar społecznej pogardy na moje barki. Matka Penny zatrzymała na mnie wzrok znacznie dłużej. Na szyi miała kołnierz z norki, całej, z oczami.

Z tych dwóch spojrzeń odgadłem rozmiar potępienia, z jakim myślą o mnie sąsiedzi. Autumn szepnęła mi na ucho, że matka Penny wyraźnie się boi, żeby nas z nią nie widziano, jakby elementarne reguły przyzwoitości zabraniały jej przyznać się do nas na oczach porządnych obywateli miasta. – Więc udajmy, że jej nie znamy – podsumowała szeptem. Ta sama Autumn, która powiedziała, że gdyby Leo McVicer kazał ludziom traktować moją matkę z szacunkiem, ci zaczęliby się nam kłaniać do ziemi i, cytuję jej słowa, „lizać moją śnieżnobiałą dupę”.

Ja w tamtej chwili wstydzilem się za Autumn, za jej uróżowane policzki jak jabłuszka i obwisłą sukienkę. A jeszcze bardziej wstydzilem się własnej sportowej kurtki z podartymi kieszeniami i przetarciem na karku aż do skórzanej wszywki, która wyzierała na wierzch w zimowym słońcu. Penny przeszła obok, zasłaniając buzię białą króliczą mufką.

Percy oniemiał, gdy w czasie przesłuchania nazwano mnie bandytą, a ja po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jak wielki mam mir u brata i siostry: oboje przyszli, aby wspierać mnie na duchu.

Lecz dla mnie przede wszystkim dowodem miłości rodziny była skrajna bezradność i pokora matki i rodzeństwa, którzy przyszli towarzyszyć mi w tym ponurym miejscu. Nie mogłem powiedzieć sądowi, że wszczynałem bójki w poszukiwaniu sprawców pobicia mego ojca, tych cieni, które nocą okrążały nasz dom, kiedy Jay Beard czuwał, siedząc na pieńku. Ani że przez te bójki niczego nie rozwiązałem.

Sędzia oświadczył, że nie ma powodu, aby mnie nie lubić, ale zastanawia się, czy ja sam przypadkiem nie odczuwam niechęci do siebie, skoro stałem się uciążliwym problemem dla wszystkich porządnych obywateli w okolicy.

Isabel Young argumentowała, że biłem się w poczuciu odpowiedzialności za dobro rodziny i, chociaż sądowni może się to wydać niewłaściwe, ona rozumie przyczyny, które mną kierowały. Żyłem w świecie całkiem odmiennym niż ogół ludzi – w mrokach nocy, nieznanym nawet większości najbliższych sąsiadów. Poza tym byłem jedynym oparciem dla matki, która nie cieszy się dobrym zdrowiem.

Była to pierwsza publiczna wzmianka o chorobie mojej matki. Tematem powszechnych debat stała się także kwestia mojego ilorazu inteligencji, co do którego nie miałem większych złudzeń. Stwierdzono jednak, że jest on wysoki, co w oczach opinii publicznej upodobniło mnie do ojca: następny samorodny potwór.

– Boże święty! – szepnęła Autumn. – Następny pieprzony geniusz w naszym domu! Ciekawe, ile ich wolno mieć jednej rodzinie?

Sędzia oznajmił mi, że mam za karę sprzątać miejscowy dom kultury i pomagać w utrzymaniu publicznego lodowiska, a jeśli znów ktoś złoży na mnie skargę, sąd potraktuje mnie z całą surowością.

Z powodu matki – która, żeby wstać, wsparła się mocno na ramieniu Autumn (coraz bardziej pozującej na kobietkę), i z powodu sukienki Autumn, dłuższej z jednej strony i przez to dziadowskiej, pomimo (a może właśnie z powodu) ślicznej buzi mojej siostry – czułem obrzydzenie do siebie, gdy we trójkę wyszliśmy w oślepiające styczniowe słońce, na śnieg, który zważał na nas tyle, co cały świat – czyli nic a nic.

Była to wyjątkowo śnieżna zima. Czytałem w prasie artykuły o promach kosmicznych. Czytałem artykuły o ciężarowych chevroletach i domach na kółkach. Marzyłem o znalezieniu pracy. Ciężko mi było ogrzać dom, choć

robiłem, co mogłem. Wreszcie, w połowie stycznia, wciąż wykonując nakazane prace społeczne, uświadomiłem sobie, że nie mamy już ani grosza na olej. Codziennie po południu, czy niebo było szare, czy purpurowe, wychodziłem do lasu i kradłem drewno ze stert przy bocznej drodze, gdzie je zeskładowano, ale nie zwieziono. To jeszcze były czasy krótkich kłód, czterostopowych, nie ośmiostopowych, jak dzisiaj.

Wracałem lasem, wzdłuż zamrożonego potoku Arron, ciągnąc łupy na starych sankach, i dokładałem skradzione drewno na domowy stos, z nadzieją, że matka się nie połapie. Któregoś dnia powiedziała mi:

– To zakrawa na cud.

– Co takiego?

– Stale się modlę, żeby nie zabrakło nam drewna, i co wyjrzę rano na dwór

– zawsze jest tyle samo. Palimy przecież, a jednak nie ubywa.

Poczułem radość, że zapewniam jej ciepło, i wyrzut sumienia z powodu kradzieży.

Jednego nie wiedziałem. Że w czasie, gdy ja za karę sprzątam dom kultury, posterunkowy Morris, który dobrze znał mój rozkład dnia, odwiedza moją matkę pod pretekstem rozmów o moich przestępczych skłonnościach.

Zagadywał przyjaźnie Autumn, a Percy'emu przynosił cukierki.

Dwukrotnie przyniósł też prezent mojej mamie. Chciał w ten sposób wykazać jej jeszcze dobitniej, że tata jest do niczego i że ją porzucił.

Przytaczał przykłady ojców, którzy opuścili dzieci. Ilekroć o kimś takim usłyszał, zaraz przychodził opowiedzieć o nim mojej matce.

Autumn robiła wszystko, żeby się go pozbyć, ale jej spryt nie dorównywał determinacji posterunkowego. Plan Autumn polegał na tym, aby chronić matkę, a jednocześnie zataić całą rzecz przede mną, bo gdybym się

dowiedział, niewątpliwie wpakowałbym się w kolejne kłopoty.

Wieczorem wylewałem lodowisko przy klubie mieszkańców, a potem piłem. Piłem, bo miałem brudne włosy i kiepskie ubranie. Na lodowisku zacząłem spotykać Cheryl Votour. Też pracowała społecznie za karę, bo ukradła paczkę ciastek z wozu dostawczego, żeby je zanieść do domu bratu i siostrze.

## Rozdział 17

Nie wiem, kto biedniej mieszkał, Cheryl czy ja. Ale przypuszczam, że jej należy się w tym względzie palma pierwszeństwa. Dom Votourów tchnął bowiem desperacką nędzą, która odróżniała go od naszego. Otaczały go poczerwieniałe, zmarzłe olchy, w oknach zamiast szyb tkwiły grube płachty plastiku, droga przy domu była niebrukowana i pełna dziur. W środku od dziewiątej wieczorem słychać było bezkarnie grasujące szczury. Na polu od zaplecza pojedyncze drzewo desperacko czepiało się ziemi porwanymi korzeniami, a górą snuło się białawożółte niebo. Młodszy brat Cheryl, Darren, był zawsze smutny i dziwny, na nim też się wszyscy wyżywali. Poza tym dręczył się niespełnioną miłością do Autumn, której wzajemność niesłusznie sobie kiedyś uzurpował. Zagadnałem go raz o to, ale wzruszył ramionami, jakby chodziło o głupstwo.

Zaanektował ciasną klitkę na górze, w której słuchał hard rocka, hodował paznokcie i zapuszczał włosy. Mijał nas z melancholijnym spojrzeniem. Pokój miał oblepiony plakatami zespołu Megadeth. Zrozumiałem, że spośród wszystkich kanałów informacyjnych, które bez przerwy pouczają biednych, jacy powinni być, Darren wybiera sobie te najosobliwsze.

Cheryl, mając czternaście lat, urodziła dziecko; nazwała je Moo Moo. Marzyła o tym samym, o czym marzą wszystkie dziewczyny w Kalifornii, Nowym Jorku, Toronto: chciała zostać modelką albo gwiazdą jak Madonna czy Cyndi Lauper. Nosła kolczyki w uszach oraz w nosie i czytała powieści w rodzaju *Nowe światło miłości*, *Weekendowy romans*, *Nieznajomy wysoki brunet*, *Wyspa miłości*. Pełno ich było na krzywej półce w dużym pokoju wilgotnej, ponurej chałupy. Cheryl pożyczyła mi kilka tych powieści dla Autumn, nie wiedząc, że Autumn czytuje Malamuda i Flannery O'Connor – nie wiedząc chyba nawet, że istnieją inne książki niż te, które sama czyta. Mentorką Cheryl była Cynthia Pit. Wtedy nie rozumiałem tego, czego dzisiaj jestem pewien. Cynthia i Cheryl obrazowały doskonale ducha rzeki, któremu sprzeniewierzyła się nasza rodzina. Bo rzeka rwała naprzód, tak jak cały świat, nie miała czasu na postoje i rozważanie wielkich idei, nie zastanawiała się nawet, dokąd płynie. Muzyka była nowa, czasy były nowe, nowa – przynajmniej dla Cheryl – była również idea wolności. Jak mógł się z tym równać mój ojciec, który wierzył w odwieczne poszukiwanie prawdy absolutnej? Nic dziwnego, że stał się ogólnym pośmiewiskiem. Wiedza ani nie dała mu pieniędzy, ani nie umniejszyła trudów życia – wprost przeciwnie: pieniądze przez nią ubywało, a trudów przybywało – więc jaki frajer wybrałby taką drogę? Co gorsza, wiedza mojego ojca nie zwalniała ludzi z odpowiedzialności moralnej. Głosiła im, że mają taką odpowiedzialność i muszą być jej świadomi w każdej przytomnej chwili swojego życia. Nic dziwnego, że ojciec był znienawidzony.

Pewnej zimowej nocy, gdy miałem siedemnaście lat, przekonałem się, że Cheryl dzieli sekrety ubóstwa z moją siostrą Autumn Lynn: też nosła

podarte majtki, które wtedy zdjąłem, a gdy miała okres, używała najczęściej szmat z komody na górze.

Spytała mnie, dlaczego się wciąż biję. Odparłem, że chcę wyrównać rachunki z tymi, co oskarżyli niesłusznie mojego ojca i pobili go.

Uśmiechnęła się znacząco i powiedziała:

– Twojego tatę pobili Sheppardowie.

Sheppardowie przechowywali u Votourów narkotyki. Musiałem więc bardzo uważać z informacją Cheryl. Samson Votour, jeszcze chudszy i czarniejszy niż w dniu, kiedy mój ojciec przyniósł mu paczkę świąteczną, bał się Sheppardów panicznie, bał się też policji – nie tylko z racji narkotyków, ale także całych tusz łosi i sarn, które Sheppardowie składowali u niego w pokoju na tyłach i sprzedawali na czarnym rynku. Cheryl też bała się policji, nie tylko ze względu na ojca, ale i na swoją córeczkę. Nieraz już Votourowie oberwali za grzeszki tych, z którymi się zadawali. Było to tajemnicą naszego świątka. Tymczasem mięso łosi i saren wisiało dalej na krokwiach ich izby na zapleczu.

Cheryl bała się, że odbiorą jej dziecko. A ja nagle, kiedy mnie całowała i głaskała po głowie (oraz po innych częściach ciała) uprzytomniłem sobie, że tylko dlatego tu jestem. Cheryl chciała, żebym bronił jej rodziny przed tymi samymi cieniami, które swego czasu prześladowały moją.

Sheppardowie – o dziwo – odnosili się do mnie życzliwie. A to dlatego, że wcześniej ode mnie dowiedzieli się, dokąd chadza Morris. Morris natomiast za nic nie przekreśliłby swoich szans u mojej matki najazdem na dom Votourów i oskarżeniem mnie o cokolwiek.

Więc moje zainteresowanie osobą Cheryl było Sheppardom bardzo na rękę. Ich przyjazna postawa oznaczała, że albo myślą, że nie wiem, kto

pobił mojego ojca, albo, gorzej: wiem, że to oni, ale nie mam im tego za złe – co zresztą było bliższe prawdy.

Cheryl powiedziała mi, że po pobiciu mojego ojca ktoś zapłacił Sheppardom, żeby się wynieśli. Obaj wyjechali do Ontario, czmychali jak zające.

– Powinien się wreszcie znaleźć jakiś odważny, co by zrobił z nimi porządek – powiedziała Cheryl.

Karta egzaminacyjna jej życia – prawie tak jak Cynthii Pit – była, można powiedzieć, wypełniona i ostemplowana. Wyższa matematyka, historia, pytania testowe – wszystko oznaczone krzyżykiem: kompletna kłapa.

Cheryl nie poddawała się, miała nadzieję, że pozbywszy się morderczych testów starej szkoły, jakoś jednak osiągnie sukces. Okazało się, że to jeszcze jedna droga do porażki. Nagle jej wachlarz możliwości strasznie się zacieśnił, szamotała się po omacku. Ale w oczach wciąż miała czułość, a w sercu cichą nadzieję.

– Jasne, że ci pomogę – powiedziałem.

Ale co innego było obiecać, a co innego zrobić, wiedziałem to dobrze.

Co gorsza, po robocie w klubie Danny Sheppard objął mnie po przyjacielsku i, chuchając mi prosto w twarz nieświeżym oddechem, zapytał, jak się miewam.

– Nie dawaj się, mały – poradził. – Będą z ciebie jeszcze ludzie.

Czy zależało mi na utracie jego życzliwości? Nie, za nic – nikt mnie jeszcze nie potraktował tak serdecznie. Przynajmniej nikt tak twardy jak Sheppardowie. Ich akceptacja wbiła mnie w fałszywą dumę. Nareszcie uśmiechnął się do mnie ktoś, kto ma władzę. Znali mnie już w okolicy jako twardziela. Tego się właśnie kiedyś obawiał mój ojciec i przed tym



mnie całe lata wcześniej ostrzegał. Ale ja już przekroczyłem Rubikon – a raczej inną rzekę, potok Arron.

Cheryl namawiała mnie, żebym zstąpił do piekła Dantego. Uśmiechałem się do niej jak do mojej Beatrycze, ale chociaż tyle rozprawiałem o zemście, wcale nie byłem pewien, czy stać mnie na tak śmiały krok. Którejś nocy, wyszedłszy od Cheryl, udałem się do domu tylną drogą, mijając w ten sposób dom Sheppardów wielkie, rozbudowane gospodarstwo nad wodą, osłonięte od drogi strzępiastym szpalerem półnagich świerków. Zatrzymałem się i zajrzałem przez oświetlone pomarańczowym blaskiem okno na dole. Bennie i Danny Sheppardowie palili na zmianę skręta. Twardzi, wysocy, muskularni, rozchełstani, stali tuż przede mną. Poznałem w nich swoje cienie, cienie mojego dzieciństwa, które mieszały z błotem moją matkę, łącząc ją z ukrycia. Miałem za co ich nienawidzić.

Wtem do pokoju wkroczył Mathew Pit we własnej osobie, położył na stole kotlety, wyjrzał przez okno – i znalazł się oko w oko ze mną. Minę miał równie bezczelną, co nieprzeniknioną. Podniósł ręce do twarzy i dalej gapił się w mrok za oknem. Nie wiedziałem, czy mnie widzi, czy nie, ani co by zrobił, gdyby mnie zobaczył. Zrozumiałem jednak, że dotychczas walczyłem ze szczeniakami, których w głębi serca nie podejrzewałem o pobicie mojego ojca, a nie ścigałem prawdziwie niebezpiecznych Sheppardów.

A może to nie oni, pomyślałem. Właściwie trudno byłoby udowodnić, że to oni.

Wracając po nocy do domu, zobaczyłem na podwórku samochód posterunkowego Morrisa. Miał szczęście, że byłem na bakier z prawem. W

kuchni Autumn grała z Percym w warcaby, chociaż mały już dawno powinien był leżeć w łóżku.

– Zrobię ci jeszcze herbatki, chcesz, Percy? – pytała właśnie, kiedy wszedłem.

Zacząłem więcej przesiadywać w domu.

## Rozdział 18

Przez dłuższy czas w ogóle nie odzywałem się do Morrisa. Tylko słuchałem. Przychodził i wychodził, kiedy chciał.

– Skoro on odszedł, Elly, co zamierzasz teraz z sobą zrobić? – spytał mamę pewnego wieczoru, myszkując po książkach ojca. Odruchowo skinął głową w stronę mojej siostry. Nasza sytuacja była opłakana. Nie chcieliśmy zrazić Morrisa, ale trzeba było chronić reputację matki.

Osobiście nie chciałem, żeby do nas przychodził, z wielu powodów.

Ukradłem kielich mszalny z kościoła. Którejś niedzieli, przechodząc obok zakrystii, zobaczyłem kielich wystawiony z tabernakulum. Na dworze szalała zadymka i ludzie pomagali sobie wypychać auta z parkingu.

Wszedłem do zakrystii, zabrałem kielich i schowałem go pod swoją cienką czerwoną kurtką. W domu ukryłem go w swoim pokoju, w niszy ściennej za książkami taty. Przypuszczałem, że sporo za niego dostanę, ale bardzo szybko okazało się, jak trudno coś takiego spylić. O kradzieży rozpiisały się gazety. Matka codziennie odmawiała różaniec w intencji zwrotu kielicha.

Cheryl Votour spytała mnie, jak sędzę, kto mógł go ukraść. Byłem pewien, że niebawem wszystko się wyda a kiedy się wyda, potwierdzi się

wszystko, co mówiono o moim ojcu i całej rodzinie.

Posterunkowy Morris, gdy do nas przychodził, siadał pięć jardów od skradzionego kielicha, którego szukała teraz cała okolica – nawet pastor baptystów zaapelował o jego zwrot. Rycerze Kolumba wyznaczyli specjalną nagrodę, ogłaszając to z ambony. Podejrzewano Sheppardów, więc Bennie złożył uroczyste oświadczenie, że razem z bratem wytropił złodzieja.

Kiedy to usłyszałem, przestałem wychodzić z domu. Był środek zimy, nocą zapadała lodowata cisza, tylko gwiazdy mrugały nad naszym domkiem w kształcie postawionego na sztorc pudełka do butów.

Mama zaczęła się zamykać w łazience, kiedy przychodził Morris.

Zabawiałem go więc grą w szachy. Musiałem tak manewrować królową, gońcem, wieżą i królem, żeby Morris mógł je zbić i w ten sposób wygrać. Potrafił siedzieć tak godzinę, czasem dwie, przechwalając się przede mną dawnymi sukcesami w grze w hokeja. Mówił też o naszej sprawie i o tym, jak stara się pomagać mamie, traktując ją po ludzku. Zapewniał mnie, że rozumie mój konflikt z ojcem i nie puści pary z ust, gdybym chciał mu się zwierzyć. Więc któregoś wieczoru, przytłoczony licznymi kłopotami, rzekłem do niego:

– Chciałbym panu coś powiedzieć o tacie.

– Tak? A co? – zaciekał się.

– Pamięta pan, jak tata z mamą przyszli do pana na posterunek?

– Oczywiście.

– No więc... chciałem powiedzieć, że to było z Szekspira.

– Słucham?

– Ten cytat, który przytoczył mój ojciec – uściśliłem. – To z Króla Leara.

Ojciec go czytał, jak miał szesnaście lat. Po śmierci swojego ojca zamieszkał tutaj, odnowił ściany i dobudował pokój dla mamy. Prawda, mammo?

Zamilkliśmy, nasłuchując wiatru. Drzwi łazienki pozostały zamknięte.

– Prawda – odpowiedziała zza nich mama.

Autumn przyszła i usiadła z nami, owinięta chustą od stóp do głów, tak że było jej widać tylko nieskazitelnie białą buzię. Mrugała szybko krótkimi rzęskami. Jej bliskość wyraźnie wytrąciła Morrisa z równowagi.

– To dobra sztuka, ten Król Lear} – zapytał Morris.

– Owszem – odparłem. – Fantastyczna. Orwell napisał świetną jej obronę, bo Tołstoj bezlitośnie ją zaatakował.

– Więc Tołstoj nie znał się na literaturze? – dociekał Morris.

– Nie o to chodzi – odpowiedziała mu cicho Autumn. – Tołstoj dobrze się znał, prawda, Lyle? I dobrze wiedział, że chociaż sam jest wielkim pisarzem, bo naprawdę był wielki, to Szekspir jest jeszcze większym. To właśnie wiedział najlepiej pan Lew Tołstoj, chociaż trudno uwierzyć, że można odczuwać niedosyt, będąc Lwem Tołstojem, prawda? Uśmiechnęła się do mnie – nie do Morrisa.

– Właśnie – potwierdziła z łazienki moja mama. I znów zapadła cisza. Morris poczerwieniał jak burak.

– Czemu wasz ojciec od razu mi tego nie powiedział? – spytał z rozżaleniem, zwracając się do Autumn. – Gdyby powiedział, wszystko mogło się ułożyć inaczej.

– Nie wiem dlaczego – odparła Autumn. – Nasz ojciec nigdy nie broni prawdy wobec tych, którzy nim pogardzają.

– Nie chciał pana urazić – dodała ze swej kryjówki moja mama.

Spojrzeliśmy wszyscy na drzwi łazienki.

– Nie znam się za bardzo na sztukach ani na Tołstojach – wyznał ze skruchą Morris.

– Nie ma się czego wstydzić – zapewniła go życzliwie Autumn, ale patrzyła przy tym tylko na mnie.

– Jasne – potwierdziłem. – Faktem jest jednak, że mojego ojca potępił najniższy wspólny mianownik społeczeństwa, ci sami, którzy gotowi są palić książki. A pan do nich należał, panie posterunkowy. I dobrze pan o tym wie w głębi serca. Za to mój ojciec... mógł pan otworzyć pierwszą lepszą książkę, a mój tata wszystko by panu o niej opowiedział.

– Sztuki Szekspira? – spytał Morris, kontemplując tytuły na regale. – Ty je czytałeś?

– Oczywiście – powiedziałem, chociaż czytałem tylko Hamleta i Leara.

– Jesteście jacyś niesamowicie wykształceni – zauważył Morris takim tonem, jakby pytał: „Dlaczego wy właściwie tak żyjecie?”, i oznajmiał: „Jestem temu przeciwny”.

– To prawda. Ojciec nas wszystkiego nauczył – odparła spokojnie Autumn.

– Nauczył nas niczego nie chcieć, tylko żyć tak, jak żyjemy.

Sięgnęła po moją rękę – och, ten gest, wyreżyserowany, zdradziecki.

Ująłem jej dłoń, jakbyśmy zawsze trzymali się za ręce, a nie po raz pierwszy od młodszych klas szkoły.

– Uważacie, że się pomyliłem co do waszego ojca?

– O, tak – odpowiedziała z łazienki moja matka.

– Całkowicie – dodałem. – Ale to już nie ma znaczenia.

– Dlaczego?

– Sprawa zostanie wznowiona – powiedziała Autumn. – Nie pozwolimy,

żeby rozeszła się po kościach.

– Będę bronił honoru mojego ojca do ostatniego tchu – oświadczyłem.

– No cóż... tyle faktów pasowało wtedy do oskarżenia... Przykro mi, Elly, ale chyba się ze mną zgodzisz?

W łazience panowała cisza.

– Prędzej czy później wszystko się wyjaśni – zauważyłem, patrząc na banana, którego właśnie jadłem. – Słyszałem, że posterunkowy John Delano wrócił w nasze okolice. Podobno jest bystry.

– Na pewno się wyda, jaką straszną krzywdę wyrządzono naszej rodzinie, i wielu osobom będzie przykro – powiedziała Autumn.

– No właśnie – potwierdziłem. – Wie pan, że ktoś celowo napoił mojego ojca rumem, a ja go potem musiałem przywiązać do łóżka? Pomijając śmieszność tej sytuacji, jest ona również głęboko haniebna.

– Tak, wiem – bąknął Morris, zdziwiony, że ja i Autumn potrafimy przemawiać tak autorytatywnie.

Było to późnym wieczorem w końcu lutego, wiele miesięcy po odejściu taty. Morrisa nasze słowa wyraźnie zakłopotaly. Wstrząsnęło nim, że od samego początku jego działania i motywy pozostawały jasne dla moich rodziców. Słyszając nazwisko Johna Delano, oblał się rumieńcem.

– Jak myślicie, kto mógł upić waszego ojca?

– Ja wiem kto, ja ich dopadnę – powiedziałem, ale zabrzmiało to jakoś smutno.

– Powinieneś mi powiedzieć.

– Kiedyś powiem panu wszystko, co wiem – obiecałem.

Morris więcej do nas nie przyszedł. Dziś myślę o nim jak o człowieku, który nie ma pojęcia o odpowiedzialności i dojrzałości, jakiej wymaga

jego powołanie.

Po jakimś czasie, już w marcu, gdy wiały cieplejsze wiatry, wracając wieczorem od Votourów, zobaczyłem go na naszym publicznym lodowisku – tym, które sam codziennie wylewałem: ślizgał się w towarzystwie panienki z Legaceville.

Wieczór ostatniej wizyty Morrisa w naszym domu był chyba ostatnim moim szczęśliwym wieczorem spędzonym z Autumn. Zrobiła toffi, jak za dawnych dobrych lat, wygłupialiśmy się, śpiewaliśmy, a ja z Percym w objęciach tańczyłem po całej kuchni. Percy tulił się do wszystkich po kolei, wyśpiewując własną piosenkę, którą zatytułował „Mama i ja, ja i mama”.

Autumn powiedziała, że teraz już wszystko będzie dobrze, że ona to czuje, i uściskała mamę, a mnie cmoknęła w policzek.

A ja, kim byłem? Usiłowałem odpowiedzieć sobie na to pytanie i w końcu znalazłem odpowiedź.

Byłem zwyczajnym łobuzem z Tołstojem w kieszeni.

## Rozdział 19

Co stało się z moją duszą po kradzieży kielicha? Zaczęła się kurczyć. Nie z powodu świętych, których pamięć zachowywała dotąd w swym kolistym wnętrzu, i nie z powodu groźby kary boskiej, tylko przez Sheppardów. Zanim bowiem opuściła mnie niemoc podjęcia decyzji o dalszym działaniu, Sheppardowie zorientowali się, że mam kielich. Teraz więc bałem się dodatkowo, że zdradzą mnie dla nagrody. Nieco mniej obawiałem się, że mnie zabiją, tak jak się odgrażali. Znalazłem się na

spalonym: ponieważ to Sheppardów podejrzewano zamiast mnie, uzyskali nade mną moralną przewagę, jakiej nigdy nie osiągnęliby wobec mojego ojca.

Gorzej, że tak się nadymałem przed Morrisem. Jak miałem teraz pójść do niego po pomoc i wyznać, że to ja ukradłem kielich?

W piekle Dantego są mgliste, przepastne nisze, w których najgorszym grzechem jest zdrada – ale ja nie tkwiłem w piekle Dantego, raczej w piekle Milтона, gdzie Szatan staje oko w oko ze swoim synem – Śmiercią. Zszedłem tak nisko, że nie mogłem w to uwierzyć. Szalała we mnie walka: bitni wodzowie i skrzydlate regimenty ścierali się o ziemię dobra i zła. W tej walce uczestniczy każdy człowiek, chociaż nikt prawie już w nią nie wierzy.

Po kilku tygodniach przebywania w tym piekle odbyłem grzecznościową wycieczkę między ciepłe nogi Cheryl Votour, która, między jednym a drugim pocałunkiem, powiedziała mi (bo jej jednej się ze wszystkiego zwierzyłem), że Sheppardowie wiedzą już, że to ja ukradłem kielich i dybią na mnie, a ona wpakowała się w kłopoty, próbując ich powstrzymać. Pomyślałem, że trzeba będzie prosić ich o wybaczenie. Dużo mi dało noszenie siedemnastocalowego noża, co?

Wtedy dopiero zacząłem dostrzegać charakter swojej zbrodni: nieważne, kim byli Sheppardowie, nieważne, kogo skrzywdzili – ważne było, co ja zrobiłem. Zrozumiałem, że poznałem część ukrytego wyroku ludzkiej natury, o której tak często mówił ojciec. Co gorsza, Cheryl zauważyła, co się ze mną dzieje. Przestałem być w jej oczach bohaterem. A miała słabość tylko do bohaterów. Potrzebowała bohatera. Mimo to robiła co mogła, żeby mnie obronić!



Tak jak Rudy swoim grzechem wobec mojej matki, tak i ja tym bezmyślnym aktem kradzieży wpędziłem się w ślepy zaułek. Tak długo przeklinałem bezczynność ojca, a teraz sam stwierdziłem, że nie mam dość odwagi cywilnej, żeby zrobić to, czego żądałem od niego. Zrozumiałem, że odwaga cywilna polega na zaniechaniu działania. Jay Beard był jedynym wyjątkiem od tej reguły – a zresztą, jego droga nie dawała żadnej gwarancji.

– Przynieś ten kielich tutaj, a ja go przemycę do domu Sheppardów i wystawimy skurwysynów – zaproponowała Cheryl, siedząc gołą pupą na moich biodrach. – Pójdiesz do Morrisa i powiesz mu, że widziałeś, jak Sheppardowie wnosili kielich do domu, a zanim Morris przyjdzie, ja go gdzieś schowam, tak, żeby łatwo znalazł. A do środka naładuję morfiny i kokainy!

Pocałowała mnie.

– To by było straszne – zaprotestowałem słabo.

– Nie dla nich – zezłościła się. – Oni by tobie coś takiego zrobili bez namysłu.

Świat wydał mi się nagle znacznie bardziej skomplikowany i powikłany niż przedtem. Zobaczyłem, jak idealnie pasują do niego Sheppardowie, a ja wcale nie. Sheppardowie pasowali do tego świata tak samo świetnie jak Mat Pit, bo i dla nich od samego początku wszystko było dozwolone. A Mat Pit? Mat Pit pasował do świata równie dobrze, jak Leo McVicer.

## Rozdział 20

W początkach marca przybyło zarzutów przeciwko przedsiębiorstwu

McVicera, jakie wysuwał Gerald Dove. Okazało się, że statystyka alergii, nowotworów i poronień w naszej okolicy przekracza ośmiokrotnie średnią prowincji i całego kraju.

W naszej jednoizbowej szkole zaczęły się co tydzień odbywać zebrania, na które chodziłem. Na szosie było ciemno, o siódmej pokazywały się gwiazdy. Szedłem przez nowy most i starą Bowie Road aż pod samą szkołę. W przyzwoicie oświetlonym wnętrzu widać było obłoki oddechów, chociaż w sali panował ścisk. Ludzie siorbali kawę z plastikowych kubków. Szyby od środka pokrywał lśniący szron, nikt nie zdejmował czapki ani rękawiczek.

Dostrzegłem Penny Porier, po raz pierwszy odkąd minęliśmy się w mieście. Czy wiedziała, że wciąż ją kocham? Że w letnie noce, przy łagodnej bryzie, układam sobie bajki o tym, że wkrótce do mnie zadzwoni albo przyjdzie? Niestety, stałem już dziewictwo z Cheryl Votour. A Penny? Patrzyła spokojnie, jak się inni ze mnie wyśmiewają.

We wrześniu wyjechała do Halifaxu, na Uniwersytet Mount Saint Vincent, ale choroba zmusiła ją do powrotu do domu przed świętami – stąd te częste wizyty u lekarzy. Penny zawsze była chorowita, wiedziałem o tym.

Stała tak blisko mnie, że widziałem jej oddech w zimnej sali. Opowiadała koleżance, ile badań lekarskich musiała przejść w Halifaxie. Czuła, że jest bardzo chora, tylko nie wiedziała na co.

– Masz dopiero osiemnaście lat – szepnąłem chrypliwie. – Wyleczysz się, znajdą przyczynę choroby, będziesz zdrowa. Musisz być zdrowa.

Miałem łzy w oczach, taki twardziel. Nie wiem, czy usłyszała.

A potem ośmieliłem się przysunąć bliżej i dotknąć końcami palców

dotknąłem jej płaszcza, gdy przechodziła. Odwróciła się i poszła dalej, na przód sali.

Pan Porier nie chciał obwiniać McVicera o chorobę córki. Twierdził, że to przejściowe dolegliwości kobiece. W przeciwnym razie zadałby kłam całemu swojemu życiu.

A oto jego córka przeszła do obozu wroga. Próbował ją zastraszyć.

Któregoś dnia wpadł rano do łazienki, gdy Penny siedziała na sedesie, i pomachał jej przed nosem skórzanym pasem. Aż Griffin musiał ruszyć siostrze na pomoc. Porier, wściekły, bezradnie trzepał krótkimi rękami po bokach, w końcu cisnął pasem w syna i kopnął z furią żółtą ścianę łazienki. McVicer wydzwaniał teraz do niego co pół godziny, dopytując się, czy może jakoś pomóc.

Porier błagał Penny, żeby przestała chodzić na zebrania. Przychodził codziennie do jej pokoju i z zatroskaną miną namawiał ją, żeby została w domu.

– Boję się, co Leo o tym pomyśli – powtarzał stale.

Penny miała u nas z początku niewielu sojuszników. Parę osób chciało wykorzystać jej chorobę przeciwko McVicerowi – najlepszą reklamę zrobiłaby im, gdyby umarła. Myślę, że zdawała sobie z tego sprawę, ale jechała na tej fali, jak długo mogła.

I stało się to, czego McVicer najbardziej się obawiał. Na trzecim zebraniu ludzie wystawili Penny na scenę, razem z Dove'em, i zrobiono zdjęcie, na którym Dove otacza Penny ramieniem, jakby ją chronił przed jej własną rodziną. Penny opowiedziała nam o swoich objawach. Od paru lat nie miesiączkowała, miała niedowagę, stale była zmęczona. A gdy była malutka, w tartaku za jej domem przechowywano dziesiątki puszek

herbicydów i pestycydów. Ike Pit pracował w tym magazynie i umarł, tak jak dwunastu innych pracowników.

Następnego dnia McVicer przyszedł do Penny i powiedział, że opłaci jej studia pod warunkiem, że Penny przestanie chodzić na zebrania. Twierdził, że Dove wziął się zniszczyć jego i Poriera. Brał ją za rękę, głaskał po dłoni, nalegał, że zrobi jej herbaty. Bo przyniósł herbatę, a także puszkę ciastek ze swojego sklepu. Spytał też, czy Penny nie wybrałaby się do specjalisty w Toronto. Spoglądał na nią przy tym władczym wzrokiem, przed którym tak drżał jej ojciec. Opowiedział jej o swoich przeżyciach wojennych, o tym, jak walczył pod Caen, jak go trzymał na muszce szwabski strzelec pod Antwerpią. I jak trzystu ludziom dał pracę w lesie. Przez cały czas trzymał ją za rękę.

Penny z trudem przełknęła ślinę (miała kłopoty z jedzeniem) i oświadczyła McVicerowi, że nie chce nadużywać jego dobroci.

– Zresztą – dodała – na co mi teraz wykształcenie? I do jakiego miałabym się udać specjalisty? Nie pamiętam, kiedy to ostatni raz był pan u mnie, żeby mi zrobić herbaty? A ile razy wydzwaniał pan po nocy do mojego ojca, żeby go wysłać z domu w sprawie niecierpiącej zwłoki? Jak on ochoczo podskakiwał na każdy pana dzwonek, jak się tym ekscytował, jaki ważny się czuł, czekając, aż zaszczyci nas pan świąteczną wizytą! Myśmy się wychowali w pustym domu, bez książek i bez wiedzy, nawet bez wielkiej miłości.

McVicer cmoknął i obrócił poważny, przenikliwy wzrok na ojca Penny. Kiedy wieczorem Penny poszła na górę do łóżka, ujrzała ojca, który siedział w swoim nienagannie porządnym pokoju i gapił się w podłogę, a za jego szerokimi, muskularnymi plecami tykał zegar. Nazajutrz oboje

rodzice zjawili się u Penny, w jej pokoiku z różową kapą i zasuszonymi kwiatami w zielonym wazonie.

Ich odwiedziny dotknęły Penny bardziej niż cokolwiek innego.

Przypomniały jej się wakacje na Wyspie Księcia Edwarda, gdy miała siedem lat: rodzice postanowili wracać do domu trzy dni wcześniej, bo McVicer koniecznie potrzebował Abby'ego. Nigdy już potem nie wrócili do domku nad morzem, gdzie Penny zbierała czerwoną glinę i muszelki. I za to obwiniała teraz rodziców ze łzami w oczach. Griffin słyszał ich kłótnię ze swojego pokoju, chociaż, nie mogąc znieść wrzasków, rzucił się na łóżko i poduszką zakrył uszy. Tego dnia wypadały osiemnaste urodziny Penny.

– Zwyczajne babskie kłopoty, każda dziewczyna to ma i tyle – podsumował w końcu Porier, głosem donośnym, ale nie do końca pewnym. – A pomyśl o McVicerze, akurat teraz nie wolno nam go opuścić. Penny milczała. Siedziała na skraju łóżka, skubiąc skraj kapy i patrząc w podłogę.

– Wiesz, jaki ojciec zawsze był dla ciebie dobry, pomyśl o tym – rzekła Betty Porier z dumnie podniesioną głową.

– Posłuchaj – dodał ojciec. – Mama mówi, że od dawna chciałaś się wybrać na wielkie zakupy. No to jedźmy, tylko ty, mama i ja – co ty na to? Zrobimy sobie frajdę – wypad po zakupy do Bostonu, no, jak?

Tą propozycją dawał jej wszystko, co miał do zaoferowania. Penny jednak poszła na zebranie.

Gerald Dove skończył już czterdzieści lat. Chudy jak szczapa, miał wielkie, płonące oczy i bladą cerę, jaką zwykle miewają rudzi.

Wiedziałem, że makiaweliczny umysł Leo McVicera każe mu wierzyć, iż to właśnie Dove jest człowiekiem zdolnym obalić zarzuty dotyczące tartaku, nawet gdyby musiał w tym celu nagiąć parę faktów. Gerald wrócił w rodzinne strony z nadzieją, że potrafi pomóc swemu mentorowi w potrzebie.

Przez pewien czas wszystko szło po myśli Leo: teren został sprzątnięty, baryłki usunięto. Ale Gerald już dawno wyprowadził się z domu mentora, wynajmując pokój w motelu. Skarżył się na policji, że jego telefon jest na podsłuchu, że ktoś włamał mu się do pokoju, że przez cały czas jest śledzony.

Plotka zaś głosiła, że to on sam upozorował włamanie i zniszczył akta, gdyż zaczynały świadczyć na korzyść McVicera. Że w rzeczywistości wrócił, aby zniszczyć McVicera za udaremnienie jego romansu z Gladys. (Jestem pewien, że plotki te rozpuszczał sam McVicer.)

Przyszedłem na zebranie w szkole i na starej tablicy zobaczyłem napisy PCDD i TCDD, uzupełnione strzałkami i kółkami, a obok rysunki cząsteczek, wszystko ujęte w ramki znaków drogowych „stop” i „ustąp pierwszeństwa”. Gerald miał wykład o wpływie toksyn na menstruację oraz o działaniu herbicydów i pestycydów na system oddechowy dzieci regionów północnych.

Zrobiło mi się dziwnie żal nas wszystkich. Brodaci mężczyźni z wielkimi, spracowanymi dłońmi drwali, po siedmiu klasach szkoły podstawowej, po raz pierwszy w życiu mieli okazję pomyśleć o czymś innym niż wybór smaru do traktora w temperaturze minus trzydzieści stopni albo

obdzieranie jelenia ze skóry w listopadzie.

Dove rysował swoje cząsteczki na tablicy, brudząc kredą szczupłe palce i wzniecając ścierką obłoki kredowego pyłu.

Uświadamiał tym przemęczonym, poczciwym, ociążałym facetom, że świat ich ominął i popędził naprzód w nowe stulecie. W istocie bowiem owej ciemnej nocy uczyniliśmy krok przez trzy stulecia. Drwale siedzieli w jednej sali ze studentami, słuchając pilnie wykładu o odpadach toksycznych i wynikach komputerowych badań przeprowadzonych w Massachusetts Institute of Technology.

Wyraźnie poczułem dziewiętnastowieczną krew McVicera na dwudziestopierwszowiecznych rękach Geralda Dove'a. Nie miałem wątpliwości, że McVicer poległ. Nikt z nas nie miał co do tego wątpliwości.

Władze skwapliwie solidaryzowały się z ludem i naukowcami w osobie Geralda Dove'a, a McVicer – któremu sekundowały od lat – został sam jak palec. Wiele nocy tej zimy przesiedział w domu zamknięty na cztery spusty.

Pragnąłem, by go potępiono. Z całego serca zaśmiewałem się z niego na mrozie pod błyszczącymi gwiazdami. A zarazem podziwiałem McVicera. Nie wiem, czy tylko ja. Może nikt więcej, a może wszyscy.

Intrygował mnie, pociągała mnie jego samotność: starzec na progu śmierci, który spokojnie słucha, czym było całe jego życie, bez pomocy, bez wyjaśnień, a co najważniejsze bez przeprosin. Sypiał ze strzelbą u wezgłowia.

Czekałem, obserwowałem sytuację, chodziłem na zebrania i kiwając głową, słuchałem, co mówią inni. McVicer twierdził teraz, że stał się

kozłem ofiarnym obojętnych, tchórzliwych władz. On, McVicer, nie stosował przecież więcej toksyn niż wszyscy inni, zresztą już wiele lat wcześniej mniej więcej wtedy, kiedy został okradziony – oczyścił się z zarzutów wobec rządowej komisji kontroli. Gotów był zapłacić jakieś odszkodowanie, jeżeli rząd wyda oświadczenie precyzujące pewne istotne szczegóły. Rząd milczał.

Córka McVicera, Gladys, patrzyła przez okno, jak śnieg osiada na ziemi w czarnej od smarów zatoce i pod latarniami dalekiej autostrady, przekonana o dobroci ojca i własnej bezwartościowości. Leo codziennie miał do niej pretensje. Codziennie wypominał jej, że Gerald Dove przyjechał specjalnie, żeby się nad nim pastwić z jej powodu. Gladys zażyła zbyt dużą dawkę środka rozkurczowego i zasnęła. Znalazł ją Rudy i zawiózł do szpitala. Leo próbował wyciszyć sprawę. To wtedy Rudy zrozumiał, że jego żona kochała zawsze kogoś innego. I w jakimś sensie złamało mu to serce.

W ciągu następnych paru tygodni zwolennicy Dove'a przekonali Penny Porier, że wszystkie te starania czyni się specjalnie dla niej. Odciągnęli ją od ojca, dali jej mieszkanie w mieście i pielęgniarkę. Życie Penny w północnej części prowincji, kiedyś tak nieznaczące, zyskało teraz wymiar tragedii – przeprowadzano z nią wywiady, fotografowano, mówiono o niej w krajowej telewizji.

Czułem krew McVicera i czekałem, nie bez podświadomej satysfakcji, jakiej doznaje człowiek w obliczu klęski bliźniego. Po wywiadzie z Penny Porier nikt już nie odzywał się do McVicera przed kościołem ani po wyjściu z kościoła, chociaż oświadczył publicznie, że przeznacza ofiarę na nowe witraże.



Władze prowincji przez parę lat opłacały Geralda Dove'a i adwokatów reprezentujących pięć rodzin, które wysunęły oskarżenie. Zakrawało to wręcz na próbę zastraszenia pozwanego. Władze najwyraźniej postanowiły załatwić sprawę gruntownie i opowiedzieć się po właściwej stronie. Zarazem jednak chciały same uniknąć przesłuchań.

Dziewiętnastego marca Leo McVicer zwołał konferencję prasową. Oświadczył na niej, że owszem, używał wymienionych w oskarżeniu środków ochrony roślin – mało tego: przez całe lata sześćdziesiąte był do tego zachęcany przez władze i wspierany tysiącami państwowych dolarów. Zarówno jego tartak, jak i wiele podobnych zakładów, bombardowano oficjalnymi listami i telefonami z zaleceniem intensywnego stosowania tych groźnych substancji. A dlaczego? Dlatego – oświadczył McVicer – że władze miały zobowiązania wobec producentów chemicznych w Stanach Zjednoczonych, którzy dostarczali do nas wspomniane herbicydy i pestycydy. A dlaczego? Bo rząd szukał nabywców towarów rodzimego przemysłu drzewnego, chodziło o konkurencję Kolumbii Brytyjskiej i stanów północnych. Czy premier, który coraz głośniej deklaruje świadomość świętej nienaruszalności środowiska naturalnego i dziedzictwa, które nam pozostawiły Pierwsze Narody, jest tego świadom? Ależ oczywiście, że tak – oświadczył McVicer. Czy może to udowodnić? Naturalnie – odparł McVicer. Dysponuje listami od rządu dotyczącymi dotacji za stosowanie chemikaliów – to chyba wystarczający dowód? Gdzie są te listy? – Ach, nie tutaj – z żalem pokręcił głową McVicer. – Trzymam je dobrze zamknięte w sejfie.

## Rozdział 22

Kielich był nie do opylenia. I nie miałem gdzie go schować, najwyżej do tej niszy w ścianie, gdzie kiedyś ukryłem ciuchy taty. Nagroda Rycerzy Kolumba wciąż kusila. Dwa razy musiałem chować się przed Sheppardami w drodze ze szkoły; za każdym razem wymiotowałem pod domem.

W końcu sprawą zainteresował się Mathew Pit. Dostałem wiadomość, że mnie wzywa. Udałem się do niego z bijącym sercem. Mógł mnie ocalić lub zniszczyć, zależnie od humoru. On jeden był w stanie dogadać się z Sheppardami. Więc już nie zgrywałem twardziela.

Wcześniej tej samej zimy moje wnyki leżały tuż obok jego sideł, a jednak dał mi spokój. Więc kiedy wpadło mi w ręce trochę białego haszu (dostałem od Cheryl Votour), podarowałem mu działkę.

Tolerował moją obecność na kłusowisku, poza swoją linią. Kiedy ustrzeliłem kojota, który dobierał się do jego pułapki na bobry, obdarłem go ze skóry i skórę zostawiłem przy wnykach Mata.

Wtedy też zacząłem podnosić ciężary. Chodziłem na treningi do starej sali gimnastycznej w szkole, co drugi dzień o szóstej rano. O dziwo, Mat Pit też tam przychodził. Z początku nie rozmawialiśmy. On podnosił sztangę, a ja ćwiczyłem na atlasie, ale pewnego dnia Mat zwiększył obciążenie i potrzebował kogoś do trzymania. Dźwignął sto pięćdziesiąt dziesięć razy z rzędu. Wbrew swym najszczerzym intencjom poczułem się nagle zobligowany do służenia mu pomocą.

Najpierw jednak po pomoc zgłosili się do Mata Pita Sheppardowie. Ale on się nie spieszył; któregoś popołudnia spotkał na szosie moją siostrę i

powiedział jej, że chce się ze mną widzieć. Poszedłem więc do niego.

Znalazłem go w pokoju na zapleczu.

Usiadłem naprzeciw. Mathew, zajęty czymś pilnie, podniósł wzrok i poradził mi spokojnie, żebym nikomu nie ufał, a zwłaszcza Sheppardom.

– Ja im wcale nie ufam – powiedziałem. „Ani tobie” – chciałem dodać, ale ugryzłem się w język.

– No jak zamierzasz pozbyć się kielicha? – zapytał z troską. – Brzydko zrobiłeś, myślałem, że jesteś mądrzejszy. Mamusia cię nie nauczyła, że trzeba szanować rzeczy święte?

Odpowiedziałem, że to wszystko z głupoty i szczeniactwa. Nie wiedział przecież o dawnej historii z paczką świąteczną.

– U nas się nie rusza kościoła – pouczył mnie Mathew. – Trzeba działać z głową, starych nie ruszać, dzieci nie ruszać, to bardzo ważne!

Poczułem się nieswojo z powodu Trentona. Mimo wszystko nie mogłem jeszcze do końca wykluczyć winy ojca.

Wtedy Mat wysypał na stół działkę kokainy dla nas obu i pochylił nad nią swe wielkie bary. Nigdy jeszcze nie próbowałem kokainy, powiedziałem mu, że nie chcę. Podał mi na to zwiniętą dwudziestodolarówkę i bez słowa kiwnął głową. Więc powąchałem.

Powiedziałem Matowi, że nie mam pojęcia, dlaczego wziąłem kielich. I że bardzo tego żałuję.

– Nigdy niczego nie żałuj – wycedził spokojnie Mat, przeglądając się w lustrze i ścierając z nosa ślad kokainy. – Na to właśnie liczą Sheppardowie: jak zauważą, że żałujesz albo się boisz, nie dadzą ci szans. Ja nigdy nie mówię przepraszam, nigdy nie mówię proszę – nigdy, do nikogo. Twoim zdaniem McVicer jest winny?

– To zależy – odpowiedziałem.

Spojrzał na mnie z kąśliwym uśmieszkiem.

– Jasne, że jest winny, ale czy go dorwą?

– Nie wiem.

– Nie dorwą go, a ta mała, Porierówna, umrze splukana. Ale załatwi go moje oskarżenie.

Uśmiechnął się trochę krzywo, wyraźnie z siebie zadowolony. Wciągnął następną działkę i przyjrzał mi się uważnie.

Potem powiedział, że kradzież kielicha była aktem odwagi.

Odpowiedziałem, że wcale nie czuję się odważny i że najlepszym sposobem na pozbycie się kielicha byłoby sprzedać go jakiemuś katolickiemu marynarzowi z barki transportującej papier. Mathew zamachnął się i dał mi w twarz.

– Gówno prawda! W ten sposób możesz tylko trafić do pierdła! – warknął, celując we mnie palcem. – Posłuchaj, co ci powiem, bo dbam o ciebie: nie zbliżaj się do tych pierdolonych Sheppardów!

Zawahałem się. Po chwili poprosiłem:

– Poradź mi, jak się go pozbyć, to zrobię dla ciebie, co zechcesz.

Nie potarłem policzka, chociaż piekł mnie jak cholera. Rodzony ojciec nigdy mnie nie uderzył w twarz.

Mathew wyszczerzył się od ucha do ucha. Miał pełno paprochów w jasnoblond włosach i oczy zaczerwienione od picia.

– Przynieś go do mnie – powiedział – a ja ci za niego zdobędę pięćset dolarów.

Była to połowa wysokości nagrody wyznaczonej przez Rycerzy Kolumba.

Nocą przyniosłem mu kielich, owinięty w nasz najlepszy koc, kapkę z

łóźeczka Percy'ego. Kielich był cały ze złota; kiedy go kradłem, na dnie leżało jeszcze kilka poświęconych hostii. Oddałem je Matowi razem z kielichem. Przyjrzał się, parę hostii zjadł, resztę wyrzucił na ziemię, w śnieg rozmokły od wiosennego deszczu. Potem nalał do kielicha wina Napoleon, upił i podał mi – ja też wypilem. Następnie wziął ścierkę i wytarł kielich starannie, ścierając odciski palców, całkiem jak ksiądz po komunii.

– Wracaj do domu i czekaj. Dam ci znać – powiedział wesoło.

Zadzwoił dwa dni później. Poszedłem do niego i dostałem pięćset dolarów. Mathew zaniósł kielich do Rudy'ego Bellangera, a Rudy oddał go Rycerzom Kolumba, ci zaś bez słowa wypisali mu czek. Mat mógł zatrzymać całą forszę dla siebie. Nie miałbym jak upomnieć się o swoje, gdyby to zrobił.

Tamtej nocy, dawno minionej, rozdzwoniły się dzwony w naszym kościele na cześć powrotu kielicha. Ksiądz oświadczył, że kradzież była tajemnicą, którą tylko Bóg jeden zna, ale zwrot kielicha to cud.

Matka przyszła do mnie z pytaniem, czy słyszałem, co się stało.

– A co się stało? – udałem głupiego.

– Dzisiaj zdarzył się cud – odparła z zawstyżeniem.

– Jeszcze jeden cud? A jaki tym razem?

– Nasz kielich został zwrócony ojcu Porierowi.

Percy roześmiał się i zaklaskał w rączki. A ja przysięgłem sobie, że już nigdy nie wpakuję się w kłopoty. Za te pięćset dolarów kupiłem mamie, Percy'emu i Autumn nowy, kolorowy telewizor.

Czułem do siebie wstręt. Musiałem prosić o opiekę innych. Nie potrafiłem ochronić Cheryl. A pamiętałem, jak Jay Beard chronił mojego ojca, gdy

jego własny dom był w niebezpieczeństwie.

## Rozdział 23

Tej nocy, kiedy dzwony ogłaszały powrót kielicha, Gerald Dove siedział na naradzie z adwokatami. Adwokaci naszych pięciu rodzin chcieli zaskarżyć rząd i posłużyć się taśmą z konferencji McVicera dla postawienia nowych zarzutów.

Dove sam nie wiedział, podobnie jak adwokaci, dlaczego czuje, że jest w tym jakaś pułapka. Ale wszystko, co wiedział o McVicerze, kazało mu podejrzewać, że tak jest. Wpędził oto w potrzask człowieka, z którym nigdy nie chciał zadzierać. Człowieka, który lata temu, w całkiem innej sprawie, przyszedł do sierocińca i zobaczył małego rudzielca, siedzącego na środku pokoju pełnego dzieciennych łóżeczek. McVicer wziął małego na rękę i wypytał o rodziców – ojciec zginął przed urodzeniem chłopca, raniony piłą w zakładzie McVicera, a matka zmarła parę miesięcy temu. McVicer, który zawsze miał szeroki gest, wziął dziecko pod opiekę. Dove był wycieńczony. Siedzieli w niedużym, świeżo urządzonej mieszkanku Penny Porier. Z radia, które stało obok dziewczyny, płynęła lekka muzyka klasyczna. Penny nie chciała słuchać niczego innego, chociaż muzyka klasyczna zasmucała jej śliczną, spokojną twarzyczkę. Tę zatroskaną buzię obróciła Penny teraz na swoich adwokatów. Była przykryta kocem i piła sok jabłkowy przez słomkę.

Dove miał świadomość, że ją wykorzystał. Do tej chwili nie wiedział jednak, do jakiego stopnia. Powiedział Penny, że za pomocą tych listów z sejfu McVicera zapewne da się udowodnić, iż rząd przez cały czas

wiedział doskonale, co się dzieje. Firmy kanadyjskie korzystały bezpiecznie z dotacji rządowych, bo rząd zabiegał o wielkie kompanie w Stanach Zjednoczonych, a setki, tysiące ludzi – nie tylko ona jedna – przypłaciły to zdrowiem. Ale to ona, Penny, jest ich główną klientką. Dove spytał ją, czy życzy sobie dalszych działań. Penny, którą sok jabłkowy załaskotał w gardle, zaczerwieniła się, bo Dove jej się podobał i przez ten miesiąc nauczyła się mówić to, co chciałby usłyszeć.

– Oczywiście – odparła.

Powiedziała to tylko po to, aby sprawić mu przyjemność, gdyż reszta nie za bardzo ją obchodziła.

Następnego dnia adwokaci wystosowali pozew, oskarżający rząd – ten sam rząd, który finansował ich działania – o współudział w przestępstwie i poważne zaniedbania. W ciągu trzech dni zrozumieli własny błąd. Dotacja na badania naukowe została natychmiast cofnięta.

Dove nie mógł już podróżować za darmo i badać pokrewnych przypadków na zlecenie adwokatów ani liczyć na przychylne zeznania placówek państwowych. Wszczęcie sprawy sądowej było niemożliwe, bo i rząd, i McVicer, i spółki chemiczne w Stanach – wszyscy gotowi byli procesować się latami. A Penny Porier mogła umrzeć w ciągu paru miesięcy.

Dwudziestego ósmego marca Dove próbował porozumieć się telefonicznie z McVicerem, ale ten na dźwięk jego nazwiska złamał o kolano wędkę i rzucił słuchawkę.

Adwokaci z drużyny Dove'a zrozumieli, że jeśli chcą dalej bronić sprawy w imieniu reprezentowanych przez siebie rodzin, muszą to robić na własny koszt. Rankiem pierwszego kwietnia w mieszkaniu Penny, która leżała na kanapie, rozpętała się kłótnia.

– Och – przerwała ją nagle Penny, unosząc głowę. – To chyba Bach... tak... chyba tak.

Tydzień później przy Penny wytrwali już tylko Gerald Dove i Griffin, ośmieszony jako chciwiec i intrygant.

Dove robił wszystko, żeby utrzymać Penny w mieszkaniu i zapewnić jej pielęgniarkę. Ale coraz trudniej mu było płacić rachunki. Zdesperowany, napisał do Gladys McVicer, matki chrzestnej Penny. Gladys jednak, przerażona wściekłością swego ojca na Dove'a, była bezradna.

W końcu Griffin, jedyny z rodziny, który jeszcze rozmawiał z Penny, zabrał ją do domu.

Ostatni wierny adwokat usiłował, przez sympatię dla Dove'a, wydobyć listy od McVicera, ten jednak oświadczył, że pisma dawno się gdzieś zawieruszyły, a sąd, z właściwą sądom bezczelnością, czując słabość Dove'a, odmówił wszczęcia rewizji z braku wyraźnych dowodów.

W końcu kwietnia postanowiono, przez wzgląd na Penny (której wszyscy, od rządu po McVicera, deklarowali sympatię), umorzyć rozprawę. Rząd, w geście dobrej woli, zaoferował Penny to, co wszystkim poszkodowanym rodzinom: trzy tysiące dolarów.

McVicer dodatkowo zapewnił Abby'ego, że zachowuje posadę brygadzysty, chociaż przedtem od tygodni do niego nie dzwonił. Abby nie miał ani emerytury, ani szansy zatrudnienia się gdziekolwiek indziej. A skończył już pięćdziesiąt lat. Pętał się po sklepie, zdenerwowany, z miną pełną nadziei. Jego żona upiekła dla McVicera całą blaszkę swoich słynnych daktylowych ciasteczek. Podobno Leo wysypał je swoim koniom.

Ludzie zaczęli plotkować, że choroba Penny to nic innego jak skutek



nowomodnej rozwiązłości, a Penny chciała wszystko zwalić na McVicera, żeby nie rzucać cienia na swoją bogobojną katolicką rodzinę, zwłaszcza że jej stryj był skromnym i pobożnym księdzem. Paru facetów podjechało starym kabrioletem pod okno Penny i wykrzykiwało obelgi pod jej adresem. Griffin wyskoczył z domu, złapał kamień i z bezsilności cisnął go w powietrze, a szydery, widząc to, pokładali się ze śmiechu.

Kiedy plotki o Penny dostały się do mediów, McVicer wydał oświadczenie, w którym wszystko dementował i upraszał społeczeństwo, aby nie dawało wiary fałszywym pogłoskom.

Penny Porier, która nosiła jeszcze klamerki ortodontyczne na dolnych zębach, umarła w ostatnim tygodniu kwietnia, mając osiemnaście lat. Nie poszedłem na jej pogrzeb.

## Rozdział 24

Trzy dni później szedłem starą asfaltową uliczką w stronę sklepu McVicera. Cieszyłem się, że mam wreszcie spokój z kielichem. Wiał łagodny wietrzyk, wieczór był przyjemny. Szedłem w rozpiętej kurtce, z rękami w kieszeniach. W domach paliły się światła, na podwórkach topniał śnieg.

Czułem, że ktoś się skrada za mną skrajem lasu. Poszedłem jeszcze kawałek dalej i odwróciłem się zniemacka. Jakaś postać prysnęła na drugą stronę jezdni i pognała na przełaj przez pole ku szosie.

Poszedłem za nią górą, przez las, i stanęliśmy oko w oko tuż za boiskiem klubu mieszkańców. To był Griffin Porier.

– Co jest? – spytałem. – Siedzisz mnie? Chcesz jeszcze raz dostać w ryja?

– Nie – wykrztusił. Trząśnięty jak osika. W ręku niósł kanister z benzyną.  
– No to o co ci chodzi, cholera?  
– O nic. – Łzy popłynęły mu z oczu. – Chciałem podpalić ten jego zasrany sklep, za to że nas tak wrabiał i oszukiwał. Tata trzydzieści lat u niego pracował, a teraz siedzi sam w domu, cień człowieka... A Penny... Ale stchórzyłem.

– Daj mi to – powiedziałem. – To nie dla takiego mięczaka jak ty. Wyrwałem mu kanister i złamany kij hokejowy, okręcony na końcu szmatą, który miał za pasem.

Była to jedna z tych wiosennych nocy, gdy blask księżycy ślizga się po resztkach śniegu na polach i srebrzy ścieżki oczekiwaniem wiosny i lata. Zaszedłem sklep od zaplecza – od tej strony wyglądał nędznie, poobijany byle jak blachą i papą. Stał w tym miejscu od ośmiu lat. Pracowałem w nim nieraz. W pewnym sensie był także mój.

Wybiłem szybę kijem, potem podpaliłem szmatę i wrzuciłem pochodnię do środka, na półkę z roboczymi spodniami. Polałem benzyną. Sklep jakby właśnie na to czekał od ośmiu lat. Miałem wrażenie, że wyszedłem z własnej skóry i patrzę sam na siebie z wielkiej wysokości.

Dwa dni później McVicer wezwał mnie do siebie. Poszedłem i stanąłem w jego kantorku, błędząc wzrokiem po imponującej kolekcji spławików; w kącie stała złamana wędka. McVicer usiadł i patrzył na mnie z dołu. Był w lewisach, a dzinsy zawsze dziwnie wyglądają na facecie po sześćdziesiątce, choćby zachował nie wiem jak młodzieńczy wygląd. Powiedział mi, że od pożaru oka nie zmrużył. Wyglądał mizernie. Cały poprzedni dzień spędził z rzeczoznawcą z ubezpieczenia. Zwierzył mi się, że firma

ubezpieczeniowa podejrzewa, iż to on sam podpalił sklep, który stałby mu się kulą u nogi, gdy wybuduje drogę, bo droga biegnie dalej na północ, omijając naszą miejscowość. Chcieli mu odmówić odszkodowania. Patrzył na mnie z przerażeniem.

Był skończony.

– Czy ja nie dałem każdemu w prezencie indyka na święta? Kto, na litość boską, miał interes w spaleniu mi sklepu, no kto, Lyle?

– Nie wiem, proszę pana – odpowiedziałem.

– Nigdy nie płaciłem pensji minimum, zawsze dorzucałem parę groszy. Otworzył szklaną szkatułkę ze spławikami, przyjrzał im się uważnie i spytał, czy chcę sobie parę wziąć. Wziąłem Królewskiego Stangreta, na szczęście.

– Pokaż ręce – polecił mi. Pokazałem. Przyjrzał im się z zaciekawieniem, ujął w swoje dłonie i przyłożył do piersi. Oczy mu błysnęły. Przesunął kciukiem po knykciach moich palców. Już, już chciałem się przyznać do winy. Ale wtedy on powiedział:

– No widzisz, mówiłem ci, że kiedyś będziesz się boksował. – Jego szorstkie, starcze dłonie drżały odrobinę. – Nie mam już sklepu – ciągnął, puszczając moje ręce i sięgając po złamaną wędkę. – Nie, ja już nie mam swojego sklepu. Chcę, żebyś wiedział, że nigdy nie wyrządziłem krzywdy twojemu ojcu ani matce. Zawsze ich lubiłem.

Nie patrzył już na mnie, tylko uważnie przyglądał się wspomnieniu po wędce. Milczałem.

– Człowieka można pokonać, ale nie można zniszczyć – oświadczył, przekręcając cytat, który brzmi: „Człowieka można zniszczyć, ale nie można pokonać”.

Powiedziałem mu, że to z Hemingwaya. Nie wiedział o tym. Usłyszał to po prostu od kogoś, gdy był w kłopotach.

Kiwnąłem głową, a on pozwolił mi odejść.

## Rozdział 25

Przyszło lato osiemdziesiątego dziewiątego roku. Ojca nie było w domu już od trzech lat. Percy w ogóle go nie pamiętał, mnie żyło się lepiej.

Tata pisał listy do domu, przysyłał pieniądze i teksty modlitw za nas (ani jednej z tych modlitw, które nazywałem jego modliszkami, nie zachowałem ani nie odwzajemniłem), zapewniał nas listownie, że swoją pracą zagwarantuje nam spokojną przyszłość (akurat!) i że niedługo znów będziemy razem (miałem to gdzieś).

Elly odczytywała nam te listy, trzymając kartkę tuż przed nosem, bo oczy bardzo jej osłabły. Kochała ojca i nadal była śliczna, jej włosy z pierwszymi dyskretnymi śladami siwizny jak dawniej spadały na czoło w dojrzałych blaskach wieczornego słońca, gdy po kolacji siadywaliśmy przy kuchennym stole.

Matka z Percym uprawiali ogródek, a w nim groch i fasolę – próbowaliśmy namówić Percy'ego do skosztowania zielonego groszku, kładąc mu co dzień przy kolacji jedno ziarnko na talerzu. Percy jednak nie dawał się skusić. Za to sumiennie zjadał wszystko dookoła groszku.

Elly z Percym wychodzili co rano do ogrodu, doglądać marchwi, fasoli i rzepy, z gatunku rzepy żółtej, jak nas fachowo pouczyła Autumn. A z upływem lata, popołudniami, mama siadywała na ganku, łuskając groch, Percy zaś wylegiwał się w trawie ze Scupperem Pitem. Autumn, która

dostała w szkole letnią pracę korepetytorki, wracała do domu około drugiej.

Matka od wiosny zatrudniona była przy roznoszeniu kanapek u pani McTavish, u której swego czasu mieszkała na stacji. Dwa razy w tygodniu dostarczała dwadzieścia pięć kanapek robotnikom pracującym przy drodze: lista ich nazwisk, nagryzmołonych koślawym, nieporadnym pismem matki, leżała zawsze na kuchennym stole. Nieraz, gdy się budziłem, matki już nie było, bo poszła kupić produkty do kanapek. Tworzyła swoje małe królestwo kanapek. Maszerowała dzielnie szosą, sama, drobna, w miękkim przepychu złotorudych włosów, z nieco smutnym uśmiechem. Czasem wieczorami opowiadała Percy'emu i Autumn bajeczkę o tym, jak to kiedyś tata wróci, a ona nie będzie już musiała robić kanapek, tylko – kto wie – może pójdzie na uniwersytet. – Ach, jak to będzie cudownie – uśmiechała się, splatając dłonie na podołku. Potem wzdychała i, nie mogąc się powstrzymać, powtarzała to samo jeszcze raz: – Ach, jak to będzie cudownie.

Ojciec napisał, że wróci do domu przed świętami. Sam nie wiem czemu, ale broniłem go publicznie, chociaż czułem do niego nienawiść. Jednak gdy Autumn chciała, żebym wraz z resztą rodziny usiadł do zdjęcia, które Jay Beard miał nam pstryknąć do wysłania ojcu – odmówiłem.

Od paru lat korzystałem z pieniędzy, które ojciec nam przysyłał: płaciłem nimi za wodę, olej i codzienne zakupy. Na siebie oficjalnie nie wydawałem ani grosza – tak mówiłem Autumn. Ale nigdy nie pokazałem jej, ile właściwie ojciec nam przysyła. Z początku brałem z tego tylko trochę, z czasem coraz więcej. W końcu pieniądze ojca stały się moją obsesją – większość z nich przepijałem w mieście. Słyszałem, że ojciec haruje jak

wół, w niebezpiecznych warunkach. Wiedziałem więc, że nie powinienem tknąć z tej forsy ani centa. Usiłowałem uzupełniać braki w kasie. Minionej zimy kłusowałem na pizmowce i bobry, a także, wystawiając na przynętę ogłupiałą, nędzną chabetę, ustrzeliłem dziesięć kojotów ze starej dwururki ojca, a ich skóry posprzedawałem po trzydzieści dolców. Uważałem się chyba za twardziela, taką też miałem reputację. Ale forsa napływała i znikwała, a ja wciąż byłem na minusie. Zmierzałem donikąd – ani na uniwersytet, ani do piekła.

Autumn domyślała się, że podbieram pieniądze taty, więc unikałem jej wzroku. Sam na siebie nie mogłem patrzeć. Za każdym razem, gdy brałem dziesięć dolarów, dziargałem sobie nożem kreskę na lewej ręce, żeby pamiętać, jak zdejmę koszulę, ile krwi jestem winien swojemu tacie. Po jakimś czasie zacząłem ciachać prawą rękę. Coraz głębiej i szerzej. Aż pewnego wietrznego dnia, wałęsając się daleko nad potokiem Arron, uświadomiłem sobie, że wydałem ponad tysiąc dwieście dolarów, które były własnością mojej rodziny, i że krwawe szramy na moich rękach nie załatwiają niczego – szydzą tylko ze słabości mojego charakteru.

– Weźmiesz mnie i Percy’ego na przystań Gordona? Popływamy sobie – zaproponowała któregoś dnia Autumn, wyciągając rękę do zgody.

Obiecałem, że to zrobię.

Ale nie miałem dla nich czasu. Nawet na to, żeby zabrać Percy’ego do cyrku. Przez cały rok obiecywałem mu to, obiecywałem i obiecywałem. A on tak bardzo czekał. Co rano wstawał i, szczotkując Scuppera Pita, informował go:

– To dzisiaj, zobaczysz. Dzisiaj Lyle weźmie mnie do cyrku.

Bywało, że włączyłem się nad potokiem przez dziesięć dni z rzędu.

Ale nawet tam dochodziły mnie czasem wieści o ojcu. Rozmawiali o nim obcy wędkarze, których spotykałem na Bartibog, nad rdzawymi o zmierzchu stawami. Chodziłem z nożem u pasa i drugim w cholewie. Któregoś dnia jakiś facet zagadnął mnie, czy ojciec jeszcze żyje. Powiedział, że go zna i od początku podejrzewał, że wszystkie te oskarżenia przeciwko niemu to stek kłamstw.

– To świetny gość, powiadam ci – dodał na koniec.

– Nie wiem, nie znam go... i nie chcę znać – odburknąłem, z trudem kontrolując głos, bo głupie łzy stanęły mi w oczach. Facet kiwnął głową i poszedł dalej brzegiem stawu, aż zniknął w szarówce wieczoru.

Czemu, na litość boską, on mi nie dawał spokoju? Obiecywałem sobie, że nie wydam już ani centa z jego pieniędzy. Skoro on był świetnym facetem, to i ja taki będę. Sam jeszcze nie wiedziałem, jak bardzo mu zazdroszczę. A zazdrościłem mu bardzo. Ułożył sobie własne życie, na przekór nędzy, szyderstwom i nietolerancji. Żył, jak należy. Żył wedle wskazań Marka Aureliusza. Uczynił to, co ludzie na całym świecie głoszą, ale czego nie czynią. A ja, chcąc mu dowieść własnej wartości – co z siebie zrobiłem?

## Rozdział 26

Czasami, wracając z ryb przez Wypalone Wzgórze, widziałem z daleka nasz domek, przycupnięty na równinie między drzewami, i ledwo, ledwo dostrzegalny punkcik Percy'ego, który mozolnie ciągnął swój wózek grząską ścieżką na posterunek, gdzie zawsze na mnie czekał. A za Percym kuśtykał stary pies Trentona Pita, Scupper Pit.

Po przeciwnej stronie widać było kamiennie cichy dom Pitów, nad którym

wysoko bujały różowawe chmury, a po drugiej stronie turkusowej zatoki – niewyraźne zarysy zabudowań Bay du Vin. Za moimi plecami pozostał złowieszczy, stary dom Leo McVicera.

Dom Pitów był w opłakanym stanie z powodu serca małej Tereski. Na podwórku pełno dziur, drewniana okładzina ścian pożółkła i obrosła dziesięcioletnim brudem. Sam dom tkwił dziwnie koślawo na podmurówce, dobudowanej z inicjatywy Cynthii. Nowe huśtawki na podwórku, ufundowane przez Rudy’ego Bellangera, potęgowały tylko wrażenie skrajnej nędzy. Tereska często leżała na intensywnej terapii w Moncton albo w Halifaksie. Pamiętam, jak sztywno i nieswojo poruszała się Cynthia w spódnicach i sukienkach, które wkładała do szpitala.

Co najmniej połowa zarobków Rudy’ego szła na ochronę jego dobrego imienia i ucieszenie Cynthii. Cynthia strasznie się bała, że dziecko umrze, a jej lęk miał sekretną przyczynę, której nie zdradzała otwarcie nawet samej sobie. Czym będzie szantażować Rudy’ego, jeśli mała umrze? Od spalenia sklepu Rudy nie otrzymywał stałych dochodów. Na początku roku miał jeszcze osiem tysięcy dolarów, odłożonych swego czasu na studia uniwersyteckie pod wpływem zauroczenia osobą Geralda Dove’a, którego – jak się dowiedział – kiedyś kochała Gladys. Rudy nawet mi opowiadał pewnego wieczoru o uniwersytecie, sądząc, że robi to na mnie dobre wrażenie.

– Słyszałeś kiedyś o takim pisarzu, no... tym... jak mu było... James Joyce?

– zagadnął, mrużąc oczy.

Odpowiedziałem, że owszem, słyszałem, i wymieniłem tytuły dzieł Joyce’a. Rudy z podziwem pokręcił głową.

– Ja im więcej się uczę, tym mniej umiem – przyznał ze smutkiem.



W ciągu paru miesięcy, stopniowo, całe pieniądze na studia przekazał Cynthii. Sam wciąż mieszkał w wielkim domu, wciąż coś robił dla Leo McVicera, ale każdy ostrzejszy powiew od zatoki uświadamiał mu, że życie ucieka, a on niczego jeszcze nie osiągnął. Tę samą boję widział na horyzoncie, mając dziesięć lat, co teraz, mając lat czterdzieści.

Pewnej nocy wróciłem do domu pijany, z butelką w ręce. Pobudziłem wszystkich. Matkę ściągnąłem na dół, żeby mi zrobiła kolację.

– Ćśśś – szepnęła Autumn.

– Żadne ćśśś, żadne ćśśś! – Zamachnąłem się na nią. W ostatniej chwili powstrzymałem rękę.

– Obudzisz Percy’ego, a on...

– A on co?!

– A on idzie do pierwszej klasy, zapisałyśmy go z mamą od jesieni, strasznie się cieszy. Cały dzień czekał, żeby ci pokazać ołówek...

Podszedłem do łóżka. Percy udawał, że śpi, obok swojej kolekcji gąsienic na nocnej szafce, z małymi tenisówkami pod łóżkiem, z których wyzierały zwinięte skarpetki, i słynną muchą zawieszoną na oparciu łóżka. W rączce zaciskał ołówek. Od czasu do czasu otwierał jedno oko, zerkał na mnie, jak się zataczam i śpiewam, i szybko zamykał powiekę. Musiał widzieć nacięcia na moich rękach i tatuaż na lewym ramieniu, wykonany w cyrku. Rozbierając się, zobaczyłem cztery dolary w kopercie na stoliku Percy’ego, z dziwnym napisem na wierzchu: Getira.

Nazajutrz rano nie mogłem na nie patrzeć. Leżały na stole jak niemy wyrzut sumienia. Wybiegłem na dwór w deszcz.

Resztę lata spędziłem na łowieniu ryb i rąbaniu drewna na zimę – im

więcej go narąbałem, tym mniej mieliśmy szansę spalić oleju, tym mniej miałbym wydatków. Na większość rzeczy, które zgromadziłem, znalazłem nabywców.

## Rozdział 27

Mniej więcej dwa razy w miesiącu matka dostawała list z pieczętą PILNE, z wydziału podatkowego, z informacją, ile jeszcze są z ojcem winni, ile wynosi kara za zwłokę i jaki jest termin spłaty. Pewnego dnia, przetrząsając kuchenne szuflady w poszukiwaniu ostrzałki do piły, natknąłem się na plik tych pism w plastikowej torebce, ukryty pod ścierkami. Wyjąłem je i przestudiowałem. Ukazywały obraz klęski, w jaką wpędził matkę mój ojciec swoją jedyną w życiu próbą wejścia w interesy – klęski, która ją przerastała i zawstydziała, więc matka ukrywała ją przed nami, dziećmi, mimo że ja uważałem się już za głowę rodziny.

Cały gniew wyładowałem na matce, która trzęsła się cała, słuchając moich wrzasków. Tak długo polegała na mnie jako mężczyźnie, że przestałem być jej synem. Nieraz słyszałem o tym, jak Mathew Pit dręczył Trentona. A teraz ja robiłem to samo z matką. Wreszcie, po godzinnym wyklinaniu na nią i na tatę, zapluty z wściekłości, zamilkłem i usiadłem koło matki, oniemiały. Dygotała, spuściła głowę, z nosa jej kapało, lewą stopą przydeptywała prawą. Gapiała się na własne buty.

Autumn chwyciła mnie kurczowo, a ja ją odtrąciłem, podbijając jej oko. Percy przez cały czas siedział bez słowa na kozetce. Chcąc ich jakoś udobruchać, spytałem wreszcie:

– Ale jak mogą nam odebrać te nędzne resztki?

Mama nic nie odpowiedziała. Wiedziała, że to ja wydałem pieniądze. Przepuściłem je na wino. Siedziała, swoim zwyczajem, z rękami złożonymi na fartuchu, patrzyła gdzieś poza mnie.

– Trzeba tam do nich pójść! – oświadczyłem. – Ja to wyjaśnię, mamó, zobaczysz, że wszystko wyjaśnię.

Autumn przestała się do mnie odzywać. Ale matka zrobiła, co chciałem. Chociaż źle się czuła i większość czasu przesiadywała teraz na ganku, poszła ze mną do urzędu podatkowego nad pocztą w Chatham i usiadła w korytarzu, czekając, aż pani Hardwicke poprosi nas do środka.

Okazało się, że pani Hardwicke już nie zajmuje się naszą sprawą, a przejęła ją inna urzędniczka, zwierzchniczka pani Hardwicke. Nazwisko jej brzmiało Whyne.

Diedre Whyne siedziała za biurkiem, popatrując co chwila na moją matkę, ale mnie omijając wzrokiem. Odchrząknęła.

Oznajmiła nam, że urząd podatkowy ma pewną propozycję. Możemy uwolnić się od części zadłużenia, sprzedając las znajdujący się na terenie naszej posesji. Szacowała, że dostaniemy za to około dziesięciu tysięcy dolarów. Na mapie topograficznej terenu pokazała nam nasze działki, oznaczone numerami 987, 988 i 990. Chodziło o działkę numer 988.

Powiedziałem jej, że przecenia wartość tej działki o dobre sześć tysięcy dolarów. Spytała, czy wycinałem stamtąd jakieś drzewa. Nie odpowiedziałem. Przypomniałem jej tylko, że dług podatkowy obciąża mojego ojca. Co nie było prawdą. Dług ten obciążał również moją matkę, która mogła rozporządzić majątkiem w celu zmniejszenia należności, gdyż ziemia należała wspólnie do niej i jej męża.

– Mnie ten las jest potrzebny do ścinki – powiedziałem.

- Więc możesz go wyciąć i sprzedać drewno – rzekła pani Whyne.
  - Potrzebuję go na zimę, na opał.
  - Jeżeli nie przeprowadzicie się do innego domu – zauważyła pani Whyne.
  - Gdybyście się przenieśli do taniego mieszkania w mieście i sprzedali gospodarstwo, dług zostałby spłacony. Zrozumcie, że ja nie chcę wyrządzić wam krzywdy – ja wam chcę pomóc. Robię, co mogę, żeby jakoś wyciągnąć Elly z tego bagna. Nie sypiam po nocach. Czuję się za nią odpowiedzialna...
  - Ale my się nigdzie nie przeprowadzimy – powiedziała matka. – Czekamy na mojego męża – jak nas znajdzie, kiedy wróci?
- Pani Whyne westchnęła.
- Ileż to razy ostrzegałam cię, że tak będzie. Mężczyźni uciekają z domu, zostawiają żony z kupą dzieci na głowie...
- Matka zaczęła się wiercić i spoglądać w moją stronę, jakby mnie chciała skłonić do milczenia.
- W porządku – podsumowała pani Whyne. – Ale jeżeli wyniesz las na swoim terenie, oczekujemy, że sprzedasz drewno – mamy do tego prawo, pamiętaj o tym. Przyjrzałam się waszej sprawie pod każdym możliwym kątem – nic tu więcej nie mogę poradzić poza oferowaniem wam taniego dwupokojowego mieszkania na ulicy Margaret. Zarezerwowałam je dla was.
  - Skąd pani wie, że ścinam drzewo na swoim terenie? – spytałem.
  - A ścinasz?
  - Na opał, na zimę.
  - Przykro mi – zwróciła się do matki – ale macie obowiązek sprzedać to drewno, nie możecie wykorzystać go dla siebie.

Wróciliśmy do domu. Whyne potraktowała nas z całą formalnością i bezduszną prowincjonalną władzą. Po latach dowiedziałem się, że w każdej chwili ktoś od nas albo z Saint John mógł wydać tak zwany „akt abolicji”, zwalniający nas całkowicie z obowiązku spłaty długu. Pani Hardwicke też to wiedziała, i dlatego odebrano jej naszą sprawę.

Siedziałem po ciemku na kuchennym krześle i usiłowałem coś wymyślić.

– Nie mogą nam wszystkiego zabrać – powiedziałem matce. Ale ona tylko złożyła ręce na kolanach i westchnęła.

Następnego dnia wziąłem starą piłę łańcuchową ojca, tę, której używał do wycinania przerębli w sezonie połowu stynek. Z rana ściąłem kilka brzoź. Porzuciłem je na jadowe kawałki i ukryłem jak najstaranniej za krzakami, pod stertą sieci rybackich. Potem zabrałem wędkę, parę robaków i poszedłem nad wodę.

Do domu wróciłem późnym wieczorem. Nasz stary leżak stał na frontowym podwórku, z rzadka porośniętym trawą. W domu nie paliły się światła, ciszę zakłócało tylko ćwierkanie ostatnich ptaków. Na stole czekał na mnie kawałek urodzinowego tortu Percy’ego. Poszedłem na górę. W naszym pokoju znalazłem kopertę z nagryzmołonym przez Percy’ego słowem Getira i pomiętymi dolarówkami w środku. Poszperałem po kieszeniach za banknotem, żeby dołożyć do koperty, ale moje kieszenie były równie puste jak moje serce.

Nazajutrz udałem się po ścięte drewno. Było jeszcze bardzo wcześnie, na wysokich trawach wisiały perełki rosy. Szedłem wzdłuż potoku Arron, wdychając zbutwiały zapach wiatrołomu. Słońce meandrowało między koronami drzew. Jakaś wrona zakrakała bojowo na mój widok. Zacząłem się rozglądać za drewnem, a nie widząc go, uznałem, że zapędziłem się za

daleko.

Ale jednak nie. Po śladach poznałem, że ścieżką od szosy przyjechała furgonetka i zabrała moje drewno. Wszystkie cztery sagi, do ostatniej szczapy. Na jazgot wiewiórki nad głową podniosłem wzrok i zakląłem siarczyście.

Udałem się do biura podatkowego i czekałem tam ponad godzinę. Już się prawie zniechęciłem, kiedy pani Whyne raczyła wezwać mnie do siebie. Było piętnaście po czwartej. Latem urząd pracował do szesnastej trzydzieści.

Poprowadzono mnie do jej kantorka korytarzem, obwieszonym zdjęciami strumieni i starych świerków. Na dworze zrobiło się gorąco, więc w urzędzie włączono klimatyzację. Za kantorkiem pani Whyne w pokoju przyjęć interesantów ciągnęły się w półmroku stanowiska innych urzędników. Przez wąskie żaluzje z trudem przeciskało się słońce.

Pani Whyne nosiła tego dnia wielkie kolczyki, bluzkę w kwiaty i prostą, jasnoniebieską spódnicę. Miała niezdrowo białą cerę i wytrzeszczone oczy – tak wyglądała latem większość urzędników.

– Skradziono mi drewno – oznajmiłem.

– Owszem, wysłaliśmy po nie samochód – odparła spokojnie.

– To moje drewno, na zimę. Jest nam potrzebne do ogrzania domu.

– To drewno jest własnością kanadyjskiego urzędu podatkowego – odpowiedziała. Chrząknęła, uniosła szklankę z wodą, przerzuciła jakieś papiery i zwróciła na mnie rozszerzone, zaczerwienione oczy. Ledwo dotknęła ustami wody i uśmiechnęła się nieznacznie, jakby do siebie.

– Ja się wam odpłacę – szepnąłem.

– Słucham?

– Ja się wam odpłacę – powtórzyłem szeptem. – Mój ojciec został zrujnowany przez głupstwo. Ale ja nie jestem swoim ojcem. Nigdy taki nie będę.

– Ach tak? Pogróżki? – powiedziała. – Z pogrózkami jeszcze się nie spotkałam.

Nie miałem już żadnych środków obrony. W każdym razie żadnych dozwolonych. Odwróciłem się więc i rąbnąłem pięścią w okno.

Zabrali mnie do szpitala i założyli jedenaście szwów. Policja przyjechała mnie przesłuchać w porze kolacji; siedziałem na wózku inwalidzkim. Policję reprezentował posterunkowy Morris.

– Lyle – zaapelował do mnie – pomyśl o Elly.

Chciał wiedzieć, czy groziłem pani Whyne. Powiedziałem, że nie, że wcale nie miałem takiej intencji, tak samo jak nie chciałem stłuc szyby.

Wiedziałem już, jak to jest: mój ojciec mówił Morrisowi prawdę, ale Morris nie chciał mu wierzyć ze względu na moją matkę. Ja kłamałem, a Morris za wszelką cenę chciał mi wierzyć – też ze względu na matkę.

Oznajmił, że nie wie, w co jestem wmieszany ani z kim, ale jedno chce mi powiedzieć.

– Co takiego? – spytałem.

Ostrzegł mnie, że wkrótce planuje najazd policyjny na dom Sheppardów, więc żebym się trzymał od nich z dala, od Votourów też.

Powiedziałem, że Cheryl i jej rodzinie nie wolno robić krzywdy, bo niczemu nie są winni.

– Jak im piśniesz słowo, załatwię cię – zagroził Morris. – Robię to dla twojej matki, tylko dla twojej matki, trzymaj się z dala od tej zaszraniej budy. Robię to dla Sydneya – dodał – nie dla ciebie. Nie chcę, żebyś się

wpakował w kocioł.

O ósmej puścili mnie do domu. Postawiono mi warunki. Miałem nie zbliżać się więcej do pani Whyne ani do urzędu podatkowego, bo oskarżą mnie o napaść na urzędnika publicznego i pójdę siedzieć.

Wschodni wiatr przypominał mi o jesieni i o tym, że moje drewno powinno od paru godzin leżeć pod wiatą. Bolała mnie ręka. Przypomniało mi się, jak tata złapał mój nóż i jak bezsensowny wydał mi się wtedy jego gest. A mój z szybą, co mi dał? Dokładnie tyle samo, czyli nic. I nagle dostrzegłem w geście ojca prawdziwie męską dumę i szlachetność. Jego gest był bezinteresowny. A mój dowodził szczeniackiej głupoty. Poza tym ojciec nie był winny. Brzydziłem się przechodzić za dnia koło lustra.

Trzy dni później policja zgarnęła z domu Danny'ego Shepparda. Pewien, że grozi mu wyrok, strzelił z dwururki do gliniarza. Chybił. Tym gliniarzem był posterunkowy Morris.

Wkrótce potem Danny stanął przed sądem. A wśród ławników zasiadał przypadkiem Rudy Bellanger. Przeciwno Danny'emu znaleziono kupę dowodów, między innymi to, że sprzedawał narkotyki młodzieży zwiedzającej park narodowy. Było to czwarte wykroczenie Danny'ego Shepparda i nikt nie miał wątpliwości, że tym razem skończy się odsiadką, chociaż kiedy Danny zjawił się w sądzie ostrzyżony i w czystym garniturze, jeden z obecnych na sali policjantów miał kłopoty z rozpoznaniem go w tłumie.

Rudy, jako przewodniczący składu, odczytał werdykt z nieukrywaną ulgą. Nie rozumiał tylko, dlaczego Mathew siedzi tak cicho, wyraźnie niespokojny. Ja wiedziałem.



Ledwie odczytano głośno wyrok jedenastu lat więzienia i sala sądowa opustoszała, Danny zdradził inspektorowi Johnowi Delano, że on i jego brat Bennie znają pewne szczegóły dotyczące mostu i dawnej kradzieży w domu McVicera.

Rudy jeszcze się chwalił swoim udziałem w upadku Sheppardów, a ja już czułem, że przyczyniając się do skazania Danny'ego Shepparda, ściągnął wyrok na Mathew Pita i na siebie samego. Tylko jeszcze o tym nie wiedział. Mathew dwa razy odwiedził kumpla w Dorchester i za każdym razem wracał smutniejszy. Już nawet Connie Devlin się do niego nie odzywał.

Ich świat zawalił się bez mojej pomocy, dokładnie tak, jak przepowiedział mój ojciec. Kto podnosi rękę na bliźniego, podnosi ją na siebie samego. Gdybym choć trochę uwierzył ojcu, byłbym wolny po dziś dzień.

# Miłość

## Rozdział 1

Mathew i Cynthia wmówili sobie, że po wygraniu sprawy będą mogli spokojnie osiąść na laurach. Ale czekali sześć lat – jak to ludzie małej wiedzy – w przekonaniu, że adwokat działa w ich najlepszym interesie, bo jest dla nich kimś więcej niż adwokatem – jest przyjacielem. Uwierzyli, krótko mówiąc, w mit stworzony przez samego Snooka, a powolność procedur prawnych rozumieli tak, jak im ją Snook tłumaczył. Aż w końcu wszystkim się znudziły opowieści o bataliach sądowych Pitów. Co zaś do Snooka, to odkąd zainkasował od Pitów trzy tysiące dolarów, rzadko – jeśli w ogóle – myślał o ich sprawie.

W tydzień po ogłoszeniu wyroku na Danny'ego Shepparda Frederick Snook przyjechał z miasta do Pitów. Widziałem, jak o zmierzchu zajeżdża samochodem na ich podwórze. Wysiadł z auta w tym samym krzykliwym garniturze, w którym go pamiętałem z sądu. Strzepnął pył z półbutów i, obrzucając starą rudere krytycznym spojrzeniem, wszedł do środka. Ujął małą Teresę May za paluszki, porobił do niej miny, udał, że ułamuje jej kawałek ucha i oddaje do rączki. Tereska, chociaż miała już pięć lat, wyglądała na trzy.

Snook spytał, jak mała się czuje, i dowiedział się, że jej stan jest bardzo ciężki, tak bardzo, że w przyszłości może okazać się konieczny przeszczep serca. Uznając, że już spełnił grzecznościowy obowiązek, Snook zwrócił się następnie do swoich klientów i powiedział im, z czym przyjechał.

– Mam propozycję, żebyśmy zamknęli całą sprawę raz na zawsze.

Cynthia zerknęła na brata i mrugnęła okiem. Mathew pociągnął nosem. Propozycja dotyczyła jednorazowej spłaty w wysokości dwóch tysięcy dolarów.

Przy gołym metalowym stole zapadła cisza. Pitów zatkało. Propozycja oznaczała tysiąc dolarów mniej niż to, co dotychczas włożyli w dochodzenie.

Frederick słuchał z obojętnością niewiniątka, jak pomstują na wszystkich dookoła, jakby to inni zawinili, a nie ich adwokat. Z krzykiem wyłuszczyli mu swoje plany, co do których sam narobił im nadziei. Snook wyszedł od Pitów z ciężkim sercem i poczuciem urazy, jakiego w takich chwilach zwykle doznają ludzie o jego doświadczeniu w kwestiach prawa i interesów.

Dwa dni później sami przyjechali do jego biura. Nie spodziewał się ich więcej zobaczyć, więc w pierwszej chwili zrobił zaskoczoną minę.

Cynthia prowadziła za rękę Teresę May, która miała na główce opaskę w kwiatki, a w okolicach mostka widoczną bliznę. Tym razem jednak adwokat nie uznał za stosowne przekomarzać się z małą. Widział w niej tylko chorowite dziecko matki, którą zaliczał do kategorii „białych śmieci”.

Wyjął z półki dwie teczki z aktami i podszedł do biurka. Gestem wskazał interesantom dwa krzesła.

Oznajmił im, że adwokaci McVicera wystąpili z rozsądną, ich zdaniem, ofertą.

– Osobiście wolałbym nie być bogaty w tej parafii – powiedział, dając do zrozumienia, że Cynthia i Mat powinni wczuć się w sytuację swego przeciwnika.

Rozumiał, że oferta może ich nie zadowalać, ale decyzja należała wyłącznie do nich. Pitów najbardziej ubodło określenie „rozsądna oferta”. Mathew miał na sobie tę samą, co zawsze od lat, sportową marynarkę i kowbojskie buty; Cynthia była w tej samej sukience, w której wozila do szpitala małą Tereskę. Snook, kręcąc smutno głową, popatrywał to w akta, to na któreś z nich, i perorował dalej:

– Zdaniem wszystkich ekspertów, przeszło nie załamałoby się, gdyby nie sabotaż. W rozprawie ta opinia byłaby zapewne korzystna dla przedsiębiorcy, za to wybitnie niekorzystna dla was i Conniego Devlina. Mówię to w waszym interesie. W tej sytuacji sprawa pociągnęłaby za sobą ogromne koszty – McVicer to kawał drania, ale ma bystrych adwokatów. Mathew i Cynthia westchnęli i oświadczyli, że przyjmą odszkodowanie. Snook zamknął akta, wstał i przeszedł do szafy z segregatorem.

– Szkoda, że zdecydowaliście się tak późno – powiedział.

– Dlaczego?

– Bo oferta została cofnięta... już nieaktualna.

– Jak to cofnięta? – zgorszyła się Cynthia.

Snook spojrział na nich z tępym znużeniem – po raz pierwszy wyglądał jak zmęczony gość w średnim wieku.

– Nie mogą jej cofnąć – zaprotestował Mathew, blady jak ściana. –

Przecież sami to zaproponowali, no nie? Sami nam zaproponowali.

Cynthia zaczęła krzyczeć, że to niesprawiedliwość. Niesprawiedliwość wobec jej matki.

– Zgadzam się, że to niesprawiedliwe – przyznał adwokat. – McVicer nie zna sprawiedliwości, widzieliście, jak postąpił z Penny Porier. To człowiek wychowany w rynsztoku, będzie walczył o ochłap jak bezpański pies.

Następnie Snook spytał Mathew Pita, czy zechciałby na chwilę opuścić gabinet. Mathew odmówił, wyszedł dopiero na polecenie Cynthii.

Wychodząc, trzasnął drzwiami. Snook oświadczył klientce, że nie widzi podstaw do kontynuowania sprawy.

– Dlaczego? – spytała Cynthia, z bezczelnym uporem osoby, której pewność polega na ignorowaniu faktów.

– Ponieważ inspektorem prowadzącym został John Delano. A on jest inny niż Morris. Dysponuje ostatnim zeznaniem jednego z braci Sheppardów, Danny’ego, tego śmiecia, co siedzi w Dorchester i w każdej chwili gotów jest sypać wszystkich na prawo i lewo. O ile wiem, chociaż jeszcze nie zdołałem zweryfikować informacji, z zeznania wynika, że Connie Devlin dostał od kogoś cztery tysiące dolarów, że to Mathew w dniu śmierci Trentona jeździł ciężarówką, i również Mathew ukradł pięćset dolarów z domu McVicera. Rzecz w tym, że Devlin panicznie boi się więzienia, tchórz śmierdzący, właśnie z powodu wniesionego przez was pozwu. Gdybyście go nie wnieśli, nie wszczęto by w ogóle nowego dochodzenia. Connie będzie się domagał gwarancji nietykalności za to, co może powiedzieć w sądzie o pani bracie i Rudym Bellangerze. Jeśli ją otrzyma, pani bratu grozi oskarżenie o morderstwo. Dlatego właśnie oferta była taka skromna i wycofano ją wczoraj. Należy też pamiętać, że społeczeństwo – mam na myśli okolice nadrzeczne i całą prowincję – przeciwne dotąd Sydneyowi Hendersonowi, będzie się domagało krwi pani brata.

Cynthia wytrzeszczyła na niego oczy.

– Osobiście uważam, że mają wątpliwe podstawy do oskarżenia – bo co są warte dowody z drugiej ręki, zwłaszcza od kogoś takiego jak Danny Sheppard? Ale matka państwa na pewno boleśnie to odczuje, jeżeli Connie

Devlin zdecyduje się zeznawać.

– Rozumiem – powiedziała Cynthia.

Nie rozumiała do końca, ale i tak nie była ani trochę zdziwiona.

Wstała, czując, jak absurdalnie wygląda w wyjściowej sukience, otworzyła torebkę i wyjęła papierosa. Zapaliła go, cały czas trzymając dziecko na lewym ręku, wypuściła dym jednym kącikiem ust – jakby ostrzegawczo – i skierowała się do drzwi.

– Podzielam pani oburzenie – rzekł Snook, biorąc słuchawkę. – Czy sądzi pani, że Devlin jest teraz w domu?

– Nie sądzę, kurwa jego mać – odparła i zamknęła drzwi.

## Rozdział 2

Jechali wieczorem do domu pustą drogą. Nad zatoką wschodziły gwiazdy, jakaś boja mrugnęła z daleka, całkiem jakby Bóg wciąż działał w najlepszym interesie każdego człowieka. Mathew miał pustkę w oczach, wyglądał mizernie. Gapił się na pola – nie swoje, i domy, do których nigdy go nie zaproszono. Na krótki czas ogłosił się ofiarą i wyrósł na bohatera, zatańczył ponad tymi domami. Teraz jednak obłok, na którym bujał, zmienił się w proch.

Cynthia powtórzyła mu dokładnie, co adwokat mówił o Conniem.

Powiedziała mu, że nowy inspektor, John Delano, wszystko wie, że obaj, Connie i Mathew, są podejrzani, i że trwa polowanie na jeszcze jedną rybę – Rudy'ego Bellangera.

Powiedziała, że tym się właśnie od miesiący zajmuje po cichu McVicer: odkąd zablokował sprawę wód gruntowych i herbicydów, zaciska

stopniowo pętlę na gardłach swoich przeciwników. Powiedziała bratu, od jak dawna McVicer podejrzewa Rudy'ego i jego: dokładnie od dnia, w którym Mathew składał zeznania. Nie powiedziała mu, żeby ratował własną skórę i sypanął Rudy'ego. Tę kartę chciała rozegrać sama.

Westchnęła.

– Jak to się wszystko mogło tak pochrzanić?

Dziecko spało, silnik auta warczał monotonie, grał Black Sabbath.

– Connie Devlin – przemówił Mathew. – Najpierw zwała wszystko na Sydneya Hendersona, a teraz na mnie.

Uciekł wzrokiem w prawo, w lewo, jakby szukał wyjścia. Wiedział, że musi zdobyć pieniądze, i to szybko.

– Connie... Pamiętasz, jak mi podprowadził skrzynkę ryb i bezczelnie zwał winę na Sydneya?

Cynthia spojrzała na niego, zdumiona tą nagłą zmianą postawy i jej bezwstydnym fałszem – i łatwością, z jaką Mat zmienił front, oraz łatwością, z jaką ona sama tę zmianę przyjęła. Uświadomiło jej to zarazem straszny dylemat, w którym teraz utkwiała.

– Zawsze wiedziałam, że Connie to skurwiel – powiedziała. – Cholera, biedny Sydney, tyle ludzi go znienawidziło bez powodu... Ja tam nigdy źle mu nie życzyłam, mówiłam to w sądzie. Syna ma udanego, silny, grzeczny chłopak z tego Lyle'a, Elly tak samo jest w porządku... a z Autumn ja się nigdy nie wyśmiewałam, że albinoska i ma czerwone oczy... nie to co inni...

Dmuchnęła dymem z papierosa.

– Ja wiem, ja wiem, ja wiem – powiedział Mathew. – I ty to wiesz, i ja wiem, że Sydney nie jest winien. To Connie stale czyhał na czyjeś życie...

Connie i Rudy, ten zawsze był niebezpieczny. Prawdę mówiąc, bałem się i jednego, i drugiego.

– Bo nie chciałeś żyć tak jak oni, w tym problem...

Zapadła martwa cisza, w której każde z Pitów myślało o sposobie ocalenia własnej skóry.

– Pora zmienić krajobraz – oświadczył Mathew, zaciskając dłonie na kierownicy. Serce waliło mu jak oszalałe. Nie miał pojęcia, co robić.

Ontario – myślał tylko. Wyjadę do Ontario.

Gdy dojechali na miejsce, w domu było cicho, a na dworze prawie ciemno. Mathew poszedł na górę do swojego pokoju, usiadł na skraju zapadniętego łóżka, zapalił papierosa i wyjrzał przez okno. W tym pokoju spędził całe życie, pamiętał się dość dobrze z różnych okresów. Na przykład jako nastolatka, obserwującego z okna pożar na piaszczystej skarpie nad rzeką Oyster: czarny dym bije do góry i przesłania słońce, nad drogą wije się piekielna, czerwona mgła, a McVicer ze swoimi ludźmi, uzbrojeni w topory i łopaty, próbują powstrzymać żywioł. Ogień podłożył Mathew, na polecenie swojego ojca, Ike'a.

Na tle skośnej, fioletowej łuny zachodu, między drzewami przefrunęła sowa i znikła. W oddali widać było kikuty zwęglonych pni, obrastające wokół młodymi drzewkami.

Mata bolał brzuch, kiedy za dużo się martwił i za dużo palił. Ale nie mógł uwolnić się od myśli, że Connie go zdradzi. Co gorsza, w głębi duszy od samego początku wiedział, że prędzej czy później do tego dojdzie.

Teraz wyglądało na to, że prędzej – mimo to Mathew ani myślał się poddać. Ani myślał też przestać się śmiać, gardłować i stawiać kolejki



Freddy'emu Snookowi. Podejrzanie, że adwokat jest oszustem, czyniło Snooka atrakcyjnym dla Mata Pita, bo Mata zawsze ciągnęło tylko do oszustów.

Posterunkowy Morris otrzymał służbową naganę za nieudolność i brał środki antydepresyjne. Mata dziwiło, że taki bysio z grubym karkiem łyka antydepresanty, ale tak było i już.

Mnie też przydałyby się środki antydepresyjne – pomyślał nagle Mathew. Gazeta również zmieniła ton. Zmieniała go zresztą stale, od miesięcy. Teraz nawoływała do wszczęcia nowego dochodzenia, oczyszczenia mojego ojca z zarzutów, przyznania mu odszkodowania i postawienia jego sprawy przed Komisją Obrony Praw Człowieka, w której zasiadał od niedawna David Scone.

Mathew, który dotąd tak świetnie umiał przewidywać, a co ważniejsze – wykorzystywać (podobnie jak jego siostra) nagłe zwroty fortuny, doznał nieoczekiwanego upokorzenia. Wyciągnął z kredensu butelkę rumu i wypił sporą szklanekę.

Czuł, że to tylko kwestia czasu, zanim postawią go przed sądem.

Przemknęło mu przez myśl, że wszystkiemu winien jest Rudy Bellanger.

Gdyby Rudy Bellanger nie napastował mojej matki, nie doszłoby do kradzieży, bo i po co, a Trenton żyłby sobie spokojnie dalej. Mathew zapomniał już o paskudnej roli, którą sam w tym wszystkim odegrał.

Wstał, zdjął marynarkę i wymacał po ciemku dżinsową kurtkę. Po drodze wstąpił do pokoju matki i pocałował ją, chociaż był na nią zły: powinna była inaczej rozmawiać z Sydneyem, kiedy przyszedł pytać o Trentona. (Już nie pamiętał, że sam kazał jej tak mówić.)

Patrzył na matkę z mieszaniną gniewu i litości. Wróciła z mszy i

zdrzemnęła się w ubraniu. Na gzymsie stał obrazek z Matką Boską: ile razy Mathew na niego spojrzał, zawsze myślał o Trentonie. Bo Trenton kiedyś zrobił bałagan w narzędziach Mata, a jak Mat chciał go zbić – złapał dla ochrony ten właśnie obrazek z Matką Boską. Mathew zlał go i tak, jeszcze go skopał. Lał Trentona o byle co, tak jak kiedyś ojciec lał jego. Mathew brał razy ojca na siebie w ochronie matki i siostry. No i co z niego wyrosło? Taki sam typek jak ojciec.

Tym razem telewizor u matki był włączony, leciał program Koło fortuny – akurat zakręcili kołem, gdy Mathew zamykał za sobą drzwi.

Mathew wziął ze schowka na górze dwunastokalibrową wiatrówkę, wyszedł z domu i przeciął szosę.

W powietrzu czuło się jesień, miała zapach piżma. Po lewej ręce Mata, niedaleko nowego mostu, którego wielkemiejskie latarnie rzucały rozproszony blask na wody rzeki, po drugiej stronie naszej ciemnej, błotnistej ścieżki, stała stara, obdrapana kempingówka Jaya Bearda.

Światło znad wejścia padało na stertę głazów łupkowych, które mieniły się w rytm dźwięków gitary z wnętrza. Działkę Jaya Bearda okalał gęsty szpaler świerków i splątanych krzaków.

Mathew przeszedł ścieżką Jaya na następne pole, którym doszedł na starą drogę Russell Road. Po paru minutach stanął pod domem Conniego Devlina, z białą drewnianą okładziną, wciąż ciepłą od słońca, i konstrukcjami małej architektury ogrodowej, wirującymi i kołyszącymi się na wietrze. Mathew załadował spluwę, podszedł do drzwi i otworzył je lewą ręką, w prawej dzierżąc wycelowaną broń.

Ujrzał wypatroszoną szafę i pełno ciuchów na podłodze. Na stole leżała kartka, adresowana do siostry Devlina, z prośbą o wyłączenie wody, żeby

rury zimną nie pozamarzały, i wsypanie rozmrażacza do sedesu.

Mathew wrócił przed dom, przeciął trawnik, posłał w ścianę serię ze śrutu i poszedł dalej.

Gdy wrócił do ciemnego domu swojej matki, stanął przed małym lusterkiem w kuchni i, jak aktor w filmie, czarnym grzebieniem pedantycznie ulizał swoją blond plerezę, chociaż nigdzie się już tego dnia nie wybierał.

### Rozdział 3

Cynthia wiedziała, że wszystko się dla nich zmieniło, że pozew, który wnieśli, ujawnił skryte motywy ich chciwości i małodusznej litości nad sobą.

Zrozumiała, że musi poszukać wznioślejszej motywacji dla przyszłych działań. Teorii, że troszczy się o innych, przeczyła sama jej mina i brzmienie śmiechu. A jednak ci, o których Cynthia nie dbała, szczerze zabiegali o nią. Jej dzika uroda uwiodła wielu mężczyzn, nawet osiemnastolatków.

Dotychczas Cynthia była najwierniejszą doradczynią i przyjaciółką brata, ale przyszła pora, by rozluźnić te więzy. Nie ufała już Matowi ani go nie lubiła. Ujrzała problem jako zagrożenie dla siebie. Skoro grozi jej pójście do więzienia, musi się zdystansować od sprawy, i to już. Zadenuncjować Mata. Tak będzie najlepiej. Aby uniknąć oskarżenia, na wszelki wypadek wystawi im także Rudy'ego Bellangera. Zamierzała zadzwonić na policję, żeby wysondować grunt.

Najpierw jednak to do niej ktoś zadzwonił, nazajutrz rano. Był to Rudy

Bellanger. Twierdził, że musi się z nią widzieć.

– Nie dam rady – powiedziała.

– To pilne – odparł i odłożył słuchawkę.

Rudy przyszedł do Cynthii o dziesiątej, w spokojny, słoneczny dzień.

Siedziała na zielonym krześle w swoim pokoju. Pokój Cynthii wyglądał obco w tym domu, jakby gościła w nim niedoszła primadonna. Sporo wiejskich domów miało podobne pokoje, urządzone przez siostrę lub córkę gospodarza, której nigdy nie udało się wyrwać w wielki świat.

Zanim Rudy cokolwiek powiedział, Cynthia oświadczyła mu, że niczego nie potrzebuje – że nie ma zwyczaju niczego żądać, jednak Rudy zalega z alimentami na dziecko – i niech pamięta, że ona nigdy nie chciała się od niego uzależniać.

– Nie mam już pieniędzy – powiedział Rudy. – Słowo honoru, nie mam nic, płaciłem tobie, płaciłem Matowi, oboje przychodziliście do mnie przez pięć lat...

Spojrzała mu uważnie w oczy. Od narodzin Teresy wyciągnęła od niego jakieś dziewiętnaście tysięcy dolarów. Czyżby nawet te datki miały się skończyć?

– Jak to, nie masz pieniędzy?

– Moja żona ma konto oprocentowane i resztki oszczędności z tartaku, z czasów gdy Leo dzierżawił swoje grunty, ale to niedużo, najwyżej czterdzieści tysięcy. A ona potrzebuje opieki, już prawie nie wstaje z wózka. W dodatku ktoś jej nagadał głupstw... o nas... o dziecku. Nie odzywa się do mnie od miesięcy, Leo tak samo.

– A pomyślałeś o Teresie? Czy ona ma za to cierpieć?

Rudy pokiwał smutno głową, czekając cierpliwie, kiedy będzie mógł

powiedzieć Cynthii, z czym przyszedł.

– Ile ja się przez ciebie nacierpiałam! – wyrzucała mu. – Mój Boże, sama jestem sobie winna, że zakochałam się w żonatym facecie. – Uroniła łzę z równą łatwością, z jaką robiła wszystko, co chciała.

Rudy spojrział zdumiony na jej twarz, na włosy i obcisłe spodnie, zastanawiając się, czy to możliwe, że Cynthia mówi prawdę. Próżność kazała mu mieć nadzieję, że tak. Uśmiechnął się niepewnie, jak dziecko. Oczy Cynthii błysnęły.

– Przecież wiesz, że nigdy nie chciałam twojej krzywdy, Rudy, robiłam, co mogłam, żeby trzymać ich z dala od ciebie. To Mathew, prawda? Connie, Mathew i ty, wszyscy razem. Muszę iść na policję. No bo jak cię wsadzą do Dorchester... ja nie chcę siedzieć... a wychodzi na to, że ukrywałam przestępców – Mata i ciebie. Chociaż cię kocham, to jest za poważna sprawa. Ta miłość mnie całkiem skołowała.

– Skołowała cię...

– Tak, i modłę się stale do Matki Boskiej, o, tej. – Królewskim gestem wskazała stary obrazek Matki Boskiej Niepokalanej. – Modłę się, żeby mną kierowała i wspierała mnie. A Matka Boska, takim cienkim głosikiem, powiedziała mi, że jestem zaślepiona miłością do ciebie...

Wydaje mi się, że Ona każe mi ciebie zadenuncjować, Rudy... Tak byłoby najlepiej, prawda?

– Uchowaj Boże! – zachnął się Rudy. – Ja siedziałem cicho, to teraz ty siedz.

– A to dlaczego? – spytała Cynthia z miną niewiniątka. – Hę?

– Bo... bo mogą mi zrobić krzywdę. Znaczy się, jakbym poszedł siedzieć... Jeśli mnie kochasz, tak jak mówisz, a wiem, że mówisz prawdę... Ja też...

też modłę się do Matki Boskiej, ale przecież... nie można brać na serio wszystkiego, co Ona mówi!

Cynthia spojrzała na niego z kamienną twarzą.

– Wszystko mi mogą zarzucić, dostanę dziesięć lat. Nie zniosę tego – wyszeptał Rudy.

– No to co ja mam zrobić? Jestem nikim, prostą wiejską dziewczyną, która lubi sobie posłuchać Dwighta Yoakuma i Steve'a Earle'a, ale nawet będąc nikim, nie chcę iść do więzienia. Najwyższy czas, żebym została kimś, żebym wyszła na pierwszy plan, żeby napisali o mnie w gazecie. Jak tam Gladys? – zmieniła temat, zapalając papierosa.

Rudy nie odpowiedział.

– Rudy, co ty właściwie robisz przez cały dzień? Nigdy cię nie widzę, więc chyba musisz coś robić.

– Przesiaduję w urzędzie zatrudnienia i czekam na pracę. Ostatnio myłem okna w mieście.

Cynthia zaniósła się chrypliwym, kpiącym, prowokacyjnym śmiechem.

Rudy zaczął karierę dwadzieścia pięć lat wcześniej od mycia okien w sklepie McVicera.

– Nie ma się z czego śmiać – wyszeptał Rudy. Poczł się, jakby ktoś mu wbijał szpilki w żywe ciało; przypomniał sobie swój własny śmiech, gdy demonstrował Elly złoty spinacz do banknotów. – Odkąd spalili sklep Leo, niewiele mam do roboty – a mycie okien to zawsze jakaś praca. Nie wiem, co dalej ze sobą pocznę.

– A kto dostanie całą forszę po śmierci Leo? – spytała Cynthia.

Rudy nie odpowiedział. Wyglądał przez okno na rząd wiejskich domów w dolinie.

– Jeśli Connie zmieni bajeczkę, biedny Mathew wpadnie jak śliwka w szambo – ciągnęła Cynthia. – I ty tak samo. A wiesz, że równie łatwo oskarżyć niewinnego, jak winnego. Ja się najbardziej martwię o matkę... – Zaciągnęła się papierosem, lustrując Rudy'ego od stóp do głów. – I o twoją żonę, jeżeli cię też wsadzą do pudła.

Rudy poczuł, że dostaje gęziej skórki, i uświadomił sobie, że właśnie tej chwili obawiał się od lat – chwili, w której osoby bliskie i zaufane uznają go za niepotrzebnego.

– Właściwie to wszystko przez ciebie – dodała Cynthia. – Można powiedzieć, że od początku wynajęłeś Mata do całej roboty. Ciekawe, co Leo na to powie!

Zapadła długa cisza. Wreszcie Rudy spojrzał na Cynthię.

– Proszę cię... Właśnie przyszedłem, żeby jeszcze coś ci zaproponować.

– Na przykład? – spytała Cynthia podejrzliwie.

– Prosiłaś, żebym cię przedstawił McVicerowi.

– Nigdy cię o to nie prosiłam. – Cynthia zarumieniła się. – Mam nadzieję, że nie nagadałeś mu czegoś takiego.

– Kazał powiedzieć, że chętnie się z tobą spotka, żebyś przyszła do niego do domu... Przysłał mnie tu z tą wiadomością. Tylko błagam cię, nic mu nie mów. O nic więcej cię nie proszę. Błagam.

– On chce się ze mną widzieć? A po cholere? – wpadła mu w słowo Cynthia.

I nagle zamilkli oboje: Cynthia patrzyła na Rudy'ego Bellangera z wyniosłym chłodem, jak na przygodnego posłańca. Nie miała mu już nic więcej do powiedzenia.

## Rozdział 4

Moja matka źle się czuła tego dnia, więc siedziałem przy niej i widziałem, jak Cynthia wychodzi z domu. Z dworu zalatywało dymem i wczesną jesienią, z daleka usłyszałem parskanie młodego łosia – wiedziałem, że go wkrótce dopadnę i zaszlachtuję. Nie miałem pojęcia, dokąd Cynthia maszeruje swoim rozkołysanym krokiem, w którym tak wiele się kryło – jak w zapachu kwiatów późnego lata albo w przejrziałych jesiennych jabłkach.

Szła w prostej letniej sukience, nieseęgającej kolan. Chwilę potem ujrzałem Mathew Pita: wyszedł na podwórze i skierował się w stronę potoku – wyglądał na chorego. Usiadł na starym leżaku nad brzegiem i zagapił się w wodę, jak to czasami robił, kiedy walczył z kacem. Cynthia oddalała się w przeciwnym kierunku.

Wiem, co się zdarzyło tamtego dnia, a także w dniach go poprzedzających. Szkoda, że nie mogłem choć trochę odmienić biegu zdarzeń – gdybym mógł, byłbym może teraz kimś całkiem innym.

Ścieżka za domem Pitów wiodła przez zwirowisko, skąd mroczną, nędzną dróżką przez świerkowy las, odurzający zapachem zieleni, dochodziło się na rozdeptane pole, ukryte za siedzibą Leo McVicera. Wiem, jak szła Cynthia, bo umiałem to sobie dokładnie wyobrazić. Podjęła nadzwyczajną wyprawę – wyprawę, która miała radykalnie zmienić układ sił i sojuszków dla mnie i całej reszty.

Doszła do drzewa i przystanąła na chwilę, delektując się wyniosłą samotnością – kobieta dumna jak cały świat, a odcięta od świata. Wody zatoki wyglądały na opuszczone, jak to zwykle we wrześniu, kiedy letnicy



rozjadą się na południe, szukać pociechy w miastach i metropoliach, takich jak Toronto, Montreal czy Boston.

Nasze wybrzeże opustoszało, woda wstrzymała ruch w oczekiwaniu bliskiego przypływu. Leo też wyglądał tak, jakby wstrzymał chwilowo swój zjazd ku starości. Rozochocony ostatnimi zwycięstwami – bo wiedział już, że Mathew, Connie i Rudy pójdą na dno – gotów był oddać wieniec laurowy jedynej osobie, którą miał chęć wyratować. Podobnie uhonorował swego czasu Geralda Dove'a i jeszcze z dziesięciu innych. Miał władzę, która pozwalała mu wybierać beneficjentów łaski. Teraz obserwował, jak Cynthia wchodzi tylną furtką, puka do drzwi i staje na progu z uśmiechem.

– Ojej, panienka się skaleczyła! – zauważył. Podskoczył dziarsko i ujął jej rękę, sporą jak na kobietę. – Chwileczkę, zaraz coś przyniosę...

Dotknął płaską dłońią jej pleców w okolicy krzyża i skierował ją do salonu.

– Nie trzeba, nic mi nie będzie – powiedziała Cynthia.

– Nic nie będzie? Nonsens!

Wyszedł z pokoju, a Cynthia została sama i mogła się spokojnie rozejrzeć. McVicer wrócił z wacikami i jodyną. Klęknął przed nią. Pozwoliła mu zająć się swoją nogą i przemyć ranę. Patrzyła przy tym na czubek jego siwej głowy, krótko ostrzyżonej, z czerwonawą, pomarszczoną skórą na karku – nie wyglądał na kogoś, kto ma tyle forsy. A kiedy McVicer wstał, Cynthia ze zdumieniem spostrzegła, jaką ma nienaturalną i źle dopasowaną sztuczną szczękę. Całe życie spędził w lasach i chociaż uskładał grube tysiące dolarów, na matematykę wciąż mówił „rachunki”, a na ludzi wykształconych – „mądrale”.

Zajął miejsce obok niej. Pachniało od niego świerkową żywicą, i ziemią, i chwilami zagubienia między śniegiem a lodem, których nigdy nie wolno lekceważyć. A jednak miejscowe dzieciaki uważały go już za starca i miały za nic. Nie obchodziła ich nawet druga wojna światowa, a co dopiero wyczyny wojenne McVicera.

– No więc, jak tam szanowna mamusia, panno Pit?

– Proszę mi mówić Cynthia. Mama w porządku – odparła Cynthia i nagle zmieniła ton: – Chociaż śmierć Trentona bardzo ją nadszarpnęła.

McVicer uśmiechnął się na jej pierwsze słowa, lecz zaraz zaczął stopniowo poważnieć, począwszy od tej strony twarzy, którą zwrócony był do Cynthii.

– To było straszne – przyznał – niemniej sprawcy dostaną za swoje, zobaczy pani, kto robi takie rzeczy, nigdy nie uniknie kary. Przez te trzy, cztery lata mogło im się wydawać, że są bezpieczni, ale nagle pojawiła się nowa informacja, i proszę bardzo – mały zostanie pomszczony. Jeszcze przed świętami, najpóźniej zaraz po, wpłynie nowy akt oskarżenia!

To zaskoczyło Cynthię i przeraziło. McVicer wskazał palcem sufit, jakby chciał powiedzieć, że wszystko w rękach Boga i On jeden rozumie, co się tu dzieje. Potem przez chwilę z wściekłą miną patrzył w dywan – i gwałtownie podniósł wzrok.

Powiedział, że chce prosić Cynthię o radę, kto mógłby zaopiekować się jego córką.

– Ojej, a co się dzieje? – spytała Cynthia z troską, której fałszu nie potrafiła ukryć, a McVicer nie mógł tego nie zauważyć, ale udał, że nie widzi.

– Postępujące inwalidztwo – wyjaśnił. – Poza tym chroniczna depresja i

brak przyjaciół. Kiedy córka była małą dziewczynką, miała małąkę – ale ta małąka zdechła. Zresztą Rudy nigdy jej nie pozwalał...

Zamilkł i nasrożył brwi.

– Na małąkę?

– Nie, na przyjaciół, nie pozwalał jej się z nikim zadawać.

– Ach tak – powiedziała Cynthia.

– Córka jeździ na wózku, ale po korytarzach, tam gdzie są dywany, jest jej ciężko. Kupiłem dla niej łóżko szpitalne, stoi jeszcze w garażu. Rudy do niczego się nie nadaje – pani go zna?

– Rudy’ego? Jasne.

Cynthia zdobyła się na nikły uśmiezek dezaprobaty, który sprawił McVicerowi wyraźną przyjemność. I jakby uwiarygodnił fałszywą troskę Cynthii o Gladys.

– A jak tam malutka? – spytał McVicer i zaraz spuścił oczy.

– Teresa? Okej. Miałam ją tu nawet dzisiaj przyprowadzić, ale zrezygnowałam – może innym razem, jak znów do pana wpadnę.

– Imię otrzymała pewnie na cześć Matki Teresy, co? zagadnął Leo.

– No właśnie – potwierdziła skwapliwie Cynthia, chociaż pierwszy raz słyszała o jakiejś Matce Teresie.

McVicer pokiwał głową. Oboje zamilkli. On miał na nią ochotę, a ona go nie zniechęcała. Znienacka założyła nogę na nogę, żeby obejrzeć skaleczenie, a przy okazji pokazać McVicerowi majtki. Spojrzała na niego wielkimi, piwnymi oczami.

– Ja mogę w każdej chwili – powiedziała, nie zmieniając pozycji.

– Słucham?

– Mówię, że mogę w każdej chwili zająć się pana córką – uściśliła,

pocierając ranę palcami. Paznokcie miała pomalowane na fioletowo. – Ukończyłam kurs pielęgniarek środowiskowych, ze względu na Trentona. Jakiś czas temu, oczywiście, i nie mam referencji, ale umiem pomóc wejść do wanny i wyjść, zabrać na spacer, coś tam ugotować, no, te rzeczy. – Te rzeczy... – powtórzył cicho, znaczącym tonem, jakby odebrał szyfr albo wpadł w mięką pułapkę.

Cynthia znów spojrzała na swoją ranę.

Po chwili opuściła nogę i skromnie ścisnęła kolana.

Zapadła kolejna dłuższa chwila milczenia, w której Leo McVicer lustrował Cynthię. Wreszcie uśmiechnął się, ponownie ukazując źle dopasowaną protezę.

– No, oczywiście... to byłoby świetnie...

Kiedy Cynthia podniosła się do wyjścia, wstał również. Nagle poczuł się jak przed laty, gdy natknął się na awanturę w swoim tartaku i wyszarpnął łom z ręki faceta, który mu chciał rozwalić głowę.

Ale i Cynthia przeszła metamorfozę. W jednej chwili przestała być intrygantką, która rano rozmawiała z Rudym, a stała się troskliwą opiekunką chorych, która wcale nie zazdrości Gladys wielkich pieniędzy, tylko jej współczuje, gotowa służyć pomocą oraz ochroną. Tuż przy drzwiach odwróciła się, a że Leo stał tuż za nią, oparła się o niego całym biustem.

– Och, przepraszam! – powiedziała.

Leo zachichotał niepewnie i chwycił ją za ramiona, żeby nie stracić równowagi.

– Niech pani przyjdzie jutro po południu, to omówimy sprawy pieniężne i tak dalej...

– Oczywiście – rzekła Cynthia. – Będę o trzeciej.

Oddaliła się główną ścieżką i zniknęła, a McVicer wyszedł na dwór, poprawiać jutowe worki ochronne na nowo zasadzonych gruszech. Grusze nigdy tu nie rodziły, ale i tak je sadził co parę lat – taki miał kaprys. Popatrzył za Cynthią, odchodzącą rozkołysanym krokiem, i serce mu podskoczyło z radości, ożywione dawno nieodczuwanym żarem.

Leo miał wtedy sześćdziesiąt pięć lat i wiele rozmyślał o minionym życiu. Po wyjściu Cynthii ubrał się i poszedł do Rycerzy Kolumba, spotkać się z zięciem.

Rudy wioził w kieszeni projekt przystani, a w głowie apel do teścia o subwencję. Gdyby nie zdobył tej przystani, zostałby bankrutem.

Duszę Rudy'ego przepełniał natarczywy lęk, że prośba o pieniądze, jak zwykle, spotka się z odmową. Sercem żywił jednak nadzieję, że przystań ożywi zainteresowanie Cynthii jego osobą – przynajmniej na tyle, żeby go nie zdradziła.

Dlatego jadąc skrajem rezerwatu, pełnego niewykończonych domków i dzieciaków na werandach, spędzających tam ostatnie chwile dnia, w promieniach słońca oświetlających rabatki i skośne dachy z błyszczącą albo matową dachówką, puste psie miski i zieloną trawę za domami, w stygnącym wieczornym powietrzu – Rudy nie mógł się doczekać właściwej chwili.

Wszystko przemyślał, wszystko, przepowiadał sobie tylko w wyobraźni, jak powie teściowi to, co ma mu do powiedzenia.

Kiedy dojedziemy do domu Carla Francisa – obiecywał sobie. Ale minęli w milczeniu dom Francisa, z werandą, ciemnym oknem na pięterku i małą

motorówką z fikuśną czerwoną banderą.

Bellanger wiedział, że Leo McVicer jest teraz u szczytu władzy, chociaż ma sześćdziesiąt pięć lat i blisko mu do emerytury. Decyzje, zawsze kategoryczne, podejmował szybko i bez namysłu. Auto jechało dalej, cisza narastała. Nagle jednak Leo poprawił się na swoim miejscu, spojrzał na Rudy'ego i przemówił:

– Kurwa mać, zasrana przystań!

– Co takiego? – stropił się Rudy.

– W mieście prawie już ją kończą budować. Zdziwiony? Nie wiedziałeś? Powiększają aglomerację, chcą nas wcielić do miasta, więc jasne, że musimy wyglądać po miejsku. A my nie mamy ani kryp, ani łodzi, ani robotników, jakich ja pamiętam z młodości, i ty też, Rudy. Żaglówek też co kot napłakał...

– Gdzieżeś to usłyszał?

– Wszystko jedno gdzie – fuknął Leo. – Ważne, że słyszałem.

Nie zdradził Rudy'emu, że od trzech lat wiedział o jego planach i po cichu organizował budowę przystani w mieście do spółki z trzema zaufanymi kumplami. Skutecznie przekonał sam siebie, że to Rudy jemu ukradł pomysł i dlatego miejska przystań – w której miał trzydzieści siedem procent udziału, ale udawał, że się nią brzydzi – ma być otwarta pierwsza, już w lipcu.

Minęli furtkę na dziedziniec kościelny – ostatni obiekt, na który spojrzał Rudy, zanim teść oznajmił mu rewelację.

Rozdział 5

Tylko paru Rycerzy stawiło się na spotkanie, a jeszcze mniej zostało na mszy.

Leopold bujał myślami z dala od kościoła. Myślał o różnych rzeczach, jak to zwykle mężczyźni w kościele. O sporcie, o boksie, o tym, jak się z niego wyśmiewali w młodości, że jest synem pijaka, o śmierci matki, o błędach w zarządzaniu, które doprowadziły do sporu z pracownikami i upadku tartaku.

Święty Augustyn pisze, że człowiek zawsze wierzył, iż chytrą sztuczką nakłoni Boga do służenia sobie, prosząc nie o pokierowanie życiem, lecz o nagrodę za należyłą służbę Jemu – na dowód cytuje dysputy Kaina z Bogiem. Chociaż mój ojciec i ja czytaliśmy świętego Augustyna, a Leopold McVicer zapewne nie, to tego mglistego jesiennego wieczoru właśnie on, Leopold, stał się ucieleśnieniem gorzkiej prawdy Augustyna o człowieku.

Miał ochotę na romans z Cynthią, a jednocześnie próbował wmówić Bogu, że troszczy się jedynie o dobro Gladys, mając nadzieję, że Bóg usankcjonuje jego romans jako związek zawarty w szlachetnym interesie chorej córki panny Pit. Zabiegał też o odszkodowanie za spalony sklep, obiecując Panu Bogu w zamian nowy witraż.

Pragnął wybaczenia grzechów, ale przyznać się do nich ani myślał. Liczył, że Pan Bóg przymknie oko na te zatajone grzechy – chodziło o skrzywdzoną kochankę i trójkę nieślubnych dzieci, o tartak i o spust chemikaliów do górnego biegu potoku Arron.

Ludzie nie znali granic sprytu tego starego lisa. On już od dawna wszystko przejrzał. Wiedział, że tylko Connie mógł wyłączyć reflektory, że tylko Mathew mógł go zastraszyć do tego stopnia, że się na to zgodził, i że Rudy

na pewno maczał palce w całej sprawie. Skąd to wiedział? Z urwanej metki od spódnicy Elly, znalezionej na dywanie, i z osobliwych fałd dywanu, świadczących o tym, że odkurzacz został wyłączony w trakcie pracy. No i ślady butów Rudy'ego na drodze. McVicer sam by pewnie ich nie zauważył, gdyby nie Darcy Paul, miejscowy wyrostek, który pomagał McVicerowi nieść sarnę z polowania i zwrócił jego uwagę na nietypowe zjawisko: ktoś biegł tamtędy w kowbojskich butach założonych odwrotnie, lewy na prawą nogę. Wszystko to razem obudziło podejrzenia Leo, nie mówiąc o plamce krwi na posadzce za dywanem. Nabrał pewności, że w jego domu miała miejsce próba gwałtu. Nieco więcej czasu zajęło mu odkrycie, że Rudy miał swój udział również w kradzieży, którą chciał zatuszować gwałt, a także w wysadzeniu mostu, czym z kolei chciał zatuszować kradzież. Jeszcze parę miesięcy wcześniej nie był tego pewien. Ale na wszelki wypadek nie dopuścił Rudy'ego do przystani.

W najbliższych dniach, najdalej w przyszłym tygodniu, zamierzał poinformować o swoich odkryciach Gladys: niech sama zdecyduje, co chce dalej robić. Z tym, że on podsunie jej pewien pomysł. I Rudy zniknie z ich życia raz na zawsze.

Nie wstawał z kolan, modlił się. Modlił się o odpuszczenie grzechów, o łaskę i pokój duszy. I o to, żeby mógł jak najszybciej dobrać się do tyłka tym, co mu wysadzili most. Nie przystąpił do komunii.

## Rozdział 6

Po mszy Leo wstąpił do zakrystii, pogadać z ojcem Porierem o Vice, jugosłowiańskiej dziewczynce, której, jako jednej z sześciorga dzieci,



ukazywała się podobno Matka Boska.

Tydzień wcześniej Leo obiecał wystawić czek na pokrycie kosztów przyjazdu Viki i chciał się dowiedzieć, czy zdaniem Poriera Vika jest oszustką, czy też istotnie dostąpiła nadzwyczajnej łaski.

– O tak, myślę, że tak – zapewnił go Porier. – To tylko dziecko, które otrzymało niezwykle dar i chce się nim podzielić ze światem.

Leo zerknął na jednego z małych ministrantów, wychodzącego właśnie z zakrystii, a potem znów spojrzął na Poriera. Powiedział, że pomoże sfinansować wizytę dziewczynki, ale osobiście wątpi, czy faktycznie zdarzył się cud. Porier spytał go, czy w ogóle wierzy w cuda.

– Nie rozumiem, dlaczego Bóg komunikuje się z Viką, a nie na przykład, no, nie wiem, z kimś z telewizji, z Regisem, dajmy na to, albo z Kathie Lee, wie ojciec, o co mi chodzi.

Porier skinął głową i odczekał, aż Leo zapali fajkę.

– Jak cię tak słucham, Leo, przypomina mi się...

Leo, zawsze podejrzliwy, natychmiast poczuł się zbesztany.

– Przypomniała mi się ta mała albinoska, co pisze wiersze... no, jakże się ona nazywa?

– Autumn Henderson?

– No właśnie, Henderson. Przyszła tu wczoraj z braciszkiem... jak mu na imię?

– Temu małemu? Percy.

– No właśnie, z Percym, i z tym starym psiskiem Trentona Pita, tym małym, ze spiczastymi uszami i płaskim pyskiem... jak ten pies się wabi?

– Scupper Pit.

– No tak, Scupper Pit.

Ojciec Porier uśmiechnął się, tak jakoś błogo, i spojrzał McVicerowi w oczy.

– No i czego chcieli? – spytał Leo.

– Kto?

– Te dzieci, jasne, że dzieci, przecież nie Scupper... Scupper pewnie nie ma wielkich wymagań, starczy mu, że łązi za dziećmi... No to czego chciały dzieci?

– Ach, dzieci. Autumn przyprowadziła jeszcze tę małą... jak jej na imię, tej małej od Pitów?

– Matka Teresa Pit.

– O, właśnie, Matkę Teresę Pit. Autumn prosiła, żebym ją pobłogosławił, bo ma słabe serce. Potem Percy poprosił, żebym pobłogosławił Scuppera Pita. No to pobłogosławiłem Scuppera. Percy chciał się koniecznie pomodlić przy kościach świętych za Teresę Pit i za swoją matkę, która jest chora.

– Ich matka jest chora? Elly?

– Bardzo chora... bardzo chora... – westchnął Porier. – Miała kilka poronień, a przez te herbicydy i tak dalej...

Porier smutno spuścił wzrok. Wiedział o trójce nieślubnych dzieci McVicera, wiedział, kto je adoptował i ochrzcił jako własne – to dawało mu nad McVicerem pewną przewagę.

– Ten Percy jest przemiły, podał mi Teresę, żebym ją pobłogosławił.

Powiedziałem mu, że w naszym kościele nie ma kości świętych. A on do mnie: „A właśnie że są!” „Czyżby? – spytałem. – W moim kościele leżą kości świętych?” – (Udał wielkie zdziwienie.) – No i wiesz, Leopoldzie, co Percy mi na to powiedział?

– Nie mam pojęcia – odparł Leo. – Nie mam pojęcia, co ojcu powiedział Percy. Skąd miałbym to wiedzieć? Mógł powiedzieć cokolwiek.

– Percy powiedział: „Jeżeli tu nie ma kości świętych, to to nie jest kościół. Bez kości nie ma kościoła”.

Leo miał dość. Miał dość, bo nie rozumiał ani o co dzieciakowi chodziło, ani dlaczego ksiądz uważa jego odzywkę za kapitalną – a jednocześnie zazdrościł temu małemu, że coś takiego powiedział, bo przecież sam wcześniej wystawił czek na podróż Viki. Czy Percy potrafiłby wystawić czek? Nigdy w życiu. Od takich spraw był tylko on, McVicer.

– Dzieci gadają rozmaite rzeczy – oświadczył. – Mnie też się zdarzało coś takiego powiedzieć, jak byłem mały.

– Naprawdę? – zaciekał się Porier.

– Oczywiście, miałem masę celnych odzywek – odparł Leopold. – Ale mniejsza z tym. Wie ojciec, że to Mathew Pit... że to on mnie okradł?

– Co? Kiedy?

– Pamięta ojciec te pięćset dolarów? Założę się o wszystko, co mam w kieszeni, że Elly nigdy się z tego ojcu nie spowiadała przy konfesjonale. A wie ojciec dlaczego? Bo ona tego nie zrobiła.

– Ach tak...

– Mathew Pit... nabrał mnie na jeden dzień, góra dwa... nie, to nie trwało aż tak długo!

W zakrystii ciemniało, paliło się tylko parę elektrycznych świec.

Ministranci rozeszli się do domów.

– Widzi ojciec, prędzej czy później wszystko wyjdzie na jaw.

– Święta racja – przyznał Porier. – Wszystkie rzeczy zakryte zostaną odkryte.

Nie były to dla Leo szczególnie pocieszające słowa.

Skierował się do wyjścia. Zza dębowych drzwi pachniało deszczem ciepłe jesienne powietrze. Porier postąpił chwilę pod nocnym niebem, pogasił światła i zamknął na klucz tylne drzwi kościoła, od których widać było bielejący w mroku marmurowy ołtarz. Nie umiał się przyznać, nawet przed sobą, do jedynej w swoim życiu wpadki – ekscesów erotycznych, których dopuścił się przed trzydziestu pięciu laty wobec dwóch najbiedniejszych chłopców w parafii – Sydneya Hendersona i Conniego Devlina.

Sydney jakimś cudem się po tym pozbierał. Ale Devlin miał zrujnowane życie: kradł, pił i kłamał bez skrępowań. W miękkich ustach i małych, zdradzieckich oczkach Devlina Porier już zawsze widział mglisty obraz siebie z tamtej decydującej chwili, obraz swojej własnej nędznej duszy. Miał nadzieję, że Bóg mu wybaczy, aby nie musiał dalej nieść swojego krzyża.

Wiedział, kim są nieślubne dzieci McVicera.

Wiedział wiele. Także kto spalił sklep i kto wynajął podpalacza. Wiedział, przypuszczam, również to, że mój ojciec nie był winien żadnej ze zbrodni, o które on, Porier, go oskarżał.

Leo wrócił do domu. Usiadł i długo rozmyślał. Ostatnio rdzenni mieszkańcy okolicy zaczęli mu zarzucać, że zagroził im ich ziemię, i domagać się zwrotu. A doktor David Scone, który siadywał niegdyś przy stole McVicera, stanął po ich stronie, tak samo zresztą Diedre Whyne.

Groziła mu utrata wszystkiego, co miał. Chyba że okaże się sprytny. Zdjął uniform i usiadł w fotelu koło łóżka. Wszyscy jego przyjaciele poumierali,

a ci, których wykarmił i przyodział, odwrócili się od niego z pogardą.

Premier, któremu pomógł w wyborach, w ostatnie Boże Narodzenie udał, że go nie widzi. David Scone wydawał książkę o aktach

niesprawiedliwości wobec Pierwszych Narodów. Drukowała ją w odcinkach lokalna gazeta. W pierwszych trzech rozdziałach siedem razy padała nazwa spółki Leo McVicera, obok informacji o wykarczowanych przez niego lasach i prywatnych drogach. A przecież Scone pisał swoje donosy w budynku zbudowanym z drewna McVicera, na papierze z liściastych drzew jego lasów.

Whyne umarł, Ike Pit umarł, ci, którzy kiedyś oferowali McVicerowi fotel senacki w Ottawie, też poumierali, zostały tylko ich sztywno oprawione fotografie na ścianach Legislatury. Tylko on jeden nie umarł, niestety.

Zestarzał się, jego czas minął.

Nabił strzelbę, jak to teraz robił przed każdą nocą.

Człowieka można pokonać, ale nie zniszczyć – powiedział sobie, i to go trochę pocieszyło, jak konającego z zimna pociesza płamka słońca na śniegu.

Nie wiedzieć czemu, pomyślał o Percym, który dźwiga w górę Teresę Pit, żeby ojciec Porier mógł ją pobłogosławić – i zrobiło mu się smutno.

Pomodlił się, obiecując Bogu, że jeśli da mu spokój, on wyremontuje za to dach kościoła. Ale gdy przymknął oczy, widział tylko Percy'ego

Hendersona, który ciągnie w wózku Scuppera Pita, ciągnie go do kościoła, żeby pomodlić się za miłą, łagodną Elly McGowan.

Rozdział 7

Nieraz wieczorem Percy siadał koło mamy i grali w karty albo w warcaby. Mama, leżąc na kozetce, opowiadała mu historie z dawnych czasów, kiedy Autumn i ja byliśmy mali.

Ja tymczasem kłusowałem albo piłem. Biedne zające; gdyby wiedziały, że za ich skóry kupuję wino, byłyby załamane.

Nieraz wystawałem po nocy przed tancbudą, drżąc z zimna, bo nie miałem trzech dolców na wejście. Przyłgnęła do mnie woń ogniska i żelaza, oczy mi pociemniały, skóra przybrała odcień nędzy. Byłem chronicznie przeziębiony, kaszlałem dniem i nocą, zwłaszcza kiedy w cienkiej koszuli siadałem za knajpianym stołem, pociągając z przeschmuglowanej ćwiartki wina, z paczką fajek marki Export sterzczącą z kieszeni. Dziewczyny, mijając mój stolik, odwracały wzrok, żebym ich przypadkiem nie zaczepił. Po pracy przy załadunku drewna często pachniałem balsamiczną sosną. Kiedy przeglądam stare zdjęcia, widzę, że upodobiłem się w tamtym okresie do Roya Hendersona, nawet ciuchy nosiłem podobne. Cofnąłem się w dziewiętnasty wiek.

I co mi z tego przyszło, że umiałem cytować Platona albo że ojciec czytał mi książki, jak byłem mały? Na muzyce nie znałem się ani w ząb. Kiedy raz ktoś mnie spytał, co wiem o Beatlesach, odpowiedziałem, że to drobne żuki z rodziny tęgopokrywych, zaopatrzone w zuchwę. Walczyłem o siebie, uczyłem się. Pobierałem, podobnie jak Autumn, lekcje ze znajomości frywolnego świata – jednak tylko po to, aby ośmieszyć się podśpiewywaniem przebrzmiałych szlagierów w rodzaju Bright Lights, Big City.

W sobotę przed Świętem Dziękczynienia byłem na tańcach i wróciłem do domu pijany. Elly zakomunikowała mi, że dzwonił tata. Chciał ze mną

porozmawiać, więc przez pół godziny czekali i nie odkładali słuchawki. Miał wrócić do domu na Boże Narodzenie. Matka nic mu nie powiedziała – ani że jest chora, ani że ja piję. Spytała, czy pójdę z nią nazajutrz do kościoła. Ona nigdy wżyciu się nie upiła. Za to ja stałem się tym, za kogo i tak mieli mnie sąsiedzi. A odkąd wcieliłem się w potwora, o którym z lubością rozprawiali, zaczęli się mnie bać.

Tyle że nasz stary dom przeczył mojej reputacji potwora. W głębi duszy nie byłem nawet złodziejem. Nie szukałem ciemności, ale światła. Cały mój bunt był buntem rozpacz. A mała Autumn dobrze o tym wiedziała. Na widok spłowiałej palmy z Niedzieli Palmowej za obrazem świętej Bernadetty z Lourdes wpadałem w dygot. Odżywały niezapomniane opowieści mojej infantylnej matki o tym, jak pewnego razu Matka Boska przemawiała do świętej Bernadetty i nagle podniosły się głosy z piekła, ale jedno spojrzenie Niepokalanej sprawiło, że zawyły z upokorzenia i umilkły na zawsze. Pamiętałem, że ciało świętej Bernadetty w szklanej trumnie nigdy nie uległo rozkładowi. I czułem, że sprzeniewierzyłem się haniebnie tym historiom z dzieciństwa, chociaż w głębi serca nigdy z nich nie wyrosłem. Nigdy tak naprawdę nie przestałem w nie wierzyć. Jeszcze większą głupotą było wierzyć w to, do czego nie miałem przekonania, i ganić się codziennie za własną słabość, gdy miliony tych, którzy sztydzi z mojej wiary, nie doznawały nawet najlżejszego ukłucia sumienia.

Mama była bardzo wierząca. Wierzyła w cuda z takim samym przekonaniem, z jakim wpłacała z trudem uciulane datki na fundusze Ratujmy Wieloryby, Ratujmy Foki albo Ratujmy Dzieci. To była jej odpowiedź na cuda własnego życia. Jej sprawa. Czcila świętą Teresę od

Dzieciątka Jezus i małą świętą Florę, ściętą za wiarę. Wszystko to, jak jesienne deszcze i zapach bzów późną wiosną, tchnęło jakimś cichym zadziwieniem i pokojem.

Matka emanowała spokojem, jakiego ja nigdy nie zaznałem.

Przechowywała zdjęcie kaszalota, bo ktoś powiedział, że jej pieniądze pomogły ocalić życie właśnie temu wielorybowi. Chryste Panie, czy ci ludzie naprawdę nie wiedzieli, że moja matka jest bez grosza?

No więc wróciłem z potańcówki. Nasz dom kultury był dawną jednoklasową szkołą, przesuniętą na rolkach na skraj szosy. Dobudowano do niej bar i wymieniono podłogę na parkiet taneczny. Chadzałem tam, uważany teraz za nicponia, którym byłem.

Co zrobiłem tamtego wieczoru, aby dowieść swojej wartości? Pobiłem rybaka Hanny'ego Browna. A za co? Za to, że miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i był silny jak niedźwiedź – czyż nie wmówiłem sobie, że mam siłę byka?

Nie miałem pojęcia, czemu się na niego rzucam, a potrzebowałem pretekstu. Nabluźgałem mu więc, tak żeby wszyscy słyszeli, że nazwał moją matkę kurwą.

– To nieprawda, synu, nie powiedziałbym tak do żadnej kobiety.

Już miałem się odwrócić, kiedy ujrzałem, że przy barze siedzi Cynthia Pit i gapi się na mnie. Zamachnąłem się prawym sierpowym i poczułem, jak nogi Hanny'ego miękły od ciosu mojej pięści. Uniósł rękę, żeby zasłonić usta, a wtedy zaatakowałem go lewym sierpowym. Hanny padł na ziemię. Jego żona zaczęła płakać – twarz miał całą we krwi, która kapiała na krawat i koszulę. Pozbierał się i wstał.

– Synu – rzekł do mnie. – Ja nic złego nie zrobiłem.



– Nie szkodzi, ja zrobiłem! – roześmiałem się i wyszedłem przez rozstępujący się tłum. Każdy patrzył na mnie, dopóki ja na niego nie spojrzałem.

Mathew wyszedł za mną. Przyznam się panu, że ten facet mnie fascynował. Bez dwóch zdań.

Mathew podał mi papierowy ręcznik, żebym sobie otarł z ręki krew Hanny’ego. Uśmiechnął się na widok krwi i poczęstował mnie fajką. Pochwalił, że dobrze się spisałem i powiedział, że wie, gdzie można ukraść trochę drewna.

– Poszedłbyś ze mną w pewne miejsce, co?

– Gdzie?

– A w takie jedno miejsce... pójdziesz czy nie?

Wzruszyłem ramionami, jakby na znak, że wszystko mi jedno. Potem wróciłem do domu. Ledwie zostałem sam, euforia mnie opuściła – widziałem tylko pocziwą, ogorzałą twarz Hanny’ego i spojrzenie pełne zmieszania i wstydu, bo przecież dałem mu w pysk na oczach jego żony. Wchodząc do domu, chciałem czuć, że matka mnie nienawidzi. Zrobiłem awanturę, a mama zaczęła się trząść. Autumn spiorunowała mnie wzrokiem, wstała i wyszła z domu, a ja wrzeszczałem za nią, że jest kurwą.

– Proszę cię – powiedziała matka, wyciągając do mnie rękę. – Cieszę się, że umiesz sam zadbać o siebie, ale pójdz jutro do kościoła i odmów za mnie modlitwę świętego Franciszka.

W domu pachniało lekarstwami i nocą, matka miała białą koszulę nocną w niebieskie kwiatuszki, na jej gołej szyi widać było żyły nabrzmiałe od kaszlu. Doktor Savard, który był u nas w domu raz – jeden, jedyny raz –

powiedział, że to tylko nerwy, że matka przechodzi przedwczesną menopauzę. Zostawił jej pigułki, które teraz stały na stole. Trudno wyrazić, jak bardzo jego autorytet i nowoczesna wiedza były nie na miejscu w naszej zgrzebnej chałupie. W tych spłowiałych ścianach i ciasnych klitkach, którymi tak się niegdyś rozkoszowałem. Wyciągnięta dłoń matki drżała.

Po raz pierwszy w życiu nie wziąłem jej za rękę. W porywie złości – ze wstydu, z gniewu, z nędzy, z nadmiaru przerażenia tym, co sam wycierpiałem i co kazałem wycierpieć innym – wrzasnąłem na nią: – Kościół dla ciebie gówno zrobił! Razem z tym zadufanym cyckiem, księdzem!

Potknąłem się o Percy'ego, wytrącając mu filiżankę herbaty, którą niósł mamie. Kucnął i zaczął zbierać skorupy.

– Zaraz zrobię mamie drugą – powiedział.

– Do cholery z jej herbatą! – ryknąłem. Nawet na mnie nie spojrzał, tylko dalej zbierał skorupy.

– To nic, Percy, sama sobie zrobię – powiedziała mama, próbując usiąść. Zawstydzony, ale pełen nieznannej dotąd śmiałości i nienawiści, które sprawiały, że razila mnie ich dobroć – uciekłem na dwór. Usiadłem na starej kanapie za domem.

Nie miałem dokąd iść, a w głowie mi szumiało od bezsensownego, szczeniackiego upojenia. Mathew przemawiał do mnie niemal szyfrem, który teraz usiłowałem rozgryźć.

Treść szyfru była taka: Mężczyzna – prawdziwy mężczyzna – robi to, co chce. Społeczeństwo nadaje się dla tych, co potrafią ciągnąć z niego korzyści. Nas dwóch, Mathew Pita i mnie, społeczeństwo wyгнаło poza

nawias. Więc czemu miałbym giąć się przed społeczeństwem, które pluje mi w twarz? Trzeba mu spojrzeć prosto w oczy – niech wtedy spróbuje splunąć. Ten sam szyfr zawierał upomnienie: dbaj o słabych i nigdy nie krzywdź niewinnych. Tak brzmiał skierowany do mnie sekretny szyfrogram Mathew Pita. Szczerze wierzyłem, że Mat sam się do niego stosuje.

To piękne zasady – pomyślałem. Trzymając się takiego kodeksu, niczego więcej nie potrzebuję. Poza tym, czy obywatele okolic nadrzecznych nie sprzyjają ludziom, którzy realizują ten kodeks? Czy nie boją się tych, co go stosują? I czy wyznawcy tego kodeksu nie mają dusz szlachetniejszych niż ci, którzy go nie wyznają? Czy od dawna w sekrecie im nie zazdrościłem? A skoro ja zazdrościłem im tupetu i bezczelności, to z pewnością i inni tak samo.

– Mój ojciec wierzył ludziom – powiedział Matowi. – Za to teraz ma długi podatkowe i wszyscy plują mu w twarz.

– A co ty byś zrobił, jakby postąpili z tobą tak, jak z twoim ojcem? – spytał mnie któregoś dnia Mathew.

Po namyśle odpowiedziałem:

– Ze mną baliby się tak postąpić.

Mathew uśmiechnął się.

Poczułem przyływ mocy w całym ciele. Udzieliłem właściwej odpowiedzi. I z tego właśnie powodu musiałem się sprawdzić, atakując Hanny'ego Browna.

Siedząc za domem tej chłodnej październikowej nocy, patrzyłem w gwiazdy i zastanawiałem się, ile trwałaby podróż do jednej z nich, gdybym mknął z prędkością światła. Osłaniając oczy ręką, gapiłem się w niebo, a z

domu słyszałem rozmowę matki z Percym.

Matka spytała, czy Percy sądzi, że ja się na nich gniewam, bo tak często nie ma mnie w domu.

– Nie, skąd – zaprzeczył Percy. – Lyle zbiera dla mnie żuki i gąsienice, zabiera mnie na ryby.

– To kiedyś, ale już od dawna tego nie robi, od ponad roku. Do mnie się prawie nie odzywa. Stale chodzi zły – jeszcze nie widziałam nikogo takiego złego. Wiem, że swoje przeżył. Ale wasz ojciec przeżył gorsze rzeczy, a nigdy nie wpadał w złość. Autumn też. Od dziecka była naznaczona, nigdy nie ma pieniędzy, chłopcy się z niej wyśmiewają... wykorzystują ją... wiem o tym. Z potańcówek wraca smutna i płacze w ukryciu. Ale robi dobrą minę, pracuje, żeby nam jakoś pomóc... Wiesz, że wydrukowali jej wiersz?

– Lyle ścinał drzewa, sam widziałem...

– Autumn... – rozżaliła się matka. – Moja biedna, mała Autumn. Myślę, że sprawiliśmy zawód naszym dzieciom, i ojciec, i ja... one chciały o wiele więcej niż tylko nas. Percy, czy ty to rozumiesz? Ja na kościelnych piknikach patrzyłam na chłopców i dziewczynki z własnymi pieniędzmi, i zaglądałam do portmonetki, żeby dać swoim dzieciom – ale nie miałam. Serce mi się krajało.

– Scupper Pit skaleczył się w łapę – powiedział Percy. – Muszę go wozić w wózku.

– Przepraszam cię – rzekła matka. – Jak tatuś wróci, na pewno coś na to poradzi. Nie ma człowieka tak odważnego, jak twój tatuś, zobaczysz sam. Widzisz te książki? Ty i ja nigdy byśmy ich nie przeczytali, a tatuś czytał wszystkie. Mnie się wszystko miesza od książek i od pieniędzy,

kompletnie, czasem myślę, że mam coś, żeby wpłacić na fundusz ratowania wielorybów, a okazuje się, że nie mam... Ale tatuś jest całkiem inny. To jedyny odważny człowiek, jakiego znam – no, może oprócz pana Bearda. Którejś nocy siedział o, tutaj, a ja stałam w drzwiach gabinetu. Byłam w ciąży z tobą, to znaczy, siedziałeś jeszcze u mnie w brzuszku. Odwróciłam się, a twój ojciec... to znaczy Sydney, mój mąż... powiedział: „Chodź tu i połóż się na chwilę”. Nie wiem, czemu tak powiedział, ale tak było. Wstał, zrobił mi miejsce, żebym mogła się położyć, i nagle podszedł do drzwi gabinetu. Stał tak, jakby wystawiał się na próbę Bożą. Nic więcej nie powiedział. Czekał. Rozległ się przenikliwy dźwięk i twój ojciec wystawił rękę. Ktoś strzelił – prosto w nasz dom. Ja, i ty razem ze mną, mogliśmy zginąć. Skąd twój tatuś to wiedział? On jest bardzo odważny, bardzo dobry i miły, zobaczysz.

– Lyle też jest odważny – oświadczył Percy.

Wstrzymałem oddech, nie odejmując ręki od twarzy dalej patrzyłem w gwiazdy. Czekałem, żeby matka powiedziała: „To prawda, bardzo odważny”. Chciałem, żeby potwierdziła moją odwagę, bo gołą ręką wybiłem szybę w oknie, bo rzuciłem się na potężnego rybaka, bo chodzę z nożem. Nikt mi nie podskoczył. Słyszano o mnie już nawet w Tracadie – a kiedy patrzyłem w lustro, widziałem w swoich oczach stalowy, hipnotyczny błysk pozbawionego złudzeń młodzieńczego bólu. Takie oczy zawsze chciałem mieć, odkąd jako dziesięciolatek zobaczyłem je po raz pierwszy u Mathew Pita.

Ale matka powiedziała coś, czego dokładnie nie usłyszałem – to mnie rozczarowało. Może i powiedziała, że jestem odważny. Tego tylko chciałem.

Potem usłyszałem, jak mówi Percy'emu, że herbata jest pyszna i że ona na pewnym pikniku rozniosła osiemset filiżanek herbaty. Znow zapadło milczenie. W domu zgasło światło. Między drzewami świstał wiatr. Percy odezwał się cicho:

– Mamo... modlę się, żebyś nas nie zostawiła.

Wieczór wciąż napawał słodyczą, nawet przez kwaśny posmak wina.

## Rozdział 8

Na drugi dzień rano Jay Beard chciał mnie widzieć, więc poszedłem do niego. Usiadł przed domem na starej blaszanej beczce i zwrócił ku mnie pobrużdżoną twarz z gęstą siwą brodą. Spytał, co się zdarzyło na tańcach.

– Rozwalę łeb każdemu skurwysynowi, który mi stanie na drodze.

– U nas nad rzeką takich łobuzów nie brakuje – odparł cicho Jay Beard. – Ale odważnych jest tylko paru. Pamiętaj, że nic ci dobrego nie przyjdzie z zadawania się z Mathew Pitem.

Zmroził mnie tą uwagą, bolesną przez to, że żywiłem do niego szacunek, który w dodatku uniemożliwiał zjadliwą ripostę. Przypomniało mi się, jak Jay Beard stał w środku zimy z rewolwerem w pogotowiu, ochraniając nasz dom. Wiele mu zawdzięczałem, a nigdy nie poprosił o nic w zamian. Zdawało mi się, że upodobiłem się do niego, aż tu nagle on mi oświadcza, że wprost przeciwnie.

W piątek zabrałem się do przycinania pali, by podeprzeć starą komórkę za domem. Percy siedział na pieńku i obserwował mnie. Dał tego dnia uporczywy wiatr od zatoki, czułem wyraźnie zapach słonej wody. Gdy obejrzałem się po raz kolejny – Percy'ego nie było.

Nie znalazłszy go w domu, wszedłem w las, przeciąłem potok Arron i starą, krętą drogą skierowałem się do wzgórza – tego, z którego widać było i nasz dom, i gospodarstwo Pitów. Zobaczyłem Percy’ego w oddali, blisko szosy. Przeszedł ostrożnie na drugą stronę i puścił się pędem do kempingówki Jaya Bearda. Zawróciłem przez wiatrołom, przekroczyłem znów potok Arron i skrajem Russell Road dotarłem na podwórko Bearda. Było już późne popołudnie, piątek, więc wzdłuż całej szosy snuł się zapach smażonych ryb – bezsensownej ofiary postu, zawieszony w rzadkich błękitnych prześwitach jesiennego nieba.

W kempingówce Jaya Bearda siedział mój mały braciszek: słuchał, jak Jay gra na gitarze. Rączki złożył na kolanach, obutymi w kalosze nogami dyndał dobre sześć cali nad podłogą, muchę pod szyją miał jak zawsze przekrzywioną. Dojrzał mnie nagle przez okno i radosny uśmiech rozpromienił jego buzię, ozłoconą późnopołudniowym słońcem. Zaraz jednak skupił znów całą uwagę na palcach pana Bearda, a Scupper warował cierpliwie u jego stóp.

A więc w te dni, kiedy mnie się zdawało, że Percy wychodzi mi na spotkanie, on w istocie biegał na koncerty muzyki country-and-western do pana Bearda. Nagle pojąłem, co oznaczało słowo Gelira na kopercie. Percy zbierał na gitarę.

Zawróciłem do domu. Czułem smutek i lekką zawiść, z niewiadomego powodu. Przed naszym domem stał Mathew. Czekał na mnie.

– Idziesz? – zapytał.

– Dokąd?

– Muszę iść w jedno miejsce.

– Daleko?

– Z godzinę stąd.

Zajrzałem do domu i powiedziałem mamie, że wychodzę. Leżała z półotwartymi oczami, wpatrzona w sufit, a Autumn gotowała dla niej zupę.

– Gdzie idziesz, kochanie? – spytała.

– Mam coś do załatwienia... umówiłem się...

– Cały dzień myślę o swoim życiu w sierocińcu – powiedziała matka. – Cały dzień... o wszystkich smutnych, małych dzieciach, które tam znałam... To bardzo dziwne.

Nie wiedziałem wtedy, że jej gesty i uśmiech będą mnie prześladować w każdej chwili przez resztę życia.

Przejechaliśmy z Matem z piętnaście mil, a potem jeszcze kawałek dziurawą, krętą drogą, wiodącą ku zatoce. Przymrozek zwarzył już liście drzew, słońce ślizgało się po karoserii, a siedzenie auta pachniało jesienią. Jechaliśmy na starą działkę za zarośniętą drogą nad łysym o jesiennej porze wybrzeżem – ta działka należała kiedyś do Leo McVicera.

Dostrzegłem ślady łośia, wiodące do ciemnego świerka po drugiej stronie. Jastrząb kołował w powietrzu, jak ponury zwiastun zimy. Nagle zobaczyłem nagrobki – dziesięć, może dwanaście – zarośnięte bujnymi chwastami i mchem.

Serce podeszło mi do gardła.

– To są ci inni, o których McVicer nigdy nie wspomina... ci, co umarli, pracując u niego. W większości kawalerowie, mieszkali bez rodzin – mieli tylko siebie nawzajem. A tutaj powiedział Mat, idąc dalej starym tropem łośia – spoczywa dziewięćdziesiąt do stu baryłek, które osobiście zakopywałem. Jeszcze dziesięć lat temu McVicer z nich korzystał. Właśnie



to chciał za wszelką cenę ukryć przed Dove'em. Mathew rozejrzał się po grobach. – Ci ludzie pracowali u niego po wojnie, w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Tu mieli swój cmentarz. Ale wykruszyli się wszyscy powoli. Paru się pożeniło, dzieci i tak dalej, ale większość nie. Wszyscy poumierali na zatrucie. O, tu leży mój dziadek... i ojciec, Kyle Ike Pit... A tutaj, Lyle, masz swojego dziadka – Roy Henderson. Twoja matka teraz umiera przez to, czego narozpylali nasi dziadkowie.

Byliśmy już prawie nad zatoką. Stary, zapuszczony cmentarzyk okalały chaszczce dzikich krzewów owocowych. Przez obłok zimna dobiegł mnie świergot ptaka, trylującego przed odlotem.

– Pomagałem mojemu staremu zakopać tonę tych puszek. Wiem, że rząd z chęcią usadzi McVicera, jak tylko będzie miał za co, albo z konieczności stanie po jego stronie. Pora mu dołożyć! – Mathew oparł łagodnie dłoń na moim ramieniu i dodał po chwili: – Pomyśl, co on zrobił twojemu ojcu. Pociągnąłem z butelki i spojrzałem przez zdeptane pole – zobaczyłem starego konia, który stał po brzuch w trawie, a potem sznur do bielizny, omotany jakąś płachtą, na dalekim podwórku brudnożółtego domu.

Oczy Mata przybrały barwę stalowoniebieską, jego głos brzmiał kojąco.

– To już zamknięta sprawa – powiedziałem. – Zamknięta sprawa.

– A jakbyśmy znaleźli i listy? Mielibyśmy dowód. Nie uważasz, że naszym obowiązkiem jest to zrobić? A i forsa pewnie też z tego będzie, kupa forsy. Pomyśl: przecież te listy od rządu potwierdzą to, co ja dobrze wiem – a jak ja wiem, to i każdy wie. A wtedy i premier, i jego adwokaci z Chatham, i cała reszta – wszyscy będą bulić!

– Skąd wiesz, że on naprawdę ma sejf?

– On miałby nie mieć sejfu? Jasne, że ma sejf. Musimy tylko ściągnąć z

niego forszę, zanim to zrobią tubylcy – przekonywał Mathew. – Bo to następni, co sobie na nią ostrzą zęby...

– Podamy go do sądu – odparłem, i przeszedł mnie dreszcz. – Jeszcze raz podamy go do sądu.

Mathew miał twarz spokojną, rozjaśnioną słabym już słońcem. Popołudnie odchodziło z wolna na szczudłach cieni; parę lawet parkowało przy szosie nad zatoką, czekając na motorówki do odholowania. Mathew przemawiał cicho, jakby bez osobistego zaangażowania:

– Sprawa sądowa trwa. Nie wiem, ile czasu zostało twojej matce, ale Teresa May ma przed sobą najwyżej rok życia. A jak utkniemy w sądzie...

Ja wiem, że to jest droga bardziej legalna, ale sam jej już próbowałem.

Nagle zrozumiałem, że całe moje życie i wszystko, co dotąd robiłem, moja bieda i reakcja na biedę, moja samotność w szkole, moja radość z Bożego Narodzenia – dopóki go nie było, moja szaleńcza fascynacja Penny Porier, a także ten wstrętny poplamiony obrus w kuchni i wieczna melancholia ścieżki przed naszym domem, po której Percy ciągnął swój wózek, i uśmiech matki, gdy nią pomiatałem, i cyrk, do którego nigdy nie poszliśmy, i nasi przybrani rodzice, tak, nawet kaszel mojej matki i cierpienie mojego ojca z powodu milczenia Chrystusa – wszystko to razem przywiodło mnie do tej chwili. Mogłem powiedzieć tak lub nie. Nie powiedziałem nic.

Uświadomiłem sobie, że Mathew Pita opętały pieniądze. Czuł, że niedługo pójdzie siedzieć za zabójstwo Trentona, więc miał dwa wyjścia: albo przyznać się do zbrodni, albo postawić się, obrabować sejf i zwać.

Lubiłem go na tyle, żeby mu pomóc. W końcu on też mi kiedyś pomógł, z kielichem. Byłem mu coś winien.

Przez głowę przemknęło mi pytanie, czy Mathew choćby pomyślał o tym, żeby odpalić mi część forsy. I uśmiechnąłem się. Mnie zależało na zemście, nie mniej niż jemu na pieniądzach. Potrzebowałem zemsty, żeby dowieść swojej głównej tezy o fałszywości doktryny mojego ojca. Czy jednak pamiętałem, dokąd mnie ta teza przywiodła? Dokładnie tam, gdzie przepowiedział mój tata.

Gapiałem się na małą tablicę nagrobną Roya Hendersona, na której daty już się rozmyły i zamazały.

Stałem się taki sam jak ci, co nas nienawidzili. Chociaż bynajmniej się o to nie starałem. Mathew odwiózł mnie do domu. Nie gadaliśmy więcej. Idąc ścieżką do drzwi, nie myślałem o niczym.

Nie chciałem mieszać się w tę kradzież, dopóki nie ujrzałem Percy'ego siedzącego samotnie w kuchni. Powiedział mi, że mama jest w szpitalu. Od trzech godzin siedział na swoim małym kuchennym krzeselku i czekał w milczeniu.

Musiałem go ubrać. Znalazłem białą, niemal już pożółkłą ze starości koszulę, ciemne wyjściowe spodenki i stare buty, które wyczyściłem. Sam umyłem się i przebrałem. Ruszyliśmy w stronę szosy.

Przez całą drogę Percy rozglądał się za Autumn, ale nigdzie jej nie było. Potem nazbierał liści i ułożył z nich coś w rodzaju bukietu dla mamy. W pewnej chwili, jakby mimochodem, powiedział:

- Byłem w kościele i modliłem się, żeby mamusia wyzdrowiała na święta.
- To nie twoja wina, Percy – odparłem lekko łamiącym się głosem.
- Twoja też nie, Lyle – odszepnął Percy.

Do szpitala dotarliśmy po dziewiątej. Matka leżała w sali na drugim piętrze, z dwiema innymi paniami. Jej włosy – co dopiero teraz dostrzegłem – były całkiem siwe, chociaż miała trzydzieści dziewięć lat. Bardzo zmizerniała. Percy wręczył jej bukiet brzoźowych i klonowych liści. Pocałowała go delikatnie, po czym spytała, gdzie Autumn.

– Jeszcze nie wróciła do domu – odparłem – ale poszukam jej, na pewno odwiedzi cię jutro.

Mama nic nie powiedziała.

– Zadzwoń do taty – obiecałem.

– Nie, nie – machnęła słabo ręką. – Nie zwracaj mu głowy, poczekaj, aż wróci. Wtedy Percy i tata, i ja pojedziemy na wycieczkę do Reversing Falls.

Z przesadną troskliwością poprawiała zżółkły kołnierzyk białej koszuli Percy'ego i poklepała go po gorsie. Na koniec wyprostowała mu muszkę pod szyją.

Percy uśmiechnął się do mnie, jakby proponowana przez mamę wycieczka nie podlegała dyskusji. Wszedłem na korytarz. Pielęgniarki wędrowały z sali do sali, dokonując wieczornego obchodu. Spytałem jedną z nich, co jest mojej matce. Powiedziała, żebym chwilę poczekał, i zniknęła.

Siedziałem w korytarzu dwadzieścia minut, może więcej. Już, już miałem zacząć znów szukać pielęgniarki, gdy zobaczyłem, że zmierza w moją stronę posterunkowy Morris razem z drugim policjantem. Towarzyszył im doktor Savard. Doktor poinformował mnie, że matka cierpi na obrażenia wewnętrzne, i spytał bez ogródek, czy ktoś ją pobił.

– Ależ skąd – zaprzeczyłem.

– A jednak ma silny krwotok. Próbujemy go zatamować – powiedział Savard.

Posterunkowy Morris przedstawił mnie inspektorowi Johnowi Delano. Delano, jak się okazało, chciał mnie koniecznie widzieć w związku z dochodzeniem.

– Jakim dochodzeniem? – spytałem.

Poprosił mnie do poczekalni, gdzie usiedliśmy. Morris stał w drzwiach. Wiedziałem, że Morrisowi zależy na udowodnieniu winy mojego ojca – tylko to mogło uratować jego karierę. Zwierzchnicy Morrisa w końcu to wyczuli i ze względu na znaczenie osoby McVicera ściągnęli po cichu kogoś innego, aby przyjrzał się sprawie. Teraz wszystkie dowody wskazywały na innych sprawców, nie na ojca. Delano znał ich nazwiska, ale jak na razie nie zdołał nakłonić Conniego Devlina do potwierdzenia podejrzeń.

– Czy pan wierzy, że mój ojciec jest niewinny? – spytałem Delana.

– Wierzę, że na moście popełniono zbrodnię – odparł – a co się tyczy niewinności twego ojca, to jestem jej pewien. Przypuszczam, że ktoś chciał go zrobić, że owszem, McVicerowi skradziono pieniądze, ale nie zrobiła tego twoja matka...

Dodał, że dwukrotnie widział się z moim ojcem.

– Kiedy? – spytałem.

– W obozie robotniczym. Chcesz, żebym zawiadomił go o chorobie matki?

– Nie... jeszcze nie, proszę.

Powiedziałem to chyba zbyt skwapliwie.

– Problem z dochodzeniem sądowym – zaczął Delano, całkiem z innej beczki – polega na tym, że to trwa strasznie długo... ludzie się nużą... w

końcu przegrywają sprawę i nie dostają ani grosza – tak jak tych pięć rodzin parę lat temu: dostali po paręset dolarów. Twój ojciec nie chciał się w to wdawać. Wolał stać sam – zawsze. Nie żyło mu się zbyt dobrze, co? A ty musisz dbać o Percy'ego.

Wstał, podał mi rękę, życzył wszystkiego najlepszego. Najwyraźniej ostrzegał mnie przed tym, co zamierzałem zrobić. Tylko skąd wiedział? Poszedłem po Percy'ego, który siedział przy śpiącej mamie, i opuściliśmy szpital. Na ulicach było cicho, cały świat zamilkł. Pod latarniami zbierały się ćmy, wpadały w kałuże, splukując sobie pyłek ze skrzydeł. Percy jedną wyłowił, osuszył jej palcem skrzydełka i wypuścił motyla w noc.

– Ich są miliony na świecie, Percy. – Skrzywiłem się z pogardą, patrząc na ogłupiałą ćmę, polatującą zygzakiem parę jardów od nas.

– Ale ona o tym nie wie, Lyle – powiedział Percy, biorąc mnie za rękę przed przekroczeniem jezdni.

Niosłem braciszka na rękach całą drogę do domu, a on ścisnął mnie za szyję. Szepnąłem mu prosto w ucho, które oparł na moim ramieniu:

– Bardzo cię kocham, Percy. I mamusię też kocham, i Autumn, i tatusia też.

Ale Percy zasnął i nie słyszał mnie.

Nocą wyszedłem posiedzieć nad rzeką. Wody naszej wielkiej rzeki niweczą nas – w jej szumie zlewamy się o zmierzchu z symfonią duchów. Gdy plamy światła na wodzie zanikają, a cienie pożera noc, przypominają nam się duchy dzieci – nas samych jako dzieci, sześć-, siedmioletnie, baraszkujące na Bartibog lub nad potokiem Arron, zachwycone, gdy pstrąg połknął haczyk. Przypomina nam się matka, rozweselona, sprzed piętnastu lat. Chwila mija, rzeka płynie dalej, chłopcy i dziewczynki opuszczają

prągowy strumień, wkraczając w niepewny nurt życia, i w końcu wszyscy stają się tacy jak ja, który siedzę dziś nad tą wodą.

A jednak, brodząc w swojej odległej przyszłości, łowimy okiem w dali magiczny ognik – wspomnienie tamtych dzieci, zgromadzonych wokół wygasłego ogniska w samym środku dawnych czasów – i ogarnia nas słodki smutek. Chciałem tam wrócić, do tych dawnych czasów – czasów, kiedy wierzyłem, że mój ojciec jest bohaterem i ufnie ujmowałem jego wyciągniętą rękę.

## Rozdział 10

Matka planowała posłać Percy'ego do Pierwszej Komunii i stale rozmawiała o tym z Autumn, wiedząc doskonale, że śmierć czai się za nią w szpitalnej sali i tylko czeka.

Wynajęła chłopca, aby przychodził do nas i zajmował się Percym po południu, po szkole. Tym chłopcem był Darren Votour. Jedyna osoba dyspozycyjna w tych godzinach. Ponieważ Autumn i ja znaleźliśmy Darrena, byliśmy spokojni, wiedząc, że właśnie on siedzi z Percym przez kilka godzin dziennie.

Ze znacznym opóźnieniem dowiedziałem się, że nie był to układ idealny.

– Co możesz zrobić dla swojej mamy, Percy? – spytał Darren któregoś popołudnia, w tygodniu wyjątkowo deszczowym i burzowym. – Ona już pewnie niedługo umrze. Będziesz płakał?

Percy westchnął.

– Mogę się modlić, jak Autumn weźmie mnie do kościoła.

– Modlitwa jest do bani – prychnął Darren.

– Mamusia lubi karmelki. Może kupię jej karmelków.

– Co jej po karmelkach, Percy? – zgasił go Darren. – Ona ma wielkiego guza, co ją zżera od środka, sam widzisz, jak do niej chodzisz, że z dnia na dzień robi się coraz mniejsza.

Popołudnie tego dnia było blade i mroźne, pachniało szronem na opadłych liściach.

– A tobie się wydaje, że kupisz jej karmelków i po krzyku.

– Ja wiem, Darren – szepnął Percy – że chodzi o coś więcej niż karmelki.

– Dlaczego ja tutaj z tobą siedzę? Gdzie jest Lyle? Widzisz, Percy – twój brat i siostra cię zostawili. Lepiej poszukaj jakiejś forsy, bo i ja sobie pójdę.

Darren otarł usta wierzchem dłoni i obejrzał się przez ramię.

– Dostaniesz cztery dolary, jak wróci Lyle – powiedział Percy.

– Gdyby nie ja, twoja matka już by dawno nie żyła. Autumn i Lyle mają ją w nosie. Ty myślisz, że twoja mama lubi cukierki? A wiesz, co ja myślę? Myślę, że ona się cieszy, że umiera, bo ma ciebie dość.

Kiedy Percy spojrział na Darrena, ten uśmiechnął się, ukazując białe zęby między cienkimi wargami. Miał mały wąsik, dwa pieprzyki na policzku i po dwa kolczyki w każdym uchu. Chodził z walkmanem, którego stale słuchał, nosił kowbojskie buty, miał wielki portfel, lubił Megadeth i przechwalał się, że był w Toronto, gdzie dał sobie przekłuć język.

– W tamtym roku słyszałem, jak twoja mama mówiła mojej mamie, że cię nie lubi.

Percy patrzył na niego, ale milczał.

– A wiesz, co Autumn lubi, Percy?

Percy uśmiechnął się.



– Lubi mnie łaskotać.

– Nie, ona lubi, jak ja jej wsadzę. To by lubiła najbardziej. Chciała ze mną chodzić, ale ja jej nie chcę – wygląda jak duch. Widziałeś kiedyś, jaką ma białą cipę? Pewnie ładną. No, przyznaj się, widziałeś? Znam chłopaków, co wszystko jej widzieli. Powiedziałem jej, że nie chcę z nią chodzić. Powiedziałem jej to.

Mówiąc to, Darren dyszał z dziwnym przejęciem.

Percy spuścił głowę, zawstydzony tym, co słyszy. Przesunął krążek na szachownicy. Na łokciu prawego rękawa miał dziurę. Popołudniowe słońce ledwo już świeciło, z wybrzeża dobiegał warkot dźwigów, unoszących drewno i kamienie.

– Zrobiłem ruch – powiedział Percy. – Teraz twój.

– No to ja ruszam wszystkie! – Darren jednym zamachem zmiotł warcaby z szachownicy.

Percy wstał, żeby je pozbierać. Gdy się wyprostował z garściami pełnymi pionków, Darren walnął go prosto w zęby.

Szachownica poleciała w powietrze, Percy upadł na ziemię. Z nosa i wargi leciała mu krew. Wygramolił się na nogi i siadł na kozetce, na której mama tak często polegiwała, gdy była z nim w ciąży. Po chwili chciał wstać z kozetki i pójść do łazienki, ale zwymiotował na podłogę. Muszka mu się przekrzywiła, zaczął ją poprawiać. Na muszce też była krew, a buty Percy'ego miały zdarte czubki, bo były o dwa numery za duże, więc wyglądał w nich jak klaun. Całe lato czekał, żebym go zabrał do cyrku. Nie doczekał się.

– Kręci mi się w głowie – powiedział.

– No to uważaj, żebym ci nie musiał przyłożyć drugi raz – ostrzegł go

Darren, spacerując po pokoju z założonymi rękami. – Lepiej tu posprzątaj, no już, posprzątaj, leć po wiadro, no, leć po wiadro...

Percy spojrział na niego i spróbował wstać.

– No, żebym ci nie musiał znowu przyłożyć! – uniósł rękę Darren.

Nagle jednak coś go podniosło za kołnierz i rzuciło aż za drzwi. Pozbierał się i wrócił do środka. A stary Jay Beard, który zbliżał się do

siedemdziesiątki, wyrzucił go raz jeszcze, i na dodatek kopnął w tyłek.

Darren czmychnął jak zmyty. Jay wrócił do środka, umył buzię mojemu bratu, skręcił sobie papierosa, zapalił i, tuląc Percy'ego w ramionach, zapewnił go, że tamten chłopiec nie chciał mu zrobić nic złego. On ma tylko nie po kolei w głowie.

Po chwili na dworze ściemniało, liśćmi przy naszej ścieżce zaszeleścił wiatr, ale ani Percy, ani Jay Beard nie zapalili światła.

## Rozdział 11

Parę dni później, wracając do domu naszą ścieżką, zobaczyłem Percy'ego – spał w zaroślach koło swojego wózka. Dzień miał się ku końcowi, opadłe liście wsysał przybrzeżny nurt potoku. Wiał słaby wiatr, nienaruszający jednak ogólnego spokoju, łodygi zarośli prześwietlał blask jesiennego słońca. Jay Beard poszedł na zebranie, Autumn miała w szkole próbę teatru, więc Percy od trzeciej po południu siedział w domu sam. W zaroślach pilnował go Scupper Pit. Wziąłem Percy'ego na ręce i zaniósłem do domu, a stare psisko kuśtykało moim śladem.

Percy powiedział, że zasnął, czekając na tatę.

– A wiesz, jak twój tata wygląda, Percy? – zagadnąłem.

– Jest dobry, świecący na twarzy, i nigdy nie mówi nieprawdy. Widziałem go na polu.

– Widziałeś go na polu? Kiedy?

– Jak szliśmy ze Scupperem Pitem do pana Bearda, on stał i patrzył na mnie. Przez gałęzie świeciło czerwone słońce i on tam był. Obiecał, że jeszcze do mnie przyjdzie. Mówił też coś do Scuppera, a Scupper merdał ogonem. Na koniec powiedział, że jak przyjdzie do mnie drugi raz, to odejdę razem z nim.

– Kto ci to powiedział?

– Ten pan na polu!

– A mówił, dokąd z nim odejdiesz?

– Nie mówił.

– Nie rozmawiaj z nim więcej – powiedziałem. – Jak go jeszcze kiedyś spotkasz, przyjdź zaraz po mnie. Ja się z nim rozprawię.

Percy zrobił komicznie zdziwioną minę i uśmiechnął się do mnie.

– Nie smuć się, Lyle – rzekł po chwili, dotykając rączką mojego policzka.

– Wszyscy się smucą. Darren też się smuci, bo kazałem mu więcej nie przychodzić – żebym się nie wiem jak starał, on już nigdy nie będzie ze mnie zadowolony.

Rozpłakał się. Miał porozwiazywane buciki, pościągane różowe skarpetki, gila do pasa, koszulę całą w rzepach, a w kieszeni psi suchar, który dostał od Jaya Bearda dla Scuppera.

– Ja się nie smucę – zaprzeczyłem i nagle zadrżałem. Czemu tak mówisz?

– Bo czytam w twoim sercu – szepnął Percy. – Czytam w sercu każdego.

Twoje serce jest smutne, tak samo jak serce Darrena i Mathew Pita. Ale serce tamtego pana z pola nie bije – ono świeci!

Percy położył się na kozetce, przytulił do Scuppera Pita i zasnął.

Siedziałem przy nim całą noc.

Następnego dnia rano odwiedziła mnie Diedre Whyne. Obrzuciła mnie uprzejmym spojrzeniem i zacisnęła obie dłonie na torebce. Ubrana była w płaszcz z watowanymi ramionami, a spinka we włosach sprawiła, że wyglądała młodziej niż moja matka przed chorobą. Diedre Whyne powiedziała, że szuka Autumn. Wyjaśniłem, że Autumn jest w szkole, razem z Percym.

– Wasza sprawa zostanie umorzona – oznajmiła.

– Jaka sprawa?

– Podatkowa. Powinniście za to dziękować pani Hardwicke, była waszą niezmordowaną obrończynią. Otrzymaliśmy właśnie list z Ottawy.

Wyjęła list z torebki i podała mi. Nie wyciągnąłem ręki, więc położyła list na stole.

– Ach tak – powiedziałem. – No to cieszę się.

– Jeśli byłam zbyt surowa, to tylko z troski o was. Wiele osób próbowało... przystosować was do życia... Wiem, że się o to gniewasz. Ale gdybyś znał warunki, w jakich dorastali twoi rodzice... Lata pięćdziesiąte i wczesne sześćdziesiąte bardzo się różniły od czasów obecnych – nie wyobrażasz sobie nawet nędzy, jakiej doświadczył twój ojciec. Tobie może się zdawać, żeśmy się bezprawnie mieszały w wasze sprawy – ale to zupełnie nie tak. Moim obowiązkiem było bronić twojej matki. Znałam ją jako małą dziewczynkę – ach, jaka była śliczna! – nie chciałam pozwolić, żeby zrujnowała sobie życie, od początku byłam przeciwna temu małżeństwu... choć może wcale jej nie pomagałam, może nie powinnam była robić pewnych rzeczy... Ale byłam młoda! A czasy były takie, jakie były – dałam

się złapać, jak wszyscy. Uważasz, że niesłusznie postępowałam?

– A skąd ja, do cholery, mam wiedzieć? – zjeżyłem się. – Jedno wiem, że myśmy wszyscy słono za to zapłacili. Za to, że pani była młoda.

Zachnęła się, odchrząknęła. Poprosiła o szklankę wody, więc jej podałem.

Upiła łyk i odstawiła szklankę na stół.

Następnie powiedziała mi, że trzy dziewczyny złożyły obciążające ją zeznania, a wuj jednej z nich, Bennie Sheppard, zażądał od niej pieniędzy.

Zapewniła mnie, że żadnej z tych dziewcząt nie zrobiła „nic takiego”, ale kto wie, czy ludzie im nie uwierzą. Spytała, czy może znam te dziewczyny – dwie Votourówny i jedną od Sheppardów.

Odparłem, że o ile wiem, wszystkie przebywają w domu opieki.

Wyjaśniła, że odebrano jej kuratelę nad domem opieki. Tak się napracowała, żeby go uruchomić – a tu nagle zjawiała się ambitna, młodsza, bardziej zdecydowana i przebojowa kobieta, z oskarżeniami dziewcząt pod jej adresem.

– To osoba z Mount Sinai Vincent, uważa, że zjadła wszystkie rozumy.

Dziewczyny zgłosiły się do niej na skargę. Do mnie nikt nigdy nie przychodził z zażaleniami. To wszystko z palca wyssane, ale jeśli ludzie uwierzą – wiesz, do czego może dojść? Do prasy nic jeszcze nie dotarło, moja rodzina zdołała na razie uciszyć sprawę. Ale klamka zapadła: jak ktoś sobie coś wbije do głowy, trudno mu to wybić... bez pomocy.

Diedre Whyne zaczerpnęła tchu, jakby powietrze stało się nagle dla niej czymś bardzo cennym. Upiła jeszcze łyk wody.

– Znalazłam się w bardzo delikatnej sytuacji... Przez dwadzieścia lat zajmowałam się dziewczętami bezdomnymi i wykorzystywanymi seksualnie, i przez to... – Urwała na chwilę. – I dlatego porzuciłam pracę w

opiece społecznej, przechodząc do urzędu podatkowego. Nie przeszedłam tam, aby was zniszczyć, jak może sądziłeś. To był czysty zbieg okoliczności.

Nie odzywałam się.

– Pojawił się wakat, odbyłam kurs, mój ojciec miał pewne znajomości. Przepraszam cię za to drewno, ale urząd podatkowy właśnie tak zmuszony jest czasem działać. Robiłam tylko to, czego ode mnie wymagało prawo. Szczerze wierzyłam, że uda mi się was przenieść w jakieś... lepsze miejsce.

Nie odpowiadałam.

– Domyślam się, co o mnie sądzisz, ale mogę przysiąc na Biblię, że jestem niewinna.

– Gównu mi z tego przyjdzie – odburknąłem. – Moja matka przed sądem przysięgała na Biblię, ojciec tak samo – i co? Cała okolica się od nich odwróciła. Pani też się wtedy nie przejmowała bibliami. A moja mama i tata nie mieli znajomości, które by ich ustrzegły przed dostaniem do gazet. Sama pani zaniósła do prasy zdjęcie Autumn, żeby wszyscy myśleli o nas jak najgorzej – chyba wie pani, o czym mówię.

– Byłam przeciwna zamieszczeniu zdjęcia dziecka w gazecie!

– Ale jakoś je zamieścili.

– Czy nie możesz jednak przyjąć naszego punktu widzenia... Wyobrazić sobie, że inni myślą inaczej? Ja byłam szczerze przekonana, że jesteście maltretowani – wszystko na to wskazywało...

Jej słowa potwierdzały tylko ironię sytuacji. Zawsze było mi żal kobiet w potrzasku. O wiele bardziej niż mężczyzn. Jej prywatny świat – świat, w którym śniła samotnie po nocach, jak tonie w pocałunkach kobiet –

zalewał ją teraz z kretesem. Teraz to ona, Diedre, potrzebowała naszej pomocy, a mnie – o zgrozo! – było żal, że nie umiem jej pomóc.

Diedre pogłaskała starego Scuppera Pita, a cofając rękę, zacisnęła ją i spojrzała na mnie, jakby nagle pomyślała o czymś strasznie bolesnym.

– Nie jestem bigotką ani rasistką... ale ta nowa, którą przyjęli, sugeruje, że ponieważ matka Cheryl pochodzi z plemienia Micmaców... że ja je wykorzystałam jako łatwy łup... Wiesz, jacy są ludzie...

– Wiem! – krzyknąłem ze łzami w oczach. – Wiem, ale jakie to ma, kurwa, teraz znaczenie? Widzi pani moje mięśnie? Wie pani, po co tak ćwiczyłem przez pięć lat? No, po co? Po to, żebym mógł walić jak byk – a i tak się boję. Czemu? Mogę w trzy sekundy powalić na łopatki chłopca trzy razy większego od siebie – więc czemu się boję? Dlaczego, dlaczego ja się boję? Dlaczego śpię z nożem pod poduszką? Dlaczego? – Umilkłem i wzruszyłem ramionami. – Ja pani wierzę, ale to nie było w porządku... wobec mamy... – głos mi się łamał jak dziecku – ...ani wobec Autumn i Percy'ego.

Uśmiechnęła się tkliwie i wzięła mnie za rękę. Jeszcze bardziej poczułem jej smutek i chciałem mu zaradzić. Tego samego chciałaby Autumn – dziecko, które kiedyś pachniało nędzą, lodowatą ciszą i igliwem, i uśmiechało się z nadzieją do świata, chociaż świat rzadko ów uśmiech odwzajemniał – a które teraz, w ostatnim roku szkoły średniej, nie wyglądało już na ostatnią sierotę tego świata, tylko na kogoś, kto się wybił ponad świat.

– Niech pani to weźmie – powiedziałem i wyjąłem z szuflady wizytówkę Isabel Young. – To najlepsza adwokatka, jaką znam, i najlepszy człowiek, z jakim miałem w życiu do czynienia. A tego nam przecież potrzeba, pani

Whyne: nie rewolucji i doktryny, tylko dobroci.

Powiedziałem to z pewną satysfakcją, ale wizytówki nie cofnąłem.

Diedre Whyne wzięła ją i schowała do torebki.

Patrząc za nią, gdy wychodziła, czułem, że stary świat znika pod naszymi stopami, a na jego miejscu, na płynnej lawie martwych ciał naszych wrogów, rodzi się nowy. Nagle, całkiem dla siebie niespodziewanie i pierwszy raz w życiu, nic nikomu nie byłem winien.

Przychodzi taki moment w życiu młodego człowieka, że w jego trzewiach wybucha ogień i samowiedza odsuwa całą dawną wiedzę w cień. Stąpamy wtedy jak archaniołowie, po czeluściach nieba i piekła, pozdrawiając się z daleka okrzykami przez rozjarzone okna tawerny nocy. Ja jednak, nawet śmiejąc się, wiedziałem, że zemsta jest płonna i nie przynosi duszy żadnej korzyści.

Nazajutrz rano przyjrzałem się Autumn, jedzącej płatki na mleku. Po raz pierwszy dostrzegłem w niej ucieleśnienie życzliwego dowcipu i dobroci, które zwalczają przeciwności. To, o co ojciec modlił się dla mnie, zaowocowało stokrotnie w Autumn – to ona była naszym cieślą od najwyższych krokwi z powieści Salingera, dowcipną, niepokonaną mistrzynią naszego życia.

Inspektor Delano odwiedził mnie w domu dwa dni później. Przyszedł obejrzyć dziurę po postrzale, o której, jak myślałem, nikt już nie pamiętał. Obszedł cały dom, a potem wstąpił do środka i zainteresował się regałem z książkami. Wyjął ze dwa tomy, zamyślił się nad nimi i spytał:

– Co tacy ludzie jak Mathew mają z życia? Nic. Zaręczam ci, że w tej chwili możesz zacząć żyć zupełnie od nowa. Bez Matów Pitów, bez



Conniech Devlinów, bez posterunkowego Morrisa i całej reszty. Trzeba jednak sporej siły charakteru, żeby się tak po prostu od wszystkiego odciąć. Człowiekowi się zdaje, że nie może przejść do przyszłości, dopóki nie uporządkuje spraw przeszłości. Pamiętaj jednak, synu, że przeszłość i wszystko, co należy do przeszłości, już minęło. Autumn to wie, z nią też rozmawiałem.

Zrobił coś dziwnego. Poszedł do samochodu i przyniósł stamtąd ułamany kij hokejowy. Obwiązał go szmatą, zamoczył w benzynie i podał mi.

– Podoba ci się? – spytał.

Nic nie odpowiedziałem. Przypuszczam, że zachowałem się tak, jak mój ojciec wobec Morrisa. Tylko że ojciec był niewinny.

– Czy ty wiesz, ile masz do zyskania? – zagadnął, odkładając kij.

– Nie rozumiem.

– Życie potrafi zmienić się nagle, nieoczekiwanie. Już nie jesteś synem wyrzutka społecznego. Obiecuję ci, że póki ja żyję, twój ojciec nigdy więcej nie będzie wyrzutkiem. A ci, co was nienawidzili? Cóż, wszyscy oni, z Diedre Whyne na czele, mają teraz własne kłopoty. Prawda jednak się liczy. A był czas, że sam w to nie wierzyłem. Nagle się okazuje, że kłamstwo ma krótkie nogi.

Delano otworzył książkę, przeczytał chwilę i odstawił tom na półkę.

– Jeżeli się w coś wmieszasz, nic ci z tego nie przyjdzie. Cokolwiek to będzie, w końcu zemści się na tobie. W krytycznej chwili albo on odwróci się od ciebie, albo ty od niego. To się zawsze mści. Jakby przyszło co do czego, pamiętaj, że cię prosiłem, żebyś uważał.

To rzekłszy, wyszedł.

## Rozdział 12

Wieczorem poszedłem do kościoła, bo obiecałem mamie, że zapiszę Percy'ego do Pierwszej Komunii. Nie zbliżałem się tam od lat. Kościół wydał mi się pusty, właściwie opustoszały. Tylko pod obrazem Madonny z Dzieciątkiem połyskiwało niepewnie parę świeczek. Wszedłem do zakrystii i zobaczyłem kielich, dokładnie na tym samym miejscu, skąd go ukradłem parę lat wcześniej.

Porier siedział tam jeszcze, czytał gazetę. W kościele pachniało swojsko dębowym drewnem i pastą do podłogi. Na zewnątrz wył wiatr.

Zakaślałem cicho, na co Porier zdjął okulary i spojrzał na mnie, mrużąc oczy. Postarzał się znacznie.

– Od Hendersonów? – upewnił się, lustrując mnie z takim natężeniem, że siwy lok spadł mu na czoło.

– Tak, to ja.

Przysunąłem sobie krzesło i usiadłem.

– Pewnie przyszedłeś spytać, kiedy msza. W poniedziałek, o szóstej wieczór – powiedział.

– Jaka msza?

– Autumn i Percy zamówili mszę za waszą matkę, o, proszę.

Wyciągnął kopertę. Była to koperta Percy'ego, wszędzie bym ją poznał. A w kopercie piętnaście dolarów, które Percy uskładał na gitarę. Oddał je bez wahania. I nawet mi o tym nie powiedział, ani on, ani Autumn.

– Nie wiedziałem, że zamówili mszę – wyszeptałem.

Porier siedział przede mną jak stary krasnal z wydatnym brzuchem, wystawiając rachityczne nogi sterczące spod podciągniętych nogawek

spodni. Powiedziałem mu, że przyszedłem zapisać Percy'ego do Pierwszej Komunii. Potem zmieniłem temat:

– Muszę wiedzieć, co się zdarzyło w tartaku. Nie będę miał spokoju, póki się tego nie dowiem, musi mi ksiądz powiedzieć.

Gdy to wyrzekłem, ogarnął mnie dziwny spokój. Stary ksiądz wyciągnął papierosa i zapalił.

– To nie twój dziadek to zrobił – powiedział. – Ja ci to mówię, bo nikt inny...

– Od kiedy ksiądz wiedział, że to nie mój dziadek? – spytałem.

– Co mi kto powie na spowiedzi, to jest tajemnica spowiedzi. Wasza rodzina niczemu nie jest winna. O ile wiem, tak właśnie napisano w gazetach. Ja, zdaje mi się, wiedziałem o tym od jakiegoś czasu. Ale skąd człowiek może mieć pewność? Tak czy owak, tych, co są naprawdę winni śmierci chłopca, czekają długie wyroki sądowe.

Nie strzepnął jeszcze popiołu z papierosa. Noc była znowu zimna, po kątach kościoła czaił się mrok.

– Jesteście bardzo kochani – powiedział Porier. – Każde z was.

– Przez kogo? – spytałem.

– Przez Boga.

To mnie z lekka ostudziło. Myślałem, że wymieni przynajmniej przewodniczącego Komisji Praw Obrony Człowieka, doktora Davida Scone'a, który usłyszał właśnie o naszej sprawie i zamierza oficjalnie dochodzić sprawiedliwości. Bardzo chętnie dałbym się przesłuchać jakiejś komisji. Moje strasznie zranione ego domagało się, aby doktor David Scone dowiedział się o niewinności mojego ojca i jego cierpieniu. Ale Porier miał mi do powiedzenia tylko tyle, że kocha mnie Bóg.

Spojrzałem na skromniutką kopertę Percy'ego z czytelnym wciąż ołówkowym napisem Getira. Nagle Porier oświadczył, że i moja matka jest kochana.

– Przez kogo? – spytałem znów.

– No, przez wszystkich. Przede wszystkim ty ją kochasz, no i oczywiście Autumn, i Percy, i wasz ojciec, i Hanny Brown, i Jay Beard, i masa innych ludzi, a zwłaszcza jej siostry. Wiem, że zawsze była kochana – odkąd jako małą dziewczynkę oddano ją do adopcji, tak samo jak jej siostrzyczki... cóż, takie to były czasy... wszystkie trafiły do sierocińca sióstr miłosierdzia. Sam je tam zaniósłem na rękach. Nie można ich było zostawić tam, gdzie były – tam nie było dla nich życia. Zawarłem umowę z matką Elly. Może powinienem cię za to przeprosić. Siostry twojej mamy były adoptowane wcześniej niż ona, jeszcze w niemowlęctwie – to dla człowieka łatwiejsze... ale i ją w końcu adoptowano, zadbałem o to – wzięli ją rodzice Hanny'ego Browna. Chociaż sami mieli ósemkę dzieci, przygarnęli jeszcze jedno. Nie pamiętam nawet, która tam była starsza, a która młodsza – twoja mama czy jej siostry... nie mogę sobie przypomnieć.

– Kompletnie nie rozumiem, o czym ksiądz mówi powiedziałem.

Ale mróz przeszedł mi po plecach. Siedziałem sztywno, jak przywiązany do krzesła skazaniec przed egzekucją.

Ojciec Porier spojrzał na mnie zmęczonymi, zaczerwienionymi oczami.

– Myślałem, że wiesz. Cała okolica już wie. To wyszło na jaw jakiś czas temu. Isabel Young odkryła prawdę. Odkąd poznała twoją matkę sześć lat temu, usiłowała zdobyć o niej jak najwięcej informacji. Najpierw o jej pochodzeniu. Robiła to dla twojej matki. Miała nadzieję, że jakoś się jej przysłuży. No i odkryła, że twoją matkę adoptował ubogi człowiek,

właściciel małej łódki rybackiej. Za to jej siostry wychowywały się w całkiem innych, znacznie lepszych warunkach. Poszły do prywatnych szkół. A spotkały się na uniwersytecie, nie mając pojęcia jedna o drugiej. Obydwie uczęszczały na marsze pokojowe, obydwie chciały zmieniać świat – aż w pewnym momencie wpadły na swoją rodzoną siostrę, swoją matkę, też nie wiedząc, że to ona. Dopiero Isabel odkryła prawdę, i trzy tygodnie temu przełamała milczenie... Byłem przekonany, że ty... naprawdę nic nie wiesz? Diedre Whyne i Isabel Young to siostry twojej matki. Musisz się o tym dowiedzieć. Ojcem wszystkich trzech jest McVicer.

Zacząłem się śmiać, pękałem ze śmiechu, aż łzy zalały moje głupie oczy.

## Rozdział 13

Wyszedłem z kościoła z rękami wciśniętymi w kieszenie i w połyskliwym mroku dostrzegłem jakąś postać – zdawało mi się, że się oddala, ona tymczasem właśnie się do mnie zbliżała.

Była to Autumn, w białym płaszczyku i wysokich butach. Bez makijażu, bez szkieł kontaktowych. Wyglądała jak dawniej, kiedy miała sześć czy siedem lat – mała albinoska, drepcząca do kościoła z kwiatkiem dla taty, wygranym na loterii.

– Szukałam cię – powiedziała. – Zostawiłam Percy’ego w domu, czeka na mnie. Musisz pójść z nami... – szepnęła i oczy jej się zaszklily – ...pożegnać się z mamusią.

Złapała mnie za rękę, żebym się nie ociągał, jakbyśmy się spieszyli na pociąg – ruszyliśmy biegiem. Jak na zamówienie, ojciec Porier minął nas

w swoim pontiacu i zahamował dopiero na naszej przydomowej ścieżce. Gdy dotarliśmy do samochodu, Percy już siedział w środku, przypięty pasem bezpieczeństwa, który tak małemu dziecku nadawał swoisty, pesymistyczny urok.

Po dziś dzień czuję nikłą woń wody święconej, którą pachniała Autumn owej jesiennej nocy. Ciekaw byłem, skąd wytrzasnęła takie perfumy i czy zdaje sobie sprawę, że przez ten jej zapach wyglądamy na wsiowych katolików najpodlejszej maści. Zarazem jednak podobał mi się ten zapach, bo był jej, autentyczny. Czuję go po raz drugi w życiu – za pierwszym razem wtedy, kiedy Jay Beard odwoził nas do domu z pikniku. Dla mnie była to woń rozcieńczonego octu, od którego żółkną ubrania.

Percy popatrzył na mnie bez słowa, jakby od dawna wiedział, że za chwilę wsiądę do samochodu. Koszulę miał zapiętą pod szyję, ale bez muszki, a na kołnierzyku koszuli – brązową plamę. Buciki, chociaż włożone prawy na lewą nogę, były starannie zasznurowane. W garści Percy zaciskał wstążkę i srebrny guzik. Nie odzywał się do mnie ani nie płakał. Gapił się tylko wprost przed siebie, a potężny pas bezpieczeństwa wyglądał na nim jak inkwizytorski szlaban, który zabrania duszy wyrwać się tam, dokąd ona pragnie – widocznie chce ją potortuować jeszcze chwilę dłużej.

Od trzech tygodni Percy albo siedział przy mamie, albo sam w domu, albo ze Scupperem Pitem w dzieciennym wózku dreptał na szosę wyczekiwać ojca. Zanieczywałem go, a on dzień po dniu siedział i czekał do późnej nocy na powrót mamy lub taty. Odkąd stan mamy zaczął się pogarszać, Percy coraz mocniej wierzył, że to tylko przejściowe kłopoty, że doktorzy zrobią nową operację i mama wyzdrowieje. A sam ciągał Scuppera Pita do kościoła. Bezduszni ludzie nieraz go potracali, wybiegając z mszy do

swoich aut w śnieżnej zadymce. Raz przewróciły go na ziemię dzieciaki, goniące za piłką, aż Scupper zaczął szczeekać.

Percy nie rozumiał, że lekarze są bezradni, chociaż się starają – że coś hamuje ich wysiłki, może czas, może niedostatek wiedzy, a może chaos naszego zmarnowanego tysiąclecia.

Gdy auto się zatrzymało, Percy czekał cierpliwie, aż ktoś odepnie mu pas – jakby to była część jakiejś ważnej ceremonii. Wzięliśmy go za rękę, Autumn z jednej strony, ja z drugiej. Wchodząc na schody, potknął się i powiedział „przepraszam” – z wielką powagą, która pogłębiła żalobną atmosferę słabo oświetlonego szpitalnego przedsionka. W hallu, przy samych drzwiach, stał i wył jakiś pijany nieszczęśnik. Nagle odwrócił się i z żarliwą, głęboką nienawiścią spojrzał wprost na Percy’ego.

Percy zatrzymał się, jakby poznał pijaka. Wręczył mu następnie swoją wstążeczkę. Gość przyjął ją, uciszył się i stanął jak wryty.

Percy ścisnął mocno nasze dłonie i popatrzył po kolei na nas oboje.

Poszliśmy dalej, skręcając w oświetlone korytarze. Pijak wykrzykiwał coś za Percym słabym głosem, którego echo ginęło w ścianach przeżartych wonią smutku, uryny i miłości.

– Mama zaczeka na tatę – powiedział Percy.

Ale mama była nieprzytomna. I to już prawie od tygodnia. Percy jednak spodziewał się, że zastanie ją obudzoną, więc gdy weszliśmy do sali, spojrzał na nas tak, jakby sprawił nam obojgu wielki zawód – jakby ktoś nagle przekreślił cały jego dziecięcy optymizm.

To, co nie zdarzyło się za życia mojej matki, stało się przy jej śmierci.

Doszło do spotkania trzech sióstr. Isabel już tam była, kiedy przyszliśmy.

Wstała, ucałowała mnie, nachyliła się czule do białego policzka Autumn i

przytuliła Percy'ego. Chwilę później w półprzymkniętych drzwiach szarej jak wieczór sali stanęła Diedre. Weszła zamasyście – torebka, spódnica, płaszcz – ale zmitygowała się, spojrzała na nas, na mamę, i z wahaniem podeszła bliżej. Nachyliła się, ucałowała blade czoło chorej siostry, raz, potem drugi, po czym wyprostowała się i uraczyła nas tragicznym uśmiechem.

– Tyle się nacierpiała – szepnęła nie wiadomo do kogo.

Isabel uściskała ją zdawkowo.

Wszedł ojciec Porier z ostatnim namaszczeniem. Udzielił komunii Autumn, a także Percy'emu, chociaż jemu jeszcze przez pół roku się nie należała. Ja nie przystąpiłem do komunii. Nie widziałem powodu.

Jak zwykle w takich razach, znalazła się masa pozornie nieistotnych drobiazgów. Notatki w sprawie szkoły Percy'ego, nagryzmołone przez mamę parę tygodni wcześniej, ze wskazówkami dla Autumn, żeby zapłaciła za jego obiady i kupiła mu zeszyt. (Mama nie wiedziała, że za obiady i zeszyt zapłacił Jay Beard, bo jej pieniędzy, jak zwykle, nie wystarczyło.) Numer telefonu Darrena Voteura, zgodzonego przez mamę do siedzenia z Percym.

Była też złożona karteczka z napisem „Sydney” na wierzchu. Także kartka z życzeniami z sierocińca sióstr miłosierdzia i nieotwarty list z biura matki przełożonej.

Zostało także parę innych rzeczy: kaptcie, które sam mamie kupowałem, kosz owoców – wciąż opakowany folią – od Hanny'ego Browna, i nowe mydło, które Autumn kupiła dla mamy w Chatham. Mydło też było jeszcze w ozdobnym papierku, leżało na stole razem z okolicznościową karteczką. Mama zmarła o dziewiątej siedemnaście, siedemnastego



listopada osiemdziesiątego dziewiątego roku. Miała trzydzieści dziewięć lat, osierociła trójkę dzieci, najstarsze osiemnaście, najmłodsze pięć lat, i męża, którego od blisko trzech lat nie widziała. Dla Autumn zostawiła dwie sukienki, a dla Percy'ego – pięć dolarów. Mnie przeznaczyła biały kamyczek bez skazy, który tata wrzucił przez okno do jej pokoju tej nocy, gdy wyznał jej miłość.

Przez następne parę godzin Diedre głądziła do nas o strasznym nieszczęściu, które nas dotknęło, ale teraz już należało do przeszłości. O tym, że staliśmy się nagle najbardziej szanowaną i kochaną rodziną w okolicy (choć brzmiało to absurdalnie). Kiedy mnie przytuliła, dotyk jej ciała przypominał mi ciało mamy, i łzy, przeklęte łzy, napłynęły mi do oczu.

Autumn stała z zamyśloną miną. Zdjęła pierścionek, który jej kiedyś dałem wraz z obietnicą, że już nikt nigdy nie będzie jej dokuczał. Podała mi go.

– Na co mi to? – spytałem, siląc się na spokój.

– Weź, proszę cię...

– Ale dlaczego?

Spojrzała na pierścionek.

– Pamiętam, jak raz Elly próbowała opowiedzieć mi historię... o Vincencie van Goghu... słyszała ją kiedyś od taty, ale nie miała pojęcia, kto to był van Gogh. Grałam akurat w szkolnym przedstawieniu o malarzu. Taty nie było w domu, a mama uznała widocznie za swój obowiązek opowiedzieć mi tę historię. Plątała się coraz bardziej, próbując ją relacjonować dokładnie tak jak tata. Chcesz wiedzieć, jak to było?

– Usiadła, położyła ręce na kolanach – powiedziałem – i przyglądała

sukienkę.

– No właśnie. Starala się mówić bardzo uczenie o van Goghu i jego obrazach. Ale wszystko jej się coraz bardziej mieszało, a taty nie było do pomocy, więc rozglądała się co chwila po pokoju, jakby go tam szukała. Nie wytrzymałam w końcu – zaczęłam się śmiać. Wiem, że sprawiłam jej tym przykrość. Robiła, co mogła, żeby opowiedzieć mi to tak jak tata, tylko że nie pamiętała szczegółów – a ja ją wyśmiałam. Urwała, próbowała przypomnieć sobie jeszcze coś, ale na próżno. A ja ją uraziłam, Lyle, uraziłam jej czule serce. I wiesz, czego mnie to nauczyło?

– Czego?

– Tego, że nasza mama jest nieskończenie piękna. Wyśmiałam osobę, którą van Gogh pokochałby bardziej niż wszystkich handlarzy sztuki na świecie. I nie mogę sobie tego darować. Bo ona, widzisz, nigdy w życiu nie znalazła powodu, żeby śmiać się ze mnie.

Odwieziono nas do domu. Dom wydał mi się obcy. Widok kozetki z poduszką, na której mama tak często leżała, widok mojego starego garnituru, który stale cerowała, żebym miał w czym pójść do szkoły – wszystko to budziło we mnie niepohamowany szloch, więc pospiesznie oddaliłem się do pokoiku na zapleczu, żeby Percy nie widział, jak płaczę. Na północy śnieg padał już od rana, a teraz zaczął padać i u nas. Coraz więcej płatków osiadało na naszym małym ganku. Percy siedział spokojnie na kozetce. Przez cały czas nie odezwał się ani słowem, buzię miał trupio bladą. Pomału zaczęli się schodzić sąsiedzi z obu brzegów potoku. Ktoś wspomniał o pogrzebie, że powinniśmy z Autumn pójść do zakładu pogrzebowego. Niektórzy rozsiadali się na dłużej, znosili koszyki z jedzeniem, zagadywali Autumn o tatę i mamę – a ja nie mogłem tego

znieść. Inni zaglądali tylko na chwilę, obrzucali nasz dom krytycznym spojrzeniem, dziwili się, jak można w takich warunkach przetrwać zimę, a co dopiero wychowywać dzieci.

Następnego dnia, w ciężkiej śnieżycy, Jay Beard zawiózł nas do zakładu pogrzebowego. Mieliśmy wybrać trumnę za jakieś tysiąc pięćset dolarów, ale młody przedsiębiorca poinformował nas z grobową miną, że trumnę dla naszej mamy już kupił McVicer – za dziewięć tysięcy.

– Nie zgadzamy się – powiedziała Autumn. – Mamie by nie przeszkadzała ta trumna, przeszkadzałaby jej tamta kosztowna, powiedziałyby, że za droga.

Mszę żałobną odprawił następnego dnia prałat z Newcastle. Ustrojony w bogate szaty, perorował o dobrym sercu naszej mamy i jej miłości do Chrystusa. Wszystko to było prawdą, ale skąd on akurat mógł o tym wiedzieć?

Po mszy prałat posadził sobie Percy'ego na kolanach, przy czym obaj wyglądali dość nieswojo.

Wszyscy chwalili Percy'ego, że jest taki dzielny.

Gdy chowano mamę nazajutrz, dzień był rześki i biały. Cmentarz w smugach śniegu jakby nabrał energii, nagrobki sterczały solidnie, rozdzielone białymi bruzdami. Zdumiewające, jak mało ludzi znało moją mamę naprawdę, a jak wielu tylko ze słyszenia. Mogłoby się wydawać, że mama nigdy nie istniała, że całe jej życie – odkąd posługiwała na kościelnych piknikach, aż po jej własne imperium kanapkowe – nie zostawiło nawet najmniejszego śladu na powierzchni naszej ziemi.

Dlatego chcę poinformować wszystkich, że w chwili śmierci moja mama ważyła sto trzy funty, miała trzydzieści dziewięć lat, przeczytała w życiu

trzy książki i sześciokrotnie odbyła podróż z Tabusintac do Newcastle, i że co roku na Gwiazdkę robiła mężowi nowy sweter na drutach. Najlepiej wspominała swoje dwudzieste siódme urodziny. Jej ulubioną przyjaciółką była Diedre Whyne. A ulubionym mężczyzną, poza moim ojcem – Jay Beard. Jej ulubionym programem w telewizji był serial Lassie, który oglądała wraz z Percym, a ulubionym kolorem niebieski – kolor oczu Percy’ego. Z trzech książek, które przeczytała, najbardziej lubiła Przygody Huckleberry Finna. Chcę jeszcze, żeby ludzie wiedzieli, że ją kochałem. Przyklęknąłem, ucałowałem ziemię, w której złożono moją matkę, i nigdy więcej tam nie wróciłem.

# Odkupienie

## Rozdział 1

Ojciec dowiedział się o chorobie mamy na dwa tygodnie przed jej śmiercią. Natychmiast złożył wymówienie w pracy i zaczął się szykować do powrotu do domu.

Noce były coraz zimniejsze, odrobina dziennego światła gasła około wpół do piątej po południu, ziemia stwardniała, kałuże pozamarzały, stare koleiny po traktorach zakrzepły jak żelazo, ostrza pił i silniki maszyn uruchamianych z rana protestowały jękiem przeciwko dyktatowi ludzkości.

Ojciec przyczynił się do założenia trakcji elektrycznej biegnącej przez młode zielone lasy, moczary i cedrowe bagna, od polany do polany, ponad rzekami, tamami bobrów i potokami. Dzięki niemu zapłonęło światło w domach, których mieszkańcy nie mieli pojęcia o istnieniu mojego ojca, dzięki niemu działały komputery młodych dam, które gardziły jego życiem, nawet komputer główny w gabinecie doktora Davida Scone'a, czołowego obrońcy praw człowieka. W tym właśnie komputerze kryły się akta mojego ojca, których on sam nigdy nie widział.

Ludzie obojga płci, pewni nowoczesnego świata i swoich praw do niego, nie znali świata mojego ojca albo wiedzieli o nim tyle co nic – nie mieli wszak pojęcia o całych milach jałowych bezdroży i tonach przerzuconych skalnych odłamków. A gdyby nawet wiedzieli więcej – cóż by to zmieniło? Sydney Henderson od roku nie czytał gazet, nie orientował się zupełnie w bieżących sprawach. Posiwał, ważył teraz dobre sto osiemdziesiąt pięć

funtów. Ci, którzy z początku dręczyli go za to, że był inny, teraz odnosili się do niego życzliwie.

– Po coś ty się tego wszystkiego uczył, Sydney? Na co ci były te wszystkie książki? – zagadnął tatę na trzy tygodnie przed jego powrotem do domu poczciwy młodzik nazwiskiem Alcide Dorion. – Co ci z nich przyszło, Sydney? No, co?

– Książki to dobro samo w sobie i powód sam w sobie – odparł mój ojciec.

– A ja, czego bym się mógł dowiedzieć z książek? – drażył temat Alcide, po francusku.

– Że nie jesteś sam na świecie, nawet tu, na tej wyboistej drodze zrytej traktorami. Nic więcej człowiekowi wiedzieć nie potrzeba – odpowiedział mu ojciec, też po francusku.

Paru facetów go nie lubiło, uważali, że jest do niczego. Byli to szyderycy, harujący jak woły, o ciasnych horyzontach. Sydney denerwował ich swoimi nowymi, wzniosłymi ideami.

Jednym z nich był niejaki Straszny Jon Driver. Raz wrzucił złośliwie kotlet ojca do ogniska, i lubował się w głupich żartach na temat jego męskości. Jak każdy głupiec, Driver był niesamowicie pewny siebie, samolubny i drażliwy. Na dwa tygodnie przed odejściem Sydneya z obozu sprął młodego Alcide'a za to, że ten stale o coś pytał Sydneya.

– A czego chcielibyście się dowiedzieć o tym flaku? zarechotał, rozsiadając się na pryczy z założonymi rękami.

Sydney podskoczył i podniósł Alcide'a z ziemi. Driver spojrzał na niego z pogardliwą pewnością człowieka, który wierzy, że jedynie dobrym ludziom trafia się praca tak ciężka i niewdzięczna, jaką on sam wykonuje. Nazajutrz rano tylko nieliczni odzywali się do taty, a Alcide Dorion, który

znalazł się w obozie tylko dlatego, że stracił ojca, a miał w domu małe rodzeństwo, zażenowany tym, że ojciec musiał go bronić, zaczął omijać go z daleka. Tacy jak Jon Driver znali wiele sposobów wygrywania potyczek. Jednym z nich było wykorzystanie skrajnej pogardy, jaką słabi zawsze czują wobec silnych.

Ponure jesienne dni osuwały się pomału w zimę. Gdy Sydney siadł na swojej pryczy w marnie oświetlonym baraku, poczuł, że jego ciało jest jednym sprężystym mięśniem. W skórzanej portmonetce, schowanej na dnie płóciennego plecaka, miał dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Był gotów wracać do domu. Pozostało mu przejść dziewięć mil do szosy i złapać autobus jadący w rejon rzeki Miramichi. Jutro wieczorem będzie znów ze swoją Elly. Przytuli i ucałuje Percy'ego. O milach dzielących go od domu myślał jak o zniewadze – pokonałby je chętnie w jedną sekundę. Po tak długim czasie, po trzech latach, rozerwał ciężkie okowy dobrowolnego wygnania – chciał żyć! Żyć jak inni, ale według własnych reguł.

W ostatnim liście do domu, który dostaliśmy, gdy mama była już w szpitalu, ojciec kreślił swoje plany na przyszłość z radosną nadzieją, bladoniebieskim atramentem. Jeśli przyłoży się solidnie, to przed czterdziestym trzecim rokiem życia uzyska stopień licencjata pedagogiki i pójdzie uczyć do szkoły Percy'ego. Wtedy nasze życie rzeczywiście całkiem się zmieni – pisał.

„Lyle, ty się najwięcej nacierpiałeś, wiem o tym. Więcej nawet niż Autumn. Pamiętamy oboje z mamą, jak biegałeś w wypłowiałych, podartych spodenkach i koszuli, zawsze sam, chociaż inne dzieci bawiły się razem. Jestem też świadom, że dużo trudniej ci było walczyć niż mnie

– ale pomyśl o swoich zdolnościach, o świetlanej tęczy przyszłości, która nas czeka”.

Nie wiedział, jak nisko spadłem z owej świetlanej tęczy w jego sercu. A najgorsze było jeszcze przed nim. To najgorsze, którego stale się obawiał. Na które czekał stale, odkąd jako dzieciak, zgarniając śnieg z dachu kościoła, zawarł swój pakt z Bogiem. Wiedział, że to najgorsze przyjdzie wraz ze śniegiem.

Takim samym próbom, jakim Gerald Dove poddawał cząsteczki chemiczne, mój ojciec poddawał swoje własne, ludzkie serce. Były to w obu przypadkach próby starotestamentowe, które wolimy dziś uważać za zamkniętą przeszłość albo w ogóle o nich zapominamy w świecie swoich wewnętrznych zegarów i kultu osobowości. Z Księgi Przysłów można by wywnioskować, że zło zawsze zostaje ukarane, sprawiedliwość wymierzana jest po równo, a dobrzy dostąpią triumfu dobra – tak wierzymy i mamy nadzieję, że to prawda.

Próba mojego ojca była jednak rodem nie z Księgi Przysłów, lecz z innej księgi – bardziej dosadnej, genialnej, wnikliwej i bolesnej. Ojciec nie myślał o niej od pewnego czasu, bo taki był z siebie zadowolony. Uzbierał dość pieniędzy, mógł wreszcie spłacić dług, uniezależnić się finansowo od całego świata. John Delano, który parę miesięcy wcześniej odwiedził go w obozie, zapewnił ojca, że nie tylko zostanie oczyszczony z zarzutów, ale i otrzyma rekompensatę, być może nawet w wysokości miliona dolarów. Ojciec znał jednak na pamięć Księgę Hioba, wedle której świat nie jest dla człowieka miejscem bezpiecznym, a wszystko, co człowiek posiada, może mu w każdej chwili zostać odebrane – i będzie siedział oniemiały, przyjmując z pokorą straszne Słowo Boże. Jedynie młodzi myślą, że w tej



księdze jest mowa o wolności – mędrcy i królowie wiedzą, że nie ma większej i prawdziwszej księgi na świecie – a mój ojciec nie należał ani do jednych, ani do drugich, chociaż może był i jednym, i drugim.

Po obozie pętał się niejaki Connie Devlin. Przemycił się tam chyłkiem znad naszej rzeki, gnany panicznym strachem, że haniebna przeszłość zaczyna deptać mu po piętach. Przypadek zdarzył, że znalazł się akurat w tym obozie i został najęty do pracy jako pomocnik kucharza.

Mojego ojca zaczęły na nowo prześladować upiory młodości. Dawna przysięga dławiła go jak jadowita żmija. Podłe dzieciństwo, alergia na konie, awanturnictwo ojca, przeklęta młodość, którą zapijał w domu, żeby zapomnieć, kim jest – wszystko to odżyło na nowo w jego pamięci i znowu poczuł się jak jedenastolatek. Za jego plecami znów czaił się Connie Devlin, wypatrując tylko stosownej chwili, aby dręczyć swoją ofiarę.

W obozie Connie naraził się na podejrzenie kradzieży kaset magnetofonowych, i zaraz przybiegł po ochronę do mojego ojca. Gonili go dwaj robotnicy, jeden z kluczem francuskim w pogotowiu. Już, już miał nim rzucić w Conniego, kiedy mój ojciec stanął między nimi. Nic nie powiedział. Stał tylko i nie ruszał się, z nagim torsem i muskularnymi ramionami. Ani drgnął, kiedy napastnik uniósł do góry klucz – trwał z miną starego niewolnika, który za wiele już oberwał, żeby podskakiwać. Sydney czuł pokusę, aby odwrócić się od Conniego. Wiedział, że gdyby to zrobił, byłby nareszcie bezpieczny. Connie znalazł się w obozie z powodu, którego Sydney nie rozumiał.

A jednak Sydney, nie bez pewnego zażenowania, zaapelował do tamtych, żeby byli wyrozumiali dla Conniego, bo miał trudne dzieciństwo.

Pozostali koledzy, od dawna pełni wątpliwości na temat Sydneya, ujrzeni nagle całą jego słabość, pęknięcie jego duszy. To, że stanął w obronie Conniego, wkrótce wszystkich do niego zraziło – zaczęli go unikać.

Tata poszedł się pożegnać z młodym Alcide'em, lecz ten nawet na niego nie spojrział. Nasłuchiwał się już wiele o wyczynach mojego taty nad Miramichi, Connie stale sączył mu te opowieści do ucha. Mój ojciec znowu stał się wyrzutkiem, a Alcide działał przecież tylko w obronie własnej.

Tata spakował parcianą torbę, włożył płaszcz, buty i kapelusz – był gotów do wyruszenia na szosę. Alcide'owi zostawił kartkę z listą lektur, francuskich i angielskich.

Dzień był kąśliwie zimny. Gdy ojciec zszedł o świcie po trzeszczących schodkach, jedyna plama słońca widniała na blaszanym dachu drugiego baraku, po przeciwnej stronie prowizorycznej, rozjeżdżonej traktorem drogi.

Nagle podbiegł do niego Connie, też spakowany do wymarszu. Wyglądał jak zdiadziały krasnal: z dziesięć różnych szmat okrywało jego zmarznięty grzbiet, a na nogach miał ciężkie gumiaki, takie jakie noszą górnicy.

– Bez ciebie tu nie zostanę – jęknął błagalnie. – Nie mogę... musisz mnie zabrać. Proszę cię... musisz... co ja bez ciebie...

– Przez całe życie mnie dręczysz – powiedział cicho ojciec. –

Niepotrzebnie ślubowałem. Ale ślubowałem, i dlatego nie mówiłem nic, wiedząc dobrze, że to Sheppardowie spoliли mnie siłą. To straszna przysięga.

– Co mnie obchodzi jakaś twoja przysięga? To głupota... Zresztą, ja ci

nigdy nic nie zrobiłem... wiesz, że nie. To wszystko Mathew... to on okradł McVicera. Pójdę z tobą na policję, jak tylko wrócimy do domu. On to zrobił dla Rudy'ego, bo Rudy chciał zgwałcić Elly – tak było, przysięgam ci. Wszystko było zmontowane, żeby odciążyć Rudy'ego. A później to on, Mathew, wysadził most. Wiesz, jak ja się strasznie bałem? Trenton kręcił się tam przypadkiem, szukał ciebie. A wszyscy zaraz pomyśleli, że to ty. Bałem się powiedzieć... Ty się nigdy nie bałeś? No, powiedz. Potwornie się bałem.

Mój ojciec spojrzał na małe czerwone uszy Conniego i kosmyk włosów na czubku jego głowy. Jak to możliwe, że jego życie było tak przeżarte zdradą?

– Proszę cię, proszę, proszę, daj mi jeszcze jedną szansę... błagam cię, tylko jedną! Ja wszystko powiem głośno, jak tylko wrócimy do domu. Ojciec nic się nie odezwał, po prostu skinął głową.

Więc Connie podreptał w ślad za Sydneyem i zniknął razem z nim, skręcając za dygocące na wietrze zmarznięte drzewa. Trajkotał przy tym cały czas jak katarynka, uszczęśliwiony, że jednak wciąż ma przyjaciela. Był świt siedemnastego listopada osiemdziesiątego dziewiątego roku, dzień śmierci Elly. Niebawem zaczął padać śnieg, dokuczliwy, kłujący jak drut kolczasty.

## Rozdział 2

Minęły dwa dni od pogrzebu mamy, zanim ktokolwiek się zorientował, że tata zaginął. Musiałem jechać do Campbellton, pytać o niego. Ale nikt nie miał pojęcia, co się z nim stało, ani nawet czy wyszedł sam, czy ktoś mu

towarzyszył. Jon Driver cały wolny czas poświęcał na szperanie po wąwozach na północ od linii trakcyjnej. Ja szukałem na południowy wschód od potoku Otter, zdeptyując nogi aż do krwi. Byłem tam miesiąc. Codziennie studiowałem mapę i codziennie czekałem, że ojciec wyjdzie nagle do mnie spomiędzy drzew. Czułem, w miarę jak poszukiwania traciły impet i chętnych do nich ubywało, że ludzie patrzą na mnie jak na wariata. W końcu wytrwaliśmy tylko Jon Driver i ja. Jon Driver przysiągł, że mnie nie zostawi.

Za wiele było zamieci, za wiele dróg do sprawdzenia. To w Campbellton spotkałem przypadkowo Blissa Hanrahana, który swego czasu wioził mego ojca autostopem. Zaczepił mnie na ulicy w związku z tatą, i spytał o moją matkę, nie wiedząc, że zmarła.

– Gdzie nocujesz? – zainteresował się.

– Na ulicy.

Zaproponował mi nocleg, ale podziękowałem.

– Czemu? – zdziwił się i uścisnął mi ramię.

– A gdzie pan wtedy był? – Strząsnąłem jego dłoń wzruszeniem ramion. – Gdzie pan, kurwa, wtedy był?

Koordynator poszukiwań, prowadzonych wspólnie przez wydział leśnictwa i biuro poszukiwań osób zaginionych, chciał mnie zamknąć.

Wydzwaniałem do niego po nocach z budki telefonicznej z pretensjami, dlaczego nic nie robi i nie wysłał jeszcze do akcji helikopterów.

Tłumaczyłem mu, że Autumn i Percy dopiero co stracili matkę, a teraz tracą ojca.

– Nic na to nie poradzę, synu, bardzo mi przykro – odpowiadał.

Ale raz dodał:

– Synu, ty się zabijasz tym poczuciem winy... To ty ich opuściłeś, a nie ojciec i matka...

– Jak to... jak to, ja ich opuściłem? – W swoim sercu, synu – rozplakał się w słuchawkę. – W swoim sercu.

Do domu wróciłem w styczniu dziewięćdziesiątego roku. Wsiadłem z pociągu w samo południe i ruszyłem wzdłuż rzeki. Doszedłem do małego budynku szkoły, stanąłem i czekałem.

W końcu na schodach stanął Percy, Autumn trzymała go za rękę. Pod granatową kurteczką Percy miał marynarkę i starą muszkę przy koszuli, tak jak chciała go widzieć mama. Spojrzał w dół, buzia mu się rozpromieniła i rzucił się w moje objęcia.

Śnieg poróżwiał od słońca, modrzewie miały twardość stali, niebo zastygło od mrozu. Percy maszerował pośrodku, trzymając nas oboje za rękę.

– Wiecie, co nasza matka i ojciec znaczyli dla tego świata?

Powiedziałem im, że mama i tata oznaczali wielkość. McVicer nie miał w sobie żadnej wielkości, ani doktor David Scone, ani ci wszyscy, którzy rozpisywali się o prawach rdzennej ludności, a nie spędzili ani jednej nocy z Cheryl Votour. Powiedziałem Autumn, że te rzeczy wcale się nie liczą. W naszym świecie zawsze wszystko było na odwrót. Powiedziałem jej, że skrzywdziłem matkę i ojca.

– Percy, w twoje urodziny pojedziemy do Saint John obiecała Autumn. I wymieniła mu po kolei wszystkie atrakcje, które nas tam czekały. – Ale będzie świetnie, co? – spytała na koniec.

## Rozdział 3

Spokój? W tym samym tygodniu do domu wrócił Connie Devlin. Zobaczyłem go któregoś dnia o dziewiątej wieczorem, jak mijał naszą skrzynkę na listy. Był w pięknym nowym płaszczu i butach na baranku. Przesłuchiwany przez policję, oświadczył, że nie wie nic o zniknięciu mojego ojca. Znalazł się jednak pod obserwacją, a po trzech dniach ludzie zaczęli donosić, że wszystko wygadał. Rozeszła się plotka, że ja teraz szukam Devlina i chcę go zabić. Sam zaczynałem w nią wierzyć. Budziło to we mnie poczucie cichej desperacji, które zawsze uwielbiałem. Wtedy mniej więcej odwiedził mnie Mat Pit. Miał zapadniętą twarz. Była to twarz człowieka zaszczutego, który lęka się światła i innych ludzi. Spośród wszystkich, których w życiu swoim okaleczył, skrzywdził lub omamił, słuchaliśmy go jeszcze tylko my dwaj: Rudy Bellanger i ja. Rudy – wykopany z domu grubo przed Bożym Narodzeniem i objęty śledztwem, które zlecił jego własny teść – też był skończony. Snuł jeszcze jakieś plany, ale nikt go nie słuchał. Gladys przeprowadziła się z powrotem do domu ojca, do starego dzieciennego pokoiku za kuchnią, a jej stylowy ranczerski dom, wystawiony teraz na sprzedaż, stał pusty i wymarły, jak wszystkie porzucone murowane domy.

Pit zjawił się u mnie sam. Jego dalekosiężne imperialne plany, jego pasożytnicze nadzieje wykreowania się na kogoś w stylu Leo McVicera, ulotniły się jak płomień świeczki, zduszony jednym palcem. Został po nich tylko nabrzmiały wrzód niesmaku. Mathew Pit sam mi to powiedział, językiem dosadnym, wręcz wulgarnym. A Cynthia? Cynthię znienawidził. Bo nie chciała mieć z nim już nic do czynienia, odkąd znalazła sobie

ciepłe gniazdko w rezydencji nad zatoką. Czy wiem, że zaręczyła się z McVicerem? Skinąłem głową. Jak ona śmiała się zaręczyć! – pomstował Mathew. A czy wiem, że nosi pierścionek zaręczynowy z brylantem, wart dwa tysiące dolarów? Znów skinąłem głową. Jak śmie!

Mathew oświadczył, że dla niego Cynthia już nie istnieje. Żwirowa droga, stary dom, w którym się wychowała, zapadnięte podwórko, ziejące pustką okna, mężczyźni, którym się oddawała – łobuzy i obiboki – wszystko to przekreśliła jednym machnięciem ręki. W oczach Leo była kobieta, która ucierpiała z ręki brata, wykreowanego nagle na demona – była ofiarą, którą on, McVicer, wybawił z dzikiego horroru. Leo, jeśli chodzi o Cynthię, nie zamierzał uwierzyć w nic poza tym, w co sam chciał uwierzyć. Zaczął nosić ubrania wybrane przez Cynthię i strzyc się po nowemu. To bez dwóch zdań oznaki starczego dzieciennienia – oświadczył Mat. Przytaknąłem ruchem głowy. Podobno McVicer dał w twarz rodzonej córce, kiedy mu zarzuciła, że dzieciennieje.

– No właśnie... cała Cynthia – podsumował Mathew. – Nie mogę znieść myśli, że moja siostra taka jest, ale co zrobić.

Jego wyznanie powinno było dać mi jakąś satysfakcję, ale nie dało. Sytuacja Mata była dość typowa dla mężczyzn ze wsi, cierpiących z powodu nowych czasów. Kurtkę miał obszarpaną, buty dziurawe, ręce pokryte wrzodami odmrożeń. Czuł się marnie, szukał pracy. A przede wszystkim chciał się wyrwać z domu, gdziekolwiek.

– Jak ty możesz pozwalać, żeby Connie Devlin spał sobie spokojnie? – zagał, kiedy napiliśmy się wina i wciągnęliśmy dwie ścieżki kokainy. – Musisz zrobić z nim porządek, to sprawa honoru twojego taty. Pamiętasz, ile razy rozmawialiśmy o honorze?

Położył mi rękę na ramieniu.

– Policjanci co godzina patrolują dojazd do jego domu, a on nimi kręci jak szewc kopytem; chodzi dumny jak paw – odpowiedziałem.

Miałem wszystkiego dość. Mat to zauważył i wpadł w panikę.

– Nic prostszego – judził. – Poczekaj tylko na burzę, wtedy radiowozy nie jeżdżą i nikt się nie kręci po okolicy. Nie chodzi mi o siebie – dodał. –

Wiem, że nie masz powodu mi ufać, ale Connie... chodzą plotki, że zepchnął biednego Sydneya z urwiska... Wstyd pomyśleć, słowo daję, że to mój kuzyn... To on pogasił światła na budowie, on załatwił Trentona...

Jestem o tym teraz głęboko przekonany, szkoda, że tak późno. Gdybym wiedział, że możesz przywrócić życie swemu tacie, chętnie zamieniłbym się z nim miejscami... Twój tata dosyć się nacierpiał za to, co zrobił

Connie... mój rodzony kuzyn, pomyśleć tylko! To Connie wmówił mi, że twój tata robi krzywdę Trentonowi. Wpadłem w szal i na chwilę straciłem trzeźwość myślenia. Radzę ci, poczekaj na burzę – to twoja szansa: Connie będzie sam w domu. Nie mówię ci tego we własnym interesie. Ja muszę się stąd zmyć, bo oskarżą mnie o zbrodnię, której nie popełniłem – a na to nikt by się dobrowolnie nie narażał! Dać się oskarżyć o zbrodnię, której się nie popełniło?

Ilekczo wymawiał imię mojego ojca, oczy mi się szklily, a Mathew, widząc to, ze smutkiem kręcił głową. W końcu poszedł sobie. Mam wrażenie, że po raz pierwszy w życiu Mat Pit się mnie bał.

## Rozdział 4

Z chwilą gdy Cynthia zagościła w domu Leo McVicera, z chwilą gdy żona



Rudy'ego też się tam przeniosła, a jego własny dom wystawiono na sprzedaż, Bellanger został nagle strącony do piekła. Kto jeszcze nie wierzył w piekło, tego przekonałby jeden rzut oka na Rudy'ego – widok jego żalosnych oczu i wystrzępionej wiatrówki, a także to, że w kieszeni nosił kwitek upoważniający do korzystania z pokoju w YMCA.

Nie umiał się z tym pogodzić. Nie chciał się z tym pogodzić i dalej żyć. Cały czas czekał, że mimo wszystko Gladys mu pomoże. Pętał się po podwórku za domem teścia, patrząc, jak Cynthia zajada bułeczki z cynamonem i jeździ sobie gdzie chce cadillakiem.

Zapłacił nieprawdopodobną cenę za swoje zaślepienie. O niczym innym nie mógł teraz myśleć. Czasami szedł pod dom Pitów i czekał, aż Mathew znajdzie chwilę, żeby z nim pogadać. Stawał na pagórku za ich obejściem i gapił się w okno pokoju, w którym owej feralnej nocy uprawiał seks z Cynthią. Okno często było otwarte, ale w środku widział tylko ciemność. W dzieciństwie Rudy panicznie bał się porażki i wszystkich ludzi. Teraz dopiero – zbyt późno – uświadomił sobie, że lęk przed życiem zrobił z niego kalekę. Mógł dokonać niesamowitych rzeczy, może nawet zostać wielkim człowiekiem – a nie osiągnął niejako dziecko modlił się, żeby mógł być bezpieczny, szczęśliwy, kochany. I teraz dopiero widział – za późno, niestety – że otrzymał w życiu to wszystko, o co się modlił. Zanim skończył dwadzieścia jeden lat, był bezpieczny, szczęśliwy i kochany. Ale wtedy przestało mu to wystarczać. A czym się odwdzieczył za otrzymane dary? Niczym. Nie był dobry dla Elly, bo rządziła nim pogarda i chuć. Nie był dobry dla Gladys, bo rządziła nim chciwość. Nie był zdolny do miłości, bo rządził nim lęk.

Co złego zrobił mu Leo McVicer poza tym, że stale powtarzał: „Nie, nic z

tego, nie dam ci się wykorzystywać tylko dlatego, że się ożeniłeś z moją córką – nie dam się wystrychnąć na dudka!” Rudy nie umiał nienawidzić starego za to, co zrobił.

Czyżby nie było go stać nawet na odebranie sobie życia? Ta myśl często chodziła mu po głowie. Nie – nie był w stanie. Ale właściwie czemu nie? Jaki sens się tak męczyć, skoro wiadomo, że wszystkie jego czyny w końcu wyjdą na jaw? A jednak chciał żyć, musiał. Jakoś zdobędzie pieniądze i wyjedzie tam, dokąd zawsze chciał wyjechać – do Australii. Rudy wiedział, że załamie się na przesłuchaniu. Nie miał już żadnej ucieczki, tylko w prawdę. A prawda była taka, że próbował zgwałcić moją matkę i wdał się w blisko siedmioletni romans z Cynthią. Że tchórzem stał się właśnie dlatego, a nie mimo to. Że taka słabość obraca się przeciwko mężczyźnie, a w kobiecie rodzi podłość.

Prawdą było, że przez swoje tchórzostwo polegał na Mathew Picie jako na przyjacielu i doradcy. A Mathew okradł cudzy dom i wysadził most.

Prawdą było, że wysadzenie mostu zgotowało piekło Sydneyowi Hendersonowi – i że teraz wreszcie, po latach, Sydney Henderson miał się doczekać odkupienia, a Rudy miał za to trafić do piekła. A kto nie wierzył w piekło, tego przekonać mógł o nim dostatecznie jeden rzut oka na Rudy’ego.

Podczas jedynej swojej rozmowy z inspektorem Delano, na przyjęciu ubiegłego lata, Rudy cały czas patrzył w ziemię. John Delano rozmawiał z nim uprzejmie, nawet życzliwie, ale Rudy nie umiał się rozluźnić. Delano w końcu szepnął:

– Śmierć młodego chłopca to straszne obciążenie dla niewinnego człowieka, pan o tym wie, panie Bellanger.

A Rudy poczuł wtedy, że leci mu z nosa i do oczu napływają łzy. Był o ułamek sekundy od wyznania: „To ja zrobiłem” – kiedy nagle Delano zmienił temat i spytał o zdrowie Gladys.

A jednak było pewne rozwiązanie. Miał dziecko, Teresę. Pójdzie do Leo i upomni się u Cynthii o swoje dziecko. Może w ten sposób zdoła się jeszcze uratować!

Wślizgnął się do domu teścia tymi samymi drzwiami, którymi wszedł, aby napaść znienacka moją matkę. Uczynił to tej samej środy, gdy mnie odwiedził Mathew.

Już wiedział, że z przystani nici. W dzień po zebraniu Rycerzy Kolumba całe jego życie po prostu stanęło w miejscu. Wtedy właśnie Leo zatelefonował do Gladys i powiedział jej o swoich podejrzeniach, a ponieważ Rudy’emu nie dano okazji do wyjaśnień, choćby jednym słowem, oznaczało to dla niego koniec małżeństwa i zakaz wstępu na posesję teścia.

Za to dla Cynthii Pit, jak się okazało, był to kolejny, naturalny etap w jej życiu. Mając kilkanaście lat, zadawała się z Dannym Sheppardem, który był mocny w gębie; jako dojrzała kobieta skumała się z Rudym, który zarządzał sklepem żony i snuł plany założenia eleganckiej przystani. Teraz została opiekunką kobiety, której bogaty ojciec zapalał do Cynthii uczuciem do tego stopnia, że się jej oświadczył. Nie kiwnęła palcem, żeby tak się stało, wszystko przyszło samo z siebie, jakby było jej przeznaczone. Cynthii nawet w głowie nie powstało, że dla zdobycia swojej obecnej pozycji zdradziła prawie wszystkich.

Rudy czekał na nią w tym samym pokoju, w którym przed laty przesłuchiwana była moja matka. Stał z kapeluszem w ręce, gapił się w

dywan. Gdy Cynthia wreszcie się zjawiała, jak zawsze zniewalająco piękna, powiedział, że chce się widzieć z McVicerem. Odparła, że to niemożliwe. Speszył się, usiłując na poczekaniu coś wymyślić. W końcu oświadczył Cynthii, że nadal ma pewne plany. Zamierza w przyszłości otworzyć bar z automatami do gry, przeznaczony głównie dla młodzieży.

– Jak ci się to podoba? – spytał drżącymi ustami i roztrzęsioną ręką dotknął jej policzka.

– W twoim stylu – odparła chłodno Cynthia. – Tego jest teraz wszędzie pełno. Zresztą, ja nie pochwalam tych hazardowych automatów, przyciągają tylko matki z małymi dziećmi.

– Przez tyle lat dbałem o interesy Leo... też chcę coś z tego mieć – wystękał Rudy. – Chciałbym się z nim zobaczyć... porozmawiać o... o nas!

– Wiesz, Rudy, ja sporo rozmawiałam o tobie z twoim teściem i... jak by to powiedzieć... zmieniałam o tobie zdanie – oświadczyła Cynthia z demonstracyjnym rozczarowaniem.

– Przecież to on mi ukradł pomysł! – podniósł głos Rudy. – Leo ukradł mi pomysł na przystań. – Trzepnął się kapeluszem po udzie.

Potem powiedział, że chce zabrać Gladys z domu ojca, na co Cynthia znów nie wyraziła zgody. Kolejny raz zażądał rozmowy z Leo i kolejny raz usłyszał „nie”. W końcu Cynthia zagroziła mu, że jeśli natychmiast nie wyjdzie, ona wezwie posterunkowego Morrisa, który jest z nią blisko zaprzyjaźniony.

– Ty myślisz, że ja nie wiem, co tu się wyrabia? – spytał Rudy z pogroźką w głosie.

Cynthia uśmiechnęła się.

– Co ty pleciesz, Rudy?

– Wiem, że trzymasz z nimi, a ode mnie się odwróciłaś i chcesz mnie wyrugować z tego, co mi się prawnie należy.

Spojrzała na niego z miną niewiniątka i sięgnęła po słuchawkę.

– Widzę, że muszę zadzwonić na policję!

– Proszę cię... – jęknął.

Zawahała się i spojrzała mu w oczy.

– Wszedłeś do tego domu nieproszony, ja ciebie prawie nie znam... – powiedziała.

– Jak to: nieproszony? A ty, kim tutaj jesteś? Jak to: prawie mnie nie znasz? Masz ze mną dziecko i prawie mnie nie znasz? Kiedy to wyjdzie na jaw, jak się wytłumaczysz przed Leo? A wyjdzie – już ja się o to postaram!

– rozwrzeszczał się. – Zobaczysz, wszystko się wyda!

Cynthia zachowała jednak kamienny spokój – już dawno uprzedziła Leo i Gladys, że Rudy będzie wygadywał takie rzeczy, żeby jej zaszkodzić w ich oczach.

– Ja przecież chciałem tego wszystkiego dla nas – rzekł Rudy po chwili.

– I dlatego ukradłeś pomysł Leo?

– Co takiego?

– Ukradłeś Leo pomysł na przystań. Przecież to on między innymi zbudował przystań w Newcastle. Chciałeś oszukać takiego przyzwoitego, dobrego, wspaniałego człowieka, jak pan Leo McVicer?

Patrzyła na niego z niewzruszoną miną osoby nawykłej do kłamstw. Nie wytrzymał jej fałszywego spojrzenia – musiał się odwrócić. Cynthia wydała mu się naraz potwornie brzydka.

Odwróciwszy się, dostrzegł nagle nogi swojej żony, która siedziała w swoim pokoju z laską w ręku i słyszała całą haniebną kłótnię.

– Wynoś się, nie denerwuj Gladys – powiedziała Cynthia, wskazując chorą. – Ja się nią teraz opiekuję.

– Ja... ja... ani mi się śni! Gladys! Ty przecież wiesz, musisz wiedzieć! Nagle zauważył, że do pokoju wszedł Leo – i zaczął się cofać.

– Gladys? – zaintonował błagalnie jeszcze raz, widząc zza uchylonych drzwi jej nogi i laskę. Przypomniawszy sobie, jaka była bez niego bezradna. – Gladys, ty przecież wiesz, ty musisz wiedzieć!

– A nie mówiłam? – szepnęła Cynthia do Leo z obłudnym uśmiechem. – On tak już od paru lat.

Słyszając to, Rudy rzucił bez przekonania jakąś pogroźkę, naciągnął buty i wymaszerował z domu McVicera. Obejrzał się przez ramię na oblodzoną aleję i zastygłe w zmarzniętej ziemi czarne drzewa. Zdjął go lęk. Dlaczego wszyscy są dla niego tacy okrutni? Jak Cynthia mogła wygadywać o nim takie rzeczy? Co z nim teraz będzie? Pójdzie do więzienia a tam co? I nie miało to żadnego znaczenia, że w sensie dosłownym nie zrobił prawie nic złego...

Nie uszedł nawet stu jardów, kiedy natknął się na Mathew Pita. Pit czekał na niego pod tym samym drzewem, o które Rudy stał oparty swego czasu, po napaści na moją matkę.

– Jak myślisz, ile ten drań trzyma w domu? – zagadnął go Mathew. – Sto tysięcy, milion, więcej?

– Nie wiem... słowo daję.

– Ale jedno wiesz: jaka jest kom-bi-na-cja szyfru do jego sejfu. To jedno wiesz więcej niż ta suka, moja siostrunia. Trzymaj się mnie, to razem jakoś się wygrzebiemy z tego gówna.

Mathew pokazał Rudy'emu swoje szerokie plecy i pokuśtykał przed nim

zamarzniętą drogą – bolał go brzuch. Rudy szedł z tyłu, pochlipując. Obaj zniknęli niebawem w śniegu i cieniach.

## Rozdział 5

Tego wieczoru, gdy wiatr za oknem wył niemiłosiernie, Autumn powiedziała mi, że policja chce aresztować Conniego, Mathew Pita i Rudy'ego. Mają ich zatrzymać i oskarżyć o morderstwo, może już w piątek, najdalej w poniedziałek. Cała okolica szeptała o tym z wielkim rozradowaniem, jakby nagle z naszej rodziny zdjęto zły czar. Mathew Pitowi groziły dodatkowo inne zarzuty.

– Może pójść siedzieć na wiele lat – powiedziała Autumn. – Ale my się w to nie mieszajmy, dobrze? Przez pamięć na mamę i tatę.

– A co z tatą? – spytałem.

– Connie Devlin coś wie, ale jak zwykle będzie czekał na okazję, żeby to najlepiej sprzedać – on umie za jedną zbrodnię przehandlować inną. Siedzi sobie spokojnie w domu, policja patroluje jego teren, zamawia sobie pizzę – ale to się kiedyś skończy. Proszę cię tylko, przez wzgląd na Percy'ego, nie mieszaj się w to. Oni już się nie wymigają, nie mają gdzie uciekać, żaden z nich, tylko do celi więziennej w Dorchester. Pamiętasz, jak sam mówiłeś, że kiedyś wszystko się dla nas zmieni? Proszę cię, dobrze?

Ścisnęła mnie za rękę.

Nie spałem całą noc, a w czwartek od rana piłem. Percy nie poszedł tego dnia do szkoły, doglądał psa. Stary Scupper Pit dogorywał; leżał przy piecu i słabo merdał ogonem.

Wydaje mi się, że od pobicia przez Darrena w Percym się coś załamało –

zbyt krótki czas oddzielał tamten incydent od śmierci naszej matki. Percy usiłował nadal wykonywać to wszystko, co uważał za swoje obowiązki. Jakby go ktoś obserwował. Dla mnie codziennie starał się mieć jakiś prezent – choćby skarpetki po tacie.

– Popatrz, Lyle, co dla ciebie mam – mówił, wyłaząc nagle z kryjówki. Czasami dzwonił do Pitów, aby spytać o Teresę May, która leżała w szpitalu w Halifaksie; przy okazji upewniał się, czy może wysłać do niej list, bo ma do przekazania dwa nowe dowcipy. Więc pomogłem mu napisać list. I obiecałem, że go nadam, ale zapomniałem. List leżał potem niewysłany w słoiku na stole.

Kiedyś Percy słuchał radia i zadzwonił do rozgłośni z odpowiedzią na quiz, za którą można było wygrać sto dolarów. Pamiętam, jak stał ze słuchawką przy uchu, czekając na swoją kolejkę do odpowiedzi.

Odpowiedział jednak bardzo cicho, a w dodatku źle. Odłożył słuchawkę, odwrócił się do mnie z uśmiechem.

– Wiesz, Lyle, odpowiedziałem prawie dobrze...

W nocy budziłem się co jakiś czas, bo Scupper, ułożony na macie przy piecu, skowyczał z bólu.

W końcu obiecałem Percy'emu, że w piątek wezmę Scuppera do weterynarza. Autumn akurat tego dnia omawiała napisaną przez siebie sztukę z nauczycielem, który zajmował się szkolnym teatrem. Im jednak dłużej myślałem o Conniem Devlinie, tym większy ogarniał mnie szal. Opętała mnie myśl, że życie mojego ojca utraci wszelką wartość, jeśli powstrzymam się od działania.

Siedziałem w swoim pokoju i rozmyślałem. Gdy przypadkiem ujrzałem swoje odbicie w lustrze – przeraziłem się. A w czwartek wieczorem, akurat



kiedy wyłaziłem z wanny, Autumn otworzyła zniechęcona drzwi łazienki. Zobaczyła moje ręce i tors pocięte nożem, z którym się nie rozstawałem. Na te blizny pracowałem trzy lata. Wzdrygnęła się ze strachu, ale zaraz z niepewnym uśmiechem wyrecytowała:

– Ach, miłość! – to śmierć od tysięcznych zranień. Wiem coś o tym.

W piątek rano obudziłem się już po wyjściu Autumn. Wiatr znacznie się oziębził. Szalała zadymka, śnieg wciskał się do domu przez szpary w tylnej ścianie. Ściana domagała się naprawienia, ale nawet mojej siostrze przestało już na czymkolwiek zależeć.

Dręczyło mnie przecucie, że Connie Devlin znowu się wymiga. Tę zadymkę, akurat w dniu, gdy podobno mieli aresztować jego, Mata i Rudy'ego, odczytałem jako szyderczą sztuczkę Boga – karę boską, zesłaną na naszą rodzinę. Widocznie On kocha Conniego Devlina bardziej niż mnie. A Mathew na pewno zwieje. Mathew zawsze umie zwiać.

Wyobraziłem sobie, jak Devlin się pakuje. Co za idioci z tej policji! Zabiję Devlina. Bez względu na to, czy on zabił moją tatę, czy nie. Bez względu na cokolwiek – ja muszę coś zrobić. Pójdę siedzieć. I w więzieniu pewnego dnia zakatrupię Mathew Pita, Rudy'ego i Danny'ego Shepparda.

– Opowiedzieć ci dowcip? – spytał Percy, gdy w zamyśleniu zeskrobywałem nalepkę z ćwiartki wina Napoleon.

– No?

– Co się mówi do nieśmiałego żółwia?

– Nie wiem, Percy, nie mam pojęcia.

– Do nieśmiałego żółwia mówi się: wyłaź ze skorupy! – rzekł Percy i zachichotał.

Nie zareagowałem.

– Słyszałem ten dowcip... słyszałem ten dowcip... tydzień temu – bąknął Percy.

Nabrał spazmatycznie powietrza i zakaszał. Miał kłopoty z płucami, szkodził mu dym z pieca na węgiel drzewny. Zamrugał w moją stronę, wyraźnie usiłując sobie przypomnieć jakiś inny kawał, ale stracił już pewność siebie. Zaczął się wiercić, chcąc koniecznie coś jeszcze powiedzieć. Gdy ruszyłem do drzwi, spróbował opowiedzieć mi raz jeszcze dowcip o żółwiu. Nagle zerwał się i podbiegł do psa.

Kiedy wyszedłem z domu, śnieg padał już od dawna.

## Rozdział 6

Mathew miał rację. Cynthia i Leo zaręczyli się dwa tygodnie wcześniej. Rudy, który widział się ostatnio z teściem, nie zauważył tego, co było oczywiste dla reszty domowników i co Cynthia chciała jak najdłużej utrzymać w sekrecie. Leo przeszedł wylew. A Cynthia sprawowała teraz przy nim rolę pielęgniarki. Wylew trafił McVicera wieczorem w dniu zaręczyn, przy otwieraniu butelki szampana. Leo wstał po kubełek lodu, roześmiał się z czegoś, odwrócił się, bo chciał powiedzieć coś do Cynthii, zasłabł i padł u jej stóp.

Dźwignęła go na fotel. Miał silne drgawki. Odmówił pójścia do szpitala i od tamtego czasu przesiadywał głównie w swoim pokoju, podejrzliwy wobec wszystkich i zły, gdy Cynthia hałasowała lub proponowała mu pomoc. Ciągle kazał sobie przynosić jakieś papiery i notatki, których Cynthia posłusznie latała szukać, bojąc się śmiertelnie jego ataków wściekłości.

Po tygodniu zadzwoniła do Freddy'ego Snooka z prośbą, aby zajrzał do McVicera i coś poradził. Snook przybył z niepodpisanym testamentem, w którym nie wymieniono wyraźnie spadkobierców, i poinformował Cynthię, że McVicer nie zostawił żadnego pełnomocnictwa. Jego majątek wisiał więc na razie w powietrzu, bo Leo, jak to Irlandczyk, nie miał zaufania do testamentów.

– Co to znaczy – spytała Cynthia, zapalając papierosa i przerywając pytanie tylko na moment zdmuchnięcia zapalki – że nie zostawił pełnomocnictwa?

– To znaczy, że nie ma nikogo, kto by się zajął jego rachunkami i pokierował finansami posiadłości. Może się więc zdarzyć, że w wyniku sprawy spadkowej wszystko przejdzie na własność państwa. Uprzedzałem go o tym, ale powiedział...

– Biedny Leo, i cóż on takiego powiedział?

– Powiedział, że zamierza zostawić wszystko... pani... kiedy się pobierzecie. Nikogo więcej nie miał, poza domniemanymi nieślubnymi córkami; Gladys jest przecież taka chora.

Ze słów Snooka wynikało, że niespecjalnie wierzy w istnienie nieślubnych córek McVicera.

– Ile mniej więcej to wszystko jest warte? – spytała Cynthia, pociągając nosem i rozglądając się wokoło z beczelną ciekawością dziecka.

– Pojęcia nie mam... On sporo stracił... Tartak upadł, doszły koszty usuwania śladów wycieku, odszkodowania, strata sklepu, która bardzo go nadszarpnęła, z ubezpieczenia jeszcze nic za to nie dostał, odebrano mu budowę mostu... z przyczyn, jak wiadomo, od niego niezależnych... No, tak to wygląda.

Cynthia kiwnęła głową.

– No to ile? – Znow pociągnęła nosem.

– Powiedziałbym, że... jakieś dwieście pięćdziesiąt tysięcy gotówką w banku... a doliczając posiadłość, sprzęt budowlany, udziały własnościowe w nowej przystani w Newcastle... będzie pewnie ze dwa i pół do trzech milionów.

Snook zaznaczył, że prawo Cynthii do majątku może zostać urzędowo zakwestionowane. Gdyby miała pełnomocnictwo, pozostałaby jej przynajmniej kontrola funduszy – to jest ćwierci miliona dolarów – które inaczej mogliby otrzymać Percy, Lyle i Autumn, „nieślubne” wnuki McVicera. O żadnych „prawdziwych” wnukach jak dotąd nie było mowy.

On, Snook, gotów był występować w imieniu Cynthii. Trochę się, co prawda, niepokoił osobą Isabel Young, która już kiedyś broniła Hendersonów. Uważał, że należy koniecznie namówić Leopolda do podpisania ostatniej woli, gdyż groziła, jego zdaniem, poważna obawa istnienia drugiego testamentu, zdeponowanego zapewne w sejfie na górze.

– Jak trzeba, to trzeba – podsumowała Cynthia.

Postanowiła zmęczyć jego opór, wykorzystując to, że nie wiedział, o co im chodzi. Bał się, że Cynthia odejdzie z domu i zostawi Gladys. A poza tym panicznie bał się szpitala. Cynthia, czując to, poruszyła temat swojej córki, Teresy May, przebywającej od jakiegoś czasu w Halifaksie.

– Chciałabym tu zostać... szczególnie z tobą... ale nie wiem, czy nie będę musiała wyjechać...

Leo spojrział na nią i bardzo starał się coś powiedzieć.

Widząc jego bolesne wysiłki, Cynthia uciekła z pokoju do alkowy na piętrze. Siadła tam, patrząc na zatokę i szlochała tak, że kolana jej się

trzęsy i stukały głośno jedno o drugie. Tymczasem w pokoju na dole Fred Snook wygłaszał McVicerowi wykład o chciwości Hendersonów i o ucieczce Sydneya Hendersona w chwili śmierci żony. Najwyższy czas podpisać testament – podsumował.

– Ona naprawdę może wyjechać – przekonywał Freddy, oglądając się przez ramię na drzwi. – A pan jej przecież nie chce stracić, uchowaj Boże! Działajmy lepiej, póki czas. Może przynajmniej pełnomocnictwo, co? Snook spocił się cały na plecach, gestykulował z niezdarną przesadą. W pokoju pachniało chorobą i starością. Leo, z zapadniętymi policzkami, ze sztuczną szczęką w słoiku obok, rozglądał się bezradnie za narzeczoną, którą niedawno po raz pierwszy trzymał w ramionach.

Freddy ukląkł przy nim i podstawił mu dokument, pióro trzymał w pogotowiu. Dzień był słoneczny, szklisty, styczniowy.

– O cholera! – mruknął Snook i odskoczył, bo nagle zauważył, że Leo posikał się na widok wychodzącej Cynthii cała nogawka była mokra. Leopold McVicer, niegdysiejszy postrach okolicy, był oto słaby i stary. Freddy podszedł do drzwi i zawołał Cynthię. Sam usunął się pod regał z książkami, spośród których wyłowił opasły tom historii, podpisany na stronie tytułowej: „Gladys McVicer, klasa VIII, Gimnazjum Żeńskie w Netherwood, 1961” – podłożył go pod dokument i wrócił na poprzednie miejsce. Przyszła Cynthia. Zatrzymała się w drzwiach, bo poznała książkę do historii – przypomniało jej się, jak sama przed laty uczyła się z tej książki i jak podobał jej się obrazek z górami i czystym, błękitnym jeziorem.

Freddy już zaczynał tracić nadzieję, że cokolwiek wskóra, wtedy jednak Leo, niezbornym gestem przywołując Cynthię do środka, spojrzął na nich

oboje z nagłym przeblyskiem inteligencji, jaki zdarza się chorym w chwili kryzysu – po czym podpisał papier, czytelnie, na obu egzemplarzach. Cynthia myślała, że zemdleje. Nogi się pod nią ugięły. Nie rozumiała, dlaczego Bóg tak hojnie obdarza ją swoją łaską i miłością. Nie chciała jednak dać poznać po sobie, że On tak właśnie uczynił. Wszystko robiła dla spokoju duszy Leo. I tak jak Leo zmoczył spodnie ze strachu, że Cynthia odchodzi, tak teraz Cynthia posikała się z wrażenia na widok jego podpisu – była tak przejęta, że nawet tego nie zauważyła.

Wszedłszy w posiadanie najpotężniejszej broni swojego życia – pełnomocnictwa do zarządzania posiadłością Leopolda McVicera – Cynthia nie potrzebowała już usług pana Snooka. Przestała odpowiadać na jego telefony. Rodzina i przyjaciele też przestali jej być potrzebni. Doszła do wniosku, że warunkiem jej pełnego bezpieczeństwa jest odnalezienie i zniszczenie drugiego testamentu. Wiedziała, że czasu ma niewiele. Należało działać szybko. Plotki o tym, że Leo miał wylew, a ona jest zwyczajną naciągaczką, rozchodziły się jak kręgi na wodzie po wrzuceniu kamienia. Kręgi te rozrastały się coraz szerzej, bez końca, bo każdy kolejny rodził dalsze. Cynthia wiedziała, że Freddy przy pierwszej okazji wykorzysta to przeciwko niej.

W tamten czwartek, kiedy ja siedziałem w domu i piłem, Cynthia weszła do pokoju Leo, zamknęła drzwi i ubrała chorego. Sama była w luźnej koszuli wypuszczonej na wierzch, czarnych legginsach i zgrabnych czółenkach. Składając nabożnie ręce, oświadczyła następnie McVicerowi, że nikt jej tu nie chce i wszyscy chcą ją zniszczyć.

– Nigdy – wystękał z trudem.

– A jednak nie chcą mnie tutaj... chyba będę musiała wyjechać...

– Czemu?

– To zazdrość – wyjaśniła. – W życiu nie spotkałam takiej bandy zawistnych pijawek, jak ci tutaj.

Niepokoilo ją hasło „sprawa spadkowa” i to, co może z niego wyniknąć po śmierci Leo. Zagadnęła go o drugi testament. Powiedziała, że nie powinien teraz ufać nikomu oprócz niej, bo inaczej Gladys zostanie odesłana do zakładu dla umysłowo chorych.

– Czego się bać? – wydukał z trudem Leo.

– Tego, że ktoś obejmie kontrolę nad twoimi pieniędzmi i nieruchomościami, a ty nie będziesz miał nic do gadania. Freddy Snook na prawo i lewo rozpowiada, że jesteś niepoczytalny. Chce zamrozić twoje konto. Za to właśnie wyrzuciłam go z domu – namawiał mnie do wspólnictwa! Wyobrażasz sobie? No, ale ja tu nic nie mogę poradzić, prawda? Dlatego postanowiłam wyjechać, jeszcze dziś wieczorem. Tego mi tylko trzeba, żeby na mnie padło podejrzenie! Odwiozę cię do szpitala – inaczej chyba zapłakałabym się na śmierć... Całe życie nic nie robię, tylko płaczę!

Oczy Leo błysnęły przytomnie. Wskazał palcem notes przy swoim łóżku.

Cynthia podała mu notes, a on nagryzmolił, niemal nieczytelnie:

„Podejmij pieniądze”. Wyrwał kartkę i wręczył ją Cynthii.

Odetchnęła. Nagle dostała do rąk jeszcze większą władzę.

Nie wybiło jeszcze południe, gdy Cynthia zabrała telefon komórkowy, uruchomiła cadillaca Gladys i zawiozła Leo McVicera do Chatham.

Namówiła go na posiłek w restauracji Pekiński Pałac. Zjedli klopsiki z kurczaka na kwaśno-słodko w sali pełnej pustych stolików z białymi

obrusami i ciężką srebrną zastawą. Chiński kelner miał czerwoną marynarkę w kropki.

Dzień pachniał żwirem, piaskiem do posypywania chodników i zimowym niebem z białymi smugami chmur. Słońca było jak na lekarstwo.

Potem, w samo południe, Cynthia przeprowadziła Leo na drugą stronę głównej ulicy, której chodniki przypominały tory bobslejowe. Wstrzymała ruch, wymachując ciężką laską z gumowym końcem, którą podpierał się McVicer, i poprowadziła go za rękę wzdłuż obramowanych ciemnym drewnem wystaw sklepowych, porozdzielanych pustymi, zaniedbanymi alejkami, w których wały się wyrzucone choinki, obrośnięte sopelkami drżącymi na lekkim wietrze. Tak szli – nieobliczalna, zwariowana Cynthia Pit i ostatni wielki baron branży drzewnej w naszej okolicy.

Wstępowali do wszystkich banków po kolei, a w każdym pachniało zimową sterylnością i atrybutami biznesu, który wkroczył w erę komputera. Leo nigdy nie ufał bankom, odkąd był dzieckiem i jego matka leżała w domu, konając na gruźlicę. I zawsze mu się to przypominało, jak wchodził do banku. Nie zapomniał też nigdy, że jego pobratymcy bardziej przypominali Cynthię niż doktora Davida Scone'a czy Diedre Whyne. To oni dźwigali ten kraj na swoich barkach. Pochodzili z Hill albo z Injuntown. Jego bliźni byli podobni do Elly McGowan (Leo nadał jej nazwisko McGowan, bo tak się nazywała z domu jej matka – a ojciec Porier wszystko zręcznie zatuszował).

McVicer błądził wzrokiem od kasy do kasy, usiłując zgadywać myśli urzędników, wiedząc, że to są „ci inni” – ci, którzy nie wiedzą ani nie rozumieją, co to jest odwaga, potęga i dobroć. Tacy nigdy nie byliby w stanie samodzielnie zdecydować o życiu drugiego człowieka. Leo



McVicer nienawidził ich. Wziął Cynthię za rękę.

– Mathew – szepnął – jest lepszy niż ta cała banda.

I zamachnął się szeroko laską, a potem szybko ją opuścił.

– Mamy tu coś do załatwienia – powiedziała głośno Cynthia Pit.

Zastosowała się skrupulatnie do instrukcji Leo. Główny rachunek, konto firmy budowlanej, pozostawiła bez zmian. Wszystkie pozostałe konta – niektóre nieruszane od lat, w czterech różnych oddziałach –

polikwidowała. Na jednym rachunku, otwartym w roku pięćdziesiątym czwartym, leżały pieniądze za wykarczowanie lasu pod Russell Road – od tamtego czasu minęło ćwierć wieku i większość robotników już pomarła.

W każdym banku musieli odbyć dłuższą konferencję. Urzędnicy sprawdzali tożsamość McVicera (w dwóch bankach nie widziano go od lat), weryfikowali jego dokumenty i podpis. Ale po zakończeniu operacji na Cynthię spoglądano z szacunkiem – może udawanym, a może nie – jakim zawsze otacza się ludzi majątnych. Do których teraz należała.

Przywiozła pieniądze do domu w wielkiej papierowej torbie na zakupy.

Nie przeliczyła ich, nie wiedziała jeszcze, gdzie je będzie trzymać, ale była pewna, że jeżeli zorganizuje wszystko spokojnie i przytomnie, zachowa całą sumę co do centa.

Po południu, gdy Leo zasnął, zniosła torbę do łazienki na górze, wyłożonej czarno-białymi kafelkami, z czystą porcelanową umywalką i sedesem. Usiadła na brzegu wanny i w beznamiętnym, białym świetle, które ślizgało się po plastikowej zasłonce, przeliczyła starannie banknoty. Usta jej drżały z podniecenia, a oczy zasnuły się łzami. Cynthia ledwo się powstrzymała, żeby nie pobiec do domu i nie pochwalić się bratu, jaka jest sprytna. Trzymała w garści dwieście czterdzieści siedem tysięcy dolarów.

Teraz wszyscy będą chcieli jej zaszkodzić, może znajdą drugi testament. Z całą pewnością Snook poczuje się oszukany. Może wynajmą go dzieciaki Hendersona. Jak ona ich nienawidziła! Albo jeszcze gorzej – okradną ją. Tak, na pewno prędzej czy później ktoś ją okradnie!

Na razie jednak trzeba koniecznie znaleźć ten drugi testament, i zniszczyć go. Jak óma Percy'ego, Cynthia nie umiała się skupić na byciu sobą. Zajrzała do Gladys.

– Chciałabym widzieć się z Geraldem – powiedziała Gladys. – Mam trochę pieniędzy. To nam wystarczy na życie do czasu, aż on dostanie stypendium. Zabierz mnie do niego. Tobie już nie jestem tutaj potrzebna. Wiem, że dzwonił i pytał o mnie, słyszałam, jak z nim rozmawiałaś, wiem, że chce mnie widzieć! Wiem, że wystąpił o stypendium, czytałam w gazecie.

Sięgnęła po najnowszą gazetę i odczytała temat badań, którym Gerald Dove motywował swoje podanie:

– „Analiza problemu regeneracji skażonego terenu w górnym biegu potoku Arron, okręg Nowy Brunswik, ze szczególnym uwzględnieniem Zakładów McVicera; zagadnienie rekonstrukcji”.

Gladys uśmiechnęła się, bo styl był charakterystyczny dla Geralda Dove'a. Cynthia jednak odnosiła się do Dove'a podejrzliwie obawiała się, że Gladys pod jego wpływem może zacząć żądać pieniędzy. Że obudzi się w niej chciwość. Obraz chciwej inwalidki był, naturalnie, dość żaloszny. Na wszelki wypadek jednak Cynthia poinformowała Gladys, że Gerald Dove chyba wyjechał.

– Wyjechał... – powtórzyła Gladys. – O, nie! – Uśmiechnęła się. – On tu jeszcze jest, stara się o stypendium, cały czas ma nadzieję dokonać czegoś

wielkiego.

Cynthia wyjrzała przez okno na niebo. Złagodniało, zaczynał padać śnieg. Odczekała, aż Gladys zaśnie, wróciła na górę i przeniosła pieniądze do siebie, do pokoju z wąskim jednoosobowym łóżkiem. Ale nie mogła zasnąć. Co chwila wyglądała na podwórze. Raz zdawało jej się, że przemknął tamtędy cień Mathew. Zabić ją – to dla niego pestka. Zrobiłby to pewnie, gdyby włamał się do McVicera – choćby po to, żeby ją uciszyć. Nie chciała o tym myśleć; popatrzyła na torbę. Musi zdobyć drugi testament. Nie wytrzymała i wstała z łóżka.

Obudziła Leo. Ocknął się z wielkim przerażeniem.

– Musimy iść na górę, pomogę ci – szepnęła Cynthia. Pocałowała go, kładąc swoją ciepłą dłoń na jego ręce. – Trzeba schować pieniądze do sejfu.

Kiwnął głową. Cynthia podsunęła mu balkonik.

– Nie trzeba – wymamrotał z trudem.

Poprowadziła go przez hall do schodów, gdzie Leo zdrową prawą ręką uczeplił się mocno poręczy. Cynthia holowała go z lewej strony. I tak, pomału, gramolili się na górę. Na podeście Leo przystanął, nastawił ucha. Był przekonany, że usłyszał jakiś szmer. Cynthia, która była bezczelna, ale nigdy odważna, poczuła serce w gardle. Jeśli to Mathew, żadna siła go nie powstrzyma.

– Co, co, co, co? – wyjąkała.

Leo po chwili machnął ręką, że to nic, to tylko wiąz za domem – wybełkotał – tłucze gałęzią o oblodzony dach. Ruszyli dalej.

Schody na trzecie piętro były kręte i zwężały się coraz bardziej między wilgotnymi ścianami. Na końcu schodów znajdowały się drzwi ze znakiem

firmowym mąki Robin Hood, mocno już spłowiałym. Drzwi były zamknięte na klucz. Cynthia poszperała jednak za cegłami po obu stronach i klucz znalazła.

Czuło się, że tu, wysoko ponad pokojami drugiego piętra, gdzie wisiały jesienne pejzaże z samami nad strumieniem albo z przepiórką na ścieżce w brzozowym gaju, hula wicher i straszą widma zatrzymanego czasu.

Podłoga trzeciego piętra była miejscami nieukończona, a ceglane kominy wciąż, po tylu latach, miały żywą, pomarańczową barwę, chociaż na zewnątrz dawno już zmurszały i poczerniały od sadzy. Wszystkie trzy pokoje na górze były umeblowane, stały w nich komody, leżały stare dywany, a na ścianach wisiały dziecinne gry planszowe w rodzaju Monopoly. Były i fotografie, bezlitosne przez to, że zachowały rzeczy utracone – zdjęcie potoku Arron o zmierzchu, jeszcze przed wybudowaniem tartaku, gdy woda była krystalicznie czysta, albo jeszcze starsze zdjęcie zakonnic z lazaretu w Tracadie, w białych kryzach pod szyją, opiekujących się trzema staruszkami, ewidentnie trędowatymi – rok około 1924.

Na jeszcze innej fotografii pięciu drwali rozebranych prawie do naga prało skarpetki. Bardzo możliwe, że zdjęcie wykonano w baraku na wyrębie, jesiennym popołudniem przed czterdziestu laty, bo jednym z uwiecznionych na nim srogich typów był Leo McVicer. Za nim stał Roy Henderson – a z boku gapił się na Cynthię tępym, zblazowanym wzrokiem jej rodzony ojciec, Kyle Ike Pit. Zadrżała na jego widok, tak jak wtedy, gdy była małą dziewczynką. Bardzo często, gdy ojciec chciał ją bić, Mathew zasłaniał siostrę i brał lanie za nią. Przypomniało jej się to teraz. Przypomniała sobie, jak strasznie kochała ojca, i jak on któregoś dnia

przyniósł jej największego lizaka ze sklepu McVicera.

Musi zdobyć ten drugi testament. Kiedy go zniszczy, uwolni się raz na zawsze od McVicera i od nas wszystkich.

Wręczyła McVicerowi torbę z pieniędzmi. Zajrzał do środka, potrząsnął torbą parę razy i skierował się do sejfu.

Pochuchał w prawą dłoń, jak na szczęście, i nastawił kombinację: 12 w lewo, 3 w prawo, 20 w lewo, środek. Drzwi sejfu odskoczyły jak na sprężynie.

Leo podniósł torbę z pieniędzmi, wrzucił ją do środka i zamknął sejf. Cynthia przez cały czas przepowiadała sobie szeptem kombinację szyfru. Była to data urodzin Leo McVicera. Dwunasty marca tysiąc dziewięćset dwudziestego roku.

Siedziała w kuchni i sączyła dzin. Należało koniecznie coś zrobić. Wybór był niewielki. Mogła zadzwonić na policję i zadenuncjować Mata, mówiąc, że to on wysadził most, a obecnie planuje włamanie – wiedziała jednak, że jeśli to zrobi, straci swobodę korzystania z pieniędzy. Gdyby natomiast porzuciła teraz starca i jego córkę, groziło im niebezpieczeństwo w razie napadu Mata.

Postanowiła, że wyjedzie, zabierając ze sobą pieniądze, starego i jego córkę. Ulokuje ich gdzieś po drodze w bezpiecznym miejscu. A sama pojedzie do Halifaxu po swoje dziecko. Jeśli ją złapią, powie, że była maltretowana, a córkę musiała zabrać, bo Rudy jej groził. Czy tak zresztą nie było? Jasne, że było. Nikt nie może mieć o to do niej pretensji.

Podobno istnieje podziemna organizacja pomocy maltretowanym kobietom, które chcą uciec z domu. Nie znajdą Cynthii nigdy.

Wypiła jeszcze jeden dzin i zamyśliła się, siedząc jak facet, pochylona, z łokciami na kolanach i papierosem dyndającym z dolnej wargi. Tak, to jedyne wyjście. Tylko gdzie zostawić Leo i Gladys? Przyszło jej do głowy z dziesięć adresów, ale wszystkie odrzuciła. Nie może ich zostawić w prywatnym domu, bo właściciele nabiorą podejrzeń i zawiadomią policję. To musi być zakład publiczny – ale jakby prywatny... Skąd coś takiego wytrzasnąć, na litość boską? Może chińska knajpa? Jedzenie, kelnerzy... Nie, to też w końcu obudzi podejżenia.

Zdusiła papierosa. Przez cały czas prześladowało ją wspomnienie oczu Mata. Wiedziała, że go zdradziła. Właściwie to już było po niej. Ale i po starym, gdyby stanął pomiędzy Mathew a forsą.

Usłyszała głos Gladys, więc poszła do niej. Chora leżała na boku, ubrana w szlafrok. Chciała, żeby ktoś ją przewrócił na drugi bok. Cynthia ułożyła ją jak najwygodniej, a potem wzięła flanelkę i umyła jej twarz.

Ni stąd, ni zowąd, Gladys wymieniła nazwę Medjugorje.

– Co to takiego? – spytała Cynthia.

– Miejscowość w Jugosławii – odparła Gladys. – Matka Boska ukazuje się tam sześciorgu dzieciom już od paru lat.

Gladys sięgnęła do stosu czasopism i wygrzebała najnowszy „Biuletyn Katolicki”.

– Ale tam jest wojna, no nie? – upewniła się Gladys.

– Nie trzeba jechać aż tam, jedna z tych dziewcząt przyjeżdża tutaj w piątek. Może moglibyśmy ją zobaczyć, ja i Leo? Leo częściowo sfinansował jej przyjazd. Myślę, że to by mu mogło dobrze zrobić. Nie chodzi o mnie, ale może jemu by to pomogło. Podjechalibyśmy do miasta zobaczyć ją... nazywa się Vika... będzie specjalna msza, z księżmi z

miasta.

– Gdzie? – spytała Cynthia, nie okazując emocji.

– W domu kultury. Od paru dni mówią o tym w radiu.

Cynthia nie wierzyła w ukazywanie się Matki Boskiej – przynajmniej nie takim ludziom jak my. Podrapała się po nosie, czytając notatkę w „Biuletynie”.

No tak, pomyślała, zawiezie ich do tej Viki, tam ich zostawi pod bezpieczną opieką Matki Boskiej, zgarnie forszę i w nogi. Skoro Leo opłacił przyjazd tej dziewczyny, to go tam oczekują, a cóż bardziej naturalnego na takiej imprezie niż wystawienie na wózkach w pierwszym rzędzie słabowitej Gladys Bellanger i starego pana McVicera?

– Wybieram się tam – ciągnęła Gladys – bo widzę w tym palec Boży. Pomodłę się o wybaczenie dla biednego Rudy’ego i dla siebie za to, że zdradziłam Geralda Dove’a. A także za moje siostry.

– Tak, tak... oczywiście – powiedziała Cynthia. Uśmiechnęła się, widząc, że szczęście nadal jej sprzyja, zostawiła Gladys i poszła spać.

Zapadła w niespokojny sen w swoim pokoju. Śniło jej się, że co chwila ktoś się zakrada, żeby ukraść jej pieniądze. A potem, że stoi goła i jakaś obca młoda kobieta myje jej piersi i twarz. To ją podnieciło. Potem ktoś uciekał z torbą pieniędzy, a ona go goniła. Zobaczyła, że Mathew i niedźwiedź biegną ze wzgórza prosto na Conniego Devlina. Niedźwiedź mówił do Mata, że to ona ukradła pieniądze i że zdradziła go już wiele razy przedtem, nie tylko teraz. Cynthia walczyła z niedźwiedziem, sturlali się ze wzgórza. Na samym dole niedźwiedź zamienił się w mojego ojca i zaczął ją całować. Była goła, bo tamta młoda kobieta właśnie ją umyła. Czekwała, aż mój ojciec się do niej dobierze, ale nie zrobił tego.

– Zajmij się swoją małą – szepnął mój ojciec. – Ona jest ważniejsza niż pieniądze Leo.

Cynthia obudziła się cała spocona. Przez chwilę gapiała się w sufit. Wstała i poszła z powrotem na ponure trzecie piętro, gdzie zawsze myślała o duchach.

Otworzyła sejf i wyjęła pieniądze. Sięgnęła jeszcze głębiej i znalazła tam nowiusieńką kopertę – w środku był pierwszy testament, datowany i podpisany przez Leo McVicera, Diedre Whyne oraz Isabel Young.

Większa część majątku zapisana została dzieciom Elly McGowan.

Cynthia wetknęła dokument pod bluzkę. Zabrała sobie przyszłość Autumn i Percy'ego – tak ot, bez skrpułów a do koperty wsadziła drugi testament, ten dostarczony przez Snooka. Wzięła pieniądze dla swojej córeczki i jak najciszej zeszła z powrotem na dół.

Chciała wyjść z domu, była już w drzwiach, już je uchyliła. Od zatoki powiał zimny wiatr, droga lśniła od grubego, czarnego lodu, padał śnieg.

– Cynthia? – usłyszała nagle głos Gladys. – Nogi mnie boją, zrób coś!

Cynthia zawahała się, zaklęła, zamknęła drzwi i poszła z powrotem do Gladys.

Nie wiedziała, że w momencie gdy otworzyła sejf, przy łóżku Leo włączył się alarm. Leo nastawił go wtedy, kiedy poszli razem na górę. Teraz otworzył oczy – usłyszał wiatr w gałęziach wierzb, skrzypienie schodów pod czyimiś krokami i kichnięcie Gladys. Przypomniało mu się nagle, jak Cynthia myła mu tors, jak się z nią kochał. Potem zasnął z powrotem. Cynthia też spała spokojnie, aż do piątku rano.



Śnieg padał, zimny, jednostajny, cudny śnieg.

Leo McVicer ocknął się ze snu. Przyśnił mu się bezładny ciąg obrazów z dawnych lat, nękał go widok zwłok Penny Porier w trumnie. Wrócił też koszmar sprzed lat, samotna przeprawa przez zatokę w sztormie, na marnej krypie. Jego kochanka właśnie rodziła dziecko. Dotarł do niej późną nocą. Pamiętał, z jaką odrazą trzymał dziecko na rękach. Teraz to dziecko, które za późno pokochał, już nie żyło.

Siadł na skraju łóżka i wyjrzał na budzący się dzień. Weszła Cynthia.

– Śnieg pada – powiedziała.

– Dobrze – odparł. – Nie pocałujesz mnie?

– Jasne, że tak.

Podeszła i pocałowała go. W tej chwili Leo uświadomił sobie zdrowie jej ciała i słabość własnego. Z wysiłkiem opanował lęk.

– Nie znikaj mi dzisiaj nigdzie – powiedział. – Chcę zaplanować nasz ślub.

– Ślub? – Cynthia uśmiechnęła się niepewnie.

– Zadzwońię do Freda Snooka i pogadam z nim.

– Do Freda? Nie, nie dzisiaj... Przecież jedziecie z Gladys ze mną do miasta.

– Po co?

– Zobaczyć Vikę... tę dziewczynę, która rozmawia z Matką Boską.

W głosie Cynthii zabrzmiała obca jej dotąd emfaza.

– Ty w to wierzysz? – spytał Leo, akcentując „ty” z wyraźnym podtekstem: „Kto jak kto, ale właśnie ty wierzysz w takie rzeczy?”

– Twoja córka bardzo chce wierzyć – odparła potulnie Cynthia – więc robię to dla niej. A ty przyczyniłeś się przecież do przyjazdu tej Viki.

Moim zdaniem, powinieneś się tam pojawić choćby przez szacunek. Może ona jest dla ciebie błogosławieństwem.

Uśmiechnęła się znów i odwróciła na pięcie.

– Hej! – zatrzymał ją Leo.

– Co, kochanie?

– Jak mi wtedy ukradli pięćset dolarów... sześć lat czekałem, ale wreszcie wiem, kto to zrobił... Wiem o wszystkim, co się zdarzyło tamtego dnia... i w salonie, i później w nocy. Wszystko się wyda.

Cynthia kiwnęła głową i pospiesznie opuściła pokój.

Lyle – pomyślał McVicer. Ten młodzieniec, mój wnuk, któremu chcę powierzyć kierowanie Zakładami McVicera!

Że mój dziadek tak myślał, dowiedziałem się od osób trzecich. To ja miałem przybyć mu na pomoc. Nikogo więcej już nie miał. Ale było za późno.

Wiatr wiał ostro, drogi były oblodzone, kable zwisały ciężko, zatoka zamarzła.

– Szybko się ściemnia, trzeba wyjechać wcześniej... Poza tym chcemy przecież zająć dobre miejsca... żeby ją widzieć... – usłyszał Leo nerwowy głos Cynthii, wyrabiającej ciasto na naleśniki. – Ludzie się zjadą z całej okolicy. Biskupi, seminarzyści, cała ta pieprzona banda!

Leo pomału zszedł ze schodów – zajęło mu to dwadzieścia minut – przekuśtykał przez salon i otworzył drzwi do pokoju córki.

– O, tatuś! – spieszyła się Gladys i spróbowała usiąść w łóżku. – Nie powinien tatuś sam chodzić po domu.

Wiatr wył i śnieżycą szturmowała ściany budynku. Siedzieli razem w

małym jak dla lalki pokoiku Gladys za kuchnią – dwoje samotnych inwalidów.

Cynthia nakrywała starannie do stołu – dla każdego łyżka, widelec, nóż, talerz i filiżanka – usiłując zachować spokój.

Mathew poszedł obudzić Rudy'ego, który w ten czwartek spał u Pitów. Jeszcze wieczorem Rudy był mocny w gębie, teraz jednak wyraźnie chciał się wymigać od wizyty u teścia. Twierdził, że nie zna kombinacji szyfru – ale tyle już wcześniej nakłamał, że Mathew mu nie uwierzył.

– Działamy razem – przypomniał mu Mathew. – Po tym, ile ja dla ciebie zrobiłem, jesteś mi to winien. Okradłeś mnie, musisz oddać dług! Nie mamy innego wyjścia, kapujesz, Rudy? Sam wczoraj tak mówiłeś: nie mamy wyjścia. To trzeba było zrobić dwa miesiące temu, myślałem cały czas, że Cynthia pomoże... ale teraz nie ma wyjścia! Connie sypnęła kapujesz?

Rudy trząsał się spazmatycznie, po chwili zaczął rzygać. Mathew stał nad nim z ręcznikiem i papierem do wytarcia twarzy – patrzył w bok, gdzieś daleko za szosę. Śnieg zasypał wielką krainę lodu, cedrowe i świerkowe moczary; na polach skowytały kojoty; okna i ściany domów zarosły szronem.

Ruch na szosie był bardzo niewielki, ludzie siedzieli w chałupach. Szkoły pozamykano, tylko śnieg snuł się chyłkiem po ich zakamarkach i zniszczonych schodkach.

Rudy stał przed lustrem, w różowym garniturze i kowbojskich butach. Nagle coś szczęknęło. Mathew podniósł dwunastokalibrową wiatrówkę lufą do góry.

– Nie będzie problemu – powiedział.

– Ale tam jest Gladys i Leo! – zląkł się Rudy. – Nie możemy im zrobić krzywdy! A twoja siostra? Przecież...

– Właśnie, Cynthia... – Mathew splunął pod nogi. – Próbuje wymknąć się z moją forszą. A oni, tak cię świetnie traktowali? Okłamywali cię, kradli ci pomysły... Gladys w dodatku romansuje z Geraldem Dove'em.

Rudy poczuł gorące klucie w całym ciele.

– Chodźmy, zróbmy, co trzeba... i jazda... do Australii powiedział, uśmiechając się z żalem. Ale ręce miał bezsilne, a nogi drżały mu w kolanach.

## Rozdział 8

Ja też odczekałem, aż śnieg rozpada się na dobre, i zostawiłem Percy'ego w domu. Musiałem, chociaż obiecałem Autumn, że będę z nim siedział. Obiecałem, że szybko wrócę i zabierzemy Scuppera do weterynarza. Pomachał mi trzema palcami prawej ręki – teraz myślę, że na pożegnanie.

– Zamknij za mną drzwi – powiedziałem.

Wyszedłem na dwór, odczekałem chwilę i zapukałem. Percy otworzył. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. Nie widziałem jeszcze takiego uśmiechu, ani przedtem, ani potem.

– Zamknij drzwi! – burknąłem ze złością.

Sam zamknąłem je na klamkę i poczekałem, aż Percy przekreślił zasuwę. Potem odwróciłem się twarzą do zamieci i ruszyłem po na wpół już zatartych śladach Autumn. Kluczyłem godzinę, zanim doszedłem tam, gdzie chciałem.

Dom Devlina stał zamknięty, żaluzje spuszczone – jakby drzemał spokojnie w pierzynie śniegu. Wiedziałem, że od czasu do czasu kręci się tu policja, ale tego dnia raczej się nie pojawi: dziewięć na dziesięć radiowozów nie wyjechało na patrole, a komisariat przyjmował tylko nagłe zgłoszenia. Wyciągnąłem nóż i wślizgnąłem się tylnymi drzwiami. W środku panował mrok; śnieg pachniał metalicznie, wiatr świstał na ganku. Czyż nie obiecałem ojcu, że go zabiję? Czy tak trzeba?

Przeszukałem dom. Usłyszałem szmer, więc zszedłem do piwnicy. Piwnica była ciemna, miała małe okienka z zielonymi szybami. Kosz na brudy stał pełen. Czekałem, czujny na każdy odgłos. Skrzypnęła podłoga na górze. Na górze – pomyślałem. Teraz go dopadnę. Spojrzałem na zegarek. Było piętnaście po pierwszej, wczesne popołudnie. Kwadrans po drugiej Devlin będzie trupem.

Nieraz kłóciłem się z ojcem o definicję dobra. W odpowiedzi na jego pacyfizm cytowałem George'a Orwella, który w eseju o wojnie domowej w Hiszpanii napisał, że tylko głupcy wierzą, iż nieprzeciwstawianie się złu położy mu kres. Ja nigdy tak nie robię – oświadczyłem dumnie. Trzeba walczyć, nie ma lepszej drogi.

Ojcu i matce robiłem wykłady o bractwie z Mount Cashel, o molestowaniu małych chłopców przez księży, o okrucieństwie klasztorów, w których rządzą głupie i fanatyczne zakonnice, o tchórzostwie papieży z szatańskim Piusem XII na czele, płaszczących się przed ziemską władzą. Moich rodziców nic jednak nie przekonywało. Co gorsza, matka tuż przed śmiercią powiedziała:

– A jeśli nawet to wszystko prawda – co z tego? Mnie od tego prawdy nie ubędzie ani twój ojciec nie stanie się przez to mniej dobry, ani jego

odwaga mniej prawdziwa. Świętej Teresie od Dzieciątka Jezus też to nie zaszkodzi.

A czy ja byłem mniej prawdziwy przez to, że trzymałem w ręku nóż? Wróciłem na schody i zacząłem wspinać się bezgłośnie ku swemu przeznaczeniu.

Znów skrzypnęła podłoga, tym razem z dalszej części korytarza.

– Idę po ciebie – rzekłem głośno.

Cisza. Otworzyłem drzwi piwnicy i skręciłem w lewo, stąpając po pomarańczowym dywanie. Przez małe okienko sączyło się cienkie, styczniowe światło. Przez rękawiczkę podniosłem słuchawkę telefonu. Nie działał. Na drugim końcu domu podzwaniały monotonicznie zwisające z dachu sople. W saloniku, gdzie stał nowy skórzany fotel, poczułem zapach, który zawsze kojarzył mi się z Conniem Devlinem: stare pety i przypalony obiad z puszki, dojadany przed telewizorem.

Może nawet nie zdąży strawić przed śmiercią – pomyślałem. Tym gorzej dla niego. On też nie cackał się z moim ojcem, jak go zabijał i porzucał byle gdzie.

Na Russell Road osiadał cicho śnieg; szosa zwęziła się do jednego wyboistego pasa. Obróciłem się wolno i ujrzałem przed sobą drzwi jego sypialni: widziałem siebie, jak wchodzę, czułem niemal każde włókno dywanu. Nagle znalazłem się w jego pokoju. Spojrzałem na łóżko, na telefon, przy łóżku, tykający zegar.

W kącie leżała czarna torba mojego taty. Znałem ją, odkąd miałem trzy lata. Ostatni raz widziałem tę torbę na kuchennym stole w przeddzień wyjazdu taty.

Kwadrat okna był już ciemnoniebieski, w pokoju panowała zimna szarość.

Usłyszałem skrobanie z wnętrza pakamery, jakby kot drapał pazurami. Z nożem w pogotowiu rozsunąłem drzwi.

W pierwszej chwili Connie wyglądał, jakby wykonywał dziwny taniec. Patrzył mi prosto w oczy, a ja jemu. Oczy miał wielkie, policzki pyzate, lok sterczał mu na czubku głowy jak róg jednorożca. Kiwał się nieznacznie w tył i w przód, jak na sobotnich potańcówkach w domu kultury, gdy tańczył leniwego twista. Z każdą sekundą poważniał, a jego spojrzenie przybierało na intensywności.

Z opóźnieniem uświadomiłem sobie, że Connie właśnie się powiesił. Sznur przerzucił przez krokiew nad pakamerą. Postękiwania, które przedtem słyszałem, towarzyszyły jego rozpaczliwym wysiłkom wykonania zadania. Teraz już nie stękał; patrzył wprost na mnie z miną niemal refleksyjną, jego nogi dyndały nad podłogą. Użyłem noża. Odciąłem go.

Runął bezwładnie do moich stóp, krztusząc się i spluwając. Podniosłem go i posadziłem na łóżku. Ni stąd, ni zowąd, sam nie wiem dlaczego, polecałem przynieść mu wody.

– Wolałbym herbatę – rzekł uprzejmie.

Nastawiłem czajnik, zaparzyłem herbatę i podałem mu ją w filiżance.

Napił się.

– Za gorąca, nie zdążyła naciągnąć – skrytykował, po kobiecemu akcentując słowo „naciągnąć”. Spojrzał na mnie z pogardą i pokręcił głową. Znał się przecież na dobrej herbacie. Siorbnął jeszcze łyk i odstawił filiżankę na nocny stolik.

– Herbatniki dla niemowląt – powiedział. – W kredensie na górze.

Polecałem po herbatniki. Zajrzał do pudełka, zapuścił rękę do środka i

wyjął jednego. Sięgnął po herbatę, zamoczył w niej niemowlęce ciasteczko i, żując starannie, zaczął nagle rytmicznie przytupywać. Sznur nadal wisiał mu na szyi.

Podniosłem torbę ojca, obejrzałem ją z bliska, powąchałem.

– Niestety, większość wydałem – powiedział Connie.

– Ile? – spytałem szeptem.

– Dwadzieścia pięć tysięcy.

– Rany boskie, Connie.

– Skusiło mnie.

– Co z tym zrobiłeś?

– Zamówiłem samochód. – Podał mi broszurę z nocnego stolika. –

Wszystko automatyczne, hamulce, okna, poduszki powietrzne, siedzenia... skórzana tapicerka. Na razie jeszcze nie kupię, jasne, ale...

Podciągnął żaluzję i wyjrzał przez okno.

Nic nie było widać z powodu koszmarnej zadymki.

– Ogrzewanie wyłączone? – spytał Connie.

– Możliwe.

– Idź sprawdzić.

Znalazłem termostat i włączyłem piec. Miałem dziwne uczucie, że jestem tutaj, bo ojciec mi kazał. Spojrzałem na nóż, który nagle wydał mi się obcy, tak samo jak Mathew, Rudy i Cynthia.

– Śnieg pada – powiedział Connie, kiedy wracałem do jego pokoju.

Nie miałem siły wejść, stanąłem oparty bokiem o ścianę, nasłuchując.

– Twój tata musiał się często przeze mnie zatrzymywać. Dwa razy zmylił drogę, o co miałem do niego pretensje. Ale jakoś zawsze umiał zawrócić na dobrą stronę potoku Otter, w kierunku szosy. Wiatr wiał zimny jak



cholera, rękawice mi zamarzały. Pomstowałem na twojego tatę, że o mnie nie dba, kazałem mu na siebie czekać... no a twój ojciec, znasz go, stawał i czekał. Mówiłem mu, żeby nie szedł takimi wielkimi krokami, bo ja mam małe stopy. W końcu siadłem na pniu ściętego świerka i zacząłem go przeklinać. Wrzeszczałem, skarżyłem się, że nogi mam obtarte do krwi. Connie odchrząknął, pożył herbatnik i mówił dalej:

– Syd mi na to, że ani dzień się nie wydłuży, ani cieplej się nie zrobi. Ale ja uparłem się, że nie pójdę ani kroku dalej, jak mi zaraz nie rozpali ogniska. Więc obejrzał się na linie wysokiego napięcia, westchnął, odstawił plecak i rozpalił mi ognisko. Piękne ognisko. Podobało mi się. Wyciągnąłem nogi do ognia, aż mi para poszła z butów, zapaliłem papierosa i patrzyłem, jak Sydney biega koło mnie. „Nazbieraj chrustu” – mówiłem mu, a on leciał i zbierał chrust. „Coś bym przekąsił” – mówiłem, a on otwierał plecak i dawał mi pączki. Właśnie jak raz rozpiął plecak, zobaczyłem tam na dnie tę czarną torbę. Spytałem, co tam ma, ale mi nie odpowiedział. Poszedł z powrotem po drewno. No to ja wtedy zajrzałem do tej torby i zobaczyłem pieniądze. No to je przełożyłem do kieszeni pod kurtką. Sydneyowi zawsze mogłem powiedzieć, że wypadły mu z worka. Głównkowałem, ile to może być pieniędzy, i buty zaczęły mi się palić. Skoczyłem na równe nogi i zacząłem biegać po śniegu, żeby je zgasić. Leciałem tak, leciałem, aż zleciałem z urwiska. Żadnej pomocy w promieniu wielu mil. Spadłem na półkę skalną i tak leżałem. Nie mogłem wygramolić się z powrotem, więc w końcu twój ojciec nie miał wyjścia, jak tylko zejść po mnie. A sam był poszkodowany, bo potknął się o pień w lesie i potłukł. Widziałem, że go boli. Cały się spocił, chociaż było coraz zimniej. Bolało go, widziałem. Chyba ślepa kiszka.

Zlazł do mnie, oczywiście. Musiał – to było tak, jak na tym dachu kościoła, jak za młodu. Wiesz, Lyle, że jak chodziłem na niedzielne pikniki, to zawsze wyobrażałem sobie, że Elly jest moją żoną i jestem z nią na wytwornej kolacji? Elly to jedyna kobieta, która była dla mnie dobra.

Twój ojciec robił, co mógł, żebyśmy wydostali się z lasu. Zawziął się jak nie wiem, walczył z sobą jak zwierzę, żeby pokonać ból i doholować nas do domu. Śnieg padał tak, że nie było widać na wyciągnięcie ręki.

Przypomniało mi się, jak byliśmy mali i odgarnialiśmy śnieg z dachu kościoła. Jakby nic się z nami nie stało od tamtego czasu, i wszystko się stało. Jak twój ojciec w końcu zszedł do mnie, zaraz wiedziałem, że z powrotem nie wlezie, więc wziąłem jego buty – powiedziałem mu, żeby mi dał swoje buty, to dojdę na szosę i wezwę pomoc. Nic więcej nie mogłem zrobić. Twój ojciec chciał wstać, ale się przewrócił. Włożyłem jego skarpetki i buty, został boso – a torba z forszą już była w mojej kieszeni. Powiedziałem mu, że wrócę, ale pewnie od początku mi nie wierzył. Zostawiłem go na tej półce skalnej i wciągnąłem się na górę po linie.

Nie mogłem czekać na twojego ojca. Wiedziałem, że cierpi, ale ja bym nie przeżył i dwóch godzin, a co dopiero całej nocy, gdybym tam został. Twój ojciec przedtem niósł mnie przez całą milę. Ale coś mu było. Ja nie jestem lekarzem, Lyle. Żałuję, że nie mogłem mu pomóc. To była ślepa kiszka. Od dziecka mu się dawała we znaki, już jak miał jedenaście lat. Proszę cię, popatrz na to z mojego punktu widzenia. Chciałbym, żeby ludzie od czasu do czasu, tak dla odmiany, spojrzeli na coś z mojego punktu widzenia – może wtedy byłoby mi łatwiej. Bo mnie, wiesz, nie jest łatwo – twój tata

to wiedział. Dlatego pozwolił mi wziąć swoje buty.

Jak wylazłem na szczyt urwiska, usłyszałem, że twój tata krzyczy i kogoś woła. On rozmawiał z Elly.

Nie wiem, dlaczego nie zszedłem z tego urwiska i nie zostawiłem twego taty w spokoju. Poradziłby sobie beze mnie – a ja miałbym wszystkie problemy rozwiązane. Jednak zrobiłem to!

Mówię ci, to było straszne. Dalej mi dziwnie, jak sobie przypomnę, co on wygadywał. Mówił do was wszystkich. Choć bolało go coraz bardziej.

Gadał i coś o swoich wierszach. Kazał mi wyjąć je z plecaka i zanieść do domu, a pieniądze oddać Elly. Chyba nie wiedział, że tę forszę mam przy sobie. Tak w każdym razie wyczułem. Ale wykombinowałem sobie, że Elly nie będzie żałowała tych pieniędzy – czego nie miała, tego nie pożałuje. Czy można mieć do mnie pretensje, że marzyłem o tym samochodzie... mówiłem ci, wszystko automatyczne.

Leżał na tym występie. Na lewym boku. Gadał do mnie. Powiedziałem mu, żeby wstał i jeszcze raz spróbował. Ale on mówił, że nie da rady wstać. Co chwila patrzyłem na zegarek, w nocy wskazówki świeciły na zielono, i darłem się do niego, żeby wstawał. Wyzywałem go, żeby się ruszył. A pod kurtką czułem tę czarną torbę z dwudziestoma pięcioma tysiącami w środku.

Wiedziałem, że tak zaraz go nie znajdą. Pytałem go, Lyle, czy jeszcze go boli – powiedział, że już nie. A po pięciu minutach dodał: „Ja wiem, Elly... tak... ja wiem... że to zawsze tu było... tu było... ty, ja i dzieci...”

Odczekałem jeszcze chwilę, śniegu było coraz więcej, w końcu on przestał mówić. Zszedłem do jego plecaka, znalazłem wiersze. Ale na co komu głupie wiersze, pomyślałem sobie. Więc je zostawiłem.

Jak mnie spotkali przy drodze młodzi studenci jadący do Moncton, szedłem bez przerwy od trzydziestu godzin. Nie miałem już odwagi wracać po niego. Wiem, obiecałem, ale wtedy oni by się domyślili, że zabrałem mu buty – może by mnie posadzili, że go zepchnąłem. Tak czy owak, już nie mogłem mu pomóc. Nigdy się nie nadawałem do pomagania – zakończył Connie Devlin. – Ale twój tata bardzo porządnie się zachował, no nie?

## Rozdział 9

Mniej więcej w tym samym czasie Cynthia uruchomiła samochód. Nie mogła jednak namówić starego, żeby wsiadł do środka. Ubzdurał sobie, że Cynthia chce go zawieźć do Mathew, który da mu w łeb.

– Nic nie widać – biadała Cynthia, biegnąc po nich do domu. (Latała tak już od trzech kwadransów.) – Dlaczego, kurwa, w Kanadzie stale są zamiecie?

Była już prawie druga. Siedzieli w pokoiku Gladys, która namawiała ojca do wyjścia.

– Nigdzie nie jadę – zaparł się Leo.

Cynthia myślami była przy tysiącach spoczywających w torbie na kuchennym stole.

Postanowiła, że ucieknie w męskim przebraniu, przygotowała więc w tym celu torbę ze sztruksowymi spodniami Leo, jego roboczą koszulą, butami i starym kapeluszem. Jak wiele prawdziwie pięknych kobiet, Cynthia umiała w razie potrzeby wyglądać jak mężczyzna.

Będą szukali kobiety w samochodzie. A ona porzuci samochód i wsiądzie

w pociąg jako mężczyzna. Pojedzie do Halifaxu, poczeka, aż zoperują dziecko, i wykradnie je ze szpitala.

– Wsiadaj do auta – poleciła McVicerowi – ty stary, głupi połamańcu... którego kocham.

Spróbowała dźwignąć go na nogi. Stary siedział jak słup, tylko włosy, chociaż ostrzyżone po nowemu, trochę mu się potargały.

– Chodźmy, tatusiu, proszę cię – namawiała Gladys.

Cynthia poszła na górę. Było tam z dziesięć pokoi, do których wcześniej nie zaglądała. Usiadła i szybko przebrała się w garderobę Leo, koszulę, spodnie i sweter. Ucieknie sama. Wtem jednak, dopinając zamek błyskawiczny u spodni, zauważyła dwie postacie – dwa punkciki – zmierzające w stronę domu.

Nikt nie odbierze jej pieniędzy! Zbiegła błyskawicznie na dół i zamknęła drzwi na klucz. Potem poszła się schować do pokoiku Gladys, zapominając o forsie w papierowej torbie na kuchennym stole.

Mathew brnął ku domowi McVicera przez ponury śnieg, a Rudy włókł się przed nim i odwracał co chwila, ponaglany spojrzeniami kompana. Rudy cały czas gadał, usiłując się wymigać ze strasznego przedsięwzięcia. Ale nie miał już szans. Ile razy obejrzał się za siebie, napotykał nieprzejednany wzrok Mathew Pita. Zaczepił spodniami o drut kolczasty i rozdarł nogawkę, nie mógł opanować dygotu zziębniętych kolan. Weszli w las za domem. Mathew załadował wiatrówkę.

– Tam siedzi gruba forsa – powiedział. – Gruba bandycka forsa, którą McVicerowie mi ukradli.

Taka była najnowsza wersja Mathew Pita.

– Naprawdę? – spytał Rudy.

– Trzydzieści albo czterdzieści tysięcy – potwierdził Mathew i pociągnął nosem.

Wiatrówka upadła mu w śnieg, musiał ją podnieść i wytrzeć lufę. W sumie, powiedział, wiatrówka jest o wiele lepsza od strzelby.

– Z wiatrówki można rozwalić gościa na strzępy – wyjaśnił.

– Ach tak – powiedział Rudy.

Rudy bardzo się starał wmówić sobie, że czuje się w porządku, ale jeszcze raz zwymiotował.

– Czego rzygasz? – zdziwił się Mathew. – Zjadłeś coś?

– Tak – bąknął Rudy.

Dodał, że chętnie by posiedział trochę na śniegu. Miał przy tym błagalną minę, jak mały chłopczyk. Ale Mathew dźgnął go lufą i pchnął do przodu, więc Rudy przelazł przez ogrodzenie i pomaszerował polem przed Mathew Pitem, jak więzień.

– A potem zafunduję sobie pizzę – powiedział Mathew, ale zamieć i grzechot sopli na miotanych wichrem drzewach stłumiły jego głos.

## Rozdział 10

Chociaż szkoła była tego dnia zamknięta, próba sztuki Autumn o tragedii w Escuminac odbyła się. W kluczowej scenie rybak, którego życie stanowiło oś akcji, stając w obliczu śmierci wśród fal wysokości dziewięćdziesięciu stóp, ostatkiem sił przywiązywał syna do masztu, zanim jego samego woda zmyła z pokładu i pochłonęła.

Scena ta była fragmentem autentycznego zdarzenia z dwudziestego dziewiątego czerwca pięćdziesiątego dziewiątego roku. Autumn nie byłaby

w stanie jej opisać, gdyby nie znała wszystkich faktów na pamięć i nie przeżyła ich głęboko.

Od dziesiątej rano ćwiczyli tę właśnie kluczową scenę, przy czym Autumn stale zmieniała kwestie i ustawienia obu bohaterów, a nauczyciel prowadzący zajęcia teatralne – dwudziestodwuletni młodzian, sam pisarz, o czym tak bardzo marzyła Autumn – mówił coraz mniej i nabierał do niej coraz więcej szacunku.

Próba trwała do drugiej po południu. Za kulisami, gdzie inni uczniowie pracowali nad rekwizytami, Autumn zobaczyła przez okno, że śnieg zasypał cały świat. Tu jednak czuła się przytulnie, zaróżowiona, podniecona pracą, prawdziwością swojej pracy. A poza tym, była potajemnie zakochana.

Opiekun teatralny podszedł do niej, wziął ją za rękę i szepnął:

– Co zamierzasz zrobić z tak wielkim talentem?

– Zamierzam pójść do domu i ugotować kolację dla Percy’ego – odszepnęła mu do ucha, stając na palcach.

Zwierzyła mi się potem, że gdy to powiedziała, nauczyciel spojrział na nią jakoś dziwnie, aż ją zmroziło.

## Rozdział 11

Mathew stłukł szybę w tylnych drzwiach – tych, którymi wszedł Rudy, kiedy zdawało mu się, że kocha moją matkę. Wsadził rękę przez otwór, przekręcił zasuwę i wepchnął Rudy’ego do środka. Skończyło się udawanie, że Mat Pit jest tu czyimś partnerem – nie Mat Pit, który walke ze światem podjął w szesnastym roku życia.

Cynthia siedziała w pokoiku Gladys ze swoimi inwalidami. Ogrzewanie nie działało, światła nie było – wyłączyli prąd. Mat i Rudy przeszli przez kuchnię, nie zaglądając nawet do torby na stole, i minęli pokoię Gladys. Leo dopiero teraz – za późno – zrozumiał, dlaczego Cynthii tak zależało na wyprowadzeniu ich z domu. Z samej góry usłyszeli kroki. Włamywacze buszowali po całym piętrze, od czasu do czasu rozlegały się trzaski i walenie w meble szukali sejfu. Nawet Rudy nie był nigdy przedtem na trzecim piętrze. Cynthia była czwartą osobą na świecie, która widziała sejf McVicera.

– Cśśś – szepnęła. – Nie znajdą nas, tylko siedźcie cicho.

Gladys ani drgnęła, tylko łzy ciekły jej po twarzy, nie tyle ze strachu, ile z poczucia bezradności.

– Mój telefon komórkowy – szepnęła. – Jest w torebce, możemy wezwać Geralda.

– Gdzie? – spytała cicho Cynthia.

– W salonie... moja torebka.

– Nie mogę tam wyjść – rzekła Cynthia po chwili.

– Czemu? – zdziwił się stary.

– Boję się – wyznała.

Wiatr dął głośno. Znowu zapadło milczenie. Leo wstał.

– Ja tam się nie boję – powiedział.

Z góry nic nie było słychać. Ale Mathew i Rudy znajdowali się dwa piętra nad nimi: Mathew kopnął w drzwi i stanął oko w oko z własnym ojcem uwiecznionym na zdjęciu. Aż zadrżał z wrażenia. Gdyby Rudy'emu udało się otworzyć sejf, gdyby nie znaleźli w środku niczego oprócz rządowych pism sprzed lat – pewnie by sobie zwyczajnie poszli, i koniec.



Ale Rudy nie umiał otworzyć sejfu. Mathew dogryzał mu przez cały czas, w końcu dał mu w ucho, aż poszła krew – tak samo dostała tu przed laty w ucho moja matka.

– Cholera z tobą! – pieklił się Mathew. – Złote góry mi obiecywałeś, od piętnastu lat!

Rudy nigdy nie znał kombinacji szyfru do sejfu, nigdy też nikt go nie uderzył, odkąd był mały. Rudy po prostu kłamał. Rozповідаł na prawo i lewo, że to on zarządza pieniędzmi, setkami tysięcy dolarów, że swoje monte carlo kupił za gotówkę, chociaż w istocie należało do firmy McVicera, tak samo jak pusty obecnie dom Rudy'ego. Nic nie było zapisane na jego nazwisko. Mathew, który przez całe życie wierzył w to, co akurat było mu wygodne, wciąż na nowo nabierał się na kłamstwa Rudy'ego, bo Rudy miał coś, o czym Mathew Pit mógł najwyżej marzyć: dobre koneksje.

Rudy skulił się i pomacał rozcięte ucho. Wichura wstrząsała domem.

– No, dalej, otwieraj! – zarządził Mathew.

Rudy spróbował jeszcze raz i drugi, i trzeci.

– Nie bij mnie – poprosił. – Widzisz przecież, że robię, co mogę.

– Co ty możesz! – prychnął Mathew. – No, co ty możesz? Myślisz, że ja cię biję? To poczekaj, aż się do ciebie weźmie Danny Sheppard i chłopaki z więzienia w Dorchester.

Rudy obejrzał się na niego przez ramię i kiwnął głową jak grzeczny chłopczyk.

– Odsuń się – burknął Mathew, odpychając Rudy'ego z drogi. Strzelił w drzwi sejfu z bliskiej odległości. Parę kulek śrutu rykoszetem trafiło go w nogę. Ryknął z wściekłości.

Podszedł do wąskiego okienka w bocznej ścianie domu i wybił je kolbą wiatrówki. Wrócił do sejfu i zaczął go holować w stronę okna. Nie było to proste; Mathew rykiem dodawał sobie siły. Liczył na to, że sejf rozleci się przy upadku z okna i cała forsa wysypie się na śnieg.

– Jak mi nie pomożesz podnieść tego cholerstwa do parapetu, to nie dostaniesz ani centa – wysapał. Spodnie mu się rozdarły, obie nogi krwawiły, a – co najdziwniejsze – dymiło mu się ze skóry.

Leo usłyszał strzał. Furia wichru natchnęła go myślą, że oto ma ostatnią szansę – szansę na ostatni cios – a trud, z jakim włókł za sobą własną nogę, obutą w nową białą tenisówkę, uzmysłowił mu, że po zadaniu owego ostatniego ciosu zapewne padnie trupem. Ale wspomnienie lat dojrzewania i obraz agonii matki przekonały go, że to nic nie szkodzi, że przeżył swoje życie najlepiej, jak umiał, że zawsze w razie potrzeby potrafił wykazać inwencję i dzielność. A teraz właśnie przysłała taka potrzeba.

Czekał, aż tamci dwaj zejda na dół. Ale nie schodzili. Wziął torebkę Gladys i ruszył z nią z powrotem do pokoju córki.

Nagle zobaczył, że jego sejf leci z góry i ląduje na gruszy przed oknem salonu. Utknął tam z głośnym hukiem, ale pozostał nienaruszony. I znów wszystko ucichło, tylko z dachu szemrał cicho śnieg. Leo uśmiechnął się i podreptał dalej do pokoju Gladys.

Pech chciał, że niósł jej torebkę do góry nogami, siejąc za sobą jednodolarowe monety, które Gladys zbierała na gry w automatach pokerowych w lokalach nowej przystani. Monety, jedna po drugiej, spadały na podłogę, znacząc szlak aż do samych drzwi po dywanie, nad którym tak się kiedyś trzęsła moja matka.

– Nawet nie powąchasz mojej forsy – powiedział Mathew do Rudy’ego. – Całą robotę odwałem sam.

Odwrócił się i ruszył w dół po schodach, tupiąc rozgłośnie, krwawiącymi nogami. W pokoiku za kuchnią Leo szykował się do ostatniej bitwy.

Odczeka, aż przeciwnik ustawi się bokiem, i walnie z prawej – wiedział dobrze, że od takiego ciosu człowiek zgina się wpół. Okaże się, jaki twardy jest Mathew Pit.

Telefonu w torebce nie było, chociaż Gladys starannie ją przeszukała.

Cynthia przypomniała sobie, że wyniosła komórkę do cadillaca. Teraz nie mogła się do tego przyznać. Leo patrzył na nią, nie ze złością, raczej z litością – wspominał jej wspaniałe ciało już nie z chutliwą żądzą, ale ze smutkiem, i kręcił głową nad własną głupotą.

Rudy nie mógł się zmusić do żadnego ruchu, wiedząc, że póki pozostanie w miejscu, będzie bezpieczny. Przez całe życie błagał wszystkich świętych, do których ludzie się modlą, o poczucie bezpieczeństwa. Tym razem jednak własne życie wmanewrowało go w ten ślepy zaułek. Jeśli on ich znajdzie – pomyślał – to obu zabije.

Mathew działał jak w hipnozie, oszołomiony własną naturą, własną sztucznie podsycaną bezwzględnością, przemożnym lękiem, który budził swoim własnym rykiem.

W półmroku domu prawie przegapił sygnał, kierując się do drzwi. Ale coś kazało mu zawrócić do salonu. Po raz drugi minął papierową torbę na kuchennym stole. Spozrzegł monety, wyznaczające drogę do pokoiku Gladys. Może – pomyślał – te pieniądze wypadły z sejfu. Tak, na pewno tak; zbierał je po jednej, jak wielkie skarby. W ten sposób stanął pod

drzwiami.

Gdyby nie to, że Leo poszedł po torebkę, skończyłoby się na bezowocnym włamaniu. Rudy był już na samym dole schodów.

Mathew zaczął po omacku szukać klamki.

Pierwsze słowa, które wyrzekła na jego widok Cynthia, brzmiały: „Idź stąd, to nic złego się nie stanie”. Wszyscy troje próbowali barykadować drzwi. Zachowywali się jak dzieci, tak teraz myślę. Właściwie każdy, myślę, jest w gruncie rzeczy dzieckiem.

Rudy zszedł na dół, cały roztrzęsiony, i stanął dokładnie tam, gdzie stała moja matka, broniąc swojej cnoty. Wielki stary dom był zimny i cichy.

– Gdzie forsa? – wrzeszczał Mathew raz po raz. – Chodź, otwórz mi sejf, to nic nikomu się nie stanie!

– Szkoda zachodu, i tak nie otworzę – powiedział Leo.

Mathew co chwila dźgał starego kolbą wiatrówki. Ale Leo stał twardo w miejscu.

– Chodź, otwieraj, bo rozwalę ci gębę – ostrzegł Mathew. – To wszystko twoja wina, Leo, od początku do końca, cała ta śmierdząca historia!

– Daj nam spokój.

W pierwszej chwili Rudy nie poznał, kto to mówi. Zaraz jednak dotarło do niego, że słyszy słaby głos starca. Podszedł do samych drzwi i nadstawił ucha.

W tej samej chwili Mathew z całej siły dał Cynthii w twarz „za to, że go oszukała” – a Leo wymierzył swój prawy sierpowy. Mathew runął na wznak jak długi. Leo, zadawszy cios – najpotężniejszy od czterdziestu pięciu lat – sam padł na kolana. Słyszając to, Rudy odruchowo rzucił się go podnosić. Ale powstrzymał go strach i widok nabitej wiatrówki. Ta broń

go paraliżowała. Leo i Mathew zaczęli walczyć o wiatrówkę, Leo dostał kopniaka w twarz. Krew starca trysnęła prosto w górę, jak gejzer.

– Pomóż mu, Rudy – błagała Cynthia, którą Mathew drugi raz pchnął brutalnie na ścianę. Jej też krew leciała z nosa.

– Boże... – szepnął Rudy, trzęsąc się jak galareta.

Mathew znów kopnął Leo.

– Rudy, kochanie, teraz musisz... – prosiła Gladys.

Mathew wyszarpnął staremu broń.

O dziwo, Leo zdołał jeszcze raz zamachnąć się prawym sierpowym, po którym Mathew zatoczył się aż na regał z lalkami, postrojonymi w szykowne sukienki i wartymi zapewne tysiące dolarów – teraz wszystkie zwały mu się na głowę.

Mathew odwrócił się i wycelował broń w Leo.

Chwila wahania. W tej sekundzie cały świat się dla nich zatrzymał. W tej sekundzie można było jeszcze wszystkiemu zapobiec.

Gdy Mathew obracał lufę, Rudy z uniesionymi rękami skoczył nagle, jak do basenu z zimną wodą, pomiędzy niego a Leo. Mathew spostrzegł to dokładnie w momencie, gdy naciskał spust. Miał zamiar strzelić nad głową Leo, żeby go postraszyć. Rudy skoczył między nich z uśmiechem zarazem błagalnym i pełnym nadziei; zawsze się tak uśmiechał.

Nikt nie usłyszał strzału. Nagle Rudy padł na ziemię. Kolejna półka lalek zwała się na niego, zobaczył własne ręce opadające w dół, zdawało mu się, że tuli małą Teresę May, która ścisza go za szyję, uśmiechała się tak samo jak pewnego letniego dnia, kiedy wziął ją na ręce, miał na sobie wtedy szorty. Ale na tym koniec. W pokoju był jeszcze ktoś, ten ktoś mówił coś do niego, kazał mu gdzieś iść, szybko, bo już czas – umarł,

zanim dotknął podłogi, z planami przystani w kieszeni, z szeroko otwartymi oczyma.

Mathew złapał Cynthię za włosy i powlókł do samochodu.

– Ty kurwo, kurwo pierdolona, ty mi otworzysz ten sejf pieklił się, mijając papierową torbę na kuchennym stole. – Myślałaś, kurwo, że mnie wyrolujesz?

W gasnącym świetle popołudnia wtaszczył sejf na tylne siedzenie wozu, siostrę wepchnął na przedni fotel i ruszył przez kopny śnieg zygzakiem, w transie, w który sam się wprawił.

Cynthia miała twarz zachlapaną krwią Rudy'ego, która spływała jej po oczach jak łzy. Ubrana była podobnie jak mężczyzna, który kiedyś powiedział Percy'emu, że pewnego dnia będzie musiał odejść daleko.

## Rozdział 12

Percy czekał, aż wróć do domu. Postawił zegar na kuchennym stole, zrobił sobie rozpuszczalne kakao i kanapkę z masłem orzechowym – pół dla Scuppera.

Nie wracałem, tak jak już nieraz było. Tak jak nigdy nie wziąłem go do cyrku. W końcu Percy sięgnął po telefon i wykręcił numer Jaya Bearda. Czekał. Nie było sygnału, ale on nie wiedział dlaczego. Usiadł z powrotem koło Scuppera Pita.

– Scupper Pit – powiedział, nadgryzając kanapkę z orzechowym masłem – wiesz, co robi krowa w soboty wieczorem?

Odczekał chwilę.

– Chodzi do MUUUU-zeum! – zaśmiał się głośno. – Mama mi

opowiedziała ten dowcip, jak byłem mały.

Spojrzał badawczo na kanapkę i odgryzł jeszcze jeden kęs. Potem starannie odłożył kanapkę na talerzyk i rozejrzał się po izbie. Wszystko, co znał, było tutaj, w promieniu czterdziestu jardów od jego domu. Ptaki, które dokarmił, wianek ze stokrotek, który pewnego lata uwił dla mamy. Westchnął, zaplótł rączki i czekał, słuchając tykania zegara. Potem wstał, podszedł cicho do telefonu i ponownie wykręcił numer Jaya Bearda.

Czekał długo. Znow brak sygnału. Percy nie wiedział, że zerwała się linia telefoniczna. Wrócił na krzesło. Cały czas słuchał tykania zegara.

– Przepraszam cię, Scupper – powiedział w końcu.

Pies miał piętnaście lat, nie mógł już chodzić, a od tygodnia przestał jeść.

Nie wychodził na dwór się załatwić, więc Percy codziennie mył mu zasikaną sierść. Percy wierzył głęboko, że weterynarz wyleczy Scuppera.

– Jak tylko Lyle wróci, Scupper... – powiedział.

Na dworze dął wiatr, wysoko ponad domem pędziły chmury. Nagle jednak, jakby coś w nim pękło, Percy stracił ducha i przestał powtarzać, że ja zaraz wrócę do domu. Nigdy za wiele nie siedziałem z nim w domu.

Owinął Scuppera w swój stary becik i wziął na ręce.

Nie powinien był zabierać psa. Nie wiedział, że w ten sposób przysparza mu tylko cierpienia. Otworzył drzwi i wyszedł prosto w zadymkę, kierując się ku odległej o pięćset jardów drodze. Trzy razy upadł, pies razem z nim. Trudno było oddychać w szalejącej zamieci.

Po każdym upadku podnosił psa i brnął dalej po naszej ścieżce, zakosami, rozpoznając miejsca, w których zbierałem dla niego żuki – to chyba jedyne, co o mnie pamiętał.

Gadał do psa, opowiadał mu rzeczy, których nikomu innemu nie mówił.

Jak kiedyś będzie fajnie, jak pojedą na wycieczkę. Albo jak Lyle opowiedział mu śmieszna historię, jak Autumn uczyła go tańczyć, jak tańczyliśmy wszyscy razem w skarpetkach po wypastowanej podłodze, jak mamusia nauczyła go kiedyś wieczorem piec babeczki. Przystanął pośrodku ścieżki, śnieg bielił jego pomarańczową czapkę, a on myślał o Elly, o tym, jak przyglądała rękami sukienkę w dniu, kiedy uplotł dla niej wianek ze stokrotek nic więcej już o niej nie pamiętał. Obejrzał się, jakby miał i teraz ujrzyć ją na ganku, przyglądającą dłońmi sukienkę na kolanach, jakby go zaraz miała spytać: „No, co tam, Percy, mój kochany?” Ale nikogo nie było. Nigdy więcej jej nie będzie. Uświadomił to sobie nagle, po raz pierwszy w życiu.

Stracił pewność, czy w ogóle idzie jeszcze ścieżką, bo zasy były coraz głębsze, a śnieg go oślepiał. Przez tę zadymkę nie wiedział już, którądy się idzie do szosy. Wichura tamowała oddech. Ale Percy dalej brnął dzielnie ze swoim psem. Wszystko zbielało, drzewa się pozamazywały, niknęły w półmroku. Naszą skrzynkę na listy całkiem zasypało – ostatni znak końca naszej ścieżki i początku drogi numer jedenaście zniknął pod śniegiem. Percy chciał dojść do domu na kółkach, w którym Jay Beard tyle razy częstował go ciastkami i grał mu na gitarze.

– Scupper – powiedział, odwracając buzię od wiatru. – Miejmy nadzieję, że Lyle nie wie o tym, że mam złamane serce.

Potknął się lekko kolejny raz, śnieg sięgał mu prawie do pasa. Przycupnął w nim, nieświadomy, że znajduje się na samym środku szosy.

– Zmęczyłem się, Scupper – szepnął.

Podniósł oczy i ujrzał – zbyt późno – światła samochodu i mężczyznę, który mu kiedyś powiedział, że będzie musiał odejść daleko.



Jay Beard z okna swojej przyczepy zobaczył, co się dzieje, i bosy wypadł na dwór. Autumn właśnie zbiegała z mostu. Ktoś krzychał do Jaya, żeby wezwał pogotowie.

Scupper leżał na ciele swojego pana i lizał go po twarzy. Podobno krew leciała Percy'emu z nosa. Podobno jego jasne włoski targał wiatr. Podobno oczy miał otwarte i pełne łez.

Powiedziałem kiedyś Bogu, że dla mnie ten dzieciak może nie żyć. Więc Bóg, aby mi pokazać, co naprawdę warte jest życie, które przekląłem w napadzie wściekłości, dał mi Percy'ego na całe sześć lat.

Mathew pruł na pełnym gazie. Cynthia chciała mu wyrwać kierownicę, ale na próżno. Mathew zerknął tylko raz w lusterko wsteczne i pędził dalej.

– To moja szansa – warknął, pociągając nosem. I walnął Cynthię na odlew.

– Cicho siedź! – rozdarł się. – Cicho siedź, bo pošę cię prosto do piekła!

Prosto do piekła!

Chociaż Cynthia wcale się nie odzywała, uciszał ją tak i walił raz po raz przez dłuższą chwilę.

Skuliła się przy samych drzwiach wozu, podciągając stopy pod siebie, chciała być jak najmniejsza. Wycieraczki hurkotały po zalodzonej szybie.

Przez piętnaście minut Cynthia nie mówiła nic, tylko znosiła razy brata.

Dopiero gdy znaleźli się w centrum miasta, pod starym betonowym murem, okalającym jedną z drewnianych trzypiętrowych willi z lat dwudziestych, otworzyła gwałtownie drzwiczki, wyskoczyła, poturlała się w bok – a cadillac pomknął dalej.

Cynthia wstała. Wiatr smagał jej prawie gołe plecy. Piersi, okolice żeber i twarz miała całe w siniakach. A jeszcze wczoraj nawet nie myślała, że to się może skończyć właśnie tutaj, przed domem kultury. Nie mogła

zapomnieć twarzy tego dziecka. Jak pijana, ruszyła do drzwi.

Było już po trzeciej. Drzwi się otworzyły i wciągnęła ją do środka fala ludzi. Ręce posiniały jej z zimna, palce skostniały jak szpony. Ubrana była jak facet.

W środku panował ścisk. Od rana czekało tam dziewięć tysięcy ludzi.

Cynthia dołączyła po prostu do anonimowego tłumu. Jej pieniądze zostały na stole w kuchni, a prawdziwy testament wypadł jej z kieszeni, kiedy się przebierała, i leżał teraz w pokoju na piętrze odległego domu, głosząc światu, że to ja, Autumn i Percy jesteśmy prawdziwymi spadkobiercami trzech czwartych majątku Leo McVicera.

Zobaczyła prowizoryczny ołtarz z paroma niepewnie płonącymi świeczkami i kolejki ludzi przy konfesjonalach. Wszyscy trzymali różańce – inwalidzi na wózkach, inwalidzi o kulach, ludzie z aparatami fotograficznymi, dziennikarze nastawieni na krytyczny opis zdarzenia, dziewiętnastoletni szydery, demonstracyjnie popijający pod ścianą, płaczące niemowlęta i tysiące innych osób płci obojga, wystrojonych w najlepsze zimowe ubrania. Wszyscy wyciągali szyje, jak tylko mogli. Z bocznego pomieszczenia za plecami Cynthii dobiegły odgłosy, jakiś policjant próbował usunąć ją z drogi. Obejrzała się – był to posterunkowy Morris, któremu coraz częściej zlecano obowiązki porządkowe. Cynthia kiwnęła posłusznie głową, ustąpiła na bok – i znalazła się oko w oko z Viką, młodocianą wizjonerką z Medjugorje.

Spojrzała na nią i oniemiała. Zobaczyła twarz dość pospolitą, wsiową, niebrzydka, ale z pewnością niesubtelną. Vika ubrana była bardzo skromnie, bez śladu makijażu. A jednak Cynthia nigdy jeszcze nie widziała takiej twarzy takiej radosnej.

Vika stała o krok od niej, po chwili minęła ją, jakby jej wcale nie zauważyła. Cynthia w jej obecności nie umiała zapanować nad emocjami, trzęsła się cała, nisko spuściła głowę.

Nagle Vika zatrzymała się, odwróciła, uśmiechnęła, dotknęła lekko ramienia Cynthii i wyszeptała coś w swoim języku, robiąc znak krzyża na jej czole. Gdy Cynthia podniosła wzrok, młodej wizjonerki już nie było. Ale przesłanie, przekazane wprost do duszy Cynthii Pit, pozostało z nią do końca życia. Brzmiało ono tak:

Matka Najświętsza zaprosiła tu dzisiaj ciebie, swoją córkę; chce, abyś odmieniła swoje życie.

Tylko skąd Matka Najświętsza (jeśli istniała) mogła wiedzieć, że taka harda, niezależna kobieta jak Cynthia zjawi się dzisiaj właśnie tu? – zachodziła w głowę Cynthia. I jak poznała, mimo męskiego przebrania, że Cynthia jest jej córką?

## Rozdział 13

Nie uczestniczyłem w pogrzebie Percy'ego. Nie mogli mnie znaleźć. Ciało leżało wystawione przez kilka dni w domu, i obok domu zostało pochowane. Tak chciała Autumn, bo Percy całe życie spędził właśnie tutaj, na swoim wyboistym placu, jak o nim mówił – tam grałem z nim w szklane kulki. Czuję się niegodny tego pogrzebu. Na pogrzebie ojca też nie byłem – jego ciało znalazł na wiosnę Jon Driver, przywiózł je i ojca pochowano obok mamy. Mnie wtedy nie było, poszukiwałem Mathew Pita.

Wróciłem jakiś czas po pogrzebie. Wiosna była długa, sucha, woda w

potoku opadła, nic nie mąciło spokoju zatoki. Na górnej łące pełno było wyschniętej trawy i kondomów. Sztuka Autumn zdobyła pierwszą nagrodę na okręgowym festiwalu teatralnym. Od czerwca zaczęli się zjeżdżać wczasowicze.

Często chodziłem na plażę. Biedny smutas Rudy Bellanger gryzł już ziemię, a Mathew zniknął. Dom Bellangera stał pusty, wystawiony na sprzedaż – czasami obok niego przechodziłem, patrzyłem, jak wiatr zamiata zeszłoroczne liście na patio. Mogłem ten dom z łatwością kupić, gdybym chciał. Co więcej – Gladys powiedziała Autumn, że możemy go sobie wziąć za darmo. Ale myśmy nie chcieli.

Cynthia odsiedziała trochę w więzieniu, ale niedługo, parę miesięcy, i wróciła do domu zajmować się matką.

Leo żył jeszcze cztery lata. Nigdy mu się nie polepszyło, ale i nie pogorszyło. Nauczył się grać w tryktraka i ściągał partnerów do domu o każdej porze dnia i nocy. Był obecny na ślubie Gladys i Geralda Dove'a, potem z nimi zamieszkał.

Dove po jakimś czasie zaczął uczyć w szkole średniej, a zdrowie Gladys poprawiło się na tyle, że mogła chodzić o lasce. Stwardnienie rozsiane ma to do siebie, że zdarzają się remisje – tak jak w przypadku Gladys.

Dove, zarabiając na tym parę milionów, reaktywował Zakłady McVicera nad naszą rzeką i w całej prowincji. Część z tych milionów należy dziś do mnie.

Czasami tęsknię za Penny Porier. Gadam do niej po nocach, snuję plany.

Raz byłem na jej grobie, usiadłem i płakałem. Ale, jak nas informuje Camus, płakałem za czymś, czego już nie ma – co zgniło i przepadło.

Pewnego dnia obudziłem się – i Autumn nie było. Nie o to chodzi, że nie

mogła mi wybaczyć. To ja nie mogłem wybaczyć sam sobie. Musiała więc odejść. Nie wiedziałem nawet dokąd.

Siedziałem w pokoiku na górze, w tym pokoiku, który dzieliłem z Percym. Była Niedziela Wielkanocna. Muszka i buciki Percy'ego czekały wciąż przy jego łóżku, razem z przysłanym nam informatorem kościelnym o Pierwszej Komunii, który Percy wystawił na półeczce.

– Autumn – powiedziałem.

Ale ona przeniosła się gdzieś, gdzie nie byłem mile widziany.

Miałem forsy jak lodu, chyba setki tysięcy dolarów, mogłem wyjechać, dokąd chciałem. A chciałem znaleźć Mathew Pita. Taki sam dobry cel, jak każdy inny. Szykując się do tego, przeklinałem go na wszystkie znane sobie sposoby, obrzucając wszelkimi obelgami z leksykonu bólu i furii. Spakowałem rzeczy Percy'ego do pudła, znajdując przy okazji pięć dolarów, które mu zostawiła mama. Schowałem je razem z jego ubraniami. W kieszeni jednych spodni zachowało się parę psich herbatników. A na samym spodzie kieszeni marynarki – zdjęcie mamy siedzącej na werandzie. Nie zabrałem go stamtąd. Co ja wiedziałem o szlachetności? Zamknąłem drzwi, zostawiłem za sobą nasz lilipuci domek i mętną rzekę Nowego Brunszwiku. Znalazłem się w Halifaksie. Spacerując tam kiedyś po nocy, zobaczyłem go nagle, ku swojej wielkiej uldze. Wytrzeszczył na mnie gały i zaczął uciekać, ja za nim, zapędziłem go w boczną ulicę – skoczył na mnie. Dałem mu w łeb tak, że złamałem sobie rękę, on mi za to zmiażdżył nos – ale zwiął. Tropiłem go aż do Toronto.

Tu nikt nie wiedział, ile złego narobiłem. Gdybym pomyślał, że ktoś się próbuje do mnie zbliżyć, wyjechałbym natychmiast. Pod tym względem

byłem z pewnością taki sam, jak Mathew Pit. Obaj zostaliśmy ulepieni z tej samej gliny, wywodziliśmy się z tego samego wielkiego imperium biedaków. Sypiałem na ulicy, pewnie tak jak i on, tak jak i jego prześladowały mnie dawne głosy. Nie żebym nie mógł sobie pozwolić na pokój – miałem rachunek w banku ale nie zasługiwałem na nic lepszego. – Jesteś zwyczajnym pierdolonym chuliganem bez jaj powiedział mi któregoś nocy policjant, jak zgarnęli mnie pijanego. – Chętnie bym z tobą wyszedł na ulicę, może zdejmę mundur i pójdziemy się bić, co? – Proszę bardzo – odpowiedziałem. Ściągnąłem sweter, ale on tylko spojrzał na moje blizny na ciele i ramionach, i odechciało mu się gadki o bójce.

Nie nosiłem przy sobie fotografii, nie miałem dobrych wspomnień, nie znalazłem zajęcia. Usilnie starałem się zapomnieć wszystko, czego się kiedykolwiek nauczyłem wszystko poza Mathew Pitem. Ale nie mogłem zapisać bólu ani nawet go przytłumić. Ręka, którą złamałem sobie na jego łbie, nigdy się dobrze nie zrosła – nie poszedłem do lekarza, bo żaden lekarz nie był uprzejmy odwiedzić mojej matki, kiedy miała poronienia. Ręka już zawsze mnie rwała od wilgoci, najgorzej w środku zimy.

## Rozdział 14

W lutym, w trzy lata, odkąd porzuciłem dom, spotkałem nagle Geralda Dove'a twarzą w twarz. Wetknął mi w garść jałmużnę, kiedy siedziałem w pobliżu parku Maple Leaf.

– Lyle – zagadnął, zrazu niepewnie, ale zaraz przybrał serdeczny ton.

Powiedział, że przyjechał do Toronto ze szkolną wycieczką na mecz Leafs

z Montreal Canadiens. Kazał mi obiecać, że następnego dnia zjem z nim razem śniadanie – nie tylko dlatego, że stałem się współzarządcą wielkiego majątku i potrzebny byłem na miejscu do podjęcia pewnych decyzji, dotyczących nie jego, lecz mnie. Także dlatego, że należało mi się odszkodowanie od władz lokalnych, w związku z czym pragnęli się ze mną skontaktować i David Scone, i Diedre Whyne.

Dove i jego uczniowie otoczyli mnie kołem. Każdy chciał uścisnąć mi rękę. Rozkleiłem się i ogarnął mnie żal nad sobą.

– Widzisz, jakim szacunkiem cieszy się teraz twoja rodzina? – powiedział Dove. – To zasługa twego ojca i siostry.

– Autumn? – zdziwiłem się. Nie wiedziałem nawet, czy ona jeszcze żyje. Tyle osób mnie opuściło.

– Wszystkie te dzieciaki ją czytały... To ich nagroda za półsemestralne egzaminy, przyjazd na ten mecz.

– Nie rozumiem, co czytali?

– Jej powieść. I wiersze twojego ojca. Nic nie słyszałeś? Chodźmy do pierwszej z brzegu księgarni, wszędzie znajdziesz powieść Autumn – prawda, dzieciaki?

Złapała mnie straszna drżączka. Wstydziłem się reprezentować przed nimi swoją rodzinę. Zerwałem się i uciekłem, zgięty w pół, pognałem w ciemne zimowe bebecchy Toronto.

Po ciemku szedłem nad jezioro, miałem nadzieję się utopić. Ale nawet to mi się nie udało.

Wyjechałem tej samej nocy. Do Europy. Całymi zimowymi popołudniami wałęsałem się po Oslo. W pociągach i w barach gadałem z porządnymi ludźmi, skrupulatnymi, uprzejmymi, nawykłymi do punktualności i ładu.

Jednego młodego zapytałem przy kieliszku, czy jest w pobliżu kościoła katolicki, w którym mógłbym zapalić świeczkę. Był dzień urodzin mojej mamy. Spojrzał na mnie zaskoczony i szepnął, że owszem, gdzieś jest, ale on nie bardzo wie gdzie. Bo tutaj katolicyzm uważa się za sektę, a jego wyznawców za debili.

– To wypijmy za moją matkę.

– Skol – powiedział.

Wieczorem pojechałem na lotnisko w Oslo, do wielkiej betonowo-szklanej hali z paroma stanowiskami do odprawy pasażerów. Paskudne wewnątrz rozjaśniało zimne światło, na zewnątrz było prawie ciemno. W tej szarej północnej ciemności, bardzo podobnej do naszej, wśród zgorzkniałych, samotnych ludzi, których życie wydawało się równie prowizoryczne i niespełnione jak moje, minąłem obojętnie kiosk z gazetami – i nagle zamarłem w pół kroku. Zawróciłem i wszedłem do środka, kierując się do działu pod szyldem Nowe Głosy Tysiąclecia.

Patrzyła na mnie przez swoje szkła kontaktowe, ale włosy miała białe, z jednym tylko cienkim żółtym pasemkiem z boku. Z informacji na okładce wynikało, że mieszka w Toronto, ma męża i jednego syna. Sydneya.

A więc wydzwignęła się ponad zamęt naszej wspólnej młodości. W przeciwieństwie do mnie, zamieszkała po drugiej stronie, w królestwie, w którym dawne upośledzenia już jej nie szkodziły. Upośledzenia te stały się nawet, jak zauważyłem, jednym z jej tytułów do chwały, postrzegano je jako rys artystycznej odwagi.

Odznaczała się eteryczną urodą i dumnym spojrzeniem Hendersonów. Ten feniks nie mógł wyglądać inaczej. Gdzie byli teraz chłopcy, którzy jej dokuczali, którzy ściągali jej majtki za cukierka? Gdzie te dziewczyny,



które odmawiały jej przyjęcia do swego grona? Kiedyś ubierała się niemal w szmaty, spryskane wodą święconą, a jej różowe okulary zawsze pamiętałem złożone na noc na parapecie.

Teraz białe włosy nadawały jej wygląd prorokini, jej oczy były oczami miłosierdzia. A przecież ja sam kiedyś się jej wstydziłem, nie potrafiłem jej obronić przed jadem naszej młodości.

Pojąłem nagle, że zdjęcie mojej siostry w lokalnej gazecie, które miało nas skompromitować, mimo wszystko nie zniszczyło naszej rodziny. Kupiłem powieść *Autumn*, chociaż nigdy nie zdobyłem się na to, aby ją porządnie przeczytać. Dedykowana była Percy'emu.

Często przyjeżdżałem na lotnisko wiele godzin przed odlotem, siedziałem tam, obserwowałem, czekałem – z nadzieją. Na co? Sam nie wiedziałem. Długo nie wiedziałem.

Czułem, że każdy z tych nienagannie ubranych ludzi, ciągnących za sobą podręczne bagaże, widział w życiu krew łosia i kojota, że każdy kradł drewno z lasu, żeby przetrwać zimę, że każdy wchodził z nożem do cudzego domu z zamiarem popełnienia morderstwa, że każdy widział swojego ojca pobitego prawie na śmierć. Czułem, że jestem wolny od własnej przeszłości, dopóki przenoszę się nieustannie z miejsca na miejsce, podróżując z tymi nowszymi, lepiej zorganizowanymi, współczesniejszymi przedstawicielami rodzaju ludzkiego. Rodzaju ludzkiego, do którego nigdy nie umiałem się włączyć. Nawet jeśli próbowałem. Mój wzrok, gdy tylko chciałem, mówił ludziom: nie zbliżajcie się.

Do Paryża przyjechałem na wiosnę tego roku. Zwiedziłem grób Napoleona, obszedłem Plac Zgody, wybrałem się na cmentarz Pere Lachaise, na groby Colette, Sary Bernhardt, Oscara Wilde'a i Jima Morrisona. Tam, pośrodku tego wielkiego miejskiego cmentarza, nie mogłem powstrzymać płaczu.

Wynajmowałem pokój na rue St. Denis, gdzie tego pochmurnego popołudnia wróciłem późno. Położyłem się na łóżku i dalej płakałem. Bo te groby i mauzolea, w których leżą ci wielcy ludzie, są większe i solidniejsze od domu, w którym mieszkał mój Percy, od tego domu, w którym czekał na matkę... na mnie, żebym go zabrał do cyrku... I myślałem o jego grobie w gliniastej ziemi.

Tak skończyły się moje podróże. Dwa miesiące temu wróciłem do domu. Ale w moim domu wszystko się zmieniło. To już nie był ten sam dom, co dawniej, gdzie ślizgaliśmy się z Autumn w skarpetkach, froterując świeżo wypastowane podłogi, gdzie wozilem Percy'ego na spacer w wózku. Zgubiłem się w tym moim domu, chociaż taki był mały. Siadałem na chwilę w fotelu, ale zaraz się zrywałem, bo przychodziło jakieś bolesne wspomnienie – przenosiłem się w inne miejsce. Aż w końcu nie miałem już gdzie usiąść ani stanąć. Nawet jedzenia nie byłem w stanie sobie ugotować, bo na tej samej kuchni mama i Percy gotowali wodę na herbatę. Przyłazili Sheppardowie, opowiadali mi niestworzone bajki o Mathew Pitcie – że go znaleźli, że go stłukli w moim imieniu. Każdy chciał za to pięćset dolarów. No to im dałem. Bardzo mnie nagle polubili.

Ale za trzecim razem, gdy rozchichotani przyszli się pysznić, jak świetnie załatwiają moje sprawy, zamknąłem drzwi i przylałem im solidnie. Jednemu i drugiemu wybiłem zęby. Danny miał rozkwaszony nos, a

Bennie rozcięty język, bo trafiłem go sygnetem w same usta. Nie spodziewali się zupełnie, że jestem do tego zdolny. Czmychnęli w przedwieczorną mżawkę, pachnącą balsamem. Ani jednego, ani drugiego więcej nie widziałem.

Wybrałem się z wizytą do Cheryl Votour. Kupiłem jej pierścionek z brylantem. Chciałem się oświadczyć, nawet zacząłem. Ale przerwała mi, mówiąc, że wychodzi za mąż za Griffina Poriera. Griffin pracował teraz u Geralda Dove'a.

Sięgnąłem po Falszywy kupon Tolstoja. Otworzyłem na chybił trafił, natrafiając na podkreślenia i notatki poczynione nie tylko przez tatę, ale i przez Autumn. W książce przechował się zasuszony różowy goździk, który Autumn wygrała dla taty na bożonarodzeniowej loterii – ktoś go tam włożył jeszcze przed jego wyjazdem. Kwiat spłóśniał ze starości na kolor brzoskwini. Odstawiłem starannie książkę i wyszedłem na dwór.

Na każdym kroku widziałem Percy'ego – jak odwraca się do mnie, uśmiecha, zasłania rączką buzię, żeby stłumić kaszel, w wyłazającej na wierzch koszuli, z muszką na bakier. Przemawiałem do tych licznych duchów, snujących się wokół domu. Z nimi się budziłem i z nimi zasypiałem. Czemu nie miałbym się do nich przyłączyć?

Trzy tygodnie temu położyłem na stole powieść mojej siostry, wiersze taty, obok informator o Pierwszej Komunii Percy'ego, wyciągnąłem strzelbę spod łóżka, załadowałem i siadłem na krześle, z lufą przystawioną do głowy.

Ciekaw byłem, po jakim czasie znajdą moje ciało, skoro już nikt, nawet Jay Beard, do nas nie przychodził. Nie był w stanie wejść na ścieżkę, którą biegał Percy, stracił serce do gitary.

Gapiłem się w telewizor, bo nie miałem siły wstać i go wyłączyć. Nagle przerwano program, żeby nadać wiadomość z ostatniej chwili.

W południowym krańcu Saint John szalał wielki pożar. Mieszkańców kilku domów ewakuowano, musieli koczować na mrozie. Pokazano strażaków w akcji – a daleko w tle, w drzwiach budynku, w którym teraz rozmawiamy, hotelu Empire, siedział na krześle jakiś człowiek. To był Mathew Pit; owinięty kocem, trząsał się jak galareta.

Zatoczył wielkie koło i zaszedł wprost do pana – właśnie tu, gdzie pan teraz mieszka, panie Terrieux. Poznałem go. Opuściłem strzelbę.

Do Saint John przyjechałem następnego dnia. Wynająłem pokój w gospodzie, na jedną noc, którą przeczekałem bezsennie. Rano wyszedłem na zimną, zamgloną ulicę.

Mathew jakby się mnie spodziewał. Został z niego wrak człowieka; zajmował pokój trzy piętra pod panem. Leżał na materacu, gapił się w zacieki na suficie. Odwrócił do mnie głowę i wskazał coś palcem. Nie wiem co, nie spojrzałem. Za oknem wstawał świt, znacząc barłóg Mathew Pita pąsowymi plamami. Rozniósł się zapach kwiatów – pokój był ich pełen. Sięgnąłem ponad pościelą i zapaliłem lampę. Może o to mu chodziło. Przesunąłem ją, żeby móc lepiej widzieć jego twarz. Wyglądał na sześćdziesiąt lat, włosy mu zrzedły. Piegi zamieniły się w krwawe wybroczyny. Usta miał zapadnięte. Leżał na pościeli, w długich kalesonach, wychudły i kanciasty. Ten sam Mathew Pit, który swego czasu wyciskał trzysta funtów i siał postrach w okolicy.

Koło łóżka miał jakieś przekąski, parę słomek i sok limonowy – zawsze lubił napój limonowy.

Był ostatnią ofiarą Zakładów McVicera. Wtedy w Halifaksie, jak się

biliśmy, był w słabej formie, bo go bolało. Ale nie przyznał się, nigdy się nie poddawał.

Nie mogłem go zabić, to jasne, panie Terrieux. Tak jak nie można spokojnie patrzeć, jak dziecko się topi. Nikogo nie umiałbym zabić. To moja tragedia. Wszystkich zawiodłem.

– On chce panu coś powiedzieć – usłyszałem. – Tylko ma już kłopoty z mówieniem, prosi pana o coś.

Głos był miły, cichy.

Odwróciłem się. Z dalekiego kąta patrzyło na mnie dziecko dwunasto-, może trzynastoletnie. Czuwało przy konającym. Miało czarne kręcone włosy, kolczyk w nosie, na sobie džinsy, tenisówki i niebieską skórzaną kurtkę.

– Pan go zna? – spytała dziewczynka.

– Tak.

– To mój wujek.

Nie widziałem jej wyraźnie, siedziała w cieniu.

– Teresa? – spytałem.

– Tak. Chcemy go zabrać do szpitala, ale on się opiera. Boi się, że tam przyjdzie po niego policja. A przecież nie przyjdzie. Już po wszystkim. Miała przemiły, dojrzały głos, mądry i głęboki.

– Twoja mama też tu jest?

– Oczywiście, wyszła tylko na kawę. Pan zna moją mamę?

– Owszem – odparłem. – Ale minęło tyle czasu.

Spojrzałem znów na Mata. Po chwili Cynthia otworzyła drzwi. Przez chwilę, zanim je zamknęła, na małą padło mocne światło. Cynthia poznała mnie i aż ją zatkało.

Ona też się postarzała. Włosy miała teraz krótkie, szpakowate, zaokrągliła się, zaczął jej nawet rosnąć drugi podbródek. Właściwie zrobiła się podobna do Alviny. Na szyi miała srebrny krzyżyk, a na twarzy ani śladu makijażu.

– Cześć, Lyle – powiedziała. Jej głos był teraz bardziej przytłumiony.

– Lyle Henderson? To pan? – ożywiła się Teresa.

Kiwnąłem głową.

– Czytałam książkę pana siostry, to o panu i o niej, i o Percym; prawda, mam? Ja wiem, że to jest książka dla dorosłych, ale przeczytałam. Bardzo śmieszne było o froterowaniu podłogi i o zbieraniu żuków dla Percy’ego. Wszystko toczyło się jak w zwolnionym tempie. Strasznie chciałem umrzeć.

Zobaczyłem, jak Teresa May wstaje i opiera rękę na stoliku przy łóżku.

Ogarnęło mnie jakieś dziwne uczucie na widok tej dziewczęcej ręki.

– On chce panu powiedzieć, że przeprasza, za wszystko – odezwała się Teresa.

Chwila pauzy.

Wyszła jeszcze bardziej z cienia i uśmiechnęła się do mnie – jesienne światło dotknęło lekko jej oliwkowego policzka.

– Więc ty jesteś mała Teresa May – odezwałem się niemal z radością. – Więc wszystko dobrze się skończyło... dla ciebie... pamiętam, że Percy palił świece w twojej intencji, wiele razy, z dziesięć, pamiętam to doskonale.

Jej spojrzenie było łagodne i dobre.

W tej samej chwili, pod spojrzeniem Teresy, uprzytomniłem sobie, że on był stale w moich myślach. Ja nie Mathew Pita szukałem, panie Terrieux,

przynajmniej nie odkąd pobiliśmy się w Halifaksie.

Ja szukałem jego.

Jeździłem po lotniskach, coraz wcześniej, jak najwcześniej, z myślą, że go gdzieś znajdę. Ale jego nie było – ani w restauracjach, ani w halach lotniskowych, ani w parku przy karmieniu gołębi – chociaż szedłem nieraz za jakimś dzieckiem aż pod dom, budząc słuszne zaniepokojenie rodziców. Jego jednego szukałem. W ubiegłym roku poszedłem nawet do cyrku, owładnięty szaloną myślą, że on tam będzie i zafunduję mu wszystkie atrakcje.

Cynthia usiadła obok mnie. Powiedziała, że Mathew ma raka kości, że sama dwa tygodnie wcześniej poinformowała Johna Delano o miejscu jego pobytu, ale Delano radził zostawić Mata w spokoju, bo już za późno na wymierzanie sprawiedliwości. Mathew zostanie przewieziony do szpitala, będzie dostawał środki przeciwbólowe.

– Ale nie na ten prawdziwy ból – dodała Cynthia.

Teresa stała przy chorym. Po dłuższej chwili przemówiła:

– Mamo, powiedz mu.

Cynthia położyła mi rękę na ramieniu i zalała się łzami. Ten moment jakoś nas wszystkich zjednoczył. Nie jestem mistrzem w okazywaniu emocji, ale nie mówiłem nic. Patrzyłem tylko na nią, na jej rozpaloną płaczem twarz. Patrzyłem na krzyżyk na jej szyi, jakbym sam wstydził się całego swojego życia. Tylko ten krzyżyk powstrzymywał mnie przed ucieczką. Cynthia, mówiąc, ścisnęła mnie za rękę.

– Teresa May... ma serce Percy'ego – wyszeptała. – Gdyby nie ono, już by nie żyła. Któż mógł przewidzieć, że tak się to wszystko potoczy? Ani ona, ani Percy, prawda?

Teresa ujęła moją dłoń i wsunęła sobie pod bluzkę, żebym poczuł, jak bije serce mojego brata. Poczulem je, usłyszałem i przeszył mnie ból na myśl o niepojętej miłości i smutku Percy'ego.

Pożegnałem ich i wróciłem do domu. John Delano opowiedział mi o panu, panie Terrieux, o tym, jak odszedł pan z policji, bo dziecko omal się przez pana nie utopiło. Musiałem się z panem spotkać. Dopiero dwie noce temu dowiedziałem się, że mieszka pan w tym samym budynku, co nasz Mathew Pit.

Chciałbym pana zapewnić, że postąpił pan słusznie. Że gdyby miał pan ratować tego tonącego tysiąc razy, nawet dziesięć tysięcy razy, to na pewno zawsze by pan to zrobił. To był pański uniwersalny obowiązek. Chcę też powiedzieć, że w gruncie rzeczy moje życie było radosne. Nieskończenie radosne. Z Autumn, z Percym, z Elly McGowan. Jakim prawem miałbym domagać się jego końca?



## Posłowie

Lyle, który siedział naprzeciw i mówił do niego przez ostatnie dziewięć, dziesięć godzin, ubrany był w granatową sportową marynarkę i granatowe spodnie od garnituru; jak już wspomniano, miał posturę barowego wykidajły. Na palcu wskazującym prawej ręki nosił sygnet, który mógł być przydatny w ulicznych bijatykach. Terrieux spotkał w życiu wielu podobnych typów – a jednak żaden nie był podobny do tego. Żaden nie miał w sobie tej inteligencji, tej wrażliwości.

Terrieux przerwał kilkugodzinny monolog parę razy. Raz dla wyjaśnienia szczegółów pożaru w barze Oyster River, a raz, by spytać o ilość spuszczonej do rzeki herbicydów, bo to on właśnie, Terrieux, aresztował dziadka Lyle'a. To do jego radiowozu wczłgał się owego pechowego dnia Roy Henderson, po czym tam zasnął.

Gdy już wszystko zostało powiedziane, twarz Lyle'a rozjaśniła się dziwną czułością, dowodząc jeszcze raz, że czułość jest cechą ludzi dzielnych.

Chłopak przyszedł w południe. Teraz był środek nocy. Śnieg padał na szare ulice, okrywał gzymsy i dachy domów kożuchami bieli.

Lyle zasnął, nie wstając od stołu. A rano wyszedł, nie mówiąc już ani słowa.

Terrieux większość dnia przespał. Kiedy wstał, po raz pierwszy od dziesięciu lat nie poszedł do knajpy. Tydzień później, nadal bez jednego kieliszka, wybrał się na północ z zamiarem odwiedzenia domu Hendersonów.

Kamienista ścieżka zarosła trawą, domek był jeszcze mniejszy, niż Terrieux sobie wyobrażał. Drzwi zastał otwarte, chociaż wewnątrz nikogo

nie było. Wszystkie rowy i przestrzenie między głazami i drzewami wyrównał śnieg. Terrieux nie mógł się powstrzymać od wejścia do środka. Zobaczył książki, dokładnie tak, jak Lyle mu je opisał, i kozetkę, na której kiedyś leżała Elly.

Jak w tych warunkach można przetrwać zimę?

Po chwili udał się na górę, do pokoju Autumn. Na krześle wisiała stara biała sukienka. W szafce stały znoszone buciki z czarnej skóry. Na obłazącym z farby parapecie narożnego okna leżały różowe dziewczęce okulary z innej epoki.

Terrieux minął krótki korytarzyk i otworzył drzwi do pokoju chłopców. Łóżko Percy'ego było zasłane, na gzymsie obok stało zdjęcie Scuppera Pita. W kącie, który zajmował Lyle, wałała się gazeta z najnowszym doniesieniem o odszkodowaniach wypłacanych przez Zakłady McVicera; wartość przedsiębiorstwa szacowano na dziewiętnaście milionów dolarów. Terrieux spędził w tym pokoju ponad dziesięć minut, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że jest w miejscu świętym. Po cichu opuścił dom.

Potok Arron gulgotał donośnie pod spadzistym urwiskiem. Niskie, szare niebo pachniało śniegiem. Nie odezwał się ani jeden ptak. Za domem, okolony niedużym, zniszczonym płotkiem, znajdował się grób Percy'ego. Terrieux przyniósł ze sobą kwiaty. Podnosząc się z klęczek, doznał żenującego uczucia, że Lyle go obserwuje.

Pożegnał domek, podwórko, resztki ogrodu Elly. Pojechał do kościoła, gdzie tego popołudnia odbywał się pogrzeb Mathew Pita. Wszedł do środka i siadł w ławce. Patrzył na dębową trumnę. Przed nim siedziała jakaś kobieta. Pomyślał, że to na pewno Cynthia Pit. Przeniósł wzrok na witraż przedstawiający anioła wstępującego do nieba.

Wyszedł przed końcem mszy i posiedział jeszcze chwilę w samochodzie, paląc papierosa i patrząc, jak śnieg zasypuje groby.

Potem odjechał w kierunku Tabusintac, gdzie mieszkała jego była żona ze swoim drugim mężem. Czuł, że musi ją odwiedzić, zanim będzie na to za późno. Chociaż rozwiedli się przed wielu laty, tego dnia właśnie spróbował ją przeprosić, opowiadając o Percym i Autumn. Uśmiechał się potulnie, ucałował żonę w policzek. Ale jej dokuczała samotność w wielkim domu z widokiem na zatokę. Mąż często wyjeżdżał do Montrealu w sprawach służbowych. Przebąkiwano o jakiejś sekretarce. Żona skarżyła się na reumatyzm i nie mogła zrozumieć, dlaczego Pan Bóg jest taki okrutny.

– To ty zmarnowałeś mi życie, nigdy ci nie daruję – zrzędziła złośliwie. Nic więcej nie powiedział. Wieczorem wrócił do Saint John. Wciąż mieszka w hotelu Empire i pije w knajpie po drugiej stronie ulicy.

W czerwcu widziano, jak Lyle błądzi po wzgórzach, patrząc z góry na daleką drogę. W lipcu dzieciaki uciekały przed nim, widząc blizny po nożu na jego torsie i ramionach. Griffin Porier znajdował go po nocach pijanego gdzieś przy szosie i odwoził do wylotu przydomowej ścieżki. Dalej Lyle mu nie pozwalał.

Wkrótce zaczął wieść żywot pustelnika i całkiem przestano go widywać, chyba że bardzo rzadko, z wędką i robakiem, nad rzeką, gdzie, jak w dzieciństwie, wypatrywał pstrągów.

W początkach października zabił dom deskami i zniknął, zabierając swój skromny dobytek. Wszyscy są ciekawi jego losów, ale nikt nie wie, dokąd się udał.

